

David Gemmell

Tarcza Gromu

Troja

Tom 2

WIELKA ZIELEŃ



Serdecznie dziękuję mojemu wydawcy Selinie Walker, redaktor wydania Nancy Webber oraz moim pierwszym czytelnikom: Tony'emu Evansowi, Alanowi Fisherowi, Stelli Gemmell, Oswaldowi Hotz de Barowi, Steve'owi Huttowi, Timowi Lentonowi i Anne Nicholls. Określenie „pierwsi czytelnicy” nie oddaje w pełni znaczenia wykonanej przez nich pracy. Na podstawie uwag tego zespołu podczas tworzenia cyklu trojańskiego powstały lub zostały rozbudowane rozmaite wątki i postacie. Jestem im ogromnie wdzięczny.

*Pod Tarczą Gromu już czeka
Orle Dziecię, niemy świadek,
By krążyć nad grodem człeka
Po kres dni, królów upadek.*

Przepowiednia Melite

PROLOG

Zimny wiatr wiał od ośnieżonych gór, świszcząc w wąskich uliczkach Teb pod Plakos.

Z ciemnych chmur kłębiących się nad miastem sypał lodowaty śnieg. Tej nocy na ulicach było niewiele przechodniów i nawet pałacowi strażnicy kulili się przy bramie, opatuleni grubymi wełnianymi płaszczami.

W pałacu panowała atmosfera narastającego strachu, gdy pełen udręki dzień przeszedł w naznaczoną krzykami, niespokojną noc. Milczący i wystraszeni ludzie gromadzili się w zimnych korytarzach. Od czasu do czasu wybuchało lekkie zamieszanie, gdy służące wybiegały z łożnicy królowej po miski z wodą lub czystą pościel.

Tuż przed północą czekający dworzanie usłyszeli pohukiwanie sowy i spojrzeli po sobie.

Sowa to zły znak. Każdy o tym wie.

Krzyki bóleści przycichły do jęków, gdy królowa niemal zupełnie opadła z sił. Koniec był bliski. Nie będzie radości z narodzin, tylko żałoba po śmierci.

Trojański ambasador Heraklitos starał się udawać głębokie zatroskanie. Nie było to łatwe, gdyż nie znał królowej Olektry i nie obchodziło go, czy przeżyje, czy umrze. A pomimo swych ambasadorskich szat z białej wełny i długiego płaszcza z owczej skóry zmarzł i nie czuł nóg.

Zamknął oczy i próbował ogrzać się myślami o tym, jak wzbogaci się na tej podróży.

Misja, z jaką przybył do Teb pod Plakos, miała dwa cele: zabezpieczyć szlaki handlowe i dostarczyć dary od młodego króla Troi, Priama, w ten sposób zawiązując traktat przyjaźni między dwoma sąsiednimi miastami. Troja szybko rosła w siłę pod mądrymi rządami Priama i Heraklitos – jak wielu innych – z każdym dniem stawał się bogatszy. Jednakże wiele najcenniejszych towarów – takich jak pachnidła, korzenie i stroje ze złotogłowiu – trzeba było przewozić przez rozdierane wojnami wschodnie krainy, pełne rozbójniczych band włóczęgów i dezertków. Nieuznający niczyjej władzy watażkowie blokowali przełęcze, żądając myta od przechodzących karawan. Żołnierze Priama oczyścili wiele szlaków w pobliżu Troi, lecz na południu, w Tebach leżących w cieniu potężnej góry Idy, rządził król Ektion. Heraklitosą wysłano, żeby nakłonił go do zebrania liczniejszych

wojsk i rozpoczęcia kampanii przeciwko rozbójnikom. Misja się powiodła. Oddziały króla Ektiona zapuszczały się coraz dalej w góry, niszcząc gniazda bandytów i oczyszczając kupieckie szlaki. Heraklitosowi pozostało tylko złożyć gratulacje z okazji narodzin dziecka i potem mógłby wrócić do swojego pałacu w Troi. Już i tak za długo tu bawił i w domu czekało na niego wiele pilnych spraw do załatwienia.

Królowa zaczęła rodzić późnym wieczorem poprzedniego dnia i Heraklitos kazał swoim sługom przygotować się do odjazdu wczesnym rankiem. Tymczasem nadal był tutaj o północy, stojąc w pełnym przeciągów korytarzu. Zapowiedziane dziecko nie tylko nie przyszło na świat, ale z przestraszonych min otaczających go ludzi Heraklitos wyczytał zapowiedź nadchodzącej tragedii. Wezwano kapłanów Asklepiosa, boga medycyny, a ci pośpieszyli do królewskich pokoi, by pomóc krzątającym się tam trzem akuszerkom. Na dziedzińcu złożono w ofierze byka.

Heraklitos nie miał wyjścia – musiał stać i czekać. Odchodząc, okazałby brak szacunku.

Było to okropnie irytujące, bo kiedy ta biedna kobieta umrze, w mieście zostanie ogłoszona żałoba i Heraklitos będzie musiał zaczekać jeszcze kilka dni, do pogrzebu.

Zauważył, że przygląda mu się stara kobieta o jastrzębiej twarzy.

– Smutny, smutny dzień – powiedział poważnie, udając głębokie zatroskanie.

Nie widział jej przybycia, ale stała tu teraz, wsparta na rzeźbionej lasce, z ponurą miną, oczami mrocznymi i dzikimi, siwymi włosami zmierzwionymi i niczym lwia grzywa otaczającymi jej głowę. Miała na sobie długą szarą szatę z sową wyhaftowaną srebrną nicią na piersi. Zatem to kapłanka Ateny, pomyślał.

– Dziewczynka nie umrze – oznajmiła – gdyż otrzymała błogosławieństwo bogini. Umrze królowa, jeśli ci głupcy mnie nie wezwą.

Z łożnicy królowej wyszedł chudy i zgarbiony kapłan. Zobaczył posepną kobietę i skłonił głowę na powitanie.

– Obawiam się, że koniec jest już bliski, wielka siostrze – rzekł. – Dziecko się zaklinowało.

– Zatem prowadź mnie do niej, idioto.

Heraklitos zobaczył, że kapłan poczerwieniał, ale cofnął się, przepuszczając kobietę. Oboje wrócili do łożnicy. Twarda stara wrona, pomyślał Heraklitos. Potem przypomniał sobie, że kapłanka mówiła o dziewczynce. Zatem była jasnowidząca – lub za taką się uważała. Jeśli miała rację, to oczekiwanie było jeszcze bardziej irytujące. Kogo obchodzi, czy dziewczynka przeżyje czy nie? Nawet gdyby był to chłopczyk, to król Ektion miał już dwóch

krzepkich synów.

Noc upływała powoli i Heraklitos wraz z około dwudziestoma innymi czekał na zawodzenia, które obwieszczą śmierć królowej. Jednak tuż po wschodzie słońca usłyszeli płacz noworodka.

Ten głos, tak pełen życia, przepełnił szacownego ambasadora nagłą radością i podniósł na duchu w stopniu, jaki jeszcze przed chwilą uważał za niewiarygodny.

Po krótkiej chwili dworzanie, a wśród nich Heraklitos, zostali wprowadzeni na pokoje królowej, aby powitać nowo narodzone dziecko.

Niemowlę leżało w kołysce przy łóżku, a królowa – blada i wyczerpana – opierała się na haftowanych poduszkach, przykryta kocem. Pościel była mocno zakrwawiona. Heraklitos i pozostali w milczeniu stanęli wokół łoża, z szacunkiem przyciskając dłonie do piersi. Królowa nic nie mówiła, lecz kapłanka Ateny, z rękami pokrytymi zaschniętą krwią, wyjęła dziecko z kołyski. Zakwiliło cicho.

Na głowie dziecka, tuż przy czubku, Heraklitos dostrzegł coś, co w pierwszej chwili wziął za smugę krwi. Potem uświadomił sobie, że to znamię, niemal idealnie okrągłe jak tarcza, ale przecięte poszarpaną białą linią.

– Tak jak przepowiedziałam, to dziewczynka – oznajmiła kapłanka. – Została pobłogosławiona przez Atenę. Oto dowód – dodała, wodząc palcami po znamieniu. – Czy wszyscy to widzicie? To tarcza Ateny – Tarcza Gromu.

– Jakie będzie nosić imię? – spytał jeden z dworzan.

Królowa się poruszyła.

– Palesta – szepnęła.

Następnego dnia Heraklitos wyruszył w długą drogę powrotną do Troi, przynosząc wieść o narodzinach księżniczki Palesty i znacznie ważniejszą – o traktacie zawartym między dwoma miastami. Tak więc nie było go przy tym, jak król Ektion wrócił i stanął przy łożu swej małżonki.

Władca, wciąż w zbroi, pochylił się nad kołyską. Maleńka rączka wyciągnęła się do niego. Król podstawiał wskazujący palec i roześmiał się, gdy dziecko mocno go ścisnęło.

– Jest silna jak mężczyzna – powiedział. – Nazwiemy ją Andromachą.

– Nadałam jej imię Palesta – powiedziała jego żona.

Król pochylił się i pocałował ją.

– Będziemy mieli więcej dzieci, jeśli bogowie pozwolą. Imię Palesta może poczekać.

Dziewiętnaście następnych lat okazało się dla Heraklitososa pomyślnymi i obfitującymi w wydarzenia. Odbył liczne podróże: na południe do Egiptu, na wschód do serca imperium

Hetytów oraz na północny zachód, przez Trację i Tesalię, aż do Sparty. Przez cały czas się bogacił. Dwie żony urodziły mu łącznie pięciu synów i cztery córki, a bogowie pobłogosławili go dobrym zdrowiem. Jego majątek, tak jak bogactwo Troi, wciąż rósł.

Teraz jednak szczęście go opuściło. Zaczęło się od nasilającego się bólu w dolnej części pleców i napadów suchego kaszlu, nieprzechodzących nawet w ciepłym letnim słońcu. Wychudł i wiedział, że już niedługo wyruszy Ciemną Drogą. Nie poddawał się, wciąż pragnąc służyć swojemu panu, i pewnej nocy został wezwany do królewskich apartamentów, gdzie król Priam i królowa Hekabe radzili się jasnovidza. Heraklitos nie wiedział, co przepowiedział im ten człowiek, lecz na twarzy królowej, oschłej i bezwzględnej kobiety, malowało się napięcie.

– Bądź pozdrowiony, Heraklitosie – powiedziała, nie wspominając o jego chorobie i nie wyrażając z troską stanem jego zdrowia. – Przed kilkoma laty byłeś w Tebach pod Plakos. Mówiłeś o urodzonym tam wówczas dziecku.

– Tak, królowo.

– Opowiedz mi o tym jeszcze raz.

Heraklitos opowiedział o dziecku i kapłance.

– Widziałeś Tarczę Gromu? – spytała Hekabe.

– Tak, królowo, była czerwona i okrągła, przecięta przez środek białą błyskawicą.

– Jakie imię nadano temu dziecku?

To pytanie zaskoczyło Heraklitosą. Od lat nie myślał o tamtym dniu. Przetarł oczy i znów zobaczył tamten zimny korytarz, kapłankę z lwią grzywą włosów i bladą, wyczerpaną królową.

Przypomniał sobie.

– Palesta, wasza wysokość.

CZEŚĆ PIERWSZA
NADCIĄGAJĄCY SZTORM

I. ZRYWA SIĘ WICHER

Penelopa, królowa Itaki, rozumiała naturę snów, wróżb i znaków pojawiających się w życiu człowieka. Dlatego siedziała na plaży, z ramionami okrytymi haftowanym złotą nicią szalem, od czasu do czasu zerkając w niebo i obserwując przelatujące ptaki w nadziei na dobry znak. Pięć jaskółek zapowiedziałyby Odyseuszowi bezpieczną podróż, dwa łabędzie szczęście, a orzeł byłby zwiastunem zwycięstwa – albo, dla Odyseusza, powodzenia w interesach. Jednak niebo było puste. Z północy powiał łagodny wiatr. Doskonała pogoda do żeglowania.

Stara galera została naprawiona, oskrobana ze skorupiaków i przygotowana do wiosennego sezonu, lecz nowe deski i warstwa świeżej farby nie zdołały ukryć jej sędziwego wieku, widocznego w każdym detalu, gdy tak leżała do połowy zanurzona w płytkiej wodzie.

– Zbuduj nowy statek, Brzydalu – niezliczoną ilość razy powtarzała swojemu mężowi.
– Ten jest stary, znużony i stanie się przyczyną twojej zguby.

Spierali się o to od lat. Jednak w tej sprawie nie zdołała go przekonać. Z natury był sentymentalny i choć jego wesołe usposobienie skrywało spiżowy charakter, wiedziała, że nigdy nie wyrzeknie się tego starego statku, który nazwał jej imieniem.

Penelopa westchnęła ze smutkiem. Jestem jak ten statek, uświadomiła sobie. Starzeję się.

Mam siwe nitki we włosach i czas szybko płynie. Jednak istotniejsze od blaknięcia kasztanowych włosów czy pogłębiających się zmarszczek na twarzy było to, że miesięczne krwawienia świadczące o młodym wieku i płodności stawały się coraz rzadsze. Wkrótce nie będzie mogła mieć dzieci i nie urodzi kolejnych synów Odyseuszowi. Smutek przeszedł w żal na wspomnienie bladego Laertes a i gorączki, która wysuszyła jego ciało.

Na plaży Odyseusz gniewnie krążył wokół galery, czerwony na twarzy, gwałtownie gestykulując i pokrzykując na załogę, która pośpiesznie ładowała towary. Oni też byli smutni – wyczuwała to, patrząc na nich. Kilka dni wcześniej zmarł ich towarzysz Porthemos, którego nazywali Porthemosem Wieprzkiem, jowialny i powszechnie lubiany grubas, który żeglował na *Penelopie* przez wiele lat. Jego młoda żona, nosząca ich czwarte dziecko, obudziła się o świcie i znalazła go martwego w łóżku obok niej.

Dwaj marynarze wciągali na pokład *Penelopy* ciężką wiązkę chrustu, używanego do unieruchamiania towarów w ładowni. Nagle jeden z nich się potknął i puścił linę, a drugi

przeleciał w powietrzu jak wystrzelony z katapulty i wpadł do wody. Odyseusz siarczyście zaklął i odwrócił się do żony, unosząc ręce w geście rozpacz.

Penelopa uśmiechnęła się. Jego widok podniósł ją na duchu. Zawsze był szczęśliwy, kiedy miał popłynąć ku obcym brzegom. Przez całą wiosnę i lato będzie przemierzał Wielką Zielen, kupując i sprzedając, snując opowieści, spotykając królów, piratów i żebraków.

– Będę za tobą tęsknił, pani – powiedział jej poprzedniej nocy, gdy leżała w jego ramionach, delikatnie ciągnąc go za rude włosy na piersi.

Nie odpowiedziała. Wiedziała, że będzie o niej myślał – każdego wieczoru, gdy miną niebezpieczeństwa dnia, pomyśli o niej i zatęskni, troszeczkę.

– Będę o tobie myślał codziennie – dodał. Wciąż nie odpowiadała. – Ból twej nieobecności będzie jak niegojąca się rana w moim sercu.

Uśmiechnęła się, wtulona w jego pierś, i wiedziała, że poczuł ten uśmiech.

– Nie kpj ze mnie, kobieto – rzekł czule. – Zbyt dobrze mnie znasz.

Na plaży w blasku poranka obserwowała, jak idzie po piachu porozmawiać z Nestorem, królem Pylos i jej krewnym. Różnica między tymi dwoma mężczyznami była uderzająca.

Odyseusz, tęgi, krzykliwy i wybuchowy, atakował każdy dzień jak śmiertelnego wroga. Nestor – szczupły, siwy i przygarbiony – był oazą spokoju wśród panującego na plaży zamieszania.

Chociaż zaledwie dziesięć lat starszy od jej męża, zachowywał się jak szacowny staruszek, podczas gdy Odyseusz był jak podekscytowany dzieciak. Kochała go i oczy zapiekły ją od łez na myśl o czekającej go pełnej niebezpieczeństw wyprawie.

Zaledwie kilka dni wcześniej wrócił z podróży do Sparty, do której na żądanie Agamemnona, króla Myken, niechętnie udał się także Nestor.

– Agamemnon jest żądny zemsty – powiedział Nestor, siedząc późnym wieczorem w megaronie, mając w dłoni przyjemnie pełny kielich wina i jednego ze swoich ogarów u stóp. – Spotkanie w Sparcie było dla niego klęską, a jednak nie zdołało go sprowadzić na właściwą drogę.

– Ten człowiek ma obsesję – rzekł Odyseusz. – Wezwał królów z zachodu, aby mówić o przymierzu i pokoju. Tymczasem przez cały czas marzy o wojnie z Troją – wojnie, którą będzie mógł toczyć tylko wtedy, jeśli wszyscy się do niego przyłączymy.

Penelopa usłyszała gniew w jego głosie.

– Dlaczego ktoś miałby się do niego przyłączyć? – spytała. – Nienawiść do Troi to jego prywatna sprawa.

Nestor pokręcił głową.

– Król Myken nie ma prywatnych spraw. Jego ego jest kolosalne. To, co dotyczy Agamemnona, dotyczy całego świata. – Przynął się bliżej. – Wszyscy wiedzą, że jest wściekły z powodu tego, że Helikaon i ten zdrajca Argurios pokrzyżowali mu plany.

– Zdrajca Argurios, tak? – warknął Odyseusz. – Ciekawe, co czyni człowieka zdrajcą, prawda? Dobry wojownik, człowiek, który przez całe życie wiernie służył Mykenom, został ogłoszony banitą i pozbawiony ziemi, dóbr oraz dobrego imienia. A potem król kazał go zabić. Tymczasem on zdradziecko bronił siebie i kobiety, którą kochał.

Nestor pokiwał głową.

– Tak, tak, krewniaku. Był dobrym wojownikiem. Spotkałeś go kiedyś?

Penelopa wiedziała, że próbuje ułagodzić Odyseusza. Skryła uśmiech. Nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby zobaczyć jej męża rozwścieczonego.

– Tak, płynął ze mną do Troi – odparł Odyseusz. – Nieprzyjemny człowiek. Jednak gdyby nie Argurios, wszyscy Mykeńczycy atakujący pałac Priama zostaliby wyrznięci w pień.

– A tak zostali wyrznięci w pień, kiedy wrócili do domu – dodała cicho Penelopa.

– Nazwano to Nocą Lwiej Sprawiedliwości – rzekł Nestor. – Tylko dwaj zdołali uciec i zostali ogłoszeni banitami.

– I to jest król, u boku którego chcesz iść na wojnę? – zapytał Odyseusz, kołysząc pucharem z winem. – Z człowiekiem, który posyła dzielnych wojowników, żeby walczyli za niego, i morduje ich, kiedy go zawiodą?

– Jeszcze nie zaproponowałem Agamemnonowi statków ani ludzi. – Stary spojrzał w swój kielich. Penelopa wiedziała, że Nestor był przeciwny wojnie, ale zachował swoje zdanie dla siebie podczas narady królów w Sparcie. – Jednak ambicje Agamemnona dotyczą wszystkich – powiedział w końcu. – Dla niego jesteś albo przyjacielem, albo wrogiem. Kim ty jesteś, Odyseuszu?

– Ani jednym, ani drugim. Wszyscy wiedzą, że jestem neutralny.

– Łatwo być neutralnym, kiedy ma się ukryte źródła dochodów – odparł Nestor. – Jednak przyszłość Pylos zależy od handlu lnem z Argos i północą. Agamemnon kontroluje te szlaki handlowe. Przeciwwstawienie się mu oznaczałoby ruinę. – Zerknął na Odyseusza i zmrużył oczy. – Zatem powiedz mi, Odyseuszu, gdzie leży tych Siedem Wzgórz, które czynią cię bogatym?

Penelopa wyczuła, że napięcie w komnacie rośnie, i spojrzała na Odyseusza.

– Na krańcu świata – odparł. – Strzeżone przez jednookich olbrzymów.

Gdyby Nestor tyle nie wypił, usłyszałby szorstki ton głosu Odyseusza. Penelopa nabrała tchu, szykując się do interwencji.

– Wydaje mi się, krewniaku, że mógłbyś podzielić się swoim powodzeniem z członkami rodziny zamiast z obcym – rzekł Nestor.

– I zrobiłbym to – odparł Odyseusz – gdyby nie to, że to ten obcy odkrył Siedem Wzgórz i otworzył szlak handlowy. Nie mogę dzielić się jego sekretami.

– Tylko jego złotem – warknął Nestor.

Odyseusz cisnął kielichem o ścianę.

– Obrażasz mnie w moim własnym domu? – ryknął. – Musieliśmy walczyć o Siedem Wzgórz z bandytami, piratami i dzikimi plemieńcami. Z trudem zdobyliśmy to złoto.

Powietrze w megaronie stało się ciężkie od gniewu i Penelopa uśmiechnęła się z przymusem.

– Dajcie spokój, krewniacy. Jutro płyniecie do Troi na przyjęcie weselne i igrzyska. Nie pozwólcie, by tę noc zakończyły ostre słowa.

Obaj mężczyźni spojrzeli na siebie. Nestor westchnął.

– Wybacz mi, stary przyjacielu. Moje słowa były nieroztropne.

– Już o nich zapomniałem – rzekł Odyseusz, gestem przyzywając sługę, żeby przyniósł mu nowy kielich wina.

Penelopa usłyszała wahanie w jego głosie i wiedziała, że Odyseusz wciąż jest rozgniewany.

– Przynajmniej w Troi na jakiś czas będziecie mogli zapomnieć o Agamemnonie – powiedziała, próbując zmienić temat.

– Wszyscy królowie z zachodu są zaproszeni na ślub Hektora z Andromachą – powiedział ponuro Odyseusz.

– Ale Agamemnona na pewno tam nie będzie?

– Myślę, że będzie, ukochana. Przebiegły Priam wykorzysta tę sposobność, żeby nagiąć niektórych władców do swojej woli. Zaproponuje im złoto i przyjaźń. Agamemnon nie może tam nie popłynąć. Będzie.

– Jest zaproszony? Po ataku Mykeńczyków na Troję?

Odyseusz uśmiechnął się i zaczął naśladować pompatyczną prze mowę mykeńskiego władcy.

– Zatrokał nas – rzekł, ze smutkiem rozkładając ręce – zdradziecki atak bandy mykeńskich dezertów na naszego brata, króla Priama. Banitów spotkała zasłużona kara.

– Ten człowiek jest jak wąż – przyznał Nestor.

– Czy twoi synowie wezmą udział w igrzyskach? – spytała go Penelopa.

– Tak, obaj są dobrymi atletami. Antilochos dobrze spisze się w rzucie oszczepem, a Thrasymedes pokona każdego w turnieju łuczniczym – dodał, mrugając okiem.

– Prędzej ujrzymy zielony księżyc za dnia – mruknął Odyszeusz. – Nawet w najgorszej formie dalej splunę strzałą, niż on zdoła ją wystrzelić z łuku.

Nestor się roześmiał.

– Jaki jesteś delikatny, kiedy twoja żona jest w pobliżu. Kiedy ostatnio słyszałem, jak przechwalasz się swoimi umiejętnościami, powiedziałaś, że dalej byś tę strzałę wypierdział.

– To też – odparł Odyszeusz, czerwieniąc się.

Penelopa z ulgą zobaczyła, że wrócił mu dobry humor.

Na plaży stary statek w końcu został załadowany i załoga ciągnęła za liny, ściągając go z piasku. Dwaj synowie Nestora byli tam, stojąc po pas w wodzie, plecami oparci o deski kadłuba, i spychali *Penelopę* na głębszą wodę.

Królowa Itaki wstała, strzepnęła kamyki z sukni z żółtego lnu i zeszła na plażę, pożegnać się ze swoim królem. Stał ze swym zastępcą, Czarnym Biasem, ciemnoskórym i siwowłosym, synem Nubijki i ziemianina z Itaki. Obok niego stał muskularny i jasnowłosy żeglarz imieniem Leukon, który zdobywał coraz większą sławę jako pięściarz. Leukon i Bias skłonili się, gdy podeszła, a potem oddalili. Penelopa westchnęła.

– I znów tu jesteśmy, ukochany, jak zawsze się żegnając.

– Jesteśmy jak pory roku – odparł. – Niezmienni w naszych działaniach.

Wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń.

– Jednak tym razem jest inaczej, mój królu. Ty też to wiesz. Obawiam się, że będziesz musiał dokonywać trudnych wyborów. Nie podejmuj pochopnych decyzji, których później miałbyś żałować i nie mógł zmienić. Nie prowadź tych ludzi na wojnę, Odyszeuszu.

– Nie pragnę wojny, ukochana.

Uśmiechnął się i wiedziała, że mówi prawdę, lecz dręczyły ją złe przeczucia. Przy całej swej sile, odwadze i mądrości mężczyzna, którego kochała, miał jedną wielką słabość. Był niczym stary rumak bojowy, sprytny i ostrożny, który smagnięty batem skoczy w ogień. Dla Odysusza tym batem była duma.

Ucałował jej dłonie, po czym odwrócił się i przeszedł po plaży w fale. Woda sięgnęła mu do piersi, zanim chwycił linę i wciągnął się na pokład. Wioślarze natychmiast złapali rytm i stary statek zaczął sunąć po falach. Zobaczyła, jak mąż macha do niej ręką, stojąc na tle wschodzącego słońca.

Nie powiedziała mu o mewach. Tylko by się skrzywił. Mewy to głupie ptaki,

stwierdziłby, nie ma dla nich miejsca w przepowiedniach.

Lecz jej śniło się ogromne stado mew, które niczym nadciągający sztorm przesłoniły słońce, zmieniając jasny dzień w noc.

Ten sztorm niósł śmierć i kres wielu światów.

Młody wojownik Kalliades siedział u wylotu jaskini, otulony czarnym płaszczem, z ciężkim mieczem w dłoni. Spoglądał na skaliste zbocze i pola w dolinie. W zasięgu wzroku nie było nikogo. Obejrzawszy się, w mroku jaskini dostrzegł ranną kobietę leżącą na boku, z kolanami podciągniętymi do piersi, okrytą czerwonym płaszczem Banoklesa. Chyba spała.

Jasny blask księżyca przedarł się przez dziurę w chmurach i Kalliades ujrzał ją wyraźniej.

Miała długie jasne włosy, bladą, posiniaczoną i spuchniętą twarz, umazaną zaschniętą krwią.

Nocny wiatr był chłodny i Kalliades zadrzał. Z położonej wysoko jaskini widział odległe morze i migoczące gwiazdy odbijające się w wodzie. Tak daleko od domu, pomyślał.

Jaskrawoczerwona blizna na prawym policzku swędziała, więc odruchowo ją podrapał.

Ostatnia z wielu ran. W nocnej ciszy wspominał bitwy i utarczki, podczas których jego ciało kaleczyły ostrza mieczy i sztyletów. Przebijały je strzały i oszczepy. Ogłuszały go miotane z proc kamienie. Po uderzeniu pałąk lewe ramię wciąż go bolało z nadejściem zimowych deszczów.

W wieku dwudziestu pięciu lat był weteranem dziesięcioletniej kampanii i nosił blizny będące tego dowodem.

– Zamierzam rozpalić ognisko – rzekł jego potężnie zbudowany towarzysz, wychodząc z cienia.

W świetle księżyca jasne włosy i broda Banoklesa lśniły jak srebro. Napierśnik miał zbryzgany krwią i ciemne plamy znaczyły miejsca, gdzie krążki z jasnego brązu przykleiły się do grubego skórzanego kaftana.

Kalliades odwrócił się do niego.

– Zobaczą ogień – rzekł spokojnie. – Przyjdą po nas.

– I tak po nas przyjdą. Równie dobrze może to nastąpić teraz, kiedy wciąż jestem żyły.

– Nie masz powodu się na nich złościć – przypomniał ze znużeniem Kalliades.

– Nie na nich. Na ciebie. Ta kobieta jest dla nas nikim.

– Wiem.

– I nie uratowaliśmy jej na długo. Z tej wyspy nie ma ucieczki. Jutro w południe pewnie będziemy martwi.

– O tym też wiem.

Banokles przez chwilę się nie odzywał. Podszedł do Kalliadesa i spojrzął w noc.

– Myślałem, że chcesz rozpaścić ogień – rzekł Kalliades.

– Nie mam do tego cierpliwości – mruknął Banokles, drapiąc się po gęstej brodzie. – Zawsze w końcu kaleczę sobie palce o krzemień. – Zadrżał. – Zimno jak na tę porę roku – dodał.

– Nie byłoby ci tak zimno, gdybyś nie okrył swoim płaszczem tej kobiety, która jest dla nas nikim. Idź i nazbieraj chrustu. Ja rozpalę ogień.

Kalliades poszedł w głąb jaskini, z sakwy przy pasie wyjął trochę suchej kory i pokruszył.

Potem zręcznie zaczął uderzać krzemieniem o krzemień, krzesząc fontanny iskier na korę.

Trwało to trochę, lecz w końcu pojawiła się smużka dymu. Kalliades wyciągnął się na brzuchu i zaczął delikatnie dmuchać. Błysnął płomień. Banokles wrócił i rzucił na ziemię naręcze patyków i gałęzi.

– Widziałeś kogoś? – zapytał Kalliades.

– Nie. Spodziewam się, że ruszą po wschodzie słońca.

Obaj przez chwilę siedzieli w milczeniu, radując się ciepłem ogniska.

– No cóż – rzekł w końcu Banokles. – Powiesz mi, dlaczego zabiliśmy czterech naszych towarzyszy?

– To nie byli nasi towarzysze. Tylko z nimi płynęliśmy.

– Wiesz, co mam na myśli.

– Zamierzali ją zabić, Banoklesie.

– To także wiem. Byłem przy tym. Co to miało z nami wspólnego?

Kalliades nie odpowiedział, tylko ponownie zerknął na śpiącą kobietę.

Zobaczył ją po raz pierwszy zaledwie wczoraj, płynęła małą łódką. Jej jasne włosy, związane z tyłu, lśniły w słońcu. Miała na sobie białą tunikę do kolan, ściągniętą pasem haftowanym złotą nicią. Słońce stało nisko na niebie i łagodny wietrzyk pchał łódkę ku wyspom. Gdy dwa pirackie statki zbliżały się do niej, wydawała się nieświadoma niebezpieczeństwa. Pierwszy z nich przeciął jej kurs. Za późno próbowała uniknąć schwytania, szarpiąc szot, usiłując zmienić kurs i dotrzeć na plażę. Kalliades obserwował ją z pokładu drugiego statku. Nie wpadła w panikę.

Jednak mała łódka nie mogła uciec przed galerą obsadzoną przez wprawnych wiosłarzy.

Pierwszy statek ją dogonił, rzucono liny abordażowe i haki z brązu wbiły się w deski łódki. Kilku piratów zeskoczyło na jej pokład. Kobieta próbowała stawiać opór, ale ogłuszyli ją, zasypując gradem ciosów.

– Zapewne uciekiniarka – zauważył Banokles, gdy razem patrzyli, jak półprzytomną kobietę wrzucono na pokład pierwszego statku.

Z miejsca, gdzie stali na pokładzie drugiej galery, widzieli, co działo się dalej. Załoga otoczyła kobietę, zdarła z niej białą tunikę i drogi pas.

Kalliades z obrzydzeniem odwrócił wzrok.

Na noc oba statki przybiły do wyspy Smoczego Łba leżącej na szlaku do Chios. Kapitan drugiego statku, krępy Kreteńczyk z wygoloną głową, powłókł kobietę po plaży w kępę drzew.

Wydawała się bezwolna, złamana. Udawała. Kiedy kapitan ją gwałcił, zdołała jakoś wyrwać mu sztylet zza pasa i przeciągnąć ostrzem po gardle. Nikt tego nie zauważył i minęło trochę czasu, zanim znaleziono jego ciało.

Rozwścieczona załoga ruszyła na poszukiwania. Kalliades i Banokles odeszli na bok z dzbanem wina. Znaleźli gaj oliwny i usiedli tam, spokojnie popijając.

– Arelos nie był uszczęśliwiony – zauważył Banokles.

Kalliades nic nie powiedział. Arelos był kapitanem pierwszego statku i krewniakiem mężczyzny zabitego przez uciekinierkę. Miał reputację dzikusa i groźnego szermierza, którego obawiano się na południowym wybrzeżu. Gdyby miał wybór, Kalliades nigdy nie popłynąłby razem z nim, ale on i Banokles byli ścigani. Pozostanie w Mykenach oznaczałoby tortury i śmierć. Statki Arelosa stanowiły dla nich okazję do ucieczki.

– Jesteś dziś bardzo milczący. Co cię niepokoi? – spytał Banokles, gdy siedzieli w zaciszu oliwnego gaju.

– Musimy opuścić ten statek – rzekł Kalliades. – Poza Sekundosem i może kilkoma innymi cała załoga to szumowiny. Przebywanie w ich towarzystwie to dla mnie zniewaga.

– Chcesz zaczekać, aż odpłyniemy dalej na wschód?

– Nie. Odejdziemy jutro. Przyplyną tu inne statki. Znajdziemy kapitana, który nas zabierze.

Dopłyniemy do Likii. Tam jest mnóstwo zajęć dla najemników: ochrona karawan handlowych przed bandytami, eskortowanie bogatych kupców.

– Chciałbym być bogaty – rzekł Banokles. – Mógłbym kupić niewolnicę.

– Gdybyś był dostatecznie bogaty, mógłbyś kupić sobie setkę niewolnic.

– Nie wiem, czy poradziłbym sobie z setką. Może z pięcioma. – Zachichotał. – Tak, pięć by mi wystarczyło. Pięć pulchnych, ciemnowłosych dziewczyn. Z wielkimi oczami. – Banokles pociągnął kolejny łyk wina i beknął. – Ach, czuję, jak duch Dionizosa wsącza się w moje kości. Chciałbym, żeby była tu teraz jedna z tych pulchnych dziewczyn.

Kalliades się zaśmiał.

– Twoje myśli zawsze krążą wokół trunków lub obłapiania. Nic innego cię nie interesuje?

– Jedzenie. Dobry posiłek, dzban wina, a potem piszcząca pode mną pulchna kobietka.

– Przy twojej wadze nic dziwnego, że piszczy.

Banokles znowu się roześmiał.

– Nie dlatego piszczą. Kobiety mnie uwielbiają, ponieważ jestem urodziwy, silny i wytrzymały jak koń.

– Zapomniałeś wspomnieć, że zawsze im płacisz.

– Oczywiście, że im płacę. Tak samo jak płacę za wino i jadło. Czego to dowodzi?

– Najwidoczniej niczego.

Około północy, gdy szykowali się do snu, usłyszeli krzyki. W następnej chwili do gaju wpadła kobieta ścigana przez pięciu marynarzy. Osłabiona już przejściami minionego dnia, potknęła się i upadła tuż przy siedzącym Kalliadesie. Jej biała tunika była podarta, brudna i poplamiona krwią. Żeglarz imieniem Baros podbiegł do niej, trzymając w dłoni nóż o wygiętym ostrzu. Był wysoki i chudy, o blisko osadzonych ciemnych oczach. Lubił, jak nazywano go Baros Zabójca.

– Wypatroszę cię jak rybę – warknął.

Kobieta spojrzała na Kalliadesa. W świetle księżyca na jej bladej twarzy ujrzał zmęczenie, rozpacz i strach. Widział już kiedyś taki wyraz twarzy i to wspomnienie dręczyło go od dziecka.

Teraz nagle powróciło i znów ujrzał płomienie, usłyszał żalosne krzyki.

Zerwał się na równe nogi, stając między napastnikiem a ofiarą.

– Schowaj nóż – rozkazał.

Zaskoczył żeglarza.

– Ona ma umrzeć – powiedział marynarz. – Tak rozkazał Arelos. – Zrobił krok w kierunku Kalliadesa. – Nie próbuj stawać między mną a moją zdobyczą. Zabijałem ludzi w każdej krainie wokół Wielkiej Zieleni. Chcesz, żeby twoja krew wypłynęła z żył, a flaki rozsypały się na trawę?

Krótki miecz Kalliadesa z sykiem wyskoczył z pochwy.

– Nikt nie musi umierać – rzekł Mykeńczyk – Nie pozwolę jednak dalej dręczyć tej kobiety.

Baros pokręcił głową.

– Mówiłem Arelosowi, że powinien poderżnąć wam gardła i zabrać wasze zbroje. Nie można ufać Mykeńczykom. – Wepchnął nóż do pochwy i cofnął się, wyciągając miecz. – Teraz dam ci lekcję. Stoczyłem więcej walk niż ktokolwiek z załogi.

– Załoga nie jest liczna – przypomniał Kalliades.

Baros rzucił się na niego z zaskakującą szybkością. Kalliades odparował pchnięcie, doskoczył i uderzył go łokciem w twarz. Baros upadł na ziemię.

– Zabić go! – wrzasnął.

Czterej pozostali runęli do ataku. Kalliades zabił pierwszego, a pijany Banokles rzucił się na pozostałych. Baros znów skoczył, lecz tym razem Kalliades był przygotowany. Zablockował pchnięcie, wygiął rękę w przegubie i błyskawiczną ripostą rozplatał gardło Barosowi. Banokles zabił już jednego przeciwnika i zmagał się z drugim. Kalliades przyszedł mu z pomocą w chwili, gdy piąty marynarz ciął mieczem, mierząc w twarz Banoklesa. Ten zauważył spadający cios i zasłonił się ciałem przeciwnika. Ostrze wbiło się w kark marynarza.

Gdy Kalliades do nich dobiegł, pozostały przy życiu marynarz odwrócił się i uciekł, znikając w ciemności.

Teraz siedząc w jaskini przy trzaskającym ogniu, Kalliades zerknął na Banoklesa.

– Przykro mi, że cię w to wciągnąłem, przyjacielu. Nie zasłużyłeś na to.

Banokles nabrał tchu, a potem powoli wypuścił powietrze.

– Dziwny z ciebie człowiek, Kalliadesie – rzekł, kręcąc głową. – Jednak przy tobie życie nigdy nie jest nudne. – Ziewnął. – Jeśli mam jutro zabić sześćdziesięciu ludzi, to powinienem teraz odpocząć.

– Nie przyjdą tu wszyscy. Niektórzy zostaną na statkach. Inni pójdą na dziwki. Zapewne nie pojawi się ich więcej niż dziesięciu lub dwunastu.

– Och, od razu się uspokoiłem. – Rozwiązawszy taśmy napierśnika, Banokles zdjął go i upuścił na ziemię. – Nigdy nie umiałem się wyspać w zbroi – mruknął i wyciągnął się przy ognisku. Po chwili zasnął.

Kalliades dorzucił dREW do ognia, a potem wrócił do wylotu jaskini. Wiał chłodny wiatr, a niebo było teraz jasne od gwiazd. Banokles miał rację. Z wyspy nie było ucieczki, a jutro zapoluje na nich cała piracka załoga. Przez jakiś czas siedział zatopiony w myślach, aż

nagle usłyszał szmer za plecami. Błyskawicznie się podniósł i odwrócił, by zobaczyć nacierającą na niego zakrwawioną kobietę z kamieniem w ręku. Jej jasne oczy płonęły nienawiścią.

– Nie będzie ci potrzebny – rzekł, cofając się. – Nic ci dzisiaj nie grozi.

– Kłamiesz! – rzuciła chrapliwie, trzęsąc się z gniewu.

Kalliades wyjął sztylet i zobaczył napięcie na twarzy kobiety. Nie dbałym ruchem rzucił broń na ziemię, pod jej nogi.

– Nie kłamię. Weź sztylet. Jutro będzie ci potrzebny, bo po nas przyjdą.

Kobieta przykucnęła i próbowała podnieść rzucone ostrze. Jednak straciła równowagę i prawie upadła. Kalliades nie ruszył się z miejsca.

– Musisz odpocząć – powiedział.

– Teraz sobie przypominam – powiedziała. – Ty i twój przyjaciel walczyliście z tymi, którzy mnie atakowali. Dlaczego?

– Och, wielki Zeusie, pozwól mu odpowiedzieć na to pytanie – mruknął sennie Banokles ze swego miejsca przy ognisku.

Chwyciwszy sztylet, kobieta próbowała odwrócić się w jego stronę, ale znów straciła równowagę.

– Po ciosach w głowę tak bywa – pocieszył ją Banokles, wstając i podchodząc do nich. – Powinnaś usiąść.

Uważnie przyglądała się Kalliadesowi.

– Widziałam cię z mojej łodzi – powiedziała. – Byłeś na tym drugim statku. Widziałeś, jak przecięli mój kurs i rzucili haki abordażowe. Patrzyłeś, jak wciągali mnie na pokład.

– Tak. Żeglowaliśmy z nimi.

– Jesteście piratami.

– Skoro tak mówisz – rzekł zgodliwie Kalliades.

– Jutro mieli mnie oddać na twój statek. Mówili mi to, kiedy mnie gwałcili.

– To nie jest mój statek. Nikomu nie kazałem cię napadać. Ani ja, ani mój towarzysz nie braliśmy w tym udziału. Nikt nie może winić cię za twój gniew, ale nie kieruj go przeciw tym, którzy cię ocalili.

– A teraz miejmy nadzieję, że ktoś ocali nas – dorzucił Banokles.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała kobieta.

– Jesteśmy na małej wyspie – odparł Banokles. – Nie mamy złota ani statku. Jutro zaczną nas szukać rozgniewani piraci. No cóż, Kalliades i ja jesteśmy wielkimi wojownikami.

Nie ma lepszych od nas. Przynajmniej nie teraz, kiedy Argurios nie żyje. We dwóch zapewne dalibyśmy sobie radę z siedmioma lub ośmioma przeciwnikami. Obie pirackie załogi jednak liczą razem około osiemdziesięciu ludzi. I nie ma wśród nich ani jednego tchórzliwego mięczaka.

– Nie macie żadnego planu ucieczki?

– Och, ja nie układam planów, kobieto. Piję, łajdaczę się i walczę. To Kalliades planuje.

– Zatem obaj jesteście głupcami – powiedziała. – Sprowadziliście na siebie zgubę.

– Tam, skąd pochodzę, niewolnice okazują więcej szacunku – rzekł lekko rozgniewany Banokles.

– Nie jestem niczyją niewolnicą!

– Czy uderzenia w głowę odebrały ci rozum? Twoja łódź została przejęta na morzu. Nie miała pororca ani eskorty. Zostałaś pojmana i teraz jesteś własnością piratów. Tak więc jesteś niewolnicą, wedle praw boskich i ludzkich.

– Zatem szczam na prawa boskie i ludzkie!

– Uspokójcie się, oboje! – rozkazał Kalliades. – Dokąd żeglowałaś? – zapytał.

– Płynęłam na Kos.

– Masz tam rodzinę?

– Nie. W łódce miałam trochę kosztowności, drogich kamieni i złotych ozdób. Miałam nadzieję kupić za nie miejsce na statku do Troi. Piraci zabrali wszystko. I nie tylko.

Potała twarz, usiłując zdrapać zaschniętą krew.

– Tam jest strumień. – Wskazał Kalliades. – Możesz się w nim obmyć.

Kobieta zawahała się.

– Zatem nie jestem waszym więźniem? – spytała w końcu.

– Nie. Jesteś wolna i możesz robić, co chcesz.

Uważnie przyjrzała się Kalliadesowi, a potem Banoklesowi.

– I nie pomogliście mi, żeby uczynić mnie swoją niewolnicą albo sprzedać innym?

– Nie – odparł Kalliades.

Trochę się uspokoiła, ale wciąż ścisnęła w dłoni sztylet.

– Jeśli mówicie prawdę, to powinnam... podziękować wam obu – rzekła, z trudem znajdując słowa.

– Och, mnie nie musisz dziękować – rzucił Banokles. – Ja zostawiłbym cię na śmierć.

II. MIECZ ARGURIOSA

Kalliades zdrzemnął się trochę u wylotu jaskini, z głową opartą o skałę. Banokles głośno chrapał i czasem mamrotał coś przez sen.

Przed świtem Kalliades opuścił jaskinię i poszedł nad strumień. Uklękawszy na brzegu, umył twarz, a potem mokrymi palcami przygładził krótkie czarne włosy.

Zobaczył, jak kobieta wychodzi z jaskini. Ona też zeszła nad wodę. Wysoka i szczupła, szła z podniesioną głową, zwinna jak kreteńska tancerka. Kalliades wiedział, że nie jest zbiegłą niewolnicą. Niewolnik uczy się chodzić ze spuszczoną głową, pokornie. Nie odezwał się, tylko patrzył, jak zmywała zaschniętą krew z twarzy i ramion. Twarz wciąż miała spuchniętą i sińce pod oczami. Pomyślał, że nawet bez nich nie byłaby ładna. Rysy twarzy miała wyraziste i kanciaste, brwi gęste, nos zbyt wydatny. To była poważna twarz i domyślał się, że rzadko gościł na niej uśmiech, nawet w lepszych chwilach.

Umyła się i wyjęła sztylet. Przez moment Kalliades myślał, że poderżnie sobie gardło. Ale ona chwyciła kosmyk jasnych włosów i obcięła sztyletem. Wojownik siedział w milczeniu, patrząc, jak kobieta obcina sobie włosy i rzuca je na kamienie. Był zaskoczony. Jej twarz była nieruchoma, nie zdradzała gniewu. Kiedy skończyła, pochyliła się i przesunęła palcami po głowie, strząsając obcięte kosmyki. W końcu odeszła od strumienia i usiadła niedaleko Kalliadesa.

– Niemądrze postąpiliście, przychodząc mi z pomocą – powiedziała.

– Nie jestem mądrym człowiekiem.

Niebo zaczęło jaśnieć i z miejsca, gdzie siedzieli, widzieli pola z tysiącami niebieskich kwiatów. Kobieta popatrzyła na nie i Kalliades spostrzegł, że jej twarz przybrała łagodniejszy wyraz.

– Jakby niebo zabarwiło ziemię – rzekła cicho. – Kto by pomyślał, że takie piękne rośliny mogą rosnąć na tak jałowej ziemi? Wiesz, co to za roślina?

– Len – powiedział. – Materiał twojej tuniki jest zrobiony z takich roślin.

– Jak się robi z nich ubrania? – zapytała. Kalliades spojrział na połacie Inu, wspominając dzieciństwo, gdy razem z młodszymi siostrami pracował na polach króla Nestora, wyrywając rośliny z korzeniami, usuwając nasiona wykorzystywane do robienia olejku eterycznego albo uszczelniania desek, umieszczając łądygi w wodzie wartkiego strumienia, żeby zgniły. – Wiesz? – nalegała.

– Tak, wiem.

I opowiedział jej o ciężkiej pracy dzieci i kobiet zbierających len, przygotowujących łądygi, które po wymoczeniu i wysuszeniu były bite drewnianymi młotkami. Potem dzieci siedziały w prażącym słońcu, skrobiąc je i usuwając resztki zdrewniałych części. Później zaczynało się wyczyszczenie odsłoniętych włókien coraz cieńszymi grzebieniami. Opowiadając jej o tym, Kalliades podziwiał odporność kobiet. Mimo wszystkiego, przez co przeszła i co prawdopodobnie ją czekało, zdawała się zafascynowana tą starodawną sztuką. Potem spojrział w jasne oczy kobiety i zrozumiał, że jej zainteresowanie było tylko powierzchowne. Pod nim kryły się napięcie i strach. Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Później popatrzył na nią i napotkał jej spojrzenie.

– Będziemy walczyć na śmierć i życie w twojej obronie. Masz na to moje słowo.

Kobieta nie odpowiedziała i Kalliades wiedział, że mu nie uwierzyła. Dlaczego miałyby wierzyć?

Kiedy mówił te słowa, z jaskini wyszedł Banokles. Stał pod pobliskim drzewem i zadarł tunikę. Potem zaczął sikać z niezwykłym zapałem, cofnąwszy się o krok i kierując strumień moczu jak najwyżej na pień.

– Co on robi? – spytała kobieta.

– Jest bardzo dumny z tego, że żaden znany mu człowiek nie potrafi sikać wyżej od niego.

– A dlaczego ktoś miałby tego chcieć?

Kalliades się zaśmiał.

– Najwyraźniej rzadko przebywałaś w towarzystwie mężczyzn. – Przeklął się w duchu, gdy się zjeżyła. – Głupia uwaga – dodał pośpiesznie. – Przepraszam.

– Nie trzeba – odparła z wymuszonym uśmiechem. – Nie załamie mnie to, co się stało. Nie pierwszy raz zostałam zgwałcona. I powiem ci coś. Gwałt zadany przez obcych mniej boli niż zadany przez kogoś, kogo się kochało i darzyło zaufaniem.

Nabrała tchu i znów przeniosła spojrzenie na pola niebieskich kwiatów.

– Jak masz na imię?

– Kiedy byłam dzieckiem, wołali na mnie Piria. Tego imienia będę dziś używać.

Banokles podszedł do nich i z rozmachem usiadł obok Kalliadesa. Spojrział na kobietę.

– Okropna fryzura – rzekł. – Miałaś wszy? – Piria zignorowała go i odwróciła głowę.

Banokles znów skupił uwagę na Kalliadesie.

– Jestem tak głodny, że mógłbym ogryzać korę z drzew. Co ty na to, żebyśmy zeszli do osady, zabili każdego krowiego syna, który stanie nam na drodze, i znaleźli coś do

jedzenia?

– Teraz widzę, dlaczego to nie ty układasz plany – powiedziała Piria.

Banokles obrzucił ją groźnym spojrzeniem.

– Z takim jęzorem nigdy nie znajdziesz męża.

– Niech te słowa dotrą do uszu Złotej Bogini – odparła kwaśno. – Niech Hera sprawi, by się ziściły!

Kalliades odszedł od nich i stanął przy karłowatym drzewku. Z tego miejsca widział odległą osadę za polami lnu. Ludzie już się krzątali, przygotowując się do pracy na polach. Jeszcze nie było widać piratów. Za plecami słyszał, jak Banokles i kobieta wymieniają złośliwości.

Doszedł do wniosku, że wszystko, co złe, zaczęło się w Troi. Przed tamtą nieszczęsną wyprawą był uważany za dobrego wojownika i przyszłego dowódcę. I był dumny z tego, że wybrano go na tę wyprawę. Wybierano tylko najlepszych.

Najazd powinien zakończyć się ogromnym sukcesem i przynieść wszystkim bogate łupy.

Hektor, wielki trojański wojownik, został zabity w bitwie i zbuntowane oddziały trojańskie miały zaatakować pałac, zabijając króla Priama i jego synów. Mykeńscy wojownicy mieli wejść tam za nimi i wykończyć pozostałych przy życiu żołnierzy wiernych królowi. Nowy władca, zaprzysięgły sojusznik króla Agamemnona, nagrodziłby ich po królewsku.

Doskonały plan. Gdyby nie trzy istotne czynniki.

Po pierwsze, dowódcą wyznaczonym przez Agamemnona do przeprowadzenia wypadu był tchórz imieniem Kolanos, okrutny i złośliwy człowiek, który kłamstwami i oszustwem doprowadził do upadku legendarnego mykeńskiego herosa. Po drugie, ten heros – wielki Argurios – przebywał w chwili napaści w pałacu Priama i walczył do śmierci, broniąc schodów na piętro. Po trzecie, Hektor nie poległ i wrócił ze swoimi oddziałami, żeby zaatakować mykeńskie tyły. Wszelkie nadzieje na zwycięstwo i bogactwo się rozwiały. Pozostała tylko perspektywa pewnej klęski i śmierci.

Tchórzliwy Kolanos próbował pertraktować z królem Priamem, proponując wyjawienie wszystkich mykeńskich planów w zamian za swoje życie. Dziwne, lecz Priam odrzucił tę propozycję. Chcąc uhonorować Arguriosa, który poległ w jego obronie, Priam puścił wolno pozostałych przy życiu Mykeńczyków, pozwalając im wrócić na statki razem z Kolanosem.

W zamian poprosił tylko o jedno: chciał usłyszeć krzyki Kolanosa, gdy będą

odpływać.

I usłyszał. Rozwścieczeni Mykeńczycy posiekali go na kawałki, zanim galery wypłynęły z zatoki na pełne morze.

Powrotna podróż minęła bez żadnych zakłóceń i wojownicy, chociaż przygnębieni klęską, cieszyli się, że uszli z życiem. W Mykenach powitano ich niechętnie, gdyż nie zdołali dokonać tego, po co ich wysłano. Potem miało być jeszcze gorzej.

Kalliades wzdrygnął się na wspomnienie tego, jak trzech królewscy żołnierze wpadli do jego domu i rzucili się na niego, wykręcając mu ręce. Jeden odchylił mu głowę do tyłu, a wtedy Kleitos, doradca Agamemnona i krewniak zabitego Kolanosa, podszedł do niego, trzymając w ręku sztylet o wąskim ostrzu.

– Myślałeś, że unikniesz królewskiego sądu? – powiedział. – Myślałeś, że ujdzie ci na sucho zamordowanie mojego brata?

– Kolanos był zdrajcą, który próbował sprzedać nas wszystkich. Był taki sam jak ty. Dzielny, gdy otaczali go jego żołnierze, i tchórzliwy w obliczu walki i śmierci. No już, zabij mnie. Wszystko będzie lepsze od wachania twojego smrodliwego oddechu.

Kleitos się roześmiał i zimny dreszcz przebiegł po plecach Kalliadesa.

– Zabić cię? Nie, Kalliadesie. Król Agamemnon kazał cię ukarać, nie zabić. Nie dla ciebie śmierć wojownika. Nie. Mam wylupić ci oczy, a potem poobcinać palce. Zostawię kciuki, żebyś mógł zbierać resztki spod stołów lepszych od ciebie.

Nawet teraz to wspomnienie wystarczyło, żeby Kalliadesa zemdliło ze strachu.

Cienkie ostrze powoli się uniosło, mierząc w jego lewe oko.

Wtedy rozległ się trzask rozbijanych drzwi i do komnaty wpadł Banokles. Ogromną pięścią rąbnął w twarz Kleitosa, zwalając go z nóg. Kalliades wyrwał się z rąk zaskoczonych żołnierzy.

Walka była brutalna i krótka. Banokles skrzył kark jednemu żołnierzowi. Kalliades uderzył drugiego, odrzucając go o krok, co pozwoliło mu wydobyć sztylet i przeciągnąć nim po gardle przeciwnika.

Potem Kalliades i Banokles wybiegli z domu na pobliskie pastwisko, ukradli dwa konie i uciekli z osady.

Agamemnon nazwał to później Nocą Lwiej Sprawiedliwości. Tej nocy zamordowano czterdziestu wojowników, którzy przeżyli najazd na Troję, innym ucięto prawe ręce. Kalliadesa i Banoklesa ogłoszono banitami oraz wyznaczono nagrodę w złocie dla każdego, kto ich schwyta lub zabije.

Kalliades uśmiechnął się smutno. A teraz, wymknąwszy się płatnym zabójcom,

doskonale wyszkolonym żołnierzom i zuchwałym wojownikom znęconym nagrodą, siedzieli tutaj, czekając, aż zabije ich zgraja szumowin.

Piria siedziała przy olbrzymim wojowniku, pozornie spokojna, lecz z mocno bijącym sercem. Miała wrażenie, że w jej piersi jest uwięziony przestraszony wróbel, rozpaczliwie trzepoczący skrzydłami, szukający drogi ucieczki. Wiedziała, co to strach, ale zawsze potrafiła go opanować, wpadając w gniew. Nie teraz.

Poprzedni dzień był straszny, ale kierował nią właśnie gniew, a potem rozpacz, kiedy dopadli ją piraci. Silne ciosy i przeszywający ból sprawiły, że zapomniała o lęku. Piria zaprzestała oporu i znosiła cierpienia, czekając na odpowiedni moment. Kiedy przyszedł, poczuła głęboką satysfakcję, widząc, jak krew tryska z rozciętej tętnicy pirata, i jego szeroko otwarte ze zdumienia oczy. Próbował się szarpać, ale przycisnęła go do siebie, czując bicie jego serca przy swojej piersi.

Biło coraz wolniej, aż przestało. W końcu zepchnęła go z siebie i znikła w ciemnościach.

Dopiero wtedy poczuła prawdziwy strach. Zagubiona i sama na nagiej wysepce, szybko traciła odwagę. Wbiegła na skaliste zbocze i skuliła się za sterczącym z ziemi głazem. W pewnej chwili uświadomiła sobie, że szlocha, chociaż nie wiedziała, kiedy zaczęła płakać. Drżąc, położyła się na twardej ziemi, z kolanami podciągniętymi do piersi, i zakryła twarz rękami, jakby spodziewając się następnego ataku. Pogrążona w rozpacz, usłyszała gniewne słowa arcykapłanki. „Ty arogancka dziewczyno! Przechwalasz się swoją siłą, chociaż nigdy nie poddano jej próbie. Szydzisz ze słabości wieśniaczek, choć nigdy nie cierpiałas tak jak one.

Jesteś córką króla i żyłaś pod osłoną jego tarczy. Jesteś siostrą wielkiego wojownika, którego miecz ścinał głowy tych, którzy cię obrazili. Jak śmiesz krytykować kobiety z pól, których życie zależy od kaprysu okrutnych mężczyzn?”

– Przepraszam – wyszeptła z twarzą przyciśniętą do skały, chociaż nie takiej odpowiedzi udzieliła arcykapłance, która ją karciła.

Nie pamiętała, co dokładnie jej wtedy powiedziała, lecz było to coś wyzywającego i dumnego. Teraz, gdy leżała ukryta wśród głazów, opuściła ją duma.

W końcu, wyczerpana, zasnęła na chwilę, ale zbudził ją ból zmaltretowanego ciała. W samą porę, gdyż usłyszała kroki w dole zbocza.

Rzuciła się do ucieczki i wreszcie, zupełnie opadłszy z sił, dobiegła do oliwnego gaju.

Myślała, że tam zginie. Zamiast tego ci dwaj mężczyźni ją obronili, a potem zaprowadzili do jaskini wysoko w górach.

Nie zgwałcili jej ani jej nie grozili, a mimo to nie przestała się bać. Zerknęła na tego zwanego Banoklesem. Był muskularny, o grubo ciosanych rysach twarzy i niebieskich oczach, które spoglądały na nią z nieskrywaną żądzą. Nie potrafiłaby się przed nim obronić, mogła się tylko schronić za murem pogardy. Sztylet, który dał jej Kalliades, byłby bezużyteczny przeciwko takiemu olbrzymowi. Wytrąciłby go jej z ręki i powalił na ziemię, jak piraci ze statku.

Przełknęła ślinę, odpychając od siebie okropne wspomnienia, choć nie była w stanie zapomnieć o bólu, sińcach i skaleczeniach od razów oraz zadanego gwałtu.

Ogromny wojownik nie patrzył na nią, lecz na wysokiego i szczupłego towarzysza, który stał nieco dalej przy karłowatym drzewie. Wspomniała jego obietnicę, że będzie jej bronił, i znów wpadła w gniew.

To pirat. Zdradzi cię. Wszyscy mężczyźni to zdrajcy. Żli, chutliwi i bezlitośni.

A jednak obiecał, że ją obroni.

Obietnice mężczyzn są jak szept wartkiego strumienia. Słyszysz je, ale to dźwięki niemające znaczenia. Tak mówiła arcykapłanka.

Olbrzymi wojownik podszedł do strumienia i nachylił się, żeby zaczerpnąć wody i się napić.

Nie poruszał się tak zwinnie jak jego towarzysz, ale Piria trzeźwo pomyślała, że zapewne trudno się schylić w takiej grubej zbroi. Jego napierśnik był zrobiony z mnóstwa brązowych krążków połączonych miedzianym drutem. Banokles przemył twarz wodą, a potem przygładził palcami długie jasne włosy. Dopiero wtedy Piria zobaczyła, że brakuje mu górnej części prawego ucha, a od resztek małżowiny ciągnie się długa biała blizna, aż po okrytą zarostem brodę. Banokles usiadł i pomasaował prawy biceps. Piria zauważyła tam następną bliznę, jasnoczerwoną i sprzed zaledwie kilku miesięcy.

Zauważył, że na niego patrzy, i pochwycił jej spojrzenie. Zaniepokojona, chcąc go zagadać, zapytała:

– Rana od oszczepu?

– Nie. Od miecza. Na wylot – odparł, obracając się i pokazując jej bark. – Myślałem, że zostanę kaleką, ale dobrze się zagoiła.

– To musiał być silny człowiek, skoro tak głęboko wbił miecz.

– Był – odparł z dumą Banokles. – Nikt inny jak sam Argurios. Największy z mykeńskich wojowników. Ostrze przebiłoby mi gardło, gdybym się nie poślizgnął. A tak uwięzło w ramieniu.

– Odwrócił się i pokazał na Kalliadesa. – Oto ono – rzekł, wskazując miecz z brązu u

boku młodzieńca. – Ten sam miecz pozostawił tę długą bliznę na jego twarzy. Kalliaades jest bardzo dumny z tej broni.

– Argurios? Ten, który bronił partyjskiego mostu?

– Ten sam. Wielki człowiek.

– A ty próbowałeś go zabić?

– Oczywiście, że próbowałem go zabić. Był w szeregach nieprzyjaciół. Na bogów, chciałem być znany jako wojownik, który zabił Arguriosa. Jednak nie udało mi się. Kolanos ustrzelił go z łuku. Z łuku! Łuk to broń tchórzy. Na myśl o tym przewraca mi się w żołądku. To dzięki Arguriosowi zwyciężyli. Nie ma co do tego wątpliwości. Poczuliśmy woń klęski, lecz to Mykeńczyk wygrał bitwę.

– Co to była za bitwa?

– O Troję. Mogłem być bogaty. Tyle trojańskiego złota. No cóż. Zawsze jest jeszcze następny raz. – Odchylił się i podrapał po kroczu. – Mój żołądek zaczyna myśleć, że podejrnięto mi gardło. Mam nadzieję, że Kalliaades szybko wymyśli jakiś plan.

– Plan pokonania dwóch pirackich załóg?

– Na pewno coś wymyśli. On dużo myśli. Jest w tym naprawdę dobry. Wydostał nas z mykeńskiej ziemi, chociaż posłali setki ludzi, żeby nas szukali. Przechytrzył wszystkich. Cóż... paru musieliśmy zabić. Jednak udało nam się głównie dzięki pomysłom Kalliaadesa.

– Dlaczego na was polowano? – spytała, niezbyt zainteresowana odpowiedzią, ale chcąc podtrzymać rozmowę do powrotu Kalliaadesa.

– Przede wszystkim dlatego, że pokonano nas w Troi. Król Agamemnon nie lubi pokonanych. A w dodatku zabiliśmy jego dowódcę, Kolanosa. Był bezużytecznym, kozłogębym kawałkiem krowiego łajna. Gdyby mnie kto pytał, zabijając go, wyświadczyliśmy Agamemnonowi przysługę. No cóż, egzekucja Kolanosa, chociaż wtedy wydawała się całkiem dobrym pomysłem – i muszę rzec, że dała nam dużo satysfakcji – nie została dobrze przyjęta w domu. Ich zdaniem wyruszyliśmy na wojnę, przegraliśmy, a potem zabiliśmy naszego dowódcę. Co oczywiście było prawdą. Jakoś przeoczono fakt, że był tchórzliwym, kozłogębym kawałkiem krowiego łajna. Trzy dni po naszym powrocie Agamemnon posłał za nami zabójców.

Wielu porządnych ludzi zginęło tamtej nocy. Mimo to wydostaliśmy się.

– Kalliaades mówił mi, że go uratowałeś.

Kiwnął głową.

– Popełniłem w życiu wiele głupstw.

– Żałujesz tego?

Banokles się roześmiał.

– Siedząc tu na górze i czekając na atak piratów? Och tak, żałuję. Mogłem mieć Eruthrosa za brata w mieczu. Ten człowiek umiał się śmiać i opowiadać zabawne historie. Był dobrym kompanem. Kalliades ostatnio nie jest zbyt wesoły. Jak się nad tym zastanowić, to nigdy nie był.

Pewnie dlatego, że za dużo myśli. To nienormalne myśleć przez cały czas. Lepiej pozostawić to starcom. Oni muszą myśleć. Tylko to im zostało.

– Powiedziałeś, że mogliście zginąć w Troi. Jak uszliście z życiem?

Banokles wzruszył ramionami.

– Sam nie wiem. Naprawdę. Król Troi zaczął coś mówić, ale go nie słuchałem. Rana paliła mnie żywym ogniem i szykowałem się do walki. Potem pod eskortą wyprowadzono nas z megaronu i z powrotem na statki. Miało to coś wspólnego z tym, że Argurios był wielkim bohaterem. Nie mam pojęcia. Spytaj Kalliadesa. Właśnie tu idzie.

Piria z ulgą zobaczyła nadchodzącego młodego wojownika.

– Masz jakiś plan? – zapytał Banokles.

Kalliades ponuro kiwnął głową.

– Wrócimy do osady, zabijemy każdego krowiego syna, który stanie nam na drodze, i znajdziemy coś do jedzenia.

– Sama widzisz – rzekł triumfalnie Banokles. – Mówiłem ci, że on coś wymyśli.

Krótką wędrówką do osady była dla Pirii przerażająca. Strach podpowiadał jej, że Kalliades skłamał i zamierza pogodzić się z Arelosem, wodzem piratów. Po co innego miałby iść do osady?

Chciała uciec i znów skryć się na wzgórzach, ale była zbyt obolała i zmęczona. Zupełnie opadła z sił. Gdyby próbowała uciec, Kalliades lub Banokles dogoniliby ją i obezwładnili.

Pozostało jej tylko wybrać sposób, w jaki umrze. Ścisnęła w dłoni sztylet, który dał jej Kalliades. Przekonała się, jaki jest ostry, kiedy obcinała nim włosy. Z łatwością przetnie jej gardło, gdy piraci znów zechcą ją schwytać.

Zbliżając się do cichej osady, obaj mężczyźni milczeli. Co za miejsce na umieranie, pomyślała. Kilka nędznych budynków wzniesionych wokół studni, a nieco dalej ze dwadzieścia pośpiesznie skleconych szop dla robotników pracujących na polach lnu. Gdy szli uliczką, stary kundel przeciągnął się leniwie, czujnie ich obserwując. Wokół nie było widać żywej duszy.

Kalliades podszedł do studni i przysiadł na niskiej cembrowinie.

– Czuję zapach świeżego chleba – rzekł Banokles, kierując się do jednego z większych budynków.

Piria zaniechała myśli o ucieczce na widok grupki piratów nadchodzących od strony plaży.

Banokles też ich zobaczył i klnąc, wrócił do Kalliadesa. Piraci niepewnie popatrzyli po sobie.

Potem powoli podeszli, ustawiając się w półokrąg przy studni.

– Gdzie jest Arelos? – zapytał Kalliades. Jeden z mężczyzn, przygarbiony i chudy, bez słowa wzruszył ramionami. Trzymał dłoń na rękojeści miecza. Piria zauważyła, że pozostali patrzyli na niego, czekając na rozkaz do ataku. Kalliades ponownie przemówił do niego ostro i wyzywająco.

– No to idź i znajdź go, kozłogęby. Powiedz mu, że Kalliades rzuca mu wyzwanie i czeka na niego tutaj.

Pewność siebie i pogarda w jego głosie zaskoczyły piratów.

– Posieka cię na kawałki – rzekł ostrożnie chudy.

Kalliades zignorował tę uwagę.

– Myślałem, że zamierzasz pójść po świeży chleb – rzekł do Banoklesa.

– Chleb? A co z tymi owcojebcami? – Banokles wskazał na piratów.

– Niech sami sobie szukają chleba. Ach, a przedtem zabij tego kozłogębego sukinsyna, któremu kazałem zawołać Arelosa.

Banokles uśmiechnął się i wyjął miecz.

– Czekaj! Czekaj! – zawołał pirat, cofając się o kilka kroków. – Już idę.

– No pośpiesz się – rozkazał Kalliades. – Jestem zmęczony, głodny i zirytowany.

Mężczyzna pobiegł z powrotem w kierunku plaży. Banokles przecisnął się między piratami i odszedł w poszukiwaniu piekarni.

Piria stała nieruchomo, starając się nie patrzeć na pięciu pozostałych piratów. Jednak nie zdołała się powstrzymać i zauważyła, że się na nią gapią.

– Obcięliście jej włosy? – zapytał jeden z mężczyzn. Był niski, miał okrągłą twarz i płaski nos. – Na bogów, przedtem była pospolita jak kamyk. Teraz jest zwyczajnie brzydka.

– Ja uważam ją za bardzo urodziwą – odparł Kalliades. – A człowiek z twarzą jak świński zad powinien dwa razy pomyśleć, zanim powie coś o brzydocie.

Piraci zachichotali. Nawet obrażony się uśmiechnął.

– Cóż, brzydka czy nie, nie miałem jej wczoraj – rzekł. – Masz coś przeciwko temu, żebym zabawił się trochę, zanim zjawi się Arelos?

– Tak, mam coś przeciwko temu – odparł Kalliades.

– Dlaczego? Ona nie jest twoja.

Kalliades się uśmiechnął.

– Oboje idziemy tą samą drogą. Wiesz, co to prawo drogi? – Tamten pokręcił głową. – To mykeński zwyczaj. Podróźni we wrogiej krainie na czas podróży stają się braćmi miecza. Tak więc atak na nią jest atakiem na mnie. Jesteś równie zręcznym szermierzem jak Baros?

– Nie.

– A któryś z was?

– Baros był wielkim wojownikiem.

Kalliades pokręcił głową.

– Nie, nie był. Nawet przeciętnym.

– Cóż, Arelos jest wielkim szermierzem – powiedział pirat. – Wkrótce się przekonasz.

– Myślisz, że go pokonasz? – zapytał inny.

Ten był starszy od pozostałych i na masywnych ramionach miał blizny po wielu potyczkach.

– I w ten sposób uczynię cię kapitanem, Horakosie – odpowiedział mu Kalliades.

Horakos się zaśmiał.

– Nie mnie. Ja nie lubię wydawać rozkazów. Możesz poprosić Sekundosa. To dobry człowiek i zna morze. Wiesz, że Arelos może nie podjąć wyzwania? Może po prostu każe was rozsiekać.

Kalliades nie odpowiedział. Banokles wrócił, niosąc kilka bochenków.

– Przyniosłem trochę więcej, chłopcy – oznajmił, rozdając chleb. Piraci usiedli na ziemi, Banokles między nimi. – Chcesz mój napierśnik, Kalliadesie?

– Nie.

– Arelos pewnie będzie w zbroi.

– Nie, nie będzie – rzekł Kalliades, wskazując w kierunku plaży.

Pylistą drogą maszerowała grupka około trzydziestu mężczyzn.

Wśród nich potężnie zbudowany Arelos.

Piria obserwowała, jak idą, i mocniej ścisnęła szyję. Arelos był niemal tak ogromny i muskularny jak Banokles. Miał szeroką, pospolitą twarz, ognistorude włosy i głęboko osadzone zielone oczy, w których teraz palił się gniew. Nie miał zbroi, ale nosił pas z mieczem.

Zatrzymał się kilka kroków przed Kalliadesem, który wstał i przemówił.

– Wyzywam cię, Arelosie, na pojedynek o prawo dowodzenia załogą. Jak nakazuje

zwyczaj, możesz walczyć albo przekazać mi dowództwo.

– Zabić go! – zawołał Arelos, wyjmując miecz.

Śmiech Kalliadesa był tak dźwięczny i wesoły, że zaskoczeni piraci się zatrzymali.

– Twój ludźmi przewidzieli, że nie będziesz miał odwagi ze mną walczyć – powiedział Kalliades. – Najwidoczniej znają cię lepiej niż ja. Oczywiście teraz, kiedy stoimy twarzą w twarz, wyczuwam twój strach. Powiedz mi, jak taki owcojebca jak ty został kapitanem piratów?

Mówiąc to, Kalliades niespodziewanie zrobił krok w kierunku Arelosa. Ten pośpiesznie odskoczył.

– Powiedziałem zabić go! – wrzasnął.

– Czekajcie! Niech nikt się nie rusza! – krzyknął Horakos. Wstał z ziemi i spojrzał na Arelosa. – Znasz prawo morza. Nie możesz odrzucić wyzwania. Jeśli to zrobisz, przestaniesz być kapitanem i wybierzemy nowego.

– A zatem – rzekł Arelos, przesywając go wzrokiem – postanowiłeś zwrócić się przeciwko mnie, Horakosie. Kiedy wytnę serce temu Mykeńczykowi, uduszę cię twoimi własnymi wnętrznościami. – Odwrócił się z powrotem do Kalliadesa i uśmiechnął z przymusem. – Mam nadzieję, że noc z tą dziwką była tego warta. Ponieważ teraz czeka cię tylko ból. A kiedy z tobą skończę, poobcinam jej ręce i nogi, po kawałku.

– Nic z tego – odparł łagodnie Kalliades. – I w głębi serca dobrze o tym wiesz, Arelosie. Zaraz wyruszysz Ciemną Drogą i na myśl o tym trzęsą ci się kolana.

Arelos z rykiem runął do ataku. Kalliades wyszedł mu na spotkanie.

III. ZDOBYWCA MIAST

Zaledwie przed chwilą Sekundos Kreteńczyk patrzył, jak Arelos opuszcza plażę, a z nim niemal połowa załogi. Nie miał ochoty do nich dołączyć. Widocznie znaleźli zbiegów i szli utoczyć im krwi.

Sekundos usiadł przy popiołach nocnego ogniska, pogrążony w ponurych myślach. Był piratem od wielu lat. Przeżył wszystkich pięciu synów i jednego wnuka. Mimo to, chociaż jego włosy były teraz stalowosiwe i strzykało go w kościach w chłodne zimowe dni, ani trochę nie przestał kochać Wielkiej Zieleni, podmuchu sprzyjających wiatrów owiewających jego pomarszczoną twarz i smaku morskiej soli na wargach.

Już się nie oszukiwał, jak niektórzy młodszy od niego, że piractwo to szlachetne zajęcie dla bohaterów. To był po prostu sposób, by zarobić na pożywienie i ubrania dla rodziny, a także odłożyć trochę dla potomków.

Sekundos kiedyś dowodził trzema własnymi statkami, lecz w złą pogodę stracił dwa, a trzeci został zatopiony zeszłego lata przez tego szaleńca Helikaona – niechaj spadnie na niego klątwa bogów! Ostatni z synów Sekundososa dowodził tym okrętem i teraz jego kości butwiały na dnie Wielkiej Zieleni. Nikt nie powinien przeżyć swoich dzieci, nawet Sekundos.

Mając dobrze ponad sześćdziesiątkę, Sekundos dołączył do załogi tego godnego pogardy Arelosa. Jemu sprzyjało szczęście, dzięki czemu dowodził dwoma statkami, ale zdaniem Sekundososa był kompletnym idiotą. To prawda, że dobrze machał mieczem, ale lubił mordy i rzezie, które wcale się nie opłacają. Pojmanych mężczyzn lub kobiety można sprzedać na targach niewolników na Krecie lub w miastach wschodniego wybrzeża. Martwi nie przynoszą zysku.

Arelos zebrał wokół siebie zbyt wielu ludzi myślących tak jak on, co nieuchronnie prowadziło do takich incydentów jak ten wczorajszy, kiedy schwytali tę młodą kobietę, za którą dostaliby na Krecie co najmniej sześćdziesiąt srebrnych pierścieni. Najpierw rzucili się na nią jak dzikie zwierzęta, a teraz zamierzali ją zabić.

Sekundos nienawidził takiej głupoty.

Ucieszył się, gdy ci dwaj Mykeńczycy dołączyli do załogi. Kalliades był milczący, ale niegłupi, a towarzyszący mu drażal był silny i – jak odgadł Sekundos – lojalny. Teraz tych dwóch też kazano zabić.

Trzydzieści lat wcześniej Sekundos zaczekałby na odpowiedni moment i wyzwał

Arelosa na pojedynek o prawo dowodzenia statkami. Teraz tylko przyjmował jego rozkazy, mając nadzieję, że szczęście nadal będzie im sprzyjać i na zimę wrócą do domu obładowani łupem. Tyle że bardzo w to wątpił. Polowania na niewolników zawsze były zyskownym przedsięwzięciem, chociaż nie mogły się równać z bogactwem zdobytym przez plądrowanie statków przewożących złote ozdoby lub sztabki srebra. Ile takich łupów mógł zagarnąć w ciągu sezonu Arelas?

Większość statków płynęła z wysokich wschodnich brzegów, zazwyczaj pod eskortą wojennej galery. A był jeszcze Helikaon Podpalacz. Sekundos zdrzął na samą myśl o nim.

W zeszłym roku Helikaon przejął piracki statek i spalił go razem z załogą, przywiązaną linami do relingu. Tylko taki idiota jak Arelas mógł ośmielić się żeglować po dardańskich wodach, strzeżonych przez straszliwy okręt Helikaona, *Ksantos*.

Sekundos machinalnie rozgarnął patykiem popiół, szukając żarzących się węgli, by rozpalic ogień. Gdy w końcu ognisko znów zapłonęło, usiadł przy nim, wciąż czując w kościach chłód minionej nocy.

Kilku starszych członków załogi przysiadło się do niego.

– To będzie przyjemny dzionek – rzekł Molon, krępy mężczyzna w średnim wieku. Podał Sekundosowi zeschniętą kromkę razowego chleba. – Pewnie już znaleźli tych dwóch Mykeńczyków. Mam nadzieję, że nie przywloką ich tu, żeby torturować.

– Nigdzie ich nie przywloką – powiedział Sekundos. – Takich ludzi nie da się wziąć żywcem.

Molon popatrzył na wzgórze.

– Zabiją również kobietę – rzekł. – Stracimy dobrą niewolnicę. Warta pewnie ze sto srebrnych pierścieni.

– Raczej sześćdziesiąt – sprostował Sekundos. – Nie dość ładna, żeby dali za nią więcej, pomimo złocistych włosów. I za wysoka. Kreteńczycy nie lubią wysokich kobiet.

– I założę się, że nie lubią też takich, które podryniają gardła – zauważył chudy, przygarbiony mężczyzna z rzadką bródką. Był młody i nowy na morzu. Sekundos niezbyt go lubił.

– Cóż, o tym byśmy im nie powiedzieli, prawda, Lochosie? – odparł Molon.

– Zdziwiająca, jak wieści szybko się rozchodzą – rzekł chudzielec. – Plotka krążyłaby na targu niewolników, zanim zaczęłaby się licytacja.

– Jak sądzisz, dlaczego Kalliades to zrobił? – zapytał Molon.

Sekundos wzruszył ramionami.

– Może po prostu nie lubił Barosa. Sam wypatroszyłbym go za miedziany pierścień.

Lochos się zaśmiał.

– Za miedziany pierścień i gdyby bogowie oddali ci ze czterdzieści lat, stary. Baros był dobrym wojownikiem.

– Nie dość dobrym – wtrącił Molon. – Mówią, że Kalliades zabił go w mgnieniu oka. Mówcie, co chcecie o mykeńskich wojownikach, ale lepiej nie wchodzić im w drogę.

Poprzedniego wieczoru do wyspy przybił inny statek i jego załoga siedziała przy ognisku jakieś sto kroków dalej. Stara galera z wysoko zadartym dziobem, podobna do pierwszego statku, którym dowodził Sekundos. Przyjrzał jej się z rozczuleniem, zauważając, jak jest zadbana. Ani śladu skorupiaków na kadłubie i deski świeżo uszczelnione olejem lnianym.

– Arelos myśli, żeby ją zdobyć – rzekł Lochos. – Załoga liczy tylko trzydziestu ludzi.

Sekundos westchnął.

– Widzisz te szkarłatne oczy namalowane na dziobie?

– Tak. I co z tego?

– To *Penelopa* z Itaki. Pamiętasz tego krępego mężczyznę z ciężkim złotym pasem i złocistorudą brodą? Pierwszego, który wczoraj zeskoczył na ląd? To Odyseusz. Nazywają go człowiekiem, który nie ma wrogów. Wielu młodych żeglarzy sądzi, że to dlatego, ponieważ jest takim dobrym gawędziarzem. Wcale nie z tego powodu. Tylko dlatego że jako młody wojownik Odyseusz pozabijał wszystkich swoich wrogów. W tamtych czasach był znany pod imieniem Zdobywcy Miast. Przyjrzyj się temu wielkiemu czarnoskóremu mężczyźnie, który siedzi obok niego, ostrząc noże. To Bias. Potrafi cisnąć oszczepem z taką siłą, że przeszyje na wylot takiego chudzielca jak ty, Lochosie. A widzisz tego jasnowłosego olbrzyma przy ognisku? To Leukon.

Zeszłego lata walczył na igrzyskach w Pylos. To pięściarz i jednym uderzeniem mógłby rozbić ci czaszkę. W załodze Odyseusza nie ma ani jednego człowieka, na którego nie mógłby liczyć w potrzebie. Zająć *Penelope*? Stracilibyśmy ponad połowę naszych ludzi, a pozostali odnieśliby rany.

– To ty tak twierdzisz – prychnął Lochos. – Ja jednak widziałem wczoraj tylko starego grubasa ze złotym pasem, a większość jego załogi to znużeni starcy, tacy jak ty. Mógłbym go załatwić.

– Z przyjemnością na to popatrzę – rzekł Sekundos, przeciągając się i powoli wstając.
– Oczywiście musisz o czymś pamiętać.

– O czym? – spytał Lochos.

Stopa Sekundosy wylądowała na jego twarzy i mężczyzna runął na wznak, brocząc

krwią ze złamanego nosa. Próbował wstać, lecz Sekundos skoczył na niego i jeszcze dwukrotnie uderzył pięścią w rozbity nos. Potem złapał go za gardło i szarpnięciem postawił na nogi.

– Musisz pamiętać, że my, starcy, jesteśmy podstępными draniami. Załatwisz Odyseusza? Oberwałby ci uszy i zjadłby cię żywcem. A to, co by wysrał, byłoby więcej warte niż ty.

Sekundos rzucił oszołomionego przeciwnika na ziemię i wrócił na swoje miejsce.

– Jesteś dziś w kiepskim humorze – zauważył Molon.

– Nie, w bardzo dobrym. Gdybym był w złym, poderzwałbym mu przekłete gardło.

W tym momencie jeden z piratów wskazał w kierunku osady.

– Na bogów, czy to nie Kalliades? – zawołał.

Sekundos osłonił oczy dłonią przed oślepiającym słońcem. Zobaczył nadchodzących.

Kalliades, Banokles i dziewczyna szli w ich kierunku. Dziewczyna miała ostrzyżone włosy.

Sekundos zaklął.

– Następne trzydzieści srebrnych pierścieni mniej – rzekł.

– Co on tam niesie? – zapytał Molon, podnosząc się z ziemi.

Sekundos zachichotał.

– Sprytny chłopak. Bardzo jestem ciekaw, co będzie dalej.

Za trojgiem nowo przybyłych podążała większość pirackiej załogi – trzymając się w bezpiecznej odległości. Sekundos czekał. Kalliades podszedł do ogniska i rzucił na piach odciętą głowę Arelosa.

– Walczyliśmy w pojedynku – rzekł.

– Zatem teraz ty jesteś kapitanem? – zapytał Sekundos.

– Nie mam ochoty być kapitanem, Sekundosie. Piractwo mi nie odpowiada. Horakos wyznaczył ciebie.

– Jestem pewien, że to wielki zaszczyt, chłopcze. – Uważnie przyjrzał się Kalliadesowi. Ten miał na policzku skaleczenie, z którego krew kapała mu na tunikę. – Będziesz potrzebował paru szwów.

– Za chwilę.

– Dostaniemy kobietę z powrotem?

– Nie. Zatrzymam ją. Tobie oddaję statki. – Zerknął na Lochosa, który leżał na plecach, przyciskając szmatę do krwawiącego nosa. – Co mu się stało?

– Uderzył nosem w mój but. Masz tupet, Kalliadesie, muszę ci to przyznać. Dlaczego

uważasz, że nie każę ludziom rozsiekać was na kawałki i nie zabiorę kobiety?

Kalliades pokręcił głową.

– Musiałbyś mnie wyzwąć na pojedynek, Sekundosie. Zgodnie z prawem morza.

Chcesz rzucić mi wyzwanie?

Sekundos się roześmiał.

– Nie, chłopcze. Możesz sobie zatrzymać tę kobietę. Z obciętymi włosami jest warta tak niewiele, że ledwie zwróciłoby się nam jej wyżywienie.

– Czyj to statek? – spytał Kalliades, wskazując na *Penelopę*.

– Odyseusza.

– Tego gawędziarza. Zawsze chciałem go poznać.

– Nieźle opowiada – przyznał Sekundos. – Jednak nie przewozi pasażerów za darmo.

– Zatem dobrze, że ograbiłem Arelosa po tym, jak go zabiłem – rzekł Kalliades, poklepując ciężki worek u pasa. – Teraz decyzja należy do ciebie, przyjacielu. Będziemy sobie życzyć wszystkiego dobrego i rozejdziemy się czy też masz inne plany?

Sekundos się zastanowił. Tak naprawdę nie miał wyboru. Był za stary, żeby wyzwąć Kalliadesa. Nagle pomyślał, że jest za stary, żeby wyzywać kogokolwiek. Odwrócił się do czekających piratów.

– Chcecie służyć pode mną czy też ktoś z was chce przejąć dowodzenie?

– Będziemy służyć tobie, Sekundosie – odparł krępy Horakos. – Jakie są twoje rozkazy?

– Przygotujcie statki – powiedział. – Wiatr nam sprzyja i w powietrzu czuję zapach łupu! – Piraci wydali radosny okrzyk i ruszyli w kierunku statków. Sekundos skinął na Kalliadesa i odprowadził go na bok. – Dobrze ci życzę, chłopcze – powiedział – ale strzeż się Odyseusza. Tak się składa, że lubię tego człowieka, ale on jest... jak to powiedzieć? Nieobliczalny. Kiedy się dowie, że jesteście mykeńskimi banitami, może po prostu się roześmieje i powita was jak braci albo wyda was pierwszemu napotkanemu mykeńskiemu garnizonowi. To człowiek pełen sprzeczności.

– Będę o tym pamiętał – odparł Kalliades.

– Zatem zapamiętaj jeszcze coś: kiedy go spotkasz, będzie ci przypominał dużego starego psa, przyjacielskiego i skorego do zabawy. Spójrz mu w oczy. Zobaczysz w nich również wilka.

Odyseusz miał niespokojne sny. Jakieś dziecko wołało go z głębin, a on nie mógł się ruszyć. Uświadomił sobie, że jest przywiązany do masztu *Penelopy*. Na pokładzie nie było nikogo, a jednak niewidzialne dłonie poruszały wiosłami, które w idealnie równym rytmie

ciężką wodę.

– Nie mogę cię dosięgnąć – krzyknął do dziecka.

Ocknął się nagle i zobaczył jasnowłosego olbrzyma, Leukona, klęczącego obok.

– Powinieneś coś zobaczyć, Odyseuszu – powiedział.

Odyseusz z sykiem wciągnął powietrze przez zęby. Serce wciąż waliło mu jak młotem, a głowa bolała od nadmiaru wypitego w nocy wina. Podniósł się z ziemi i przetarł oczy, a potem spojrzał w górę. Wiał orzeźwiający i łagodny wietrzyk, a niebo było czyste i niebieskie.

Popatrzył na plażę. Grupa piratów zebrała się wokół ogniska. Odyseusz zamrugał i zmrużył oczy.

– To, co cisnął na piach przy ognisku, to głowa – rzekł Leukon. – Sądząc po kolorze włosów, powiedziałbym, że chyba Arelosa.

– Myślałem, że Arelos jest wyższy – mruknął Odyseusz.

Bias, który właśnie do nich podszedł, roześmiał się, ale Leukon tylko pokręcił głową.

– Trudno powiedzieć, skoro to tylko głowa – przypomniał.

Odyseusz westchnął. Leukon każdą uwagę brał dosłownie. Zupełnie nie wyczuwał ironii.

Kiedy żeglował z nimi Portheus Wieprzek, zawsze wybierał Leukona za obiekt swoich żartów.

Myśl o zmarłym Portheusie jeszcze bardziej przygnębiła Odyseusza. Każda załoga potrzebuje wesołka, kogoś, kto podniesie ludzi na duchu w ciężkich chwilach lub w kapryśną pogodę.

Odsunął od siebie te myśli i zwrócił się do Leukona.

– Rozpoznajesz kogoś jeszcze?

– Myślę, że ten siwowłosy mężczyzna to Sekundos. Pozostałych nie znam.

Odyseusz zobaczył kobietę w podartej tunice, stojącą obok wielkiego, jasnowłosego wojownika. Niechlujnie ostrzyżone włosy sugerowały, że miała wszy. Stojący wokół ogniska rozdzielili się i piraci wrócili na swoje galery. Dwaj wojownicy i kobieta ruszyli w kierunku ogniska załogi *Penelopy*.

– Co o nich sądzisz? – zapytał Odyseusz Biasa.

– Twardzi ludzie. Stoczyli walkę. Ten wysoki ma ranę na twarzy.

– Walkę? Oczywiście, że tak. Na piachu leży odcięta głowa – mruknął Odyseusz, odsuwając się od nich i patrząc na zbliżającą się trójkę. Nie znał wysokiego mężczyzny z raną na twarzy, lecz potężnie zbudowany jasnowłosy wojownik we wzmocnionym mosiądzu

napierśniku wydawał mu się znajomy. Odyseusz miał wrażenie, że to mykeński żołnierz.

Gdy tamci podeszli bliżej, Odyseusz zobaczył, że rana na policzku wysokiego wojownika przecina starą bliznę. Krew wciąż płynęła na jego ciemną tunikę.

– Jestem Kalliades – rzekł nieznajomy. – Moi przyjaciele i ja szukamy przeprawy, królu Odyseuszu.

– Kalliades, hmm... Chyba słyszałem już to imię. Jesteś mykeńskim wojownikiem, który walczył u boku Arguriosa.

– Tak. Oraz przeciwko niemu. Wielki człowiek.

– A ty jesteś Jednouchym Banoklesem – rzekł Odyseusz, zwracając się do olbrzyma. – Teraz sobie przypomniałem. Dwa lata temu rozpocząłeś bójkę z pięcioma żeglarzami z mojej załogi.

– I stłukłem wszystkich – powiedział wesoło Banokles.

– Łziesz jak pies – odparł, chichocząc, Odyseusz. – Kiedy ich odciągnąłem, leżałeś na ulicy, zasłaniając głowę rękami przed ciosami, które padały ze wszystkich stron.

– Tylko odpoczywałem, zbierając siły – powiedział Banokles. – Na Hefajstosa, gdybym wstał, pourywałbym im łby!

– Niewątpliwie – mruknął Odyseusz. – A jaka jest twoja historia? – zapytał dziewczkę z krótko obciętymi włosami.

– Podróżuję do Troi – odpowiedziała.

Ten głos! Odyseusz zamilkł i zmrużył oczy, badawczo przyglądając się jej twarzy. Nie miał żadnych wątpliwości co do tego, kim ona jest, i teraz wiedział, że nie obcięła sobie włosów z powodu wszy. Kiedy widział ją ostatnio, była dwunastoletnią dziewczynką i ostrzygła sobie nożycami złote loki, w kilku miejscach kalecząc skórę. To był przykry widok.

Po jej minie widział, że domyśliła się, że ją rozpoznał.

– Mam na imię Piria – skłamała, patrząc mu w oczy.

– Witaj w moim obozowisku, Pirio – rzekł i ujrzał ulgę w jej oczach.

Odwróciwszy się od nich, patrzył, jak piraci spychają okręty na wodę. To dało mu czas do namysłu. Był w rozterce. Kobieta podróżowała pod przybranym imieniem. To zapewne oznaczało, że opuściła wyspę bez zezwolenia. Kobiety wysłane na służbę na Terę zwykle pozostawały tam do końca swoich dni. W rzeczy samej wiedział o zaledwie dwóch kobietach, które wypuszczono z wyspy w ciągu ponad trzydziestu lat.

Jednak krążyła opowieść o pewnej kobiecie, która uciekła stamtąd przed wieloma laty.

Sprowadzono ją z powrotem na wyspę i pogrzebano żywcem, żeby służyła bóstwu zamieszkującemu pod górą.

Rozważył wszystko. Jeśli ta dziewczyna była uciekinierką i rozejdzie się wieść, że świadomie pomógł jej w ucieczce, arcykapłanka może rzucić na niego klątwę. Ta stara kobieta była księżniczką z mykeńskiej rodziny królewskiej i gorsze od jej klątwy było to, że Odyseusz poniósłby dotkliwe straty w wyniku ograniczenia możliwości handlu z lądem. I być może ściągnąłby na siebie nienawiść jej krewniaka, króla Agamemnona.

Pirackie galery na wiosłach sunęły po czystej błękitnej wodzie i Odyseusz patrzył, jak stawiają żagle. Dostrzegł następny problem. Dlaczego ci dwaj Mykeńczycy podróżowali z piratami i czemu teraz szukali miejsca na statku, który płynął do nieznanego im miejsca przeznaczenia?

Słowa Kalliadesa odbiły się echem w jego głowie. Odyseusz zapytał go o Arguriosa, a Kalliades powiedział, że walczył razem z nim i przeciwko niemu. Mykeńscy żołnierze walczyli z Arguriosiem jedynie zeszłej jesieni, w Troi. Agamemnon rozkazał zamordować wszystkich ocalałych. Co mówił Nestor? Dwaj uciekli i zostali ogłoszeni banitami.

Słodka Hero! Miał tu zbiegłą kapłankę i dwóch mykeńskich renegatów.

– *Penelopa* to mały statek – powiedział w końcu – i kiedy weźmiemy nasz ładunek, zostanie na niej niewiele miejsca. Płyniemy do Troi na ślub królewskiego syna, Hektora. Jednak po drodze zatrzymamy się na wielu wyspach. Czy zmierzacie na którąś z nich?

Kalliades uśmiechnął się smutnie.

– Popłyniemy, gdzie zanoszą nas wiatry – odparł.

– Żaden wiatr nie jest pomyślny, jeśli człowiek nie wie, dokąd zmierza – powiedział Odyseusz.

– Każdy wiatr jest pomyślny dla kogoś, komu wszystko jedno – odparł Kalliades.

– Muszę to jeszcze przemyśleć – rzekł Odyseusz. – Chodźcie i zjedzcie z nami śniadanie. Bias zeszyje ci ranę na twarzy, a ty opowiesz mi, jak stałeś się zbieraczem ludzkich głów.

Kalliades siedział przy ognisku, czując rosnącą irytację. Czarnoskóry żeglarz, Bias, klęczał przy nim, jedną ręką przytrzymując brzegi rany, a drugą zszywając płaty skóry zakrzywioną brązową igłą. Nieopodal Banokles zabawiał Odyseusza i załogę *Penelopy* bezwstydnie wyolbrzymioną opowieścią o uratowaniu Pirii i pojedynku z Arelosem. Z tego ostatniego zrobił niemal półboga. Prawda była bardziej prozaiczna. Pirat był jedynie zręczny, ale brakowało mu szybkości. Walka była krótka i krwawa. Kalliades błyskawicznie doskoczył i zadał śmiertelny cios. Osuwający się na ziemię Arelos zdołał uderzyć go bykiem w policzek, rozcinając skórę.

Kalliades spojrział w czarne oczy Biasa. Ten uśmiechał się, słuchając opowieści

Banoklesa.

– Niezła historia. – Usłyszeli głos Odyseusza, gdy Banokles zakończył swą rozwlekłą relację. – Chociaż brak jej naprawdę dramatycznego zakończenia.

– Przecież zwyciężył i przeżył – spierał się Banokles.

– Istotnie, lecz aby opowieść budziła dreszcz, potrzebny jest jakiś mistyczny element. Może taki: w chwili, gdy głowa Arelosa potoczyła się po ziemi, z kikuta szyi wzbił się obłok czarnego dymu, tworząc ludzką postać w wysokim hełmie zdobionym czubem z piór.

– Podobna mi się – rzekł Banokles. – A co to była za postać?

– Nie wiem. To twoja opowieść. Może demon, który opętał Arelosa. Jesteś pewien, że nie widziałeś chmury dymu?

– Teraz, kiedy o tym wspomniałeś, przypomniałem sobie, że chyba widziałem – powiedział Banokles, co załoga przyjęła śmiechem.

Kalliades zamknął oczy. Bias zachichotał.

– Witaj na *Penelopie* – szepnął – gdzie prawda zawsze zmienia się w miłe uszom łgarstwo. No, rana zeszyta. Za kilka dni zdejmę szwy.

– Dziękuję ci, Biasie. Co sprowadziło *Penelopę* na tę wyspę? Len dopiero kwitnie, a nie widziałem tu żadnych innych towarów.

– Wkrótce zobaczysz – obiecał Bias. – To będzie zabawne. No, przynajmniej dla pasażerów. Wątpię, by załoga była skłonna do śmiechu. – Usiadłszy, wziął garść piasku i otarł krew z palców. – Wokół tego skaleczenia zrobi się duży siniec – rzekł.

– Dokąd teraz popłynie *Penelopa*?

– Skierujemy się ku wyspie oddalonej o dzień żeglugi na wschód, a potem, jeśli bogowie będą łaskawi, na północny wschód do Chios, a potem ku wschodniemu wybrzeżu i Troi.

Banokles dołączył do nich, wręczył Kalliadesowi pajdę razowego chleba i ser.

– Słyszałeś to o pióropuszu dymu? – spytał.

– Tak.

– Jak sądzisz, co to mogło być?

– Nie wiem, Banoklesie. Nie było żadnego dymu.

– Wiem. Jednak to intrygujące.

Bias zachichotał.

– To był duch złego wojownika sprzed wielu wieków, który został przeklęty i miał nigdy nie ujrzeć Pól Elizejskich. Jego dusza została uwięziona w starożytnym sztylecte, a pirat znalazł go w grobie, który zbezczeszczył. Gdy Arelos ukradł sztylet, zły duch zawładnął

nim i na pełnił nienawiścią do wszystkich żywych istot.

– Oto prawdziwy gawędziarz! – rzekł z podziwem Banokles.

Bias pokręcił głową.

– Nie, chłopcze, ukradłem to z jednej opowieści Odyseusza. Przy odrobinie szczęścia usłyszycie ją podczas tego rejsu. Przybijemy do jakiejś przystani i żeglarze z innych statków będą go błagali o parę historii. Może usłyszycie i tę, choć z pewnością przez zimę ułożył kilka nowych. Kiedy ostatnio z nim o tym rozmawiałem, wspominał coś o wiedźmie z węzami zamiast włosów. Niecierpliwie wyczekuję na tę historię. – Bias zerknął na plażę. – No, zaczyna się zabawa.

Kalliades się odwrócił. Około stu kroków dalej ujrzał grubą staruchę w wyblakłej szacie z żółtego lnu, pędzącą stadko czarnych świń. Raz po raz trącała laską w żebra którąś z nich, gdy próbowała oderwać się od stada, i zapędzała ją z powrotem.

– To wasz ładunek? – spytał Kalliades.

– Tak.

– Macie pomóc je zarznąć? – zapytał Banokles.

– Nie będziemy ich zarznąć – rzekł Bias. – Mamy przewieźć je żywe na inną wyspę. Świńska gorączka wybiła tam wszystkie świny i pewien kupiec słono zapłaci za nowe stado rozplodowe.

– Chcecie przewieźć żywe świny? – zdumiał się Banokles. – Gdzie zamierzacie je trzymać?

Bias westchnął.

– Z masztu i zapasowego drzewca zrobimy przegrodę na środku pokładu.

– Czemu ktoś chciałby przewozić żywe świny? – spytał Banokles. – Zasrają cały pokład. Wychowałem się na świńskiej farmie. Możecie mi wierzyć, kiedy mówię, że świny naprawdę potrafią srać.

Kalliades podniósł się z ziemi i odszedł od nich. Nie interesowały go świny ani ich odchody.

Mimo to przyglądał się grubej staruszce pędzącej stado. Zwierzęta spokojnie dreptały za nią, cicho pochrząkując. Odyseusz wyszedł jej na spotkanie. Gdy podchodził, trzy świny próbowały uciec, ale kobieta świsnęła i zatrzymały się, po czym wróciły.

– Witaj w moim obozowisku, Kirke – rzekł Odyseusz. – Zawsze miło cię widzieć.

– Daruj sobie pochlebstwa, królu Itaki. – Złowrogim spojrzeniem obrzuciła *Penelopę* i zaśmiała się chrapliwie. – Mam nadzieję, że dostaniesz worek złota za fatygę – powiedziała. – Ciężko na nie zapracujesz. Moje małe nie będą szczęśliwe na morzu.

– Wydają się dość spokojne.

– Bo jestem przy nich. Kiedy Portheos przyszedł do mnie z tym pomysłem, uznałam, że ma źle w głowie. A kiedy odrzuciłeś jego propozycję, pomyślałam, że jesteś mądrzejszy od niego. – Rozejrzała się. – A przy okazji, gdzie on jest?

– Umarł w swoim domu, we śnie.

Kalliades usłyszał, jak kobieta cmoknęła. Pokręciła głową.

– Taki młody. Człowiek, który potrafi się tak śmiać, powinien dożyć sędziwego wieku. – Popatrzyła na Odyseusza i milczała chwilę. – No cóż – rzuciła w końcu. – Dlaczego zmieniłeś zdanie?

– To tylko handel. Orystenes nie ma świń. Hodowca świń, który nie ma świń, nie ma po co żyć.

– Zastanawiałeś się, dlaczego nikt inny nie przywiezie mu żywych świń?

– Nie obchodzi mnie, co robią lub czego nie robią inni.

Wielki czarny wieprz zaczął obwąchiwać stopę Odyseusza, trącając pyskiem jego łydkę.

Odyseusz próbował go odsunąć.

– Lubi cię – zauważyła Kirke.

– Jak też go lubię. Na pewno szybko zostaniemy przyjaciółmi. Masz dla mnie jakąś radę?

– Zabierz dużo wody do zmywania pokładu. A także łupki dla załogi, bo jeśli świnię wpadną w panikę i wydostaną się z zagrody, będzie kilka połamanych kości. Jeśli uda ci się szczęśliwie dotrzeć do wyspy Orystenesa, dopilnuj, żeby Ganny – trąciła laską wielkiego czarnego wieprza – jako pierwszy został spuszczonej na brzeg. Pozostałe pójdą za nim. Jeśli Ganny będzie zadowolony, nie będziesz miał kłopotów. W przeciwnym razie będzie rzeź.

Kalliades zauważył, że Piria też odeszła od obozowiska i siedziała sama na głazie. Podszedł do niej. Podniosła głowę, ale nie odezwała się.

– Czemu te świnię są na brzegu? – zapytała.

– Odyseusz zabiera je na inną wyspę.

– Mamy płynąć ze świniami?

– Na to wygląda. – Zapadła długa cisza, aż wreszcie Kalliades zapytał: – Chcesz zostać sama?

– Nie masz pojęcia, jak bardzo chcę być sama, Kalliadesie. Jednak nie jestem. Otaczają mnie ludzie – i świnię. Choć to niewielka różnica – dodała z pogardą.

Odwrócił się, ale go zatrzymała.

– Zaczekaj! Przepraszam, Kalliadesie. Nie mówiłam o tobie. Byłeś dla mnie dobry i do tej pory dotrzymywałeś słowa.

– Jak wielu ludzi – rzekł, siadając na pobliskim głazie – widziałem okrutne czyny. A także dobre. Czasem widziałem, jak okrutni ludzie bywali dobrzy, a dobrzy okrutni. Nie rozumiem tego. Wiem jednak, że nie wszyscy są tacy jak piraci, którzy cię schwytali. Widzisz tego staruszka?

Wskazał na siwowłosego człowieka stojącego na uboczu i obserwującego stado świń pędzone na *Penelope*. Mężczyzna był wysoki i przygarbiony, w niebieskim płaszczu narzuconym na ciemną, haftowaną złotem tunikę.

– Dlaczego pytasz?

– To Nestor z Pylos. Kiedy byłem dzieckiem, pracowałem na jego polach Inu. Byłem niewolnikiem i synem niewolnika. Król miał wielu synów. Każdy z nich przez jeden sezon pracował na polu razem z niewolnikami. Krwawiły im ręce, bolały ich plecy. Matka mówiła mi, że król tak nakazał, żeby jego synowie wiedzieli, jak ciężkie jest życie za murami pałacu, i nie gardzili tymi, którzy pracują na polach. Nestor osobiście przemierzał swoje ziemie, rozmawiając z tymi, którzy dla niego pracowali, pilnując, by byli dobrze żywieni i odziewani. To dobry człowiek.

– Który wciąż ma niewolników – powiedziała.

Jej komentarz rozbawił Kalliadesa.

– Oczywiście, że ma niewolników. Jest królem.

– Czy twoja matka urodziła się niewolnicą?

– Nie. Została uprowadzona z wioski na likijskim wybrzeżu.

– Tak jak ja – przez piratów?

– Pewnie tak.

– Zatem Nestor jest taki jak oni. Bierze, co chce. Jednak nazywają go dobrym człowiekiem, ponieważ żywi i odziewa tych, których oderwał od ukochanych i rodzin. Niedobrze mi się robi, jak o tym pomyślę.

Kalliades zamilkł. Zawsze byli niewolnicy, tak jak zawsze byli królowie. I zawsze będą. Jak inaczej miałyby rozkwitać cywilizacja? Zerknął na *Penelope*.

Kilku marynarzy przywiązało brezentową płachtę do dwóch lin. Spuścili ją z pokładu wyciągniętego na brzeg statku i próbowali umieścić w niej świnię. Zwierzę zaczęło piszczeć i wierzgać. To przstraszyło inne świnię. Cztery z nich zaczęły biegać po plaży, ścigane przez marynarzy. Na widok tego zamieszania stara kobieta z laską pokręciła głową i odeszła. Kalliades zobaczył, jak Banokles rzuca się na dużą świnię, która wykonała zręczny unik.

Wojownik przeszorował brzuchem po piasku i wpadł głową w wodę. Po chwili na plaży zapanował kompletny chaos. Odyseusz pokrzykiwał na marynarzy.

Świnia w brezencie została podniesiona na wysokość pokładu, ale miotała się tak wściekle, że liny mocno się kołysały. Nagle zaczęła oddawać mocz, opryskując stojących na dole ludzi.

Pozostałe świnie w liczbie około piętnastu zwarły szyki i pomknęły po piasku prosto na Odyseusza. Ten nie miał innego wyjścia, jak ratować się ucieczką. Widok krępego króla w szerokim złotym pasie, ściganego przez stadko kwiczących świń, rozbawił załogę. Marynarze ryknęli śmiechem.

– To będzie długi dzień – rzekł Kalliades. Zerknął na Pirię. Ona też się śmiała.

– Miło było na to patrzeć.

W tym momencie Odyseusz przystanął i odwrócił się twarzą do stada.

– Dość tego! – ryknął donośnie.

Zwierzęta, przestraszone okrzykiem, zatrzymały się. Duża czarna świnia przytruchtała do króla i zaczęła trącać ryjem jego nogę. Odyseusz pochylił się i poklepał ją po szerokim grzbiecie.

Potem pomaszerował z powrotem na *Penelopę*, a czarna świnia truchtała obok niego. Pozostałe zaczęły cicho pochrząkiwać i ruszyły za nimi.

– Śmieście się ze mnie, wy nędzne krowie syny – ryknął Odyseusz, podchodząc do załogi. – Na jaja Aresa, gdybym tylko mógł nauczyć te świnie wiosłować, pozbyłbym się was wszystkich.

– Niezwykły człowiek – zauważył Kalliades. – Czy można mu ufać?

– Dlaczego mnie o to pytasz? – rzekła Piria.

– Ponieważ ty go znasz. Widziałem to w jego oczach, kiedy rozmawialiście.

Piria milczała chwilę. Potem skinęła głową.

– Znałam go. Wiele razy odwiedzał... dom mojego ojca. Nie potrafię odpowiedzieć na twoje pytanie, Kalliadesie. Odyseusz był kiedyś handlarzem niewolników. Przed laty nazywano go Zdobywcą Miast. Niechętnie składam swój los w ręce człowieka, który zasłużył sobie na takie miano. Nie mam jednak wyboru.

IV. PODRÓŻ ŚWIŃ

Czarny Bias siedział spokojnie wśród skał, z szerokimi barami okrytymi starym płaszczem.

Załoga wciąż usiłowała załadować świnie na pokład. Bias nie miał ochoty im pomagać. Zbliżał się do pięćdziesiątki i musiał dbać o swoją prawą rękę, jeśli chciał mieć szansę w rzucie oszczepem na igrzyskach w Troi. Tak więc siedział spokojnie, ostrząc swoje noże. Odyseusz twierdził, że jego upodobanie do noży jest częścią nubijskiego dziedzictwa, lecz to wydawało się mało prawdopodobne Biasowi, który urodził się na Itace i jako dziecko nie znał innych Nubijczyków. Matka z pewnością nie rozmawiała z nim o walce na noże.

– Może jesteś wnukiem króla Nubii – powiedział kiedyś Odyseusz. – Dziedzicem ogromnego królestwa, złotych pałaców i tysiąca konkubin.

– A gdyby mój kutas miał palce, mógłby podrapać mnie po dupie – odparł Bias.

– Na tym polega twój problem, Biasie. Nie masz wyobraźni – skarcił go Odyseusz.

Bias zaśmiał się.

– Po co wyobraźnia człowiekowi podróżującemu z tobą, Królu Bajarzy? No cóż, z tobą podróżowałem po niebie na latającym statku, walczyłem z demonami, dorzuciłem oszczepem do księżycy i nanizalem naszyjnik z gwiazd dla władczyni dżungli. Marynarze pytają mnie, kiedy wracam do domu, żeby zasiąść na tronie. Dlaczego tylu ludzi wierzy w twoje opowieści?

– Ponieważ chcą w nie wierzyć – odparł Odyseusz. – Większość ludzi pracuje od świtu do zmierzchu. Harują i młodo umierają. Chcą myśleć, że bogowie uśmiechają się do nich, że ich życie ma większy sens niż w rzeczywistości. Ten świat byłby smutniejszy bez opowieści, Biasie.

Bias uśmiechnął się na to wspomnienie, po czym wepchnął noże do pochew i wstał.

Odyseusz zbliżał się do niego.

– Ty leniwy krowi synu – powiedział Brzydki Król. – Co za pożytek z tego, że jesteś silny jak byk, jeśli nie wykorzystujesz swojej siły, gdy jest potrzebna?

– Ależ wykorzystuję. – odparł Bias. – Tylko nie do zaganiań świń. I nie widzę, żebyś ty je wciągał na pokład.

– To dlatego, że jestem królem. – Uśmiechnął się Odyseusz. Usiadł i skinął na Biasa, żeby do niego dołączył. – Co sądzisz o naszych pasażerach?

- Podobają mi się.
- Przecież nawet ich nie znasz.
- Czemu więc mnie pytasz?

Odyseusz westchnął.

– Ci dwaj to mykeńscy banici. Myślę o tym, żeby wydać ich na Chios. Dostałbym trochę złota. – Słyszac to, Bias uśmiechnął się. – Co cię tak bawi?

Bias spojrział na swego króla.

– Służę ci niemal dwadzieścia pięć lat. Widziałem cię pijanego, trzeźwego, rozgniewanego i smutnego. Widziałem cię wściekłego, rozgoryczonego, mściwego i dobrodusznego. Na bogów, Odyseuszu, nie ma w tobie niczego, czego bym nie widział.

W tym momencie ostatnia świnia wyrwała się ludziom próbującym umieścić ją w płachcie. Kwicząc, pobiegła plażą. Kilku członków załogi ruszyło za nią. Bias zamilkł, obserwując pościg.

Leukon złapał uciekinierkę, chwycił w swe potężne ramiona i poszedł z powrotem w kierunku *Penelopy*.

– To jak z tym przedsięwzięciem ze świniami – ciągnął Bias. – Mówisz, że chodzi o zysk.

– Wcale nie. Chodzi o martwego Portheosa. I jego głupi plan, który tyle dla niego znaczył. Wyśmiewałeś go. Teraz go opłakujesz i w ten sposób chcesz uczcić jego pamięć.

– Zapewne to gadanie ma jakiś sens? – warknął Odyseusz.

– Tak i dobrze wiesz jaki. Możesz sobie gadać, ile chcesz, o tym, że wydasz Kalliadesa i tego drągala za kilka sztuk złota. Nigdy byś tego nie zrobił, Odyseuszu. Oni ocalili na wyspie młodą kobietę i przyszli do ciebie po pomoc. Chcesz, żebym uwierzył, że zamierzasz ich zdradzić? Nie sądzę. Nawet gdyby zjawili się tu wszyscy bogowie z Olimpu i zażądali, żebyś ich wydał, nie zrobiłbyś tego. I powiem ci jeszcze coś: wszyscy członkowie załogi stanęliby przy tobie murem.

– Dlaczego mieliby zrobić coś tak głupiego? – zapytał cicho Odyseusz, zapominając o gniewie.

– Ponieważ słuchają twoich opowieści o herosach, o Brzydki, i wiedzą, że są prawdziwe.

Dzień był spokojny, a wiatr łagodny, gdy *Penelopa* wychodziła w morze. Kalliades, Banokles i Piria przebywali na niewielkim pokładzie rufowym. Obok nich Odyseusz stał przy długim wiosle sterowym, a Bias podawał rytm wiosłarzom. Nestor i jego dwaj synowie stali na pokładzie dziobowym jakieś dwadzieścia kroków dalej.

Kalliades milczał, podziwiając piękno starego statku. Wyciągnięta na brzeg *Penelopa* wyglądała ociężale i niezgrabnie, lecz teraz sunęła po Wielkiej Zieleni z gracją tancerki. Piracki statek kołysał się i z trudem pokonywał fale, gdyż kil miał obrośnięty skorupiakami, a załogę nieudolną i niedbałą. Trzydziestu ludzi z *Penelopy* było doskonale wyszkolonymi żeglarzami, którzy w idealnie równym rytmie podnosili i zanurzali wiosła.

Stadko świń zamknięto w prostokątnej zagrodzie na głównym pokładzie. Zręcznie zrobiono ją z dwóch masztów ustawionych na drewnianych kozłach i powiązanych grubą liną. Na początku podróży zwierzęta wyglądały na dość spokojne.

Kalliades zerknął na Pirię. W jasnym blasku dnia jej twarz była zmęczona i blada, a siniaki jeszcze wyraźniejsze. Miała opuchliznę pod prawym okiem, a na karku Kalliades dostrzegł głębokie zadrapania. Kim jesteś? – zastanawiał się. I skąd znasz Odyseusza?

Zauważył, jak się zawahała, mówiąc o wizytach, które Odyseusz składał jej ojcu. Słowem „dom” zastąpiła jakieś inne. Jakie? Gospodarstwo? Pałac? Rezydencja? Kalliades był pewien, że Piria pochodzi z bogatej rodziny. Spoglądała na morze, pogrążona w myślach, nieświadoma jego spojrzenia. Kalliades powiedział piratowi, że uważa ją za piękną. Rzekł tak, odpierając jego obraźliwą uwagę. Teraz uświadomił sobie, że to nie był komplement, lecz prawda. Dziwne, pomyślał, że obcięcie włosów odsłoniło taką urodę. Jej szyja była długa i smukła, profil wyrazisty. Zauważyła, że się jej przygląda, i spojrzała na niego ostro, zaciskając usta. Potem odwróciła się do niego plecami. Chciał odezwać się do niej łagodnymi słowami, ale się rozmyślił.

Masz inne zmartwienia, skarcił się. Odyseusz znał twoje imię. Co za niespodzianka. Kalliades nie uważał się za sławnego i nie miał powodu sądzić, że jest znany poza strefą mykeńskich wpływów. Fakt, że król Itaki o nim słyszał, mógł świadczyć o tym, że wie również o nagrodzie, jaką król Agamemnon wyznaczył za jego głowę.

Spojrzał na Banoklesa. Ten zupełnie się nie przejmował ewentualną zdradą lub schwytaniem. Przeszedł wąskim przejściem między ławkami wioślarzy i przyjaźnie rozmawiał z jasnowłosym żeglarzem, Leukonem. Banokles miał dar zdobywania przyjaciół.

Odyseusz zawołał Biasa i kazał mu przejąć ster. Potem krępy król przecisnął się obok Pirii i poszedł na pokład dziobowy. Gdy zbliżył się do zagrody, największa z czarnych świń chrząknęła i przycisnęła się do ogrodzenia. Odyseusz przystanął i podrapał wieprzka za uchem.

Ten nadstawił łeb. Odyseusz poklepał go, a potem poszedł i stanął obok Nestora. Czarny wieprz obserwował go.

– Zawsze umiał się obchodzić ze zwierzętami – rzekł Bias. – Oprócz koni. To

najgorszy jeździec, jakiego zobaczysz w życiu.

Z mijającym rankiem słońce grzało coraz mocniej, a wiatr słabł. Obawy Banoklesa co do świń okazały się bezpodstawne. Okazały się dość schludne. Pokład w zagrodzie został wyłożony sianem, które miało wchłaniać mocz, lecz świnię załatwiały się tylko przy ogrodzeniu od strony dziobu. Na szczęście dla tych na pokładzie rufowym, ale nie dla Nestora i jego synów. Stary władca zasłaniał nos chustką. Najbardziej nieszczęśliwi byli pierwsi wiosłarze, których siedzenia znajdowały się na lewo i na prawo od rosnącej sterty nieczystości.

Po południu, gdy *Penelopa* majestatycznie sunęła obok łańcucha wysp, nad statkiem zaczęły się zbierać ciemne chmury. Wiatr się wzmacniał. Kalliades zerknął na ciemniejące niebo.

– Idzie sztorm? – zapytał Biasa.

Czarnoskóry pokręcił głową.

– Jednak trudno będzie płynąć. To dla nas nie problem. My zmierzamy właśnie do tamtej wyspy. – Wskazał na odległy złocisty wzgórek tuż nad horyzontem. – Przed zachodem słońca wylądujemy na Skale Tytana.

Penelopa płynęła teraz obok grupki wysepek o wysokich brzegach i wąskich plażach.

W oddali Kalliades dostrzegł coś, co wyglądało jak szybko poruszająca się czarna chmura sunąca pod wiatr. Pokazał ją Biasowi. To było ogromne stado ptaków lecące nad morzem. W tej samej chwili pojawiło się dwadzieścia lub więcej delfinów, wyskakujących, obracających się w powietrzu i przemykających obok statku, zmierzających w tym samym kierunku co ptaki.

– Coś przstraszyło ryby i ptactwo – rzekł Bias.

Ktoś głośno jęknął. Pierwszy wiosłarz, Leukon, nie mogąc dłużej znieść odoru odchodów, puścił wiosło i przechylił się przez burtę, oddając zawartość żołądka morzu. Banokles przebiegł wąskim przejściem między zagrodą a wiosłarzami.

– Mogę na chwilę zająć jego miejsce! – zawołał.

– Zrób to, chłopcze – odkrzyknął Bias.

Odyseusz zszedł z pokładu dziobowego, gdy Leukon powlókł się w kierunku rufy, jak najdalej od smrodu. Kalliades zobaczył, jak największa ze świń przeciska się do nadchodzącego Odyseusza. Wieprz stanął na tylnych nogach, przednie oparł o tworzący płot maszt i głośno kwiknął. Przechodzący obok Leukon gniewnie rąbnął go pięścią w pysk. Wieprz ryknął i przeskoczył przez prowizoryczne ogrodzenie, po czym rzucił się na Leukona. Wszystkie świnię zaczęły chrząkać i kwiczeć. Leukon został zбитy z nóg, ale kopął

nacierającego wieprzka, rozpaczliwie starając się trzymać go z daleka. Wioślarz z prawej wstał, chcąc przyjść z pomocą towarzyszowi. Wieprz rzucił się na niego i wgramolił na niski podest wioślarzy. Pośliznął się na deskach i zanim ktoś zdążył go złapać, z pluskiem wpadł do morza.

Rozgniewany Odyseusz podbiegł do Leukona.

– Dlaczego uderzyłeś świnię? – krzyknął.

– Bo mnie rozzłościła! – odparł gniewnie Leukon.

– Ach tak – rzekł Odyseusz. – No to w porządku. Jak coś cię rozzłości, walisz pięścią.

Poczułeś się lepiej?

– Tak.

Odyseusz bez słowa uderzył lewym prostym w podbródek Leukona, ponownie zwalając go z nóg. Wioślarz z łoskotem upadł na deski i leżał, mrugając.

– No cóż, tym razem miałeś rację, gównogłowy – rzekł Odyseusz. – Naprawdę poczułem się lepiej. – I odwróciwszy się do załogi, powiedział: – Wciągnijmy Ganny’ego na pokład.

Z początku to zadanie wydawało się łatwe. Kilku żeglarzy skoczyło do wody, a inni opuścili zakończone pętlami liny, gotowe do zarzucenia na zbiegłego wieprza. Jednak ten atakował każdego podpływającego marynarza, waląc łbem i gryząc. W końcu Odyseusz odpiął złoty pas i sam wskoczył do morza.

Następne wielkie stado ptaków przelatywało nad *Penelopą*. Nagle statek zadrżał. Kalliades złapał się relingu. Wiatr ucichł, lecz morze, tak spokojne zaledwie przed chwilą, było wzburzone i rozkołysane. Kalliades usłyszał przetaczający się w oddali grom i zobaczył głązy spadające po zboczu góry na najbliższej wyspie.

Piria też patrzyła na lawinę w oddali. Spojrzała na niego.

– Właśnie umarł ktoś, kogo kochali bogowie – powiedziała. – Teraz gniewnie tupią.

Mężczyźni w wodzie zapomnieli o świni i pośpiesznie płynęli z powrotem do *Penelopy*.

Wciągnięty na pokład Odyseusz stał, gniewnie patrząc na świnię.

– To tylko jedno zwierzę. Nie warto ryzykować dla niego utraty statku – rzekł Bias. –

Po tym trzęsieniu ziemi nadejdą fale, które mogą rozbić *Penelopę*.

Odyseusz odwrócił się do Leukona.

– Koszt tej świni odejmę od twojej części – oznajmił. – Masz jakieś zastrzeżenia?

– Nie, mój królu.

– To dobrze. Wioślarze, do wiosł!

Nad *Penelopą* wisiały czarne chmury, ale nie spadła z nich ani kropla deszczu. Wiatr był silniejszy, a morze bardziej rozkołysane. Statek zaczął tańczyć na falach i wioślarze musieli ciężko pracować, żeby utrzymać go na kursie do wąskiej zatoki u przylądka Skały Tytana.

Odyseusz wrócił do wiosła sterowego, a Bias przechadzał się między wioślarzami, podając tempo.

– Podnieś... opuść, ciągnij.

Kalliades zauważył, że Piria spogląda na morze za rufą.

– Wciąż go widzisz? – zapytał.

– Tak, daleko za nami.

Kalliades spojrział na wzburzone wody. Od czasu do czasu widać było ciemny kształt, który pojawiał się i znikał w falach.

– Myślisz, że zdoła dopłynąć do brzegu? – zapytała Piria.

– Nie. Zginie tutaj.

– To smutne.

– Nie tak smutne jak zarżnięcie i przerobienie na kielbasy. Każde żywe stworzenie musi umrzeć. Teraz przyszedł jego czas. – Uśmiechnął się. – Martwisz się losem świni?

Piria wzruszyła ramionami.

– Ten wieprz miał imię. Ganny. Więc nie jest już tylko świnią.

Odyseusz także spoglądał za rufę. Zauważył, że Kalliades go obserwuje.

– Za daleko, żeby świnią mogła dopłynąć – powiedział Brzydki Król.

– O wiele za daleko – zgodził się Kalliades. – Chociaż szkoda – dodał.

– Nienawidzę tracić ładunku – rzekł Odyseusz, kierując wzrok na plażę. Ryknął na załogę: – Przyłóżcie się, krowie syny! Myślicie, że zamierzam spędzić tę noc na morzu?

Księżyc w pełni świecił tak jasno, że rzucał długie cienie na plażę Skały Tytana. Załoga rozpałała dwa ogniska do gotowania i jedno większe, na wzniesieniu osłoniętym przez skały, i zasiadła wokół niego nierównym kręgiem. Ze swojego miejsca na głazie Piria patrzyła, jak mężczyźni grają w kości, plotkują i się kłócą. Zapach gotowanej ryby dotarł do jej nozdrzy i wywołał skurcz pustego żołądka. Nie chciała opuszczać swojego miejsca i schodzić między marynarzy. Zapomnieli o niej, zajęci wieczornymi obowiązkami, a ona nie chciała przypominać im o swej obecności, czuć na sobie ich spojrzeń, widzieć pożądania w ich oczach. Po raz pierwszy od wielu dni zaznała spokoju i strzegła go zazdrośnie, owinąwszy się czerwonym płaszczem pożyczonym od Banoklesa.

Uspokoiła się trochę, patrząc na zagrodę, w której zamknięto świnię na noc. Ta stara

kobieta, Kirke, przesadzała ze swoimi ostrzeżeniami. Żaden z członków załogi nie miał połamanych kości, tylko zadrapania i sińce po wyładunku świń.

Teraz w świetle księżycy widziała, że świny zapadły w sen, zbite w gromadę, cicho pochrzäkując. Od czasu do czasu któraś się poruszała, wywołując ciche pochrzakiwania sąsiadek, zanim stado znowu zapadło w sen.

Piria była wdzięczna tym świniom. Podczas podróży odwracały uwagę od niej. Ból obrażeń powracał mdlącymi falami. Bolała ją głowa i ledwie mogła nią kręcić, jakby została oderwana i ponownie przytwierdzona przez zręcznego rzemieślnika.

Zobaczyła podchodzącego do niej czarnoskórego Biosa, niosącego w jednej ręce miskę, a w drugiej kawałek kukurydzianego chleba. Poczula strach i zaczęły jej drżeć ręce. Wyobraziła sobie, że zaproponuje jej jedzenie i zacznie się do niej dobierać. Podeszedł do niej i dał jej miskę oraz chleb. Poczula zapach ryby i cebuli, ale strach odebrał jej apetyt.

– Powinnaś zejść do ogniska – rzekł. – Noc jest zimna.

– Będę spała tutaj – odparła.

Bias z powątpiewaniem spojrzął na skalny występ.

– Nie wygląda na wygodny.

– Przywykłam do niewygód.

Kiwnął głową i wrócił do ciepła ogniska. Piria skubała kukurydziany chleb, zanurzając go w rybnej polewce. Poczula ciepło w żołądku i uświadomiła sobie, że jej skóra jest zimna jak lód.

Mocniej opatulila się płaszczem. Nagle ogarnęła ją fala rozpaczy i samotności, aż łzy zapiekły pod powiekami.

– Coś ty zrobiła? – szepnęła.

Wspomniała tamtą noc przy wróżebnym płomieniu w wielkiej świątyni. Chichotały z Andromachą, pijane winem i miłością. Obie poprosiły starą Melite, aby przepowiedziała im przyszłość. Był to bardziej pijacki żart niż poważna prośba. Wszystkie kapłanki wiedziały, że Melite kiedyś była wieszczką, lecz teraz, prawie ślepa i niespełna rozumu, często mówiła od rzeczy. Tak też wydawało się tym razem.

– Nie masz tu przyszłości, młoda Kaliope – oznajmiła Melite. – Nim dni przeminą, Andromacha będzie stracona dla Błogosławionej Wyspy, powróciwszy do świata mężczyzn i wojen.

Młode kobiety, choć jej nie uwierzyły, były zaniepokojone tą przepowiednią, która rozproszyła opary wina i popsuła beztroski nastrój.

Osiemnaście dni później przyplłynął statek przynoszący wieści od Hekabe, królowej

Troi. Andromacha została wezwana przed oblicze arcykapłanki, która oznajmiła jej, że ma opuścić świątynną wyspę i poślubić syna Hekabe, wojownika Hektora. Piria była z nią w komnacie rady.

– Hektor ma poślubić moją siostrę Palestę – spierała się.

Arcykapłanka spojrzała na nią ze zmieszaniem.

– Palesta umarła w Troi. Niespodziewana choroba. Twój ojciec i król Priam uzgodnili, że dotrzymają zawartej umowy.

Piria wiedziała, że Andromacha kochała Palestę, i zobaczyła jej przygnębioną minę.

Dziewczyna spuściła głowę i milczała przez chwilę, a potem znów spojrzała na arcykapłankę gniewnie błyszczącymi zielonymi oczami.

– Mimo to nie odejdę. Żaden człowiek nie ma prawa żądać, aby kapłanka porzuciła swe święte obowiązki.

– Są pewne szczególne okoliczności – powiedziała niechętnie arcykapłanka.

– Szczególne? Sprzedajecie mnie za złoto Priama. Co w tym szczególnego? Kobiety były sprzedawane od najdawniejszych czasów. Jednak zawsze przez mężczyzn. Tego można się po nich spodziewać. Ale po tobie?

Wzgarda Andromachy wypełniła komnatę jak mgła i Piria zobaczyła, że arcykapłanka pobladała. Oczekiwała gniewnej odpowiedzi. Jednak stara kobieta jedynie westchnęła.

– Nie chodzi tylko o złoto Priama, ale o wszystko, co ono reprezentuje. Bez niego nie byłoby świątyni na Terze ani księżniczek łagodzących gniew bestii pod ziemią. Tak, byłoby cudownie, gdybyśmy mogły ignorować żądania takich potężnych ludzi jak Priam i spokojnie wykonywać swoje obowiązki. Już nie jesteś kapłanką Tery. Jutro opuścisz wyspę.

Tamtej nocy, gdy po raz ostatni leżały razem, słuchając wiatru szepczącego w liściach tamaryszków, Piria błagała Andromachę, żeby z nią uciekła.

– Na drugim końcu wyspy są łódki. Mogłybyśmy ukraść jedną i odpłynąć.

– Nie – odparła Andromacha, pochylając się i czule ją całując. – Nie miałybyśmy dokąd uciec, ukochana – tylko do świata mężczyzn. Tutaj jesteś szczęśliwa, Kaliopie.

– Nie mogę być szczęśliwa bez ciebie.

Potem długo rozmawiały, lecz w końcu Andromacha powiedziała:

– Musisz tu zostać, Kaliopie. Gdziekolwiek się znajdę, będę wiedziała, że jesteś bezpieczna, i to doda mi sił. Kiedy zamknę oczy, będę widziała wyspę. Zobaczę cię biegnącą i roześmianą. Ujrzę cię w naszym łóżku i to mnie pocieszy.

I tak, ze złamanym sercem, kobieta nazywana teraz Pirią patrzyła, jak statek odpływa na wschód w porannym słońcu.

Pomimo smutku próbowała pograć się w codziennych obowiązkach, modlitwach i ofiarach dla Minotaura ryczącego pod górą. Dni płynęły powoli, puste i ponure, przez całą zimę. Potem, na wiosnę, stara Melite zemdląła podczas zbierania krokusów i białych lilii na południową ceremonię. Zaniósł ją do jej pokoju, ale oddychała z trudem i wszystkie wiedziały, że śmierć jest tuż-tuż.

Piria siedziała przy jej łóżku późną nocą, gdy staruszka nagle usiadła i przemówiła niespodziewanie dźwięcznym, silnym głosem.

– Dlaczego tu jesteś, dziewczyno?

– Jestem przy tobie, sestro – odparła Piria, obejmując ją i delikatnie kładąc na poduszkach.

– Ach tak. Na Terze. Gdzie Andromacha?

– Odplynęła. Pamiętasz? Do Troi.

– Troja – szepnęła staruszka, zamykając oczy. Milczała chwilę, po czym zawołała: – Ogień i śmierć. Teraz widzę Andromachę. Biegnie wśród płomieni. Ścigają ją okrutni ludzie. – Staruszka zaczęła machać rękami. – Uciekaj! – krzyknęła.

Piria złapała ją za rękę.

– Uspokój się, Melite – powiedziała. – Jesteś bezpieczna.

Umierająca kapłanka otworzyła oczy. Jej ciało się wyprężyło, a z oczu popłynęły łzy.

– Żli, żli ludzie! Czeka was zguba. Pożre was Minotaur. Przybędzie z gromowym hukiem, a niebo pociemnieje i zniknie słońce.

– Co z Andromachą? – szepnęła Piria. – Widzisz ją jeszcze? Mów!

Staruszka uspokoiła się i uśmiechnęła.

– Widzę ciebie, dzielna Kaliopie. Widzę ciebie i wszystko jest dobrze.

– Widzisz mnie z Andromachą w płomieniach?

Melite nie powiedziała nic więcej. Piria spojrzała jej w oczy. Staruszka nie żyła.

Siedząc samotnie na plaży, Piria otarła łzy i potrząsnęła głową. Teraz się zastanawiała, czy ta wizja była prawdziwa. Czy oznaczała, że jej przeznaczeniem jest uratować Andromachę przed złymi ludźmi? Czy też umierająca staruszka chciała tylko powiedzieć, że widzi ją siedzącą przy jej łóżku?

Westchnęła. Już za późno, żeby wątpić czy zmienić zuchwałą decyzję, którą podjęła w wyniku tamtej rozmowy. W nocy po śmierci Melite zabrała kilka złotych ozdób oraz trochę żywności i wyruszyła na północny kraniec wyspy, gdzie ukradła małą żaglową łódź.

Piria zobaczyła krępa postać Odyseusza idącego brzegiem, oddalającego się od statku i załogi, niepatrzącego w jej stronę. Wiedziała, że celowo jej unika, i pod wpływem nagłego

impulsu wstała, po czym zeszła ze skały na plażę. Zanim do niego dotarła, Odyseusz klęczał i w skupieniu rysował sztyletem na piasku twarz. Podniósł głowę, nic nie mówiąc, z niezachęcającą miną.

Piria przez chwilę się nie odzywała.

– Dlaczego próbowałeś uratować tego wieprzka? – spytała w końcu.

Uniósł brwi, jakby spodziewał się innego pytania.

– Kirke powiedziała mi, że inne świnie pójdą za Gannym. Potrzebowaliśmy go, żeby im przewodził.

Wstał i otarłszy sztylet o szorstką tkaninę tuniki, schował go do pochwy. Potem przesunął stopą po piasku, zacierając narysowaną twarz.

– Jednak wyładowaliście je i zapędziliście do zagrody bez niego.

Znowu milczeli. Odyseusz wyglądał na spiętego. Zwykle rubaszny, teraz był milczący i ostrożny. Piria zaczęła się obawiać, że postanowił ją wydać i ma poczucie winy.

– Chciałam ci podziękować – powiedziała z wymuszonym uśmiechem – za to, że zaakceptowałeś mnie jako Pirię. I za to, że przewozisz mnie na swoim statku do Troi.

Mruknął coś pod nosem.

– Słyszałeś o Kalliadesie, zanim go spotkałeś? – zapytała. Spojrzał na nią.

– Tak, słyszałem. Ma reputację dobrego żołnierza.

– On i jego przyjaciel wyratowali mnie z rąk piratów od pewnych tortur i śmierci, nie licząc na nagrodę. – Mroczne obawy w jej duszy nie wierzyły w te słowa, ale odepchnęła je, chcąc przekonać Brzydkiego Króla. – To odważny człowiek, któremu można ufać. – Spojrzała królowi w oczy. – Niewielu jest takich jak on na Wielkiej Zieleni, tym morzu szumowin.

Nic nie powiedział, więc kiwnęła głową i zaczęła odchodzić. Nagle się odwróciła.

– Czy ty jesteś takim człowiekiem, Odyseuszu?

Nagłe zamieszanie w zagrodzie dla świń wybawiło go od konieczności udzielania odpowiedzi. Piria odwróciła się i spojrzała w tamtym kierunku. Świnie kwiczały i chrząkały niespokojnie, a wiele podbiegło do ogrodzenia od strony morza i darło racicami suche gałęzie.

Ziemia zadrżała. Piria się zatoczyła. Odyseusz złapał ją i mocno przytrzymał, gdy głązy z łoskotem toczyły się po zboczach. Morze się spieniło i błyskawicznym odpływem wycofało z plaży, tworząc wielką falę, która runęła naprzód, omywając stojących w głębi Odyseusza i Pirię. Woda zmyła dwa ogniska, lecz nie sięgnęła trzeciego, rozpalonego wyżej, oraz zagrody dla świń. Pierwsza fala uniosła *Penelopę* i zaniósła ją daleko w głąb plaży.

Wielkie fale biły o brzeg, ale ziemia przestała drżeć. Świnie kwiczały ze strachu.

Klnąc, Odyseusz pomaszerował ku nim razem z Pirią.

– Cicho, zaraza na wasze ryje! – ryknął i świnie ucichły, zaskoczone niespodziewanym krzykiem.

– Tam! – Wskazał ręką jeden z marynarzy i wyteńczywszy wzrok, Piria dostrzegła w wodzie czarną plamkę widoczną w blasku księżyca na grzbiecie białego grzywacza.

– Ganny – westchnął Odyseusz. – Na wszystkich bogów z nieprawego łoża...

Zrzucił kosztowny złoty pas i sandały, po czym pobiegł ku morzu. Bias zaklął, dogonił go i złapał za ramię.

– Mój królu, nie rób tego! – zawołał, ledwie przekrzykując łoskot grzywaczy. – Fale rzucą cię o skały. Zginiesz.

Odyseusz wyrwał mu się bez słowa i wszedł w wodę. Bias znowu głośno zaklął i poszedł za nim. Po chwili wahania jeszcze dwaj marynarze ruszyli za nimi.

Prąd szybko niósł ku nim wieprzka i gdy znalazł się bliżej, Piria zobaczyła, że jest wyczerpany i ledwie przebiera nogami, miotany i obracany przez nurt. W oddali z wody wystawał rząd czarnych skał, ku którym prąd szybko znosił Ganny'ego. Wieprz kwiczał coraz słabiej i Piria obawiała się, że zaraz pójdzie na dno.

Przeplłynął taki kawał drogi, z nadzieją w sercu podążając za statkiem...

Odyseusz na pół dobrnął, na pół dopłynął do poszarpanych skał i przedostał się na drugą stronę, miotany przez fale. Pozostali z trudem dołączyli do niego i Piria widziała, że wkładają wszystkie siły w walkę z morzem. Przesuwali się wzdłuż skał w nadziei, że złapią Ganny'ego, gdy przyniesie go tam prąd.

Wielka fala zakryła czarną świnie i po chwili Piria zobaczyła ją tuż przy skale, na której stał Odyseusz. Gdy następna fala uniosła wieprzka, Odyseusz rzucił się do morza, chwytając Ganny'ego i zmieniając jego kurs. Następna fala spadła na nich z łoskotem i obaj zniknęli w białej kipieli. Kiedy znów się pojawili, byli już za linią śmiertelnych skał.

Bias i dwaj marynarze skoczyli za nimi i przez chwilę Piria niczego nie widziała. Potem zobaczyła marynarzy taszczących wyczerpanego wieprza na brzeg i Biasa z Odyseuszem brodzących w wodzie za nimi.

Zwierzę położono na piasku w pobliżu zagrody, w której inne świnie kręciły się i pochrzakiwały, niespokojnie wyciągając szyje, żeby spojrzeć na przyjaciela. Słona woda ciekła z pyska Ganny'ego, który ledwie oddychał. Słabo poruszał nogami i żeglarze nie wiedzieli, co robić.

Odyseusz też był zmęczony i ociekał wodą. Był pokaleczony, posiniaczony i miał długie otarcie na przedramieniu, którym najwidoczniej odepchnął się od skały. Stał nad

wieprzem i westchnął.

– Potrzebuje ciepła i odpoczynku – rzekł. – Połóżcie go przy ognisku. – Wskazał palcem na Leukona i warknął: – Okryj go swoim płaszczem. To wszystko twoja wina, ty durniu.

Jasnowłose żeglarz pośpiesznie zdjął żółty płaszcz, uklęknął i niezgrabnie okrył bezsilne zwierzę. Odyseusz odwrócił się i pokuśtykał w kierunku *Penelopy*. Kiedy mijał Pirię, usłyszała, jak mamrocze:

– Głupia świnia.

V. KSIEŻNICZKA

Kalliades siedział sam, z daleka od ogniska. Morze się uspokoiło, lecz noc była chłodna i zimny wiatr świszczwał wśród skał. Większość załogi jeszcze spała. Spojrzał tam, gdzie siedziała Piria, skulona pod skałą osłaniającą ją od wiatru. Już miał do niej podejść, gdy zobaczył, jak wielki czarnoskóry Bias niesie jej wiązkę chrustu i zapala żagwią z obozowego ogniska. Potem zaniósł jej koc. Kalliades żałował, że sam o tym nie pomyślał.

Zamknawszy oczy, oparł się o skałę, snując ponure myśli. Nagle usłyszał szmer za plecami i ożywił się, myśląc, że to Piria przyszła usiąść przy nim. Otworzywszy oczy, ujrzał kręłą postać Odyseusza. Brzydki Król usiadł obok niego.

– Nocą jest w morzu coś, na widok czego człowiek czuje się mały – rzekł.

– Ja czuję się tak, kiedy patrzę na góry – powiedział Kalliades.

– Ach, to dlatego, że jesteś człowiekiem lądu. Jednak masz rację. Morza i góry są odwieczne i niezmiennie. My jesteśmy tu tylko przez krótki czas, a potem stajemy się prochem historii. – Zamilkł na chwilę, a potem rzekł: – Powiedz mi, co się stało tamtej nocy w Troi?

Zapytał niewinnym tonem, lecz Kalliades poczuł ucisk w żołądku. Zatem Odyseusz wiedział. Kalliades nagle poczuł się jak dureń. Wczoraj na plaży powiedział, że walczył przeciw Arguriosowi. Głupio mu się wymknęło. I co teraz? Na Chios stacjonuje mykeński garnizon. Co postanowi Odyseusz? Sprzeda ich za złoto Agamemnona? Zauważył, że Odyseusz uważnie mu się przygląda, i uświadomił sobie, że nie odpowiedział na jego pytanie.

– Przegraliśmy – odparł krótko. – A nie powinniśmy. Dowodził nami głupiec.

– Na czym polegała jego głupota?

– Nie chcę o tym mówić – rzekł Kalliades. – Co zamierzasz z nami zrobić?

– Och, uspokój się, chłopcze. Niczego nie zamierzam robić. Jeśli o mnie chodzi, jesteście tylko pasażerami.

– Nie interesuje cię nagroda wyznaczona przez Agamemnona? Trudno mi w to uwierzyć.

Odyseusz zachichotał.

– Szczerze mówiąc, chodziło mi to po głowie. Niestety, mam łatwowierną załogę. Tak więc możecie odejść, kiedy zechcecie.

Kalliades był zaintrygowany.

– Jak ich łatwowierność wpływa na twoje decyzje?

– Przypomniano mi, że ty i twój przyjaciel jesteście dobrymi wojownikami i bohaterami, którzy zaryzykowali życie dla nieznanym kobiecie. Krótko mówiąc, takimi ludźmi, o jakich snuję opowieści. Dlatego, chociaż przydałoby mi się złoto Agamemnona, muszę z niego zrezygnować.

Kalliades milczał. Wątpił, by życzenia załogi miały jakikolwiek wpływ na decyzje Odyseusza, i pamiętał o słowach Sekundosa ostrzegającego przed skomplikowaną naturą tego człowieka. Odyseusz znów przemówił.

– Czy teraz możesz mi powiedzieć, dlaczego wasz dowódca był głupcem?

Kalliades wrócił myślami do tamtej krwawej nocy i znów usłyszał krzyki rannych, szczęk mieczy i zgrzyt tarcz. Zobaczył potężnego Arguriosa broniącego schodów, a obok niego straszliwego Helikaona.

– Dlaczego był głupcem? – powtórzył. – Ponieważ pozwolił, aby nieprzyjaciel dyktował mu strategię. Kiedy wdarliśmy się za mury pałacu i walczyliśmy w megaronie, Argurios wycofał swoich ludzi na główne schody. Stanął na nich z Helikaonem, jakby wyzywał nas do ataku. Mieliśmy przewagę liczebną. Mogliśmy wziąć drabiny i wejść na galerię nad schodami. Wtedy moglibyśmy uderzyć z dwóch stron. Nie zrobiliśmy tego. Próbowaliśmy pokonać tych dwóch herosów. Na schodach nasza przewaga liczebna nie miała żadnego znaczenia. Potem wrócił Hektor i to my zostaliśmy okrążeni. – Opowiedział, jak Kolanos próbował kupić sobie życie, proponując, że zdradzi Agamemnona, a król Priam odrzucił propozycję. – Wciąż nie mogę tego zrozumieć – rzekł Kalliades. – Król, którego próbowaliśmy zabić, darował nam życie, a król, któremu służyliśmy, kazał nas zamordować. Może powinieneś ułożyć o tym opowieść, Odyseuszu.

– Pewnie kiedyś to zrobię.

– A co z Pirią? – zapytał Kalliades. – Czy ona także może odejść, kiedy zechce?

– Troszczysz się o nią?

– Czy to cię dziwi?

– Wcale nie. Tylko pytam. A odpowiadając na twoje pytanie, tak, może zrobić, co zechce. Tylko że ona nie zostanie z tobą. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Tego nie możesz wiedzieć, Odyseuszu.

– Jest wiele rzeczy, o których nic nie wiem. Nie wiem, skąd zrywa się wiatr i gdzie kończy się niebo. Nie wiem, gdzie gwiazdy chowają się w dzień. Jednak znam kobiety, Kalliadesie, i Piria nie należy do tych, które pragną mężczyzn. Nigdy nie pragnęła.

– Skąd ją znasz?

Odyseusz pokręcił głową.

– Jeśli ona ci tego nie powiedziała, to nie moja rzecz mówić. Jednak przebywając blisko niej, kusi się los.

– Wiele wycierpiała przez ostatnie dni – rzekł Kalliades. – Jej nienawiść do mężczyzn jest zrozumiała. Mimo to myślę, że mnie lubi.

– Jestem pewien, że tak. Jak brata – dodał Odyseusz. – Dowiozę ją bezpiecznie do Troi. Jednak kiedy się tam znajdzie, będzie w wielkim niebezpieczeństwie.

– Dlaczego?

– Tak jak za wasze, tak też za jej głowę wyznaczono nagrodę – tylko o wiele większą.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Lubię ją – odparł Odyseusz – i sądzę, że w nadchodzących dniach będzie potrzebowała przyjaciół. Oddanych przyjaciół.

– Czy wiesz, dlaczego płynie do Troi?

– Sądzę, że tak. Jest tam ktoś, kogo kocha tak bardzo, że zaryzykuje życie.

– To nie jest mężczyzna – powiedział cicho Kalliades.

– Nie, chłopcze. Nie mężczyzna.

Odyseusz wstał i odszedł od Kalliadesa do zrobionej z suchych gałęzi zagrody dla świń.

Zwierzęta spały, zbite w gromadę przy ogrodzeniu od strony lądu. Spojrzał w kierunku ogniska i zobaczył tam Ganny'ego, przykrytego żółtym płaszczem. Wieprz podniósł łeb i spojrzał na Odyseusza. Król podszedł do niego.

– Szczęściarz z ciebie – rzekł cicho. – Przyniosły cię tu fale wywołane trzęsieniem ziemi. Może bogowie cię kochają. – Uśmiechnął się. – Głupia świnió – rzekł czule. – Porozmawiam z Orystenesem i postaram się, żebyś nie skończył na czyimś stole.

A teraz prowadzisz nocne rozmowy ze świniami, skarcił się w duchu.

Dorzuciwszy drwa do ognia, wyciągnął się na piasku w nadziei, że zaśnie. Chaotyczne myśli przelatywały mu przez głowę jak irytujące nietoperze. Kobieta zwana Pirią, którą znał jako księżniczkę Kaliope, stanowiła zagrożenie dla wszystkich, którzy się z nią zetknęli. A jeszcze ten mykeński wojownik i jego olbrzymi kompan. Agamemnon ogłosił ich banitami, wyjętymi spod prawa. Pomagając im, niewątpliwie wzbudzi gniew mykeńskiego władcy. Odyseusz obrócił się na bok i usiadł, strzepując piasek z tuniki.

Gniew Agamemnona. Niepokojąca myśl.

Tylko czy był ktoś, kogo Agamemnon nie nienawidził? Nawet jego przyjaciele byli zaledwie przyszłymi wrogami. Odyseusz wziął bukłak z wodą i napił się. Bias spał w pobliżu.

Odyseusz trącił go nogą.

– Nie śpisz? – zapytał, mocniej wbijając paluch stopy między żebra Biasa.

Czarnoskóry sapnął.

– Co jest?

– No cóż, skoro nie śpisz, pomyślałem, że moglibyśmy posiedzieć i pogadać o dawnych czasach.

Bias ziewnął i obrzucił króla złowrogim spojrzeniem.

– Dlaczego nigdy nie budzisz nikogo innego, kiedy nie możesz zasnąć?

– Inni nie irytują się tak bardzo jak ty. To mniej zabawne.

– Irytują się tak samo jak ja, o Brzydki, po prostu tego nie okazują.

– Zastanawiam się, czy nie zatrzymać Ganny’ego, kiedy sprzedam pozostałe świnie.

Jako maskotkę *Penelopy*.

Bias westchnął.

– Wcale nie. Mówisz tak tylko, żeby mnie zdenerwować.

– Jednak to niezły pomysł.

– Który? Denerwowanie mnie czy zatrzymanie świni?

– Oba mają swoje zalety, ale myślałem o świni.

Bias zachichotał.

– Istotnie, to byłoby zabawne. Tak – dodał po namyśle. – Podoba mi się ten pomysł.

– To głupi pomysł – warknął Odyseusz. – Świnie to towarzyskie stworzenia. Byłby samotny. I zasmrodziłyby cały statek. – Zerknął na Biasa i zobaczył zrozumienie w jego oczach. – No dobrze, tej nocy nie zdołam cię zwieść. Jednak naprawdę polubiłem tę świnie!

– Wiem. Słyszałem, jak do niej mówiłeś. Mgła gęstnieje – dorzucił, wskazując na morze, gdzie biała ściana powoli nadciągała zza pierścienia skał.

– Dobry jasny poranek ją rozproszy. – Odyseusz przetarł oczy.

Czuł piasek pod powiekami i ociężałość zmęczenia.

– Zastanawiałeś się, co zrobisz z naszymi pasażerami? – zapytał Bias, sięgając po bukłak z wodą i pociągając łyk.

– Zabiorę ich tam, dokąd chcą dotrzeć.

– To dobrze.

– Kobiety również.

Bias spojrzał na niego.

– Nie sądziłem, że są jakieś wątpliwości co do niej.

– Ach, czyżbym nie wspomniał? – zapytał Odyseusz, niższy głos. – To zbiegła

kapłanka z Tery. To oznacza śmierć wszystkich, którzy jej pomogą.

– Zbiegła... Phi! Znow próbujesz mnie podejść.

– Nie, wcale nie.

– Skończ już z tym, Odyseuszu – rzekł Bias. – Nie jestem w nastroju do takich żartów.

Odyseusz westchnął.

– Mówisz, że mnie znasz, Biasie, przyjacielu. Zatem spójrz mi w oczy i sprawdź, czy żartuję. Jest tak, jak mówię.

Bias spojrzał mu w oczy, a potem pociągnął łyk wody.

– Zaczynam żałować, że to nie wino – rzekł. – A teraz powiedz mi prawdę, mój królu.

Czy to uciekiniarka z Tery?

– Tak.

Bias zaklął.

– Czyż ostatnia nie została spalona? – szepnął, nerwowo oglądając się przez ramię, by sprawdzić, czy któryś z marynarzy się nie zbudził.

– Spalono ją żywcem. A razem z nią rodzinę, która ją przygarnęła, i kapitana statku, na którym uciekła. Och... i ścięto głowę mężczyźnie, do którego uciekła.

– Tak, teraz sobie przypominam – powiedział Bias. – Kim więc jest Piria? Proszę, powiedz mi, że jest córką wodza jakiegoś odległego zamorskiego plemienia.

– Jej ojcem jest Peleus, król Tesalii.

– Na zęby Trytona! Jest siostrą Achillesa?

– W istocie.

– Moglibyśmy wydać ją na Chios – powiedział Bias. – Jest tam świątynia Ateny i jej kapłanki mogłyby ją przetrzymać do czasu zawiadomienia jej rodziny.

– Wydać ją? Biasie, mój chłopcze, czyż to nie ty przypomniałeś mi, że dwaj dzielni mężczyźni uratowali tę pannę? I że wszystkie moje opowieści mówią o bohaterach? Widzisz jakąś różnicę?

– Dobrze wiesz, na czym polega różnica – syknął Bias. – Ci dwaj Mykeńczycy znikną, dołączą do jakiegoś zamorskiego garnizonu i nikt nie będzie o niczym wiedział. Ta dziewczyna jest siostrą Achillesa. Achillesa zabójcy, który pije krew wrogów i wypruwa im wnętrzności. Kiedy zostanie schwytana – a zostanie, Odyseuszu – rozejdzie się wieść, że *Penelopa* była zamieszana w jej ucieczkę. Chcesz, żeby ścigał cię Achilles? Nie ma sławniejszego zabójcy w zachodnich krainach.

Odyseusz zaśmiał się cicho.

– Zatem uważasz, że mamy być bohaterami, jeśli nie grozi nam zdemaskowanie, lecz

w razie zagrożenia powinniśmy zachować ostrożność?

Teraz westchnął Bias.

– Nieważne, co mówię. Ty już zdecydowałeś.

– Tak. Jednak zrozum mnie, przyjacielu. Zgadzam się ze wszystkim, co powiedziałeś.

– To dlaczego ryzykujesz?

Odyseusz milczał przez chwilę.

– Może dlatego, że jest w tym opowieść, Biasie. I nie mówię o opowieści snutej na plaży w blasku księżyca. To nitka wielkiego gobelinu. Może chcę zobaczyć, jak wygląda cały. Tylko pomyśl. Księżniczka ucieka ze Świątyni Konia i zostaje pojmana przez piratów. Dwaj z nich zwracają się przeciwko swym kompanom i ryzykują życie, żeby ją uratować. Potem pojawia się my. A przecież Wielka Zieleń jest ogromna. Jakie są szanse na to, że dziewczyna znajdzie się na statku, którego kapitan ją rozpozna? I dokąd zmierza? Do Złotego Miasta, gdzie zbierają się wszyscy władcy zachodu i wschodu. Do miasta pełnego spisków, intryg i snów o grabieży.

– I będzie tam Achilles – przypomniał Bias.

– Och, tak. Jakże mogłoby go zabraknąć? Hektor i Achilles, dwaj waleczni giganci, dwie legendy, dwaj herosi. Duma i próżność przywiodą Achillesa do Troi. Będzie miał nadzieję, że Hektor zechce wziąć udział w igrzyskach z okazji swoich zaślubin. Będzie marzył o pokonaniu go, żeby ludzie mówili tylko o jednym wielkim bohaterze.

– Zatem mamy popłynąć do Troi i zawieźć tam wyjętą spod prawa siostrę Achillesa? I co ona będzie tam robić? Krążyć po ulicach, aż ktoś ją rozpozna?

Odyseusz pokręcił głową.

– Sądzę, że będzie szukała innej byłej kapłanki z Tery, swojej przyjaciółki.

Bias nagle zrozumiał.

– Mówisz o Andromasze?

– Tak.

– Zbiegła siostra Achillesa uda się do narzeczonej Hektora?

– Tak. Teraz rozumiesz, co mówiłem o nitce i gobelinie?

– Nie obchodzą mnie nitki – rzucił gwałtownie Bias. – Jednak załoga nie może się dowiedzieć, kim ona jest.

– Ona im nie powie. A im mniej będą wiedzieć, tym bardziej będą zadowoleni.

– Ja byłbym najbardziej zadowolony, gdybym nie wiedział – rzekł gniewnie Bias.

Odyseusz się uśmiechnął.

– Nadal myślisz, że znasz mnie lepiej niż ja sam?

Bias milczał chwilę, a kiedy znów się odezwał, Odyseusz usłyszał w jego głosie smutek.

– Och, nie ma w tym niczego, co nie zgadzałoby się z tym, co o tobie wiem, Odyseuszu. Jedynym człowiekiem, którego naprawdę nie znam, jestem ja sam.

– Myślę, że tak naprawdę nigdy sami się nie znamy – rzekł z przeciągłym westchnieniem Odyseusz. – Kiedyś byłem Zdobywcą Miast, handlarzem niewolników i morskim rabusiem. Myślałem, że jestem zadowolony. Potem zostałem kupcem, człowiekiem, który nie ma wrogów. I myślę, że jestem zadowolony. Myliłem się wtedy. Czy myślę się teraz? – Spojrzał na Biosa. – Czasem myślę, że im więcej wiem, tym mniej rozumiem.

– No cóż, ja jestem bardziej rad, służąc człowiekowi, który nie ma wrogów – powiedział Bias.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. W końcu Odyseusz wstał.

– Wiesz, wciąż o nim śnię – powiedział. – Wciąż słyszę jego śmiech.

Smutek ogarnął Biosa, gdy patrzył na odchodzącego Brzydkiego Króla.

„Wiesz, wciąż o nim śnię. Wciąż słyszę jego śmiech”.

Czternaście lat minęło od tamtych okropnych dni śmierci i rozpacz, które w pamięci Biosa wciąż były żywe i bolesne.

Podczas łowów na niewolników w zamorskiej wiosce Bias został uderzony maczugą w lewe przedramię. Kość pękła i długo się goiła. Jednak schwytali osiemnaście kobiet i popłynęli na targ niewolników na Cyprze. Niewolnice podczas całego rejsu nie odzywały się, skulone na śródokręciu. Kiedy jednak przybili do wyspy, jedna z nich, wysoka kobieta o płonących czarnych oczach, spojrzała złowrogo na Odyseusza.

– Ciesz się swym triumfem, Zdobywco Miast – powiedziała. I wiedz, że nim skończy się letni sezon, zaznasz takich samych cierpień jak my. Pęknie ci serce, a duszę będzie trawić ogień.

Odyseusz pokręcił głową.

– Ty niewdzięczna suko – rzekł. – Czy zostałyście zgwałcone? Czy byłyście bite? Czy nie żywiłem was i nie dbałem o was? Na Cyprze będzie wam równie dobrze jak w tej zawszonej wiosce.

– A kto zwróci nam mężów, których zabiliście, i dzieci, które tam zostały? Przekleństwo Seta spadnie na twoje barki, Odyseuszu. Przypomnij sobie moje słowa, kiedy dni staną się krótsze.

Przeprowadzili jeszcze dwa udane wypady, zanim *Penelopa* i trzy inne statki wróciły do Itaki. Bias został tam, żeby zrosła się złamana kość. Odyseusz spędził trzy dni z Penelopą i

synem, sześciolatkiem Laertesem, a potem popłynął na kolejne łowy na niewolników.

Pod koniec sezonu Penelopa powiedziała Biasowi, że razem z Laertesem udaje się do Pylos.

Nestor zaprosił ich na uroczystości ślubne jednego ze swoich synów. Bias towarzyszył jej w tej krótkiej podróży na wschód.

Pierwsze trzy dni upłynęły w radosnej atmosferze. Bias miał powodzenie u niewolnic w pałacu Nestora. Jednej nocy dwie z nich dzieliły jego łożo, jedna jasnowłosa i piersiasta, a druga ciemnoskóra z wielkimi oczami. To była piękna noc. O świcie usłyszeli zawodzenie dobiegające z pałacu.

Wtedy rozradowany Bias tego nie wiedział ani nawet nie przeczuwał, lecz ów lament wieścił dni śmierci.

Dziesięć dni wcześniej w pobliskiej wiosce wybuchła zaraza. Król Nestor kazał żołnierzom objąć wioskę kwarantanną i nikogo nie wypuszczać. Później okazało się, że jeden z żołnierzy wypuścił z wioski swoją siostrę, która przysłała do pałacu. Czwartego dnia po jej wizycie u kilku niewolników pojawiły się pierwsze objawy: gorączka i obrzęki pachwin oraz krocza. Po kilku następnych dniach choroba rozszalała się na dobre.

Chorych zabierano do ogarniętej zarazą wioski i umieszczano w wielkim domu należącym do kupca, który nadzorował zbiory lnu na tym terenie. Umarł jako pierwszy. Jego dom nazwano Domem Zarazy. Bias był przerażony. Nie licząc złamanej ręki, nigdy w życiu nie chorował i obawiał się kalectwa chyba bardziej niż śmierci.

Potem zachorował mały Laertes. Penelopa uparła się towarzyszyć mu do Domu Zarazy. Bias czuł się jak tchórz, ale nie zaproponował, że uda się tam razem z nią. Równie dobrze mógł to zrobić. Minęły dwie noce i obudził się z wyschniętym gardłem i ciałem zlanym potem.

Z początku próbował ukryć objawy, ale niewolnica dzieląca z nim łożo powiedziała swojej pani i przyszli żołnierze, by pod eskortą wywieźć go z pałacu razem z kilkoma innymi, którzy zachorowali.

Zanim wóz dojechał do Domu Zarazy, Bias mającżył i niewiele pamiętał z następnych dni, oprócz okropnego bólu szarpiącego jego ciało i snów o ziejących ogniem potworach, których oddech palił skórę. Jednak był silny i przeżył wysoką gorączkę oraz ropiejące wrzody pękające w pachwinach i kroczu. W ciągu tych dni Penelopa często przychodziła do jego łoża, przynosząc polewki i zimną czystą wodę do picia. Wyglądała na wyczerpaną, gdyż niestrudzenie pomagała trzem kapłanom Asklepiosa. Codziennie przywożono kolejnych chorych i teraz w wielu domach wioski leżały nowe ofiary zarazy. Śmierć była wszędzie i

krzyki umierających niosły się echem po wiosce. Zaraza zabijała cztery z każdych pięciu osób, które zachorowały.

Potem zaniemogła Penelopa. Bias zaniósł ją do szerokiego łoża, na którym leżał jej synek, i położył przy nim. Laertes spał już od dwóch dni, nie budząc się, nawet by wypić choć łyk zimnej wody.

Dziesiątego dnia zachorowało także dwóch z trzech kapłanów. Teraz jedynie nieliczni ocalali opiekowali się chorymi. Pewnego dnia Bias wyszedł z domu i zawołał do żołnierzy pilnujących ogrodzenia wzniesionego wokół wioski, że potrzebna im pomoc. Po południu cztery stare kapłanki Artemis przybyły z wozem pełnym żywności. Były nieprzystępnymi kobietami o surowych oczach, ale sprawnie zajęły się wszystkim. Kazały Biasowi i trzem innym ozdrowieńcom pozbierać wszystkie ciała i wynieść je na dwór, gdzie wykopano dół, który napełniono suchymi gałęziami, oblanymi oliwą. Spalono w nim trupy.

Bias wspominał jasny poranek, gdy przy ogrodzeniu pojawił się Odyseusz, wołając Penelopę.

Bias wyszedł z domu i zobaczył swojego króla stojącego za płotem, w zielonym płaszczu na szerokich ramionach, z rudą brodą błyszczącą w słońcu.

– Gdzie oni są, Biasie? – zawołał. – Gdzie moja żona i syn?

– Są chorzy, mój panie. Musisz trzymać się z daleka od tego miejsca.

Bias wiedział już, że Odyseusz, nieustraszony w bitwie czy burzy, bał się choroby. Jego ojciec umarł w czasie zarazy. Dlatego Bias zdziwił się, gdy Odyseusz podszedł do prowizorycznej bramy i zdjął skórzaną pętlę. Żołnierze go otoczyli, łapiąc za ręce i odciągając.

Wyrwał im się i uderzył pięścią jednego z nich, powalając go na ziemię.

– Jestem Odyseusz, król Itaki! – zagrzemiał. – Następnemu, który mnie dotknie, obetnę ręce!

Wtedy się cofnęli, a Odyseusz otworzył bramę.

Razem weszli do domu. Odyseusz oniemiał na widok dziesiątków ofiar zarazy, leżących pokotem w megaronie. W powietrzu unosił się ciężki odór wymiotów, odchodów i moczu. Bias zaprowadził swego króla do sypialni na piętrze, gdzie Penelopa leżała obok Laertes. Odyseusz osunął się na podłogę przy nich, ujął dłoń Penelopy i podniósł do ust.

– Jestem tutaj, moja miłości – powiedział. – Brzydal jest przy tobie. – Potem pogładził twarz synka. – Bądź silny, Laertesie. Wróć do mnie.

Jednak Laertes umarł w nocy. Bias był przy tym. Odyseusz szlochał i dygotał. Tulił nieżywe dziecko do piersi, obejmując szerokimi dłońmi główkę chłopca. Bias wiele razy

widział, jak Odyseusz tulił malca. Laertes śmiał się radośnie i całował zarośnięty policzek ojca. Albo chichotał bezradnie, gdy Odyseusz go łaskotał. Teraz leżał spokojnie, z twarzą bladą jak marmur.

Po długiej chwili Odyseusz umilkł. Potem spojrział na Biasa.

– To ja sprowadziłem na nich zgubę – rzekł.

– Nie, mój królu. Nie ty sprowadziłeś zarazę.

– Słyszałeś, co mówiła tamta niewolnica. Rzuciła na mnie klątwę. Powiedziała, że zaznam takich samych cierpień jak ona.

W tym momencie Penelopa cicho jęknęła. Odyseusz położył synka na łożu i podszedł do niej. Pochylił się nad nią i odgarnął zlepione potem włosy z jej czoła.

– Nie opuszczaj mnie, dziewczyno. Wysłuchaj mnie. Zostań ze mną.

I pozostał przy niej przez następne trzy dni, obmywając jej trawione gorączką ciało ciepłą wodą, zmieniając brudną pościel, tuląc ją i nieustannie do niej mówiąc, chociaż nie mogła go usłyszeć. Rankiem czwartego dnia jej wrzody pękły i ciało wydzieliło trucizny. Jedna z kapłanek Artemis przysłała ją obejrzeć.

– Będzie żyła – oznajmiła i opuściła komnatę.

W ciągu następnych tygodni coraz mniej ludzi przywożono do Domu Zarazy. Śmiertelność zmalała.

Kiedy Odyseusz, Penelopa i Bias opuszczali wioskę, już zaczęły się jesienne deszcze. Gdy szli nadmorską ścieżką do pałacu Nestora, słońce na moment przedarło się przez grubą warstwę szarych chmur. Bias spojrział na swego króla. W słonecznym świetle dostrzegł pasma siwizny na jego skroniach i zmęczenie w oczach.

Odyseusz nigdy więcej nie wspominał o klątwie. Jednak statki z Itaki już nigdy nie wyruszyły po niewolników. Odyseusz Zdobywca Miast, rabuś i pirat, stał się Odyseuszem kupcem, gawędziarzem.

Bias wyciągnął się na piasku i spojrział na gwiazdy. W tym momencie i on przypominał sobie śmiech Laertesza. Chłopiec miałby teraz dwadzieścia lat i był mężczyzną, urodziwym i silnym.

Jednak jego śmierć dała Odyseuszowi czternaście lat spokojnego życia. Ile wiosk splądrowałby przez ten czas? Ile żon porwałby z domów i sprzedał w niewolę? Ilu ojców zabiłby na oczach ich rodzin? Ta myśl zdziwiła go tak, że cicho zaklął. Zerknąwszy na drugi koniec obozu, ujrzał Odyseusza pogrążonego we śnie.

Dlaczego musiałeś mówić o nitkach i gobelinach? Teraz ja nie mogę zasnąć!

VI. TRZEJ KRÓLOWIE

Kalliades siedział, patrząc na spowite całunem mgły morze. Było coś złowieszczonego w ścianie migotliwej poświaty, która przypominającymi smugi dymu mackami sięgała ku czarnym, na pół zanurzonym w wodzie skałom. Zadrżał i mocniej otulił się płaszczem. Patrząc na taką mgłę, łatwo uwierzyć w legendy o morskich potworach i demonach z głębin. W tej mgle mogło się czaić wszystko, obserwując śpiących na plaży ludzi. Te myśli przypomniały mu czasy dzieciństwa, gdy siedział przy ognisku, słuchając barda snującego przerażające opowieści o nocnych stworach, które zakradają się do domów i kradną serca dzieci. Uwielbiał te opowieści i ich nienawidził – uwielbiał, kiedy słuchał ich z innymi dziećmi, i nienawidził, gdy później był sam i nasłuchiwał cichych kroków nocnych bestii. Wiele tych historii mówiło o magicznych mgłach skrywających demony.

Nagle Kalliades się uśmiechnął.

– Nie jesteś już strachliwym dzieckiem – powiedział sobie.

Zaraz jednak uśmiech zgasł mu na ustach.

Miał sześć lat, kiedy morscy rabusie napadli na wioskę, podpalając domy, zabijając mężczyzn i porywając młode kobiety. Jego czternastoletnia siostra Agasta złapała go za rękę i próbowała uciec. Ukryła go w polu lnu. Potem złapali ją rabusie. Pamiętał wyraz jej twarzy: rozpacz, strach i ból. Walczyła, drapiąc i gryząc, kiedy ją gwałcili. Rozwścieczeni oporem, poderżnęli jej gardło. Kalliades leżał i patrzył, jak uchodzi z niej krew.

Usiłując o tym zapomnieć, spojrzał na Pirię, siedzącą przy swoim ognisku. Jako dziecko nie mógł uratować siostry. Jako mężczyzna zdołał przynajmniej zapobiec podobnej tragedii. Czy była w tym pewna pociecha?

Jakiś dźwięk wyrwał go z rozmyślań. Odwróciwszy się z powrotem w kierunku morza, usłyszał dziwny przeciągły trzask dochodzący z mgły. Potem stłumione krzyki. Mgła rozproszyła się na moment i ujrzał maszt, przechylony pod dziwnym kątem, oraz fragment kadłuba. Żeglarze nie lubią spędzać nocy na morzu. Pływanie po Wielkiej Zieleni jest wystarczająco niebezpieczne, by ryzykować wiosłowanie na oślep w ciemnościach, nie widząc raf ani podwodnych skał.

Kalliades zbudził śpiących przy ognisku ludzi. Odyseusz, Bias oraz reszta załogi zeszli na brzeg. Mgła znów połknęła ciężko pracujący na fali statek.

– Stracili wiele wiosła – rzekł Bias. – Wygląda na to, że pójdzie na dno.

Nikt się nie ruszył. Stali nierównym rzędem, patrząc na ścianę mgły. Nagle nieszczęsny statek znowu się pojawił, tym razem zwrócony ku nim burtą. W świetle księżyca dostrzegli tylko byczy łeb namalowany na dziobie.

Odyseusz soczyście zaklął.

– To statek Merionesa – rzekł. – Na bogów, nie stójcie tak, wy krowie syny. Mam tam przyjaciela w potrzebie!

Załoga natychmiast pobiegła do *Penelopy*, zepchnęła ją na wodę i wgramoliła się na pokład.

Kalliades i Banokles popłynęliby z nimi, lecz Odyseusz, jako ostatni wspinający się na statek, powstrzymał ich i kazał pozostać na brzegu.

– Rozpalcie ogniska – rzekł. – Pewnie będziemy potrzebowali świateł, które nas poprowadzą z powrotem.

Odyseusz przebiegł po pokładzie i wdrapał się na dziób. Mgła była tak gęsta, że nie widział pokładu rufowego ani Biosa trzymającego wiosło sterowe. Nawet plusk zanurzających się w wodzie wiosła był stłumiony i odległy. Usłyszał, jak Bias podaje powolne tempo. Głos sternika był zduszony i zniekształcony przez mgłę.

Spojrząwszy w lewo, Odyseusz bacznie wpatrywał się w białą mgłę. Gdzieś w pobliżu, choć niewidoczna, wznosiła się pionowa ściana skał. Pierwszym wiosłarzem na sterburcie był jasnowłosy olbrzym Leukon. Odyseusz zawołał do niego:

– Uważaj! Pamiętaj o klifie.

Nie płynęli tak szybko, by zderzenie mogło uszkodzić *Penelopę*. Obawiał się o wiosła. Kadłub statku trzeszczał i jęczał, ocierając się o rząd podwodnych skał.

– Równo, chłopcy! – krzyknął Odyseusz. – A teraz leciutko!

Był zmęczony i czuł piasek pod powiekami, a wszystkie mięśnie miał zeszywniałe i obolałe po ratowaniu Ganny'ego. Zaczerpnął tchu i wyteżył wzrok.

– Słyszysz mnie, Merionesie? – ryknął.

Nikt mu nie odpowiedział, chociaż krzyknął jeszcze kilka razy. Jakiś marynarz pojawił się przy nim z grubą liną na ramieniu. Nagle *Penelopa* zadrżała. Odyseusz zaklął, gdy kolejne trzęsienie ziemi wzburzyło morze. Woda zaczęła kipieć. Podwodny prąd gwałtownie cisnął *Penelopą*, która przechyliła się na burtę. Stojący na dziobie Odyseusz stracił równowagę i byłby wpadł do wody, gdyby marynarz z liną go nie chwycił i nie wciągnął na pokład. Wielka fala uniosła statek i *Penelopa* ostro przechyliła się na sterburcie. Dwaj wiosłarze zostali wyrzuceni z ławeczek.

Odyseusz wgramolił się z powrotem na dziób. Bias pośpiesznie wykrzykiwał rozkazy

i statek się wyprostował, jednak fale zepchnęły ich z powrotem do klifu. Majaczył w ciemnościach, ogromny i ciemny. Głazy spadały do morza, opryskując ich fontannami wody.

Odyseusz spojrział w górę. Nad *Penelopą* wisiał ogromny skalny występ, niemal równie długi jak jej kil. Dostrzegł w nim szybko powiększające się pęknięcie. Wiatr się wzmógł, smagając statek i spychając go ku czarnej ścianie.

– Wiosłujcie mocniej, krowie syny! – krzyknął Odyseusz. Wiosła głębiej zanurzyły się we wzburzonej wodzie, lecz w starciu z potęgą napierających fal wiosłarze z trudem mogli jedynie zapobiec zepchnięciu *Penelopy* na klifowe skały.

Skalna ściana nad ich głowami wydała rozzwierający trzask. Pył i skalne odłamki posypały się ze szczeliny, niczym grad padając na pokład *Penelopy*.

– Do taranowania! – ryknął Odyseusz.

Penelopa nie miała tarana, ale wszyscy żeglarze wiedzieli, co miał na myśli. Z całej siły zaczęli ciągnąć wiosła. Bias podawał tempo.

– Ciągnij! Ciągnij! Ciągnij!

Penelopa cał po calu zaczęła posuwać się naprzód. Odyseusz, z mocno bijącym sercem, suchym językiem przesunął po spieczonych wargach.

– Dalej, moja miła! – rzekł cicho, klepiąc dziób galery. – Zabierz nas stąd.

Na górze rozległ się ogłuszający trzask i skalny występ się oderwał. Czas zatrzymał się dla Odyseusza. Widział, jak ogromny kawał skały odprysnął od urwiska, i wiedział, że są zgubieni.

Zdumiewające, ale nie czuł rozpacz. W myślach zobaczył żonę, trzymającą w ramionach małego Laertes. Usłyszał płacz dziecka i radość przepełniła jego serce.

W tym momencie podwodny prąd pochwycił *Penelopę* i odciągnął od urwiska na moment przed tym, zanim skalna półka uderzyła w wodę w odległości zaledwie drzewca włóczni za rufą statku. Fala uniosła i obróciła małą galere, lecz *Penelopa* zaraz wyrównała. Śmiech Odyseusza przetoczył się po wodzie. Brzydki Król zapomniał o zmęczeniu.

– Bogowie nas kochają, chłopcy! – zawołał. – Jeszcze ułożymy o tym opowieść!

– Zaraza na wasze opowieści! – usłyszeli głos. – Może przyszlubiście nam z pomocą?

Odyseusz spojrział na sterburtę. Wojenna galera była tuż obok, zanurzona w kłębach mgły.

Na dziobie stała jakaś postać z długą brodą, odziana na czarno.

– Mogłem się domyślić, że to ty, Merionesie – zawołał wesoło Odyseusz. – Nie umiałbyś przepawić gałązki przez kałużę, nie zatapiając jej po drodze.

– Dobrze cię widzieć, ty tłusty samochwało!

Marynarz stojący obok Odysusza zarzucił pętlę na dziobnicę, a koniec liny rzucił Merionesowi. Wojenna galera miała dziurę w bakburcie. Większość załogi zebrała się na sterburcie i połączony ciężar ich ciał pomagał utrzymać otwór nad powierzchnią wody.

Kiedy przywiązano linę, Odysusz przeszedł po pokładzie na rufę. Nie widział ognisk na brzegu, ale słyszał słabe okrzyki dolatujące z odległej plaży. Próbowali go naprowadzić, skandując raz po raz „Penelopa”. Podążając za dźwiękiem swojego imienia, statek powoli się cofał, aż marynarze dostrzegli słaby blask płomieni.

Mykeński wojownik Kalliades rozpałił na zboczu góry kilka ognisk tworzących kształt grotu strzały. Bias się uśmiechnął.

– Dobrze pomyślane – pochwalił.

Odyseusz skinął głową.

– Kiedy dojdziemy do brzegu, weź wszystkich na dziób i niech ciągną linę. Przyciągniemy galerę do nas.

– Wygląda na to, że stoczyła zaciętą bitwę – zauważył Bias.

Odyseusz milczał. Tę bitwę z pewnością wydała piracka flota. Żaden pojedynczy statek nie odważyłby się zaatakować Merionesa. Cieszył się on sławą morskiego wojownika, z którym nikt nie mógł się równać – może oprócz Helikaona. Tylko po co atakowali kreteński okręt wojenny?

Przecież nie przewożono na nim żadnych bogactw.

Dziób *Penelopy* zachrzęścił na piasku. Bias rozkazał marynarzom chwycić linę i wkrótce wojenna galera została wyciągnięta na brzeg. Gdy oba statki były już bezpieczne, Odysusz zeskoczył na plażę. Marynarze z obu statków, brodząc w wodzie po pas, wychodzili na brzeg.

Wysoki mężczyzna w zbroi i hełmie podszedł do Odysusza i zatrzymał się przed nim.

– Wielkie dzięki, Itako – rzekł chrapliwym i donośnym głosem Idomeneos, król Krety. Zanim Odysusz zdążył odpowiedzieć, dołączył do nich czarnobrody Meriones.

Odyseusz zachichotał.

– Co się stało, Merionesie? Wpadłeś na skały, prawda?

– Dobrze wiesz, co się stało – odparł Meriones. – Zostaliśmy staranowani.

– Przekłęci piraci – powiedział Idomeneos. – Można by sądzić, że król może żeglować po swoich wodach, nie narażając się na taką zniewagę. Przysięgam na Posejdona, że kiedy wrócę z Troi, skieruję na te wody całą flotę wojenną i wyrznię wszystkich łotrów, jakich zdołam znaleźć.

– Ile ich było? – spytał Odyszeusz.

– Sześć galer. Zatopiliśmy dwie, ale straciliśmy jedną – odparł Meriones. – Przez chwilę była to przednia zabawa z płonącymi strzałami, oddziałami abordażowymi i szczękiem oręża. Świetnie byś się bawił.

– Świetnie bym się bawił, oglądając to – odparł Odyszeusz. – *Penelopa* nie jest okrętem wojennym. Nie ma tarana na kilu. Sądzisz, że jutro nadal będą na was polować?

– Nie wątpię, że tak – wtrącił Idomeneos. – Wiedzą, kim jestem. Wiedzą również, że wszyscy władcy ziem wokół Wielkiej Zieleni podążają teraz do Troi. To był napad dla okupu. Zamierzali mnie schwytać i sprzedać moim synom. – Spojrzał na plażę i zobaczył nadchodzącego Nestora. – Ach, to ci dopiero historia. Mamy tu trzech królów i ani jednego okrętu wojennego.

Odyszeusz zaprowadził ich do ogniska, a potem zczekał, aż z uszkodzonego statku zniesiono wszystkich rannych. To prawda, że napad dla okupu był najbardziej prawdopodobnym wytłumaczeniem. Zachichotał. Nikt nie dałby nawet miedzianego pierścienia, żeby odzyskać Idomeneosa.

Rozpoznawszy jednego z uratowanych, bezsilnie leżącego na piasku, Odyszeusz podszedł do niego.

– Myślałem, że już nie żyjesz – powiedział.

Białowłosy marynarz miał głęboko rozcięty bark i ranę kłutą na biodrze. Ramię mocno krwawiło. Bias przyszedł z igłą i motkiem cienkiej nici.

Ranny westchnął.

– Do licha, niedobrze mi już od tego szycia, Odyszeuszu. Nawet moje rany mają rany.

– No to co wciąż robisz na morzu, stary durniu? Kiedy ostatnio o tobie słyszałem, miałeś małą farmę.

– Wciąż mam. Mam też nową młodą żonę i dwóch małych synów. – Żeglarz pokręcił głową.

– Jestem za stary na hałas i nieustanne żądania.

Odyszeusz się roześmiał.

– Wolaleś walczyć z piratami?

– Kto by pomyślał, że jacyś piraci będą tak głupi, żeby napaść na Merionesa? Na bogów, człowieku, musieliśmy zabić dziś co najmniej siedemdziesięciu z nich. Chociaż straciliśmy przy tym trzydziestu dobrych ludzi.

– Co się stało? – zapytał Odyszeusz, gdy Bias nawlekał nitkę.

– Płynęliśmy na Chios. Piracka flota wypłynęła z za cypla. Sześć galer. Byłem pewien,

że już po nas. – Spojrzał na siedzących przy ognisku królów. – Jednak mieliśmy Merionesa. Najlepszy morski wojownik na Wielkiej Zieleni. To dało nam przewagę. Jednak niewielką. Wdarli się na pokład. Zaczęła się walka wręcz. – Stary zachichotał. – Wtedy wpadł na nich stary Ostrożęby. Człowieku, powinieneś zobaczyć ich miny.

– Ostrożęby? – dociekał Odyszeusz, zaciskając brzegi rany, żeby Bias mógł przesyć je igłą.

Stary żeglarz się skrzywił.

– Król Idomeneos. Nazywamy go Ostrożębym. On nie ma nic przeciwko temu. Prawdę mówiąc, sędzę, że nawet to lubi. To urodzony wojownik. Złośliwy jak chuda dziwka i zimnokrwisty jak wąż, ale kiedy trzeba walczyć... Człowieku, wpadł między nich w mgnieniu oka, wydając wojenne okrzyki i miotając zniewagi. Cóż to był za widok. Serce się raduje na widok tak dzielnego króla.

– Bogowie zawsze błogosławią odważnych ludzi.

– Mam nadzieję, że masz rację, o Brzydki. Jednak uratowało nas tylko tupanie bogów. Kiedy morze zaczęło kipieć, piraci wstrzymali atak. Ale jutro wciąż tam będą.

VII. KRAJ ZABÓJCÓW

Odyseusz podszedł do ogniska i usiadł przy śpiącym Gannym. Odziany na czarno Meriones wyciągnął się na piasku, trąc oczy. Odyseusz pomyślał, że wygląda na wyczerpanego. Meriones był silny, lecz już niemłody. Bitwa z piratami, a potem długa walka o doprowadzenie okrętu do bezpiecznego brzegu pozbawiła go sił. Nestor przyszedł i dorzucił drewna do ognia, a potem ostrożnie usiadł, uważając na lewe kolano. Odyseusz wiedział, że stary król ma zeszywniałe stawy, które sprawiają mu dotkliwy ból. W pobliżu Idomeneos odpiął pas z mieczem i położył go na piasku. Odyseusz zerknął na władcę. Ten też był po czterdziestce. Cały świat się starzeje, pomyślał ponuro. Machinalnie poklepał wieprzka, po czym okrył go pożyczonym płaszczem.

Ganny cicho chrząknął i otworzył ślepią. Podniósł łeb i trącił ryjem dłoń Odyseusza.

– W tym po prostu musi być jakaś opowieść – zachichotał Meriones.

– Nie jestem w nastroju do opowieści – mruknął Odyseusz.

– Och, zatem opowiem ją za ciebie. Najwidoczniej Odyseusz znów popłynął na wyspę Królowej Czarodziejki. Pamiętajcie, że przed kilkoma laty cała jego załoga została tam zamieniona w świnie – a przynajmniej tak twierdzi.

Odyseusz się uśmiechnął.

– Och, to była dobra opowieść. I masz rację, Merionesie. Pamiętasz mojego żeglarza imieniem Porthos? – Znów poklepał wieprzka. – On po prostu nie mógł się oprzeć urodzie Królowej Czarodziejki. Wszystko szło dobrze, dopóki nie przyłapała go, jak gapi się na jej cycki. Mówię wam, przyjaciele, niemądrze jest gapić się na cycki czarodziejki. I oto skutek. Trzymamy go na pokładzie z poczucia lojalności, chociaż tyle teraz z niego pożytku co z pierdzenia na uczcie.

– Mówiłeś, że jak było na imię tej Królowej Czarodziejce? – zapytał Meriones.

– Kirke. Najpiękniejsza kobieta, jaką widziałeś w życiu.

Meriones parsknął śmiechem, po czym wskazał na zagrodę z suchych gałęzi, w której spały inne świnie.

– A kim są ci nieszczęśnicy? Czy oni także gapili się na cycki królowej?

– Obawiam się, że tak – powiedział Odyseusz. – Najwidoczniej to królowie z odległych wysp, za Scyllą i Charybdą. Każdy z nich przybył na wyspę, aby uwieść królową. Ich plany od początku były skazane na porażkę, gdyż królowa oddała swe serce młodemu i

urodzivemu żeglarzowi, mężczyźnie o wielkim rozsądku, uroku i niezwyklej inteligencji.

– Ach... to oczywiście ty?

Odyseusz zachichotał.

– Masz wątpliwości? Oczywiście, że to ja.

Nestor się roześmiał.

– Wiesz, dlaczego nie zamieniła cię w świnie, Odyseuszu? Ponieważ oddałaby ci przysługę.

– Dość łgarstw o świniach – warknął Idomeneos. – Co mamy jutro począć z piratami? Mam mniej niż tuzin zdolnych do walki ludzi, a ty zaledwie trzydziestoosobową załogę. Jedna mała galera przeciwko czterem z taranami.

Odyseusz westchnął i obrócił się do króla Krety.

– Dlaczego ludzie nazywają cię Ostrożębym? – zapytał. – Nie widzę sterczących kłów.

– Ja też chciałbym usłyszeć odpowiedź na to pytanie – wtrącił Nestor.

– Obaj postradaliście rozum? – zrzędził Idomeneos. – Ponad dwustu wojowników czeka tylko na okazję, żeby nas zaatakować, a wy myślicie tylko o świniach i przydomkach.

– Nikt nie zaatakuje nas dziś w nocy – powiedział Odyseusz. – Jesteśmy trzema królami, siedzącymi przy ognisku. Kiedy jutro Apollo wzniesie się w niebo, przyjdzie czas, by martwić się piratami.

Zawołał na jednego z marynarzy, żeby przyniósł posiłek dla gości, a potem wyciągnął się wygodnie, obejmując senną świnie.

– No cóż, Idomeneosie, zaszczyć nas swoją opowieścią.

Król potarł twarz, po czym zdjął hełm i położył na piasku.

– Nazywają mnie Ostrożębym – rzekł ze znużeniem – ponieważ kiedyś w bitwie odgryzłem przeciwnikowi palec.

– Palec? – wykrzyknął Nestor. – Na bogów, człowieku, to czyni cię kanibalem.

– Jeden palec nie robi ze mnie kanibala – zaprzeczył Idomeneos.

– Ciekawy problem – głośno myślał Odyseusz. – Zastanawiam się, ile palców ktoś musi zjeść, zanim będzie go można słusznie nazywać kanibalem.

– Nie zjadłem tego palca! Walczyłem i pękł mi miecz. Przeciwnik miał sztylet i w walce ugryzłem go w rękę.

– To mi wygląda na zachowanie prawdziwego kanibala – rzekł z poważną miną Nestor.

Idomeneos spojrzał groźnie na starego króla, a Odyseusz, nie mogąc już dłużej

wytrzymać, parsknął śmiechem. Kreteńczyk popatrzył na nich.

– Niech was obu zaraza – rzucił, wywołując kolejne salwy śmiechu, aż w końcu marynarze przynieśli im jadło i wszyscy trzej zasiedli do wieczerzy.

– Zastanawiam się, co czyni piratów tak zuchwałymi w tym sezonie – rzekł Nestor, gdy odstawili puste talerze na piasek.

– Jestem pewien, że śmierć Helikaona – powiedział Idomeneos.

– Co mówisz? – spytał Odyseusz, czując ściskanie w dołku.

– Czy wieść nie dotarła do Itaki? Został zadźgany na swojej weselnej uczcie – wyjaśnił Idomeneos. – Przez jednego z członków własnej załogi – człowieka, któremu ufał. Co moim zdaniem jest piekielnie dobrym powodem, żeby nie ufać nikomu. W każdym razie wieść o jego śmierci w ciągu kilku minionych tygodni rozeszła się wokół Wielkiej Zieleni. Floty Helikaona nie wyszły w morze. Tak więc nikt nie poluje na piratów. A wiecie, jak się bali statku Helikaona.

– I słusznie – wtrącił Meriones. – *Ksantos* ze swymi miotaczami płomieni ich przerażał. Ludzie wciąż mówią o tym, jak upiekł żywcem całą piracką załogę.

Odyseusz wstał i odszedł od ogniska. Różne obrazy przesuwaly mu się przed oczami: młody Helikaon skaczący z klifowego urwiska w Dardanos, mały Laertes umierający w Domu Zarazy, starszy Helikaon w Zatoce Niebieskiej Sowy, zakochany w napotkanej Andromasze.

Przyływały kolejne wspomnienia.

Znalazł sobie miejsce z dala od innych, usiadł i zapatrzył się w mgłą, wspominając śmierć synka i to, jak rozdarła mu serce – do tej pory. Aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, w jakim stopniu jego uczucia do Helikaona były związane z tą stratą. Młodzieniec, którego wziął na pokład *Penelopy*, był tym wszystkim, czego ojciec oczekuje od syna, i Odyseusz był z niego bardzo dumny.

Ojciec Helikaona, król Anchizes, uważał potomka za słabeusza i tchórza, ale się mylił.

Helikaon dowiódł swojej wartości. Walczył z piratami i bez słowa skargi zmagął się z burzami.

Potrzebował tylko mentora, który by w niego wierzył, a nie bezlitosnego ojca, który chciał go zniszczyć. Odyseusz został takim mentorem i z czasem pokochał chłopca.

W istocie miłość ta skłoniła go do podjęcia ogromnego ryzyka, które w razie zdemaskowania uczyniłoby Odyseusza obiektem nienawiści potężnych wrogów.

Jak to możliwe, że taki dzielny młody człowiek jak Helikaon nie żyje, podczas gdy starcy, tacy jak on, Nestor i Idomeneos, wciąż żartują przy obozowych ogniskach?

Z głośnym westchnieniem wstał i wszedł wyżej po zboczu. Dotarłszy na szczyt, ujrzał więcej ognisk na plaży od północy, gdzie przybiły cztery pirackie statki. Przez chwilę stał i patrzył na nie, pogrążony w ponurych myślach.

Usłyszał coś i odwrócił się. Czarny wieprzek, ciągnąc za sobą żółty płaszcz, wspiał się na górę wąską ścieżką i stanął przy nim.

– Straciłem dziś mojego chłopca, Ganny – powiedział, klękając i klepiąc zwierzę po bokach.

Załamał mu się głos i z oczu popłynęły łzy. Ganny trącił go ryjem. Odyseusz zaczerpnął tchu. – Cóż, bogowie nienawidzą mazgai – rzekł z gniewem w głosie. Wstał i złowrogo spojrział na piracki obóz. – Wiesz, kim jestem, Ganny? Jestem Odyseuszem, księciem łgarstw, panem gawędziarzy. Nie będę opłakiwał umarłych. Zachowam ich w sercu i będę żył pełnią życia, aby ich uczcić. Tam na dole jest kilku paskudnych krowich synów, którzy jutro zechcą nas skrzywdzić. Nie mamy tylu mieczy i łuków, żeby ich pokonać, ale – na Hadesa – możemy ich przechytrzyć. Ganny, mój chłopcze, jutro zabierze cię Orystenes i rozpoczniesz leniwe życie rozplodowca. Tej nocy możesz pójść ze mną, jeśli chcesz, i razem przeżyjemy przygodę. Co ty na to?

Wieprz przechylił łeb i patrzył na niego.

Odyseusz uśmiechnął się.

– Widzę, że zastanawiasz się nad ryzykiem. Tak, to prawda, że mogą nas zabić. Jednak nikt nie żyje wiecznie, Ganny.

Z tymi słowami zaczął schodzić długim zboczem w kierunku obozu piratów. Wieprz przez chwilę stał nieruchomo, po czym potruchtał za nim, ciągnąc za sobą żółty płaszcz.

Kalliades skończył pomagać rannym, po czym odszukał Banoklesa, siedzącego z dala od obozowego ogniska i obserwującego trzech rozmawiających królów. Olbrzymi wojownik wyglądał na przybitego.

– Myślę, że rozgniewaliśmy któregoś z bogów – rzekł kwaśno. – Opuściło nas szczęście, od kiedy odplynęliśmy z Troi.

Kalliades usiadł przy nim.

– Żyjemy, mój przyjacielu. To dla mnie wystarczające szczęście.

– Zastanawiam się którego – upierał się Banokles, drapiąc gęstą jasną brodę. – Zawsze przed bitwą składałem ofiarę Aresowi, a czasem Zeusowi, Ojcu Wszystkich. Raz niosłem dwa gołębie do świątyni Posejdona, ale byłem głodny i wymieniłem je na ciasto. Może to Posejdon.

– Sądzisz, że bóg głębin żywiłby urazę z powodu dwóch gołębi?

– Nie wiem, o co bogowie mogą żywić urazę – odparł Banokles. – Wiem jednak, że nie mamy szczęścia. Tak więc któryś z nich musi być w gównianym humorze.

Kalliades się zaśmiał.

– Zatem porozmawiajmy o szczęściu, mój przyjacielu. Kiedy wbiegłeś na schody, aby zetrzeć się z Arguriusem i Helikaonem, powinieneś zginąć. Na wszystkich bogów, to dwaj najstraszliwsi wojownicy, jakich widziałem w życiu. Zamiast umrzeć, potknąłeś się, otrzymałeś cios w ramię i przeżyłeś. A ja? Umiem machać mieczem...

– Jesteś w tym najlepszy – wtrącił Banokles.

– Nie, ale nie w tym rzecz. Ja również zmierzyłem się z Arguriusem i otrzymałem cios w twarz. I tak obaj przeżyliśmy. Mimo to powinniśmy tam zginąć. Zostaliśmy otoczeni przez trojańskich żołnierzy i byliśmy zgubieni. Król Priam puścił nas wolno. Co to jest, jeśli nie szczęście?

Banokles się zastanowił.

– Zgadzam się, że szczęście nie zawsze nas opuszczało. Jednak przyznaj, że zrobiło to teraz. Jeden statek – w dodatku nie okręt wojenny – ma jutro walczyć z czterema pirackimi jednostkami. Jakie mamy szanse?

– Możemy pozostać na wyspie i pozwolić, by *Penelopa* odpłynęła bez nas.

– Czy to nie byłoby tchórzostwem? – zapytał Banokles z nagłą nadzieją w głosie.

– Tak.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Jesteś sprytny. Nie możesz wymyślić jakiegoś powodu, abyśmy mogli zostać i nie wyjść na tchórzy?

– Pewnie mógłbym, gdybym zechciał – powiedział mu Kalliades.

Spojrzał tam, gdzie siedziała Piria, owinięta płaszczem.

– Myślę, że ona ci się podoba – rzekł Banokles. – Przynajmniej taką mam nadzieję po tych wszystkich kłopotach, jakich nam przysporzyła.

– Nie ma w niej miłości do mężczyzn – odparł Kalliades. – Masz jednak rację. Ona mi się podoba.

– Kiedyś podobała mi się pewna kobieta – wyznał Banokles. – A przynajmniej tak myślałem.

– Chędożyłeś połowę dziewczek w zachodnich krainach. Co masz na myśli, mówiąc, że kiedyś podobała ci się pewna kobieta?

– No wiesz. Podobała. Nawet po chędożeniu.

– Lubieś przebywać w jej towarzystwie?

– Tak. Miała zielone oczy. Lubieś w nie patrzeć. I umiała śpiewać.

Kalliades westchnął.

– Jakoś wiem, że ta historia nie ma szczęśliwego zakończenia. Co zrobiłeś? Przespałeś się z jej siostrą? Zjadłeś jej psa?

– Łowcy niewolników porwali ją z naszej wioski. Większość mężczyzn była na wzgórzach, ścinając drzewa i zbierając drewno na opał na zimę. Zabrali dwadzieścia kobiet. Kilka sezonów temu spotkałem starego znajomego z naszej wioski. Był w załodze kupieckiego statku. Spotkał ją na Rodos, poślubił jakiegoś kupca. Czworo dzieci. Powiedział, że wyglądała na szczęśliwą. To dobrze, co?

Kalliades zamilkł na moment, a potem klepnął Banoklesa w ramię.

– Moglibyśmy zostać, ponieważ jesteśmy pasażerami i nie podaliśmy celu podróży. Więc moglibyśmy powiedzieć, że właśnie dotarliśmy do celu, i nie musielibyśmy walczyć z piratami razem z Odyseuszem. Jak to brzmi?

Banokles miał ponurą minę.

– Wciąż brzmi tchórzliwie. – Podniósł głowę. – Dokąd idzie ta świnia?

Kalliades odwrócił się i zobaczył wieprza, okrytego żółtym płaszczem, odchodzącego od ogniska i idącego pod górę wąską ścieżką. Nigdzie nie było widać Odyseusza, a pozostali królowie odpoczywali przy ognisku.

– Nigdy nie sądziłem, że zobaczę króla ryzykującego życie dla świni – rzekł Banokles.
– To bez sensu.

– Ja też tak uważam. Muszę jednak przyznać, że byłem rad, widząc, że dotarła do brzegu.

– Dlaczego? – spytał ze zdziwieniem Banokles.

Kalliades wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Nie powinna była dopłynąć tak daleko. Tylko odwaga – i wzburzone morze – przyniosły ją do zatoki.

– Odważna świnia? – prychnął Banokles. – Myślisz, że jej mięso będzie miało inny smak?

– Wątpię, czy się tego dowiemy. Odyseusz pewnie zabiłby każdego, kto skrzywdziłby tego wieprzka. – Ganny był już prawie na szczycie urwiska. – Chodź, zapędzimy go z powrotem do obozu.

– Idź sam. Jestem zmęczony i tu mi dobrze.

– Ty się znasz na świniach, a przynajmniej tak twierdziłeś. A ja wątpię, czy sam zdołam przyprowadzić ją z powrotem.

Banokles podniósł się z ziemi.

- Powiniennem wybrać Eruthrosa na brata w mieczu – rzekł.
- Wciąż mi to powtarzasz.
- Jemu nie chciałoby się uganiać za zabłąkaną świnią.
- Eruthros nie żyje. Gdyby mógł wybierać, założę się, że prędzej uganiałby się za świnią, niż spacerował po Hadesie.
- To prawda – przyznał Banokles.

VIII. PAN ŻŁOTYCH ŁGARSTW

Banokles wciąż zrzędził, gdy wspinali się ścieżką na klifowy brzeg, ale Kalliades go nie słuchał. Niepokoiły go myśli o Pirii. Banokles miał rację. Podobała mu się. W tej wysokiej, szczupłej dziewczynie było coś, co głęboko go poruszało. Była dumna, silna i odważna, ale najbardziej wzruszała go jej samotność i wyczuwał w niej pokrewną duszę.

Tylko dlaczego wyznaczono tak wysoką nagrodę za jej głowę? Wiedział już, że nie była niewolnicą, ale uciekinierką. Odyseusz powiedział, że cena za jej głowę jest wielokrotnie wyższa niż za Banoklesa i jego. Jeśli to prawda, musiał ją wyznaczyć jakiś bogaty król. I nie mogła przyплыnąć z daleka tą maleńką łódką. Zaczął przypominać sobie, jakie ziemie i większe wyspy znajdują się w pobliżu. Odyseusz był królem Itaki i okolicznych wysp, a Nestor władcą Pylos. Na lądzie daleko na zachodzie leżała Sparta, lecz nią władał teraz Menelaos, brat Agamemnona, dotychczas nieżonaty. I z pewnością Piria nie mogła przyплыnąć z tak daleka. Idomeneos, król Krety, był tutaj i najwyraźniej nic nie wiedział o uciekinierce. W przeciwnym razie rozpoznałby Pirię, gdy przechodził obok niej, zmierzając do ogniska.

Nagle przypomniał sobie o wielkiej świątyni. Przepływali obok dużej wyspy i na szczycie klifowego urwiska ujrzał zdumiewający widok: coś, co wyglądało jak gigantyczny rumak spoglądający na morze. Od piratów dowiedział się, że to Świątynia Konia, zbudowana za złoto Priama.

– To wyspa kobiet – wyjaśnił mu jeden z marynarzy – samych księżniczek lub szlachetnie urodzonych panien. Powiadam ci, nie miałbym nic przeciwko temu, żeby spędzić tam kilka dni.

– I nie ma tam żadnych mężczyzn, nawet żołnierzy? – spytał Banokles.

– Ani jednego.

– No to czemu nie została złupiona?

Mężczyzna pogardliwie spojrział na Banoklesa.

– Arcykapłanka pochodzi z Myken, a kobiety są córkami królów. Atak na Tere ściągnąłby tu żadne zemsty galery z każdego miasta-państwa i każdego królestwa. Przemierzałyby morza, aż spaliliby wszystkie pirackie statki, co do jednego. Nikt nawet nie zbliża się do Tery.

Idący skalną ścieżką Kalliades nagle przystanął. Banokles spojrział na niego.

– Co się stało?

– Nic. Tylko rozmyślałam.

Piria musiała przybyć z Tery. Kalliades niewiele wiedział o tamtejszej świątyni, ale Banokles zainteresował się i wypytywał o nią pirata. Kalliades ruszył dalej i zapytał:

– Pamiętasz wyspę, którą mijaliśmy, tę ze świątynią w kształcie konia?

– Oczywiście. Wyspa kobiet. – Uśmiechnął się Banokles. – Myślę, że dobrze byłoby się na niej rozbić. Na bogów, chciałbyś, żeby nigdy cię stamtąd nie wyratowano, no nie?

– Zapewne. Czy te kobiety kiedykolwiek opuszczają wyspę? Żeby wyjść za mąż lub wrócić do domu?

– Nie wiem. Nie, zaczekaj! Ktoś mi powiedział, że w zeszłym roku jedna z nich została odesłana do Troi. Mam! Wysłana, żeby wyjść za Hektora. Nie pamiętam jej imienia. Zatem tak, widocznie mogą opuszczać wyspę. – Banokles ruszył dalej, ale znów przystanął. – Chociaż ktoś inny wspomniał, że kilka lat temu jakaś dziewczyna została zabita za opuszczenie jej bez pozwolenia. Dlaczego pytasz?

– Z czystej ciekawości.

Wspięli się na szczyt klifu i zobaczyli Odyseusza schodzącego ścieżką na drugą stronę i truchtającego za nim wieprza. Kierował się ku plaży, do której przybiły cztery statki.

Kalliades wyteżył wzrok. Było tam prawie dwustu wojowników. W jasnym blasku ognisk widział, że niektórzy byli ranni. Inni jedli i pili.

– Sądzę, że to piraci, którzy napadli na króla Idomeneosa – rzekł.

– No to czemu on do nich schodzi? – spytał Banokles. – Myślisz, że ich zna?

– Czy możesz rozpoznać kogoś z tej odległości?

– Nie.

– A statki nie mają oznakowań. Nie sądzą, żeby ich znał.

– To szaleństwo – powiedział Banokles. – Zabiją go i zabrają ten złoty pas. I zjedzą świnię – dodał.

– Masz rację i Odyseusz też musi o tym wiedzieć. To sprytny człowiek i ma jakiś plan – rzekł Kalliades. – I na wszystkich bogów, ma też tupet!

Banokles paskudnie zaklął pod nosem.

– Chcesz zejść za nim na dół, prawda? Ta odrobina szczęścia, jaka nam została, zmieściłaby się w garnku, a ty teraz chcesz do niego naszczać.

Kalliades się roześmiał.

– Wracaj do obozu, przyjacielu. Ja muszę zobaczyć, jak on to rozegra.

Poszedł dalej. Po chwili Banokles go dogonił, zgodnie z jego przewidywaniami.

Olbrzymi wojownik kroczył obok niego, nic nie mówiąc, z ponurą i gniewną miną.

Kalliades zobaczył, że Odyseusz się obejrzał, ale nie zaczekał na nich. Zszedł na dół razem z Gannym i pomaszerował plażą. Niektórzy piraci ich zauważyli i zaczęli szturchać łokciami kamratów. Wkrótce zebrał się tłum, wytrzeszczający oczy na ten dziwny widok, jakim był brzydki mężczyzna noszący złoty pas i świnia w żółtym płaszczu. Odyseusz szedł dalej, pozornie nie przejmując się ich zainteresowaniem.

Kalliades i Banokles znajdowali się około dwudziestu kroków za nim, gdy jakiś szczupły mężczyzna odszedł od ogniska i zastąpił Odyseuszowi drogę.

– Kimkolwiek jesteś, nie jesteś tu mile widziany – powiedział.

– Jestem mile widziany wszędzie, oślogęby – odparł Brzydki Król. – Jestem Odyseusz, król Itaki i pan Wielkiej Zieleni. – Spojrzał przez ramię znieważonego i zawołał: – Czy to ty, Issoponie, kulisz się przy ognisku? Na bogów, czemu nikt jeszcze cię nie zabił?

– Ponieważ nie zdołali mnie złapać – odparł przysadzisty wojownik z siwo-czarną brodą.

Podniósł się z ziemi i podszedł do Odyseusza. Nie podał mu ręki, lecz stanął obok szczupłego pirata, który odezwał się pierwszy.

– Nie wiedziałem, że pływasz po tych wodach.

– *Penelopa* jest na sąsiedniej plaży – powiedział Odyseusz. – O czym byś wiedział, gdybyś miał tyle rozumu, żeby wysłać zwiadowców. Twój chłopcy wyglądają, jakby stoczyli bitwę, ale skoro nie słyszę przechwałek, to zgaduję, że przegraliście.

– Nie przegraliśmy – warknął pierwszy. – Jeszcze się nie skończyła.

Odyseusz się odwrócił i spojrzał na cztery galery wyciągnięte na brzeg.

– Cóż, nie walczyliście z *Ksantosem* – rzekł – bo nie widzę śladów ognia na waszych okrętach.

– *Ksantos* nie pływa w tym sezonie – powiedział Issopon.

– Mylisz się, mój przyjacielu. Zaledwie wczoraj widziałem jego żagiel z czarnym koniem. Nieważne.

Podszedłszy do leżącego w pobliżu żeglarza, Odyseusz się pochylił i podniósł stojący obok niego na piasku dzban wina. Podniósł go do ust i napił się.

W panującej ciszy Kalliades wyczuwał napięcie. Nikt zdawał się nie zauważać przybycia jego i Banoklesa. Wszystkie oczy były zwrócone na Brzydkiego Króla. Natomiast Odyseusz sprawiał wrażenie odprężonego. Pociągnął następny łyk, a potem poklepał Ganny'ego, który zaległ u jego stóp.

– Dlaczego ta świnia nosi płaszcz? – zapytał Issopon.

– Chciałbym wam o tym opowiedzieć – odparł Odyseusz – ale to krępujące dla biednego Ganny’ego.

– To sprawka Królowej Czarodziejki, prawda? – zawołał ktoś.

– Nie powinien gapić się na cycki czarodziejki – przytaknął Odyseusz. – Choćby nie wiem jak piękne. Nieważne, jak krągłe i zachęcające. Ganny wiedział o tym. Wszyscy wiedzieliśmy. Jednak gdy powiał chłodny wietrzyk i jej sutki zaczęły sterczeć pod złotogłowiec sukni... no cóż, tego było za wiele dla biednego chłopca.

– Opowiedz nam o tym! – poprosił ktoś inny.

Zawtórował mu chór zachęcających głosów. Hałas zaniepokoił Ganny’ego, który zerwał się z ziemi.

– Nie mogę tego zrobić, chłopcy. Ganny umarłby ze wstydu. Mogę wam jednak opowiedzieć o piratach i runie pełnym złota, o człowieku bez serca i kobiecie tak czystej i pięknej, że gdziekolwiek stanęła, kwiaty wyrastały spod jej stóp. Chcecie o tym usłyszeć?

Piraci odpowiedzieli gromkim okrzykiem i usiedli na piasku, otaczając Odyseusza szerokim kręgiem. Kalliades i Banokles usiedli między nimi, a Odyseusz rozpoczął swą opowieść.

Dla Kalliadesa czas spędzony na tej plaży był objawieniem. To był wieczór, którego miał nigdy nie zapomnieć. Głos Odyseusza nabrał barwy i był niemal hipnotyzujący, gdy opowiadał o wyprawie sprzed wielu lat. Mówił o sztormach i znakach, i o zaklętej mgie, która spowiła statek płynący wzdłuż wybrzeża Likii.

– Byłem wtedy młody, ledwie wyrosłem z chłopięcego wieku – mówił. – Statek nazywał się *Krwawy sokół* dowodził nim Praksinos. Może pamiętacie to imię.

Kalliades zauważył, że niektórzy starsi piraci pokiwali głowami.

– No tak – ciągnął Odyseusz – to imię wciąż żyje, zwykle w szeptach w chłodne zimowe wieczory. Praksinos był opętany, gdyż usłyszał o Złotym Runie i myśl o nim dręczyła go we śnie i na jawie.

Nikt się nie odzywał, gdy Odyseusz snuł swoją opowieść. Nikt się nie ruszał, nawet by podłożyć drwa do ognia. Kalliades zamknął oczy, gdyż słowa gawędziarza budziły żywe obrazy w jego umyśle. Widział smukły czarny statek i jego krwistoczerwony żagiel, niemal czuł chłód opadającej nań mgły, gdy uciął wiatr.

– Runo zaś miało dziwną historię – rzekł Odyseusz. – Jak wielu z was wie, są ludzie, którzy używają runa do zbierania złota w wysokich górach na wschodzie. Układają je na dnie wartkiego strumienia i złoty piasek oraz drobinki przywierają do wełny. Jednak to runo było inne. Jedna mądra stara kobieta powiedziała mi kiedyś, że należało do zmiennokształtnego,

pół człowieka, a pół boga. Pewnego dnia, gdy tropili go rozgniewani ludzie, przemienił się w tryka i próbował ukryć między stadem owiec. Jednak mały pasterz to zauważył i powiedział ścigającym. Zanim zdążył przybrać inną postać, rzucili się na niego z mieczami i sztyletami. Żaden z nich nie chciał jeść przeklętego mięsa. Ale pasterz zdjął skórę z zabitego i sprzedał runo poszukiwaczowi złota.

I w tym momencie, chłopcy, rozpoczyna się legenda. Poszukiwacz udał się w góry, znalazł obiecujący strumień i włożył runo do wody. Wkrótce zaczęło błyszczeć i lśnić, a do wieczora było pełne złota, tak że musiał ciągnąć ze wszystkich sił, żeby wyjąć je z wody. A to był dopiero początek. Rozwiesił runo, żeby wyschło, a potem zaczął wyczesywać złoto. Czesał i czesał.

Napełnił cztery woreczki, a mimo to runo wciąż lśniło jak skradziony promyk słońca. Czesał przez cały następny dzień. Napełnił jeszcze osiem mieszków. A runo wciąż było pełne. Nie mając więcej sakiewek, ostrożnie je zwinął i usiadł, zastanawiając się, co robić. Inni ludzie zaczęli schodzić z góry, narzekając, że całe złoto znikło. Nie zostało nawet ziarnko złotego piasku. Mężczyzna nie był młodzieniaszkiem i nie kierowała nim chciwość. Zaniósł swoje złoto w dolinę i wybudował za nie dom, kupił konie i bydło. Kupił sobie też żonę i wiódł spokojne, dostatnie życie. Miał syna, ukochanego jedynaka, dziecko, którego śmiech niósł się echem po dolinach jak nadchodząca wiosna. Pewnego dnia syn zachorował na zarazę. Mężczyzna rozpacział, gdyż chłopiec, który był dla niego słońcem i księżycem, umierał. Robotnik z jego farmy powiedział mu o uzdrowicielce mieszkającej w górskiej jaskini i mężczyzna wyruszył tam, niosąc syna na plecach.

Odyseusz przerwał i podniósłszy dzban wina do ust, pociągnął tęgi łyk. Nawet w ciszy czar jego opowieści nadal trwał. Nikt się nie poruszył. Otarłszy usta grzbietem dłoni, opowiedział o mieszkance jaskini.

– Wyglądała młodo, piękna i urocza jak zachód słońca. Spojrzała na umierającego chłopca oczami miłości i położyła smukłą dłoń na jego czole. Potem z cichym westchnieniem przymknęła powieki i powoli wciągnęła powietrze. Gorączka opuściła dziecko, które otworzyło oczy.

Chłopczyk uśmiechnął się do ojca. Ulga mężczyzny była tak wielka, że wrócił później do tej kobiety i dał jej zaczarowane runo.

Praksinos usłyszał tę opowieść i postanowił znaleźć jaskinię, kobietę i złotodajne runo. Inni też próbowali, ale mówiono, że nikomu się nie udało. Gdyż ta kobieta była tak czysta, że żaden człowiek mający w sobie choć odrobinę dobra nie był w stanie jej skrzywdzić. To nie obchodziło Praksinosa, gdyż nie było w nim nic prócz złości i żółci.

Zamierzał zdobyć runo i zabić kobietę.

Tak sobie poprzysiągł. Marynarz z jego załogi powiedział mi, że kapitan zawarł pakt z najmroczniejszym ze starych bogów, Kefelosem Pożeraczem, czarnozębym panem ciemności.

– Odyseusz pokręcił głową. – Być może to on zesłał tę mgłę, która niczym całun spowiła *Krwawego sokoła*. Wiosłowaliśmy powoli i ostrożnie, w każdej chwili spodziewając się ujrzeć ląd lub usłyszeć chrobot dna pod kilem. Jednak nic z tego. Wokół słyszeliśmy upiorne śpiewy i szepty, nasze imiona wypowiedane przez duchy nocy. Ach, chłopcy, to były straszne chwile i nie wiem, po jakim morzu płynęliśmy tamtej nocy. Z nadejściem świtu mgła zniknęła i znaleźliśmy się na szerokiej rzece płynącej przez łańcuch gór.

– Runo jest blisko – zawołał Praksinos. – Czuję, jak mnie wzywa.

Znaleźliśmy odpowiednie miejsce i przybiliśmy do brzegu. Praksinos podzielił nas na małe oddziały i wyruszyliśmy na poszukiwanie jaskini uzdrowicielki. Ze mną poszedł stary Abydos, młodzieniec imieniem Meleagros i Hetyta zwany Artashesem. Abydos był paskudnym owcojebcą i jednym z najbrzydszych ludzi, jakich widzieliście w życiu, a pozostali niewiele lepsi. Żaden z nas nie był urodziwy. Przeszliśmy przez las pachnących pinii i po ślicznej łące pełnej żółtego kwiecia. I wtedy to zobaczyliśmy. Jaskinię i tłum siedzących przed nią ludzi. To byli wieśniacy, którzy przynieśli żywność w darze dla uzdrowicielki. Było ich tam z pięćdziesięciu, starych i młodych, mężczyzn i kobiet.

– No cóż, nas było tylko czterech, więc podeszliśmy do jaskini, nie wykonując żadnych nieprzyjaznych gestów. Zajrzałem do środka. Ona tam była, siedziała na kilimie i rozmawiała z jakimś starcem i jego żoną. Za nią, na ścianie jaskini, błyszcząc jak złoty płomień, wisiało runo. Wszyscy je ujrzeliśmy i zostaliśmy zauroczeni. Zanim się obejrzałem, wszedłem do jaskini z rozdziawionymi ustami i stanąłem, gapiąc się na nie. Abydos stał obok mnie i też się gapił.

Młody Hetyta wyszeptał coś, co zabrzmiało jak modlitwa, a Meleagros wyciągnął rękę i dotknął runa. Kiedy ją cofnął, palec miał pokryty warstewką złota.

Odyseusz znów zamilkł. Jakby zadrżał na samo wspomnienie, po czym się otrząsnął.

– Wtedy kobieta wstała z kilimu. Nie była już młoda, lecz lepiej wyglądającej kobiety nigdy nie widzieliście. Podeszła do starego Abydosa i położyła mu dłoń na ramieniu. Uśmiechnął się do niej. Mówiłem wam już, że był okropnie brzydki. Jednak od tego dnia przestał być brzydalem.

Najdziwniejsze było to, że jego wygląd wcale się nie zmienił. Wyglądał dokładnie tak samo, ale nie było w nim brzydoty. „Witam was” – powiedziała uzdrowicielka, a jej głos był jak miód, gładki i słodki, tak że można by go jeść. Meleagros miał wrzód na szyi, wielki i

zaogniony, ciekący ropą. Dotknęła go i zaognienie znikło, pozostawiając tylko czystą, opaloną skórę. No cóż, żaden z nas nawet nie pomyślał o tym, żeby iść po Praksinosa. I nie musieliśmy. Tuż przed zmrokiem wpadł do jaskini z mieczem w ręku. Nie zdążyliśmy zebrać myśli ani go powstrzymać.

Przebiegł przez jaskinię i przeszył kobietę mieczem. Upadła z krzykiem. Wtedy zerwał runo ze ściany i pobiegł z nim z powrotem na statek.

– Nie poszliśmy za nim. Byliśmy oszołomieni tym wszystkim. Nagle stary Abydos klęknął przy umierającej uzdrowicielce. Miał łzy w oczach. Meleagros też ukląkł obok niego. „Chciałbym mieć moc uzdrawiania” – rzekł. „Taką jak twoja”. I położył dłoń na jej czole. I wiecie co? Ten przeklęty wrzód nagle znów pojawił się na jego karku, a rana w jej piersi jakby trochę się zamknęła. W pobliżu było kilka osób. Odwróciłem się do nich. „Uzdrowiła was?” – zapytałem. Skinęli głowami. „Zatem miejcie odwagę oddać jej ten dar” – powiedziałem. Jeden po drugim podchodzili do niej. Serce się łamało na ten widok. Jedna staruszka dotknęła uzdrowicielki i natychmiast jej dłonie powykrecały się groteskowo, a ramiona skurczyły i zgarbiły. Pewien mężczyzna pochylił się nad nią i na jego szyi pojawiła się wielka narośl.

A przez cały czas rana uzdrowicielki zamykała się i zmniejszała. W końcu kobieta westchnęła i otworzyła oczy. Pomogliśmy jej wstać, a ona popatrzyła na wszystkich kalekich i umierających wokół.

Potem rozłożyła ręce i złociste światło zalało jaskinię. Oślepiło mnie na chwilę, lecz kiedy odzyskałem wzrok, całe zło i cierpienie znikły. Wszyscy znów byli zdrowi.

Zamilkł.

– A co z runem? – zapytał jakiś pirat.

– Ach tak, runo. Zagniewany wracałem na statek. Postanowiłem, że wypatroszę Praksinosa jak rybę, od gardzieli po krocze, a potem cisnę trupa do rzeki. Wielu z nas miało na to ochotę.

Kiedy dotarliśmy do *Krwawego sokoła*, zobaczyliśmy Praksinosa siedzącego w kapitańskim fotelu z runem na kolanach. Wspięliśmy się na pokład i ruszyliśmy na niego. Słońce zachodziło i nagle usłyszeliśmy jego krzyk: „Pomóżcie mi! Na litość boską!” Wtedy zobaczyłem jego dłonie. Były złote – nie pokryte złotem, lecz szczerozłote.

Zobaczyliśmy, jak jego ręce powoli zmieniają się w kruszec. Stary Abydos podszedł do niego i stuknął palcem w prawą nogę. Zadźwiewała. Spojrzałem kapitanowi w oczy. Na wszystkich bogów, nigdy nie widziałem takiego przerażenia. Staliśmy jak wryci. Nie żył, zanim jego twarz zmieniła się w złoto, lecz wciąż się przemieniał, aż nawet włosy stały się

złotymi nitkami. Kiedy było po wszystkim, zdjęliśmy runo z jego kolan. Nie pozostała w nim ani drobinka złota. Było zwyczajną skórą.

– I co zrobiliście? – zapytał ktoś.

– Nic nie mogliśmy zrobić. Abydos odniósł runo uzdrowicielce, a potem połamaliśmy Praksinosa i podzieliliśmy się kawałkami. Za większość mojej części kupiłem mój pierwszy statek. Zatrzymałem sobie jeden kawałeczek, żeby przypominał mi, czym grozi chciwość.

Odyseusz zanurzył dłoń w mieszku przy pasie i wyjął złoty palec, który rzucił najbliższemu siedzącemu piratowi.

– Podaj go dalej, chłopcze. Tylko nie trzymaj zbyt długo. Cięży na nim klątwa.

Żeglarz obejrzał palec w blasku ogniska, po czym pośpiesznie podał go siedzącemu obok.

Złoty palec przechodził z rąk do rąk, aż wreszcie dotarł do Kalliadesa. Ten przyjrzał mu się uważnie. Każdy szczegół był doskonale oddany, od złamanego paznokcia po zmarszczki przy stawie. Podsunął go Banoklesowi.

– Nie chcę go dotykać – mruknął olbrzymi wojownik, odsuwając się.

W końcu palec wrócił do Odyseusza, który wrzucił go z powrotem do sakiewki.

– Następną opowieść! – krzyknął młody pirat.

– Nie, chłopcze, dziś wieczór jestem zbyt zmęczony. Jeśli jednak płyniecie na północny wschód, jutro możecie rozbić się na noc obok nas. Może wtedy będę w nastroju do kolejnych opowieści. Będę płynął z królem Idomeneosem. On też jest dobrym gawędziarzem.

– Właśnie na niego polujemy – powiedział ten, który jako pierwszy odezwał się do Odyseusza.

– Wiem o tym, oślogęby. Głupio robicie. Chcecie porwać go dla okupu. Kto wam zapłaci?

Idomeneos ma dwóch synów i obaj chcieliby zamieszkać w jego pałacu. Nie dadzą wam za niego nawet jednego miedzianego pierścienia. Pozwolą wam go zabić. Oczywiście potem honor nakaże im wysłać całą kreteńską flotę, żeby was szukała. O ile pamiętam, to ponad dwieście galer. Przeczeszą morze. – Nagle Odyseusz zachichotał. – Jednak umiem patrzeć i widzę, że ty już o tym wiesz. Zatem bardziej chodzi tu o krwawą zemstę niż okup. Co ci zrobił Idomeneos?

– Nie muszę ci odpowiadać, Odyseuszu.

– To prawda. Jednak odpowiesz przed nimi – rzucił ostro, wskazując na czekających piratów.

– Oni chcą łupów, nie zemsty. Przelana krew to żaden zysk.

– Ukradł mi żonę i zabił synów – odparł drżącym głosem pirat. – A kiedy mu się znudziła, sprzedał ją Egipcjanom. Nigdy jej nie odnalazłem.

Odyseusz milczał przez chwilę, a kiedy znów przemówił, jego głos brzmiał znacznie łagodniej.

– Zatem masz powód, by nienawidzić. Nikt temu nie zaprzeczy. Gdyby ktoś porwał moją Penelopę, dopadłbym go i drogo by za to za płacił. Mężczyzna nie może postąpić inaczej. Jednak to sprawa osobista, a towarzyszący ci ludzie ryzykują życie bez nadziei na jakąkolwiek korzyść. Idomeneos nie porwał im żon ani nie zabił synów.

Po tych słowach Brzydki Król trącił stopą Ganny’ego i ruszył z powrotem ku ścieżce na klif.

Wieprz stał przez chwilę, po czym pobiegł za nim. Kalliades i Banokles podążyli za nimi.

– To była dobra opowieść – rzekł Kalliades. – Skąd naprawdę wzięłeś ten złoty palec? Odyseusz wyglądał na zmęczonego i odparł beznamiętnie:

– Jest mój – rzekł, wyciągając palec wskazujący. – Zeszłego lata kazałem złotnikowi zrobić formę i złoty odlew.

– Ile pirackich statków popłynę teraz na nas? – zapytał Kalliades.

– Zapewne dwa, w najgorszym razie trzy – rzekł Odyseusz. – Issopon to mądry stary wojownik. Słyszał moje słowa i myślę, że się wycofa. Oślogęby to zupełnie inna sprawa. Kieruje nim żądza krwi. I nie mogę go za to winić. Idomeneos zawsze był okrutny i samolubny.

Piria trochę spała, ale miała męczące sny. Znów widziała tamten straszny dzień, kiedy po raz ostatni pływała z bratem w sadzawce wśród marmurowych głazów. Trzy lata starszy od niej Achilles był już urodziwym młodzieńcem, silnym i dobrze zbudowanym, doskonale władał oszczepem i mieczem. Był również dobrym jeźdźcem i zapaśnikiem. Ojciec go uwielbiał, obsypywał komplementami i prezentami. Piria nigdy nie była o niego zazdrosna. Kochała Achillesa i cieszyła się z jego sukcesów.

Tego dnia gdy po raz ostatni pływali razem, sadzawka w cieniu skały niosła echo ich śmiechu. Śmiech rzadko można było usłyszeć w pałacu wysoko na skalistym zboczu nad nimi.

Ojciec był twardym i skorym do gniewu człowiekiem. Słudzy i niewolnicy obawiali się go, nawet dworzanie rozmawiali szeptem.

Obudziła się i leżąc w złocistym blasku poranka, czuła, jak sen wciąż przywiera do niej niczym morską mgłą do skał. Piria zadrżała. Kiedy była mała, ojciec nie był okrutny.

Czasami siadała mu na kolanach i rozgarniała paluszkami jego jasne długie włosy. Czasem opowiadał jej różne opowieści. Zawsze były straszne, o mieczach i rozlewie krwi, o bogach przybierających ludzką postać, żeby siać chaos i zniszczenie w świecie ludzi. Potem się zmienił. Spoglądając w przeszłość, rozumiała teraz, że ta zmiana była odzwierciedleniem jej przemiany. Często się jej przyglądał i stał się szorstki i oziębły. Piria dziwiła się temu.

Tamtego straszego dnia zrozumienie przeszło ją jak lanca. Siedziała naga z bratem, gdy ojciec przybiegł skalną ścieżką, wykrzykując zniewagi i nazywając ją dziwką. „Jak śmiesz paradować nago przed mężczyzną?” – krzyczał.

Zdziwiło ją to, gdyż ona i brat pływali razem nago od dziecka. Gniew ojca był straszny.

Kazał Achillesowi się ubrać i wrócić do pałacu. Kiedy odszedł, ojciec złapał Pirię za włosy.

– Chcesz pokładać się z mężczyznami, zdiro? Nauczę cię, co to znaczy.

Nawet teraz nie mogła znieść wspomnienia zadanego wtedy gwałtu i odepchnęła je od siebie, szukając wzrokiem na plaży czegoś, co odwróciłoby jej uwagę.

Odyseusz rozmawiał z krępyim kupcem, który krążył wokół zagrody dla świń, oglądając zwierzęta. Kalliades i Banokles stali na uboczu, cicho rozmawiając. Zobaczyła czarnoskórego Biasa, który podchodził do niej, niosąc skórzany napierśnik i okrągły skórzany hełm.

– Odyseusz kazał ci to dać – powiedział. – Zapewne dojdzie do walki, a poprzedzi ją grad strzał.

Napierśnik był toporny, ale pasował na nią. Hełm był za duży, więc odłożyła go na bok. Po chwili zobaczyła, jak Bias niesie inny napierśnik Kalliadesowi. Zakładając go, zobaczył, że ona na niego patrzy, i uśmiechnął się. Odwróciła wzrok.

Odyseusz podszedł do niej.

– Lepiej wejdź na pokład – poradził.

– Dostałeś dobrą cenę za świnię?

– Nie. Musiałem zapłacić Orystenesowi za opiekę nad rannymi, których musimy tu zostawić. Idomeneos zapewnia mnie, że mi to zwróci, ale to skąpiec, który nie pamięta o spłacaniu długów. Wciąż czekam, aż wypłaci mi zakład, który przegrał przed dwunastoma laty. – Uśmiechnął się i pokręcił głową. – Królowie! Żadnemu z nich nie można ani trochę ufać.

Zamilkł i stał, patrząc na świnię.

– Myślę, że Ganny będzie za tobą tęsknił – powiedziała.

– Nie, nie on! Orystenes zapewnia mnie, że będzie traktowany jak świński król. Będzie tu szczęśliwy.

– Wierysz, że Orystenes dotrzyma słowa?

Odyseusz westchnął.

– Wierzę w jego instynkt samozachowawczy. Nie sprzedałem mu Ganny'ego. To moja świnia. Orystenes może go wykorzystywać jako rozplodowca i dlatego będzie pilnował, żeby dobrze go żywiono. Orystenes mnie zna. Dotrzyma obietnicy.

– Inaczej go zabijesz, Odyseuszu?

– Nie zabiłbym człowieka z powodu świni. Może spaliłbym mu dom, a jego sprzedał w niewolę. Jednak bym go nie zabił. A teraz porozmawiajmy o tobie, Kaliope. Dlaczego uciekłaś z Tery? To było głupie i więcej niż niebezpieczne.

– Masz mnie za głupią dziewczkę? – warknęła. – Czas spędzony na Terze był najszcześniejszym okresem w moim życiu. Bez złych i podstępnych mężczyzn, zdrajców czy gwałcicieli. Szukam przyjaciółki, bo wieszczka powiedziała mi, że będzie mnie potrzebowała, zanim wszystko się skończy.

– Co się skończy?

– Nie wiem. Wieszczka widziała płomienie, pożary i moją przyjaciółkę uciekającą przed okrutnymi zabójcami.

– I ty ją ocalisz?

Zadał to pytanie łagodnie, bez cienia pogardy.

– Jeśli tylko zdołam.

Odyseusz skinął głową.

– Obawiam się, że ta wizja może być prorocza. Nadchodzi wojna, której dłużej nie da się uniknąć. Twoja przyjaciółka to Andromacha. Dobra kobieta. Polubiłem ją. Zawarliśmy umowę, ona i ja, że zawsze będę mówił jej prawdę. – Zachichotał. – To nie jest obietnica, którą pochopnie składam. Gawędziarze układają prawdę z kłamstw i kłamstwa z prawdy. Muszą. Prawda zbyt często jest nudna.

– Czy mówiła coś o mnie? – zapytała Piria, nie mogąc się powstrzymać.

– Mówiła o swojej miłości do Tery i jak była nieszczęśliwa, gdy musiała ją opuścić. Bardzo ją kochasz, prawda?

– Ona jest moim życiem! – zawołała wyzywająco Piria, szukając w jego oczach pogardy lub obrzydzenia.

– Uważaj, z kim się dzielisz tą wiadomością – poradził cicho.

– Nie zamierzasz mi powiedzieć, że moje uczucia się zmieniają, kiedy w moim życiu

pojawi się odpowiedni mężczyzna?

– Czemu się tak złościysz? – skontrował. – Myślisz, że cię potępię? Miłość to zagadka. Korzystamy z niej jak możemy. Przeważnie nie wybieramy sobie obiektu uczuć. Po prostu się zakochujemy. Przemawia do nas jakiś głos, słowami, których nie słyszą. Dostrzegamy piękno, którego nie widzą oczy. W naszych sercach zachodzi zmiana, której nie da się opisać. W miłości nie ma niczego złego, Kaliope.

– Powiedz to mojemu ojcu. Powiedz to kapłanom, królom i wojownikom tego przeklętego świata.

Uśmiechnął się.

– Ganny to dzielny wieprzek i lubię go. Mimo to nie traciłbym czasu, próbując nauczyć go sztuki żeglarskiej.

Gniew opuścił Pirię i uśmiechnęła się do Brzydkiego Króla.

– O, teraz przyjemnie na to popatrzeć – rzekł.

Stali razem przez chwilę i Piria czuła ciepłe promienie słońca na twarzy i świeży podmuch morskiej bryzy w krótko ściętych włosach. Odwróciła się do Odyseusza.

– Powiedziałeś, że gawędziarze układają prawdę z kłamstw. Jak to możliwe? – zapytała.

– To pytanie, nad którym długo rozmyślałem. – Wskazał na Biasa. – Kiedyś opowiedziałem o skrzydlatym demonie, który zaatakował *Penelopę*. Powiedziałem, że Bias, najlepszy oszczepnik na świecie, tak mocno cisnął oszczepem, że przebił skrzydła demona i ocalił statek. Ta opowieść tak spodobała się Biasowi, że bez końca ćwiczył rzut oszczepem, aż w rezultacie zdobył nagrodę na królewskich igrzyskach. Rozumiesz? Stał się najlepszy, ponieważ skłamałem. I w ten sposób to przestało być kłamstwem.

– Rozumiem – powiedziała Piria. – A jak prawdę można zmienić w kłamstwo?

– Ach, dziewczyno, to coś, czego nikt z nas nie zdoła uniknąć. – Nachyliwszy się, podniósł gliniany talerzyk, na którym Bias poprzedniego wieczoru przyniósł jej wieczerzę. – A co to jest? – zapytał.

– Gliniany talerz.

– Tak, gliniany. I został zrobiony przez ludzkie ręce, przy użyciu wody, gliny, a potem ognia. Bez ognia nie stałby się naczyniem, a bez wody nie uzyskałby kształtu. Tak więc mamy tu wodę, glinę i ogień. Wszystkie te elementy są prawdziwe. Czy zatem to jest prawdziwy talerz?

– Tak, to prawdziwy talerz – powiedziała. Odyseusz nagle uderzył w talerz pięścią, rozbijając go.

– Czy to nadal talerz? – zapytał.

– Nie.

– A jednak nadal mamy tu naczynie, glinę, wodę i ogień. Myślisz, że zmieniłem prawdę uderzeniem pięści? Przemieniłem ją w kłamstwo?

– Nie, to był talerz. Zniszczyłeś go, lecz nie zdołałeś zaprzeczyć jego istnieniu.

– Dobrze – rzekł z podziwem. – Lubię, kiedy ktoś korzysta ze swego umysłu. Chodzi mi o to, że prawda jest bardzo złożona i ma wiele elementów. Jaka jest prawda o tobie? Arcykapłanka z Tery powiedziałaaby, że jesteś zdrajczynią porządku i twoje samolubne postępowanie może sprowadzić nieszczęście na cały świat, jeśli Minotaur się obudzi i pogrąży nas wszystkich w ciemnościach. Czy to jest prawdą? Ty byś powiedziała, że kierowała tobą miłość i chęć obrony przyjaciółki, dla której jesteś gotowa zaryzykować życie. Czy arcykapłanka zaakceptowałaby tę prawdę? Gdybym cię wydał, ta sama arcykapłanka nagrodziłaby mnie i nazwała dobrym człowiekiem. Czy byłoby to prawdą? Jeśli bezpiecznie dowiozę cię do Troi – i to się wyda – zostanę wyklęty i obwołany bezbożnikiem. Nazwą mnie złym człowiekiem. Prawda czy kłamstwo? Jedno i drugie? To zależy od przekonań, zrozumienia, wiary. Tak więc, wracając do twojego pytania, nie jest trudno zmienić prawdę w kłamstwo. Wszyscy robimy to przez cały czas i najczęściej nawet o tym nie wiemy. – Spojrzał na niebo na wschodzie. – Słońce wzeszło. Czas ruszać.

IX. CZARNY KOŃ NA WODZIE

Morze było spokojne, a z północy wiał łagodny wietrzyk, gdy *Penelopę* ściągnięto na wodę.

Ostatni członek załogi wspiął się na pokład i zanurzono wiosła w jasnoniebieskiej wodzie.

Odyseusz stał na pokładzie rufowym, obserwując wiosłarzy. Cała załoga nosiła teraz skórzane napierśniki i hełmy, a obok każdego wiosłującego leżał łuk z nałożoną cięciwą i kołczany pełne strzał. Sam Odyseusz też założył napierśnik. Nie był lepszej jakości od tych, które nosili jego ludzie. Obok niego stał Idomeneos we wspaniałej zbroi i hełmie. Nestor nie miał zbroi, tylko zieloną tunikę do kolan i długi, zadziwiająco biały płaszcz, lecz obaj jego synowie wdziali napierśniki i trzymali okrągłe tarcze. Stali przy nim, gotowi go bronić.

Wiatr był rzešką obietnicą deszczu, gdy *Penelopa* odbijała od brzegu. Kiedy wypłynęła na otwarte wody, Bias podał szybsze tempo i wiosłarze zaczęli ciągnąć mocniej.

– Powiadasz, że miał twarz jak ośli pysk? – spytał Odyseusza Idomeneos. – Nie pamiętam takiego człowieka.

– On ciebie pamięta – powiedział Odyseusz.

– Mogłeś zapytać go o imię.

– Jeśli nie pamiętasz człowieka, któremu zabiłeś synów i ukradłeś żonę, to wątpię, czy imię coś by pomogło.

Idomeneos zaśmiał się.

– Ukradłem wiele żon. Wierz mi, Odyseuszu, większość z nich była z tego zadowolona.

Odyseusz wzruszył ramionami.

– Spodziewam się, że wkrótce się z nim spotkasz. Widok jego twarzy może być ostatnim, jaki zobaczysz.

Idomeneos pokręcił głową.

– Nie umrę tutaj. Pewna wieszczka przepowiedziała mi kiedyś, że umrę w dniu, gdy w jasny dzień zapanuje noc. To się jeszcze nie zdarzyło.

Odyseusz odszedł od kreteńskiego króla i bacznie obserwował morze oraz przylądki.

Usłyszał, jak wielki Banokles narzeka Kalliadesowi.

– Nie będzie tu jak się zamachnąć, gdy piraci wedrą się na pokład. A jeśli też będą

nosili napierśniki, to nie będę wiedział, kogo zabijam.

– Najlepiej zabijaj tylko tych, którzy próbują zabić ciebie.

– Dobry plan. Walka obronna. Jednak jestem lepszy w ataku. Założę się, że żałujesz, że zostawiłeś swoją zbroję na pirackim statku. Mówiłem ci. Ten skórzany napierśnik nie odbije nawet ciśniętego kamyka.

– Powinienem był słuchać twoich pesymistycznych uwag – przyznał Kalliades. – Tylko że ty nosisz zbroję nawet w burdelu.

– Człowiek nigdy nie wie, kiedy znajdzie się w niebezpieczeństwie – przypomniał Banokles. – Kiedyś dźgnął mnie mąż jednej dziwki.

Kalliades się roześmiał.

– W dupę. I jeśli dobrze pamiętam, w czasie ucieczki.

– Lubiłem tego człowieka. Nie chciałem go zabić. Poza tym to było tylko skaleczenie. Nawet nie trzeba było szyc.

Odyseusz się uśmiechnął. Z każdym dniem coraz bardziej lubił tych dwóch.

Piria stała na dziobie, spoglądając na ląd. Miała sztywno wyprostowane ramiona i kamienną twarz. Odyseusz zobaczył, że Kalliades do niej podchodzi.

– Piękny statek – rzekł Mykeńczyk.

Piria odpowiedziała chłodno:

– Kiedyś zastanawiałam się, dlaczego mężczyźni mówią o statkach jak o kobietach. Gdy byłam młoda, sądziłam, że to przejaw szacunku. Teraz wiem, że nie. Statki podążają tam, gdzie każą im mężczyźni. To tylko przedmioty, wykorzystywane przez mężczyzn.

Odyseusz wtrącił się do rozmowy.

– Miłość też odgrywa w tym swoją rolę, Pirio. Posłuchaj, jak załoga mówi o *Penelopy*. W ich słowach usłyszysz jedynie przywiązanie i podziw.

– Różne prawdy – powiedziała, wywołując jego uśmiech.

Kalliades wyglądał na zaintrygowanego.

Odyseusz zauważył okręt wyłaniający się zza cypla na północy, około pół mili przed nimi.

Galera była duża, z dwudziestoma wiosłami na każdej burcie, a na śródpokładzie stał tłum wojowników. Bias również zauważył ten okręt i napał na wiosło sterowe, zmieniając kurs *Penelopy*. Odyseusz ominął Kalliadesa, przyklęknął i podniósł pokrywę łuku, po czym zszedł pod pokład. Po chwili się wyłonił, niosąc wielki łuk, zrobiony z drewna, rzemienia i rogu. Na ramieniu miał kołczan z bardzo długimi strzałami.

– Dziś zostaniesz wyróżniona – rzekł do Pirii. – To jest Akilina, najlepszy łuk na

świecie. Kiedyś trafiłem z niego w księżyc.

Nie uśmiechnęła się i Odyszeusz poczuł emanujące z niej napięcie i lęk. Tylko duma kazała jej się nie załamać.

– Słyszałem o tym łuku – powiedział Kalliades.

– Każdy o nim słyszał – wtrącił Banokles.

Te komentarze uradowały Odyszeusza, ale wciąż skupiał uwagę na Pirii.

– Andromacha mówiła, że zρέcznie obchodzisz się z łukiem – rzekł.

Na dźwięk imienia ukochanej Pirii się rozpromieniła.

– Czasem potrafiła mnie pokonać – powiedziała. – Chociaż niezbyt często.

– Potrafiłabyś strzelać z takiego łuku jak ten? Czy twoje ramiona są wystarczająco silne? – zapytał, podając jej łuk.

Piria wzięła od niego Akilinę, wyprostowała rękę, chwyciła trzema palcami cięciwę i zaczęła ciągnąć. Zdołała napiąć łuk w trzech czwartych, zanim ręka zaczęła jej drżeć.

– Bardzo dobrze – powiedział Odyszeusz. – Wierz mi. – Wziął łuk i nachylił się do niej. – Jeśli podejda na tyle blisko, żeby wedrzeć się na pokład, zostawię ci Akilinę. Strzała wypuszczona z takiej odległości przebije czaszkę, nawet jeśli nie napniesz cięciwy do końca. – Odwrócił się do dwóch Mykeńczyków. – Wy, chłopcy, trzymajcie się blisko mnie i idźcie tam, gdzie ja.

Penelopa mknęła dalej, tnąc dziobem wodę. Piracki statek, mający więcej wioseł, powoli ją doganiał.

– Jeszcze jeden! – zawołał któryś z żeglarzy.

Drugi piracki okręt płynął od południa, nieco za rufą *Penelopy*.

– Gdybyśmy nie mieli przeciwnego wiatru – rzekł Odyszeusz – *Penelopa* z łatwością by im umknęła. A tak, mając więcej wioślarzy, są od nas szybsi. Lepiej schowajcie głowy. Niedługo spadnie na nas grad strzał.

Kalliades spojrział na wioślarzy *Penelopy*. Wiosłowali miarowo, ale bez specjalnego pośpiechu. Ich ruchy były płynne i rytmiczne i nawet nie patrzyli na dwa nieprzyjacielskie statki.

Bias wydał rozkaz. Prawy rząd wioseł uniósł się nad wodę i znieruchomiał. Lewy poruszał się nadal. *Penelopa* błyskawicznie wykonała zwrot ku pierwszej galerze. Odyszeusz przebiegł po pokładzie i wspiał się na reling wygiętego w górę dziobu. Usiadłszy na nim okrakiem i ścisnąwszy go nogami, nałożył strzałę na cięciwę swego potężnego łuku. Gdy oba statki zbliżyły się do siebie, łucznicy na pirackiej galerze ustawili się wzdłuż burty. Odyszeusz napiął Akilinę i wypuścił strzałę. Zafurkotała w powietrzu i wbiła się w plecy wioślarza, który

z krzykiem osunął się na wiosło. Piraccy łucznicy wystrzelili chmurę strzał, te jednak nie doleciały, z pluskiem wpadając w wodę na lewo przed dziobem. Odyseusz wypuścił jeszcze dwie strzały. Jedna trafiła w hełm i się odbiła. Druga przeszła ramię łucznika. Odyseusz podniósł rękę, dając znak Biasowi, który wykrzyknął rozkaz i całym ciężarem ciała napał na wiosło sterowe. *Penelopa* natychmiast zmieniła kurs, z niemal taneczną gracją schodząc z drogi atakującej galerze. Manewr został wykonany z ogromną zręcznością i precyzją, lecz mimo to przez krótką chwilę znaleźli się w zasięgu pirackich strzał. Banokles, Kalliades i Piria schowali się za nadburciem. Grad strzał spadł na pokład rufowy, nikogo nie raniąc, lecz przelatując blisko Biasa, który stał przy wiosle sterowym. Jedna strzała z trzaskiem wbiła się w deski obok niego.

Inna trafiła w wiosło, odbiła się i przeleciała tuż obok twarzy czarnoskórego.

Odyseusz przebiegł po pokładzie i wypuścił jeszcze trzy strzały z rufy. Tylko jedna trafiła w cel, przeszywając rękę nieprzyjacielskiego łucznika. Odyseusz nabrał tchu i wypuścił czwartą strzałę.

– Ha! – zawołał triumfalnie, gdy przeszła gardło pirata. – Chcecie atakować *Penelope*? – ryknął. – Na Aresa, pożałujecie tego, krowie syny! – Kilka strzał przeleciało obok niego, lecz on stał nieruchomo jak posąg, szyjąc w tłum piratów. – Dobrze byłoby zwiększyć odległość – krzyknął do Biasa, gdy kolejna nieprzyjacielska strzała świsnęła mu koło ucha.

Teraz żeglarze z *Penelopy* naprawdę przyłożyli się do wiosła, spływając potem, ciągnęli je i unosili. Statek zwiększył szybkość. Kalliades wystawił głowę zza nadburcia i patrzył, jak odległość między galerami zaczyna się zwiększać. Widział, jak Odyseusz zastrzelił następnego pirata, przeszywając mu strzałą twarz. Potem zmienił cel, posyłając strzały w wiosłarzy nad głowami łuczników. Dwa wiosła na lewej burcie nieprzyjacielskiego statku zderzyły się z trzaskiem i piracka galera zesła z kursu. *Penelopa* sunęła dalej.

– Hej, oślogęby! – zawołał Odyseusz. – Nie rezygnuj. Nic wartościowego łatwo nie przychodzi!

Druga galera zbliżała się szybko. Bias zmienił kurs, żeby utrzymać dystans, lecz w wyniku tego znów znaleźli się w zasięgu strzał z pierwszego pirackiego okrętu.

Odyseusz cicho zaklął. Jeśli nadal będą utrzymywać takie tempo, załoga *Penelopy* wkrótce opadnie z sił, a piraci ich dogonią. Spojrzał na Biasa. Ten też to zrozumiał.

– Który, mój królu? – zapytał.

– Myślę, że musimy zabić oślogębego – odparł Odyseusz.

Bias zaczął wykrzykiwać rozkazy. Lewy rząd wiosła podniósł się nad wodę, a

wioślarze na prawej burcie nadal z całej siły ciągnęli. *Penelopa* wykonała gwałtowny zwrot. Meriones przybiegł do Odyseusza, niosąc wielki czarny łuk.

– Pomyślałem, że pewnie się nudzisz – rzekł Brzydki Król – więc postanowiłem atakować.

Odziany na czarno łucznik zachichotał.

– Najpierw się załóżmy. – Wskazał na pierwszy piracki okręt. Łucznik wspiął się na jego dziób i czekał ze strzałą na cięciwie, gotowy strzelić, gdy tylko znajdą się w zasięgu. – Złoty pierścień, że strącę go z tej grzędy, zanim ty to zrobisz.

– Zgoda! – powiedział Odyseusz.

Obaj przeszli ze śródokręcia na dziób, po czym napięli łuki i jednocześnie wypuścili strzały.

Obie trafiły w pierś nieprzyjacielskiego łuczника. Zgiął się, pochylił i wpadł do morza, znikając pod kilem pirackiego statku.

Gdy odległość pomiędzy oboma statkami malała, Meriones wciąż strzelał. Odyseusz zostawił go i pobiegł na pokład rufowy. Oddawszy kołczan i łuk Pirii, przywołał Kalliadesa i Banoklesa.

– Bias w ostatniej chwili obróci *Penelopę* i spróbujemy połamać im wiosła na prawej burcie. Zapewne przyciągną nas do siebie, zarzuciwszy haki abordażowe. Kiedy to zrobią, będą chcieli wdrzeć się na nasz pokład. Ze względu na swoją przewagę liczebną, nie spodziewają się, że to my zaatakujemy ich.

Banokles spojrzał na zbliżającą się piracką galerę.

– Na tym statku jest co najmniej sześćdziesięciu ludzi.

– Co najmniej.

– I co najmniej sześćdziesięciu na drugim.

– Masz coś konkretnego na myśli czy tylko chcesz się pochwalić, że umiesz liczyć? – Banokles zamilkł. – Trzymaj się blisko mnie – rzekł Odyseusz. – Nie jestem już tak zręczny jak kiedyś, a nigdy nie byłem dobrym szermierzem.

Penelopa wykonała ostry zwrot na lewą burtę, jakby usiłując uniknąć zderzenia, a potem równie szybko wykręciła w prawo. Oba statki wpadły na siebie, lecz pod takim kątem, że taran pirackiej galery tylko ześlizgnął się po prawej burcie *Penelopy*. Piracy wiosłarze usiłowali wyciągnąć wiosła, by uchronić je przed połamaniem, lecz zderzenie nastąpiło tak szybko, że udało im się uratować tylko sześć z piętnastu. Ocierając się o kadłub galery, *Penelopa* zniszczyła kolejne wiosła. Z pirackiego okrętu rzucono haki abordażowe, które wbiły się w nadburcie *Penelopy*.

Byli tak blisko, że Odyseusz widział twarze piratów. Wielu z nich oklaskiwało go wczoraj, prosząc o kolejne opowieści. Teraz byli gotowi do bitwy, jedni w skórzanych napierśnikach, inni w samodziałowych koszulach z grubych sznurów. Na głowach nosili różnego kształtu hełmy, jedne wysokie i wygięte na frygijską modłę, inne drewniane lub skórzane. Kilku piratów miało hełmy miedziane. Większość miała sztylety, lecz wielu tylko drewniane pałki.

– Za mną – rzucił Odyseusz. Zerknął na Banoklesa i uśmiechnął się. – Jeśli macie jaja.

Dobry miecz, pobiegł na śródokręcie i przeskoczył przez wąską szczelinę między galeriami w tłum walczących na pirackim statku.

Uderzył barkiem w pierwszy szereg napastników, rozrzucając ich ciężarem ciała. Kilku runęło na pokład, inni usiłowali znaleźć miejsce i pchnąć go sztyletem. Odyseusz złapał któregoś pirata za koszulę ze sznura, przyciągnął do siebie i uderzył bykiem w twarz. Krew trysnęła z rozbitego nosa nieszczęśnika. Odyseusz odrzucił go na bok, a potem machnął mieczem. Trafił jednego z piratów w przedramię, przecinając ciało i rozpryskując fontannę krwi.

– Napadacie na Odyseusza, co? – szalał, tnąc i siekąc na prawo i lewo.

Piraci na moment cofnęli się przed jego wściekłym atakiem. Potem natarli. Olbrzymi Banokles wpadł na nich, obalając kilku na pokład. Za nim podążał Kalliades. Jego miecz poruszał się szybko jak język żmii, przeszywając gardła, piersi i brzuchy.

– Już nie żyjecie, wszyscy! – ryczał Odyseusz.

Pirat skoczył na niego, mierząc sztyletem w gardło. Odyseusz podniósł lewą rękę, parując cios, a potem ciął mieczem w głowę przeciwnika, odcinając mu ucho. Pirat wrzasnął i cofnął się.

Następni wojownicy z *Penelopy* przyłączyli się do ataku. Banokles uderzył przeciwnika barkiem, zwalając go z nóg. Odyseusz wciąż nacierał, wydając bojowe okrzyki i miotając zniewagi. Kalliades przebił się do niego i osłaniał prawy bok Brzydkiego Króla. Banokles był po lewej ręce Odyseusza. Nawet w bitewnym szale Odyseusz zauważył zręczność, z jaką posługiwali się orężem. We trzech sformowali klin, którego czubkiem był Odyseusz. Z początku szybko spychali piratów do tyłu, lecz niebawem przewaga liczebna dała o sobie znać i posuwali się znacznie wolniej.

Odyseusz zaczynał słabnąć, gdyż walczył, nie oszczędzając sił, tnąc mieczem na prawo i lewo. Jakiś pirat wpadł na niego i uderzył pałką w skórzany napierśnik. Król zatoczył się i z łoskotem upadł na pokład. Kalliades błyskawicznie się odwrócił i przeszył mieczem kark pirata. Martwy upadł na Odyseusza. Kalliades zajął pozycję przed Odyseuszem, żeby

bronić go przed dalszymi atakami. Król Itaki zepchnął z siebie zabitego i powoli wstał, ciężko dysząc.

Wokół słyhać było bitewny zgiełk, a pokład był śliski od krwi. Odyseusz miał wrażenie, że rękę z mieczem ma obciążoną kamieniami, ale szybko odzyskiwał siły.

– Odsuń się, Kalliadesie! – zagrział. – Odyseusz ma jeszcze wrogów do zabicia.

Potem znów rzucił się w wir bitwy.

Piria stała na pokładzie rufowym, zapomniawszy o wielkim łuku, który trzymała w ręku.

Widziała, jak Odyseusz przeskoczył na piracki okręt, a za nim Banokles i Kalliades oraz tuzin żeglarzy z załogi *Penelopy*. Potem Bias wyjął dwa noże, wspiał się na reling i zeskoczył między walczących. Powietrze wypełniły bojowe okrzyki, wrzaski i szcęk mieczy. Kreteńczyk Idomeneos pośpieszył włączyć się do walki, tak samo dwaj synowie Nestora. Bitwa była zaciekła. Piria zobaczyła, jak Odyseusz, tnąc i siekąc, wyrąbuje sobie drogę ku rufie, a Kalliades i Banokles walczą przy nim.

Czyjaś dłoń dotknęła jej ramienia. Meriones pokazał jej drugi piracki statek zbliżający się z lewej burty. Nałożywszy strzałę na cięciwę, posłał ją nad szybko zwężającą się szczeliną. Trafił w wysoki dziób galery. Zaklął.

– Tylko nie mów o tym Odyseuszowi – powiedział.

Wszyscy marynarze, którzy pozostali na *Penelopie*, byli uzbrojeni w łuki i posłali chmurę strzał w kierunku nadpływającego statku. Kilka trafiło w cel. Nieprzyjaciel odpowiedział w taki sam sposób. Około czterdziestu strzał przeleciało w powietrzu. Wiele wbiło się w nadburcie, inne ześlizgnęły się po deskach pokładu. Pięciu żeglarzy zostało trafionych. Piria nałożyła strzałę na cięciwę i strzeliła. Strzała wbiła się w pierś łucznika. Padł.

– Dobry strzał – zawołał Meriones, też wypuszczając strzałę. Piria nie zauważyła, czy ta trafiła w cel, gdyż już wyjmowała następną z kołczana i napinała Akilinę. Zapomniała o lęku i strzelała raz po raz, nie zważając na strzały przelatujące z sykiem obok niej.

Nagle piracki statek wykonał gwałtowny zwrot. Nieprzyjacielscy łucznicy nadal strzelali, lecz ich okręt szybko się oddalał, zmierzając na południe.

– Zamierzają zawrócić i nas staranować – rzekł ponuro Meriones.

Jednak galera nie wykonywała zwrotu. Wioślarze ciężko pracowali, starając się jak najszybciej oddalić od *Penelopy*.

Żeglarze na *Penelopie* rzucili łuki, dobyli mieczy i sztyletów, po czym pobiegli dołączyć do towarzyszy walczących na pokładzie pierwszej pirackiej galery. Piria odwróciła

się, żeby na nich popatrzeć – i zobaczyła wielki okręt nadpływający z północy. Był większy od jakiegokolwiek statku, jaki kiedykolwiek widziała. Miał czterdzieści wiosel na każdej burcie, w dwóch rzędach, oraz maszt wysoki jak drzewo. Podtrzymywał on ogromny wydęty żagiel, na którym był namalowany czarny koń stojący dęba.

– Ach, mamy dziś błogosławieństwo wszystkich bogów – powiedział Meriones. – To *Ksantos*.

– Jest... olbrzymi – wykrztusiła Piria.

– Istotnie – i jest postrachem wszystkich piratów. Na pokładzie ma miotacze ognia, a jego załoga to ponad stu wojowników. Dla porządných żeglarzy, takich jak my, nie ma przyjemniejszego widoku od tego potwora.

Podszedłszy do relingu na sterburcie, Piria zobaczyła, że walka wciąż trwa. Piratów było znacznie mniej, ale walczyli zaciekle. Poszukała wzrokiem Kalliadesa, ale go nie dostrzegła.

Przestraszyła się, bo zobaczyła Banoklesa nadal walczącego u boku Odyseusza. Potem ujrzała też Kalliadesa i poczuła ulgę. Na moment zasłonił go maszt. Patrzyła, jak powala swojego przeciwnika i przebija się do Odyseusza.

Kilku piratów rzuciło broń, ale i tych rozsiekano bez pardonu. Inni skoczyli za burłę, do morza. Jakiś brzydki mężczyzna o nienaturalnie pociągłej twarzy wrzasnął coś do Idomeneosa i rzucił się na niego. Zanim zdążył go dopaść, Banokles zwałił go z nóg. Kilka mieczy przeszło pirata. Piria usłyszała jego przedśmiertne rżenie.

Bitwa się skończyła.

Odyseusz, wyczerpany, ciężko usiadł pod masztem, patrząc na podpływającego ogromnego *Ksantosa*. Usłyszał znajomy głos:

– Hej, Odyseuszu! Gdzie jesteś, morski krewniaku?

Ze znużeniem podniósł się, podszedł do sterburty i oparł o reling. Spojrzawszy w górę, zobaczył wysokiego i barczystego mężczyznę o złotych włosach, stojącego na dziobie olbrzymiego statku.

– Na cycki Tetis! – zawołał. – Co za głupiec powierzył ci dowodzenie statkiem?

Hektor, księżę Troi, roześmiał się.

– Ach, zaiste byłby to kompletny głupiec. Nie, mój przyjacielu, jestem tylko pasażerem – chociaż pasażerem z mieczem. Czy nie jesteś trochę za stary, żeby walczyć z piratami?

– Stary? Jestem w kwiecie wieku, ty arogancki łobuzie!

– Wierzę ci, morski krewniaku. Wygląda na to, że będziesz potrzebował pomocy z tą

galera.

Mogę pożyczyć ci dwudziestu ludzi.

– Będą mile widziani, Hektorze, mój przyjacielu.

– Podejdziemy do waszej burty i przyślę ci ich.

Odyseusz podziękował mu i wrócił pod maszt. Ręce mu drżały i miał mdłości. Bias dołączył do niego i uklęknął obok.

– Ilu straciliśmy? – spytał Odyseusz.

– Ośmiu zabitych, jedenastu ciężko rannych i niemal każdy ma jakieś skaleczenie, oprócz mnie i Leukona. Mimo to mieliśmy szczęście, Odyseuszu. A co z tobą? Jesteś cały zakrwawiony. Czy to twoja krew?

Odyseusz pokręcił głową.

– Kto zginął?

Bias podał imiona i brzemię zmęczenia powiększył ciężar smutku. Odyseusz oparł głowę o maszt. Wokół niego żeglarze zabierali broń zabitym piratom i wyrzucali ciała za burtę. *Ksantos* stał tuż obok, rzucając głęboki cień na ich pokład. Z okrętu spuszczone liny, po których zeszło dwudziestu marynarzy.

– Do licha, przecież nigdy nie byłem aż tak zmęczony po bitwie – rzekł Odyseusz. – Szczególnie po zwycięskiej.

– Wiem – powiedział Bias. – Ja także.

– Chyba nie powiesz mi, że się starzejemy – ostrzegł go Odyseusz.

Bias się uśmiechnął.

– Nie, Odyseuszu. Może po prostu stajemy się mądrzejsi. Myśl o tych wszystkich ludziach, którzy jeszcze dziś rano byli żywi, a teraz kroczą Ciemną Drogą, jest przygnębiająca. I cóż osiągnięto? Zyskaliśmy starą galerę, trochę oręża na handel i może jakieś pirackie łupy. To nie jest warte życia ośmiu ludzi. Szczególnie młodego Demetriosia.

Odyseusz zamknął oczy.

– Idź i przydziel nowym ludziom zadania – powiedział. – I przenieście wszystkie łupy na *Penelopę*.

– Tak, mój królu – rzekł Bias. – Co zamierzasz teraz zrobić?

– Ludzie Hektora mogą doprowadzić galerę z powrotem do Skały Tytana – odparł Odyseusz.

– Niech zabiorą rannych, których tam zostawiliśmy. Popłyniemy dalej. Przy sprzyjającym wietrze do zmroku dotrzemy do Łuku Apolla, a jeśli nie, to przenocujemy w Zatoce Garbusa.

Jasne słońce oświetliło pokład, gdy przestał nań padać cień *Ksantosa*. Odyseusz usłyszał, że woła go Hektor.

– Popłyniemy za tymi piratami, Odyseuszu. Dokąd wy zmierzacie?

– Do Łuku Apolla – krzyknął Odyseusz, gdy olbrzymi statek ruszył na południe.

Bias podszedł do dwudziestu nowych członków załogi, a Brzydki Król siedział w milczeniu, spoglądając na swoje zakrwawione dłonie. Palce już przestały mu drżeć, ale wciąż było mu niedobrze. Młody Demetrios był dobrym chłopcem, cichym, pracowitym i bardzo dumnym z tego, że wybrano go na miejsce Portheosa. Twarze pozostałych zabitych przesunęły mu się przed oczami. Żeglował prawie dwadzieścia sezonów z Abderosem, jedynym członkiem załogi, który nigdy nie wziął sobie żony. Przez zimę mieszkał sam, rzeźbiąc w drewnie i splatając liny, rzadko z kimś rozmawiając. Wracając na wiosnę na pokład, uśmiechał się szeroko i ścisnął towarzyszy. *Penelopa* była wszystkim, co miał. A teraz zginął w jej obronie.

Odyseusz ze znużeniem wrócił na swój statek.

Banokles podszedł i przykucnął przy nim. On też był zbryzgany krwią, twarz i brodę miał usiane czerwonymi plamami i smugami.

– Zastanawiałem się – rzekł wesoło – czy Kalliades i ja moglibyśmy zostać obywatelami Itaki. Na czas igrzysk w Troi. W końcu nie może my wziąć w nich udziału jako Mykeńczycy.

Odyseusz nie miał ochoty na rozmowę. Wciąż opłakiwał w myślach swoich towarzyszy.

Jednak ten człowiek kilka razy ratował mu dziś życie, więc Brzydki Król nabrał tchu i zastanowił się nad tym.

– Co potraficie? – zapytał w końcu.

– Jestem pięściarzem.

– A Kalliades?

– Sermierzem.

– Podczas ślubnych igrzysk nie ma walk na miecze. Tylko Mykeńczycy organizują wtedy takie pojedynki.

– Ach. Jest też dobrym biegaczem.

– Naszym pięściarzem jest Leukon, Banoklesie. I może pamiętasz, że kiedy ostatnio widziałem, jak walczyłeś na pięści, leżałeś na wznak, zasłaniając głowę rękami.

– To prawda – rzekł Banokles – ale twoich chłopców było pięciu i mówiłem ci, że tylko chwytałem oddech.

Odyseusz się uśmiechnął.

– W Troi będzie kilku wielkich zawodników. Naprawdę wielkich. Nie mogę wystawić kogoś, kto mógłby przynieść wstyd Itace.

– Nie przyniosłbym! Jestem wspaniałym zawodnikiem.

– Jesteś wielkim wojownikiem, Banoklesie. Przekonałem się o tym dzisiaj. Jednak walka na pięści to co innego.

– Mógłbym pokonać Leukona – rzekł z przekonaniem Banokles.

Odyseusz spojrział mu w oczy.

– Powiem ci, co zrobię – rzekł. – Wieczorem wyprawimy pogrzebową ucztę za naszych przyjaciół, którzy dziś zginęli. Będziemy ich wychwalać i składać dary na ich bezpieczną podróż na Pola Elizejskie. Niemal wszyscy moi ludzie są ranni, więc nie możemy urządzić igrzysk pogrzebowych. Jeśli jednak Leukon wyrazi zgodę, ty i on możecie walczyć ku czci poległych.

– Wspaniale – powiedział uszczęśliwiony Banokles. – A jeśli zwyciężę, w Troi będziemy obywatelami Itaki?

– Będziecie – odparł Odyseusz.

Patrzył, jak olbrzymi wojownik odchodzi. Więcej serca niż rozsądku, pomyślał.

Rozejrzawszy się po pokładzie, zauważył Leukona i zawołał go. Szybko opowiedział mu o prośbie Banoklesa. Leukon wzruszył ramionami.

– Chcesz, żebym z nim walczył?

– Tak.

– Więc będę.

– Mówi, że może cię pokonać.

Leukon popatrzył na Banoklesa.

– Ma krótsze ręce niż ja, co oznacza, że otrzyma więcej ciosów. Ma dobry kark i silne ramiona. Chyba twardy podbródek. Ma zadatki na pięściarza. Tak, to będzie dobry trening.

Kiedy Leukon odszedł, Odyseusza ogarnęła następna fala zmęczenia. Miał ochotę położyć się na pokładzie i zasnąć, ale nie pozwalało mu na to sumienie. Jakiż dałby przykład, gdyby spał, kiedy inni pracują?

Zaraza na przykłady, powiedział sobie. Jestem królem. Robię, co chcę. Z tą myślą wyciągnął się na deskach, podłożył rękę pod głowę i zasnął.

Po południu ostatnie chmury znikły i niebo stało się czyste, jasnoniebieskie. Nie było wiatru i skwar narastał. Rozpięto kawałek starego żagla, tworząc baldachim nad częścią pokładu na rufie *Penelopy*. Odpoczywali tam Nestor, jego synowie i Idomeneos.

Piria poszła na dziób i spojrzała na błękit wód. Ostry ból przeszył dolną część jej ciała, tak silny, że o mało nie krzyknęła. Zamknęła oczy, usiłując miarowo oddychać i zapomnieć o bólu, stopić się z nim w jedno, wchłonąć. Nie przeszedł całkowicie od czasu tamtej okrutnej napaści.

Nasilał się tylko lub słabł, nadwątlając jej siły.

To dopiero kilka dni, powiedziała sobie. Przejdzie mi. Nie złamię mnie. Jestem Kaliope, silniejsza niż nienawiść jakiegokolwiek mężczyzny. Jednak ból był dziś mocniejszy niż przedtem i przerażał ją.

Otworzywszy oczy, starała się skupić na czystym błękitcie morza, skrzącego się w słońcu.

Teraz było tak spokojne, że wydarzenia poranka wydawały się niemal snem. Zabiła kilku mężczyzn, posyłając ostre strzały, by raniły ich ciała, tak jak oni zranili ją. Można by sądzić, że własnoręcznie zabijając piratów, powinna poczuć satysfakcję – jakby wymierzała sprawiedliwą karę. A tymczasem co? Gdzie radość z zemsty? Piria czuła tylko lekki smutek z powodu śmierci młodego Demetriososa. Nie odezwał się do niej, ale obserwowała go wśród towarzyszy, widziała, jaki był nieśmiały, i wyczuwała, że czuł się nieswojo wśród weteranów mórza. Nie widziała, jak zginął, ale patrzyła, jak układali ciało obok jego siedmiu zabitych towarzyszy. Po śmierci wyglądał jak dziecko, a jego twarz miała wyraz okropnego zaskoczenia.

Nie lituj się nad nim, powiedział ponury głos jej strachu. Był mężczyzną i zło jego gatunku ujawniłoby się, gdyby dorósł. Nie współczuj żadnemu z nich! Oni wszyscy są źli.

Nie wszyscy, pomyślała. Jest Kalliades.

On wcale nie jest inny! Zobaczysz! Za jego uprzejmymi słowami kryje się taka sama gwałtowna natura, ta sama chęć dominowania i posiadania. Nie ufaj mu, głupia dziewucho.

Zobaczyła, że idzie ku niej, i w jej duszy starły się dwa przeciwstawne uczucia – przywiązanie i strach.

Jest moim przyjacielem.

On cię zdradzi.

Kalliades uśmiechnął się na powitanie, a potem wychylił za burzę, jakby czegoś wypatrywał.

Ona odwróciła się, oparła o reling i ból trochę zelżał. Z ulgi niemal łzy popłynęły jej z oczu.

Kalliades wciąż wpatrywał się w wodę. Miał poważną minę, a jednak znów pomyślała, że nie sprawia wrażenia człowieka skłonnego do przemocy. Nie wyglądał na

okrutnika.

– Nie wyglądasz na wojownika – powiedziała.

Te słowa wymknęły się jej z ust, zanim zdążyła się powstrzymać.

– To komplement czy zniewaga?

– Tylko uwaga.

– Meriones był pod wrażeniem twoich umiejętności łuczniczych. Powiedziałbym, że on także nie spodziewał się tego po tobie. Jednak Odyseusz dostrzegł w tobie wojownika.

– Bystry człowiek.

Kalliades zaśmiał się.

– Może jest bystry, ale strach walczyć u jego boku. Dwukrotnie o mało nie obciął mi ucha. Chyba więcej czasu zajmowało mi uchylanie się przed jego mieczem niż walka z piratami. – Zamilkł na chwilę i Piria zerknęła na niego. – Byłem z ciebie dumny, kiedy Meriones cię wychwalał – rzekł.

Ponury głos w jej głowie zawołał triumfalnie: Widzisz! Był z ciebie dumny. Już czuje się twoim posiadaczem. Wpadła w gniew.

– Jakie masz prawo być ze mnie dumny? – wybuchnęła. – Nie jestem twoim koniem, który wygrał wyścig.

– Nie to miałem na myśli. Po prostu... – Zerknął w dół i wyraz jego twarzy się zmienił. – Krwawisz – powiedział. – Jesteś ranna?

Piria poczuła strużkę krwi spływającą po udzie. Morska bryza rozchyliła jej tunikę, odsłaniając szkarłatną smugę. Poczuła rozdzierający ból, niemal nie do zniesienia. Czy jestem ranna? Głupiec, głupiec! Moje ciało zostało rozdarte i zranione, pobite i posiniaczone. Moje serce i dusza zostały złamane i splugawione.

– Jesteś ranna?

Gniew wylewał się z niej jak rzeka występująca z brzegów. W oczach stanęły łzy i wzrok się zamglił. Postać obok niej nie była już Kalliadesem. W tym momencie stał się ojcem, którego kochała i który ją zdradził, bratem, którego uwielbiała i który ją odepchnął. Nienawiść i rozpacz walczyły ze sobą.

Z jej ust popłynął potok gniewnych słów.

– Myślisz, że nie wiem, kim naprawdę jesteś? – zawołała. – Twoje łagodne słowa są kłamstwem! Twoja przyjaźń jest kłamstwem. Chcesz tego samego co wszyscy mężczyźni. Widzę to w twoich oczach. No już. Tłucz mnie pięściami, gryź, zaciśnij palce na mojej szyi i wyciśnij ze mnie oddech. A potem cofnij się i powiedz: „Patrz, do czego mnie zmusiłaś, ty zdziro!” Ciężko dysząc, odwróciła się do niego plecami.

W ciszy, która zapadła, uświadomiła sobie, że krzyczała i załoga się na nią gapi. Kalliades nie ruszył się z miejsca, a kiedy przemówił, jego głos brzmiał łagodnie, uspokajająco.

– Przykro mi, Pirio. Ja... zostawię cię na chwilę. Może... porozmawiamy później, jeśli zechcesz. Albo nie.

Ból znów zelżał. Zobaczyła, że Kalliades odwraca się, by odejść. Nagle, bojąc się zostać sama na dziobie, na oczach wszystkich, zawołała go.

– Nie musisz sobie iść – powiedziała łamiącym się głosem. – Ja... przepraszam.

Zawahał się i zobaczyła, że zerknął na załogę i zauważył jej zainteresowanie. Potem zawrócił i stanął przy niej, zasłaniając ją przed zaciekawionymi spojrzeniami.

– To ja przepraszam za wszystko, co wycierpiałas – rzekł łagodnie. – Nigdy cię nie skrzywdzę, Pirio. Nigdy nie sprawię ci bólu. Spróbuj o tym pamiętać.

Popatrzyła na niego.

– Czy zakochałeś się we mnie, Kalliadesie?

To pytanie wyrwało się jej, zanim zdołała się powstrzymać, i w myślach przekleła swoją głupotę. Tak czy inaczej, nie chciała usłyszeć odpowiedzi.

Spojrzał jej w oczy i poczuła siłę tego spojrzenia.

– Moje uczucia to moja sprawa – powiedział w końcu. – Wiem tylko, że płyniesz do Troi, żeby być z kimś, kogo kochasz. Jeśli pozwolisz, dopilnuję, żebyś dotarła tam bezpiecznie.

– Nigdy nie mogłabym kochać mężczyzny tak, jak by tego chciał. Rozumiesz?

– Czy prosiłem, żebyś mnie kochała? – odparował.

– Nie.

– Zatem nie ma problemu. – Jakiś ruch w wodzie przykuł jego wzrok i Kalliades się odwrócił.

– Spójrz tam! – powiedział, wskazując na sterburtę. Trzy delfiny, smukłe i szaroniebieskie, skakały i nurkowały wśród fal. – Zawsze lubiłem je obserwować – rzekł.

Była to dość niezręczna próba zmiany tematu, ale Piria przyjęła ją z wdzięcznością.

– Są bardzo piękne – powiedziała i spojrzała na niego, chcąc w jakiś sposób okazać swoje zaufanie.

– Naprawdę mam na imię Kaliopé – powiedziała w końcu.

Uśmiechnął się.

– Mam dobre imiona – rzekł. – Piękny Głos i Ukryte Piękno. Twój głos jest miły dla ucha. A moje imię staje się coraz bardziej odpowiednie z każdą nową blizną. – Milczał

chwilę. – Rozumiem, że to imię powinno pozostać tajemnicą?

– Tak.

– Dziękuję, że mi zaufałaś. Nie zdradzę cię.

– Wiem o tym, Kalliadesie. Jesteś pierwszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek poznałam, o którym mogę to powiedzieć.

Teraz stali w przyjaznym milczeniu, patrząc na delfiny, słuchając plusku wiosel uderzających o wodę i powolnego, leniwego trzeszczenia drewna. Dołączył do nich Banokles.

Wciąż miał skórzany napierśnik i twarz usmarowaną krwią.

– Znów jesteśmy przyjaciółmi? – zapytał.

– Tak – odpowiedziała Piria.

– To dobrze, bo przynoszę wieści! – Banokles uśmiechnął się do Kalliadesa. – Możemy wziąć udział w igrzyskach, które odbędą się w Troi z okazji ślubu Hektora. Będą zapasy, walki na pięści, wyścigi – piesze, konne i rydwanów. Będzie turniej łuczniczy i zawody w rzucie oszczepem. Ja zamierzam walczyć na pięści, a za złoto z wygranych zakładów przez jakiś czas będziemy nieźle żyć. Może nawet kupimy sobie kilka... kilka... – Zerknął na Pirię i chrząknął. – Kilka koni. No i jak, co o tym sądzisz?

– Dobry plan. – Pokiwał głową Kalliades. – Ma tylko kilka wad. Po pierwsze, nie reprezentujemy żadnej nacji ani państwa. Po drugie, ostatnio byliśmy w Troi jako najeźdźcy i możemy zostać uznani za niepożądanych gości, jeśli zostaniemy rozpoznani. Po trzecie – i moim zdaniem najważniejsze – jesteś osiłkiem, który nie dojdzie do finału zawodów, mającego wyłonić najlepszego pięściarza z pięćdziesięciu. O ile pamiętam, Eruthros cię pokonał.

– W porządku – odparł niechętnie Banokles. – Może nie zostanę mistrzem, ale wygram kilka pojedynków. I tak zarobimy trochę złota. A co z biegami? Czy w naszej kompanii ktoś biegał szybciej niż ty?

– Nie, ale było w niej zaledwie pięćdziesięciu ludzi. – Kalliades westchnął. – Powiedzmy, że zgodziłem się, żebyśmy wystąpili. Kogo mielibyśmy reprezentować?

– Ach! Już to załatwiłem – oznajmił triumfalnie Banokles. – Poprosiłem Odyseusza, żebyśmy mogli wystąpić jako obywatele Itaki.

– I zgodził się? – spytał zdumiony Kalliades.

– Niezupełnie. Przypomniał, że to Leukon reprezentuje Itakę w walce na pięści i jest najlepszym pięściarzem w załodze. Powiedział, że mogę wystąpić jako obywatel Itaki, jeśli wieczorem podczas uroczystości pogrzebowych pokonam Leukona.

– A co na to Leukon?

Banokles szeroko się uśmiechnął.

– Jest szczęśliwy jak świnia w gnoju. Powiedział, że to będzie dobry trening. Najwidoczniej nikt inny nie chce z nim ćwiczyć.

– Nie zastanowiłeś się dlaczego?

– Oczywiście. Zapewne dlatego, że jego ciosy są jak kopnięcia konia.

– I to cię nie niepokoi? – wtrąciła Piria.

– Już kiedyś kopnął mnie koń. I wstałem. Zawsze wstaję. Kiedy wygram, zgodzisz się wystąpić ze mną na igrzyskach?

Kalliades zerknął na Pirię, która się uśmiechała.

– Co o tym myślisz? – zapytał ją.

Piria popatrzyła na wiosłującego Leukona i znów na Banoklesa.

– Myślę, że ten koń, o którym mówiłeś, musiał kopnąć cię w głowę – powiedziała.

Odyseusz patrzył na troje swoich pasażerów rozmawiających na dziobie. Kobieta, Piria, była teraz spokojniejsza i uśmiechnięta. Rzadki widok. Pamiętał swoje wizyty w pałacu jej ojca. Była wtedy młodsza i zamknięta w sobie, zawsze poważna, spoglądała podejrzliwie i nieufnie.

– Kim ona jest? – zapytał Idomeneos.

Odyseusz wzruszył ramionami.

– Zwykła dziewczyna złapana przez piratów. Zgwałcili ją. Kalliades i jego przyjaciel ją odbili.

– Nie dostaną za nią wiele. Zbyt pyskata. Gdyby jakaś niewolnica tak się do mnie odezwała, kazałbym ją wychłostać.

– Oni nie zamierzają jej sprzedać ani zatrzymać.

– To po co ją odbijali?

– Właśnie, po co? – rzekł Odyseusz.

Podszedł do relingu na sterburcie, przechylił się i oszacował prędkość. Wiatr się wzmógł i Zatoka Garbusa widniała już niedaleko z lewej burty. W oddali było widać długi półksiężycowaty kształt Łuku Apolla. Kilka statków leżało tam na piasku.

Kalliades opuścił pokład dziobowy i przeszedł po śródokrećciu, dołączając do Brzydkiego Króla.

– Możemy porozmawiać, królu Odyseuszu? – zapytał.

– Słowa nic nie kosztują – odparł Odyseusz.

– Twój człowiek Leukon jest wprawnym pięściarzem?

– Tak.

– A Banokles nie jest – rzekł Kalliades. – Ma wielkie serce i mnóstwo odwagi.

– Zatem Leukon powali go jak drzewo.

– Nie, królu Odyseuszu. Leukon go powali, a Banokles wstanie, żeby znów dać się powalić. Będzie tak wstawał, dopóki jego serce będzie biło. Będzie walczył, dopóki nie zostanie okaleczony lub zabity. Taką już ma naturę.

– Rozumiem, że mówisz mi to z jakiegoś powodu.

– Mówię ci to, ponieważ mogło wydawać się zabawne pozwolić Banoklesowi myśleć, że może zostać obywatelem Itaki. Ta walka nie będzie zabawą, chyba że bawi cię widok krwi i cierpienia.

– Twój towarzysz sam tego chciał – odparł Odyseusz. – Jego los jest w jego rękach. Jeśli zechce się wycofać, nie wezmę mu tego za złe.

Idomeneos, który tego słuchał, wyszedł spod baldachimu i dołączył do nich.

– Nosisz piękny miecz – rzekł do Kalliadesa. – Mogę go obejrzeć?

Kalliades wyjął miecz, obrócił rękojeścią naprzód i podał kreteńskiemu królowi. Głowica z brązu miała kształt lwiego łba, rękojeść była owinięta rzemieniem, a ostrze mocne i ostre.

– Dobrze wyważony – pochwalił Idomeneos. – Wykuty przez mistrza. Taki oręż nie zawiedzie w bitwie.

– To miecz Arguriosa – powiedział Kalliades. – Broń godna szacunku.

– Chciałbyś ją sprzedać?

– Nie.

– Za oręż bohatera dobrze zapłaciłbym złotem.

– Nigdy go nie sprzedam.

– Szkoda – rzekł Idomeneos, zwracając miecz.

Ta rozmowa zaniepokoiła Odyseusza, gdyż dostrzegł pożądlive spojrzenie Kreteńczyka.

– Walka – powiedział – odbędzie się według olimpijskich reguł. Jeśli pięściarz zostanie pięciokrotnie powalony na ziemię, ogłoszę zwycięzcą jego przeciwnika.

– Dziękuję ci, królu Odyseuszu – powiedział Kalliades.

X. MŁOT HEFAJSTOSA

Słońce zachodziło, gdy *Penelope* wyciągnięto na brzeg. Rozpalono kilka ognisk. Potem załoga poszła nazbierać drewna na wielki pogrzebowy stos, na którym złożono ciała ośmiu zabitych żeglarzy.

Trzy inne statki kupieckie też przybiły do Łuku Apolla i ich załogi patrzyły, jak marynarze z *Penelopy* zebrali się wokół stosu. Odyseusz opowiedział o zmarłych, o ich wierności i odwadze, i wezwał wielkiego Zeusa, aby poprowadził ich dusze Ciemną Drogą. Na stos wylano wielką amforę oliwy. Czterej mężczyźni wstali od najbliższego ogniska i podeszli do Odyseusza.

Wędrowni bardowie w drodze do Troi zaproponowali, że wykonają Pieśń Zmarłych. Odyseusz podziękował im i wróciwszy, usiadł ze swoją załogą. Dwaj bardowie mieli liry, a trzeci bęben z ciemnego drewna, ozdobiony taśmami z brązu. Czwarty nie miał żadnego instrumentu. Był z nich najstarszy i w jego schludnie przystrzyżonej brodzie lśniły srebrne nitki.

Gdy bardowie zaczęli, zapadła cisza. Granie lir niosło się melodyjnymi falami słodkich i czystych dźwięków. Szczupły rudowłosy mężczyzna z bębniem wziął pałeczki w prawą dłoń i zaczął wybijać powolny, miarowy rytm. Silny i donośny głos siwobrodego barda wznosił się ponad dźwięki lir.

Załoga siedziała, słuchając znajomych strof Pieśni Zmarłych, którą bardowie grali tak cudnie, że wydawała się nowa, ułożona tylko na tę jedną noc. Niektórzy ze słuchaczy ronili łzy, a wszyscy byli poruszeni. Kiedy pieśń się skończyła, Odyseusz podszedł do bardów, aby im podziękować, i dał każdemu po srebrnym pierścieniu. Potem podpalił stos. Nasączone oliwą, suche drewno zajęło się natychmiast płomieniem tak silnym, że załoga musiała się cofnąć.

Większość żeglarzy stała w milczeniu, spoglądając na płonący ogień, pogrążona we wspomnieniach. Inni, z opatrzonymi ranami, siedzieli na piasku.

Odyseusz podszedł nad samą wodę, gdzie stali Kalliades, Banokles i Piria.

– Jesteś pewien, że chcesz to zrobić? – zapytał Banoklesa. – Widziałem kiedyś, jak Leukon uderzył pięścią w okutą brązem tarczę i przełamał ją na pół.

– Czy tarcza mu oddała? – zapytał Banokles.

Odyseusz zachichotał.

– Nie – odparł. – Nie oddała. – Długo i uważnie przyglądał się Banoklesowi. – Masz budowę pięściarza, a twój przyjaciel mówi, że masz też serce do walki. Patrzyłem, jak się poruszasz, i widzę, że cała twoja siła skupia się w ramionach. Dobry pięściarz uderza rękami. Wielki wykorzystuje siłę nóg.

Banokles się zaśmiał.

– Kolejna bajeczka. Pięści w nogach.

– Nie, chłopcze. To prawda. Wielki pięściarz uderza z półobrotu, popierając uderzenie całym ciężarem ciała. Leukon jest wielkim pięściarzem. Spodziewam się, że w Troi dojdzie do finałów i przyniesie jeszcze większą chwałę *Penelopie* oraz całej Itace. Tak więc nie byłby to dla ciebie żaden wstyd, gdybyś postanowił z nim nie walczyć.

– A dlaczego? – zapytał Banokles, drapiąc się po gęstej jasnej brodzie. Zacisnął pięść.
– Nazywam ją Młotem Hefajstosa – rzekł dumnie. – Przynieście mi tarczę, a złamię ją na pół.

Odyseusz przeniósł spojrzenie na Kalliadesa, a potem pokręcił głową i odszedł.

– Chciał odebrać mi pewność siebie – rzekł Banokles. – Pewność siebie jest dla pięściarza wszystkim, wiecie?

– No cóż, tego ci nie brakuje.

– To prawda. Wierzysz we mnie?

Kalliades położył dłoń na szerokim ramieniu Banoklesa.

– Zawsze w ciebie wierzyłem, przyjacielu. Wiem, że nawet gdyby wszyscy bogowie byli przeciwko mnie, ty stanąłbyś u mego boku. Kiedy ma się odbyć ten pojedynek?

– Odyseusz powiedział, że kiedy dotrze tu *Ksantos*. Mówi, że Hektor zawsze chętnie obejrzy dobrą walkę. – Zniżył głos, chociaż w pobliżu nie było nikogo oprócz Pirii. – Myślisz, że będzie nas pamiętał z Troi? Nigdy nie zapomnę, jak ten wielki drań tłukł naszych, jakby byli dziećmi. Tylko raz w życiu się bałem – patrząc, jak atakuje Hektor. I nie mam nic przeciwko temu, żebyś o tym wiedział, chociaż jeśli komuś o tym powiesz, nazwę cię łgarzem.

– Nikomu nie powiem. Ja też się bałem. Przez moment byłem niemal pewien, że to sam bóg wojny.

Wieczorny wietrzyk był chłodny i wszyscy troje zeszli z plaży w kępę drzew, gdzie nazbierali suchego drewna. Wróciwszy między skały, Kalliades rozpałił ognisko. Piria usiadła w milczeniu, plecami oparta o głaz. Gdzieś w pobliżu bardowie zaczęli śpiewać przy innym ognisku. Była to długa pieśń o utraconej miłości. Kalliades zadrżał i owinął się płaszczem.

Gdy na niebie gasły ostatnie promienie słońca, zobaczył wolno dopływającego do brzegu *Ksantosa*, ze zwiniętym żaglem z czarnym koniem i dwoma rzędami wiosł powoli

tnącymi wodę. Banokles wyciągnął się na piasku przy ogniu i spał. Piria też obserwowała wielki statek.

Gdy zbliżył się do brzegu, wiosłarze mocniej naparli na wiosła i dziób z chrzęstem wjechał na piach. Z rufy zrzucano ciężkie kamienie uwiązane na grubych linach, które z pluskiem wpadły do wody, unieruchamiając rufę. Potem załoga zaczęła schodzić na ląd. Kalliaades zobaczył Hektora, który wspiał się na dziób i zeskoczył na piasek. Odyseusz podszedł do niego i uściskali się.

Hektor równie ciepło powitał króla Nestora i obu jego synów. Potem przelotnie uścisnął dłoń króla Idomeneosa. Chociaż siedział daleko od nich, Kalliaades zauważył, że Hektor i król Krety niezbyt się lubią. Nic dziwnego. Nawet Kalliaades, który nie uczestniczył w naradach dowódców i królów, wiedział o nadchodzącej wojnie między Troją a wojskami Myken i ich sprzymierzeńców. Idomeneos był krewniakiem Agamemnona i pozwolił, by na Krecie stacjonowały dwa mykeńskie garnizony. Nic dziwnego, że Hektor powitał go tak chłodno.

Kalliaades wrócił myślami do ataku na Troję zeszłej jesieni. Zdrajcy otworzyli przed nimi wielkie wrota, ale Kalliaades pamiętał wysokie mury i ulice za nimi. Gdyby armia miała zdobywać mury, poniosłaby ciężkie straty. A ulice też byłyby zaciekle bronione i każdy krok naprzód byłby okupiony krwią. Na dodatek pozostawał jeszcze warowny pałac Priama, również otoczony wysokim murem. Atakującym powiedziano, że Trojańczycy są kiepskimi wojownikami. To było kłamstwo. Gwardia przyboczna króla Priama – dwustu ludzi zwanych Królewskimi Orłami – walczyła zaciekle i skutecznie, z odwagą, zręcznością i zapałem. A kiedy przybyły następne trojańskie oddziały, walczyły równie dzielnie jak mykeńscy wojownicy.

Agamemnon chciał złupić Troję i zdobyć jej legendarne skarby. Aby tego dokonać, potrzebował ogromnej armii. Kalliaades wiedział, że wszyscy królowie z kontynentu będą musieli wziąć w tym udział.

– O czym myślisz? – zapytała Piria.

– O niczym ważnym – skłamał.

Zdawało się, że przyjęła tę odpowiedź za dobrą monetę i spojrzała na śpiącego Banoklesa.

– Nie wygląda na przejętego nadchodzącą walką.

– Nie jest z tych, którzy się przejmują – odparł z uśmiechem. – Nie roztrząsa przeszłości ani przyszłości. Dla Banoklesa istnieje tylko teraźniejszość.

– Chciałabym być taka. Przeszłość mnie dręczy, przyszłość przeraża. Przez krótki czas

wiedziałam, gdzie jestem, i byłam zadowolona ze swojego życia. To nie trwało długo.

– Zatem dziś wieczór bądźmy jak Banokles – powiedział. – Siedzimy bezpiecznie przy ogniu, z pełnymi żołądkami. Gwiazdy świecą i nic nam nie grozi. Cieszymy się tym, dopóki możemy.

Banokles zbudził się nagle, gdy Kalliades niezbyt delikatnie trącił go w żebra stopą obutą w sandał.

– Co jest? – zapytał sennie.

– Gdybyś zapomniał, to masz walczyć z Leukonem.

Banokles uśmiechnął się i usiadł.

– Chciałbym mieć coś, co mógłbym postawić – rzekł. – Wydaje się niewłaściwe walczyć bez zakładu.

Podniósł się z ziemi i zauważył Pirię siedzącą w cieniu skał. Nie była w jego typie, ale czuł się tak, jakby od wieków nie miał kobiety. Uśmiechnął się do niej, a ona zmarszczyła brwi. Może jest czarownicą, pomyślał, i wie, o czym myślę. Pośpiesznie odwrócił wzrok. Przy ognisku *Penelopy* zobaczył Leukona, machającego rękami nad głową i wykonującego półobroty.

– Przynajmniej wygląda jak pięściarz – rzekł Banokles.

– Zapewniam cię, że nim jest – powiedział Kalliades. – Ma dłuższe ręce niż ty. Staraj się unikać ciosów i uderzać w tułów. Walcz z bliska.

– Dobry plan – pochwalił Banokles. – Jednak powinien być jakiś zakład.

– Nie mamy niczego, co moglibyśmy postawić. Wszystko, co zabrałem Arelosowi, dałem Odyseuszowi jako zapłatę za podróż.

– Mógłbym postawić mój napierśnik.

– Po prostu skup się na walce.

– No to zaczynajmy – powiedział Banokles. – Mógłbym zabić za dzban wina.

Razem poszli tam, gdzie załoga *Penelopy* siedziała wokół ogniska. Banokles zobaczył Hektora siedzącego z Odyseuszem. W tę spokojną wiosenną noc nie wyglądał groźnie, lecz Banoklesa ścisnęło w dołku na wspomnienie wojownika przybywającego na pole bitwy w Troi.

Wtedy wyglądał na niepokonanego.

Odyseusz wstał i podszedł do nich, skinąwszy na Leukona, żeby mu towarzyszył. Dołączył do nich Idomeneos. Miał na sobie błyszczący napierśnik, nabijany srebrem i złotem. Pancierz lśnił w blasku ogniska.

– Przyjacielski zakład? – zasugerował Idomeneos.

– Proponowałem to już wcześniej – rzekł Banokles. – Jednak nic nie mamy. Poza moim napierśnikiem.

– Twój przyjaciel ma miecz – powiedział Idomeneos. – Postawię przeciwko niemu mój napierśnik.

– Racja! – wykrzyknął Banokles. – Miecz, Kalliadesie. Zapomnieliśmy o nim.

– Tak, zapomnieliśmy – przyznał Kalliades, mierząc kreteńskiego króla chłodnym spojrzeniem.

Banokles zauważył, że Odyseusz też wyglądał na rozgniewanego. Zaskakujące. Kalliades miał okazję zdobyć słynny napierśnik, a tymczasem się wahał. Okropne podejrzenie przyszło Banoklesowi do głowy.

– Wierzysz we mnie? – zapytał.

– Zawsze – odparł Kalliades. – Zatem o miecz – powiedział do Idomeneosa.

Odyseusz wystąpił naprzód.

– Ta walka odbędzie się według olimpijskich reguł – oznajmił. – Jesteś tego świadom?

– Tak – odparł Banokles, który nie miał pojęcia, o czym on mówi.

– Może powinienes to wyjaśnić – pośpiesznie wtrącił Kalliades.

– Walka wyłącznie na pięści. Nie ma łapania, szarpania, walenia bykiem, kopania czy gryzienia. Tylko pięści.

– Phi! – skrzywił się Banokles. – Co to za sztuka? Walenie bykiem jest częścią sztuki pięściarskiej.

– Och, najwyraźniej nie wytłumaczyłem ci tego wystarczająco jasno – rzekł przyjacielskim tonem Odyseusz. – Pozwól, że ujmę to inaczej. Jeśli przekroczysz te reguły, połamię ci pałką ręce i nogi, a potem zostawię na tej plaży, żebyś zgnił. – Nachylił się do niego. – I nie uśmiechaj się do mnie, ty półgłówku. To nie żart. Spójrz mi w oczy i powiedz, czy widzisz w nich rozbawienie.

Banokles spojrzał mu w oczy. Ten człowiek nie żartował.

– W porządku – powiedział. – Nie ma walenia bykiem.

– Ani gryzienia, szarpania, kopania czy wyłupywania oczu.

– Wcześniej nie wspominałeś o wyłupywaniu oczu – zauważył z urazą Banokles.

– To wspominam teraz. Kiedy jeden z was upadnie, drugi się odsunie. Ten, który upadł, musi wstać i dotknąć białej w piasek włóczni. Jeśli nie będzie chciał walczyć dalej, wyciągnie ją i rzuci na piach.

– A co jeśli będzie nieprzytomny? – zapytał z niewinną miną Banokles.

– Na wszystkich bogów, czy byk nadepnął ci na głowę, kiedy byłeś niemowlęciem?

– To rozsądne pytanie – upierał się Banokles. – Jeśli będzie nieprzytomny, to nie zdoła dotknąć włóczni, no nie?

– Jeśli będzie nieprzytomny, to przegrał, ty durniu!

– Od razu trzeba było tak mówić – zauważył przyjaźnie Banokles.

– Pierwszy, który upadnie pięć razy, zostanie uznany za pokonanego – ciągnął Odyseusz. – Wszystko zrozumiałeś?

– Tak – odparł Banokles. – Kiedy zaczynamy?

– Jak tylko będziesz gotowy – powiedział Odyseusz.

Banokles kiwnął głową, po czym niespodziewanym prawym prostym uderzył Leukona w twarz, powalając go na piasek.

– Jestem gotowy – powiedział.

Leukon z gniewnym rykiem zerwał się z ziemi i runął na niego.

– Musisz dotknąć włóczni – zawołał Banokles, uskakując.

Odyseusz złapał Kalliadesa za rękę i odciągnął. Leukon podszedł do włóczni i klepnął dłonią w drzewce. Potem się odwrócił i ruszył. Banokles natarł na niego i nadział się na lewy prosty, który poczuł każdą kosteczką swego ciała. Tylko instynktownie zdołał się uchylić przed potężnym prawym sierpowym, który przeciął powietrze nad jego głową. Szybko się wyprostował i zadał dwa ciosy w tułów Leukona. Jakby walił w deskę.

Uświadomił sobie, że walka potrwa dłużej, niż myślał – i w tej samej chwili lewy sierpowy trafił go w skroń, zwalając z nóg i rozciągając na piasku. Wstał chwiejnie, potrząsnął głową i wypluł krew.

– Potrafisz uderzyć, przyznaję – rzekł do Leukona.

Teraz cała załoga zebrała się wokół nich, a żeglarze z innych statków też przyszli, żeby obejrzeć pojedynek.

Banokles zaczął walczyć ostrożniej. Na niewiele się to zdało. Lewe proste Leukona wciąż przechodziły przez osłonę i trafiały w głowę. Banokles jeszcze dwukrotnie upadał na piach i dwukrotnie wstawał, żeby klepnąć drzewce włóczni. Leukon zaczął tańczyć, zadając kombinacje ciosów lewą i prawą, tak szybkich, że ledwie dających się uchwycić okiem. Banokles przyjmował je, czekając, aż przeciwnik się odsłoni. Zadany przez niego lewy prosty chybił.

Banokles doskoczył i wymierzył wściekły podbródkowy w odsłoniętą szczękę Leukona. Uderzył ze wszystkich sił. Cios wstrząsnął olbrzymim pięściarzem, który się zachwiał. Banokles natarł, zadając dwa prawe proste, a potem zamaszty lewy sierpowy, po którym Leukon rozciągnął się na piasku.

Natychmiast się zerwał.

Banokles walczył dzielnie, ale zaczął już pojmować, że przeciwnik przewyższa go o klasę. Zadał Leukonowi kilka dobrych ciosów, ale wielki żeglarz tylko się otrząsnął i atakował dalej, zasypując gradem ciosów ciało i twarz Banoklesa. Ten był już strasznie obolały, ale się nie poddawał, wciąż mając nadzieję, że jeden szczęśliwy cios przechyli szalę na jego korzyść.

Stało się tak zupełnie nieoczekiwanie. Leukon potknął się i odsłonił szczękę. Banokles uderzył, wkładając w to wszystkie pozostałe mu siły, i wielki żeglarz zachwiał się, po czym ciężko upadł na piasek. Nie zdołał wstać. Ryk tłumu ucichł. Banokles stał, mrugając w blasku ogniska. Pochylił się, żeby lepiej zobaczyć powalonego przeciwnika, ale osunął się na kolana. Odyseusz podszedł do Leukona, po czym dał znak, że walka jest zakończona. Kalliades podbiegł do Banoklesa i pomógł mu wstać.

– Dokonałeś tego, przyjacielu – powiedział. – Dobrze walczyłeś.

Banokles przez chwilę nic nie mówił. Jedno oko miał zupełnie zapuchnięte, a szczęka bolała go od linii włosów do brody.

– Przydałaby mi się kapinka wina – wymamrotał.

Kalliades pomógł mu dojść do ich małego obozowiska między głazami. Banokles z jękiem położył się przy dogasającym ognisku. Piria przyszła, niosąc wiadro z morską wodą i szmatkę.

Delikatnie obmyła mu twarz z krwi. Potem wyjęła z wiadra płaski kamień i delikatnie przyłożyła do opuchniętego oka. Kamień był cudownie chłodny i Banokles westchnął.

Odgarnęła mu jasne włosy z czoła.

– Powinieneś odpocząć – powiedziała. – Strasznie oberwałeś.

– Ale wygrałem.

– Jesteś dzielnym zawodnikiem, Banoklesie.

– Myślę, że... teraz się prześpię – powiedział.

I pochłonęła go ciemność.

XI. POWRÓT Z KRAINY ZMARŁYCH

Kalliades spojrział na swego posiniaczonego i potłuczonego przyjaciela, a potem na Leukona, który był zupełnie przytomny i rozmawiał z Odyseuszem. Przy ognisku załogi *Penelopy* zebrało się sporo miejscowych dziwek, które siedziały razem z mężczyznami. Po plaży niósł się ich śmiech. Kalliades usiadł, a Piria zostawiła Banoklesa, podeszła i usiadła obok niego.

– Widziałam wiele walk na pięści – powiedziała cicho. – Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby ktoś zebrał takie cięgi i trzymał się na nogach.

Kalliades skinął głową.

– On nie ma dość rozumu, by wiedzieć, kiedy przegrał. Miło z twojej strony, że obmyłaś mu twarz. Myślałem, że go nie lubisz.

– Trudno go nie lubić – przyznała niechętnie.

Spojrział na nią i uśmiechnął się.

– To nie jest ta Piria, którą znam.

– A jaka? – zapytała ostrym tonem.

– Dobra i odważna – odparł. – Prawdę mówiąc, pod pewnymi względami jesteś jak Banokles. Oboje macie wiele odwagi. Ty również jesteś szorstka i zuchwała – chociaż z innych powodów. Banokles nie sięga myślami dalej niż do następnego posiłku, następnej bitwy, następnej kobiety. Tobą kieruje coś innego.

– Wiele widzisz, Kalliadesie. Czy jesteś równie przenikliwy, patrząc na swoje odbicie?

– Wątpię – przyznał. – Większość ludzi usprawiedliwia swoje słabości i przecenia zalety. Ja nie jestem inny.

– Może jesteś. Postawiłeś miecz, który bardzo ceniłeś, chociaż uważałeś, że Banokles nie zdoła zwyciężyć. Zrobiłeś to, żeby dodać mu otuchy, gdyż wiedziałeś, że w przeciwnym razie podkopałbyś jego pewność siebie.

– Tak, bardzo sobie cenię miecz *Arguriosa*, ale to tylko miecz. Banokles to mój przyjaciel. Na całym świecie nie ma tyle złota, żeby kupić jego przyjaźń.

– A czego jeszcze nie można kupić? – zapytała.

Zastanowił się nad tym pytaniem, patrząc na czerwone jak wino morze.

– Nie można kupić niczego, co ma prawdziwą wartość – odparł w końcu. – Miłości,

przyjaźni, honoru, zalet, szacunku. Na wszystko to trzeba sobie zasłużyć.

– Skoro mowa o honorze, to widzę, że Idomeneos jeszcze nie dał ci napierśnika.

– Nie, nie dał – przyznał z gniewem Kalliades. Dlaczego człowiek tak bogaty jak on usiłuje oszukać ubogiego żołnierza?

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, a potem Piria wzięła płaszcz i podeszła do ogniska, aby dorzucić resztę drewna. Kalliades patrzył, jak się kładła, z ręką pod głową.

Czas płynął, lecz on nie był zmęczony. Pięściarz Leukon siedział sam, z dala od innych członków załogi. Kalliades wstał i podszedł do niego.

– Czego chcesz? – spytał Leukon, gdy Kalliades usiadł przy nim na płaskim głazie. – Przyszedłeś napawać się zwycięstwem?

– Czym tu się napawać? – zapytał Kalliades. – Mogłeś zwyciężyć bez trudu, ale postanowiłeś przegrać.

– Co?

– Nie straciłeś przytomności. Banokles był wyczerpany. Zostało mu niewiele sił, a na pewno nie tyle, żeby zwalić cię z nóg.

– Mów ciszej! Inaczej stracisz ten lśniący napierśnik.

– Dlaczego? – szepnął Kalliades.

– Odyseusz kazał mi to zrobić.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Leukon westchnął, a potem wskazał na inne ognisko palące się w oddali.

– Widziałeś tego wielkiego mężczyznę z rozwidloną rudą brodą, który przyszedł i oglądał walkę?

Kalliades go sobie przypomniał. Był to prawdziwy olbrzym i stał z rękami założonymi na piersi, obserwując pojedynek.

– Co z nim?

– To Hakros. Jest mistrzem Rodos i zawziętym pięściarzem. Zeszłego lata w Argos zabił jednego ze swoich przeciwników. Rozbił mu czaszkę.

– I co z tego?

– Zapewne będę z nim walczył w Troi. Postawią na nas dużo złota. Teraz, kiedy Hakros widział, jak zostałem pokonany, jeszcze więcej. Dzięki mojej przegranej z Banoklesem Odyseusz zarobi fortunę – i ja też.

Kalliades cicho zaklął.

– To nieładnie – rzekł.

Leukon wzruszył ramionami.

– Nikomu nie stała się krzywda. Banokles zarobił kilka sińców, a ja czuję się, jakby odbiło się ode mnie kilka kamieni. Ty masz napierśnik, a Hakros uważa się za mistrza.

– No właśnie – rzekł chłodno Kalliades. – A teraz Banokles popłynie do Troi, gdzie jakiś inny dobry pięściarz, taki jak Hakros, połamie mu kości albo go zabije.

Leukon pokręcił głową.

– Nie będzie tam więcej niż czterech, może pięciu ludzi, którzy mogą go pokonać. Jest silny i bardziej wytrzymały, niż powinien być. Gdyby nauczył się kilku sztuczek, nieźle by sobie poradził. Wygrałby kilka wstępnych walk i zarobił trochę złota na zakładach.

– Od Troi dzieli nas wiele dni drogi – rzekł Kalliades – i wiele takich nocy na plaży jak ta. Chcę, żebyś go szkolił i nauczył kilku tych sztuczek.

Leukon się roześmiał.

– Dlaczego miałbym to zrobić?

– Z dwóch powodów – odparł Kalliades. – Po pierwsze, z czystej przyjaźni. Po drugie, mógłbym powiedzieć Banoklesowi, że udałeś pokonanego, żeby go zawstydzić. Wtedy poczułby się zobowiązany wyzwać cię ponownie, tym razem na miecze i na śmierć i życie. Nie wiem, jak dobrym jesteś szermierzem, Leukonie, ale założę się, że Banokles zabiłby cię w mgnieniu oka. Jednakże dobrze znam się na ludziach i wiem, że zrobisz to, o co proszę, ponieważ masz dobre serce.

Leukon zachichotał.

– Będę go szkolił. Jednak nie ze strachu i nie z dobroci serca. Potrzebuję ćwiczeń. Czy zrobi wszystko, co mu powiem?

– Tak.

– Szybko się uczy?

Teraz roześmiał się Kalliades.

– Łatwiej byłoby nauczyć świnie tańczyć albo psa strzelać z łuku.

Żeglarze z różnych załóg podchodzili do Odyseusza, prosząc o opowieść, ale on odprawiał ich z kwitkiem. Było mu ciężko na sercu i nie miał ochoty zabawiać tłumu. Tak więc opuścił obóz i powędrował brzegiem, aż przystanął przed *Ksantosem*, ogromnym okrętem Helikaona.

Ujrzał nadchodzącego Hektora. Trojańczyk był nieświadomy pełnych podziwu i zazdrości spojrzeń siedzących w pobliżu marynarzy. Była to jedna z jego zalet, które Odyseusz najbardziej sobie cenił. Hektor miał w sobie niewinność i łagodność, zaskakujące u każdego wojownika, a szczególnie u syna takiego króla jak Priam.

Odyseusz zaczął czekać, aż Trojańczyk do niego podejdzie, a potem poprowadził go plażą

z dala od tłumy.

– Jest tu dziś wielu rozczarowanych ludzi – rzekł Hektor.

Odyseusz spojrział na niego.

– Nie jestem w nastroju do opowieści. A zatem, dlaczego pływasz po Wielkiej Zieleni, choć wkrótce twój ślub?

– Ojciec mnie posłał. Martwił się, że piraci będą atakowali gości przybywających na ślub. Teraz, kiedy Helikaon... – Zawahał się. – Kiedy Helikaon jest ranny, ojciec uznał, że wieść o mojej obecności ich przestraszy.

– Ranny? – powtórzył Odyseusz z mocno bijącym sercem. – Powiedziano mi, że nie żyje.

– Nie daj się ponieść nadziei, Odyseuszu. Został dwukrotnie pchnięty sztyletem. Jedna rana się zagoiła, ale drugie pchnięcie trafiło pod pachę i przebiło płuco. Ta rana nie chce się zagoić. Jątrzy się.

– Kto się nim opiekuje?

– Kapłan Machaon. Zna się na ranach. Leczył mnie przed dwoma laty, kiedy o mało nie umarłem. A Andromacha nie odchodzi od niego. – Odyseusz popatrzył czujnie. – To dobra kobieta – ciągnął Hektor. – Lubię ją.

– Mam taką nadzieję, ponieważ masz spędzić z nią resztę życia.

Hektor zamilkł i stał, patrząc na morze. Odyseusz zerknął na młodzieńca. Coś było nie tak.

Hektor sprawiał wrażenie nieobecnego i Odyseusz wyczuwał jego smutek. Czy była to obawa o Helikaona? Byli najlepszymi przyjaciółmi. Hektor obejrzał się na obóz.

– Nie lubię Idomeneosa. Ten człowiek jest jak jaszczurka. Wątpię, czy odda napierśnik temu młodemu Mykeńczykowi.

– Nie, nie odda – odparł Odyseusz. – Ale ja wywiążę się za niego z tej obietnicy.

– Jesteś dziwnym człowiekiem, morski krewniaku.

Odyseusz zaśmiał się.

– Po raz pierwszy nazwałeś mnie tak piętnaście lat temu. To była dobra podróż.

– Ja też dobrze ją wspominam. Wymienialiśmy z Helikaonem opowieści o tobie. Powiedział mi, jak go nakłoniłeś do skoku ze skały, udając, że nie umiesz pływać. Zawsze będzie ci za to wdzięczny. Mówił, że zrobiłeś z niego mężczyznę.

– Phi! Sam by się nim stał. Może tylko trwałoby to nieco dłużej. To wszystko.

Hektor westchnął i uśmiech znikł z jego warg.

– On jest umierający, Odyseuszu. Słyszysz siebie mówiącego te słowa i wciąż nie mogę

w nie uwierzyć.

– Może jeszcze cię zaskoczy. Tacy jak Helikaon nie umierają szybko.

– Nie widziałeś go, Odyseuszu. To odzyskuje przytomność, to traci, czasem wie, gdzie jest, ale przeważnie majaczy. Wychudł i trawi go gorączka.

– I dlatego cierpisz?

– Częściowo. – Hektor podniósł płaski kamyk i puścił nim kaczki na wodzie. – Nadchodzi wojna. Tak mówi ojciec. Myślę, że ma rację. Zazwyczaj ma.

Odyseusz spojrział na młodzieńca, natychmiast wyczuwając, że ten wykręcił się od odpowiedzi. Hektor nie umiał kłamać. Cokolwiek tak go przygnębiało, nie chciał o tym mówić.

– Ludzie zawsze rozprawiają o wojnie – rzekł Odyseusz. – Może rozsądek zwycięży.

Hektor pokręcił głową.

– Nie rozsądek, lecz złoto. Wielu sprzymierzeńców, których potrzebuje Agamemnon, bogaci się dzięki mojemu ojcu. Dlatego zgromadzenie w Sparcie nic nie dało. Jednak pokój nie potrwa długo. Agamemnon znajdzie sposób, żeby zjednoczyć królów, albo zabije tych, którzy mu się sprzeciwiają. Tak czy inaczej przyprowadzi armie pod nasze mury. – Cisnął następny kamyk, po czym uklęknął, żeby poszukać nowych. – Wciąż rysujesz twarz Penelopy na piasku? – zapytał.

– Tak. Niemal każdego wieczoru.

Hektor usiadł i spojrział na usianą gwiazdami wodę.

– To były dobre czasy, Odyseuszu. Nie musiałem zabijać, dowodzić atakami, zdobywać murów. Ważne było tylko to, żeby dostarczyć oliwę na Cypr i rudę miedzi do Likii. Teraz już nie patrzę na świat tak jak wtedy. Patrzę na dolinę i widzę miejsca bitew tam, gdzie kiedyś widziałem pola i pagórki pełne kwiatów. Wiesz, że pod Kadesz padło sześć tysięcy zbrojnych? Sześć tysięcy!

– Mężczyznom nudzą się kobiety i śpiew, a potem wojna – rzekł Odyseusz, kucając obok niego.

– Jestem nią zmęczony. Taki zmęczony. Kiedy byłem młody, ojciec obiecywał mi, że będę się radował walką i zwycięstwem. Nigdy tak nie było. Znienawidziłem nawet walkę na pięści, Odyseuszu! Chcę tylko żyć na mojej farmie i hodować konie. Tymczasem zawsze gdzieś toczy się wojna. Egipcjanie atakują hetyckie miasta, sojusznicy błagają o pomoc przy opanowaniu buntów lub odparciu inwazji. Teraz Mykeńczycy chcą sprowadzić wojnę do Troi.

– Być może... ale nie tej wiosny. Tej wiosny masz się ożenić. Nie możesz na chwilę

odepchnąć od siebie ponurych myśli i cieszyć się oblubienicą?

Przez krótką jak bicie serca chwilę na twarzy Hektora malowało się przygnębienie. Odwrócił się i znów zapatrzył na morze.

– Andromacha jest cudowna... olśniewająca i urzekająca. Mówiono mi, że podróżowała z tobą.

– Przez krótki czas. Bardzo ją polubiłem.

– I wtedy poznała Helikaona.

– Tak, chyba tak.

– Czy oni... się zaprzyjaźnili?

– Och, nie sądzę, żeby poznali się wystarczająco dobrze – skłamał Odyseusz. – Dlaczego pytasz?

– Opiekuje się nim, nie zważając na zmęczenie.

– Mówiono mi, że tak samo opiekowała się Arguriusem, kiedy zranili go płatni zabójcy. To leży w naturze kobiety, Hektorze. Być może naturą wszystkich kobiet jest opiekowanie się i uzdrawianie.

– Tak, pewnie masz rację. – Uśmiechnął się. – Nawet mój ojciec wyraża się o niej z uznaniem, a to się rzadko zdarza. On lubi kobiety, ale nie darzy ich szacunkiem.

– Andromacha będzie dobrą żoną, Hektorze, wierną i uczciwą. Nie mam co do tego cienia wątpliwości. Jest podobna do mojej Penelopy i da ci wiele szczęścia.

– Powinniśmy wracać do pozostałych – rzekł Hektor, wstając.

– Wiesz co, chłopcze – powiedział cicho Odyseusz. – Czasem, jeśli podzielisz się z kimś swoim problemem, ten staje się jeszcze cięższy. Jednak najczęściej łatwiej go wtedy znieść. Wiesz, że możesz ze mną porozmawiać, a ja nikomu nie powtórzę, co powiedziałaś. Mówię to, ponieważ mam wrażenie, że dźwigasz jakieś brzemie. Tak nie powinno być. Jesteś Hektorem, księciem Troi. Jesteś sławny wokół Wielkiej Zieleni. Nie ma na tej plaży człowieka, który nie oddałby dziesięciu lat swojego życia, żeby być taki jak ty.

Hektor spojrział Odyseuszowi w oczy, a kiedy przemówił, jego głos był pełen smutku.

– Nie możesz pomóc mi dźwigać mego brzemienia, morski krewniaku, nawet ty. Jednak uwierz mi, że gdyby znali prawdę, żaden z nich nie chciałby się ze mną zamienić.

Z tymi słowami pomaszerował z powrotem do obozu.

Wstawał świt i na południu wisały deszczowe chmury, gdy Piria się zbudziła. Nieco dalej chrapał Banokles. Kalliades leżał obok niego. Kiedy dziewczyna się poruszyła, otworzył oczy i uśmiechnął się, po czym znów zasnął.

Przez jakiś czas leżała spokojnie na miękkim piasku. Po raz pierwszy od miesięcy

spała spokojnie i nie zbudził jej ból obrażeń. Ostrożnie usiadła. Ból zelżał i wyczuła, że jej ciało zaczęło się goić. Wschodzące słońce oświetliło Łuk Apolla, oblewając klify łagodnym blaskiem, i Piria patrzyła na to z tak lekkim sercem, jakiego nie miała od dawna. Wczorajszy wybuch gniewu przy Kalliadesie miał zaskakujące skutki. Jakby trucizna długo krążyła w jej ciele i wypłynęła wraz z gwałtownymi słowami. Dziś wszystko wyglądało inaczej, niebo było piękniejsze, a zapach morza bardziej podnosił na duchu. Nawet powietrze wydawało się czystsze, gdy wciągała je do płuc. Nie czuła się tak szczęśliwa, odkąd razem z Andromachą przebywały na Terze, nie zamierzając nigdy opuszczać wyspy.

Rozpalono ogniska, by przygotować śniadanie, i Piria podeszła do straganu, na którym dostała drewnianą miskę z jakąś podejrzaną polewką oraz kromkę suchego chleba. Polewka była tłusta, z kawałkami żylastego mięsa. Mimo to smakowała wybornie. Piria leniwie się zastanawiała, czy na Terze uznalaby potrawę za jadalną, i doszła do wniosku, że zapewne nie.

Jednak w ten chłodny ranek miała wspaniały smak.

Skończywszy posiłek, Piria wstała i wróciła do straganu, po czym wzięła jeszcze dwie miski dla Banoklesa i Kalliadesa. Na myśl o tym uśmiechnęła się. Jakie to dziwne, pomyślała, że tak polubiłam tych dwóch mężczyzn.

Kalliades usiadł, kiedy wróciła, i podziękował jej za polewkę. Banokles obudził się z jękiem i bez słowa wziął miskę. Jadł hałaśliwie, narzekając na obluzowany ząb.

Żeglarze z *Penelopy* już krzżeli się wokół ogniska, a nieco dalej załoga *Ksantosa* szykowała się do wypłynięcia w morze. Zobaczyła siedzącego samotnie Hektora i patrząc na niego, spochmurniała. Oto człowiek, który ujarzmił ducha Andromedy, który złożył w niej swe nasienie, który ją przytrzyma i zawładnie jej ciałem. W tym momencie wróciły wszystkie dawne nienawistne myśli. Jednak nie miały już nad nią mocy i odepchnęła je od siebie. Mimo to czuła się nieswojo, patrząc na Hektora.

Wstał i zdjął tunikę, po czym wszedł w morze i dał nura w błękitną wodę. Dopłynął długimi, swobodnymi ruchami ramion niemal do końca zatoki, po czym zawrócił w kierunku brzegu.

– Powiedz mi – usłyszała za plecami głos Banoklesa – czy wczoraj wieczorem przebiegło po mnie spłoszone stado bydła?

– Niczego takiego nie zauważyłem – odparł Kalliades.

– Próbuje znaleźć jakąś część ciała, która mnie nie boli – narzekał Banokles.

Prawe oko miał mocno podbite i sińce na obu policzkach. Piria zerknęła na niego.

– Może stopy – podsunęła. – Nie bił cię po nogach.

Banokles uśmiechnął się i skrzywił.

– Masz rację. Stopy mnie nie boją. – Popatrzył na Kalliadesa. – Obudziłem się w nocy i widziałem, jak rozmawiasz z Leukonem. Czy jest tak obolały jak ja?

– Nie.

– Tak myślałem. Drań! No to o czym mówiliście?

– Zgodził się szkolić cię do igrzysk.

– Ha! – prychnął Banokles. – Jakbym potrzebował nauk od człowieka, którego pokonałem.

– Właśnie że tak, idioto. On jest doświadczonym zawodnikiem i pokonałeś go tylko przypadkiem. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Jeśli zamierzasz wzbogacić się w Troi, jego nauki bardzo ci się przydadzą. Dlatego obiecałem mu, że co wieczór, kiedy statek przybije do brzegu, będziesz robił dokładnie to, co on ci powie.

– Pewnie odrobina praktyki mi nie zaszkodzi – zgodził się Banokles. Potem spojrzął na wychodzącego z wody Hektora. – Wtedy wyglądał o wiele groźniej – rzekł. – To bardzo dziwne. Teraz sprawia wrażenie postawnego, przyjacielskiego żeglarza. Nawet Leukon wydaje się groźniejszy od niego. I większy. Tam, w Troi, Hektor wyglądał jak olbrzym – jak bóg wojny.

Banokles nagle się pochylił i osłonił dłonią oczy.

– Będą kłopoty – mruknął.

Piria spojrzała na plażę. Hektor włożył lnianą spódniczkę i stał półnagi, wycierając się ręcznikiem. Zbliżała się do niego grupka około dwudziestu marynarzy, na czele których szedł potężnie zbudowany mężczyzna z rozwidloną rudą brodą. Piria natychmiast zrozumiała, co miał na myśli Banokles, mówiąc o kłopotach. Mężczyźni mieli zacięte, ponure miny i szli jak na polowanie, a nie przechadzkę po plaży.

– To Hakros, rodyjski mistrz – powiedział Kalliades. – Leukon mówił mi o nim w nocy.

– Na jaja Aresa, to prawdziwy potwór – rzekł Banokles. – Chodźcie, nie chcę tego przegapić.

We troje szybko przeszli po piasku. Inni też spostrzegli nadchodzącą grupkę i szybko zbierał się tłum widzów.

Olbrzym z rudą brodą zatrzymał się przed Hektorem i stał, podparty pod boki, patrząc na trojańskiego księcia. Hektor wycierał ręcznikiem złote włosy, nie zwracając na niego uwagi. Piria zauważyła, że nowo przybyły poczerwieniał. Potem przemówił chrapliwym głosem.

– Więc to ty jesteś tym potężnym Hektorem. Weźmiesz udział w igrzyskach z okazji

twoich zaślubin?

– Nie – odparł Hektor, zarzucając ręcznik na ramię.

– To dobrze. Teraz, kiedy cię zobaczyłem, wiem, że mógłbym rozbić ci czaszkę.

– No to mam szczęście – powiedział spokojnie Hektor.

Piria zobaczyła, że Rodyjczyk zmrużył oczy.

– Jestem Hakros.

– Ależ oczywiście – rzekł ze znużeniem Hektor. – A teraz bądź tak dobry, Hakrosie, i odejdz. Już zrobiłeś wrażenie na swoich przyjaciółach i przedstawiłeś mi się.

– Pójdę, kiedy zechcę. Zamierzam sprawdzić twoją legendę, Trojańczyku.

– To nie byłoby rozsądne – powiedział Hektor. – Tu na plaży nie ma złota do wygrania ani wiwatujących tłumów.

Hakros odwrócił się do swoich towarzyszy.

– Widzicie? Boi się stawić mi czoło.

Hektor przemówił bez śladu gniewu w głosie, lecz jego słowa usłyszeli wszyscy obecni na plaży.

– Jesteś głupim człowiekiem, Hakrosie, nudziarzem i bufonem. Masz teraz dwie możliwości. Odejdiesz albo cię odniosą.

Na moment zapadła cisza, a potem Rodyjczyk rzucił się na Hektora. Trojańczyk wyszedł mu naprzeciw, zamachnął się i z potworną siłą uderzył Hakrosa w szczękę. Dał się słyszeć obrzydliwy chrzęst. Hakros wrzasnął i upadł. Szybko zerwał się z ziemi – i nadział na lewy prosty, który rozbił mu wargi, a potem na podbródkowy, który rozkwaślił mu nos i rozciągnął nieprzytomnego na piasku.

– Och tak – rzekł Banokles. – Oto człowiek, którego pamiętam.

Wokół nieprzytomnego mistrza zbierał się tłum, ale Hektor już odchodził.

– Ma złamaną szczękę – powiedział ktoś.

Leukon podszedł i stanął obok Kalliadesa i Banoklesa.

– To dopiero zawodnik – rzekł. – Szybkość ciosów była wprost nadludzka.

– Mógłbyś go pokonać? – zapytał Kalliades.

Leukon pokręcił głową.

– Nie sądzę, żeby jakiś śmiertelnik mógł tego dokonać.

– Jest ktoś taki – powiedziała Piria, zanim zdążyła się powstrzymać.

– Kto? – spytał Leukon.

– Mistrz Tesalii, Achilles.

– Słyszałem o nim, ale nigdy go nie widziałem. Jaki on jest?

– Większy od Hektora, ale równie szybki. Jednak on nie próbowałby odwieść tamtego od walki. Gdy tylko ten głupiec stanąłby przed nim, Achilles by go zniszczył. Zostawiłby go martwego na piasku.

– A on weźmie udział w igrzyskach – powiedział Leukon. – To niezbyt pocieszająca myśl. – Odwróciwszy się do Banoklesa, klepnął go w ramię. – Dobrze, że sobie razem poćwiczymy – powiedział.

– Nie martw się, Leukonie – odparł Banokles. – Nauczę cię wszystkiego, co umiem.

Piria odeszła na bok i zapatrzyła się na morze. Gdzieś w oddali było Złote Miasto i Andromacha. Zamknąwszy oczy, przywołała obraz twarzy kochanki, rudozłote włosy, wspaniałą zieleń oczu.

– Wkrótce będę przy tobie, ukochana – szepnęła.

CZEŚĆ DRUGA

WRÓG TROI

XII. DUCHY PRZESZŁOŚCI

Niebo nad Troją było ciężkie od deszczowych chmur i na zachodzie Andromacha widziała w oddali błyskawice letniej burzy. Grom przetoczył się w ciszy popołudnia i dziewczyna mocniej otuliła się zielonym wełnianym szalem przed przeszywającym wiatrem, który Trojańczycy nazywali Kosą. Palce nóg zziębły jej w dopasowanych sandałach z rzemieni i wełny, więc przytupywała, żeby je rozgrzać.

W zatoce daleko w dole widziała statek, szybko zbliżający się od północy do miasta.

Usiłował uciec przed nadciągającą burzą, wiosła rytmicznie biły wodę, żagiel był mocno napięty i wypełniony przez wiatr.

Andromacha wróciła myślami do swojej podróży na *Penelopie* zeszłej jesieni. Wyruszała w nią z ciężkim sercem, obawiając się przyszłości. Wydawało się niemożliwe, że minęło zaledwie kilka miesięcy, kiedy to ostatni raz widziała Kaliopę i kiedy razem odprawiały ceremonie mające ułagodzić gniew Minotaura. Wyspa Tera wydawała się teraz odległa o wiek, powoli stając się snem. Tyle się wydarzyło od tego czasu. W tym momencie zapragnęła, żeby Kaliopę stała tu przy niej na tym nagim pagórku. Zaraz jednak uświadomiła sobie, że to samolubna myśl, gdyż Kaliopę nie nadawała się do świata mężczyzn. Jej miejsce było na Terze, gdzie była wolna i szczęśliwa. Myśli o Kaliopie teraz wprawiały ją w zmieszanie.

W przeciwieństwie do swej kochanki Andromacha nigdy nie nienawidziła mężczyzn i nie pragnęła się od nich uwolnić. Chwile spędzone z Kaliopą, szczególnie w nocy, spijanie wina z jej słodkich warg, głaskanie miękkiej skóry, były cudowne i wspaniałe. Jednak równie cudowne były uczucia, jakie obudził w niej Helikaon.

Rozdarta burzą uczuć, Andromacha westchnęła i odwróciła się do niedawno wzniesionego grobowca. Był kunsztownie ozdobiony rzeźbami dzielnych wojowników i urodziwych panien i zwrócony na wschód, ku mykeńskim ziemiom. Jeszcze nie wyrosła wokół niego trawa, a marmur był biały jak łabędzi puch. Złożono w nim kości Arguriosa i

Laodike, by na wieki spoczywali razem.

Andromacha poczuła znajomy ból w sercu i dotkliwy ciężar poczucia winy. Gdyby zdała sobie sprawę z tego, jak poważna jest rana Laodike, czy zdołałaby uratować przyjaciółkę? Setki razy zadawała sobie to pytanie. Była chora i znużona tą myślą, niczym złośliwy demon czająca się w zakamarkach jej umysłu, zawsze gotową wyskoczyć i dręczyć. Mimo to codziennie odbywała pielgrzymkę do grobowca i karmiła tego demona.

Laodike została pchnięta włócznią, kiedy zbuntowani Trakowie zaatakowali pałac.

Andromacha na pół zaniósł ją do pozornie bezpiecznych apartamentów królowej, podczas gdy Helikaon z kompanią Królewskich Orłów osłaniali odwrót, odpierając atak zdrajców. Rana wyglądała na lekką. Nie krwawiła mocno, a Laodike sprawiała wrażenie silnej. Później, gdy trwało okropne oblężenie, stała się bezwładna i senna. Dopiero wtedy Andromacha wezwała do niej lekarza. Włócznia wbiła się głęboko i rana była śmiertelna.

Łagodna Laodike, pospolita i pulchna, znalazła miłość na kilka dni przed oblężeniem.

Tamtej okropnej nocy jej marzenia i nadzieje umarły razem z nią. Andromacha nigdy nie zapomni chwili, gdy do Laodike przyszedł jej ukochany. Potężny Argurios, który jak tytan bronił schodów, także umierał z wbitym w bok strzałą, której grot niemal sięgnął serca. Helikaon z Andromacha pomogli mu wstać i zdołał dojść do umierającej Laodike.

Andromacha nie słyszała słów, które padły między nimi, lecz widziała, jak Argurios wyjął ze zbroczonej krwi sakiewki u pasa łabędzie pióro i umieścił je w dłoni Laodike. Potem zakrył jej dłoń swoją ręką. Wtedy Laodike uśmiechnęła się tak radosnym uśmiechem, że złamało to serce Andromachy.

Tyle chwały i smutku w jedną noc.

Król Priam zbudował ten biały grobowiec jako hołd dla Arguriosa. Andromacha znów zastanawiała się nad sprzecznymi cechami Priama. Chutliwy i czasem okrutny, samolubny i chciwy, mimo to postawił marmurowy pomnik wojownikowi, który przybył do miasta jako jego wróg, i córce, dla której niewiele miał czasu, kiedy żyła. Teraz byli oni razem po śmierci, tak jak nigdy nie mogli być za życia.

– Niech wasze dusze zawsze będą razem – szepnęła Andromacha, po czym odwróciła się i odeszła.

Szybko przeszła przez rów otaczający podgrodzie i zaczęła wspinać się na wzgórze, ku murom miasta. Po ataku na pałac Priam przyspieszył prace przy tych wykopach. Chociaż dość płytkie, były dostatecznie szerokie, żeby nie przeskoczył ich koń, i skutecznie powstrzymałyby szarżę konnicy na dolne miasto. Przechodziło się przez nie po trzech drewnianych mostach, które w razie potrzeby można było spalić.

Jednak prawdziwą bronią Troi były mury. Wznosząc się nad miastem, w ten pochmurny dzień były szare i wydawały się niedostępne niczym ściany klifowego brzegu. W murach były osadzone cztery bramy: Skajska na południu, Dardańska na północnym wschodzie, Wschodnia oraz brama od zachodu zwana Bramą Smutku, gdyż w jej cieniu leżał miejski cmentarz.

Andromacha przeszła przez bramę Skajską, strzeżoną przez Wielką Wieżę Ilionu, i weszła za mury. Pomimo kiepskiej pogody ponury nastrój trochę się jej poprawił na widok złotego miasta z jego zdobionymi rzeźbami budynkami i zielonymi ogrodami. Było jej domem od pół roku.

Kochała je i nienawidziła zarazem.

W to chłodne popołudnie kamienne uliczki roily się od ludzi. Andromacha skręciła w prawo, po czym wspięła się po drewnianych schodkach na południowe blanki. Tam stanęła, czując silniejsze podmuchy wiatru, który tu, wysoko, szarpał jej tunikę i rozwiewał długie rude włosy.

Spojrzała na południe, na strome zbocza Idy, świętej góry, na której Zeus miał swoją wieżę strażniczą. Za jej masywem, niewidoczne, leżały Teby pod Plakos, w których królem był jej ojciec.

Andromacha dotarła do końca murów przy wielkim północno-wschodnim bastionie. Wieża, szersza i masywniejsza od innych, była zwrócona ku północnym równinom i ziemiom Hetytów.

Za nią rozpościerały się pastwiska i pola zbóż żywiące rosnącą populację Troi.

W tym momencie na łąkach pod murami miasta zbijano rzędy mocnych ław i odmierzano, wytyczano i grodzono teren, tworząc tory do wyścigów pieszych i konnych na zbliżające się igrzyska weselne. Andromacha w zadumie obserwowała przygotowania, po czym odwróciła się i spojrzała z bastionu na południe, gdzie inni ludzie wciąż pracowali przy fosie otaczającej dolne miasto. Nie po raz pierwszy pomyślała, jakie to dziwne, że królowie z zachodu zaproszeni na igrzyska są tymi samymi wojownikami, których mają zatrzymać umocnienia.

Ściemniało się i Andromacha ruszyła do pałacu Hektora.

Gdy przechodziła obok Domu Węży, świątyni Asklepiosa, boga uzdrowicieli, wybiegł z niego chłopiec. Andromacha uśmiechnęła się do niego.

– Ksandrze, ledwie cię poznałam. Jesteś taki duży. Myślałam, że już wróciłeś na Cypr.

Młodzian urósł chyba o pięć palców, odkąd widziała go ostatnio. Jego pierś i ramiona zaczęły się rozrastać i zobaczyła w nim mężczyznę, którym będzie. Kiedy jednak uśmiechnął

się do niej, jego piegowata twarz wciąż była twarzą chłopca, jakim był podczas podróży do miasta.

– Machaon uczy mnie sztuki uzdrawiania. To bardzo trudne – wyznał. – Powiedział mi, że pan Helikaon jest ranny i ty go pielęgnujesz.

Uśmiech Andromachy zgasł.

– Rana się nie goi, a gorączka nie spada.

Młodzian nie przejął się tą wieścią.

– On jest silny, Andromacho. To wielki wojownik. Wydobrzeje. Mówią, że stał przy Arguriosie i zabił stu Mykeńczyków. Taki człowiek nie da się zabić jakiejś małej ranie.

– To nie jest mała rana, Ksandrze – powiedziała, powstrzymując gniew.

Chłopiec podziwiał Helikaona, ale od dawna go nie widział: wychudzonego, z kośćmi sterczącymi spod rozpalonej gorączką skóry. Śmierć była blisko, a kiedy przyjdzie, coś w Andromasze umrze razem z nim.

– Co się stało? – spytał Ksander. – Machaon powiedział, że został dźgnięty przez marynarza z załogi *Ksantosa*. To wydaje się niemożliwe.

– To prawda. Przez żeglarza imieniem Attalos. Helikaon go lubił. Stał w pobliżu, gdy Helikaon wyszedł, by ogłosić swoje zaślubiny z królową Halizją. Nagle doskoczył i pchnął go nożem.

– Attalos go dźgnął! – Na twarzy chłopca malowała się zgroza. – Attalos pomógł wyciągnąć mnie z morza. I uratował Helikaonowi życie w bitwie.

– Czy na tym świecie cokolwiek ma sens? – warknęła Andromacha. Jej ostre słowa zaskoczyły chłopca. Andromacha wyciągnęła ręce i przytuliła go. – Dobrze cię widzieć, Ksandrze. Twój widok cieszy moje serce.

Przez chwilę stali razem w milczeniu. Potem dziewczyna się cofnęła.

– Helikaon otrzymał dwa pchnięcia sztyletem – powiedziała. – Jedno w pierś, choć ten cios został odbity przez specjalną koszulę, jaką nosił. Ta rana dobrze się zagoiła. Jednak potem Attalos wbił mu ostrze pod pachę. Ta rana była głęboka.

– Czy ostrze było zatrute? – spytał Ksander.

– Machaon twierdzi, że nie. Jednak wewnętrzne krwawienie nie ustaje. Królowa Halizja przysłała go do Troi w nadziei, że tu go wyleczą.

– Mógłbym go zobaczyć?

– Musisz przygotować się na przykry widok, Ksandrze. On nie jest już tym młodym bogiem, jakiego pamiętasz.

Poszli razem do pałacu Hektora i wspięli się do komnaty we wschodniej części

budynku.

Była jasna i przestronna, z oknami wychodzącymi na ulicę Zwinnych Tancerek, koszary oraz stajnie herakliońskiego regimentu. Machaon powiedział jej, że widok wschodzącego słońca ma uzdrawiający wpływ, i uważał, że rzenie oraz zapach koni i głosy przybywających i odjeżdżających żołnierzy będą pobudzająco działały na chorego.

W progu napotkali potężnie zbudowanego czarnobrodego mężczyznę, który szeroko się uśmiechnął na widok chłopca.

– Ksander! – Wyciągnął ramiona i zamknął chłopaka w miażdżącym uścisku.

– Gershom! – zawołał zarumieniony i uradowany Ksander. – Myślałem, że jesteś na *Ksantosie*.

Gershom pokręcił głową.

– Nie, chłopcze. Helikaon potrzebuje strażnika, a ja i tak nigdy nie lubiłem wiosłować. Przyszedłeś go odwiedzić? Miło mu będzie cię widzieć.

Łoże było szerokie i zasłane lnianą pościelą. Siedziała przy nim młoda kobieta w ciąży, ślęcząca nad pomiętym haftem.

Helikaon był śmiertelnie blady i spał. Andromacha spojrzała na Ksandra. On również zbladł, widząc, w jakim stanie jest jego bohater. Wychudła twarz Helikaona lśniła od potu, zamknięte oczy były zapadnięte i podkrążone. W komnacie unosił się odór ropy i rozkładu.

Ksander stał, milcząc, i Andromacha ujrzała łzy w jego oczach. Młoda ciężarna kobieta przyglądała się chłopcu.

– Ksandrze – powiedziała Andromacha – to jest Helena, spartańska księżniczka, która teraz jest żoną księcia Parysa.

Przez chwilę zdawał się jej nie słyszeć, po czym nabrał tchu i oderwał wzrok od chorego.

Helena uśmiechnęła się. Miała pospolitą urodę, jasne włosy i ciepłe piwne oczy, a jej uśmiech rozjaśnił komnatę.

W tym momencie chory zawołał:

– Arguriosie, po prawej! Dobrze! Diosie, podaj mi miecz!

Usiadł na łóżku, wymachując chudymi rękami, walcząc z niewidzialnym wrogiem. Gershom i Andromacha delikatnie ułożyli go na poduszkach i natychmiast zasnął. Biała pościel podkreślała głębokie cienie wokół jego oczu.

Kiedy wychodzili z komnaty, Andromacha powiedziała:

– Najgorsze są noce, kiedy martwi paradują przed jego łóżem. Zidantas, Argurios i jego brat Diomedes. I inni, których imion nie znam.

Zobaczyła, że Ksander gapi się na nią, i pożałowała, że mówiła tak otwarcie.

– Wyglądasz na zmęczoną, pani – rzekł łagodnie i Andromacha, słysząc te miłe słowa, o mało nie wybuchnęła płaczem.

Kiedy odszedł, wyprowadzany z pałacu przez Gershoma, Andromacha wróciła do swojej komnaty i zrozpaczona rzuciła się na łożo, suchymi oczami wpatrując się w sufit.

Wróciła myślami do tamtego dnia na plaży po ataku. Wtedy po raz ostatni widziała Helikaona zdrowego i całego. Uzgodnili, że muszą się rozstać, że Andromacha musi zostać w Troi i poślubić Hektora, a Helikaon wrócić do Dardanii i zasiąść na królewskim tronie.

„Nie ma na tej ziemi niczego, czego pragnąłbym bardziej, niż odpłynąć z tobą, żyć z tobą, być razem” – powiedział jej. Wtedy oboje wiedzieli, że to niemożliwe. Teraz żałowała, że nie odpłynęli razem, rzuciwszy na cztery wiatry poczucie obowiązku, daleko od nieszczęść tego świata. Odpoczywała przez jakiś czas, po czym wstała z łóżka i wróciła do chorego. Helena wstała na jej widok i uściskała ją. Helikaon spał, oddychając z trudem.

– Muszę iść – powiedziała Helena. – Wrócę jutro.

Zostawszy sama z Helikaonem, Andromacha usiadła przy łóżku i ujęła jego dłoń. Skórę miał gorącą i suchą.

– Jestem tu, Helikaonie – powiedziała. – Andromacha jest tutaj.

Gershom wesoło pożegnał się z Ksandrem i patrzył, jak chłopiec biegnie z powrotem w kierunku Domu Węży. Dopiero wtedy uśmiech zgasł mu na ustach.

Helikaon umierał.

Teraz Gershom nie miał już żadnych wątpliwości. Rana nie chciała się goić i Helikaon trzymał się przy życiu resztkami niespożytych sił.

Zatem to musi nastąpić tej nocy. Gershom stał przez chwilę w cieniu pałacowych wrót.

Cthosis Eunuch powiedział mu, gdzie znaleźć proroka, lecz w tym celu musiał przejść przez egipską dzielnicę miasta.

– Jeśli zostaniesz rozpoznany, mój książę – ostrzegł go Cthosis jeszcze w Dardanii – już nigdzie nie będziesz bezpieczny. Jest tam wielu, którzy widzieli cię w pałacu twego dziadka.

– Może to nie będzie konieczne – odparł Gershom. – W Troi mają świetnych uzdrowicieli.

– Jeśli tak – rzekł szczupły kupiec – powinieneś pozostać w Dardanii, gdzie żyje niewielu Egipcjan.

– Helikaon jest moim przyjacielem. Popłynę z nim. Ten prorok mieszka na pustyni?

– Prorok Jedynego. To twardy człowiek. Tak jak ciebie, faraon skazał go na śmierć.

– Spotkałeś go?

– Nie – odparł Cthosis. – I nie mam na to ochoty – zniżył głos. – Miał kiedyś sługę, który go zirytował, więc jednym gestem zmienił go w trędowatego. Musisz zrozumieć, mój książę, że on nienawidzi wszystkich wysoko urodzonych Egipcjan. Jeśli odgadnie, kim jesteś – a może zgadnąć, gdyż jego moc jest wielka – rzuci na ciebie klątwę i umrzesz.

– Trzeba czegoś więcej niż klątwy, żeby mnie zabić – powiedział Gershom.

Teraz, stojąc w cieniu, Gershom nie był już tego taki pewien. Nie wątpił, że wiele tych historii, które opowiedział mu Cthosis, było przesadzonych, lecz mimo to ten człowiek musiał mieć jakąś magiczną moc. I aby do niego dotrzeć, Gershom musiał przejść przez wschodnią dzielnicę, w której roilo się od egipskich kupców i posłów. Każdy, kto by go rozpoznał, mógł dostać tyle złota, ile sam waży.

Głupio tak ryzykować dla umierającego – podpowiadał mu głos rozsądku.

– Nie, jeśli uda się zapobiec jego śmierci – powiedział głośno.

Naciągnawszy na głowę kaptur czarnego płaszcza, szedł w blasku księżyca, omijając ulicę Zwinych Tancerek i schodząc w dół długiego wzgórza ku wschodniej dzielnicy. W oddali słyszał stukanie młotków, gdy budowniczowie przy świetle pochodni wznosili budynki na igrzyska. Nie po raz pierwszy Gershom pomyślał o tym, jak dziwni są ludzie morza.

Wszyscy wrogowie Troi zostali zaproszeni na ślub. Podczas pobytu tutaj mieli być chronieni przez trojańskich żołnierzy, jak przyjaciele. Gdzie w tym zdrowy rozsądek? – pomyślał. Wrogów należy zabić, a ich kości zostawić, by spróchniały. Zamiast tego pozwolą im tu przybyć wraz z orszakami i wziąć udział w zawodach, biegach i rzucie oszczepem, zapasach i wyścigach.

A jakie nagrody ci ludzie cenili sobie najbardziej? Nie bogactwa, złote pierścienie czy srebrną biżuterię. Nie ozdobne hełmy, zmyślnie wykute miecze czy błyszczące tarcze.

Nie, wojownicy pragnęli małych wieńców laurowych splecionych z gałązek drzew rosnących pod Olimpem i wkładanych na głowy zwycięzców.

Trudzili się i walczyli, a czasem umierali, dla kilku zwiędłych liści.

Odepchnawszy od siebie myśli o takiej głupocie, Gershom szedł dalej.

W przeciwieństwie do górnego miasta, z jego pięknymi pałacami, dziedzińcami i ogrodami, dolne miasto było brzydkie i zatłoczone, a w powietrzu unosił się smród moczu i ekskrementów.

Uliczki były wąskie, a liczne budynki nędzne i zaniedbane. Gershom szedł dalej. Kilka kobiet zaczęło go, proponując swoje „względy”, tak samo jak kilku mocno

umalowanych młodzieńców. Zignorował wszystkich.

Dotarłszy w końcu do ulicy Brązowej, skręcił w prawo i zaczął szukać zaułka opisanego przez Cthosisa. Gdy przyglądał się budynkom, podszedł do niego potężnie zbudowany mężczyzna.

– Zgubiłeś się, przybyszu? – zapytał.

– Nie, nie zgubiłem się – odparł Gershom.

Spostrzegł, że mężczyzna zerknął w prawo, i usłyszał ciche kroki za plecami.

Gershom nagle się uśmiechnął i poczuł, że opuszcza go napięcie. Błyskawicznie złapał stojącego przed nim mężczyznę, okręcił i pchnął na nadchodzącego. Dwaj niedoszli rabusie zderzyli się, runęli na ziemię i z trudem podnieśli. Gershom stał, wsparty pod boki, i obserwował ich. Drugi mężczyzna miał w ręku sztylet. Gershom nie sięgnął po swoją broń.

– Nie jesteście zbyt zręcznymi złodziejami – zauważył.

Ten ze sztyletem zaklął i zaatakował. Gershom odbił pchnięcie prawą ręką, a lewą zadał morderczy cios w szczękę napastnika. Mężczyzna uderzył głową o ścianę, osunął się na bruk i znieruchomiał.

Pierwszy rabuś stał w świetle księżyca, mrugając niepewnie.

– Nie wyglądasz na uzbrojonego – rzekł Gershom. – Chcesz wziąć sztylet przyjaciela?

Rabuś oblizał wargi.

– Czy on nie żyje? – zapytał.

– Nie wiem i nie dbam o to. Znasz tę dzielnicę?

– Co? Tak, znam.

– Powiedziano mi, że jest tu gdzieś zaułek, w którym stoi świątynia boga pustyni?

– Tak. Nie za tym, ale za następnym rogiem, po prawej.

Mężczyzna leżący na ziemi jęknął i próbował wstać. Potem znów osunął się na ziemię.

Gershom poszedł dalej. Od wielu dni nie czuł się tak dobrze.

W zaułku było ciemno, ale nieco dalej dostrzegł lampę palącą się w niskim oknie. Ostrożnie przeszedł wąską uliczką i dotarł do bramy wiodącej na mały dziedziniec. Na niskich kamiennych ławach siedziało tam pięciu mężczyzn. Kiedy wszedł, podnieśli głowy. Nosili jasne, powiewne szaty pustynnego ludu, strój, jakiego Gershom nie widywał, od kiedy opuścił Egipt.

– Szukam proroka – powiedział.

Tamci się nie odezwali. Powtórzył to w języku pustyni. Teraz gapili się na niego, ale wciąż nic nie mówili.

– Mój przyjaciel jest umierający – ciągnął. – Powiedziano mi, że prorok ma wielką moc uzdrawiania.

– Nie ma go tu – rzekł młody mężczyzna o surowej, jastrzębiej twarzy. Jego czarne oczy spoglądały zimno, niemal groźnie. – A nawet gdyby był, dlaczego miałby z tobą rozmawiać, księżę Ahmose?

Pozostali zerwali się z ziemi i ustawili w półkolu.

– Może z ciekawości – odparł Gershom. – Kiedy wróci?

– Miałem brata – powiedział drżącym głosem pierwszy mężczyzna. – Obdarto go żywcem ze skóry. I siostrę, której poderżnięto gardło, ponieważ spojrziała w twarz egipskiemu księciu.

Mojemu ojcu odrąbano ręce za to, że narzekał, iż jest za mało słomy na cegły.

– A ja miałem kiedyś psa, który wpadł do dziury – rzekł Gershom. – Jaka szkoda. Kochałem psiaka. Jednak nie przyszedłem tu słuchać smutnej historii twojego życia ani opłakiwać pecha twojej rodziny. – Młody mężczyzna zjeżył się i chwycił za rękęję zakrzywionego sztyletu, który miał za pasem. – A jeśli wyjmiesz sztylet – kontynuował Gershom – jakiś inny członek twojej nieszczęsnej rodziny będzie opowiadał okropną historię o tym, jak dokonałeś żywota, nosząc swoje jaja jako naszyjnik.

Sztylet błysnął w dłoni młodzieńca. Jego towarzysze też sięgnęli po broń. Gershom cofnął się, również wyjąwszy sztylet. Był spokojny. Kiedy zaatakują, najpierw zabije młodzieńca, a potem rzuci się na pozostałych, tnąc na prawo i lewo. Przy odrobinie szczęścia szybko powali trzech i zniknie w zaułku.

W chwili, gdy chłopak szykował się do ataku, usłyszeli rozkazujący głos.

– Jozue! Schowaj broń! Wszyscy się cofnijcie!

Gershom zobaczył wysokiego mężczyznę stojącego w drzwiach małej świątyni. Światło lampy padało na jego brodę, gęstą i białą.

– Ten człowiek jest naszym wrogiem, o świąty – zawołał Jozue. – To Ahmose!

– Wiem, kim on jest, chłopcze. Oczekiwałem go. Wejdz, Ahmose. Jozue, przynieś jadło dla naszego gościa.

Gershom schował sztylet, chociaż widział, że tamci jeszcze trzymają broń w rękach.

– Czy któryś z was chce być trędowaty? – zapytał zimno mężczyzna.

Wszyscy natychmiast schowali sztylety do pochew i wrócili na kamienne ławy. Gershom przeszedł obok nich. Podchodząc do proroka, zauważył, że mimo białej brody nie jest on stary, zapewne zaledwie po czterdziestce. On również nosił długą szatę mieszkańców pustyni. Szerokie ramiona świadczyły o wielkiej sile. Był równie wysoki jak Gershom, o

czarnych oczach pod krzaczastymi siwymi brwiami. W tych oczach palił się nieprzyjazny błysk. Napotykając ich spojrzenie, Gershom natychmiast zrozumiał, że nie jest tu bezpieczny, gdyż ujrzał płonąca w nich nienawiść. Prorok skinął na Gershoma, żeby szedł pierwszy. Gershom uśmiechnął się.

– Za tobą, o święty – rzekł.

– Mądrze być ostrożnym – odparł tamten, odwracając się na pięcie i wchodząc do budynku.

Świątynne pomieszczenie miało owalny kształt, bez żadnych ozdób. Nie było tam posągów, mozaik, tylko kilka krzeseł i skromny ołtarzyk z kamiennego bloku z kanalikami na spływającą krew. Paliło się kilka lamp, lecz nie dawały jasnego światła.

Prorok podszedł do kilimu leżącego przed ołtarzem i usiadł na nim, krzyżując nogi. Gershom siadł naprzeciw niego. Obaj się nie odzywali. Przyszedł Jozue i postawił między nimi miskę suszonych fig i orzechów zapiekanych w miodzie. Prorok wziął garść i zaczął jeść. Gershom również zanurzył dłoń w misce, wziął jeden orzech i szybko zjadł.

– Zatem – zaczął mężczyzna – twój przyjaciel umiera. Dlaczego myślisz, że mogę mu pomóc?

– Jeden z twoich wiernych powiedział mi, że jesteś wielkim uzdrowicielem.

– Mówisz o Cthosisie. Zbyt wiele czasu spędził w pałacu twojego dziadka. Jego umysł jest pełen przesądów. – Wzruszył ramionami. – Mimo to na swój sposób jest dobrym człowiekiem. O ile pamiętam, uratowałeś go przed zemstą Ramzesa. Dlaczego to zrobiłeś?

– Czy nasze czyny zawsze muszą mieć jakiś powód? – odparł Gershom. – Może po prostu nie chciałem, by zabito niewolnika za tak drobną przewinę. Albo nie lubiłem Ramzesa. Prawdę mówiąc, sam nie wiem. Zawsze ulegałem nagłym kaprysom.

– A królewscy gwardziści, którzy napadli na jedną z naszych kobiet? Zabiłeś ich. To też był kaprys?

– Byłem pijany. I nie wiedziałem, że była niewolnicą.

– Gdybyś wiedział, postąpiłbyś inaczej?

– Możliwe.

Prorok pokręcił głową.

– Nie sądzę, Ahmose.

– Teraz nazywają mnie Gershomem.

Tamten się roześmiał.

– Jakże właściwie. Wybrałeś słowo z języka ludu pustyni, oznaczające obcego. Człowieka bez domu i miejsca w świecie. Bez plemienia i narodu. Dlaczego to zrobiłeś?

– Nie przyszedłem tu odpowiadać na twoje pytania. Przyszedłem prosić o pomoc.
– Aby uratować Helikaona.
– Tak. Zawdzięczam mu życie. Wyłowił mnie z morza, inaczej bym utonął. Znalazł dla mnie miejsce wśród swoich ludzi.

– Czy nie uważasz za dziwne, Gershomie, że dwa jedyne dobre uczynki w twoim życiu wyświadczyłeś członkom naszego ludu i wybrałeś sobie jedno z naszych imion?

– Masz jeszcze jakieś pytania? Czy taka jest cena twojej pomocy?

– Nie. Zażądam wysokiej ceny.

– Nie jestem bogaty.

– Nie pragnę złota ani błyskotek.

– Zatem czego?

– Pewnego dnia cię wezwę, a ty przyjdiesz do mnie, gdziekolwiek będę. Potem przez rok będziesz robił to, co ci powiem.

– Mam być twoim niewolnikiem?

Prorok odpowiedział cicho i Gershom usłyszał pogardę w jego głosie.

– Czy to zbyt wysoka cena, książę Ahmose?

Gershom przełknął ślinę. Duma nakazywała mu odpalić, że tak, to zbyt wysoka cena. Jest egipskim księciem i nie będzie niewolnikiem. Jednak nic nie powiedział. Siedział, milcząc, ledwie oddychając.

– Zgadza się – rzekł w końcu.

– Dobrze. I nie obawiaj się. Nie będziesz niczym niewolnikiem. A czas, kiedy cię wezwę, jeszcze nie nadszedł.

Prorok zjadł kilka daktyli. Gershom odetchnął. Przynajmniej nie będzie niewolnikiem.

– Czy naprawdę mógłbyś uczynić z nich trędowatych? – zapytał.

– Oni wierzą, że tak. Być może mają rację.

– Cthosis mówił mi, że pewnego razu uleczyłeś hetyckiego księcia z trądu.

– Są tacy, którzy tak mówią – rzekł prorok. – Jednym z nich jest ów hetycki książę. Przyszedł do mnie ze skórą białą i obłazącą, z ropiejącymi wrzodami na całym ciele. Kiedy odchodził, skórę miał gładką i różową.

– Zatem go uzdrowiłeś?

– Nie. Kazałem mu przez siedem dni kąpać się w rzece Jordan.

– A więc twój bóg uzdrowił go po siedmiu dniach.

– Mój bóg stworzył tę rzekę, więc chyba można tak powiedzieć. – Prorok nachylił się do niego. – Jest wiele skórnych chorób, Gershomie, i wiele sposobów ich leczenia. Latem

Jordan cuchnie. Woda i muł są obrzydliwe. Jednak w tym odorze jest coś dobrego. Moja rodzina od dawna wie, że wiele chorób skóry można uleczyć, nacierając ciało mułem z Jordanu. Ten hetycki książę nie był trędowaty. Miał tylko chorobę skóry, od której uwolniły go muł i woda.

– Zatem to nie był cud – rzekł Gershom, nie mogąc ukryć rozczarowania.

Prorok uśmiechnął się zimno.

– Odkryłem, że cuda to tylko zdarzenia zachodzące wtedy, kiedy są potrzebne. Człowiek umierający z pragnienia na pustyni widzi lecącą pszczołę. Dochodzi do wniosku, że przysłał mu ją Jehowa, i podąża za nią – do błyszczącej sadzawki z chłodną, czystą wodą. Czy to cud?

– Na to wygląda – odparł Gershom.

– Mieszkaniec pustyni powie ci, że pszczoły nigdy nie oddalają się od wody. Oczywiście nasuwa się pytanie, kto przysłał tę pszczołę? Jednak twój przyjaciel nie umiera z pragnienia. Został pchnięty sztyletem.

– Tak, dwukrotnie. Druga rana gnije i jest głęboka.

– Mogę usunąć zgniliznę, ale będziesz musiał mi zaufać. Ponieważ to, co uczynię, będzie wyglądało na szaleństwo. Ufasz mi?

Gershom spojrzał w czarne oczy proroka.

– Znam się na ludziach – powiedział. – Ufam ci.

– Zatem pójdę tam z tobą dziś wieczór i rozpocznę leczenie.

– Przyniesiesz leki i napary?

– Nie, Gershomie. Przyniosę coś, co żywi się zgnilizną i chorobą. Przyniosę robaki.

XIII. UZDRAWIAJĄCE ROBAKI

Lampka zamigotała i zgasła, lecz Andromacha ledwie to zauważyła. Siedząc przy łożu i trzymając Helikaona za rękę, patrzyła na jego twarz, upiornie białą w łagodnym blasku księżyca wpadającym przez otwarte okno.

Dziś wieczorem nie majaczył w gorączce i nie wzywał bliskich mu zmarłych.

Andromacha czuła, że zbliża się koniec. Poczowała gniew, gwałtowny i bezprzedmiotowy.

Nienawidziła swojej bezsilności. Przez całe życie wierzyła w moc działania, w to, że sama jest kowalem losu własnego i swoich bliskich. Kiedy Argurios został napadnięty przez płatnych zabójców i nie mógł odzyskać sił, namówiła go na pływanie w morzu, wierząc, że to mu pomoże.

I tak się stało. Kiedyś w Tebach, gdy mały Salos zachorował i leżał nieprzytomny przez wiele dni, siedziała przy jego łóżeczku, mówiąc do niego i wołając go. Obudził się i uśmiechnął do niej. Dotychczas zawsze jakoś udawało jej się naginać bieg wydarzeń do swojej woli.

Potem jednak przyszła śmierć Laodike. To nadwątlilo mury jej pewności siebie. Teraz się waliły i za nimi widziała nie pewność siebie, lecz pychę.

Noc była chłodna, lecz na urodziwym obliczu Helikaona wciąż lśniła cienka warstewka potu.

Tak piękna twarz, pomyślała, wyciągając rękę, by pogłodzić rozpalony gorączką policzek.

Tylko raz się pocałowali, tamtej nocy gdy świat spływał krwią i wróg był blisko. Jeden pocałunek. Jedno wyznanie miłości. Jedna chwila nadziei, że jeśli przeżyją, będą zawsze razem.

Noc wielkiego zwycięstwa i straszego rozstania.

Hektor, uważany za poległego, powrócił w chwale. Hektor! Jakże chciałaby go nienawdzić za ból, jakiego doznawała. Jednak nie mogła. To nie Hektor kazał jej opuścić Terę, nie Hektor targował się o jej posag. Nawet nie Hektor wybrał ją sobie za żonę.

Jej ojciec zawarł umowę z królem Priamem, za traktat i złoto sprzedając Andromachę jak jałówkę trojańskiej rodzinie królewskiej.

Chłodny wietrzyk wpadł przez otwarte okno i Helikaon cicho jęknął. Otworzył oczy i

ich niebieski błysk w świetle księżyca był srebrzystoszary.

– Andromacho... – wyszeptał. Uścisnęła jego dłoń.

– Jestem tutaj.

– Zatem... to... nie sen.

– To nie sen.

Nalała wody do kubka i przytknęła mu do ust. Wypił trochę i znów zamknął oczy.

– Helikaonie – szepnęła. – Słyszysz mnie? – Nie odpowiedział. Znów spał, odlatując od niej ku Ciemnej Drodze. Mięśnie brzucha skurczyły się jej boleśnie. – Pamiętasz plażę w Zatoce Niebieskiej Sowy, gdzie spotkaliśmy się po raz pierwszy? – zapytała. – Ujrzałam cię wtedy w świetle księżyca i coś w środku powiedziało mi, że będziesz częścią mojego życia. Odyseusz zaprowadził mnie do jasnowidza. Zwał się Aklides. Powiedział mi... powiedział... – Łzy popłynęły jej z oczu, a głos zaczął drżeć. – Powiedział, że poznam miłość tak potężną i burzliwą jak Wielka Zieleń. Kpiłam z niego i zapytałam, kogo mam wypatrywać. Odparł, że mężczyzny w jednym sandale. Kiedy wyszłam z Odyseuszem z namiotu, w oddali ujrzałam zwykłego żołnierza. Pękł mu pasek sandała i odrzucił go kopnięciem. Roześmiałam się wtedy i zapytałam Odyseusza, czy powinnam zawołać tego żołnierza, miłość mego życia. Żałuję, że tego nie zrobiłam, Helikaonie, gdyż to byłeś ty w przebraniu mającym zwieść zabójców. Gdybym wtedy zawołała... gdybyś się odwrócił...

Zwiesiła głowę i umilkła.

Słyszając głosy na korytarzu, szybko otarła oczy rękawem zielonej sukni.

Drzwi się otworzyły i do komnaty wszedł Gershom, przytrzymując je przed jakimś obcym, wysokim i mocno zbudowanym mężczyzną w długiej powiewnej szacie. Andromacha wstała i spojrzała na nowoprzybyłego. Miał czarne oczy i gęste, krzaczaste brwi.

– To uzdrowiciel – powiedział Gershom. – Prosiłem go, żeby przyszedł.

– Bardziej wyglądasz na wojownika – rzekła Andromacha.

– Jestem nim – odparł mężczyzna głębokim głosem.

Ominął ją, stanął przy łóżku i pochylił się nad Helikaonem. Odchylił prześcieradło i spojrzał na otwartą ranę.

– Przynies światło – rozkazał.

Gershom opuścił pokój i wrócił z dwoma lampami, które postawił przy wezglowiu. Brodaty uzdrowiciel uklęknął i podniósł rękę Helikaona, odsłaniając ranę. Powąchał ją.

– Bardzo źle – powiedział, wyciągając rękę i kładąc dłoń na czole Helikaona. – Gorzej niż się obawiałem.

Z torby na ramieniu wyjął gliniany słoik nakryty muślinem, a potem drewnianą łyżkę.

W migotliwym świetle Andromacha zobaczyła, że ostrożnie smaruje ranę czymś, co wyglądało jak biała maść. Zamrugnęła, wyteżając wzrok. Maść się poruszała!

– Co robisz? – zawołała, rzucając się na niego. Gershom złapał ją i odciągnął.

– Musisz mu zaufać – rzekł.

– To robaki!

– Tak, to robaki – przyznał mężczyzna. – I jego jedyna szansa. Choć i tak może być za późno.

– Obaj postradaliście rozum? – krzyknęła Andromacha, szarpiąc się w uścisku Gershoma. – To nieczyste stworzenia!

– Ty jesteś Andromacha – rzekł beznamiętnie uzdrowiciel. – Córka Ektiona, króla Teb pod Plakos. Wiem, kim jesteś, dziewczyno. Kapłanką Minotaura. Narzeczoną Hektora. W Troi krążą opowieści o twojej odwadze. Uratowałaś życie królowi. Z łukiem w ręku walczyłaś z Mykeńczykami, gdy atakowali pałac Priama. Pomogłaś uzdrowić wojownika Arguriosa – mówiąc to, przez cały czas nakładał małe białe robaki na ranę. Potem nakrył ją kawałkiem muślinu. – Jesteś gwałtowna i dumna. Jednak jesteś jeszcze młoda i nie wiesz wszystkiego, co trzeba wiedzieć.

– A ty wiesz? – zawołała Andromacha.

– Posłuchaj! – warknął uzdrowiciel. – Robaki wyjedzą zgniłe ciało i razem z nim pożą chorobę. Masz rację, to nieczyste stworzenia. Żywią się zgnilizną – zgnilizną, która go zabija. Puść ją, Gershomie.

Andromacha wyczuła, że olbrzym robi to niechętnie, ale puścił ją i wyrwała się z jego objęć.

– Dlaczego miałabym ci zaufać? – zapytała uzdrowiciela.

– Nie obchodzi mnie, czy mi ufasz czy nie – odparł. – Długo chodzę po tym świecie i widziałem jego chwałę i okropności. Widziałem współczucie złych ludzi i mroki serc dobrych. Nie przyszedłem tutaj, aby cię przekonywać, kobieto. Ważne jest tylko to, żebyś wiedziała, że uzdrowienie Helikaona nie przyniesie mi żadnej korzyści. Jego świat i mój nie mają ze sobą nic wspólnego. Również jego śmierć nie przyniosłaby mi żadnej korzyści. Jestem tutaj, ponieważ przyszedł do mnie Gershom. Kiedy odejdę, możesz zaufać mojej mądrości albo usunąć robaki z rany. Nic mnie to nie obchodzi.

W ciszy, która zapadła po tych słowach, Andromacha spoglądała na jego szeroką, surową twarz, po czym odwróciła się do leżącego na łożu Helikaona.

– Czy on wyzdrowieje, jeśli ich nie usunę?

– Tego nie wiem. Jest bardzo słaby. Robaki należało nałożyć, gdy tylko rana zaczęła

gnić. Jednak Gershom mówi, że to dzielny człowiek, zdecydowany i stanowczy. Ktoś taki nie umiera łatwo.

– Jak długo... muszą się nim żywić?

– Trzy dni. Potem staną się tłuste, dziesięć razy większe niż teraz. Wtedy je usunę i może nałożę następne. Do tego czasu ktoś musi wciąż przy nim być. Ilekroć się ocknie, musi pić. Wodę z miodem. Tyle, ile zdoła. – Zarzuciwszy torbę na ramię, wstał i spojrzał na Gershoma. – Wrócę.

Nie mówiąc nic więcej, opuścił komnatę, a Andromacha stała w milczeniu, słuchając jego cichnących kroków. Gershom podszedł do łoża i delikatnie dotknął ramienia Helikaona.

– Walcz, przyjacielu – powiedział cicho.

Helikaon przeciągle westchnął i otworzył oczy. Andromacha w mgnieniu oka stanęła przy nim.

– Czy ktoś... tu był?

– Tak, uzdrowiciel – odpowiedział Gershom. – Teraz odpoczywaj. Zbieraj siły.

– Tyle... snów.

Andromacha napełniła srebrny kubek wodą. Gershom uniósł głowę Helikaonowi, który wypił trochę. Potem znów zasnął. Przez resztę nocy Andromacha pozostała przy jego łożu.

Gershom odszedł o świcie, a ona się zdrzemnęła. Obudziła się, gdy przyszła Helena, niosąc dzban.

– Gershom powiedział, żeby mieszać miód z wodą – powiedziała, stawiając dzban na stoliku.

Andromacha wstała i przeciągnęła się, a potem wyszła na szeroki balkon nad ulicą Zwinnych Tancerek. Helena dołączyła do niej.

– Mówią, że codziennie przybywają nowi goście – powiedziała. – Królowie i książęta na uroczystość twoich zaślubin. W zatoce jest pełno statków. Parys twierdzi, że wielu szlachetnie urodzonych jest niezadowolonych z tego, że musi opuścić swoje pałace i zrobić miejsce dla obcych.

– Nie przybywają tu na uroczystość – rzekła Andromacha – ale po złote dary Priama lub by zdobyć nagrody na igrzyskach. Zaślubiny nic ich nie obchodzą. Wielu z nich to zwyczajni bandyci, którzy zdobyli kawałek ziemi i ogłosili się królami.

– Tak jak Agamemnon – powiedziała ze smutkiem Helena. – Zdobył Spartę i ogłosił jej królem swojego brata.

Andromacha ją objęła.

– Przepraszam, Heleno, powiedziałam to bezmyślnie.

– Och, nie przepraszaj, Andromacho. Mój dziad zdobył Spartę szturmem, a jej obywateli uczynił niewolnikami. Mój ojciec tylko walczył i zginął w obronie tego, co ukradł jego ojciec. To była głupota. Sądził, że może rozsądnie rozmawiać z Agamemnonem i Mykeńczykami. Jednak owieczka nie dyskutuje z lwem. Ojciec oddał moją siostrę Agamemnonowi i ogłosił go swoim synem. Potem zaproponował mnie bratu Agamemnona, Menelaosowi. Wszystko na próżno. Agamemnon bierze, co chce. A chciał Sparty. – Helena wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się słabo. – Tak więc teraz Menelaos siedzi na tronie, a kości mojego ojca próchnieją gdzieś w ziemi.

– Może Menelaos też zostanie zrzucony z tronu – zauważyła Andromacha.

– Nie sądzę. Ojciec nie miał synów, żadnych dziedziców. Wybuchną bunt, lecz choć Spartanie są dumnymi ludźmi, jest ich za mało, żeby pokonać Mykeńczyków.

Andromacha uniosła głowę, wystawiając twarz na ciepłe promienie słońca.

– Przynajmniej ojciec był na tyle mądry, żeby wysłać cię do Troi – powiedziała. – Tu jesteś bezpieczna.

– Tak mówi Parys, Antyfonos i Hektor. Och, Andromacho, widziałam mykeńskie wojska maszerujące na południe. Nikt nie jest bezpieczny przed zakusami Agamemnona. Parys mówi, że Agamemnon próbował zawiązać koalicję zachodnich królów, żeby poprowadzić atak na Troję.

– I nie zdołał. Królowie wiedzą, że taka wyprawa byłaby katastrofą.

Helena spojrzała na nią z powątpiewaniem.

– Mój ojciec też mówił, że Mykeńczycy nie zaatakują Sparty.

– Troja to nie Sparta – przypomniała Andromacha. – Jesteśmy daleko za morzem, mamy potężne mury i wieże. Mamy Hektora i Konia Trojańskiego. Wszędzie wokół są nasi sprzymierzeńcy, a za nimi imperium Hetytów. Nie pozwolą, żeby Troja padła.

– Nie znasz Agamemnona – powiedziała Helena. – Byłam w Sali Lwa, kiedy poślubił moją siostrę Klitajmestrę. Stałam blisko niego. Słyszałam, co mówi. I raz, kiedy odwrócił się do mnie, zjrzałam mu w oczy. Nic do mnie nie powiedział, ale jego oczy mnie przeraziły. Nie ma w nich nic, Andromacho. Ani radości, ani nienawiści. Nic. Wszystkie skarby świata nie zdołałyby zapełnić pustki, którą w nich ujrzałam.

Trzeciego dnia uzdrowiciel znów przyszedł. Andromacha i Gershom zaprowadzili go do chorego. Helikaon wyglądał nieco lepiej, ale wciąż gorączkował. Andromacha patrzyła, jak uzdrowiciel zdejmował muślin. Żołądek podszedł jej do gardła, gdy zobaczyła jak wyjmuje z rany tłuste, wijące się robaki i wrzuca do pustego słoika. Były wielkie i wzdęte.

Jednak rana, chociaż wciąż otwarta, wyglądała lepiej i nie była tak zaogniona.

– Musisz nakładać nowe? – spytała.

Pochyliwszy się, prorok powąchał ranę.

– Zgnilizna wciąż w niej jest – orzekł. – Jeszcze trzy dni.

Z tymi słowami wyjął drugi słoik i ponownie nałożył robaki na ranę, po czym nakrył ją muślinem.

Dni miały powoli. Helikaon coraz częściej odzyskiwał przytomność, a raz nawet zdołał zjeść miskę rosółu i trochę chleba. Noce wciąż były ciężkie. Krzyczał w gorączce, wzywając swego przyjaciela, Woła, lub zamordowanego brata, Diomedesa.

Kiedy uzdrowiciel wrócił po raz drugi, Andromacha była wyczerpana. Rana prawie się zamknęła i uzdrowiciel, oczyściwszy ją, oznajmił, że można ją zaszyć.

– Wyjąłeś wszystkie robaki? – zapytała dziewczyna. – A co, jeśli kilka zostało w środku?

– Wszystkie padną.

– Nie wylęgną się z nich muchy i nie będą go zżerać?

– Nie. Muchy to żywe stworzenia, które muszą oddychać. Kiedy rana zostanie zamknięta, pozostałe w niej robaki się uduszą.

Wziął zakrzywioną igłę i kawałek czarnej nici, zaczął zeszywać ranę. Pracując, wypytywał Andromachę, jak często Helikaon odzyskiwał przytomność i co wtedy mówił. Słuchał uważnie i nie wyglądał na zadowolonego z jej odpowiedzi.

– Czego się obawiasz? – spytała.

Spojrzał na śpiącego.

– Jest trochę silniejszy i jego ciało dzielnie walczy. Niepokoi mnie jego umysł. On nie walczy. Jakby jego duch nie chciał żyć. Poddał się. Opowiedz mi, jak go zaatakowano.

– Niewiele o tym wiem – powiedziała Andromacha i zwróciła się do Gershoma. – Byłeś tam?

– Tak. Schodził skalną ścieżką z królową Halizją. Była promienna i szczęśliwa, trzymała go za rękę. Gdy podeszli do tłumu czekających, Attalos wyszedł im na spotkanie. Helikaon powitał go uśmiechem, a wtedy – tak szybko, że nikt nie zdołał mu przeszkodzić – Attalos sięgnął po sztylet i pchnął Helikaona. Ten upadł, a ja z kilkoma innymi podbiegliśmy i obaliliśmy Attalosa.

Ktoś pchnął go w pierś. Umarł wkrótce po tym. To wszystko.

– Nie – rzekł prorok. – To nie wszystko.

– Wszystko, co wiem – poprawił się Gershom.

– Czy Attalos umarł szybko, czy ktoś odkrył, dlaczego zaatakował przyjaciela?

– Helikaon podszedł do niego. Uklęknął przy nim. Zabójca był już umierający.

Helikaon zapytał go o coś i pochylił się. Attalos odpowiedział mu, ale nie słyszałem co.

– Jak Helikaon przyjął jego słowa?

– Trudno powiedzieć, proroku. Był ranny, chociaż nie sądziliśmy, że tak ciężko.

Poblądł i zerwał się, potem stał, kręcąc głową, jakby z niedowierzaniem. Później się zachwiał i wtedy zobaczyliśmy, ile stracił krwi. Natychmiast zawołaliśmy chirurga.

– Nie mówił, czego się dowiedział?

– Nie mnie. Zatem to ważne?

– Tak sędzę – odparł prorok.

– Co możemy dla niego zrobić? – zapytała Andromacha.

– Doglądać go tak jak dotychczas. Niech słyszy śmiech, śpiew, muzykę. Kiedy nabierze sił, możecie przyprowadzić mu młodą kobietą do łóżka lub młodzieńca, jeśli woli. Niech leży przy nim nago. Niech go pieści. Wszystko, by przypomnieć mu o radości życia.

Skończył zszywać ranę i wstał.

– Jutro wyruszam na południe. Nic więcej nie mogę dla niego zrobić. – Odwrócił się do Gershoma. – Pamiętaj o swojej obietnicy. Bo ja nie zapomnę.

– Przyjdę, kiedy mnie wezwiesz, proroku. Dotrzymuję danego słowa.

Andromacha spojrzała na nich, wyczuwając, że to ważna chwila, i nie wiedząc dlaczego.

Nagle dostrzegła ich uderzające podobieństwo – obaj byli silnie zbudowani, mieli poważne twarze i głęboko osadzone oczy. Mogliby być ojcem i synem. Prorok spojrzał na Andromachę.

– Życie na pustyni jest ciężkie i niebezpieczne. Mężczyźni pragną kobiet, które miałyby siłę dotrzymać im kroku, nieustraszonych i dumnych. Myślę, że dobrze byś sobie radziła na pustyni.

Z tymi słowami wyszedł.

– Sędzę, że cię polubił – zauważył Gershom.

– Co miał na myśli, mówiąc o obietnicy?

– Nic takiego – odparł.

Nieco później tego dnia do pałacu przyszedł Machaon. Był przygarbionym, wiecznie zmęczonym młodzieńcem o rzadziejących ciemnych włosach. Andromacha powitała go ciepło i poprowadziła do łóżka chorego.

– Wciąż się nie poddaje? – zapytał.

– Lepiej – powiedziała mu Andromacha. – Rana jest czysta i zaszyta.

Machaon miał powątpiewającą minę, ale poszedł za Andromachą do pokoju Helikaona i sam go zbadał. Andromacha widziała jego zdziwienie.

– To niemożliwe – rzekł. – Rana gniła i nie mogła się zagoić.

Opowiedziała mu o proroku i robakach. Słuchał z niedowierzaniem, gdy opisywała kurację.

– Ma szczęście, że taki koszmarny idiotyzm go nie zabił – rzekł. – Musi być inny powód. Czy jadł coś lub pił jakieś napary, o których nic nie wiem?

Andromacha spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Nic, czego nie podawano mu wcześniej. Nie rozumiem cię, Machaonie. Na własne oczy widzisz skuteczność tej kuracji. Dlaczego w nią wątpisz?

Machaon spojrzał na nią z politowaniem.

– Robaki to nieczyste stworzenia. Mogę zrozumieć, że jakiś barbarzyński mieszkaniec pustyni może w nie wierzyć, ale ty jesteś inteligentną kobietą. Mogę tylko zakładać, że jesteś oszołomiona ze zmęczenia.

Andromacha poczuła gniew.

– Och, Machaonie, nie spodziewałam się, że ty umocnisz moją wiarę w ludzką głupotę. Myślałam, że jesteś inny... mądrzejszy. Teraz chcę cię o coś zapytać. Jest wiele sposobów leczenia niedomagań i chorób. Ile z nich zostało wymyślonych przez ciebie? Jaką kurację opracowałeś podczas swojej uzdrowicielskiej praktyki?

– Studiowałem prace wszystkich wielkich... – zaczął.

Przerwała mu.

– Nie mówię o pracach innych, Machaonie. Powiedz mi, jakie kuracje ty wymyśliłeś.
– Młody lekarz milczał z urażoną miną. – A tu jest coś, co należy rozważyć – powiedziała z naciskiem. – Nie użyto żadnych naparów, Machaonie, żadnych eliksirów. Ten człowiek przyszedł i powiedział, że robaki zżerają gnijące ciało. Nie uwierzyłam mu, ale przekonałam się, że mówił prawdę. Zastosował metodę leczenia, o jakiej nie wspominają starożytne zwoje.

Machaon poczerwieniał i wstał.

– Helikaon jest ulubieńcem bogów – powiedział. – To, co tu widzi my, to cud. Podziękuję Asklepiosowi i bogini Atenie. Przyniosłem gojące napary, które ci zostawię.

Stojący przy drzwiach Gershom odsunął się, przepuszczając medyka. Potem spojrzał na Andromachę i uśmiechnął się.

– Byłaś dla niego surowa. To dobry człowiek i niestrudzenie opiekuje się chorymi.

– Wiem. Jednak jest arogancki. Ilu rannych umrze pod jego opieką z tego powodu?

– Powinnaś odpocząć – powiedział. – Posiedzę przy Helikaonie. Idź się przespać. Poczujesz się lepiej.

Andromacha wiedziała, że ma rację. Niemal ślaniała się ze zmęczenia. Kiedy dotarła do swoich komnat, młoda służąca spytała, czy przygotować jej gorącą kąpiel. Andromacha przecząco pokręciła głową.

– Chcę tylko spać – powiedziała.

Odprawiwszy służącą, poszła do sypialni, zrzuciła ubranie i wyciągnęła się na szerokim łożu.

Zimny wiatr wpadł przez otwarte okno, więc przykryła się kocem.

Jednak sen nie chciał przyjść. Przed oczami przesuwały jej się różne obrazy: Helikaon na plaży w Zatoce Niebieskiej Sowy, młody i przystojny, Kaliopie śmiejąca się i tańcząca w świetle księżyca. Przez całe życie słuchała ludzi opowiadających o cudach miłości, o jej radości, sile, muzyce i namiętności. Wydawało się, że miłość jest czymś niezmiennym i trwałym jak marmurowy posąg. Jednak nie. Kochała Kaliopę, uwielbiała jej towarzystwo, ciepło jej skóry, delikatne pocałunki. I kochała Helikaona, pragnęła z nim być, a jej serce biło mocniej, ilekroć siedziała przy jego łożu, trzymając go za rękę. To było bardzo niepokojące.

Bardowie opowiadali i śpiewali o jednej wielkiej miłości łączącej dusze, wspaniałej i jedynej. Jasnowidz na plaży w Zatoce Niebieskiej Sowy mówił o trzech miłościach, jednej burzliwej jak Wielka Zieleń, drugiej solidnej i mocnej jak dąb, a trzeciej jak jasny księżyc.

Helikaon był pierwszą, gdyż był mężczyzną w jednym sandale. Kiedy zapytała o pozostałe, jasnowidz powiedział jej, że dąb wyrośnie ze świńskiego gnoju, a księżyc wszędzie we krwi i bólu.

Kaliopie nie była żadną z nich.

A jednak ją kocham, pomyślała. Wiem, że tak.

Błądząc myślami, ujrzała Terę i wielką Świątynię Konia. Dochodziło południe i kapłanki przygotowywały tam wino na ofiarę dla Minotaura. Dwanaście kobiet podejdzie do trzęsącej się skały. Będą się modlić i śpiewać, po czym wleją wino do syczącej szczeliny, starając się nie wdychać trujących wyziewów dobywających się spod ziemi.

Gorącego oddechu Minotaura.

Kaliopie może jest wśród nich. Kiedy Andromacha ostatni raz uczestniczyła w tym rytuale, Kaliopie mrugnęła do niej, za co została skarcona przez arcykapłankę.

Leżąc teraz samotnie w łożu, Andromacha zamknęła oczy.

– Chciałabym, żebyś tu była – szepnęła, myśląc o Kaliopie.

Potem obraz Kaliopie stał się niewyraźny i znów ujrzała promienne niebieskie oczy

Helikaona.

Dla Helikaona znany mu świat przestał istnieć. Unosił się niczym duch w chaotycznej płątaniu snów. Czasem leżał na szerokim łożu, pod magicznym oknem, przez które wpadało na przemian światło słońca lub księżyca, a czasem stał na pokładzie *Ksantosa* płynącego po Wielkiej Zieleni lub na klifowym brzegu Dardanos, patrząc na flotyllę płonących statków i słuchając wrzasków marynarzy, brzmiących jak krzyk upiornych mew. Obrazy zmieniały się i drżały. Tylko ból był stały, chociaż zdawał się niczym w porównaniu z mękami, jakie cierpiał, kiedy miał wizje.

Jego młodszy brat Diomedes, bawiący się wesoło w promieniach słońca. Helikaon patrzył na niego i słuchał radosnego śmiechu chłopca, gdy nagle zauważył, że skraj jego tuniki zaczął się palić. Krzyknął, żeby go ostrzec, lecz chłopiec bawił się dalej w szalejących płomieniach.

Helikaon próbował do niego podbiec, ale kończyny miał jak z ołowiu i z każdym krokiem coraz bardziej się od niego oddalał. Skóra Diomedesa poczerniała i dopiero wtedy malec się odwrócił.

„Pomóż mi!” – zawołał do brata. Lecz Helikaon mógł tylko patrzeć, jak chłopiec płonie.

Potem znów był na pokładzie *Ksantosa*, stojąc obok swego starego przyjaciela, Woła. Słońce świeciło jasno, wiał rzeński wietrzyk. Wół obrócił się do niego i Helikaon zobaczył strużkę krwi, niczym cienki naszyjnik owijającą jego szyję. Wyciągnął dłoń, żeby dotknąć rany – i głowa Woła została mu w rękach.

Otworzył oczy i znów leżał na szerokim łożu, a przez okno sączyło się światło księżyca.

Usłyszał szmer i ujrzał nad sobą twarz Andromachy. Na policzku poczuł dotyk jej chłodnej dłoni.

„Wróć do nas, Helikaonie” – szepnęła.

Ta prośba zbiła go z tropu. Skąd miał wrócić i dokąd? Był już wszędzie, żeglował po Wielkiej Zieleni, kroczył po Siedmiu Wzgórzach z Odyseuszem i Biasem, a czarnoskóry narzekał na karły wychodzące z mokradeł, stał na murach Troi, spoglądając na morze w zachodzącym słońcu, jechał z Hektorem na Amorytów. Przeżywał na nowo wszystkie wydarzenia swego życia, od dziecięcych obaw i samobójstwa matki po niedawne tragedie i śmierć bliskich mu osób.

Teraz świeciło słońce i szedł ze złotowłosą Halizją w kierunku pałacu. Miała zostać jego żoną i wiedział, że jest szczęśliwa. Rok wcześniej Mykeńczycy zabili jej dziecko,

zgwalcili ją i pozostawili, by umarła. Od tej pory jej życie było pasmem bólu i strachu. Teraz on ją obroni – nawet jeśli nie zdoła jej pokochać. Poczul ciepło jej palców w swojej dłoni, ich mocny uścisk, jakby się obawiała, że od niej odejdzie. Gdy podeszli do zgromadzonego tłumu, zobaczył wychodzącego mu naprzeciw Attalosa. Ten skoczył na niego ze sztyletem w rękę. Helikaon instynktownie próbował odparować cios, lecz zaskoczona nagłym zamieszaniem Halizja przytrzymała go jeszcze mocniej. Sztylet wbił się w jego pierś. Wyrwawszy się Halizji, zasłonił się ramieniem. Ostrze wbiło mu się pod pachę. Potem doskoczyli do nich inni, powalając Attalosa na ziemię. Helikaon zobaczył, jak jeden z jego gwardzistów wbija sztylet w brzuch Attalosa, kierując ostrze w górę, w stronę płuca. Helikaon przecisnął się przez tłum i opadł na kolana przy zabójcy.

– Dlaczego? – zapytał umierającego.

– Jestem... Karpoforos – powiedział Attalos. – To mój... święty obowiązek.

– Zabiłeś mojego ojca!

– Tak.

– Kto ci za to zapłacił?

Gdy zabójca wyszeptał imię, Helikaon krzyknął i wszystko pochłonęła ciemność. Czyjaś dłoń gładziła go po twarzy i znów otworzył oczy. Księżycowy blask wpadał przez prostokąt okna i na nocnym niebie widać było smugi chmur.

– Musisz żyć, Helikaonie – powiedziała zjawa wyglądająca jak Andromacha.

– Po co? – spytał ze znużeniem.

I teraz znów walczył na schodach, a Argurios przy nim. Był tak zmęczony, a Mykeńczycy wciąż nadchodzili, atakując ich. Czyjaś dłoń dotknęła jego ramienia i usłyszał głos, który rzekł: „Chodź ze mną, Złocisty”.

– Muszę walczyć – krzyknął, wbijając ostrze w kark nacierające go żołnierza.

– Bitwa już jest wygrana – rzekł głos Arguriosa. – Chodź ze mną.

Świat zawirował i Helikaon stał obok wielkiego wojownika, spoglądając na walczących, widząc samego siebie, zbroszonego krwią, broniącego schodów. Nagle zobaczył niegodziwego Kolanosa, który napinał łuk. Wiedział, że strzała była wymierzona w Arguriosa, wiedział, że przebije jego uszkodzoną zbroję.

– Nie! – krzyknął. – Arguriosie, uważaj!

– Jestem tu – rzekł Argurios, stojąc obok niego. – Ta strzała już została wypuszczona. Widzisz? – Helikaon spojrział i zobaczył strzałę wbity głęboko w bok wojownika. – Nie możesz zapobiec temu, co ma się stać, Helikaonie. Przyszedł na mnie czas. Chodź ze mną.

I nagle zaświeciło słońce, wspaniałym blaskiem jesiennego zachodu. Byli w ogrodzie,

patrząc, jak gasną ostatnie promienie. Argurios miał teraz na sobie zwykłą białą tunikę, a twarz zbrązowiałą od słońca. Znikły ślady zmagania, głębokie zmarszczki, ciemne kręgi wokół oczu.

– Wracaj do świata, Helikaonie. Żyj – powiedział.

– Nie wiem jak – odparł Helikaon.

– Ja też nie wiedziałem i dowiedziałem się dopiero na kilka dni przed śmiercią. Jesteśmy płomyczkami, Helikaonie, i migoczymy sami w ciemności, zaledwie przez chwilę. Gdy szukamy bogactwa, sławy i zaszczytów – nie ma to żadnego sensu. Narody, za które walczyliśmy, kiedyś przestaną istnieć. Nawet góry, na które spoglądamy, rozsypią się w proch. Aby naprawdę żyć, musimy pragnąć tego, co nie umiera.

– Wszystko umiera – rzekł smutnie Helikaon.

– Nie wszystko – odparł Argurios.

Promień słońca oświetlił białą kamienną ławkę na końcu ogrodu. Helikaon ujrzał siedzącą na niej kobietę, patrzącą na zachód słońca. Odwróciła się i uśmiechnęła do niego. To była Laodike.

Argurios zostawił go, podszedł do Laodike i pocałował ją. Później oboje usiedli na ławce, ramię w ramię, w zachodzącym słońcu. Helikaon czuł się samotny i zagubiony. Argurios odwrócił się do niego.

– Wracaj! – powiedział. – Ona czeka!

Wszystko zawirowało i otworzył oczy. Znów leżał na łożu i po prawej stronie widział zaczarowane okno, a w nim jasno świecące na niebie gwiazdy.

– Wróć do nas, mój ukochany – szepnęła zjawą Andromachy.

Helikaon poczuł ciepło nagiego ciała leżącego przy nim, jej rękę na swej piersi, jej nogę dotykającą jego uda.

– Andromacho? – szepnął.

Nie miało znaczenia, że była zjawą. W jasnym blasku księżyca zobaczył jej twarz, piękne zielone oczy spoglądające w jego oczy.

– Tak, to ja, Andromacha – powiedziała.

Jej wargi dotknęły jego warg i serce zaczęło mu bić szybciej. Jej dłoń przesunęła się w dół po jego ciele i jęknął, czując rosnące podniecenie. Rozchyliła usta i ich pocałunek stał się bardziej namiętny. Zapomniał o bolesnej ranie. Oto nowy sen! Trochę się obawiał, że ona też zaraz stanie w płomieniach lub ta cudowna chwila zaraz zmieni się w koszmar, ale nie. Krew coraz żywiej krążyła w jego ciele, a serce waliło mu jak młotem. Objął zjawę zdrową ręką, wciągając i przyciągając do siebie. Objęła udami jego biodra i dosiadła go.

Koszmarne wizje nie miały już nad nim mocy. Poczł jej wilgotną miękkość i wyszedł jej na spotkanie. Krzyknęła, gdy w nią wszedł, po czym natarła mocniej, opierając dłonie przy jego skroniach, przyciskając wargi do jego ust.

Gdzieś głęboko w nim coś się zbudziło i zaczęło narastać. To była chęć i radość życia. Zjawa nad nim zaczęła drzeć i jęczeć, i krzyzczeć. Te dźwięki go wypełniły. Potem przed oczami wybuchło mu białe światło i stracił przytomność.

Obudził go śpiew ptaków i jasne światło dnia.

Helikaon zaczerpnął tchu i poczuł smak soli w powietrzu. Jakaś kobieta o pospolitej urodzie pochylała się nad nim, Usiłował przypomnieć sobie jej imię. W końcu mu się to udało. To spartańska księżniczka, Helena, którą widział z Parysem w pałacu Hekabe.

– Jak się czujesz? – zapytała.

– Głodny – powiedział.

Spróbował usiąść, a ona mu pomogła, podkładając poduszki pod plecy.

– Mam trochę wody z miodem – powiedziała – ale zaraz przyniosę ci coś do zjedzenia.

– Dziękuję, Heleno.

Uśmiechnęła się nieśmiało.

– Dobrze widzieć, że wracasz do zdrowia. Wszyscy bardzo się martwiliśmy.

Wypił trochę wody z miodem, a Helena opuściła komnatę, żeby przynieść mu śniadanie.

Nachylił się, żeby odstawić pusty kubek na stolik obok łóżka, i skrzywił się. Rana pod pachą nadal bolała. Spojrzał na swój tors i ramiona. Jakie chude, pomyślał, dotykając sterczących obojczyków i wodząc dłonią po wystających żebrach.

Drzwi się otworzyły i weszła Andromacha, niosąc miskę owoców. Miała na sobie mieniącą się szkarłatną suknię, a rude włosy ściągnięte do tyłu i spięte piękną srebrną kłamrą, wysadzaną szmaragdami. Stawiając miskę przy jego łożu, wyglądała na zamyśloną i zatroskaną. Nie usiadła, tylko stała, przyglądając mu się.

– Dobrze cię widzieć – rzekł. – Na bogów, czuję się jak wyjęty z grobu.

– Byłeś bardzo chory – powiedziała cicho, nie odrywając od niego oczu.

– Już nie musisz się o mnie martwić – powiedział. – Wracam do sił. Zeszłej nocy nie miałem żadnych snów. No, poza jednym, o tobie.

– Śniłeś o mnie?

– Tak i to był dobry sen – sen o życiu. Myślę, że to on mnie uzdrowił.

Słyszając to, jakby się odprężyła i usiadła przy jego łożu. Kiedy przemówiła, jej głos był

chłodny, obojętny.

– Wszyscy myśleli, że umierasz, ale Gershom znalazł uzdrowiciela. Ten oczyścił twoją ranę. Kiedy całkiem się zagoi, powinieneś pływać i odbywać długie spacer, żeby odzyskać siły.

– Co się stało, Andromacho?

– Nic się nie stało – odparła. – Ja... cieszę się, że wracasz do zdrowia.

– Mówisz jak ktoś obcy. Jesteśmy przyjaciółmi, ty i ja.

– Nie jesteśmy przyjaciółmi – warknęła. – My... ja... ja mam poślubić Hektora, a ty Halizję.

– I to oznacza, że nie możemy się przyjaźnić?

– Nie myślę o tobie jak o przyjacielu, Helikaonie. Nie mogę.

Odwróciła głowę, patrząc za okno.

– Wiesz, że cię kocham – powiedział cicho. – Jak żadną inną kobietę. To zawsze będzie prawdą.

– Wiem – odparła z goryczą. Odwróciła się do niego. – Ja czuję to samo. I dlatego nie możemy być przyjaciółmi. Nie mogę siedzieć z tobą, gawędzić o niczym i śmiać się z głupich żartów. Wypełniasz moje myśli, Helikaonie. Przez cały czas. Nawet w snach.

– Mówiłem ci, że śniłem o tobie tej nocy.

– Nie chcę tego słuchać – rzuciła, wstając. – Gershom czeka, żeby się z tobą zobaczyć.

I Antifones. Ksander też był wczoraj. Powiedział, że jeszcze przyjdzie.

– Gdzie jest Hektor?

– Popłynął na *Ksantosie*, by szukać piratów. Ma wrócić niebawem.

Helikaon spojrzął jej w twarz.

– Dziękuję, że mnie uratowałaś, Andromacho – powiedział.

– To nie ja. Mówiłam ci. Gershom znalazł uzdrowiciela.

– Nie – rzekł ze smutkiem. – To byłaś ty.

XIV. CZARNE GALERY W ZATOCE

Andromacha wyszła do długiego ogrodu za pałacem. W ręku miała łuk, a na ramieniu kołczan pełen strzał. Pod odległym murem ustawiono cele ze słomy, zręcznie powiązanej w kształty jeleni, dzików lub ludzi. Andromacha nałożyła na cięciwę strzałę z czarnopiorą brzechwą, napięła ją i puściła.

Z odległości trzydziestu kroków strzała wbiła się w brzuch słomianego jelenia. Kiepski strzał. Gdyby zwierzę było prawdziwe, pocisk rozerwałby mu wnętrzności i uśmiercił w męczarniach, psując mięso. Wiedziała, że jeleniowi trzeba przestrzelić oba płuca. Wtedy śmierć jest szybka, a mięso delikatne. Uspokoiwszy się, wypuściła do tego celu jeszcze cztery strzały. Te były lepiej wymierzone.

– Dobrze strzelasz – usłyszała głos Antifonesa.

Andromacha odwróciła się do niego, skrywając irytację wywołaną tym, że jej przeszkodził.

– Dobrze wyglądasz, Antifonesie – powiedziała.

Wciąż był ogromny, ale od jesieni zrzucił sporo kilogramów. Teraz jego twarz wyglądała zdrowo i już nie sapał z wysiłku przy każdym kroku.

– Nadal jestem grubszy niż pięć świń, ale pracuję nad tym – odparł. – Jak wiesz, ojciec powierzył mi dowództwo regimentu Ilos. Mam nadzieję, że na wiosnę zdołam wsiąść na konia i pojechać z moim od działem.

Uśmiechnęła się.

– Cieszę się, że cię wynagrodził, Antifonesie. Gdybyś nie odkrył spisku, wszyscy moglibyśmy teraz nie żyć.

Zesztywniał, ale uśmiech zaraz powrócił na jego wargi, choć trochę wymuszony – pomyślała.

– Tak, ojciec był mi wdzięczny. Odkryłem jednak, że jego łaska jest zawsze krótkotrwała.

– Mój ojciec jest taki sam – powiedziała. – Może wszyscy królowie są tacy. Uważają, że nie mają za co być wdzięczni. Ludzie rodzą się tylko po to, żeby im służyć, więc ci, którzy robią to dobrze, jedynie spełniają oczekiwania.

– Cóż, przynajmniej cię polubił – powiedział Antifones, sadowiąc się na kamiennej ławce w cieniu kwitnącego drzewa.

– To nie sympatia – powiedziała. – To tylko żądza – i chęć posiadania tego, czego mu odmówiono.

Antifones wzruszył ramionami.

– Możesz nadal mu odmawiać, Andromacho. Można o nim powiedzieć różne rzeczy, ale nie wzięłby kobiety wbrew jej woli.

Andromacha pokręciła głową i roześmiała się.

– Jak naiwnie to brzmi, Antifonesie. Chcesz powiedzieć, że nie wzięłby jej, używając fizycznej siły. Sądziś, że pałacowe dziewczki, z którymi sypia, lub córki szlachetnie urodzonych rozkładają przed nim nogi ze względu na jego urok? Jego złote włosy są przetykane siwizną. Jest stary, Antifonesie. Młode dziewczyny nie pragną starców. Dzielą z nim łożę, ponieważ muszą.

Ponieważ jest królem i obawiają się jego gniewu.

– A ty nie boisz się jego gniewu?

– Ja nie boję się nikogo.

– Zatem nie zagrażają ci jego zakusy.

– Tak, ale wciąż czuję na sobie jego wzrok. Niemal słyszę, jak serce bije mu szybciej, gdy jestem w pobliżu. Mam nadzieję, że to się skończy, gdy zostanę żoną Hektora.

– To go nie powstrzymało w przypadku innych żon – powiedział cicho Antifones, rozglądając się, czy nikogo nie ma w pobliżu.

– Nie ma tu plotkarzy, Antifonesie – rzekła. – Na pewno go powstrzyma. Czyż Hektor nie jest jego ukochanym synem? Nawet Priam nie będzie ryzykował jego gniewu.

– Tak, on jest jego ulubieńcem – rzekł bez cienia gorczy Antifones. – Przez wiele lat trudno mi było to przełknąć. Jeszcze trudniej było Agatonowi i Politesowi. Wszystkim jego synom. Jak ktoś może rywalizować z potężnym Hektorem?

– Nienawidzisz go?

– Ojca?

– Nie. Hektora.

Antifones pokręcił głową.

– Nikt nie nienawidzi Hektora. Nawet Agaton, który – jak odkryłem – nienawidził chyba wszystkich w Troi. Włącznie ze mną, a ja byłem nie tylko jego bratem, ale i przyjacielem. Dlaczego pytasz? Nie lubisz Hektora?

– Jak mogę nie lubić kogoś, kogo nigdy nie poznałam?

Antifones wyglądał na zdumionego.

– Przecież Hektor był w Troi przez całą zimę.

– Tak, tylko że jakoś tak się składało, że rzadko bywał tam, gdzie ja. Dziwne zachowanie jak na kogoś, kto wkrótce ma zostać moim mężem. – Poczula wzbierający gniew i próbowała go powstrzymać. – Jednak córki królów to tylko jałówki, sprzedawane tym, którzy zaproponują najwięcej. Dlaczego mężczyzna miałby rozmawiać z jałówką?

Antifones zachichotał.

– Nigdy nie spotkałem takiej kobiety jak ty, Andromacho.

– Ufam, że to komplement?

– Właściwie sam nie wiem. Wychowano mnie w przekonaniu, że kobiety pragną być niewolnicami i chcą zostać zdominowane.

– Nie byłoby to niespodzianką, gdyby wychował cię sam Priam, ale królowa Hekabe nie jest niewolnicą i nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek zdołał ją zdominować.

– To prawda – rzekł Antifones. – Priam i Hekabe, namiętność i trucizna, siła i okrucieństwo. Pożarłaby swoje młode dla władzy. – Antifones westchnął. – Cóż z nas za kochająca rodzinka.

Andromacha odeszła o krok i błyskawicznie posłała strzałę przez ogród w słomianego dzika.

Dwie następne też wbiły się w cel.

– Zauważyłem, że nie strzelasz do człowieka – powiedział Antifones, wskazując na największą ze słomianych kukieł.

– Nie poluję na ludzi – odparła.

– Jednak ustrzeliłaś człowieka, który próbował zabić ojca.

Odwróciła się do niego.

– Potrafię wstrzelić sto strzał na sto w cel odległy o osiemdziesiąt kroków. Czy ludzie mówią wtedy, jaka dobra ze mnie łuczniczka? Nie. A wystarczy ustrzelić jednego zamachowca z trzydziestu kroków i są pod wrażeniem. Co łączy ludzi i śmierć, Antifonesie? Dlaczego muszę zabić, żeby zyskać szacunek?

– Niesprawiedliwie się oceniasz, Andromacho. Nie chodzi o zabijanie. Ten człowiek biegł ku mojemu ojcu z włócznią w ręku. Miałaś tylko moment, żeby zareagować. Nie cofnęłaś się. Strach i zgroza cię nie obezwładniły. Zareagowałaś szybko i pewnie, kiedy inni skamienieli. I twoja strzała trafiła w cel.

– Jak powiedziałam, to był łatwy strzał. Czy rozmawiałaś z Helikaonem?

– Krótko. Potem zasnął. Dziś wygląda lepiej. Ma rumiane policzki i gorączka spada. Wyzdrowieje. Będzie musiał... i to szybko.

– Dlaczego?

– Wkrótce w mieście zjawi się mnóstwo wojowników z zachodu, przybyłych na igrzyska. Nienawidzą Helikaona. Agamemnon kazał go zabić. To niemal pewne, że będą następne zamachy na jego życie. – Zacerpnął tchu. – I nie tylko na Helikaona. Wielu królów nienawidzi się wzajemnie. Niedługo ulice zaroją się od płatnych zabójców.

– Przecież to igrzyska... – zaczęła Andromacha. – Zgodnie z prawami Olimpu każde miasto urządzające igrzyska ku czci bogów staje się neutralne. Wszystkie waśnie należy odłożyć na bok. Obowiązuje zawieszenie broni. – Antifones spoglądał na nią z niewyraźną miną. – No co?

Czyżbym nagle zaczęła mówić obcym językiem?

– Prawie. Jesteś dziwną kobietą, Andromacho. W jednej chwili mówisz ze znawstwem o naturze królów, a w następnej... – Zawahał się i pokręcił głową. – Powiedziałaś, że jestem naiwny. Z pewnością rozumiesz, że to zawieszenie broni jest iluzoryczne. Każdy o tym wie. Priam będzie wszędzie miał żołnierzy. Wszyscy członkowie naszej rodziny będą mieli ochronę. Przy Agamemnonie przez cały czas będą jego siepacze z rękami na rękojeściach sztyletów, gotowi zabić każdego, kto za bardzo zbliży się do ich króla. To będzie niepewny i niebezpieczny czas. A głównym celem będzie Helikaon. Co do tego nie ma cienia wątpliwości. Gdy tylko nabierze sił, każ go przenieść do jego pałacu.

Dźwignął się z ławki.

– Może powinien wrócić do Dardanii – zasugerowała.

– Nie zrobi tego. W ten sposób okazałby słabość wobec wrogów.

– A widząc chudego jak patyk człowieka grzejącego się w słońcu, będą podziwiali jego siłę?

Antifones zaśmiał się ze szczerym rozbawieniem.

– Masz język jak bicz. Czuję się pokonany i uciekam.

Andromacha się uśmiechnęła.

– Miło było z tobą porozmawiać, Antifonesie. Mam nadzieję, że znów mnie odwiedzisz. Oczywiście, jeśli przystoi przyszłemu szwagrowi zabawiać mnie pod nieobecność narzeczonego.

– Och, nikt nie będzie się mną przejmował – rzekł raźnie. – Powszechnie wiadomo, że nigdy nie gustowałem w kobietach. Ciasta, słodczyce i urodziwi chłopcy. Nie, Andromacho, nie musimy się obawiać, że nasze spotkania kogoś zgorszą. – Podeszedł i ucałował ją w oba policzki. – I pamiętaj, co ci powiedziałem. Porozmawiaj z Gershomem. To wojownik i będzie wiedział, jak ochronić Helikaona.

Dziwka znana jako Duża Ruda roześmiała się, obserwując zamieszanie na brzegu.

Wkrótce wybuchnie bójka albo nawet kilka, pomyślała, patrząc, jak nadzorcy portu toczą przegraną walkę o ustawienie przyplływających galer. Inne stojące tam dziwki nie były tak rozbawione. Kiepskie humory oznaczały kiepskie interesy, a te kobiety wierzyły, że przy tak wielu przyplływających statkach mogą zarobić wiele złotych i srebrnych pierścieni. W istocie, co Duża Ruda zauważyła, gdy tylko dotarła do portu, statków było aż za dużo. Niewielu żeglarzy i jeszcze mniej pasażerów było w nastroju do wypuszczenia jednookiego węża.

Ruda wyszła z szeregu dziwek, szukając miejsca w cieniu. Wieczorem na ulicach Troi będzie mnóstwo okazji do zarobienia złota. Teraz równie dobrze może odpocząć i cieszyć się widowiskiem. Dotarłszy do niskiej kamiennej ławki, przesunęła po niej dłonią, sprawdzając, czy nie ma tam ptasich odchodów. Miała na sobie nową czerwoną suknię i nie chciała jej ubrudzić.

Upewniwszy się, że ławka jest czysta, złożyła na niej spory ciężar swego ciała. Natychmiast poczuła ulgę. Ostatnio bolało ją lewe kolano i po dłuższym staniu stawy sztywniały i puchły.

Wygodnie usadowiona, patrzyła na chaos na długim brzegu.

Jak okiem sięgnąć, po obu stronach Zatoka Troi była zapchana dużymi i małymi statkami, a następne dziesiątki galer sunęły spokojnie w popołudniowej mgiełce. Nie było miejsca dla wszystkich i nadzorcy portu, wspierani przez żołnierzy, zmuszali niektóre łodzie do odpłynięcia, żeby zrobić miejsce dla nowo przybyłych. Odpływające wpadały na przybijające, przy czym po wodzie niósł się trzask wiosel i przekleństwa marynarzy.

Słyszała narzekania rozzłoszczonych rybaków, rozgniewanych utratą stanowisk, wykorzystywanych przez ich rodziny od pokoleń. Teraz byli zmuszeni szukać miejsc dla swych łodzi w górze rzeki Skamander. Cudzoziemscy kapitanowie wykrzykiwali skargi do nadzorców, gdy ci kazali im wysadzać ważnych pasażerów i zawracać do Zatoki Heraklesa, daleko od miasta. Kupcy i handlarze, którzy właśnie przybyli, tłoczyli się w pobliżu, nie wiedząc, dokąd się udać, obawiając się o swoje towary w tym ścisku.

Ruda była tym wszystkim serdecznie rozbawiona. Chmary owadów z mokradeł wokół zatoki unosiły się z bzyčeniem nad głowami spoconych i czerwonych nadzorców, którzy usiłowali utrzymać porządek i uspokajać szalejące emocje, szybko tracąc przy tym cierpliwość. Owady nigdy nie dokuczały Rudej. Nie lubiły silnych perfum, którymi skrapiła farbowane henną włosy.

– Ty parszywy synu rzecznego szczura!

Ruda z uciechą patrzyła, jak egipski kupiec zamachnął się na nadzorcę Dresosa. Gruby Dresos chciał się uchylić, ale stracił równowagę i rozciągnął się jak długi na piasku.

Żołnierze doskoczyli, grożąc włóczniami, zapędzili rozzłoszczonego Egipcjanina z powrotem na statek.

Inni też się śmiali, gdy Dresos wstał z ziemi, ale on napadł tylko na rudowłosą dziwkę.

– Zamknij pysk, brudna suko!

Słyszając to, roześmiała się jeszcze głośniejsze, lecz jeden młody żołnierz podszedł do niej.

– Lepiej przejdź za ten murek, Ruda. Niedługo możemy tu mieć kłopoty. Nie chciałbym, żeby stała ci się krzywda.

– Jesteś słodki, Ipheusie – powiedziała z lekkim przygnębieniem.

Młodzieniec traktował ją z uprzejmą troską, lecz w jego głosie nie było śladu pożądania. Nie zarumienił się, patrząc w jej fiołkowe oczy. Nie oblizwał warg i nie przestąpił z nogi na nogę, będąc pod wrażeniem jej zmysłowości. Ruda zerknęła na czerwoną powiewną szatę, jaką nosiła, aby ukryć coraz obfitsze kształty. Kiedyś – nie tak dawno temu – była pociągająca. Jednak wtedy nie nazywano jej jeszcze Dużą Rudą. Westchnęła.

– Wszystko w porządku, Ruda? – spytał Ipheus.

– Dosiądź mnie i sam się przekonaj – odparła, odruchowo mrugając do niego.

Żołnierz się roześmiał.

– Nie stać mnie na ciebie, Ruda – powiedział i podszedł do następnej grupki rozgniewanych ludzi.

Komplement młodzieńca nie poprawił jej nastroju. Ruda postanowiła wrócić do domu i utopić smutki w winie. Nigdy nie była piękna. Była za wysoka i miała zbyt obfite kształty.

Jednak kiedyś jej fiołkowe oczy miały moc, w czasach gdy bogowie obdarzyli ją promienną młodością. Teraz młodość minęła. Wiele starych dziwek u schyłku swej kariery szukało mężów – starych żołnierzy lub samotnych kupców. Ruda nie chciała męża i nigdy nie pragnęła mieć dzieci.

Ruszyła w długą drogę powrotną do miasta i przystanęła. Zgiełk na plaży ucichł. Wszystkie kłótnie i przekleństwa urwały się jak nożem uciał. Zdawało się, że nawet morskie ptaki przestały krzyczeć. Zebrany na brzegu tłum spoglądał na zatokę. W złowrogiej ciszy Ruda słyszała bicie własnego serca.

Trzy czarne galery manewrowały powoli między mnóstwem statków. Wioślarze na innych jednostkach pośpiesznie robili im miejsce. Nikt nie narzekał i nie wykrzykiwał zniewag, gdy galery płynęły do brzegu, wyprzedzając tych, którzy niecierpliwie czekali od południa.

Gdy pierwsza galera zbliżyła się do brzegu, podniesiono czarne wiosła. Statek przez chwilę sunął po wodzie, po czym cicho uderzył kilem o piach.

Ruda podeszła do Ipheusa, który stał w milczeniu, wyraźnie spięty.

– Ktoś mógłby pomyśleć, że przybywa bóg umarłych – powiedziała.

– I niewiele by się pomylił. To mykeńskie statki. Przybył Agamemnon.

Agamemnon, w długim czarnym płaszczu na chudych ramionach, z czarną brodą sterczącą jak ostrze miecza, stał na dziobie i spoglądał na Złote Miasto. Z nieprzeniknioną miną wodził ciemnymi, ponurymi oczami po wysokich murach. Obok niego stał opasły, rozwiązły Peleus, król Tesalii, i jego syn Achilles, olbrzymi czarnowłosy wojownik w białej tunice do kolan, obszytej złotą nitką.

– Patrz, jak się ciebie boją – powiedział z zazdrością Peleus.

Przez chwilę Agamemnon nie wiedział, o czym on mówi, a potem uświadomił sobie, że załogi czekających statków zamilkły i nikt nie narzeka, gdy mykeńskie galery podpływają do brzegu. To nie poprawiło mu humoru. Niczego innego nie oczekiwał.

Ujrzał oczekujących na niego dworzan, ale się nie ruszył ani ich nie pozdrowił.

– Mocne mury – rzekł Peleus. – Robią wrażenie. Zaledwie co dziesiąty, a może co piętnasty człowiek zdołałby się na nie wspiąć. Myślę, że byłoby lepiej zdobywać bramy. Byłeś tu już wcześniej?

– Ojciec przywiózł mnie, kiedy byłem dzieckiem. Spacerowaliśmy po tych murach. Najslabsze są od zachodu. Tam zdobył je Herakles.

– Mówią, że miał w swych szeregach samego Aresa, boga wojny – zauważył Peleus.

Agamemnon zerknął na niego, ale nic nie powiedział. Ludzie zawsze mówili o krocących po ziemi bogach, lecz on nigdy nie widział takiego cudu. Oczywiście wierzył w bogów, ale uważał, że ludzkie sprawy są im odległe, a przynajmniej obojętne. Jego wojska zdobywały miasta, o których mówiono, że chronią je bogowie, i żaden z jego ludzi nie został powalony błyskawicą Aresa ani młotem Hefajstosa. Jego kapłani w większości byli obłudnikami. Jeśli armia została zmuszona do odwrotu, była to wola bogów. Jeśli odniosła zwycięstwo – również.

Agamemnon miał wrażenie, że bogowie faworyzują ludzi mających najostrzejsze miecze i najwięcej wojowników. Mimo to przed każdą bitwą składał ofiary. Przywrócił nawet stary hetycki zwyczaj składania ofiar z ludzi przed szczególnie ważnymi starciami. Nie wiedział i nie dbał o to, czy to coś pomaga. Ważniejsze było to, że takie lekceważenie ludzkiego życia budziło strach i przerażenie wśród wrogów – tak jak zwyczaj wyrzynania w pień mieszkańców wiosek i miast, które opierały się jego ambicjom. Inne miasta poddawały się potem bez długich oblężeń, a ich władcy zawierali wieczyste przymierze z mykeńskim królem.

Dworzanie na plaży nadal czekali, w długich białych płaszczach trzepoczących na wietrze.

– Czujesz się silny, Achillesie? – zapytał Agamemnon młodego wojownika stojącego obok Peleusa.

– Zawsze – odparł Achilles. – Myślisz, że Hektor weźmie udział w igrzyskach?

Spytał o to z błyskiem w oczach i Agamemnon dostrzegł w nich żądze walki i sławy.

Mykeński władca się zastanowił. Interesujące pytanie. Król Priam zechce zrobić wrażenie na królach zachodu, pokazując potęgę Troi. Czy jest na to lepszy sposób, jak kazać Hektorowi upokorzyć ich mistrzów? A jednak... Gdyby Hektor nie zwyciężył? Gdyby mistrzem igrzysk został zawodnik z zachodu? Spojrzał na Achillesa. Ten niewątpliwie był silnym mężczyzną, o szerokich barach i dobrze wyrobionych mięśniach. Dowiódł swej wartości w bitwie i w pojedynkach, wielkimi pięściami rozbijając przeciwników w proch. Czy Hektor mógł pokonać Achillesa? Czy Priam zaryzykuje taki pojedynek? Czy ja bym zaryzykował? – zastanawiał się.

Jednak ja nie jestem Priamem, myślał. Król Troi lubi ryzyko, więc być może próżność każe mu wystawić Hektora w igrzyskach. Zauważył, że Achilles wciąż cierpliwie czeka na odpowiedź.

– Nie – powiedział. – Nie sędzę, żeby Hektor wziął w nich udział. Może jednak uda się nam do tego doprowadzić. Zobaczymy.

– Modlę się, żeby wystąpił – powiedział Achilles. – Męczą mnie opowieści o Hektorze Zabójcy i Hektorze Bohaterze. Z kim on walczył? Z jakim przeciwnikiem? Z kilkoma chudymi Egipcjanami i garstką hetyckich buntowników. Z trackimi renegatami, kiepsko uzbrojonymi i źle dowodzonymi. Jego legenda jest zbudowana na słomie. Zniszczę ją.

– Ha! – rzucił z szerokim uśmiechem Peleus. – Tak rzecz księżę Tesalii! Na bogów, Agamemnonie, mój syn upokorzy tego dumnego Trojańczyka.

Mówiąc to, klepnął Agamemnona w ramię.

– Wcale w to nie wątpię – odparł mykeński władca, skrywając irytację.

Pewnego dnia, pomyślał, z ogromną przyjemnością wykłuję ci oczy rozżarzoną żelazem.

Darzył Peleusa głęboką pogardą, chociaż nigdy jej nie okazywał. Peleus odgrywał ważną rolę w jego planach i tylko to się liczyło. Atak na Troję, kiedy nastąpi, będzie wymagał ogromnej liczby wojowników, Peleus zaś miał pod swoją komendą osiem tysięcy zbrojnych, a jego syn wart był stu. Z tego powodu Agamemnon skrywał swoją nienawiść za

przyjacielskimi uśmiechami i obietnicami sojuszu. Mógł ignorować potworne wybryki tego człowieka, gwałcenie dzieci i bezmyślne zabijanie pałacowych niewolnic, torturowanych i duszonych. Peleus był sadystą zabijającym dla przyjemności. Agamemnon zaczeka. Gdy Troja będzie jego, Peleus umrze jako pierwszy. Pierwszy z wielu. Przez moment dała o sobie znać zapiekła nienawiść, jaką darzył innych władców zachodu: przemądrzałego Nestora, chełpliwego Idomeneosa i tego brzydkiego gawędziarza Odyseusza. I innych. Przełknął ślinę, oblizując wargi suchym językiem.

Pozbędę się wszystkich nieprzyjaciół, powiedział sobie, ale w swoim czasie. Teraz nie czas myśleć o niegodziwym Peleusie czy innych królach z zachodu. Dziś jest czas Priama.

Jeszcze raz spojrzął na Złote Miasto. Wyjechał z niego złoty rydwan, zaprzężony w dwa białe rumaki. Jechał na nim barczysty mężczyzna w jasnoniebieskiej tunice i białym płaszczu haftowanym srebrną nicią. Jego długie złote włosy i krótko przystrzyżona broda były przetykane siwizną. Priam się starzał, ale wciąż emanował siłą. Tłum się rozstąpił i rozległy się wiwaty, gdy król jechał w rydwanie na brzeg. Agamemnon poczuł przyływ gwałtownych emocji – nienawiści zmieszanej z podziwem. Gdy Priam jechał przez tłum, nawet przybysze z daleka musieli wiedzieć, że znaleźli się w obecności władcy.

Agamemnon doskonale zdawał sobie sprawę, że on sam nie wygląda okazałe ze swoimi przygarbionymi ramionami, chudym ciałem i niezgrabnym chodem. Jednak pomimo tych wad stał się najsłynniejszym wojownikiem zachodniego świata. I dobrze wiedział dlaczego. Fizyczne wady w pełni rekompensowała jego bezwzględność. Ginęli jego wrogowie. Ginęły ich rodziny.

Ginęli ich ojcowie, matki, wujowie i przyjaciele. Agamemnon budził strach. Ten spowijał jego przeciwników niczym morską mgłą. I potrafił zaplanować kampanię lub bitwę, po czym bezlitośnie i błyskotliwie nią pokierować aż do zwycięstwa.

Ponownie spojrzął na potężne mury Troi. Oto łup wart zdobycia, pomyślał.

Nagle przyszła mu do głowy okropna myśl, powodując mimowolny dreszcz. Troja nie była już tylko łupem, miastem do splądrowania. Zdobywca Troi zyska nieśmiertelną sławę i okazję stworzenia imperium. Klęska będzie oznaczała bezimienny grób i zagładę narodu. Odpychając od siebie ponure myśli, odwrócił się do towarzyszy.

– Teraz zejdziemy na brzeg – powiedział, gdy trojański rydwan zajechał przed statek.
– Lis przybył nas powitać. Podbudujemy jego ego i będziemy się śmiać z jego żartów. A uśmiechając się, będziemy myśleć o dniu, kiedy to będzie przed nami klęczał, kiedy jego miasto stanie w płomieniach, synowie będą martwi, a jego życie skończone.

XV. ORLE DZIECIĘ

Antifones stał na brzegu, obok niego jego brat Polites i kilku towarzyszących im dworzan.

Przyszedł tu powitać mykeńskiego władcę, ale szybko się zorientował, że Agamemnon nie opuści statku, dopóki Priam nie zaszczyci go swym przybyciem.

Dzień był upalny i Antifones zaczął się pocić. Bolały go stawy kolanowe, na których spoczywał ogromny ciężar jego ciała. Obok niego chudy Polites ocierał łysinę kawałkiem haftowanego lnianego płótna. Nikt się nie odzywał i Antifones marzył, żeby znaleźć się gdzie indziej.

Spojrzał na dziób czarnej galery, na którym widział zgarbionego mężczyznę z czarną brodą.

I to był ten straszliwy Agamemnon, zdobywca miast? Antifones westchnął. Chociaż szybko zrzucał nadwagę, wciąż uważał się za groteskowego: miękkie, pulchne stworzenie, na które ludzie spoglądają z niesmakiem lub litością.

To, że stał się bohaterem podczas ataku na miasto ostatniej jesieni, niewiele dla niego znaczyło, bo gdy wspomniano o tym, jak zabił napastników i ostrzegł swoich przed atakiem na pałac Priama, mówiono o grubym bohaterze.

A nawet i to nie jest prawdą, pomyślał ponuro.

Pamiętał ten dzień, kiedy ojciec przyszedł do niego, gdy wracał do zdrowia po otrzymanych ranach – pchnięciach, które zabiłyby chudsze człowieka. Masa tłuszczu uchroniła jego ciało przed ostrzami mieczy.

Priam wszedł do komnaty i stanął przy łożu, spoglądając na syna, a w jego spojrzeniu widać było jednocześnie pogardę i troskę.

– No cóż, chłopcze, powiedziano mi, że postąpiłeś odważnie. Muszę rzec, że jestem zdziwiony.

– A dlaczegóż to, ojcze? Czyż nie jestem synem Priama i bratem Hektora?

Priam wzruszył ramionami.

– Nie spierajmy się, Antifonesie. Po prostu powiedzmy, że źle cię osądziłem. Helikaon mówi, że gdybyś nas nie ostrzegł, nie zdążylibyśmy zamknąć wrót na czas. I Trakowie wpadliby na nas, zanim zdołalibyśmy zorganizować obronę.

– To wszystko, co ci powiedział?

– A jest coś jeszcze?

– Zawsze jest coś jeszcze, ojciec. – Poczłł gniew, od ktłłrego zabolłły go rany. – Chciałbyś o tym usłyszecłł?

– No cłłż, jestem tu, więc rłłwnie dobrze mogę posłuchać – odparł krłłł, siadajłłc na łłżu. – Masz dla mnie jakiesłł niespodzianki?

– Spiskowałem z Agatonem, chcłłc cię zabić. Odwrłłciłem się od niego w ostatniej chwili, poniewiaż zamierzał zamordować wszystkich naszych braci i ich rodziny.

Antifones spodziewał się, że Priam wybuchnie gniewem i wezwie żołnierzy, ktłłrzy wywlokłł go z łłżka i zabijłł. Zamiast tego Priam tylko wzruszył ramionami.

– Wiem o tym – powiedział. – Inaczej nie dowiedziałłbyś się, co zamierza. Rozumiem, że okazałłes się na tyle głłpi, żeby się mu sprzeciwić, i dlatego nasłłł na ciebie zabłłłców?

– Tak. Głłpi Antifones. Myślałem, że przemłłwię mu do rozumu. Zabij tylko starego, Agatonie. Nie trzeba mordować niewinnych ludzi. Tylko jednego okropnego starca.

Słyszłłc to, Priam się roześmiałł i nagle w jego zachowaniu zaszłłł zmiana.

– Agaton byłby okropnym krłłłem, Antifonesie. Ty byłbyś lepszy. Masz głłboki umysł, znasz się na handlu i umiesz robić korzystne interesy.

– Naprawdę? I dlatego zrobiłłes kanclerzem Politesa? Człłowieka, ktłłry musi zdjłłć sandały, żeby policzyć do dwudziestu? To dlatego mianowałłes mnie wodzem konnicy, grubasa, ktłłry nie może jeździć konno? Jesteś potworem i nienawidzę cię.

– Nienawiść to nic złłgo, chłłopcze – rzekł obojętnie Priam.

– I co teraz, ojciec? Banicja? Śmierć?

– Myślałem o karze śmierzci, gdybyś nie przyznał się do udziału w spisku. A tak jako ojciec jestem z ciebie dumny. Do czego, jak mozesłł sobie wyobrazić, rzadko miewałem powody. Oddaję pod twoją komendę regiment Ilos.

– Dlaczego?

Priam wstał i spojrzłł na niego z głłry.

– Jestem krłłłem, chłłopcze. Krłłłowie nigdy nie muszłł niczego wyjaśnialłł. Chcesz mieć ten regiment?

– Tak.

– To dobrze. No cłłż, odpoczywaj i wracaj do siłł. Porozmawiamy jeszcze, kiedy opuścisz dom uzdrowicieli. – Podeszedł do drzwi i od wrłłcił się. – Rozumiem, że nie będziesz juź więcej spiskowałł?

Odszedł, nie czekajłłc na odpowiedź.

Wrłłciwszy do swojego domu kilka tygodni płłźniej, Antifones zobaczyłł, że słuźba

przygotowała dla niego ucztę, zastawiając stoły jego ulubionymi ciastami i słodyczami. Patrzył na nie bez apetytu, co go zaskoczyło. Była tam mała Kasandra. Dwunastolatka spojrzała na niego poważnymi oczami.

– Mówiłam im, Antifonesie, ale mi nie wierzyli.

– Co im mówiłaś, słodziutka?

– Że już nie będziesz miał na nie ochoty.

– A skąd o tym wiedziałaś?

– Powiedział mi Ksidoros. Rzekł, że przez całe lata jadłeś, żeby zagłuszyć ból, więc nigdy nie mogłeś się najść. Teraz ból ustał i już nie jesteś głodny.

Antifones pocałował ją w czoło i nie pytał o nic więcej. Ksidoros był jej pierwszym nauczycielem i umarł przed czterema laty.

Jednak jego duch miał rację. Antifonesowi przeszła ochota na słodycze. Ale przewyciężenie skutków wieloletniego obżarstwa wymagało więcej niż kilku miesięcy. Teraz stał na brzegu z bolącymi kolanami i twarzą spływającą potem, marząc o tym, żeby usiąść.

Wtem – bogom niech będą dzięki – na nabrzeżu pojawił się rydwan ojca.

Teraz na statku zaczęła się krzątanina i po chwili kilku żeglarzy znalazło się na lądzie.

Pierwszy zszedł mężczyzna z czarną krótką brodą, drugi – czerwony na twarzy i gładko wygolony mąż w średnim wieku. Trzecim był istny bóg!

Antifones patrzył na młodego wojownika w białej, haftowanej złotem tunice. Jego ciało było lekko opalone, mięśnie gładkie i dobrze ukształtowane. Miał najpiękniejszą twarz, jaką Antifones widział w swoim życiu, czarne oczy i wydatne kości policzkowe, pełne wargi i wyraźnie zarysowaną szczękę. Antifones nie mógł oderwać od niego oczu. Zaszło mu w ustach i zapomniał o bólu kolan. Inni żeglarze, oficerowie Agamemnona, schodzili ze statku, aby dołączyć do swego pana. Antifones oderwał wzrok od młodego wojownika i próbował skupić uwagę na spotkaniu.

– W końcu wracasz do Troi – rzekł Priam, podchodząc i obejmując potężnym ramieniem Agamemnona. – Kiedy widziałem cię tutaj ostatnio, byłeś nie większy niż królik i trzymałeś się ojcowskiego płaszcza. Witaj ponownie, Agamemnonie. Niechaj twoja wizyta będzie szczęśliwa i obfituje w towarzystwo przyjaciół.

– Zawsze dobrze być wśród przyjaciół – rzekł Agamemnon. – Dobrze być tutaj i móc osobiście wyrazić smutek z powodu mykeńskich renegatów, którzy przyłączyli się do buntu twojego syna. Powinieneś wiedzieć, że skazałem ich na śmierć po powrocie. Rozumiem, że właśnie dlatego ich wypuściłeś, żebym sam mógł wymierzyć im sprawiedliwość?

– Zrobiłem to, ponieważ nie warto było ich zabijać – powiedział z szerokim uśmiechem Priam. – Walczyli jak dzieci. Chyba najgorsi wojownicy, jakich widziałem. Na Atenę, wstydzilibym się, gdyby byli w mojej armii. Nic dziwnego, że stali się renegatami. Żaden król godny tego miana nie wzięby takich ludzi pod swoją komendę. Jednak dość tej pogawędki w słońcu.

Przysłuchując się tej wymianie zdań, Antifones skrył uśmiech. Mykeńscy najeźdźcy byli elitą sił Agamemnona i walczyli jak lwy.

– Pozwól, że przedstawię ci moich synów, Antifonesa i Politesa – rzekł Priam.

Wszystko przebiegało gładko, dopóki Antifones nie stanął przed boskim Achillesem.

– Słyszałem wspaniałe opowieści o twojej odwadze – rzekł. – To wielki zaszczyt gościć cię w naszym mieście.

Achilles uśmiechnął się do niego, zdając się doceniać to miłe powitanie.

– Ja również słyszałem o cudach Troi – odparł. – Gdzie jest wasz wielki bohater, Hektor?

– Na morzu, tropi piratów. Powinien być tu za kilka dni. Przynajmniej taką mam nadzieję, inaczej ominie go własne wesele.

– Weźmie udział w igrzyskach?

– Nie sędzę.

– Ach, jaka szkoda – powiedział Achilles. – Moje zwycięstwo nie będzie tak słodkie.

– Mimo to miło będzie na nie patrzeć – rzekł Antifones. – Będę czekał niecierpliwie.

Achilles wyglądał na zdziwionego i nachylił się bliżej.

– Taki jesteś pewien mojego zwycięstwa?

– Nie wierzę, by jakkolwiek człowiek mógł cię pokonać – odparł Antifones.

– Nawet Hektor?

– Tego nie wiem – odpowiedział szczerze Antifones. – Hektor nie jest człowiekiem. To młody bóg, tak jak ty. Zwykli śmiertelnicy nie mogą wydawać sądów o takich sprawach.

Achilles się roześmiał.

– Lubię cię, Antifonesie. Przyjdź kiedyś i zjedz z nami obiad.

Potem odszedł.

Priam wziął Agamemnona do swego rydwanu, a pozostali oficerowie i dygnitarze poszli w górę zbocza ku wielkiej bramie.

Oszołomiony Antifones przez chwilę pozostał tam, gdzie stał.

– Oni się nienawidzą! – zawołała Kasandra, pokazując z wysokiego muru rydwan wiozący jej ojca i króla Myken. – Spójrz na tę czerwoną mgłę, która ich otacza i ciągnie się za

nimi niczym wielki płaszcz.

Andromacha uśmiechnęła się do tej dziwnej dziewczynki i pogłaskała ją po ciemnych włosach. Kasandra spojrzała na nią i też się uśmiechnęła. W tym momencie Andromacha zobaczyła, że Kasandra przestaje już być dzieckiem. Miała prawie trzynaście lat, przez cienką tunikę widać było pęczniejące piersi, a biodra nie były już tak wąskie.

– Nie widzę tam żadnej mgły – powiedziała Andromacha.

– Oczywiście, że nie widzisz. Głupia jestem.

Wychyliła się za mur, usiłując zobaczyć przejeżdżający przez bramę rydwan.

– Uważaj – zawołała Andromacha, wyciągając rękę i łapiąc dziewczynkę za ramię.

– Nie spadnę – powiedziała Kasandra, a potem przebiegła na drugą stronę muru, żeby obserwować rydwan jadący w kierunku górnego miasta. – Helikaon jest nieszczęśliwy – stwierdziła nagle.

– Był chory. Teraz wraca do zdrowia.

– Helena mówiła, że pytał o ciebie, ale ty nie chcesz do niego iść.

– Helena za dużo mówi – warknęła Andromacha.

Słońce mocno świeciło i nagle poczuła mdłości. Już po raz trzeci tego dnia.

– Och, patrz, tam na brzegu znów się biją – zawołała Kasandra. – Ludzie tłuką się pięściami i kijami. – Roześmiała się. – I już nadchodzą żołnierze i ich rozdzielają. Ale zabawa!

Andromacha poszła w cień wysokiej wieży bramnej i usiadła, oddychając ciężko i powoli.

Kasandra podeszła i przysiadła obok niej.

– Jesteś bardzo blada – zauważyła.

– Wczoraj jadłam wędzoną rybę. Pewnie mi zaszkodziła.

Kasandra przysunęła się do Andromachy i oparła głowę na jej ramieniu.

– Twoi ochroniarze są bardzo urodziwi – szepnęła. – Podoba mi się Cheon.

Mdłości przeszły. Andromacha westchnęła i spojrzała na wysokiego młodego żołnierza stojącego około dziesięciu kroków dalej ze swoim towarzyszem Teachosem. Tak jak przewidział Antifones, Priam nakazał, by podczas igrzysk i uroczystości ślubnych wszystkim członkom królewskiej rodziny towarzyszyli gwardziści. Cheon i Teachos byli dość przyjemnymi kompanami, chociaż Andromacha wołałaby bardziej towarzyskiego Polydorusa. Rozmowa z nim była zawsze żywa i zajmująca. Jednak przydzielono go Helenie.

– Lubisz Cheona, ponieważ do ciebie mruga – powiedziała do Kasandry.

Dziewczynka zachichotała.

– Ma piękne przedramiona – powiedziała. – Lubię patrzeć, jak poruszają się jego bicepsy.

– Mówisz jak zakochana dziewczyna – zauważyła Andromacha.

– Och nie, nie kocham go – odparła bardzo poważnie Kasandra. – Poza tym nie miałoby to sensu. Cheon umrze dużo wcześniej niż ja, a ja nie będę żyła długo.

– Nie powinnaś mówić takich rzeczy – przestrzegła ją Andromacha.

– Dlaczego wszyscy są tak wzburzeni, kiedy słyszą o śmierci? – zapytała Kasandra, siadając prosto i spoglądając jej w oczy. – Każdy umiera.

– Nie każdy umiera młodo, Kasandro.

– Laodike umarła.

– Laodike zabili źli ludzie. Nie chcę o tym mówić.

– Wiesz, że to nie twoja wina. Umierała od chwili, gdy została pchnięta włócznią. Andromacha wstała.

– Tu jest za gorąco. Wracajmy do pałacu. Możemy posiedzieć w ogrodzie.

– Pokażesz mi, jak się strzela z twojego łuku?

– Tak.

Mała uśmiechnęła się, uszczęśliwiona, ale zaraz spoważniała i przechyliła głowę, jakby nasłuchiwała. Potem kiwnęła głową i westchnęła.

– Nie będziesz mogła – powiedziała. – Kiedy wrócimy do pałacu, posłaniec powie ci, że ojciec chce cię zobaczyć.

– Czyich słów słuchasz?

– Ksidorosa.

– Czy Ksidoros nie ma nic lepszego do roboty, tylko nawiedzać małe dziewczynki?

– Pewnie bardzo by się nudził – odparła Kasandra – gdyby rozmawiał tylko ze mną. Ma jednak mnóstwo innych duchów, z którymi może gawędzić.

Andromacha nie zadawała więcej pytań. Rozmowy z Kasandrą zawsze były trudne.

Dziewczynka we wczesnym dzieciństwie została dotknięta zapaleniem mózgu i od tej pory słyszała głosy. Czasem wydawała się prawie normalna, tak jak wtedy, kiedy mówiła o Cheonie.

Jednak przeważnie jej procesy myślowe pozostawały niezgłębioną tajemnicą.

Razem zeszły po schodach wieży strażniczej, wychodząc w cieniu bramy Skajskiej.

Przechodziły przez nią tłumy i Andromacha zaczęła, aż Cheon i Teachos wysuną się naprzód, torując im drogę. Potem powoli poszły przez górne miasto do pałacu Hektora.

Andromacha zostawiła strażników przy głównym wejściu i zabrała Kasandrę do

ogrodu.

Przyniosła łuk i strzały, po czym zawołała dziewczynkę.

– Widzisz, nie ma posłańca od Priama, więc nauczę cię strzelać. – Nałożyła strzałę na cięciwę, po czym wręczyła małej łuk. – Pociągnij cięciwę najdalej jak potrafisz, a potem wyceluj w tamtego słomiane go jelenia.

Kassandra pociągnęła cięciwę, która pękła i strzała upadła na ziemię. W tym momencie pojawił się sługa.

– Pani Andromacho, przybył posłaniec z wieścią, że król chce cię widzieć.

Andromacha podziękowała mu, po czym wzięła łuk od Kasandry.

– Bardzo dobrze, miałas rację, mała wieszczko. Może zechciałabyś mi powiedzieć, po co król mnie wzywa.

– Chce cię zaciągnąć do łóżka – powiedziała dziewczynka. – Zamierza cię uwieść.

– To nie przepowiednia – odparła Andromacha. – Sądzę, że każdy w pałacu domyśla się jego zamiarów. Nie jest zbyt dyskretny w swoich komplementach. Powiedz mi coś, o czym nikt nie wie.

– To głupia zabawa – uznała Kassandra. – Jeśli nikt nie wie, to ty też nie wiesz. Tak więc kiedy ci powiem, nie da się tego udowodnić. Tak jakbym ci powiedziała, że na dachu pałacu zdechł wróbel i został zjedzony przez wronę. Poza tym, dlaczego chcesz mnie sprawdzać?

Andromacha usiadła na kamiennej ławce.

– Chyba chciałabym wiedzieć, czy te głosy są prawdziwe czy nie.

Kassandra pokręciła głową.

– Nie, chciałabyś dowieść, że są wymyślone. Każdy chce, żeby tak było. Powiedziałam ojcu, że Hektor nie zginął. Rozgniewał się i nakrzyczał na mnie. Jednak Hektor nie zginął. Ojciec myśli, że to zbieg okoliczności. Powiedziałam ci, że będziesz potrzebować swojego łuku, tamtej nocy, kiedy zaatakowali Trakowie. Nikt nigdy nie wierzy w mój dar, Andromacho. Nieważne, co mówię.

Andromacha przytuliła dziewczynkę i pocałowała w policzek.

– To smutne, ale sądzę, że masz rację, Kasandro. Wszyscy obawiamy się przepowiedni. Tak więc od tej chwili nie będę kwestionować twoich mocy ani próbować cię sprawdzać. I nauczę cię strzelać z łuku. Zrobię to, prawda?

– Tak – odparła Kassandra z nieśmiałym uśmiechem.

– A teraz muszę pójść i oprzeć się urokowi twojego ojca. Ty zostań tu i poflirtuj z Teachosem. Wrócę przed zachodem słońca.

– Weź ze sobą trochę wody – powiedziała Kasandra. – Po drodze znów dostaniesz mdłości.

– W przyszłości będę unikała solonych ryb – powiedziała Andromacha.

– To nie przez rybę – odparła mała.

Andromacha przeszła przez plac przed wielką świątynią Ateny z jej miedzianymi i bursztynowymi drzwiami, po czym na moment przystanęła przy postumencie ogromnego posągu bogini. Kunsztownie wyrzeźbiony, ukazywał Atenę w bojowym hełmie, trzymającą w jednej ręce włócznię, a w drugiej Tarczę Gromu. Andromacha popatrzyła na kamienną tarczę.

Była idealnie okrągła, z wrytą na środku błyskawicą.

– Zawsze tu przystajesz – rzekł Cheon. – Potem wyciągasz rękę i dotykasz tarczy. Dlaczego to robisz?

– A dlaczego ty zawsze pociągasz się za ucho, zanim zadasz pytanie? – odparowała.

Odpowiedział z chłopięcym uśmiechem:

– Nie zdawałem sobie z tego sprawy. Czy bogini Atena jest patronką twojego rodzinnego miasta?

– Nie, opiekuje się nim Hermes. Mój ojciec lubi bogactwo, a Hermes jest bogiem podróży i kupców. Jednak moja matka oddawała cześć bogini. Znała tajemnice jej kultu. W noc moich narodzin omal nie umarła, ale kapłanka Ateny uratowała ją i mnie.

Andromacha poszła dalej, myśląc o tym odległym dniu, gdy siedziała na kolanach matki i słuchała opowieści o tamtej okropnej nocy. „Zostałaś pobłogosławiona przez boginię, moja droga. Odleciała z pałacu w postaci orła” – powiedziała jej Olektra.

– Skąd o tym wiemy?

– Widziało ją wielu ludzi.

– Widzieli orła. Skąd wiedzieli, że to bogini, mamó?

Olektra przez chwilę miała niepewną minę. Potem się uśmiechnęła.

– Zrozumiesz, kiedy będziesz starsza i mądrzejsza.

– Ale ty to rozumiesz, mamó?

Olektra przytuliła ją i szepnęła do ucha:

– Może zrozumiesz, kiedy będę starsza i mądrzejsza.

Andromacha uśmiechnęła się na to wspomnienie.

Stąd, z górnego miasta, widziała rozpościerającą się przed nią całą Troję, błyszczące dachy zdobionych rzeźbami pałaców, wysokie złote mury i wieże oraz Wielką Wieżę Ilionu górującą nad wszystkim. Dalej leżało dolne miasto, a za nim zatoka pełna statków. Na południowym zachodzie widziała letni pałac Hekabe, błyszczący w promieniach słońca. W

oddali majaczyły ledwie widoczne czarne plamki galer na Wielkiej Zieleni.

Spojrzała na Cheona. Chociaż plac wokół nich był prawie pusty, żołnierz trzymał dłoń na rękojeści miecza i czujnie wypatrywał niebezpieczeństwa.

Znów dostała mdłości i przez moment stała spokojnie, aż minęły. Potem żwawo ruszyła do pałacu Priama.

Przy wejściu panował rozgardiasz i pod wspartym na czerwonych kolumnach portykiem roiło się od ludzi. Strażnicy – Królewskie Orły w zbrojach z brązu i srebra – przepytawali wszystkich i przepuszczali pojedynczo. Andromacha prześlizgnęła się przez ich szereg.

Uśmiechem podziękowała gwardziście, który ją rozpoznał i odsunął się na bok, wpuszczając ją do środka. Nigdy nie widziała, żeby megaron był tak zatłoczony. Kupcy i petenci czekali w małych grupkach, pilnowani przez żołnierzy, niewolnicy biegali z poleceniami, a skrybowie wędrowali tam i z powrotem ze swymi wiklinowymi koszykami pełnymi glinianych tabliczek.

Byli tu dworzanie, doradcy królewscy, dziwnie odziani cudzoziemscy goście – i mnóstwo żołnierzy.

– Mam z tobą zostać, pani? – zapytał Cheon, marszcząc brwi na widok tłumu.

– Nie. Nic mi się nie stanie. Idź coś zjeść. Zostanę tu jakiś czas.

Skłonił się i poszedł z powrotem do wyjścia z megaronu. Wiedziała, że będzie tam na nią czekał, kiedy będzie wychodziła, nieważne, kiedy to nastąpi.

Andromacha rozejrzała się, szukając kogoś znajomego. Zobaczyła królewskiego kanclerza, Politesa, schodzącego po kamiennych schodach wiodących do apartamentów królowej i próbowała przedrzeć się do niego przez tłum, lecz jakiś krępy kupiec nadepnął jej na stopę i o mało nie straciła równowagi. Gniewnie zmarszczyła brwi, spoglądając na niezdare, lecz ten, nie rozpoznawszy jej, nie raczył nawet jej zauważyć.

Nagle usłyszała znajomy głos.

– Siostrze, pozwól, że cię stąd wyprowadzę.

– Dios! Cóż to za niedźwiedzi barłóg!

Przyrodni brat Hektora uśmiechnął się do niej ze szczerą sympatią. Przypomniało jej się ich pierwsze spotkanie, kiedy naskoczył na nią na królewskiej plaży, oskarżając o nieobyczajność.

Kazał się tytułować „księciem Deifobosem”, pusząc się przed świtą dworaków. Potem przyszedł dzień oblężenia. Dios zmienił się wtedy, tak jak wielu innych. Strzegąc schodów i broniąc króla z narażeniem własnego życia, urósł w oczach wszystkich. Teraz nie był już taki

arogancki, a jego dawna nieodłączna świta lizusów i pieczeniarzy zniknęła. W ciągu tej długiej zimy stał się dobrym przyjacielem Andromachy.

– Wyjdźmy do ogrodów – zaproponował, biorąc ją pod rękę. – Tam nie jest tak źle. Gdzie twój gwardzista?

– Odprawiłam go. Pomyślałam, że nie będzie potrzebny, skoro jest tu tylu żołnierzy. Pokręcił głową i roześmiał się.

– Andromacho, dlaczego ty zawsze szukasz kłopotów? Wokół jest tłum ludzi, więc odprawiłaś strażnika. To prawda, że gdyby ktoś cię zaatakował, stu Orłów rzuciłoby się na napastnika i go zabiło, ale dla ciebie byłoby za późno. Było prawie za późno dla Helikaona, pamiętasz? – Spowaźniał. – Jak on się ma?

– Lepiej, znacznie lepiej. Wrócił do Domu Kamiennych Koni i wkrótce pojedzie do Dardanii.

– Miło mi to słyszeć. A czemu ty tu jesteś?

– Priam chce mnie widzieć.

– Naprawdę? – Dios spochmurniał i wyczuła jego niepokój. Czy wszyscy wiedzą, jakie Priam ma zamiary wobec mnie? – zastanawiała się. Dios rzekł: – Przez większość dnia zabawiał Agamemnona. Możesz długo czekać.

– To przywilej króla kazać poddanym czekać – powiedziała, lecz w głębi duszy była zła na Priama za jego gierki.

Żołądek znów podszedł jej do gardła, ale zwalczyła mdłości.

Oślonięte wysokimi murami przed wiecznie wiejącym trojańskim wiatrem, królewskie ogrody pachniały wonnym kwieciami i słonym morskim powietrzem. Na drugim ich końcu Andromacha dostrzegła Kreuzę, ulubioną córkę Priama. Ciemnowłosa piękność zobaczyła Diosa i uśmiechnęła się, ruszając w jego stronę, lecz zaraz dojrzała też Andromachę i marszcząc brwi, obróciła się na pięcie. Andromacha nie po raz pierwszy zastanawiała się nad Kreuzą. Gdzie była w noc oblężenia? Mówiono, że w domu przyjaciółki, który opuściła późno i została ostrzeżona, zanim doszła do pałacu. Priam nazywał to łaską bogów. Andromacha uważała, że to bardzo podejrzane.

– Niechętnie zostawiam cię tutaj, Andromacho – powiedział Dios – ale Polites i ja musimy pójść do króla. Może przysłać ci tu coś do jedzenia lub picia?

Podziękowała i patrzyła, jak wraca do megaronu.

Popołudnie powoli przeszło w wieczór i w ogrodach zapalono pochodnie. Tłumy w końcu się rozeszły. Zrobiło się chłodno i Andromacha owinęła się zielonym szalem. Księżyc wzeszedł nad dachem pałacu, a ona wciąż czekała, kipiąc ze złości. Zastanawiała się nad

powrotem do pałacu Hektora, lecz Priam zerwałby ją z łóżka w środku nocy. Tak więc czekała, walcząc z gniewem w sercu i mdłościami w brzuchu.

W końcu w blasku pochodni zobaczyła idącego ku niej wysokiego żołnierza.

– Król zobaczy się teraz z tobą, pani – oznajmił. – Jest w apartamentach królowej.

Unikał jej wzroku. Powszechnie wiadano, że Priam wykorzystywał te apartamenty do schadzek z kobietami, zarówno niewolnicami, jak i szlachetnie urodzonymi.

Poszła za żołnierzem z powrotem do megaronu i ruszyła po wielkich kamiennych schodach.

Nie była w apartamentach królowej od tamtej nocy, kiedy Mykeńczycy obiegli pałac. Znów usłyszała odgłosy walki: szczęk broni, pomruki walczących i krzyki rannych. Przeszła przez komnatę, w której umarła Laodike. Teraz była pusta, zimna i cicha. Na posadzce leżał jeden wyblakły kilim, a w powietrzu unosiły się drobiny kurzu, wirując w świetle pochodni.

Gwardzista zaprowadził ją do dużego pokoju obwieszzonego grubymi gobelinami. Stało tam szerokie łóżce, kilka miękkich sof i stół zastawiony słodyczami. Było ciepło i duszno. Słudzy wynosili jedzenie i przynosili kolejne dzbany wina. Priam usiadł na jednej z sof. Pomyślała, że wygląda na zmęczonego i o wiele starszego, niż kiedy spotkali się po raz pierwszy.

– Andromacho, przepraszam, że kazałem ci czekać.

Wskazał jej sofę i dziewczyna usiadła, rozglądając się.

– Podejmowałeś tu Agamemnona?

– Męskie rozmowy – odparł, wzruszając ramionami. – Żłopaliśmy wino i śmialiśmy się. Jeśli podejmuję przyjezdnych dygnitarzy w megaronie, natychmiast czują się jak ubodzy krewni.

– A co złego w tym, że Agamemnon poczułby się jak ubogi krewny? Słyszałam, że to wąż.

– Och tak, to prawdziwy wąż. Jednak niebezpieczny. – Priam uśmiechnął się ze znużeniem. – Dlatego zabawiam go żartami i słodką muzyką. Dopóki nie będę gotowy odrąbać mu łba. Chcesz trochę wina?

– Wystarczyłaby woda.

Wstał i sam napełnił jej puchar wodą. Zauważyła, że wszyscy słudzy opuścili komnatę i zostawili ich samych.

– Wczoraj odwiedziłaś Hekabe – powiedział król. – Jak ona się miewa?

Andromacha pomyślała o strasznym widoku, jaki przedstawiała sobą umierająca królowa: żółta skóra napięta jak cienki papirus na kruchych kościach, głos jak szelest

zeschniętych liści nad skutym lodem stawem, rozgorączkowane czarne oczy, przesywające jak włócznie.

– Postanowiła zobaczyć zaślubiny swego ulubionego syna – odpowiedziała. – Nie mam powodu sądzić, że jej się to nie uda.

– Czy cierpi?

Andromacha obrzuciła go pytającym spojrzeniem.

– Czyżbyś nikogo jeszcze o to nie pytał?

– Nie mogę gawędzić o stanie zdrowia królowej z każdym, kto pojawia się w pałacu. Dlatego pytam ciebie. – Na twarzy Priama malował się smutek. – Musisz zrozumieć, Andromacho, że szanowałem tę kobietę bardziej niż inne.

Zatem powinienes okazać jej ten szacunek, pomyślała Andromacha, odwiedzić ją teraz, kiedy umiera. Przygryzła wargę i milczała.

Priam pociągnął łyk wina i nachylił się do niej, zaglądając jej w oczy.

– Jak myślisz, dlaczego cię tu dziś wezwałem? – zapytał, zmieniając temat.

– Żeby zapytać o umierającą żonę?

Priam poczerwieniał.

– Twoje myśli są jak lód, a słowa jak włócznie. Dlatego tak cię cenię. To jeden z powodów – dodał z uśmiechem. Powiódł wzrokiem po jej długich nogach i wąskich biodrach.

– Jesteś piękną kobietą, Andromacho. Większość mężczyzn ceni złotowłose dojarki o głupawych uśmiechach i szerokich biodrach. Ty masz surową urodę Ateny. Ona rozpala mi krew. Wiesz o tym.

Andromacha była zbyt zmęczona, żeby grać w jego gierki.

– Nie będę twoją kochanką, Priamie – powiedziała, wstając i mając nadzieję, że pozwoli jej odejść.

– Myślę, że będziesz.

– Nigdy. Mam poślubić twojego syna Hektora. Rozumiem, czym jest obowiązek. Będę obowiązkową żoną.

Król usiadł wygodnie, uśmiechnięty i znów rozluźniony.

– Siadaj, dziewczyno. Nie tknę cię, jeśli mnie o to nie poprosisz.

– To nigdy nie nastąpi!

– Zatem pozwolę sobie opowiedzieć ci pewną historię. Może ci się spodoba, ponieważ jest o tobie. Wiele lat temu – na długo przed twoimi narodzinami – odwiedziłem Terę z moją młodą i śliczną królową. Płynęliśmy na Krete, aby zobaczyć jej ówczesnego króla, Deukaliona, ojca tego chełpliwego Idomeneosa. Na morzu rozszalała się straszliwa burza.

Obawialiśmy się, że statek zatonie. Hekabe była ciężarna i chora. Nie pamiętam, które dziecko wtedy nosiła.

Przeżyliśmy sztorm, ale musieliśmy spędzić noc na Terze. Złożyliśmy uszanowanie arcykapłance, kobiecie o twarzy jak topór. Kiedy mieliśmy za sobą wszystkie męczące formalności, królowa kazała się zakwaterować z pewną młodą wieszczką, którą znała z czasów, gdy sama była tam kapłanką. We dwie rozmawiały godzinami, do późnej nocy. Potem wieszczka – miała na imię Melite – poszła z Hekabe do wróżebnego płomienia. Kiedy owiały ją opary, Melite upadła na posadzkę i zaczęła krzyczeć. Hekabe nie rozumiała większości tego, co ona mówiła, gdyż wykrzykiwała słowa w jakimś obcym języku. Jednak na moment przed tym, zanim Melite straciła przytomność, jej głos stał się głosem małego dziecka. Wyrecytowała krótki wiersz. Chcesz go usłyszeć?

Andromacha przez chwilę siedziała w milczeniu. Priam obudził jej ciekawość. Ona też znała Melite i aż nazbyt dobrze pamiętała, że staruszka przepowiedziała jej wyjazd z Tery na kilka tygodni przed przybyciem statku z wieścią od Hekabe.

– Tak – powiedziała.

– Myślę, że uznasz go za interesujący – rzekł król. – *Pod Tarczą Gromu już czeka Orle Dziecię, niemy świadek, by krążyć nad grodem człeka, po kres dni, królów upadek.* Hekabe bardzo spodobał się ten wiersz, chociaż nie rozumiała jego znaczenia. Latami pytała o to różnych mistyków i jasnowidzów. Aż późną zimą przed dwoma laty spotkała pewnego hetyckiego proroka. Ten w końcu zinterpretował wiersz w sposób, który spodobał się Hekabe. Tarcza Gromu, powiedział, to nie rzecz, lecz osoba. Kobieta. Orle Dziecię zostanie przez nią zrodzone. Jak wiesz, orzeł to królewski symbol. Zatem ta kobieta urodzi dziecko króla. Będzie ono „krążyć nad grodem człeka po kres dni”, czyli że nigdy nie zostanie pokonane w bitwie, a nasze miasto trwać będzie wiecznie.

– Nawet jeśli ta przepowiednia jest prawdziwa – powiedziała Andromacha – są setki królów i tysiące młodych kobiet, które służą Atenie. Każda z nich kiedyś stała pod jej posągami, tak więc znalazła się pod Tarczą Gromu.

– Istotnie – przyznał Priam. – Tylko ile z nich urodziło się ze znamieniem w kształcie tej tarczy na głowie?

Andromacha westchnęła.

– Mówiono mi o moim znamieniu, ale to tylko znamię, panie, nic więcej. Czerwona plamka z białym paskiem.

Priam pokręcił głową.

– Mój ambasador, Heraklitos, był tam w noc twoich narodzin. Widział tarczę i słyszał

słowa kapłanki. Jednak to nie wszystko. Kiedy Melite bełkotała na Terze, mówiła coś o kobiecie silnej jak mężczyzna. Hekabe przypomniała sobie o tym – chociaż nie dość szybko. Poddani twojego ojca przybyli z morza i przynieśli ze sobą wiele słów w obcym języku. *Andros* – to mężczyzna, a *machos* znaczy siła. Twoje imię składa się z tych dwóch słów. To ty jesteś Tarczą Gromu, Andromacho, i twoje dziecko będzie synem króla. Ono uczyni moje miasto większym, wiecznym, nieśmiertelnym.

– Załóżmy, że to prawda – powiedziała Andromacha, wstając – chociaż ja w to nie wierzę. Dlaczego sądzisz, że to ty będziesz ojcem? Możesz umrzeć, Priamie, a wtedy Hektor będzie królem i to jego syn będzie Orlim Dziecięciem. Nie pomyślałeś o tym?

– Och, niewiele jest związanych z tym spraw, o których bym nie pomyślał, Andromacho. Teraz jednak możesz już odejść. Porozmawiamy znowu po powrocie Hektora.

Odwróciwszy się do niej plecami, napełnił puchar winem i opróżnił go.

– Mogę zadać jedno pytanie, panie?

– Byle krótkie, bo jestem zmęczony.

– Jeśli to ja jestem Tarczą Gromu, to dlaczego posłałeś po moją siostrę Palestę i chciałeś ją wydać za Hektora?

Priam westchnął.

– To głupi błąd Heraklitosa. Powiedział nam, że to Palesta była dzieckiem ze znamieniem w kształcie tarczy. Był już wtedy bardzo chory i nie myślał tak jasno jak dawniej.

– Nie pomylił się, mój panie. Przy narodzinach matka nazwała mnie Palesta, lecz ojciec to zmienił, kiedy wrócił z wojny.

Jednak Priam już jej nie słuchał. Wziąwszy dzban wina i puchar, poszedł przez komnatę do alkowy i zamknął za sobą drzwi.

Andromacha poczuła kolejną falę mdłości, ale zwalczyła ją, przełykając ślinę. Gdy opuszczała apartamenty królowej i schodziła do megaronu, na jej czole błyszczały kropelki potu.

Sługa przyniósł jej trochę wody i usiadła, czekając, aż jej żołądek się uspokoi.

Pomyślała o nieśmiałej i łagodnej Paleście. Jak okropnie musiała się czuć w tym mieście.

Czy Priam próbował ją uwieść? Czy umierająca Hekabe budziła jej podziw i strach? Nagle zadrżała, gdy dotarło do niej pełne znaczenie słów, które wymknęły się Priamowi. Palesta była „głupim błędem”.

Jakże to dogodne, że niewinna Palesta, ufna i słodka, zachorowała i umarła.

Andromacha wstała i wyszła na chłodne nocne powietrze. Cheon czekał na nią. Gdy

podchodził, Andromacha osunęła się na kolana i zwymiotowała na ścieżkę. Żołnierz natychmiast stanął przy niej i ją podtrzymał. Andromacha zwymiotowała jeszcze dwukrotnie, po czym oprzytomniała i skurcze żołądka minęły.

– Potrzebujesz medyka? – zapytał Cheon z troską w głosie.

Andromacha przecząco pokręciła głową.

Szli wolno po pustych ulicach i zanim dotarli do bramy pałacu, Andromacha poczuła się lepiej. Znalazłszy się w środku, kazała służącej przynieść trochę chleba i sera, po czym poszła do swoich pokojów.

Kassandra spała na sofie, ale zbudziła się, gdy Andromacha weszła do komnaty.

– Śniły mi się delfiny – powiedziała dziewczynka, ziewając.

Andromacha usiadła przy niej.

– Mówiłaś wcześniej o moich mdłościach. Powiedziałaś, że to nie przez rybę.

Kassandra nachyliła się do niej.

– To Orle Dziecię – szepnęła. – Syn Helikaona.

XVI. ŚMIERĆ KRÓLA

Przydzielony Agamemnonowi pałac znajdował się przy świątyni Hermesa i leżącej za nią zatoce. Był wspaniale położony, ale Agamemnon natychmiast zauważył, że nie najlepiej wykonany. Kamienne ściany były nieumiejętnie pomalowane, a wiele płaskorzeźb wyglądało na wykonane w pośpiechu. Ponadto architekt musiał być pozbawiony wyobraźni, gdyż główne apartamenty na piętrze miały ogromne okna wychodzące na zachód. W pełni lata w tych pokojach będzie jak w piecu.

Teraz Agamemnon siedział w rozległym, otoczonym murem ogrodzie, trzech strażnicy stali w pobliżu, a jego ludzie przeszukiwali piętnaście pokoi. Mykeński król nie spodziewał się, by znaleźli ukrytych zabójców, ale te poszukiwania wyczulą ich na grożące mu niebezpieczeństwa.

Całą żywność z kuchni zabrano i wyrzucono, a wino wylano. Na rynku zakupiono świeże jedzenie. Agamemnon gniewnie spoglądał na ogród. Posadzono w nim kolorowe kwiaty, których zapach będzie wabił owady.

– Czyj to pałac? – zapytał adiutanta.

– Królewskiego syna, Politesa.

Kleitos skrzywił się, mówiąc to, i podniósł rękę, żeby pomasować szczękę. Ten renegat Banokles złamał mu trzy zęby. Dwa udało się wyrwać, ale trzeci ułamał się tuż przy dziąśle i nieustannie go bolał.

Do ogrodu przyszedł żołnierz w długim czarnym płaszczu gwardzisty.

– Pokoje sprawdzone, królu.

– Sprawdźcie dach – nakazał Agamemnon.

Kleitos zaczekał, aż tamten odejdzie.

– Myślisz, że Priam ukryłby zabójcę na dachu? – zapytał.

Agamemnon zignorował pytanie.

– Czego się dowiedziałeś o Helikaonie?

– Wraca do zdrowia, mój panie. Jest w swoim pałacu w dolnym mieście.

– Dobrze strzeżonym?

– Według pierwszych raportów ma dziewięciu służących, samych mężczyzn. Jednak nie pilnują go trojańscy żołnierze, a on sam nie przywiódł ze sobą do Troi żadnych dardańskich wojowników. Towarzyszy mu jeden człowiek imieniem Gershom. Mówią, że to

Egipcjanin.

Agamemnon wyciągnął się w fotelu. Ile zamachów może przeżyć jeden człowiek? Kolanos wciągnął go w pułapkę w Zatoce Niebieskiej Sowy, lecz Helikaon wymknął się zabójcom przebrany za zwykłego żołnierza. Potem, zeszłej jesieni, grupka wojowników zaatakowała go przed świątynią Hermesa. Helikaon przeżył i ten atak. Nawet sztylet legendarnego Karpoforosa nie zdołał go zabić.

– Szczęście mu sprzyja – powiedział.

– Powiadają, że jest synem samej Afrodyty – rzekł ściszym głosem Kleitos. – Może chroni go bogini.

Agamemnon powstrzymał rosnący gniew i odczekał chwilę, żeby jego głos zdawał się chłodny i opanowany.

– Jego matką była obłąkana kobieta, Kleitosie, która żuła za dużo korzenia *meas*. Rzuciła się z urwiska i roztrzaskała na skałach. I nie mów mi, że widziano, jak odleciała na odległy Olimp.

Rozmawiałem z człowiekiem, który zbierał jej szczątki. Jedno oko zwisało z roztrzaskanej czaszki, a szczeka była oderwana.

– Tak, mój królu. Ja tylko powtórzyłem to, co słyszałem.

– Czy Trak już tu jest?

– Tak, panie. Król Eioneus przybył wczoraj. Ulokowano go w pałacu na przedmieściach. Przywiózł ze sobą dwa bojowe rumaki i chciał mieszkać blisko wzgórz, żeby na nich jeździć.

– Jak liczną ma świtę?

– Trzydziestu żołnierzy i syna, Rhesosa. Ponadto tracki kontyngent na igrzyska – około dwudziestu ludzi.

Agamemnon rozważył te informacje.

– Eioneus jest systematyczny. Każ go obserwować, a potem objeżdż trasę, którą jeździ. Gdzieś będzie idealne miejsce na zasadzkę.

– Jest wśród nas kilku dobrych łuczników, mój panie. Okotos potrafi ustrzelić ptaka w locie.

– Nie, nie łucznik. Użyjcie procy. Eioneus jest stary. Upadek z konia może go zabić. Jeszcze lepiej, jeśli towarzyszący mu ludzie nie zobaczą, jak trafia go kamień. Wtedy jego śmierć będzie wyglądała na nieszczęśliwy wypadek.

Gdy zaczęło się ściemniać, Agamemnon wstał i wszedł do pałacu. Zapalono lampy i z kuchni dochodził zapach pieczonego mięsiwa. Żołnierz przyniósł królowi puchar

rozcieńczonego wina i Agamemnon zaczął pić małymi łydkami. Zaraz po zmierzchu przybył król Peleus. Był zaczerwieniony z gniewu.

– Na bogów, ależ przydzielili mi norę – narzekał. – W pobliżu farbiarni. Od smrodu przewraca mi się w żołądku.

– Gdzie Achilles?

– On i jego dwaj towarzysze biegają na wzgórzach.

– Czy pojechali z nimi konni strażnicy?

Peleus się roześmiał.

– Myślisz, że ktoś byłby tak głupi, żeby zaatakować Achillesa? Wyrwałby mu serce.

– Albo strzała przebiłaby jego serce – powiedział Agamemnon.

– Sądzisz, że Priam złamałby rozejm?

– Nie wszyscy są tak honorowi jak ty i ja – rzekł Agamemnon.

Z każdym dniem Helikaon nabierał sił. Chociaż wracając do swojego pałacu w dolnym mieście, ledwie zdołał wejść po schodach, a i to przystanąwszy kilkakrotnie, żeby złapać oddech.

Jego niegdyś smukłe i silne ciało było teraz chude jak szkielet, a mięśnie zanikły. Jednak po pokonaniu infekcji odzyskał apetyt, a Gershom nadzorował przyrządzanie jego posiłków. Nie podawano mu żadnych słodczy ani wina, lecz mnóstwo owoców i świeżego mięsa.

– Mój dziadek był za młodu wielkim wojownikiem – powiedział Helikaonowi – i był ranny ponad dwadzieścia razy. Utrzymywał, że zranione ciało potrzebuje tylko wody, która oczyszcza organizm, oraz owoców i mięsa dających siłę. I tak samo jak dobry rumak, musi pracować, żeby nabrać sił.

Wkrótce skóra Helikaona zaczęła tracić widmową błądź, a ciemne obwódki wokół oczu znikły. Gershom pożyczył ze stajni Priama dwa rumaki i pojechali na oklep po wzgórzach. Jazda zmęczyła Helikaona i Gershom poprowadził ich przez kilka pól do zagrody, gdzie była studnia.

Spętawszy wierzchowce, usiedli w cieniu domu. Helikaon przycisnął dłoń do rany. Teraz nie była już zabandażowana, a kiedy odjął rękę, odsłonił głęboką bliznę, czerwoną i świeżą.

– Jak się czujesz? – zapytał Gershom.

– Ból prawie przeszedł. Jednak blizna swędzi. – Spojrzał na Gershoma. – Jak mogłeś pozwolić, żeby jakiś obcy posypał mnie robakami? – spytał ze znużonym uśmiechem.

– Nudziłem się – odparł Gershom. – Pomyślałem, że to będzie zabawne.

Helikaon oparł się plecami o ścianę i zamknął oczy.

– Od tamtej nocy nie miałem już żadnych snów – powiedział. – W pewien sposób mi ich brakuje. Tak jakbym w mgnieniu oka mógł opłynąć cały świat. Myślałem, że to zaczarowana komnata. Dzień błyskawicznie zmieniał się w noc, a noc w dzień.

– Z tego, co słyszałem, kiedy majaczyłeś w gorączce, śniłeś tylko o krwi, śmierci i cierpieniu.

– Przeważnie. Jednak śnili mi się także Argurios i Laodike. Ten sen był jak balsam dla duszy. I...

Zamilkł.

– Co? – zapytał Gershom.

Helikaon westchnął.

– To był uzdrawiający sen. Była w nim Andromacha. Czułem się tak, jakby wyniesiono mnie z ciemnej jaskini na słońce.

Gershom popatrzył na przyjaciela. Helikaon spoglądał w dal i Gershom wyczuł emanujący z niego smutek. Dziwiło go to. Helikaon właśnie wrócił z brzegu Hadesu. Był młodym królem i miał po co żyć. W Dardanii czekała na niego młoda żona i flota statków żeglujących po Wielkiej Zieleni, przynoszących mu zyski. Jednak od kiedy zaczął wracać do zdrowia, ani razu się nie zaśmiał i nie zażartował.

W pobliżu rozległo się groźne warczenie i zza narożnika domu wypadł wielki czarny pies, szczerząc kły. Konie odskoczyły nerwowo. Gershom chwycił sztylet.

– Nie, mój przyjacielu – powiedział Helikaon. – Nie rób mu krzywdy. Ten pies robi to, co do niego należy, broni domu pana. Nie zwracaj na niego uwagi. Odwróć głowę i nie patrz mu w ślepie.

– Żeby mógł mi odgryźć kawałek zadka?

Helikaon wyciągnął rękę, powoli poruszając palcami. Pies znieruchomiał, ale wciąż warczał i stał ze zjeżoną na karku sierścią. Nagle Helikaon pstryknął palcami.

– Chodź tu! – zawołał. Pies natychmiast do niego podbiegł. – Dobry, dzielny piesek – powiedział Helikaon, powoli unosząc dłoń, żeby pies mógł ją obwąchać.

– Obawiam się, że jesteś idiotą – mamrotał Gershom. – Tymi zębiskami z łatwością mógł odgryźć ci palce.

– Wiesz, na czym polega twój problem jako członka egipskiej rodziny królewskiej? Nauczono cię patrzeć, ale nie widzieć. Wszędzie byli niewolnicy spełniający każde twoje życzenie, przynoszący jedzenie, rozkładający ubrania. – Pies odszedł wzdłuż ściany i ułożył

się pod nią w cieniu. – Ten pies jest stary. Ma siwą sierść na pysku. Nie jest młody i zuchwały. Ludzie z pewnością często tu przychodzą. Żaden gospodarz nie spuściłby z łańcucha niewytresowanego psa. Odwiedziny za dnia są przeważnie mile widziane. Gdybyśmy przyszli tu w nocy, to co innego. Ponadto mamy konie. Gdyby pies chciał się na nas rzucić, wyczułyby to i spłoszyły się. A one tylko trochę się zaniepokoiły i stały czujne. Tak więc nie groziło nam niebezpieczeństwo. Należało tylko pokazać psu, że nie mamy złych zamiarów.

Gershom pokręcił głową.

– Nie przekonałeś mnie, Helikaonie. Wyjaśniasz swoje zachowanie, a ponieważ jego rezultat był pozytywny, masz rację. Jednak ten pies mógł cierpieć na ból zęba lub mieć wściekliznę, a wtedy nie postąpiłby tak, jak go uczono. Konie mogły nie wyczuć jego zamiarów. Konie zasadniczo nie są uważane za szczególnie rozumne stworzenia. Sposób, w jaki poradziłeś sobie z tym niebezpieczeństwem, był ryzykowny. Ja zadźgałbym zwierzę i osiągnąłbym ten sam skutek, tylko bez ryzyka.

– Tylko że zabiłbyś dobrego psa – zauważył Helikaon.

– To nie mój pies.

Gdy tak rozmawiali, z pól nadeszli dwaj mężczyźni. Obaj byli barczyści i rudowłosi, tylko jeden był starszy i miał siwe skronie.

– Szukacie mnie? – zapytał.

Helikaon podniósł się z ziemi.

– Nie. Przejeżdżaliśmy tędy i chcieliśmy chwilę odpocząć.

– Ach tak, bardzo proszę – powiedział gospodarz. – Jednak mieliście szczęście. Ostatniemu niespodziewanemu gościowi Cerberos odgryzł kawałek zadka. – Gershom parsknął śmiechem. – To nie było zabawne – narzekał gospodarz. – Kosztowało mnie dwie owce. Starzeje się i zapomina, czego go nauczono. Jedzicie do miasta?

– Tak.

– Lepiej omijajcie zagajniki. Był tam wypadek i wszędzie roi się od żołnierzy, którzy zatrzymują i wypytują podróżnych.

– Co się stało? – spytał Helikaon.

– Jakiś cudzoziemiec spadł z konia i się zabił. Ważna figura. Pewnie przyjechał na wesele. No cóż, stoję tu i gadam, a dzień mija. Musicie mi wybaczyć. Do nogi, Cerberos – zawołał i czarny pies pobiegł za odchodzącym.

– Nic nie mów – ostrzegł Gershoma Helikaon.

– A co miałbym powiedzieć? Ja, który wychowałem się w królewskim pałacu i patrzę,

ale nie widzę?

Helikaon westchnął.

– Jak długo będziesz mi to wypominał?

– Trudno powiedzieć. Na pewno przez większą część lata.

Helikaon zaśmiał się i zawrócił rumaka.

– Za to możesz wdychać kurz za mną aż do pałacu – rzekł, popędzając wierzchowca.

Gershom ruszył za nim. Oba konie były silne i szybkie, lecz Gershom był sporo cięższy od dardańskiego króla i nie mógł zmniejszyć dystansu. Dopiero gdy dojeżdżali do miasta, Helikaon zwolnił i pozwolił Gershomowi się doścignąć. Helikaon miał rumieńce na policzkach i wydawał się w lepszym humorze. Gdy wjechali na wzgórze, ujrzeli zatokę, błękitną w promieniach słońca.

Od gór wiał łagodny wietrzyk. Helikaon ściągnął wodze i siedział na koniu, patrząc na morze.

Gershom zobaczył, że znów zmienił mu się nastrój, i spochmurniał.

– Co się stało? – zapytał.

– Do Troi przybywa człowiek, którego przysięgłem zabić.

– No cóż, szybko wracasz do sił. Jeszcze kilka tygodni i będziesz mógł go wyzwać.

Helikaon nie powiedział nic więcej i popędził wierzchowca. Zanim dotarli do pałacu, opadł z sił i położył się spać. Gershom oddał konie i w stajni usłyszał, że człowiekiem, który się zabił, spadłszy z konia, był król Tracji Eioneus. Wyprzedził swoich towarzyszy i kiedy ci minęli zakręt, znaleźli go leżącego na ziemi obok stojącego w pobliżu konia.

Ta śmierć została uznana za zły omen dla przyszłego małżeństwa i król Priam zarządził wieczorną ceremonię żałobną, którą miano odprawiać w świątyni Posejdona przez pięć dni z rzędu i w której mieli wziąć udział wszyscy władcy wschodu i zachodu. Król Myken, Agamemnon, zaproponował, że wygłosi mowę na cześć zmarłego.

Okropna świadomość tego, że jest w ciąży, sprawiła, że dni i bezsenne noce Andromachy były pełne gniewu i pogardy dla siebie. Jak mogła zrobić coś tak głupiego? Jak bogowie mogli tak surowo ją ukarać?

Próbowała sobie wmówić, że weszła do łóżka Helikaona, tylko idąc za radą proroka, żeby dotyk jej ciepłego ciała przywrócił umierającego do życia. Jednak Andromacha nigdy nie lubiła się oszukiwać. Niemal od pierwszej chwili, gdy zobaczyła Helikaona w Zatoce Niebieskiej Sowy, pragnęła być z nim blisko, naga, skóra przy skórze. Nawet teraz, gdy straszliwe konsekwencje jej czynu wisiały nad nią jak burzowa chmura, czuła uniesienie tamtych cudownych chwil.

Jej pokojówka, Aksa, kręciła się po pokojach, paplając z ożywieniem, zbierając porozrzucane części garderoby. Była w radosnym nastroju. Tak jak przez całą zimę. Jej mąż, uznany za poległego wraz z Hektorem, znów był w domu i szczęście Aksy było bezgraniczne. Jej dziecko było zdrowe, mąż żywy, a świat piękny.

– Może dziś włożysz tę szafranową suknię – powiedziała. – Dzień jest słoneczny i mogłabym wpleść ci we włosy złoty drucik. Błyszcząłby w słońcu.

– Dziś nie chcę zaplatać warkocza – powiedziała Andromacha. – A żółty kolor jest za jasny. Przynieś mi tę jasnozieloną.

– Zawsze ją nosisz – narzekała Aksa. – Widziałaś, że *Ksantos* stanął wczoraj w zatoce? Może teraz pan Hektor przyjdzie cię odwiedzić. Ta żółta suknia go oszołomi.

– Nie chcę go oszalać. Poza tym nie przyjdzie.

Aksa była zdziwiona.

– Tak sądzisz?

Andromacha odwróciła się do niej.

– Ile razy pojawił się w tym pałacu, odkąd tutaj jestem?

– Kilka. Raz sama go widziałam.

– Przychodził do Helikaona i zawsze pod moją nieobecność.

– Och, jestem pewna, że...

– Proszę, Akso, nie tłumacz go. To zaaranżowane małżeństwo, którego Hektor najwidoczniej nie pragnie. Domyślam się, że uda się na swoją farmę i nie zobaczę go aż do weselnej uczty.

Aksie wydłużyła się mina.

– Och, nie możesz tak myśleć, pani. Hektor to cudowny mężczyzna. Mestares go podziwia. Powiedział mi, że Hektor uważa cię za najpiękniejszą z kobiet.

– Tak piękną, że nie ma ochoty spędzić ze mną ani chwili. Dość tego. Masz rację – niech będzie ta szafranowa.

Andromacha nie miała ochoty wkładać takiej jaskrawej sukni, ale wiedziała, że zgadzając się, uspokoi Akse. Pulchna pokojówka rozpromieniła się i pobiegła po suknię.

Andromacha wyszła na balkon. Był jeszcze w cieniu, lecz widziała skąpane w słońcu miasto i słyszała głosy robotników przygotowujących teren igrzysk. Nieco dalej zobaczyła ludzi budujących ogrodzenie wzdłuż hipodromu, na którym miały się odbyć wyścigi koni i rydwanów.

W mieście przebywało mnóstwo podróżnych i zawodników chcących zdobyć trochę złota na igrzyskach. Równina na północy zmieniła się w miasto namiotów i pośpiesznie

zbudowanych chat.

Znowu poczuła mdłości i nabrała tchu.

Na Terze wchodziła z innymi kapłankami na zbocza gniewnej góry, wznosząc modły mające uspokoić ryczącego pod ziemią Minotaura. Teraz czuła się podobnie. Pozornie była Andromachą, dziewiczą księżniczką Teb, mającą poślubić dziedzica tronu Troi. Tymczasem rósł w niej jej własny minotaur, który, co wiedziała, sprowadzi na nią zgubę.

Kiedy Priam odkryje jej niewierność, każe ją zabić. Król, chociaż jej pożądał, potrafił być bezwzględny. W ciągu ostatnich lat skazał na śmierć kilku spiskujących synów. A w jej przypadku jego gniew byłby okropny, gdyż uważałby, że odrzuciła jego umizgi, zasłaniając się poczuciem honoru. Uznałby, że próbowała go oszukać. Jego wybujałe ego by tego nie zniosło.

Cóż więc mogę zrobić? – zastanawiała się. Iść do Helikaona? Powiedzieć mu, że ten sen wcale nie był snem? Ta myśl ją przygnębiła. Próbowaliby ją ochronić i naraziłby się na wieczną nienawiść Priama. Czy niewielka dardańska armia mogła stawić czoło potędze Troi?

Andromacha знаła odpowiedź.

Potem pomyślała o Hektorze. Mogła spróbować go uwieść. Gdyby jej się udało, uważałby, że dziecko jest jego. Natychmiast odepchnęła od siebie tę myśl. Przez całe życie wierzyła w szczerłość – szczególnie między kochankami. Nigdy nie okłamała Kaliope. Jak więc mogłaby zacząć małżeństwo od takiego kłamstwa? Byłoby jak trucizna w jej sercu. Nie, było tylko jedno honorowe wyjście – iść do Hektora, wyznać mu wszystko i uznać to, co nastąpi, za wolę bogów.

Aksa wróciła i pomogła jej włożyć szafranową suknię. Była piękna, przetykana cieniutkim złotym drucikiem i haftowana srebrną nicią.

– Zamierzam pójść na przechadzkę – oznajmiła Andromacha, gdy Aksa uklękła, by zawiązać jej rzemyki sandałów.

– Mam pójść z tobą?

– Nie, Akso. Nie będę cię już dzisiaj potrzebowała. Idź do domu i zajmij się dzieckiem.

– Ładnie rośnie – powiedziała Aksa – i będzie urodziwy jak mój Mestáros, nie pospolity i nijaki jak ja.

Andromacha spojrzała na okrągłą jak księżyc twarz Akso i poczuła ściskanie w gardle.

– Akso, nie jesteś pospolita. To, jaka jesteś, widać na twojej twarzy: siłę, lojalność, miłość i odwagę.

Aksa się zarumieniła.

– Czasem mówisz takie dziwne rzeczy, pani – powiedziała. – A co ze złotym drutem we włosach?

– Nie, rozpuszczę je.

Aksa wstała i spojrzała na ognistorude włosy Andromachy.

– Wyblakły na słońcu – zauważyła krytycznie. – Są w nich złote pasemka. Powinnaś częściej nosić welon.

Andromacha roześmiała się i na chwilę odzyskała dobry humor.

– Nigdy nie jesteś zadowolona, Akso. Chcesz wpleść mi złoto we włosy, a w następnej chwili narzekasz, że ono już tam jest.

– Wiesz, o co mi chodzi, pani – spierała się Akso. – Tylko wieśniaczki mają takie pasemka we włosach, ponieważ przez cały dzień przebywają na słońcu.

– Zatem muszę być wieśniaczką – stwierdziła Andromacha. – No, zmykaj.

Przy pałacowej bramie zobaczyła Cheona siedzącego spokojnie na ławce. Jego hełm z brązu spoczywał obok, a napierśnik lśnił w słońcu. Żołnierz wstał na jej widok.

– Idziemy do grobowca?

– Nie. Na farmę Hektora.

– To daleki spacer w słońcu, pani. Mam wziąć rydwan?

– Chcę się przejść.

Nie powiedział nic więcej i razem wyszli do miasta. Cheon nałożył hełm. Całkowicie zasłaniał mu twarz i na szczęście dla Andromachy uniemożliwiał rozmowę. Cheon przeprowadził ją przez zatłoczone centrum, a potem przez Bramę Dardańską i na kamienną drogę.

Miał rację. To była daleka wędrówka i w południe wciąż byli daleko od celu. Duma nie pozwalała Andromasze przyznać się do błędu, więc maszerowała dalej, pocąc się w szafranowej sukni, z kostkami nóg obolałymi od rzemieni sandałów. Cheon zerknął na nią.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, pani – rzekł, zdjawszy hełm – przydałby mi się krótki odpoczynek w cieniu.

Popatrzyła na niego i uśmiechnęła się.

– Jesteś uprzejmy, Cheonie, i nie widzę na twoim czole ani kropli potu. Tak, dziękuję, naprawdę chciałabym chwilę odpocząć.

Uśmiechnął się do niej i wskazał na kępę drzew. Stała tam biała świątynia. We wnęce był posąg kobiety z łukiem, a pod nim leżały zeschnięte kwiaty. Andromacha wyciągnęła rękę, pogłaskała posąg i uśmiechnęła się. Przypominał jej Kaliope. Tuż za świątynią słyszała szum wody. Przeszła przez krzaki i znalazła strumień pluszczący na białych kamieniach.

Uklękała, nabrała wody w dłoń i napiła się. Woda miała dziwny, niezbyt przyjemny posmak. Cheon stał obok z dłonią na rękojeści miecza.

– Nie pijesz? – zapytała.

– Nie jestem spragniony.

Zamoczyła rękaw sukni i otarła sobie twarz, po czym podniosła się i stanęła w cieniu obok Cheona.

– Czyja to świątynia?

– Matka zapaśnika Archeosa zbudowała ją na cześć bogini Artemis. Powiadają, że Archeos wygrał więcej igrzysk niż jakikolwiek inny śmiertelnik.

– Był Trojańczykiem?

– Nie, pani. Pochodził z Samotraki.

Pociągnął się za ucho, jakby chciał coś powiedzieć. Potem nabrał tchu i odsunął się od niej.

– O co chciałeś zapytać?

– Zastanawiałem się, dlaczego idziesz niezapowiedziana do pana Hektora.

– Skąd wiesz, że niezapowiedziana?

– W przeciwnym razie przysłałby po ciebie rydwan i konną eskortę.

– Znasz go?

Pokręcił głową.

– Rozmawiał ze mną, ale nie znam go. Jednak to wielki człowiek.

– Wszyscy mi to mówią.

Zerknął na nią i uśmiechnął się. Wyglądał bardzo młodo.

– Mój brat służy pod jego rozkazami. Był z nim pod Kadesz.

– Tak, tak, to wielki wojownik. Już o tym słyszałam, Cheonie.

– Nie mówię o wojnie, pani. Wszyscy wiedzą, że Hektor to wojownik. Jednak jego wielkość objawia się w drobnych sprawach. On zna imiona swoich ludzi i imiona ich żon. Mój brat nie jest oficerem. Kiedyś rozmawiał z Hektorem, gdy siedzieli nad strumieniem. Powiedział mu, że jego żona jest w ciąży. Kiedy dziecko się urodziło, Hektor posłał im w darze złoty kubek. – Odwrócił się. – To pewnie wydaje się nieistotne.

– Ależ nie – powiedziała Andromacha. – Zdziwiłaby mnie wieść, że mój ojciec pamięta imię jakiegoś swojego żołnierza. I nigdy nie przyszłoby mu do głowy, żeby komuś coś podarować.

Wyszła z cienia i poszła dalej. Cheon maszerował obok niej. Powiał wiatr i kilka pierzastych chmurków zasłoniło słońce. Gdy schodzili po zboczu, zrobiło się chłodniej i wiatr

szeptał nad kałużami po deszczu, który spadł poprzedniego dnia.

W końcu zobaczyli farmę i pastwiska. Główny budynek był stary, zbudowany z kamieni, parterowy i z płaskim dachem. Trzy inne wokół były wysokie i zbite z bali, z szerokimi drzwiami. Jeden najwidoczniej służył jako stajnia. Andromacha odgadła, że dwa pozostałe to magazyny lub stodoły.

Przed głównym budynkiem kilku mężczyzn próbowało złapać świnie, która uciekła z zagrody. Zwierzę zawróciło i rzuciło się na nich. Rozpierzchli się na boki. Świnia poślizgnęła się w błocie, wywinęła koziołka i uderzyła w połamany płot. W tej samej chwili olbrzymi mężczyzna, półnagi i ubłocony, rzucił się na nią. Świnia uskoczyła i olbrzym przejechał na brzuchu po błocie, zatrzymując się na ogrodzeniu, co pozostali powitali głośnym śmiechem.

Andromacha usłyszała przyniesiony przez wiatr śmiech, który podniósł ją na duchu. Gdy razem z Cheonem schodzili ze wzgórza, mężczyźni półkolem otoczyli świnie, próbując ją zapędzić z powrotem do zagrody. Jednak świnia znów się na nich rzuciła. Tym razem ubłocony olbrzym lepiej wyliczył odległość i złapał zwierzę w potężne ramiona. Świnia chrząkała i szarpała się, lecz trzymał ją mocno. Potem z zadziwiającą lekkością wstał, z wielką świnia w ramionach. Brodząc w błocie, zaniósł ją do zagrody.

Pozostali chwycili furtę i zastawili przejście. Mężczyzna puścił zaskoczoną świnie, po czym odwrócił się i pobiegł w kierunku płotu. Zwierzę natychmiast ruszyło za nim. Mężczyzna dopadł płotu tuż przed rozwścieżoną świnia i przeskoczył go. Wylądował na śliskim błocie i stracił równowagę. Pozostali znów ryknęli śmiechem. Usiadł, ocierając błoto z twarzy i włosów. Wtedy zobaczył Andromachę.

Hektor powoli wstał.

– Co za nieoczekiwana przyjemność – powiedział.

Andromacha nie odpowiedziała. Wróciła myślami do namiotu jasnowidza Aklidesa, który przepowiedział trzy wielkie miłości w jej życiu. Pierwszą był Helikaon. Drugą Dąb.

– A jak go poznam? – spytała wtedy.

– Wstanie z błota, pokryty świńskim gnojem.

Zaschło jej w ustach i kręciło jej się w głowie. Poczowała kolejną, znajomą już falę mdłości.

– Musimy porozmawiać – zdołała wykrztusić.

XVII. WYBÓR ANDROMACHY

Andromacha czekała w chłodnej głównej izbie o oknach zasłoniętych okiennicami przed prażącym słońcem. Młoda służąca przyniosła jej miskę owoców i dzban wody. Na powierzchni pływały kawałki jakiegoś żółtego owocu. Dziewczyna napełniła kubek i podała jej. Andromacha podziękowała. Służąca była szczupła i ładna, miała duże niebieskie oczy. Przez moment przypominała Andromasze Kaliope.

– Jesteś bardzo ładna – powiedziała dziewczynie, podnosząc dłoń i dotykając jej policzka.

– Dziękuję, księżniczko – odparła tamta i Andromacha zauważyła, że szeroko otworzyła oczy.

Jakże dziwne są uczucia, pomyślała. Oto siedzę, z niebezpieczeństwem wiszącym nad głową, a mimo to krew żywiej krąży mi w żyłach i mam ochotę przytulić służącą. Z cichym westchnieniem odwróciła się od dziewczyny i rozejrzała po pokoju. Był urządzony funkcjonalnie, bez śladu złocen czy zdobień. Stały w nim trzy długie sofy i pięć głębokich foteli.

Na posadzce leżał wielki kilim w jesiennych kolorach. Mimo braku ozdób pokój wyglądał całkiem miło. Gdyby nie brzemie, które dźwigała, Andromacha dobrze by się tu czuła.

Upiła łyk wody, zastanawiając się, co powiedzieć, kiedy trojański książę wróci z kąpieli.

Miała jednak mętlik w głowie – przeszkadzały jej przypadkowe obrazy. Półprzytomny Helikaon krzyczący w ekstazie, Kaliope tańcząca w Noc Artemis, ona sama stojąca na galerii królewskiego megaronu i strzelająca z łuku do Mykeńczyków. Tyle wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

A teraz to. Jasnowidz musiał źle zinterpretować wizję, pomyślała. Niewątpliwie widział ten moment i w jakiś sposób wyczuł siłę jej uczuć. Jednak Hektor nie mógł być wielką miłością jej życia. Na jego widok krew nie krążyła żywiej w jej żyłach, nie pragnęła go dotykać, być blisko, poczuć jego wargi na swoich ustach.

Podeszła do przeciwległej ściany i spojrzała na wiszącą tam tarczę. Była stara, z czarnej oślej skóry rozpiętej na drewnianej ramie. Na środku ozdobił ją emblemat skaczącego jelenia.

– Nosił ją tracki buntownik – powiedział Hektor, wychodząc z sąsiedniego pokoju. – Dał mi ją. Podoba mi się. Prosta i dobrze zrobiona.

Odwróciła się do niego. Złociste włosy miał mokre po kąpieli i włożył tunikę barwy jasnego złota. Przez moment miała wrażenie, że duży pokój dziwnie się skurczył, a gdy Hektor do niej podszedł, poczuła się przy nim mała.

– Poruszasz się bardzo cicho jak na takiego dużego mężczyznę.

– Nauczyłem się chodzić wokół kobiet na palcach – odparł z nieśmiałym uśmiechem.

– Albo wcale.

Umknął spojrzeniem.

– Przepraszam, Andromacho. Zaniedbywałem cię.

– To bez znaczenia. Przyszłam, aby cię prosić, żebyś zwolnił mnie z obowiązku zawarcia tego ślubu.

Nic nie powiedział, tylko nalał sobie kubek wody i wypił. Milczenie się przedłużało.

Andromacha nie wiedziała, czego oczekiwać, ale spodziewała się gniewnej odpowiedzi. Zamiast tego Hektor uśmiechnął się smutnie i podszedł do sofy.

– Chodź i usiądź – rzekł łagodnie. – Porozmawiajmy chwilę.

– O czym tu mówić?

Hektor przyjrzał się jej uważnie, a potem powiedział z żalem:

– Gdyby to było takie proste, natychmiast spełniłbym twoją prośbę. Jesteś dobrą, odważną kobietą i zasługujesz na więcej, niż jestem w stanie ci dać. Jednak to małżeństwo nie zostało zaaranżowane przeze mnie, lecz przez Hekabe i Priama. Jestem tak samo związany ich wolą jak ty. W tej sprawie nie możemy ująć naszemu przeznaczeniu, Andromacho.

– To nie kwestia ucieczki – powiedziała. – Nie mogę za ciebie wyjść.

Spojrzał na nią i poczuła siłę jego niebieskich oczu.

– Kochasz innego. Ja to rozumiem. Mało kto z królewskiego rodu poślubia tego, kogo kocha.

– Tak, kocham innego – rzekła, nabrawszy tchu. – Ale nie w tym rzecz. – Nadeszła odpowiednia chwila i nie mogła dłużej czekać. – Jestem w ciąży.

Patrzyła na niego wyzywająco zielonymi oczami, spodziewając się wybuchu słusznego gniewu. Ten jednak nie nastąpił.

– Ojciec nigdy nie tracił czasu – stwierdził Hektor. – A teraz znasz wstydliwą tajemnicę Hektora. – Nie patrzył na nią, tylko zaczerpnął tchu i pochylił się. – Stawiałem czoło wielu niebezpieczeństwom i obawom, ale to najgorsza chwila w moim życiu. Oczywiście, że mogę zrozumieć, dlaczego nie chcesz mnie poślubić. Jaka kobieta by chciała?

Andromacha przez chwilę milczała. To, że uznał, iż ojcem jest Priam, było oczywiste, ale reszty nie rozumiała. Wstała, przeszła przez pokój i usiadła obok niego.

– Nie spałam z Priamem – powiedziała. – Odrzuciłam jego umizgi.

Odwrócił się do niej i spojrzał jej w oczy.

– Zatem kim jest ojciec dziecka? – zapytał łagodnie.

W tym momencie przez głowę przemknęło jej kilka myśli. Oto siedziała tak blisko tego niezwykle silnego mężczyzny, a jednak wcale nie czuła się zagrożona. Zamiast tego jego bliskość była dziwnie przyjemna, co ją dziwiło. Wyobrażając sobie to spotkanie, nigdy nie spodziewała się, że będzie się czuła tak... tak bezpiecznie. Uszło z niej napięcie i siedząc spokojnie w chłodnym pokoju, opowiedziała mu o chorobie Helikaona i słowach proroka, i o głupstwie, jakie popełniła, dzieląc łożę z chorym. Wysłuchał jej w milczeniu.

– Zatem Helikaon jest tym, którego kochasz?

– Tak.

– A on cię kocha?

– Tak powiedział, kiedy oboje myśleliśmy, że zginąłeś.

– I poślubił Halizję. Jakimi głupcami są szlachetnie urodzeni. Czy on wie o dziecku?

– Nie. I się nie dowie. Miał gorączkę i sądzi, że to był tylko sen. Nie pamięta, że spaliśmy ze sobą.

W tym momencie jej obronny mur rozsypał się w gruzy i wpadła w rozpacz. Łzy popłynęły jej z oczu i zaczęła szlochać. Hektor pochylił się ku niej i przytulił. Nie czuła się tak bezpiecznie od czasu, gdy była mała i w ramionach ojca. Hektor nic nie mówił, tylko tulił ją i lekko klepał po plecach, jakby była dzieckiem.

Po chwili zdołała powstrzymać łzy, robiąc głębokie, spazmatyczne wdechy.

Dopiero wtedy Hektor przemówił.

– Priam nie może się o tym dowiedzieć, Andromacho. Kocham go, ale kazałby cię zamurować żywcem albo zamknąć w skrzyni i wrzucić do morza. Jego gniew jest niepoahamowany, a kary barbarzyńskie. Nie wiem tylko, jak możemy to przed nim ukryć.

– Wciąż chcesz mnie poślubić?

Hektor uśmiechnął się do niej.

– Nie wiem, czy mógłbym dostąpić większego zaszczytu.

Poczuła ulgę.

– Zatem problem rozwiązany. Ślub odbędzie się wkrótce. Moja ciąża nie jest zaawansowana i nikt nie będzie niczego podejrzewał, jeśli urodzę kilka dni wcześniej.

– Problem nie jest rozwiązany – rzekł ze smutkiem. – Ojciec będzie wiedział, że to

dziecko nie jest moje.

– Jak to?

Hektor się wyprostował.

– Zatem nic nie wiesz? – Zamknął oczy i odwrócił głowę. – Obawiałem się tej chwili – wyznał. – Ta myśl dręczyła mnie i śniła mi się po nocach.

Wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń.

– Jeśli mam być twoją żoną, będę wobec ciebie lojalna. Cokolwiek mi powiesz, nie powtórzę tego nikomu.

Przez chwilę Hektor się nie odzywał. Potem podszedł do stołu i nalał sobie puchar wody.

– Wolałbym stawić czoło setce zbrojnych, niż prowadzić tę rozmowę – rzekł.

– Więc ją zakończmy – powiedziała Andromacha. – Nie chcę sprawiać ci bólu.

– Nie, trzeba to powiedzieć. Mogę nie być mężczyzną, ale nie jestem tchórzem. – Wróciwszy do sofy, usiadł obok Andromachy. – Dwa lata temu zostałem ranny i omal nie umarłem.

Pchnięcie włócznią w krocze. Odzyskałem siły, ale coś utraciłem. – Nabrał tchu. – Nie mogę płodzić dzieci, Andromacho, ani wejść w kobietę. Wiedział o tym tylko Priam i chirurg, którego kazał udusić. Nie mógł znieść, że ktoś miałby wiedzieć o tej wstydlivej sprawie.

Andromacha spoglądała na Hektora, zapomniawszy o swoich obawach i troskach w obliczu jego nieszczęścia.

– Nie kutas stanowi o tym, czy ktoś jest mężczyzną – powiedziała. Gwałtownie obrócił głowę i zobaczyła jego zdziwienie. – Tak – rzuciła z uśmiechem – nawet kapłanki znają wulgarne słowa. Jednooki wąż, czerwona dzida, plująca żmija. Posłuchaj mnie, Hektorze. Gdybym nie wiedziała tego wcześniej, to teraz wiem, że jesteś dobrym człowiekiem. Przykro mi z powodu twej straty, gdyż wiem, jak mężczyźni cenią sobie tę część swego ciała, chełpiąc się jej długością i grubością. Nie będę cię okłamywać. Twoja strata będzie i moją stratą. Jednak zrozum coś: wolę mężczyznę mającego serce, który troszczy się o innych i będzie kochał moje dziecko, niż samolubnego dumia ze sztywnym kutasem. Nie jesteś mężczyzną? Nonsens.

Odwrócił się do niej, ujął jej dłoń i podniósł do ust.

– Dziękuję ci za to – powiedział. – To bardzo wspaniałomyślnie z twojej strony.

– Nie – odparła. – Nie myśl, że jestem pochlebczynią, próbującą ci się przypodobać. Spójrz mi w oczy, Hektorze, i powiedz, czy widzisz w nich kłamstwo.

Popatrzyła na niego i zobaczyła, że się uspokoił.

– Nie – rzekł w końcu. – Nie widzę w nich kłamstwa.

– Czy zaufasz mi i pozwolisz, że sama rozwiążę ten problem i nie będziesz kwestionował mojej decyzji? – spytała.

– Zaufam ci – odparł.

– Dobrze. Zatem każ przyprować powóz, który zabierze mnie z powrotem do miasta. A jutro przeprowadzę się tutaj. Żebyśmy mogli siedzieć, rozmawiać i lepiej się poznać.

Nieco później, gdy stali przy powozie, Hektor wziął ją za rękę.

– Będę dla ciebie dobrym mężem, Andromacho z Teb – powiedział.

– Wiem o tym, Hektorze z Troi – odparła.

Znów porwała ją fala emocji, wyciskając łzy z oczu.

– Będziesz moim Dębem – powiedziała mu łamiącym się głosem.

Kazawszy woźnicy zawieźć siebie i Cheona pod bramę pałacu Priama, zajęła miejsce w powozie. Cheon, najwyraźniej wyczuwając jej potrzebę refleksji, nie odzywał się przez całą drogę. Dotarłszy do pałacu, kazała mu czekać, po czym przeszła przez megaron, mówiąc słudze, że chce zobaczyć się z królem w sprawie niecierpiącej zwłoki.

Tym razem Priam nie kazał jej czekać.

Był w apartamentach królowej. Wstał, gdy sługa wprowadził Andromachę i zaczął, aż mężczyzna wyjdzie.

– Cóż to za nagła sprawa? – zapytał.

– Widziałam się z Hektorem – powiedziała i uderzyło ją fizyczne podobieństwo tych dwojga.

Priam nie był tak potężnie zbudowany, lecz rysy twarzy i oczy miał niemal takie same jak syn.

– I?

– Teraz rozumiem, dlaczego mnie nękaś.

– Powiedział ci? To musiało być dla niego bardzo trudne. No więc, po co przysłaś?

– Wiesz po co – odparła z gniewem w głosie.

– Chcesz zerwać zaręczyny?

– Nie. Gdybym to zrobiła, umarłabym. Jak ten chirurg, który go leczył.

Priam skinął głową.

– Jesteś inteligentną kobietą.

– Spełnię twoje życzenie, ale pod pewnymi warunkami.

– Podaj je. Spełnię wszystkie.

Widziała niecierpliwość w jego oczach, zaczerwienioną twarz.

– Przyjdę do twego łóżka tylko raz w miesiącu. Będę to robiła, dopóki medyk nie stwierdzi, że jestem w ciąży. Potem więcej nie będziesz próbował zaciągnąć mnie do łóżka. Zgadzasz się?

– Zgadzam. – Roześmiał się i otworzył ramiona. – Zatem chodź do mnie, Tarczo Gromu.

I weszła w jego objęcia.

XVIII. OBAWY KALLIADESA

Robotnicy pracowali przez całą noc przy świetle pochodni, żeby zakończyć przygotowania do igrzysk. Spory obszar płaskiego terenu został wyrównany i udeptany i powstał stadion dla biegaczy i oszczepników, skoczków, pięściarzy i zapaśników. Około czterystu kroków na zachód od stadionu zbudowano hipodrom z nasypem, na którym teraz ustawiono ławy i fotele dla uprzywilejowanych. Tutaj miały się odbyć wyścigi rydwanów i koni. Wzniesiono podium głównego sędziego, z kunsztownie wykonanymi fotelami z kości słoniowej i drewna inkrustowanego złotem. Drugie, mniejsze podium postawiono na stadionie. Organizacja igrzysk, którą kierował królewski syn Polites, była najeżona trudnościami. Nikt nie wiedział, ilu zawodników zechce wystąpić ani ilu będzie widzów. Początkowo Polites sądził, że do Troi przybędzie kilkuset atletów. Już było ich ponad tysiąc. Liczba tych, którzy pragnęli oglądać zawody, wzrosła z sześciu do szesnastu tysięcy. I nawet te wyliczenia zaczynały wyglądać skromnie.

Polites przechadzał się tam i z powrotem przed sędziowskim podium na stadionie.

Wschodzące słońce niedawno wynurzyło się zza horyzontu i kończono ostatnie prace. Cieśle ustawiali ławy, robotnicy ściągali z wozów stoły i rozstawiali je na kozłach lub rozpinali lniane baldachimy osłaniające trybuny dla szlachetnie urodzonych.

Szesnaście tysięcy! Polites pomasował skronie. Głowa nie przestawała go boleć od pięciu dni. Szesnaście tysięcy ludzi, którzy muszą jeść, sikać, wypróżniać się, a w południe spożywać duże ilości chłodnej wody. Dla pospólstwa wykopano latryny, lecz dla szlachciców wzniesiono specjalne budynki, w których będą mogli sikać do nocników jak cywilizowani ludzie. Polites pomaszerował przez stadion, przechodząc pod wspartym na kolumnach dachem nowej palestry, gdzie będą przygotowywać się atleci. Niewidoczni dla publiczności zawodnicy będą omawiać taktykę z trenerami, wynajmować masażystów lub brać zimne kąpiele. Tutaj były też komnaty Asklepiosa, w których medycy i chirurdzy będą zajmować się poranionymi w niebezpiecznych dyscyplinach. Tu będą zszywane rozcięte twarze pięściarzy i nastawiane połamane kończyny woźniców rydwanów. Najwięcej rannych będzie właśnie podczas wyścigów rydwanów – szczególnie tych zaprzężonych w cztery konie. Polites wiedział, że nie tyle w wyniku zderzeń, ile upadków na ostrych zakrętach na obu końcach długiego, wąskiego toru. Rydwan musi przejechać tam między dwoma słupkami. Aby zmniejszyć odległość, wprawny woźnica ściąga wodze koni biegnących po wewnętrznej,

pozwalając ciągnąć dwóm pozostałym. W rezultacie rydwan ostrym skretem powinien wjechać między słupki. Wymaga to jednak precyzji. Przed dwoma laty Polites widział w Tracji paskudny wypadek. Woźnica Kreunos, znany ze swej zręczności, prowadził w wyścigu, lecz źle wyliczył skręt. Piasta koła uderzyła w słup, oś się złamała i rydwan przekoziółkował w powietrzu. Zaplątany w wodze Kreunos był bezradny. Konie poniosły i woźnica rozbił się o płot odgradzający tłum od toru. Prawa noga została niemal oderwana od ciała i Kreunos umarł kilka dni później.

W palestrze Polites zobaczył robotników, którzy pod okiem nadzorcy Chorosa, szczupłego Traka, napełniali wodą nowo wybudowane łaźnie. Polites darzył go bezgranicznym zaufaniem.

Pozornie łagodny Choros był niebywale skuteczny i pracując dla niego, tylko kompletny głupiec nie dawał z siebie wszystkiego.

– Witaj, panie – rzekł Choros. – Nie obawiaj się, będziemy gotowi.

– Regimenty będą tu wkrótce – powiedział Polites.

To była niepotrzebna uwaga. Choros doskonale wiedział, że to Dzień Sędziów. Politesowi zaschło w ustach i serce waliło mu jak młotem. Tuż po regimentach przybędzie Priam, a z nim wielu gości. Byłoby okropne, gdyby coś poszło nie tak pierwszego dnia igrzysk. Priam zbeształby go przy królach.

I tak mnie zbeszta, pomyślał. Jeśli mewa nasra na tor wyścigowy, to będzie moja wina.

Chociaż może nie dziś. Polites widział rano Priama, który wydawał się w radosnym nastroju.

Niechaj bogowie pozwolą, żeby to potrwało przez całe pięć dni igrzysk, modlił się Polites.

Zostawiwszy Chorosa z robotnikami, przeszedł przez budynek, wychodząc tylnym wyjściem na wąski chodnik prowadzący do stajni. Teraz były puste, lecz jeszcze tego dnia znajdą się w nich konie, które sędziowie sprawdzą i zakwalifikują do zawodów. Polites poszedł dalej, mijając trybuny dla tłumów, a potem przez bramę na tor wyścigowy. Tu zdjął sandały.

Niewolnicy pracowali wiele dni, usuwając wszystkie kamienie, zanim udeptali ziemię. Mimo to koła rydwanów będą głęboko zapadać się na zakrętach i było niemal pewne, że jakiś kamień pryśnie spod kół i polecą w tłum. Polites powoli przeszedł całą długość toru między słupami na zakrętach, oglądając nawierzchnię. Wiedział, że nowi sędziowie zrobią to samo, a będą patrzeć uważniej niż on.

Podczas ostatnich igrzysk przed pięcioma laty Polites był tylko widzem. Nie doceniał ogromu pracy włożonej w ich przygotowanie. Wiedział, że pokpiłby sprawę, gdyby nie pomoc przyrodniego brata, Antifonesa. To była przygnębiająca myśl. Polites opuścił tor i wspiął się na nasyp, usiadł na nowej ławie i przesunął dłonią po gładkim drewnie. Ani śladu drzazg.

– Pierwsze, co trzeba zrobić – powiedział Antifones, kiedy ojciec zlecił Politesowi to zadanie – to znaleźć dobrych nadzorców, którzy potrafią dopilnować wykonania prac. Przydziel każdemu robotnikowi konkretne zadanie, a potem wyznacz nadzorcę, który będzie koordynował prace.

Antifones jeszcze wtedy nie wydobywał z ran, ale braterskim okiem doglądał organizacji.

Polites był mu wdzięczny, a jednocześnie lekko urażony. Antifones był sprytny i błyskotliwy, a jego umysł z łatwością ogarniał skomplikowane sprawy. Polites zaś zawsze potrzebował czasu na przemyślenie problemu i nieodmiennie gubił się w alternatywach, nie potrafiąc podjąć decyzji.

Z ciężkim sercem siedział na ławie. W czym jesteś dobry, Politesie? – zadawał sobie pytanie.

Nie umiesz biegać ani dobrze jeździć konno. Nie jesteś wojownikiem ani myślicielem. Nagle pomyślał o swoim ogrodzie i radości, jaką z niego czerpał. Nawet to nie podniosło go na duchu, gdyż wiele nowych sadzonek uschnie teraz, kiedy musiał oddać swój pałac Agamemnonowi.

Niepodlewane, wyschną w prażącym słońcu.

W oddali usłyszał odgłos maszerujących oddziałów. Nadchodziły regimenty, które miały się tu zebrać i wybrać stu sędziów, Nieprzekupnych. No, to coś, za co należy być wdzięcznym, pomyślał. Mogłeś być żołnierzem i wybrano by cię do tak niewdzięcznego zadania. Zastanawiał się, dlaczego zwyczajny żołnierz godzi się zostać sędzią. Przez pięć dni, mierzony gniewnymi spojrzeniami królów i szlachetnie urodzonych, sędziowie będą decydowali o wynikach wyścigów i pojedynków, na które postawiono fortuny. Będą znosić gniew monarchów, a czasem wściekłość tłumów. I nie dostaną za to żadnej nagrody poza małą pamiątką w kształcie srebrnego dysku z wytłoczoną podobizną Ojca Zeusa. Przez pięć dni ci wieśniacy będą mieli władzę równą królewskiej, z której będą musieli mądrze korzystać, nikogo nie faworyzując.

No cóż, w teorii. Czy jakiś sędzia sprzeciwiłby się Priamowi, wiedząc, że po upływie pięciu dni znów będzie zwykłym żołnierzem zdany na kaprysy króla? Akurat.

Polites wstał z ławy i wrócił po torze wyścigowym, włożył sandały i przeszedł przez stajnie do palestry, żeby obserwować wybory sędziów. Wkrótce będzie tu ojciec. Politesa ścisnęło w dołku. Co przeoczyłem? – zastanawiał się. Jaki okropny błąd popełniłem?

W gęstym tłumie Kalliades i Banokles wspinali się po długim zboczu do Bramy Skajskiej. Banokles cieszył się z zejścia na ląd, lecz Kalliades podupadł na duchu, gdy zobaczył miasto.

Podróż minęła jak sen, bez poczucia upływającego czasu. Stał z Pirią na pokładzie *Penelopy*, spacerował z nią po oblanych blaskiem księżyca plażach, śmiał się i żartował. Teraz byli tutaj, dotarli do celu podróży. Przerazała go myśl, że wkrótce pożegna się z Pirią. Ona nigdy cię nie pokocha, mówił sobie. Lepiej ją pożegnać, niż patrzeć, jak pada w ramiona kochanki, nawet nie obejrzawszy się za siebie. Nie, wcale nie lepiej. To, że miałby obudzić się któregoś dnia i nie zobaczyć jej twarzy, było nie do pomyślenia.

– Widziałeś kiedyś Odyseusza tak rozgniewanego? – zapytał Banokles. – Myślałem, że wpadł w furję, kiedy walczyliśmy z piratami, ale dzisiaj był tak czerwony, że bałem się, iż lada chwila krew tryśnie mu uszami.

– Był wściekły – przyznał Kalliades, wspominając moment, gdy Odyseusz próbował skierować *Penelopę* na prywatną plażę Priama.

Łódka z nadzorcą plaży i kilkoma marynarzami przecięła ich kurs.

– Nie możecie tu przybić – krzyknął nadzorca.

Odyseusz skoczył na dziób i gniewnie spojrzał na nadzorcę.

– Ty durniu! – zawołał. – Jestem Odyseusz, król Itaki. Są ze mną Nestor z Pylos i Idomeneos z Krety. Tutaj przybijają statki wszystkich królów. Teraz rusz się albo cię zatopię.

Nadzorca zawołał coś do żołnierzy na brzegu. Około dwudziestu przybiegło bliżej, z dłońmi na rękojeściach mieczy.

– Moje rozkazy są jasne, królu Odyseuszu – powiedział. – Mam nie wpuszczać tu żadnych nowych statków. Możesz zatopić moją łódź, ale żołnierze i tak nie pozwolą ci dobić do brzegu. Dojdzie do rozlewu krwi. Obiecuję ci to.

Kalliades odsunął się od Odyseusza. Władca Itaki został upokorzony na oczach załogi i dwóch innych królów. Brzydki Król stał, mrugając w słońcu, niemal oniemiały. To Bias wydał wioślarzom rozkaz wycofania *Penelopy* i skierował ją dalej wzdłuż brzegu. Przybili spory kawałek od miasta i wszyscy zeskoczyli na piach. Odyseusz został na rufie, z rękami założonymi na piersi. Dwaj królowie, Nestor i Idomeneos, nie rozmawiali z nim, opuszczając statek. Nawet Bias odszedł bez słowa.

Piria podeszła do Kalliadesa.

– Ta zniewaga zraniła go jak sztylet – powiedziała.

– Obawiam się, że tak. Banokles i ja pójdziemy do miasta, żeby wziąć udział w igrzyskach – rzekł. – Chcesz nam towarzyszyć?

– Nie mogę. Mogłabym zostać rozpoznana przez... przez tych, którzy mogliby mnie skrzywdzić. Odyseusz radzi, żebym została tutaj.

I Kalliades z Banoklesem ją zostawili.

Kalliades przystanął, żeby zapytać o drogę żołnierza przy Bramie Skajskiej. Potem obaj poszli dalej, oddalając się od tłumu. Banokles zauważył dwie dziwki, siedzące w cieniu budynku, i pomachał do nich.

– Musimy znaleźć miejsce zbiórki – powiedział Kalliades.

Banokles westchnął.

– I nie mamy co postawić. Powinienem wiedzieć, że ten drań nie odda napierśnika.

Przekleństwo na wszystkich królów!

Kalliades przystanął. Ulice rozchodziły się we wszystkich kierunkach i zapatrzył się na wsparte kolumnami budynki.

– Zgubiliśmy się?

– Jeszcze nie – odparł Kalliades, ruszając dalej.

– Mamy już jakiś plan?

– Czego?

– Życia w Troi. Na przykład... gdzie będziemy mieszkać?

Kalliades zaśmiał się.

– Byłeś przy tym, jak Odyseusz mówił nam, że zostaniemy zakwaterowani w pałacu Hektora. Stałeś tuż obok mnie.

– Nie słuchałem. Tobie zostawiam takie sprawy. Czy zauważyłeś, jak grube są mury otaczające miasto? Kiedy byliśmy tu poprzednio, wydawały się spore, ale za dnia są ogromne. Nie chciałbym wchodzić na nie po drabinie.

– Nie będziesz musiał. Nie jesteśmy już Mykeńczykami. Co mi przypomina... gdybyśmy spotkali kogoś znajomego, nie pozdrawiaj go ani do niego nie podchodź.

– Dlaczego miałbym zrobić coś tak głupiego?

– Przepraszam, przyjacielu. Tylko głośno myślę. W mieście panuje rozejm na czas igrzysk, lecz za nasze głowy wyznaczono nagrodę. A będzie tu wielu Mykeńczyków.

W końcu znaleźli drogę na miejsce zbiórki, na północny wschód od miasta. Rozstawiono tam mnóstwo namiotów i skrybowie zapisywali imiona zawodników przy dziesiątkach stołów.

W końcu Kalliades i Banokles zapisali się i otrzymali cienkie miedziane krążki z wytłoczonymi numerami oraz obrazkami wybranych dyscyplin. Kazano im wrócić nazajutrz na wstępne eliminacje.

Na skraju pola urządzono kuchnię – dwa doły z węglem drzewnym, nad którymi piekły się nadziane na rożny byki. Obaj mężczyźni usiedli w cieniu dużego płóciennego baldachimu i jedli.

– Myślę, że ten byk padł ze starości – narzekał Banokles. – Nie jadłem tak żyłastego mięsa od czasu, gdy najechaliśmy Spartę. Pamiętasz? Tego starego kozła, którego zabił Eruthros? Przysięgam, że składał się tylko z kopyt, ścięgien i kości. Nie było na nim nawet kawałka mięsa.

– Kończyły nam się racje – wspominał Kalliades. – Pamiętam, że wykopywałem korzonki i zrywałem korę z drzew, żeby dodać do polewki.

– Dobrzy wojownicy, ci Spartanie. Gdyby było ich więcej, bylibyśmy w prawdziwych opałach. – Banokles się zaśmiał. – Musieli naprawdę rozgniewać bogów, no nie? Najpierw przegrali bitwę, a potem ich królem został Menelaos.

– Zawsze go lubiłem – powiedział Kalliades.

– Trudno go nie lubić – przyznał Banokles. – Ale ten człowiek jest miękki jak szczenię i ma brzuch jak cielna krowa.

– Raz z nim rozmawiałem – rzekł Kalliades. – Tamtej nocy, zanim zdobyliśmy Spartę. Był przerażony i wciąż wymiotował. Mówił, że chciałby po prostu wrócić na swoją farmę. Krzyżował swoje krowy z bykami z Tesalii. Twierdził, że dzięki temu dają dwa razy więcej mleka.

– Więcej mleka? – powtórzył Banokles. – Na bogów, w dzisiejszych czasach każdy może być królem.

– Tak, jeśli jest bratem Agamemnona. Jednak oddaj sprawiedliwość Menelaosowi. Chociaż przerażony, włożył zbroję i wziął udział w ataku. A nie musiał. Mógł zaczekać z tylną strażą.

Banokles nie wyglądał na przekonanego. Nagle się rozpromienił.

– Myślisz, że w pałacu Hektora będą niewolnice? – zapytał.

– Nie wiem – zachichotał Kalliades. – Jeśli będą, to wątpię, czy kazano im baraszkować z żeglarzami.

– Może same zechcą.

– Myślę, że lepiej znaleźć jakąś dziwkę. W ten sposób nie obrazisz Hektora.

– Och, dobry plan – zadrwił Banokles. – Dziwkom trzeba płacić.

Kalliades sięgnął do mieszka przy pasie i wyjął pięć srebrnych pierścieni. Banokles był zdumiony.

– Skąd je masz?

– Dał mi Odyseusz. I obiecał jeszcze pięćdziesiąt. Sprzedałem mu napierśnik Idomeneosa.

– Jest wart więcej niż pięćdziesiąt pięć srebrnych pierścieni.

Kalliades pokręcił głową.

– Nie dla mnie. Idomeneos jest królem. Nie mogę domagać się od niego zwrotu honorowego długu. Odyseusz może. To proste. A teraz mów, chcesz te pierścienie?

Banokles się uśmiechnął.

– Raczej tego, co można za nie kupić.

– No cóż, najpierw znajdziemy pałac Hektora.

Dwaj przyjaciele opuścili miejsce zbiórki i poszli z powrotem przez miasto.

– Ile kobiet kupię za pięć pierścieni? – zapytał Banokles.

– Zapomniałem spytać Odyseusza, ile tu biorą dziwki.

– To niepodobne do ciebie zapominać o takich ważnych sprawach – zauważył Banokles. – Pójdiesz ze mną zapolować?

– Nie. Wrócę na statek. Odyseusz kazał Pirii spać na *Penelopie*. Ma przyjść do pałacu później.

– Dlaczego?

– Odyseusz chce się dowiedzieć, czy inni królowie zatrzymali się w pobliżu pałacu Hektora. Mogłaby znaleźć się w niebezpieczeństwie, gdyby została rozpoznana.

– Zatem spędzisz noc, strzegąc Pirii? – Banokles pokręcił głową. Przed nimi ulica się rozszerzała i ujrzeli targowisko zapchane straganami. Były tam sklepy i kilka jadłodajni ze stołami ustawionymi pod kolorowymi baldachimami. Banokles złapał Kalliadesa za ramię. – Chodź – powiedział. – Musimy porozmawiać.

– Już rozmawialiśmy.

– Do tego rodzaju rozmowy muszę się napić – rzekł Banokles. Kalliades poszedł za nim do stolika stojącego pod zimną kamienną ścianą. Banokles zamówił wino, napelnił sobie kielich i wypił. – Zadurzyłeś się, Kalliadesie?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Myślę, że wiesz. Zakochałeś się w Pirii.

– Ja tylko troszczę się o jej bezpieczeństwo.

– A świński gnój pachnie jaśminem! Lubię tę dziewczynę, Kalliadesie, więc dobrze

mnie zrozum. Ona ma odwagę i serce i gdyby to leżało w jej naturze, byłaby dobrą żoną. Jednak to nie leży w jej naturze. Wiesz równie dobrze jak ja, że ukochana osoba, której szuka, to kobieta.

Kalliades westchnął.

– Nie postanowiłem jej kochać – rzekł. – Jednak postanowiłem ją chronić i obiecałem dopilnować, żeby bezpiecznie dotarła do swojej ukochanej. Zrobię to, a potem się rozstaniemy.

– Czy to obietnica?

Kalliades nalał sobie kubek wina i upił łyk. Milczenie się przedłużało.

– Tak myślałem – powiedział Banokles. – Na co więc tak naprawdę masz nadzieję? Że kochanka ją odepchnie? Że pocieszysz ją w smutku? Tak się nie stanie. Bracia nie mogą pomóc w taki sposób siostrze. A ona widzi w tobie brata. I zawsze tak będzie.

– Wiem o tym – odparł Kalliades. – Wiem, że wszystko, co mówisz, jest prawdą, a jednak... Wiem także, że jest jakiś powód tego, że wkroczyła w moje życie. Nie mogę tego wyjaśnić, Banoklesie. Miałem ją spotkać. To prawda, którą rozumie moja dusza.

Patrząc w jasne oczy przyjaciela, nie znalazł w nich podobnego zrozumienia. Po chwili Banokles wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– Rób to, co musisz, przyjacielu. Idź i spaceruj w świetle księżyca z kobietą, którą kochasz. Ja znajdę taką, która mnie nie kocha, i będę ją chędożył, aż oczy wyjdą mi z orbit.

Napięcie między nimi znikło i Kalliades się roześmiał.

– To dobry plan – powiedział. – Prosty i skuteczny, z wyraźnie nakreślonym celem. Mam nadzieję, że zdołasz go zrealizować.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ jak wypijesz za dużo wina, masz skłonność szukać okazji do bójk.

– Nie dzisiaj – powiedział Banokles. – Dzisiejszy wieczór jest dla wina i kobiet. Daję ci na to słowo.

XIX. ŁUK DLA ODYSEUSZA

Wielu ludzi mówiło o swej miłości do Troi, rozwodząc się nad jej pięknem. Dla Dużej Rudej była po prostu kamiennym miastem, miejscem, gdzie zarabia się srebrne pierścienie i złote błyskotki. Uważała, że uczucie, o którym mówili, było tak naprawdę umiłowaniem bogactwa.

Troja była zamożna i ci, którym dobrze się tu powodziło, szybko się bogacili. Nawet stary piekarz, do którego domu teraz się wlokła, nosił złote pierścienie i miał powóz, żeby jeździć po mieście. Jego chleby i ciasta kupowali szlachetnie urodzeni, aby podawać je na ucztach i biesiadach. Piekarz miał sześciu niewolników i gospodarstwo pod miastem, dostarczające mu mąkę. Był dobrym klientem. Jego pożądanie było krótkotrwałe i łatwo je było zaspokoić, a swoją wdzięczność wyrażał szybko i należycie. Po długim dniu Ruda nie miała ochoty zabawiać młodszego klienta.

Wlokła się bocznymi uliczkami, z zarobionymi tego dnia srebrnymi pierścieniami nawleczonymi na rzemyk i ukrytymi w fałdach długiej czerwonej sukni. Pierścienie były oddzielone od siebie cienkimi drewnianymi krążkami, zapobiegającymi pobrękiwaniu przy każdym kroku. Na uliczkach dolnego miasta roiło się teraz od rzezimieszków i złodziei, w większości pracujących dla Silfanosa, a chociaż zapłaciła – jak wszystkie dziwki z dolnego miasta – miesięczną daninę dla niego, rozsądnie było ukryć utarg. W sakiewce u boku miała garść miedzianych pierścieni na wypadek, gdyby napadł ją jakiś początkujący rabuś.

Miała udany dzień i gdyby nie to, że piekarz dobrze jej płacił, wróciłaby do domu i usiadła w ogródku z dzbanem wina. Jednak w spiżarni nie miała nic do jedzenia i miała ochotę na miodowe ciastka, które piekł.

Bolał ją krzyż i była głodna. Myśl o miodowych ciasteczkach gnała ją naprzód.

Przeszedłszy przez niskie arkady, wyszła na mały plac. Dobiegły ją śmiechy i zobaczyła grupką siedzących po drugiej stronie ludzi. Jednym z nich był Silfanos. On i trzech jego kompanów pili z jakimś młodym, potężnie zbudowanym wojownikiem w starym napierśniku.

Nie ulegało wątpliwości, że jasnowłosa mężczyzna jest pijany i szczęśliwy. Człowiek powinien umierać szczęśliwy, pomyślała. Kiedy zapadnie noc i na ulicach będzie pusto, Silfanos i jego ludzie rzucają się na pijanego i go obrabują. Ten napierśnik zapewne jest wart z dziesięć pierścieni.

Ruda ruszyła dalej, ale pijany zauważył ją i wstał.

– Czekaj! – zawołał. – Proszę!

Spojrzała na niego groźnie, gotowa odeprzeć niezdarne zaloty. Jednak on nie próbował jej dotknąć, tylko stał z rozdziawionymi ustami.

– Na bogów – powiedział – myślę, że jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem w życiu.

– Każda kobieta jest piękna dla mężczyzny tak zamarynowanego w winie – warknęła.

– Nieraz piłem wino – rzekł – ale nigdy nie widziałem nikogo takiego jak ty. Masz.

Wyjął z sakiewki srebrny pierścień i wcisnął jej w dłoń.

– Zabierz go – powiedziała. – Nic dla ciebie nie mam.

– Nie. To tylko za twoją urodę. Sam twój widok raduje moje serce. Na bogów, warto było przepłynąć Wielką Zieleń tylko po to, żeby tu stać i na ciebie patrzeć.

Zerknąwszy przez ramię, zobaczyła, jak chudy Silfanos daje jej znak, żeby sobie poszła.

Kiwnęła głową i zaczęła odchodzić.

– Jak masz na imię? – zawołał wielkolud.

– Mówią na mnie Ruda.

– Ja jestem Banokles. Musimy znów się spotkać, Ruda.

Ignorując go, poszła dalej. Silfanos był nędznikiem i mordercą. Jeśli ona i ten pijak znów się spotkają, to nie po tej stronie Ciemnej Drogi.

Zanim doszła do domu piekarza, na ulicach było ciemno. Nagle zauważyła, że wciąż trzyma w ręku srebrny pierścień, który dał jej mężczyzna. Przystanęła przed drzwiami i wsunęła pierścień do sakiewki.

Ten głupiec zapłacił tylko za to, żeby na nią popatrzeć. Mimo wszystko ujęło ją to. Potem poczuła gniew. To idiota, powiedziała sobie. Piekarz przygotował tacę ciasteczek, lecz mimo głodu zignorowała je, powiedziała, jak niecierpliwie czekała na ich spotkanie, pogłaskała po twarzy i pocałowała w policzek. Objąwszy ją ramieniem, zaprowadził do sypialni, a potem leżał, gdy ona dotykała go i pieściła.

– Dlaczego za mnie nie wyjdiesz, Ruda? – zapytał, jak to robił już wielokrotnie.

– Ciesz się tym, co masz – odparła.

– Chcę więcej, Ruda.

– Wszyscy mężczyźni chcą więcej.

– Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

– Nie musisz. Jestem tu.

Powiedziawszy to, wykorzystała swoje umiejętności nabyte podczas dwudziestu lat uprawiania zawodu. Po krótkiej chwili jego szczęście było pełne. Uprzejmie leżała przy nim, dopóki nie zasnęła, a potem poszła do kuchni i zjadła kilka ciastek. Gdyby był równie dobrym kochankiem jak kucharzem, poślubiłaby go w mgnieniu oka.

Przygotował jej też koszyk z chlebem. Wzięła go i opuściła dom piekarza. Zamierzała wrócić do siebie inną drogą, nie chcąc przechodzić obok trupa jasnowłosego mężczyzny, albo – jeszcze gorzej – zobaczyć, jak Silfanos i jego ludzie go mordują. Była jednak zmęczona i nie chciało jej się nadkładać drogi. Postanowiła podkraść się na skraj placu, wyjrzeć zza rogu i w razie potrzeby po cichu odejść, nie wychodząc z cienia.

Kiedy doszła do rogu, nie usłyszała żadnych śmiechów czy śpiewów, więc domyśliła się, że już po wszystkim. Spojrzawszy na plac, ze zdumieniem zobaczyła jasnowłosego, który wciąż tam siedział z kubkiem wina w dłoni. Na ziemi wokół niego leżały ciała czterech mężczyzn. Mimo woli z jej ust wyrwał się cichy okrzyk. Wojownik usłyszał ją i podniósł głowę.

– Ruda! – zawołał uszczęśliwiony. – Wróciłaś!

Wstał, ale zaraz znów usiadł.

– Och... – Usłyszała, jak mamrocze. – Chyba wypłem za dużo wina.

Ruda wyszła na plac i przyjrzała się ciałom. Nie było wśród nich Silfanosa.

– Nie żyją? – spytała.

Poważnie rozważył to pytanie.

– Możliwe. – Kopnął najbliższej leżącego, a ten jęknął. – Chociaż może nie.

– Gdzie jeszcze jeden?

– Uciekł. Na bogów, widziałem psy, które nie umiały biegać tak szybko. – Zachichotał i beknął. – To był dobry dzień, Ruda. Najadłem się do syta, chędożyłem... – Podniósł rękę i policzył na palcach. – Cztery razy. I stoczyłem ładną walkę. Jednak najlepsze było to, że spotkałem ciebie.

– Musisz stąd odejść – powiedziała. – Tamten mężczyzna wkrótce wróci i przyprowadzi ze sobą więcej rabusiów.

– Zatłukę ich jak muchy – zawołał, machnął ręką i klapnął na ziemię. Mruknął coś i podniósł się. – Muszę się odlać – rzucił, podkasał tunikę i oddał mocz na najbliższej leżącego nieprzytomnego bandytę. – Głupi złodzieje – mruknął, gdy skończył. – Kiedy miałem pierścienie, siedzieli i pili ze mną. A kiedy nie został mi ani jeden, próbowali mnie obrabować.

– Chcieli zabrać ci napierśnik – powiedziała. – Chodź już. Pora iść.

– Nie mam już pierścieni, Ruda. Nie mam ci co dać.

– Po prostu chodź ze mną, idioto! – wybuchnęła. – Inaczej będziesz tu leżał martwy!

Podeszła, wzięła go pod rękę i pociągnęła przez plac. Uśmiechnął się do niej, po czym zerknął na koszyk, który niosła.

– O, chleb! – zauważył. – Możemy przystanąć i zjeść? Trochę zgłodniałem.

– Za chwilę – obiecała, ciągnąc go dalej. – Gdzie się zatrzymałeś?

– W pałacu – powiedział. – Jakimś. Z Kalliadesem. To mój przyjaciel.

– Nie znam żadnego Kalliadesa.

Poszli dalej wąskimi zaułkami i bocznymi uliczkami, aż w końcu wyszli na szeroką aleję.

– Teraz muszę się zdrzemnąć – powiedział Banokles, osuwając się na ścianę budynku.

W oddali Ruda usłyszała gniewne krzyki.

– Nie możesz tu spać – powiedziała. – Mój dom jest już blisko. Zdołasz tam dojść?

– Z tobą? Do twojego domu? – Znów się do niej uśmiechnął, nabrał tchu i oderwał się od ściany. – Prowadź, ślicznotko!

Doszli do następnej bocznej ulicy. Tam Banokles przystanął, upadł na kolana i wymiotował.

– Teraz lepiej – mruknął.

Zza rogu wybiegli dwaj mężczyźni. Ruda pośpiesznie schowała się w cieniu. Tamci rzucili się na Banoklesa. Jeden z nich miał pałkę. Banokles zobaczył ich i z bojowym okrzykiem ruszył im na spotkanie. Ruda zobaczyła, jak uderzył pierwszego, zwalając go z nóg. Drugi napastnik skoczył na niego. Wojownik złapał go, podniósł nad głowę i cisnął nim w nieprzytomnego kamrata. Potem Banokles się zatoczył, a następnie podbiegł do podnoszącego się napastnika.

Olbrzymią pięścią rąbnął go w podbródek i bandyta osunął się na ziemię.

Podniósłszy jego pałkę, Banokles chwiejnie ruszył w kierunku alei. Ruda podbiegła do niego.

– Nie tędy, głupcze! – syknęła.

– Och, witaj, Ruda. Myślałem, że mnie zostawiłaś.

– Chodź za mną – rozkazała.

Posłusznie poszedł, z pałką na ramieniu. Przeprowadziła go przez bramę na tyłach domu i zamknęła ją drewnianą antabą.

Kiedy znaleźli się w środku, zapaliła lampę. Banokles opadł na krzesło. Odchylił głowę do tyłu i zaczął cicho pochrapywać. Ruda stała nad nim, przyglądając mu się w świetle

lampy.

– Muskuły osła, mózg wróbla – mruknęła.

Zostawiwszy go na krześle, poszła do sypialni na tyłach domu. Zdjęła suknię, przewiesiła ją przez oparcie krzesła, a potem schowała srebrne pierścienie w skrytce w ścianie i położyła się do łóżka. Właśnie zasypiała, gdy usłyszała głos mężczyzny. Wołał ją.

– Jestem tutaj – powiedziała zirytowana.

W progu zobaczyła nagą postać. Wszedł, zawadził o krzesło, po czym opadł na łóżko, odchyliwszy pościel, i położył się obok niej.

– Nie przyjmuję klientów we własnym łóżku – powiedziała.

– Och, nie obawiaj się, Ruda – odparł sennie. – Teraz nie jestem w stanie chędożyć.

Po chwili, przytuliwszy do niej ciepłe ciało, zasnął.

Odyseusz przyszedł na miejsce zbiórki, trzymając w ręku swój łuk, Akilinę, i niosąc na ramieniu kołczan pełen długich strzał. Spoglądał przed siebie z udawaną bez troską, ale serce waliło mu jak młotem i był nerwowy jak żreback. Ze wszystkich przyjemności tego świata tylko dwie mogły się równać z radością, jaką dawał udział w igrzyskach: tulenie żony w chłodną zimową noc i widok żagla *Penelopy* wydętego przez pierwszy wiosenny wiatr.

Nawet ogromna satysfakcja, jaką daje snucie opowieści, bladła w porównaniu z radością współzawodnictwa, gdy nakładał strzałę na cięciwę swego potężnego łuku i puszczał w cel.

Nieważne, czy były to ruchome tarcze ciągnięte na wózkach czy słomiane kukły zwierząt lub ludzi. Odyseusz uważał, że jeśli ma jakiś prawdziwy talent, to jest nim umiejętność strzelania z łuku – robił to lepiej niż jakikolwiek inny śmiertelnik.

Na drugim końcu pola zebrał się wielki tłum i wielu zawodników już stało na stanowiskach.

Odyseusz dostrzegł Merionesa – który dotychczas pokonał go raz w pięciu zawodach – oraz synów Nestora, którzy będą mieli szczęście, jeśli uda im się przejść do następnej rundy.

Dzień był pogodny, słońce świeciło jasno i wiał łagodny wietrzyk. Pośliniwszy palec, Odyseusz sprawdził siłę wiatru. Nie był dostatecznie silny, żeby wypuszczona z Akiliny strzała nie trafiła w cel.

Pomimo ekscytacji nie zapomniał o przykrościach poprzedniego dnia. To, że musiał przybić do brzegu w sporej odległości od bram miasta, rozgniewało go i zawstydziło. Taka zniewaga sama w sobie była upokarzająca, ale wyrządzona w obecności Nestora i

Idomeneosa wprost nie do zniesienia. Żaden z nich tego nie skomentował, co jeszcze pogarszało sprawę – krótka wymiana zdań dałaby mu okazję do obrócenia wszystkiego w żart.

Jednak dzisiaj świat nieco pojaśniał. Gdy tylko Odyseusz dotarł do miasta, zapytał o Helikaona i dowiedział się, że wydobrzył on z ran zadanych przez najemnego zabójcę. Ta radosna wieść podniosła go na duchu, lecz mimo to nie mógł zapomnieć o doznanej poprzedniego dnia zniewadze. Nadzorca plaży nie odważyłby się podjąć takiej decyzji, gdyby nie otrzymał rozkazu od kogoś wyższego rangą. Tym kimś mógł być tylko Priam. A to zdumiewało Odyseusza, gdyż choć nie był przyjacielem króla Troi, zachowywał neutralność. W tych niespokojnych czasach, gdy wojna wisiała na włosku, czynienie sobie z niego wroga było szaleństwem. Może, doszedł do wniosku, wcale nie chodziło o mnie. Może chciał w ten sposób znieważać Idomeneosa i Nestora. To jednak także byłoby głupotą, gdyż Priam potrzebował obu władców w swoim obozie, jeśli chciał pokrzyżować plany Agamemnona.

Odsuwając od siebie takie myśli, Odyseusz przeszedł przez pole. Podchodząc do czekających, by wziąć udział w turnieju, czuł na sobie spojrzenia wszystkich obecnych. Popatrzył wzdłuż szeregu i zobaczył, że cele to słomiane kukły stojące najwyżej pięćdziesiąt kroków dalej.

– Na Hermesa, Merionesie, na tak niewielką odległość można by rzucić strzałę – narzekał.

– Istotnie, mój przyjacielu – odparł czarnobrody Meriones. – Przy takiej odległości chyba nikt nie zostanie wyeliminowany.

Aby zabawić tłum, Odyseusz i Meriones wyszli naprzód i zaczęli słać strzałę za strzałą do najbardziej oddalonych celów. Ludzie wiwatowali i tupali. W końcu, opróżniwszy kołczany, obaj przyjaciele wyszli na pole, żeby pozbierać strzały.

– Dziwne było to wczorajsze zdarzenie – zauważył Meriones.

– To była zniewaga, nie inaczej – powiedział Odyseusz. – Może niewymierzona we mnie. Priam nie przepada za Idomeneosem.

Meriones pokiwał głową.

– To prawda, ale czy ryzykowałby jego wrogość przy tak wysokiej stawce? Czy zrobiłeś coś, co mogło wywołać gniew Priama?

– Nic o tym nie wiem.

Gdy wracali do innych łuczników, wzdłuż ich szeregu nadszedł trojański żołnierz z żółtą szarfą sędziego, wzywając zawodników z numerami od jeden do dwudziestu, aby wystąpili.

Odyseusz, mający krążek z numerem jedenaście, wystąpił razem z Merionesem.

Sędzia był przystojnym młodzieńcem o płomiennorudych włosach i bystrych niebieskich oczach. Spojrzał na ich łuki.

– Bądźcie tak dobrzy i zostawcie swoje łuki przyjaciom – rzekł. – Wszyscy łucznicy mają strzelać z łuków z naszej zbrojowni.

– Co? – zawrzał gniewem Odyseusz.

Inni łucznicy również zaczęli protestować. Sędzia uciszył ich, podnosząc ręce.

– Z rozkazu króla ten turniej ma być sprawiedliwą oceną umiejętności każdego łucznika. Wielu z was ma łuki pięknej roboty, jedni z rogu, inni z drewna i rzemieni. Ty, królu Odyseuszu, masz legendarną Akilinę. Dobrze wiadomo, że można z niej wypuścić strzałę dalej niż z jakiegokolwiek innego łuku na świecie. Czyż więc ten pojedynek byłby sprawiedliwy? Są tu ubodzy ludzie, którzy wycięli sobie łuki z karłowatych drzew. Czy powinni mieć mniejsze szanse, ponieważ ty masz Akilinę?

Odyseusz nic nie powiedział, ale Meriones go wyręczył.

– Słuszna uwaga – przyznał. – Przynieście swoje łuki i pozwólcie nam je wypróbować.

Przyszło kilku żołnierzy, niosąc lżejsze łuki egipskiego typu, każdy zrobiony z jednego kawałka drewna, a nie z kilku części, zapewniających większą siłę i elastyczność. Młody żołnierz podszedł do Merionesa. Niósł dwa łuki i podając jeden czarnobrodemu łucznikowi, jakby lekko się zawahał. Cofnął się i spojrzał na sędziego.

– Dalej. – Ten go ponaglił.

Młodziak podał Merionesowi łuk, który trzymał w prawym ręku. Łucznik wziął broń i kilkakrotnie napiął cięciwę. Drugi łuk żołnierz dał Odyseuszowi.

– Na bogów – rzekł głośno Odyseusz, ważąc broń w ręku. – Mógłbym zrobić lepszy z suszonego krowiego łajna. Strzel z niego do królika, a zacnie drapać się po dupie i zastanawiać, która pchła go ucięła.

Tłum ryknął śmiechem.

Inni żołnierze przynieśli wiadra strzał i postawili przed zawodnikami. Potem sędzia znów przemówił.

– Każdy łucznik wypuści pięć strzał. Dziesięciu pierwszych przejdzie do drugiej rundy.

– To lekka broń – narzekał Meriones. – Za słaby naciąg na taki wiatr. – Zwrócił się do sędziego: – Czy przynajmniej możemy wypróbować te łuki?

Sędzia przecząco pokręcił głową i wezwał łuczników na stanowiska.

Gdy wydał rozkaz, wszyscy napięli cięciwy. Nagle dał się słyszeć głośny trzask. Łuk Odysusza pękł i strzała upadła na ziemię.

– Przynieście mi inny łuk! – krzyknął.

Żołnierz przyniósł mu drugi łuk. Odysusz uspokoił się, starannie wycelował i strzelił. Wiatr zniósł strzałę, która o włos chybiła celu. Teraz, wyczuwając już broń, posłał trzy następne w pierś słomianej kukły. Potem zawołał o piątą strzałę.

– Już miałeś pięć, Odysuszu – powiedział sędzia.

– Jesteś imbecylem? Łuk pękł przy pierwszej.

– Taka była wola bogów. Trafiłeś trzy razy na pięć. Przykro mi, królu Odysuszu, zostałeś wyeliminowany.

Tłum ucichł. Odysusz, największy z łuczników, cieszący się sławą wokół Wielkiej Zieleni, nie przeszedł przez wstępne eliminacje. Cisnął łukiem o ziemię, chwycił Akilinę i błyskawicznie posłał strzałę w najbardziej oddalony cel. Z taką siłą uderzyła w pal podtrzymujący słomianą kukłę, że przytrzymujące ją sznurki pękły i spadła na ziemię.

Odysusz odwrócił się do sędziego.

– Ty tępy krowi synu! Myślisz, że ten tłum przyszedł tu oglądać dorosłych mężczyzn bawiących się patykami i sznurkiem? Przyszli tu popatrzeć na największych łuczników i najlepsze łuki. Przyszli zobaczyć Akilinę i czarny łuk Merionesa. Przyszli na wielki turniej, a nie na żałosny pokaz miernoty.

Z tymi słowami odszedł, płonąć ze wstydu. Meriones go dogonił.

– Poczekaj, przyjacielu! – zawołał. – Chodź, poszukajmy czegoś chłodnego do picia.

– Nie mam ochoty na towarzystwo, Merionesie.

– Wiem. Na twoim miejscu też bym nie miał. Jednak posłuchaj mnie, Odysuszu. Sędzia był nadgorliwy. Powinien ci pozwolić wypuścić następną strzałę.

Odysusz przystanął.

– Nie lubię przegrywać, Merionesie. Wszyscy to wiedzą. Jednak coś wisi w powietrzu i nie podoba mi się ten zapach. Czy zauważyłeś, co zrobił ten młody żołnierz, kiedy podawał ci łuk?

Najpierw dał ci ten, który trzymał w lewej dłoni, ale zaraz cofnął rękę i podał ci ten z prawej.

– Tak, zauważyłem. I co z tego? Myślisz, że zostałeś oszukany?

– Nie wiem, Merionesie. Wiem tylko, że zostałem tu już dwukrotnie ośmieszony.

Sędzia wezwał zawodników na stanowiska. Meriones nachylił się do Odysusza.

– Przykro mi, przyjacielu. Jednak cokolwiek się tu dzieje i tak wszyscy wiedzą, że

jesteś największym łucznikiem na świecie.

– Idź! Idź i wygraj ten przeklęty turniej.

Meriones pobiegł przez pole. Odyseusz obszedł plac zbiórki, obserwując inne turnieje. Bias przeszedł przez dwie pierwsze rundy rzutu oszczepem, a Leukon pokonał dwóch przeciwników w turnieju pięściarskim. Nawet ten ladaco Banokles wywalczył sobie miejsce w następnej turze.

Ponieważ uroczystego otwarcia miano dokonać dopiero późnym popołudniem, dotknięty i wściekły Odyseusz wrócił na *Penelope*.

Kiedy wszedł na statek, Piria siedziała spokojnie pod daszkiem na pokładzie rufowym.

– Nie spodziewałam się zobaczyć cię tak szybko – powiedziała. Ta uwaga nie poprawiła mu humoru. Piria podała mu kubek wody. – Widziałeś Andromachę?

Opróżniwszy kubek, pokręcił głową.

– Opuściła pałac i przeniosła się na farmę Hektora.

– Zatem pójdę tam.

– Tak, będziesz musiała, ale jeszcze nie teraz. W mieście roi się od cudzoziemców. Jest tu twój ojciec i brat, wraz z liczną świtą. Ryzyko, że ktoś cię rozpozna, jest zbyt wielkie. Za pięć dni wszyscy królowie wyjadą.

– Jestem gotowa zaryzykować tę wyprawę teraz – powiedziała.

Gniew Odyseusza, który przez cały dzień wrzał tuż pod powierzchnią, teraz znalazł ujście.

– Ty głupia dziewczyno! – ryknął. – Oczywiście, że jesteś gotowa zaryzykować. A kiedy zostaniesz schwyтана, uganiając się za utraconą miłością, cała moja załoga może zostać skazana na śmierć. Ostatni człowiek, który pomógł uciekinierce z Tery, został spalony żywcem wraz z rodziną. Myślisz, że pozwoliłbym jeszcze bardziej narażać życie moich ludzi dla marnych pięciu dni? Na bogów, dziewczyno, spróbuj mnie nie posłuchać, a sam cię wydam.

Siedziała nieruchomo, patrząc na niego szeroko otwartymi, przestraszonymi oczami.

Odyseusz poczuł, że przechodzi mu złość. Co ty robisz? – zapytywał się. Ta dziewczyna wiele wycierpiała – i nie tylko przez kilka ostatnich dni. Teraz ty chcesz ją straszyć?

– Wybacz mi ten wybuch – powiedział w końcu. – To był paskudny dzień, a ja z natury nie jestem spokojnym człowiekiem. Jesteś przy mnie bezpieczna, Pirio. Daj mi pięć dni, a zaprowadzę cię do Andromachy.

– Ja też przepraszam, Odyseuszu – powiedziała. – Głupio się odezwałam. Nie

chciałabym, żeby ktoś z twojej załogi ucierpiał z mojego powodu. Oczywiście, że zaczekam. Kim mam być, gdy dotrzemy do pałacu Hektora?

Poczerwieniał.

– Długo o tym myślałem. Nie mogę nazwać cię niewolnicą czy służącą, gdyż musiałabyś przebywać wśród służby Hektora. Przydzielano by ci prace, których nie potrafisz wykonywać. Nie mogę powiedzieć, że jesteś moją krewną, gdyż wiadomo, że nie mam nikogo oprócz Penelopy. Dlatego – i nie rumień się, kiedy skończę – powiem, że jesteś moją konkubiną. Wtedy dostaniesz własne pokoje, a ja przyślę ci szaty, które zastąpią tę podartą suknię. Nie musisz się obawiać. Nie będę się domagał, żebyś grała tę rolę.

Co zaskakujące, Piria się uśmiechnęła.

– Dziękuję ci, Odyseuszu.

– Zatem tak. Uzgodnione. A teraz popływam sobie dla ochłody, a potem włożę królewskie szaty na ceremonię otwarcia.

Poszedł na dziób i zeskoczył na piasek. Potem, zrzuciwszy tunikę i sandały, wszedł do morza i zanurkował. Zimna woda go odświeżyła, lecz nie zdołała rozproszyć dręczących go wątpliwości.

To tylko pęknięty łuk, powiedział sobie. Nic więcej.

XX. WRÓG TROI

Odziany w długą białą szatę i mając na głowie słomiany kapelusz z szerokim rondem, Odyszeusz zajechał na stadion jednym z rydwanów Priama. Tam powitał go syn Priama, Polites, nieśmiały i nudny młodzieniec o ograniczonym słownictwie. Księżę zaprowadził go do łoży, gdzie znalazł się w towarzystwie Agamemnona, Peleusa, Idomeneosa i Nestora. Mykeński król skinął mu głową na powitanie.

– Słyszałem, że fortuna nie sprzyjała ci dziś na turnieju łuczniczym – powiedział.

– Pęknięty łuk – odparł Odyszeusz, siląc się na niedbały ton, jakby niewiele go to obchodziło.

Wiedział, że nie zwiódł Agamemnona. Ten człowiek miał umysł ostry jak kieł żmii.

Na stadionie ciemnowłosy młody żołnierz w złocistym płaszczu odmierzał krokami tor wyścigów. Trzysta długich kroków, na wzór Heraklesa, który kilka pokoleń wcześniej wytyczył pierwszy dystans dla biegaczy.

– Panem Igrzysk powinien być ktoś szlachetnie urodzony – mruknął Idomeneos – a nie wieśniak w zbroi.

Odyszeusz nie skomentował tej uwagi. Dziad Idomeneosa był wojowniczym wieśniakiem, który opanował część Krety i ogłosił się królem. Nestor spojrzał na niego, unosząc brew. On też znał rodowód Idomeneosa.

Kiedy wytyczono tor, przyniesiono paliki i wbito w ziemię. Po drugiej stronie pola pierwsi atleci opuszczali palestrę i zajmowali pozycje. Odyszeusz zobaczył Kalliadesa, który machał rękami i rozluźniał mięśnie.

– Znam tego człowieka – rzekł Agamemnon. Spochmurniał. – To mykeński renegat.

– Który to? – zapytał niewinnie Odyszeusz.

– Tamten! Ten wysoki – odparł Agamemnon, wskazując Kalliadesa.

– To żeglarz z mojej załogi – powiedział Brzydki Król. – Reprezentuje Itakę.

– Człowiek z mieczem Arguriosa – dodał Idomeneos.

– Innego zdrajcy – warknął Agamemnon.

– Świat jest pełen zdrajców – zgodził się Odyszeusz. – Mówisz, że skąd go znasz?

– Zabił Kolanosa, mojego wiernego dworzanina, i został za to skazany na śmierć.

Jednak zdołał uniknąć kary i uciec... najwyraźniej do ciebie.

– Gdybym to wiedział... – westchnął Odyszeusz. – Oczywiście odprawię go zaraz po

igrzyskach.

– Powinien zostać schwytany natychmiast – upierał się Agamemnon. – Poślę słowo Priamowi.

– To mogłoby wywołać pewne problemy – rzekł Odyseusz. – O ile dobrze pamiętam, po ataku na Troję jesienią zeszłego roku król Priam uwolnił wszystkich jeńców. Mówi się, że kazał im zabić dowódcę napadu, człowieka, który chciał zdradzić swego króla.

– Nędzne trojańskie kłamstwo! – warknął Agamemnon. – Kolanos nigdy by mnie nie zdradził.

– Nawet jeśli tak, to Priam kazał zabić Kolanosa. Raczej nie możesz go prosić, żeby ukarał człowieka, który wykonał jego rozkaz. A przynajmniej na pozór Kolanos już cię zdradził, napadając na Priama, który był – i pozostaje – twoim sojusznikiem.

Agamemnon się zawahał.

– Twoje słowa są mądre, Odyseuszu – powiedział w końcu. – Smuci mnie to, że nie jesteśmy sojusznikami. Z pewnością dostrzegasz zagrożenie, jakim jest Troja? Myślisz, że Priam, z całym swym bogactwem i rosnącymi armiami, nie pragnie ziem na zachodzie?

– Nie znam zamiarów Priama. Myślę jednak, że pragnie tylko bogactwa. A nie potrzebuje najeżdżać innych, żeby się bogacić. Troja co dzień bardziej obrasta złotem, z każdym przyplływającym statkiem, z każdą karawaną.

– Mam tu moich ludzi – powiedział Agamemnon ściszonego głosem. – Priam ostatnio zakupił tysiąc frygijskich łuków i sprowadza miedź oraz cynę do swych zbrojowni. Napierśniki, hełmy, tarcze, miecze. Jeśli nie rozprawimy się z nim, napadnie na nas wszystkich.

Odyseusz się uśmiechnął.

– Ja jestem człowiekiem, który nie ma wrogów, Agamemnonie. Ani w Troi, ani w Mykenach, ani wśród Hetytów czy Egipcjan. Moje statki są mile widziane we wszystkich zatokach i wszystkich portach.

Agamemnon pozornie się odprężył.

– Doceniam twoją szczerość, Odyseuszu. Będę mówił równie otwarcie. Gdy wybuchnie wojna – a na pewno tak się stanie – wtedy ci, którzy nadal będą handlować z Troją, zostaną uznani za wrogów. Nie będzie neutralnych.

– Neutralność staje się ostatnio coraz bardziej niebezpieczna. Stary Eioneus był neutralny. Słyszałem, że spadł z konia i się zabił.

– Tragiczna strata dla jego ludu – rzekł Agamemnon. – I obawiam się, że nie ostatnia. Mówiono mi, że następny z nas ma być ogłoszony wrogiem Troi. Ktokolwiek miałby to być,

będzie miał szczęście, jeśli zdoła żywy opuścić to miasto.

– Sugerujesz, że to Priam zabił Eioneusa?

– Ja nie miałem z nim zwady. Może zamierzał zerwać przymierze z Troją.

Odyseusz ani przez chwilę mu nie uwierzył, ale zatrzymał to dla siebie.

– A kim jest ów następny wróg? – zapytał.

– Nie wiem. A chciałbym wiedzieć. To dziwna historia.

W tym momencie tłum wznosił chóralny okrzyk, gdyż biegaczy wezwano na linie startowe na zachodnim końcu toru. Pan Igrzysk podniósł rękę. Tłum ucichł.

– Naprzód! – krzyknął Pan Igrzysk.

Dwudziestu biegaczy pomknęło w kierunku słupka oznaczającego metę. Kilku sędziów czekało tam, by wyłonić pierwszych pięciu, którzy przekroczą linię. Przejdą do następnej rundy.

Kalliades skończył jako drugi. Potem odbyły się inne wyścigi. Odyseusz przyglądał im się, czasem zakładając się z Idomeneosem lub Nestorem. Potem opuścił lożę i obszedł stadion, aż dotarł tam, gdzie odbywały się zawody w rzucie oszczepem. Bias rzucał dobrze, ale Odyseusz zauważył, że czarnoskóry masuje sobie bark. Wygląda na zmęczonego, pomyślał. Zanim dojdzie do finałów, ramię będzie bardzo mu dokuczało.

Nagle w oddali zauważył Helikaona stojącego w pobliżu Priama. Uradowany, pomachał ręką, chcąc zwrócić jego uwagę. Był pewien, że mu się to udało, gdyż ciemnowłosy młodzieniec spojrzał w jego kierunku, ale zaraz się odwrócił. Odyseusz patrzył, jak przeciska się przez tłum i znika mu z oczu.

Chłopak jest wychudzony i zmęczony, pomyślał. A teraz, kiedy w Troi jest tylu Mykeńczyków, nie powinien pokazywać się publicznie. Podniosę go na duchu, kiedy porozmawiamy. Helikaon będzie rad, gdy usłyszy, że dostawy cyny z Siedmiu Wzgórz przeszły wszelkie oczekiwania i zyski za ostatni sezon są ogromne.

Czując głód, Odyseusz podszedł do straganu z żywnością, gdzie stanął w cieniu, zajadając trojański przysmak – mięso z ziołami zawinięte w szeroki liść marynowany w winie. Potem znów obszedł stadion, aż wrócił do loży, w której Agamemnon stał z królem Peleusem i jego postawnym synem, Achillesem.

Odyseusz spojrzał na opasłego króla i pomyślał o Pirii, o tym, jak obcięła sobie jasne włosy, kiedy była mała. Jak wielu królów zachodu, wiedział o ohydnych upodobaniach tego człowieka, ale teraz miał świadomość jeszcze jednego jego złego uczynku.

„Teraz widzisz, do czego mnie zmusiłaś, zdziro”.

Gwałt na dziecku to wystarczająco odrażający postępek, ale wmawianie dziewczynce,

że to jej wina, przekracza ludzkie pojęcie.

– Miło cię widzieć, Odyseuszu – rzekł Peleus, wyciągając dłoń.

– Musisz mi wybaczyć – odparł Odyseusz, nie podając mu ręki. – Jadłem słodycze i mam ręce lepkie od miodu. – Odwrócił się do Achillesa. – Dobrze cię widzieć, chłopcze. Powiadają, że zostaniesz mistrzem tych igrzysk.

– Nie mam tu prawdziwych rywali – odparł kwaśno młodzieniec. – Może poza twoim człowiekiem, Leukonem.

– To dobry pięściarz.

Rozpoczęły się następne wyścigi. Peleus i Achilles odeszli i stanęli z Idomeneosem oraz królem Aten, Menestheosem. Agamemnon nachylił się do Odyseusza.

– Nie przepadasz za Peleusem?

– Słabo go znam. Zatem powiedz mi o tym wrogu Troi.

– Znam tylko fragmenty tej historii. Z czasem dowiem się więcej. Pamiętasz tego najemnego zabójcę, Karpoforosa?

– Trochę.

– Zginął, gdy dźgnął tego okropnego Helikaona. Jednak nie umarł od razu. Wygląda na to, że Karpoforos był odpowiedzialny również za śmierć ojca Helikaona. – Odyseuszowi nagle zrobiło się zimno i poczuł bolesny skurcz żołądka. – Co się stało? – spytał Agamemnon, czarnymi oczami obserwując Brzydkiego Króla.

– Za dużo słodyczy – odparł Odyseusz. – Mów dalej.

– Niewiele więcej mogę powiedzieć. Karpoforos powiedział Helikaonowi, kim jest człowiek, który kazał zabić jego ojca. Helikaon przekazał te informacje Priamowi. Jak wiesz, Priam był krewnym jego ojca. Kuzynem czy kimś takim. Tak więc honor nakazuje mu ogłosić wrogiem Troi człowieka, który wynajął zabójcę. Teraz wątpię, żeby to był zwyczajny kupiec, to raczej król. Pytanie tylko kto? Anchizes nie był wrogiem Myken. Myślę, że jest w tym jakaś mroczna tajemnica.

Odyseusz zauważył, że Agamemnon uważnie mu się przygląda.

– Nie wątpię, że niebawem zostanie wyjaśniona – rzekł, odchodząc.

Nagle zauważył Kalliadesa i Banoklesa, przechadzających się w pobliżu. Wszedł z łoży i przywołał ich. Banokles miał podbite prawe oko i rozciętą wargę, ale był w dobrym humorze.

– Widziałeś mnie, Odyseuszu? – zapytał. – Rozłożyłem tego Hetytę sześć razy. – Podniósł pięść. – Młot Hefajstosa!

– Dobrze się spisałeś – powiedział król. – Wracacie teraz do pałacu?

– Nie – rzekł Banokles. – Idę do dolnego miasta, żeby się z kimś spotkać.

– Ja wracam na *Penelope* i byłbym wdzięczny, gdybyście mi towarzyszyli – powiedział Odyseusz, spoglądając na Kalliadesa.

Ten zmrużył oczy. Potem skinął głową.

– Będziemy zaszczyceni, mogąc iść z tobą, królu Odyseuszu.

– Naprawdę? – zdziwił się Banokles.

– Prawo Drogi – powiedział Kalliades.

– Trzymajcie się blisko i bądźcie czujni – rzekł Odyseusz, ruszając w kierunku górnego miasta.

Dwaj wojownicy poszli za nim.

W Odyseuszu wzbierał zimny gniew, o wiele potężniejszy od gwałtownych wybuchów, z których był znany. Zzerał go, trawił, budząc myśli i uczucia, które pogrzebał prawie piętnaście lat wcześniej.

Priam wiedział teraz, że Odyseusz wynajął Karpoforosa, żeby zabił ojca Helikaona.

W rezultacie zamierzał ogłosić go wrogiem Troi. To samo w sobie zasmuciłoby króla Itaki.

Byłoby jednak zrozumiałe.

Jednak Priamowi nie wystarczał honorowy sposób załatwienia tej sprawy – wezwanie Odyseusza do pałacu i wygnanie go z Troi. Zamiast tego usiłował go upokorzyć i okryć niesławą.

Zimny gniew wzbierał, sącąc jad w serce. Wiedział, co teraz nastąpi. Podczas igrzysk Priam będzie usiłował poróżnić królów zachodu, przekupić lub omamić słabszych bądź bardziej chciwych. Nie mógł pozwolić, by Odyseusz opuścił Troję żywy i sprzymierzył się z Agamemnonem. Priam będzie wiedział, że Nestor z Pylos, a może nawet Idomeneos pójda w ślady Odyseusza, jeśli ten przyłączy się do mykeńskich spiskowców.

Idąc, Odyseusz przyglądał się twarzom w tłumie, szukając oznak napięcia, kogoś, kto spoglądałby na niego zbyt długo lub uważnie. Zerknąwszy w lewo, zobaczył, że Kalliades robi to samo. Idący po jego prawej stronie Banokles też patrzył czujnie, wypatrując w tłumie zapowiedzi kłopotów.

Odsunąwszy od siebie myśl o zamachu, zajął się poważniejszym problemem. Musi być jakiś sposób, żeby go rozwiązać, rozmyślał. Jesteś Odyseuszem, umiesz myśleć i planować. Jesteś znany ze swej przebiegłości i talentów strategicznych. Rozważał wszystkie możliwości, jedną po drugiej. A gdyby poszedł do Priama i próbował wyjaśnić, co zaszło? Priam nie chciałby słuchać.

Odyseusz kazał zabić jego krewniaka. Krew domaga się krwi.

Co jeszcze mógł zrobić? Zebrać swoich ludzi, wymknąć się o świcie z Troi, a potem wrócić do Itaki, po drugiej stronie Wielkiej Zieleni. I co potem? Do końca życia obawiać się najemnych zabójców, nasłanych przez Priama? Ponadto był Helikaon. Fakt, że poszedł do Priama, oznaczał, że on również ogłosi Odyseusza swoim wrogiem. Straszliwy *Ksantos* będzie żeglował po Wielkiej Zieleni, polując na statki z Itaki, tak samo jak pięćdziesiąt innych galer należących do Helikaona. Jeśli zablokują szlak handlowy do Siedmiu Wzgórz, Itaka w ciągu roku – najwyżej dwóch – będzie biedna i zrujnowana.

Spójrz prawdzie w oczy, powiedział sobie Odyseusz. Decyzja Priama o ogłoszeniu mnie wrogiem Troi pozostawia mi tylko jedną możliwość. Jesteś jak statek gnany wiatrem, nad którym nie możesz zapanować, ku ziemi krwi i nienawiści, do której nie chcesz przybić. Ta świadomość go zasmuciła. Kochał Helikaona i bardzo lubił Hektora oraz jego nową żonę, Andromachę.

W przyszłej wojnie jego sympatia będzie po stronie Troi. Nie lubił megalomańskiego Agamemnona i gardził ohydny Peleusem. Nie lubił złośliwego Idomeneosa i nie przepadał za Ateńczykiem Menestheosem. W rzeczy samej, ze wszystkich królów zachodu darzył sympatią jedynie Nestora. Znow weszła w nim gniew, zimny i straszny.

Odyseusz spojrzał na wysokie mury i potężną Bramę Skajską. Zobaczył pałac Priama na szczycie wzgórza i budynki po obu stronach wąskich, krętych ulic. Już nie patrzył na nie jak na imponujące dzieło architektów. Teraz spoglądał innymi oczami. Zimno oszacował liczbę ludzi potrzebnych do zdobycia tych murów i wyobraził sobie ulice jako pole bitwy.

Gdy przeciskali się przez tłum, Kalliades nachylił się do Odyseusza.

– Czterech mężczyzn – powiedział. – Idą za nami, odkąd opuściliśmy stadion.

Odyseusz nie odwrócił się. Kalliades i Banokles nie byli uzbrojeni, a on miał tylko zakrzywiony nożyk w wysadzanej drogimi kamieniami pochewce. Dobry do krojenia owoców, ale nic poza tym.

– Czy to żołnierze? – zapytał.

– Być może, ale nie noszą zbroi. Mają sztylety, nie miecze.

Odyseusz przypomniał sobie trasę, jaką przejechał w rydwanie. Niebawem opuszczą główną aleję i pójdą węższymi ulicami willowej dzielnicy. Przystanął przy straganie i wziął w rękę bransoletkę ze srebra wysadzanego opalami.

– Ładna rzecz, panie – powiedział straganiarz. – Nigdzie nie znajdziesz ładniejszej.

Odyseusz odłożył ozdobę i poszedł dalej.

– Dwaj z nich skręcili w lewo, w boczną uliczkę – szepnął Kalliades.

– Wiedzą, że idziemy na statek – powiedział Odyseusz. – W pobliżu jest placyk ze studnią.

Ulica, którą idziemy, przecina się tam z tą boczną. – Spojrzał na Banoklesa. – Twój Młot Hefajstosa jest gotowy?

– Zawsze – odparł Banokles.

– Zatem bądź gotów go użyć.

Odyseusz zawrócił na pięcie i ruszył z powrotem tam, skąd przybyli. Dwaj mężczyźni w długich płaszczach, obaj wysocy i barczyści, nagle przystanęli. Odyseusz podszedł do nich.

Bez słowa rąbnął pierwszego w twarz. Banokles dopadł drugiego i powalił morderczym prawym sierpowym. Pierwszy mężczyzna zatoczył się. Odyseusz doskoczył do niego i kopniakiem podciął mu nogi. Kiedy przeciwnik upadł, Brzydki Król przyklęknął i wyrwał mu sztylet z pochwy. Leżący usiłował wstać, ale znieruchomiał, gdy poczuł na gardle ostrze własnego sztyletu.

– Chcesz coś powiedzieć? – spytał Odyseusz.

Tamten oblizwał wargi.

– Nie wiem, czemu na mnie napadłeś. Nie znam cię.

– Ach tak – rzekł z uśmiechem Odyseusz. – Teraz wiem, że kłamiesz, gdyż byłeś w tłumie oglądającym turniej łuczniczy, zatem znasz moje imię. Jestem Odyseusz, król Itaki. A ty jesteś płatnym zabójcą.

– Co za bzdura! Na pomoc! – zawołał nagle mężczyzna. – Zostałem napadnięty!

Odyseusz uderzył go i głowa mężczyzny odbiła się od bruku. Jęknął. Odyseusz uderzył jeszcze raz. Zapadła cisza.

Brzydki Król wstał, skinął na Kalliadesa i Banoklesa, po czym poszedł do wylotu ulicy wiodącej na placyk. Za nimi wokół leżących zebrała się już kilkuosobowa grupka. Rzuciwszy zdobyczny sztylet Kalliadesowi, król poszedł wąską uliczką. Banokles, uzbrojony w sztylet drugiego mężczyzny, zajął pozycję po jego prawej ręce.

– Trzymajcie broń tak, żeby było ją widać – rzekł Odyseusz. – Chcę, żeby tamci dwaj wiedzieli, że czeka ich trudna przeprawa.

Poszli dalej i po chwili doszli do placyku ze studnią. Tam czekali dwaj pozostali zabójcy.

Zobaczyli Odyseusza i zauważyli sztylety jego towarzyszy. Potem popatrzyli w głąb uliczki, szukając swoich kamratów. Odyseusz szedł dalej, mierząc ich gniewnym wzrokiem. Zabójcy spojrzeli po sobie, po czym odwrócili się i odeszli.

– Chcesz, żebyśmy ich dogonili i zabili? – zapytał Banokles.

Odyseusz pokręcił głową.

– Wracajmy na statek. Muszę pomyśleć. Królowa Hekabe prosiła, żebym ją później odwiedził. Chcę, żebyście mi towarzyszyli.

Helikaon nie pozostał całe popołudnie na igrzyskach. Prawie opuściły go siły, gdy razem z Gershomem szli przez tłum ku czekającym powozom. Potknął się i Gershom go podtrzymał.

Słońce prażyło jak w środku lata i Helikaon się pocił.

Wspiąwszy się do sześciuosobowego rydwanu, z ulgą opadł na siedzenie. Gershom usiadł naprzeciw niego, z dłonią na rękojeści sztyletu, wpatrując się w tłum. Helikaon się uśmiechnął.

– Wątpię, czy nawet Agamemnon usiłowałby mnie zabić na oczach Priama.

Wóznicza szarpnął wodze i zaprzężony w dwa konie powóz ruszył. Świeżo zrobiona droga przed nowym stadionem była wyboista, ale niebawem jechali już po bruku. Gdy powóz przyspieszył, Gershom odrobinę się odprężył, ale wciąż wypatrywał zaczajonych łuczników lub procarzy.

– Nie powinniśmy byli tu przyjeżdżać – narzekał. – Wszyscy widzieli, jaki jesteś osłabiony.

To zachęci ich do ataku.

– I tak zaatakują – odparł Helikaon – gdy uznają, że przyszedł odpowiedni czas. I zrobią to, kiedy Agamemnon będzie jeszcze w Troi. Zechce cieszyć się z mojej śmierci.

Powóz turkotał po niemal pustych ulicach.

– Był tam Odyseusz – rzekł Gershom. – Machał do ciebie.

– Widziałem – powiedział Helikaon. – Jeśli przyjdzie od niego wieść, że chce się ze mną widzieć, zbudź go jakąś wymówką.

– To twój najlepszy przyjaciel – zdziwił się Gershom.

Helikaon nie odpowiedział. Wyjawszy zza pasa chustkę, otarł zlaną potem twarz. Gershom bacznie mu się przyjrzał. Skóra Helikaona straciła popielatą barwę, jaką przybrała, kiedy leżał w malignie, i teraz wyglądała zdrowo. Prawie wydobrzył, musiał tylko odzyskać siły.

Powóz jechał przez dolne miasto, aż dotarł do pałacu Helikaona. Stali tam dwaj strażnicy, którzy otworzyli przed nimi bramę. Znalazłszy się w środku, Helikaon poszedł do dużego pokoju i wyciągnął się na sofie. Sługa przyniósł karafkę z zimną wodą i napełnił kubek. Helikaon napił się, a potem zamknął oczy i złożył głowę na poduszce. Gershom zostawił go i poszedł do ogrodu na tyłach, pilnowanego przez dwóch następnych strażników.

Porozmawiał z nimi chwilę, po czym wrócił do pałacu. Strażnicy byli tam głównie na pokaz. Budynek nie nadawał się do obrony. Miał z obu stron okna wychodzące na ulice, a mur otaczający ogród był niski.

Zamachowcy mogli dostać się do środka dwudziestoma różnymi drogami, niezauważeni przez strażę. I zrobią to w ciągu pięciu najbliższych dni. Najrozsądniej byłoby opuścić Troję i wrócić do Dardanii, ale Helikaon nie chciał o tym słyszeć.

Wróciwszy do chłodnego głównego pokoju, Gershom zastał Helikaona siedzącego z łokciami opartymi na kolanach. Młodzieniec wyglądał na zmęczonego i zatroskanego.

– Dlaczego nie chcesz się widzieć z Odyseuszem? – spytał Gershom, siadając naprzeciwko.

– Zobaczę się z nim, ale najpierw muszę zebrać myśli. – Machinalnie potarł gojącą się ranę pod pachą. Potem się odchylił. – Kiedy Attalos umierał, powiedział mi coś. To dziwne, Gershomie, lecz sądzę, że jego słowa były bardziej mordercze niż sztylet.

– Jak to?

– Powiedział mi, że Odyseusz mu zapłacił, żeby zamordował mojego ojca.

Słowa ciężko zawisły w powietrzu. Gershom niewiele wiedział o przeszłości Helikaona oprócz tego, co opowiadali żeglarze. Smutne i samotne dziecko, odżył w ciągu dwóch lat spędzonych z Odyseuszem na *Penelopie* i Itace. Gdy tylko wrócił do Dardanii, jego ojciec został zamordowany, a Helikaon odmówił przyjęcia korony, zrzekając się jej na rzecz przyrodniego brata, małego Diomedesa, i jego matki, królowej Halizji.

Zabójstwa rywali i wrogów zdarzały się często, ale nawet Gershom, który swemu egipskiemu pochodzeniu i wykształceniu zawdzięczał zaledwie skromną wiedzę o ludach morza, wiedział, że Itaka leży daleko od Dardanii. Odyseusz nie miał żadnych powodów, aby żywić wrogie uczucia do dardańskiego władcy i pragnąć jego śmierci. Jaką przyniosłaby mu korzyść?

– Attalos kłamał – powiedział w końcu.

– Nie sądzę. Właśnie dlatego potrzebuję czasu, żeby przygotować się na to spotkanie.

– Jaką korzyść odniósłby Odyseusz z takiego uczynku? Czy twój ojciec blokował mu szlaki handlowe? Czy był między nimi jakiś zadawniony spór?

– Nie wiem. Może poróżnili się, kiedy byłem dzieckiem.

– Powinieneś zapytać o to Odyseusza.

Helikaon pokręcił głową.

– To nie jest takie proste, przyjacielu. Poprzysiągłem na ołtarzu Aresa, że znajdę i zabiję człowieka odpowiedzialnego za zamordowanie ojca. Jeśli zapytam o to Odyseusza, a

on przyzna, że to prawda, nie będę miał wyjścia, jak uznać go za mojego wroga i pragnąć jego śmierci. Nie chcę tego. Odyseusz był dla mnie kimś więcej niż przyjacielem. Bez niego byłbym nikim.

– Kochałeś ojca?

– Tak, chociaż on nie odwzajemniał mojej miłości. Był twardym, zimnym człowiekiem i widział we mnie słabeusza, który nigdy nie będzie miał siły, by rządzić.

– Czy ktoś jeszcze wie o tym, co powiedział ci Attalos?

– Nie.

– Zatem zostaw to. Umarł człowiek, który tobą gardził. Ten, który cię kochał, żyje. Z pewnością nawet twoi bogowie by zrozumieli, gdybyś zrezygnował z zemsty.

– Oni nie słyną ze zrozumienia ludzkich problemów – rzekł Helikaon.

– Faktycznie – zgodził się Gershom. – Są bardziej zajęci przybieraniem postaci łabędzi, byków i innych stworzeń, żeby baraszkować ze śmiertelnymi mężczyznami i kobietami. Albo swoimi dziecinnymi waśniami. Nigdy nie słyszałem o równie niesfornej bandzie nieśmiertelnych.

Helikaon się roześmiał.

– Najwyraźniej wcale się ich nie boisz.

Gershom pokręcił głową.

– Jeśli ktoś od dziecka słucha o okropnościach Seta i o tym, co zrobił swojemu bratu, twoi bogowie nie wydają się mu groźniejsi od szczeniąt.

Helikaon napełnił kubek wodą i napił się.

– W twoich ustach brzmi to tak prosto, Gershomie. Jednak takie nie jest. Wychowano mnie w przekonaniu – jak każdego szlachetnie urodzonego – że rodzina i honor są wszystkim. Pokrewieństwo. Oto, co nas łączy. Atak na jednego członka rodziny oznacza atak na wszystkich. Tak więc wrogowie wiedzą, że jeśli spróbują skrzywdzić kogoś z nas, pozostali staną w jego obronie. Taka jedność gwarantuje bezpieczeństwo. Honor wymaga zemsty na każdym, kto usiłuje stanąć przeciwko nam.

– Odnoszę wrażenie – rzekł Gershom – że wy, ludzie morza, tracicie mnóstwo czasu na rozmowy o honorze, ale poza tymi wzniosłymi słowami niczym nie różnicie się od innych. Rodzina? Czy Priam nie zabił spiskujących przeciwko niemu synów? Kiedy umiera król, czy jego synowie nie zaczynają walczyć ze sobą o tron? Ludzie opowiadają o tym, jak zareagowałeś na śmierć ojca. Mówią, że to było zdumiewające, ponieważ nie kazałeś stracić młodszego brata. Twoja rasa pławi się we krwi i śmierci, Helikaonie. Wasze statki pładrują brzegi innych krain, biorąc niewolników, łupiąc i paląc. Wojownicy przechwalają się, ilu

zabili ludzi i ile zgwałcili kobiet. Niemal każdy wasz król zdobył tron, pałac i mordując, albo jest synem człowieka, który objął władzę, pałac i mordując. Tak więc zapomnij na chwilę o honorze. Jedyne, co wiem o twoim ojcu, to że próbował cię wydziedziczyć, ogłaszając następcą tronu twojego młodszego brata. Natomiast Odyseusz, jak mówisz, pomógł ci stać się mężczyzną i o nic w zamian nie prosił. Czy widzisz jakiś sens lub harmonię w zabijaniu przyjaciela, żeby pomścić śmierć wroga? Bo nim właśnie był dla ciebie twój ojciec.

Helikaon przez chwilę siedział w milczeniu. Potem spojrzał na Gershoma.

– A co z twoją rodziną? – zapytał. – Nigdy o niej nie mówiłeś. Czy wybaczyłbyś człowiekowi, który zabił twojego ojca?

– Nie znałem ojca – rzekł Gershom. – Umarł, zanim się urodziłem. Tak więc nie mogę odpowiedzieć na twoje pytanie. Faktem jest, że uwierzyłeś Attalosowi, czy Karpoforosowi, czy jak się tam zwał. Jeśli nawet mówił prawdę, to z pewnością była to tylko jej część. Drugą część zna Odyseusz i dopiero obie tworzą całość. Musisz z nim porozmawiać.

Helikaon potarł oczy.

– Muszę odpocząć, mój przyjacielu – stwierdził. – Ale zastanowię się nad tym wszystkim, co mi powiedziałeś.

Kiedy Helikaon poszedł spać, Gershom opuścił pałac. Dwaj mężczyźni pozornie beczynnie siedzieli przy studni po drugiej stronie alei. Gershom podszedł do nich. Obaj byli szczupli, o zimnych oczach.

– Macie coś? – zapytał Gershom.

– Dziś było trzech – odparł pierwszy z mężczyzn. – Obeszli pałac, patrząc w okna. Poszedłem za nimi do pałacu Politesa. To byli Mykeńczycy.

Gershom wrócił do budynku i obszedł komnaty na parterze, sprawdzając zasuwy na okratowanych oknach. Wiedział, że to bezcelowe, gdyż zamknięcia były słabe i nie mogły powstrzymać zdecydowanego intruza. Ostrzem sztyletu można było bez większego trudu odsunąć zasuwę.

Wróciwszy do głównej komnaty, Gershom położył się na sofie i zamknął oczy. Zaczął sypiać popołudniami, a nocami czuwał. Teraz zdrzemnął się trochę, ale dręczyły go złe sny.

Sługa obudził go o zmierzchu i powiedział, że księżę Deifobos przyszedł zobaczyć się z królem Eneaszem.

Zaspany Gershom posłał sługę, żeby zbudził Helikaona, i poszedł powitać szczupłego, ciemnowłosego młodego księcia. Dios wyglądał na zaniepokojonego, ale nic nie mówił, gdy szli do głównej komnaty. Inny sługa przyniósł tacę z jedzeniem i karafkę z rozcieńczonym winem.

Dios odmówił poczęstunku i usiadł.

Kiedy przyszedł Helikaon, księżę wstał i uściskał go.

– Z każdym dniem wyglądasz lepiej, przyjacielu – rzekł.

Gershom siedział i milczał, gdy ci dwaj rozmawiali z ożywieniem, ale wyczuwał napięcie Diosy. Ten w końcu powiedział:

– Odyseusz ma być ogłoszony wrogiem Troi.

– Co takiego? – wykrzyknął Helikaon. – Dlaczego?

Dios sprawiał wrażenie zdziwionego.

– Ponieważ kazał zamordować twojego ojca. Przecież wiesz.

Helikaon pobałdł.

– Priam wydał taki rozkaz?

– Tak.

– Skąd o tym wiedział?

– Przyszedł cię odwiedzić, kiedy leżałeś w gorączce. Powiedziałeś mu o Karpoforosie.

– Nie pamiętam tego – rzekł Helikaon. – To najgorsza wiadomość, jaką usłyszałem od bardzo dawna. Priam zamierza popełnić straszny błąd, którego będzie żałował, jeśli nie uda się nam go nakłonić, żeby zmienił zdanie.

– Prędzej słońce zrobi się zielone – rzekł Dios. – Jednak nie rozumiem cię, Helikaonie. Jaki błąd? Odyseusz kazał zabić twojego ojca.

– Tylko według Attalosa – odparł z rozpaczą Helikaon. – Powinniśmy przynajmniej dać Odyseuszowi możliwość odparcia tego zarzutu.

– Hektor też tak mówił – powiedział Dios. – Ojciec nie chciał go słuchać. Jednak to już akademickie rozważania. Sam uwierzyłeś zabójcy i powiedziałeś to mojemu ojcu. On nie da się od tego odwieść. Honor domaga się zemsty, powiedział. Krew żąda krwi.

Gershom nie musiał wiedzieć nic więcej. Podniósłszy się z fotela, zostawił ich samych i wyszedł w zapadający mrok.

XXI. KRÓLOWA TRUCIZNY

Patrząc na dwie zatoki daleko w dole, Hekabe czuła się jak jedna z bogiń na wyniosłym Olimpie. Z wysoko położonego pałacu widziała po prawej płytką Zatokę Trojańską z brązową i słonawą wodą, przecinaną przez statki wciąż szukające miejsca na brzegach. Po lewej rozpościerała się głębsza Zatoka Heraklesa, o błękitnej i skrzęcej się wodzie. Nawet tam stały dziesiątki statków i plaża szybko się zapełniała. Hekabe teraz rzadko się uśmiechała, ale na myśl o wszystkich tych rozgniewanych kapitanach i zabieganych nadzorcach z jej gardła dobył się ochryply chichot.

Ból, przeszywający i piekący, zaczął sączyć się przez brzuch i do krzyża. Teraz myślała o sobie jako o naczyniu, które każdego dnia wypełniało się nowym cierpieniem. Drżącymi palcami sięgnęła po fiolkę z lekarstwem i ostrym paznokciem rozerwała cienką warstewkę zamykającego ją wosku. Otworzywszy, podniosła fiolkę do ust, ale się rozmyśliła. Jeszcze nie, zdecydowała. Wciąż widziała statki w zatokach i krzątających się na plażach ludzi. Kiedy opiaty zaczną działać, galery w magiczny sposób zmienią się w potwory, a ludzie w owady, przelatujące przez jej pole widzenia. Mimo chwilowej ulgi Hekabe nienawidziła tych chwil, gdy jej umysł był otepiaty i oszołomiony. Mogła znieść starość i wyniszczającą ciało chorobę, ale nie to. Niegdyś słynęła ze swojej urody, lecz w ciągu ostatnich dwudziestu lat stała się znana, szanowana i podziwiana za siłę umysłu – umiejętność przejrzenia, przechytrzenia i wymanewrowania wrogów Troi. Umiała dostrzec zagrożenie, niemal zanim jeszcze się pojawiło, i zdusić je w zarodku, jakby wyrywała chwast w ogrodzie.

Siedziała nieruchomo, usiłując nie myśleć o bólu wywołanym przez zżerający jej ciało nowotwór, pozwalając myślom wracać do czasów dzieciństwa, pierwszych wspaniałych lat z Priamem i zbliżającego się ślubu syna. Jej dzieło było prawie zakończone, a proroctwo niemal spełnione. Kiedy Andromacha zajdzie w ciążę, Hekabe będzie mogła w końcu umrzeć, a przyszłość Troi będzie zabezpieczona.

Baldachim nad jej głową, w kolorze krokusów, osłaniający ją przed jasnym porannym słońcem, nadawał wszystkiemu wesołą, fioletową barwę. Rozżarzone noże zaczęły wbijać się w jej brzuch, wyrywając krzyk bólu. Nabrała tchu, niechętnie podniosła fiolkę do ust i wypiała.

Lekarstwo było gorzkie i paliło język. Ból zaczął słabnąć. Kiedy zaczynała zażywać ten lek, całkowicie uśmierzał boleści. Teraz choroba była silniejsza i już nic nie było w stanie zupełnie znieść jej skutków. Nie pamiętała, kiedy ostatnio nic nie bolało jej przez cały dzień.

Od czasu do czasu w jej polu widzenia powoli przesuwwały się jakieś postacie. Czasem zdawały się unosić w powietrzu. Przeważnie nie miała pojęcia, kim one są. Ludzie mówili do niej, lecz głosy były głuche i dalekie. Nie zwracała na nich uwagi.

Jakaś postać podeszła do niej, zasłaniając słońce. Hekabe z irytacją zamrugnęła, usiłując skupić wzrok. Próbowwała przemówić, lecz usta miała suche i spękane jak stary sandał. Postać podeszła bliżej i wyciągnęła do niej rękę z pucharem. Był pełen zimnej wody. Hekabe napiła się z wdzięcznością i woda spluknęła smak lekarstwa. Rozjaśniło się jej w oczach i zobaczyła, że to jej nowa synowa, płomiennowłosa Andromacha.

Tak podobna do mnie, pomyślała. Dzika, dumna, pełna życia i siły. Czule spojrzała na dziewczynę.

– Andromacha – wyszeptała. – Jedna z niewielu osób, które mogę znieść.

– Jak się dziś czujesz, matko? – zapytała dziewczyna.

– Wciąż umieram. Jednak dzięki woli Hery i mojej sile jeszcze każe Hadesowi czekać.

– Hekabe pociągnęła następny łyk z pucharu. Zaczął się wić w jej dłoni, zmieniając w żmiję o ostrych kłach. Hekabe mocno trzymała ją w dłoni. – Nie ukąsisz mnie, żmijo – powiedziała do niej. – Jeszcze mogę cię zgnieść.

Andromacha ostrożnie wzięła od niej puchar.

– Uważaj, dziewczyno – ostrzegła ją królowa. – Jej ukąszenie jest śmiertelne. – Nagle zobaczyła, że to kielich, i uspokoiła się. Andromacha pocałowała ją w wyschnięty policzek, a potem usiadła przy niej. Hekabe wyciągnęła rękę i poklepała ją po ramieniu. – Jesteśmy takie podobne do siebie, ty i ja – powiedziała. – A teraz jeszcze bardziej.

– Dlaczego? – spytała Andromacha.

– Moi szpiedzy donieśli mi, że Priam zaciągnął cię do łóżka. Mówiłam ci, że to robi. Teraz zaznajesz rozkoszy, której tak długo mi odmawiał.

– To nie była przyjemność – powiedziała Andromacha – tylko konieczność.

Hekabe się roześmiała.

– Nie przyjemność? Priam ma wiele wad, ale na pewno nie można go nazwać kiepskim kochankiem.

– Nie chcę o tym mówić, matko.

– Wkrótce zajdziesz w ciążę, a twój syn zapewni przyszłość Troi. Proroctwo się spełni. Następny syn Priama – powiedziała z satysfakcją królowa. – Lud będzie go kochał, sądząc, że to syn Hektora. Będą go nazywali Panem Miasta.

Obrzuciła Andromachę taksującym spojrzeniem.

– Hmm. Jesteś szczupła jak ja. Dla nas rodzenie nigdy nie jest łatwe, jak dla

szerokobiodrych kobiet ze wsi. Będiesz cierpieła, dziewczyno, ale jesteś silna. Urodziłam Priamowi ośmioro dzieci. Każde z nich przychodziło na świat we krwi i bólu. I za każdym razem odnosiłam zwycięstwo. A teraz spójrz na mnie...

Jej głos ucichł i przez chwilę siedziała w milczeniu. Tuż za horyzontem widziała ciemne postacie kroczących bogów. Towarzyszyły im konie i dziki oraz jakiś wielki rogaty stwór, którego nie rozpoznała. Czuła w krzyżu wstrząsy, wywołane tupotem ich nóg.

Nachyliła się do dziewczyny, mówiąc cicho i z naciskiem:

– Ród Priama przetrwa tysiąc lat i ja się do tego przyczyniłam. Dobrze odegrałam moją rolę. Robiłam to, co musiałam.

Kiwnęła głową do swych myśli, wspominając ten dzień sprzed prawie roku, gdy szczupła Palesta wiała się w męce na podłodze jej apartamentu, jej wymioty plamiły dywany, a krzyki tłumił stary szal.

Zaczęła błędzić myślami i wróciła do dni, gdy ona i jej pan żeglowali po Wielkiej Zieleni.

Mieszkali na statku i wspominała zieleń morza oraz smak soli na wargach. Młodzi i zakochani, odwiedzali zielone wyspy i kamienne miasta, spotykali królów i piratów, spali w łóżkach ze złota i słoniowej kości lub na zimnych plażach pod gwiazdami. Próbowwała przypomnieć sobie nazwę statku, którym płynęli... jednak nie zdołała.

Poczuła dziwny smutek.

– *Skamandrios* – zawołała nagle. – Właśnie tak, *Skamandrios*.

Andromacha spojrzała z zaciekawieniem.

– Kto to taki, matko?

Hekabe znów pokręciła głową, bo mgła spowiła jej umysł.

– Już nie pamiętam. Może jakiś król. Spotkaliśmy tylu królów. W tamtych czasach byli jak bogowie. Dziś to mali i tuzinkowi ludzie... Opowiedz mi o igrzyskach – poprosiła, walcząc z otępieniem wywołanym opiatami – Jakie krążą plotki? Czy wszyscy królowie już wzięli się za łby? Dobrze igrzyska zawsze kończą się czyjąś śmiercią. Kilku pomniejszych władców zostaje obalonych. Taki już jest ten świat. Nie wątpię, że to sprawka Agamemnona. Poznałaś go już? Mówią, że nie jest taki jak jego ojciec.

– Igrzyska dopiero się zaczęły – powiedziała Andromacha. – Nie słyszałam wielu plotek. Chociaż – dodała z uśmiechem – słyszałam, że Odyseusz odpadł w turnieju łuczniczym. Nie pozwolono mu strzelać z jego łuku, a ten, który mu dano, pękł. Podobno król był bardzo rozgniewany.

Zapadnięta pierś Hekabe wezbrała gniewem.

– Odyseusz – syknęła. – Już nie ujrzy Itaki. Dopilnuję tego.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Ha! Odyseusz gawędziarz. Odyseusz bufon. Takim widzą go dzisiaj ludzie. Jednak ja znam go od dawna. To zimnokrwisty morderca. Wynajął płatnego zabójcę, żeby zamordował Anchizesa, krewniaka Priama.

– Skąd o tym wiesz? – Pod żółtym daszkiem twarz dziewczyny miała niezdrowy kolor. – Odyseusz by tego nie zrobił.

– Zabójca, ten sam, który zranił Helikaona, wyznał mu to przed śmiercią. A Helikaon powiedział Priamowi.

– To nonsens – uznała Andromacha. – Co Odyseusz miałby przez to zyskać?

Hekabe odchyliła się w fotelu.

– Nad tym właśnie zastanawia się Priam. Wszyscy jego doradcy są zdziwieni. Mówią o starych waśniach i umowach handlowych. Głupcy! Odpowiedź jest jasna dla każdego, kto ma choć odrobinę rozumu. Odyseusz kocha Helikaona. Może chłopiec był jego utrzymankiem. Kto wie? Anchizes nienawidził syna i wydziedziczył go. Znałam Anchizesa. Był dobrym władcą i nie kierował się sentymentami. Prawdopodobnie chciał cichcem zamordować Helikaona. Odyseusz jest sprytny i mógł się tego domyślić. I żeby uratować chłopca, kazał zabić jego ojca.

– Zrobił to, żeby ratować życie Helikaonowi?

– Oczywiście.

– Dlaczego to miałyby go uczynić wrogiem Troi? – spytała Andromacha. – Helikaon jest naszym przyjacielem i jeśli masz rację, Odyseusz go ocalił.

– Nie obchodzi mnie morderstwo Anchizesa – odparła Hekabe. – Priama też nie. Jednak zanim wybuchnie wojna, musimy być pewni naszych przyjaciół i wyeliminować wszelkie możliwe zagrożenia. Rola Odyseusza w zamordowaniu Anchizesa daje nam okazję zabicia go bez zrażania sobie sojuszników.

– Nie rozumiem – szepnęła wyraźnie zaskoczona Andromacha. – Odyseusz jest neutralny. Dlaczego miałby stanowić zagrożenie?

Hekabe westchnęła.

– Musisz się jeszcze wiele nauczyć, dziecko, o polityce. Nie chodzi o to, kim Odyseusz jest teraz, lecz o zagrożenie, jakim może stać się w przyszłości. Gdyby jego ziemie leżały bliżej Troi, moglibyśmy związać go z nami złotem i traktatami przyjaźni. Jednak on jest królem z zachodu, blisko związanym z Mykeńczykami. Och tak, istnieje pewne prawdopodobieństwo, że pozostałby neutralny. Jednak nie możemy ryzykować przyszłości

Troi, stawiając na tak niepewną kartę. Teraz wojna stała się nieunikniona, Odyseusz musi umrzeć. Agamemnon jest wojownikiem i będzie godnym przeciwnikiem, ale możemy go pokonać. Odyseusz jest zręcznym strategiem. Co więcej, jest charyzmatycznym przywódcą i pójdą za nim inni królowie. Nie możemy ryzykować, że przyłączy się do Agamemnona.

– Zatem zawsze zamierzaliście zamordować Odyseusza? – zapytała Andromacha.

– Oczywiście. Zaprosiłam go, żeby mnie tu odwiedził. Nie będzie się obawiał umierającej starej kobiety. Mówią, że Brzydki Król jest sprytny, ale nigdy nie miał do czynienia z Hekabe. Opuści mój pałac żywy – a potem zachoruje i umrze w swoim łóżku. Zostań ze mną, Andromacho. Możesz z nim gawędzić i śmiać się, żeby się odprężył. Będzie tu niebawem.

Ponownie z satysfakcją skinęła głową, myśląc o fiołce z trucizną, która od tak dawna była jej służką i przyjaciółką.

– Władcom nigdy nie brakuje wrogów, Andromacho – kontynuowała. – Musimy być bezlitośni, żeby przeżyć. Zabijać wszystkich. Dziś umrze Odyseusz, a jutro zaproszę tu grubego Antifonesę. Priam jest głupcem, że wybaczył mu zdradę. Człowiek, który zdradził cię raz, zrobi to ponownie, w sprzyjającej chwili.

Hekabe znów zaschło w gardle, a puchar był pusty.

– Andromacho, nalej mi wody. Nie wiem, gdzie podziła się służba.

Dziewczyna odeszła na chwilę. Hekabe drzemała w słońcu. Obudziła się, gdy Andromacha znów stanęła przy jej fotelu. Ostrożnie wlała zawartość fiołki z lekarstwem do pucharu, dołączyła wody i podała królowej. Ta wypijała z wdzięcznością. Lekarstwo piekło w język i pozostawiło jakiś dziwny posmak, którego Hekabe nie mogła zidentyfikować. Siedziała w milczeniu, gdy lek zaczął uśmierzać ból. Po chwili przestało ją boleć. Po raz pierwszy od wielu miesięcy nie czuła bólu.

– To jakieś nowe lekarstwo – zauważyła, gdy zaczęła myśleć jaśniej.

– Machaon dał je zeszłej jesieni Laodike – powiedziała Andromacha. – Czy ból przeszedł?

– Tak. Mam wrażenie, że mogłabym tańczyć. – Hekabe się uśmiechnęła. – To piękny dzień, nie sądzisz?

– Jestem brzemienna – powiedziała spokojnie Andromacha. – I ojcem dziecka nie jest Priam.

Hekabe zmarszczyła brwi.

– Nie Priam?

– Ojcem mojego dziecka jest Helikaon. A teraz powiedz mi o Paleście.

Hekabe zmrużyła oczy. Czy ta dziewczyna oszalała? Kiedy Priam dowie się o jej zdradzie, wpadnie w furję.

– Głupia dziewczyno – syknęła. – Zgubiłaś to dziecko i Helikaona. Priam każe ich zabić. Będziesz miała szczęście, jeśli zachowa cię przy życiu, żeby spełniła się przepowiednia. Myślałam, że jesteś mądrzejsza od siostry. Wygląda na to, że wszystkie córki Ektiona są jednakowo głupie.

Andromacha uklękła przy jej fotelu.

– Nic nie rozumiesz, Hekabe. Spałam z Priamem, żeby myślał, że to jego dziecko. Król nigdy się nie dowie. Teraz opowiedz mi, jak zabiłaś Palestę.

Hekabe znów ujrzała postać cierpiącej dziewczyny i skrzywiła się.

– Była pomyłką, głupim błędem tego durnia Heraklitosa. Była nikim. Ważna jest tylko przyszłość królewskiego rodu Troi. Trzeba było ją chronić. Palesta była nikim – powtórzyła.

Andromacha przykucnęła i spoglądała na nią przez chwilę. Hekabe miała wrażenie, że ma łzy w oczach, ale jej oczy zasnuły się mgłą. Próbowwała się rozejrzeć.

– Gdzie Parys? – zapytała.

– Poszedł z Heleną na igrzyska.

– Nie ma służby. Gdzie są?

– Kazałam im zostawić nas same.

Andromacha wstała i strzepnęła suknię, jakby szykując się do odejścia. Wzięła ze stolika fiolkę, którą tam położyła, i schowała do sakiewki przy pasie.

Wtedy, jakby słońce rozproszyło poranne mgły, Hekabe nagle rozjaśniło się w głowie.

Lekarstwo podane Laodike kilka miesięcy temu. Silny lek. Dlaczego nie podawano jej go wcześniej? Nagle wszystko zrozumiała. Miał to być lek uwalniający ją od cierpień, kiedy ból będzie nie do zniesienia. Teraz już wiedziała, co pozostawiło ten dziwny posmak. Cykuta!

Hekabe położyła dłoń na chudym udzie i zacisnęła palce. Nic nie poczuła. Śmierć już krążyła w jej ciele. Westchnęła.

– Nie uważaj mnie za głupią, ponieważ dałam się podejść, Andromacho – powiedziała. – Byłam oszołomiona lekarstwem. No cóż, pomściłaś siostrę, to honorowy czyn, na twoim miejscu zrobiłabym to samo. Widzisz, miałam rację. Jesteśmy bardzo do siebie podobne.

Spojrzała w zielone oczy Andromachy i dostrzegła w nich błysk gniewu.

– Gdybym uważała, że to prawda, Hekabe, sama zażyłabym truciznę. To nie za Palestę, chociaż tak powinno być, gdyż była słodka, dobra i kochająca i zasłużyła na coś lepszego niż życie w waszym świecie podstępów, zdrad i morderstw. To dla Odyseusza,

porządnego człowieka, dobrego i dumnego, i dla Antifonesa, który jest moim przyjacielem, a także dla nie wiem ilu niewinnych osób, które chciałaś zniszczyć.

– Niewinnych? – spytała Hekabe głosem ociekającym pogardą. – Na wzgórzach ambicji nie ma niewinnych. Sądzisz, że Priam byłby nadal królem, gdybym spoglądała na świat takimi naiwnymi oczami? Myślisz, że Troja przetrwałaby spiski potężnych władców, gdybym nie zawierała z nimi umów, nie przekupywała ich, nie uwodziła, nie przyjaźniła się z nimi i ich nie zabijała? Chcesz żyć wśród niewinnych, Andromacho, między owieczkami? Tak, w każdej wiosce wieśniacy wiodą cudowne życie, wśród prawdziwych przyjaciół, śpiewają i tańczą razem podczas świąt i płaczą, gdy umierają ich przyjaciele lub bliscy. Słodkie owieczki. Łzy cisną mi się do oczu. My nie jesteśmy owieczkami, głupia dziewczyno! Jesteśmy lwami. Jesteśmy wilkami. Pożeramy owce i walczymy ze sobą. Tak jak ty to zrobiłaś – i znów zrobisz, kiedy będziesz musiała.

– Mylisz się, Hekabe – odparła Andromacha. – Może jestem głupia, jak twierdzisz, wierząc, że honor, przyjaźń i lojalność nie mają ceny. Jednak są to zalety, które należy szanować, gdyż bez nich niczym nie różnimy się od bestii biegających po ziemi.

– A jednak udawałaś przyjaźń – powiedziała Hekabe, mając zamęt w myślach. – Kłamałaś i oszukiwałaś, żeby wkraść się w moje łaski. Czy to honorowe postępowanie?

– Nie udawałam, matko – powiedziała łamiącym się głosem Andromacha. – Polubiłam cię od pierwszej chwili i podziwiam twoją siłę i odwagę. Niechaj bogowie pozwolą ci spoczywać w pokoju.

– Spoczywać w pokoju! Ty głupia, głupia dziewczyno! Jeśli Odyseusz przeżyje, Troja będzie zgubiona.

Hekabe opadła na fotel, spoglądając w błękitne niebo. Myślała o planach obróconych wniwecz przez słabości i błędy innych ludzi. A potem znów znalazła się na pokładzie *Skamandriosa* i ujrzała przed sobą złocistą postać emanującą oślepiającym blaskiem. Pomyślała, że to Priam, i poczuła bezgraniczną radość.

– Dokąd poześlujemy dzisiaj, mój panie? – szepnęła.

XXII. BRZYDKI KRÓL

Priam ogłosił dzień żałoby. Przerwano wszystkie turnieje i nawet kupcom zabroniono sprzedawać towary na targowisku. Sto byków, sześćdziesiąt kóz i dwieście owiec złożono w ofierze Hadesowi, panu podziemi, a mięso rozdano tłumom tłoczącym się na wzgórzach wokół miasta. Ciało Hekabe zanesiono do pałacu, owinięte w złote szaty, a następnie złożono na katafalku w jej apartamentach.

Arcykapłan świątyni Zeusa twierdził, że nawet niebiosy płaczą, gdyż zebrały się czarne chmury i przez większość dnia padał deszcz.

Niektórzy kapłani szeptali, że śmierć królowej to zły omen dla małżeństwa jej syna, ale woleli nie wygłaszać tych poglądów publicznie.

W pałacu Politesa król Agamemnon z trudem skrywał zadowolenie. Hekabe była groźną przeciwniczką, a jej agenci zabili wielu mykeńskich szpiegów. W przeszłości jej rady wielokrotnie powstrzymywały Priama przed podjęciem pochopnych decyzji. Bez niej Priam był osłabiony i Agamemnon miał większą swobodę w realizacji swoich planów.

Drzwi głównej sali przez większość popołudnia były zamknięte i strzeżone, a słów, które w niej padły, nikt nie mógł podsłuchać. Zebrani królowie rozmawiali o manewrach i zaopatrzeniu, o ruchach wojsk i oblężeniu miasta.

Agamemnon słuchał, co mówili, rzadko zabierając głos. Wiedział, jak należy toczyć tę wojnę, i większość jego planów już w tajemnicy zaczęto realizować. Jednak nie zaszkodzi posłuchać, co mówią inni, pozwalając im wierzyć, że odgrywają większą rolę niż w rzeczywistości. Idomeneos mówił długo, Peleus również.

Odyseusz odzywał się niewiele i nie sprzeciwiał się nierealnym pomysłom Idomeneosa.

Jednak nawet jeśli był lepszym gawędziarzem niż strategiem, to przynajmniej przyciągnął innych, a następnego wkrótce pójdą w ich ślady. Już szesnastu władców obiecało przystąpić do wojny, dysponując łącznie czterystoma siedemdziesięcioma statkami i prawie sześćdziesięcioma tysiącami wojowników. Agamemnon zerknął na Idomeneosa. Kreteński król mógł się jeszcze wycofać w ostatniej chwili, przekupiony złotem Priama. Idomeneos zawsze będzie gotowy sprzedać się temu, kto zapłaci najwięcej. To leżało w naturze tego potomka wieśniaków.

Agamemnon przeniósł wzrok na starego Nestora. Ten był szlachetnie urodzony, lecz

jego uszom równie miły był brzęk złota. Ta wojna miała przynieść mu straty w towarach i złocie. Mimo to przyłączy się do Mykeńczyków – szczególnie teraz, kiedy zrobił to Odyseusz.

Cóż to był za nieoczekiwany dar losu. Brzydki Król z eskortą pięciu strażników przybył do tego pałacu poprzedniego wieczoru. Agamemnon zaprosił go do środka i we dwóch poszli do jednej z bocznych komnat.

– Nie mogę tu dziś zostać – rzekł Odyseusz. – Są pewne sprawy, którymi muszę się zająć. Przyszedłem tylko po to, żeby ci powiedzieć, że Itaka ze swymi pięćdziesięcioma statkami i dwoma tysiącami wojowników będzie z tobą, Agamemnonie.

Agamemnon przez chwilę stał w milczeniu, patrząc mu w oczy. Potem rzekł:

– Dobrze to słyszeć, chociaż muszę przyznać, że jestem zaskoczony.

– Jeszcze o tym porozmawiamy – rzekł posępnie Odyseusz. – Czy masz jakieś plany na jutrzejszy wieczór?

– Nie takie, których nie mógłbym zmienić.

– Zatem przyjdę tu z Idomeneosem i Nestorem.

– Oni też są z nami?

– Będą.

Agamemnon wyciągnął do niego rękę.

– Zatem witam cię, królu Itaki – powiedział. – Teraz jesteś bratem wszystkich Mykeńczyków. Z tym uściskiem dłoni twoje kłopoty stają się naszymi kłopotami, twoje marzenia naszymi marzeniami.

Odyseusz podał mu rękę i mocno uściskał.

– Jestem wdzięczny, Mykeńczyku – odparł poważnie.

Teraz, w głównej komnacie pałacu, król Tesalii był pijany i głowa bezwładnie opadła mu do tyłu, na oparcie fotela.

– Żegnaj, stara czarownico – rzekł, podnosząc kubek.

– Nie ciesz się, przyjacielu – rzekł Agamemnon. – Pomimo wrogości powinniśmy mieć trochę współczucia dla Priama, gdyż mówi się, że bardzo ją kochał.

– Zaraza na współczucie – mruknął Peleus. – Ta stara wiedźma i tak żyła za długo.

– Jak my wszyscy – rzekł Odyseusz. – A niektórzy bardziej niż inni.

Peleus wyprostował się w fotelu, mętym wzrokiem patrząc na króla Itaki.

– A to co ma znaczyć? – warknął.

– Czyżbym mówił w jakimś nieznanym hetyckim dialekcie? – odparł ze znużeniem Odyseusz.

Peleus mierzył go groźnym spojrzeniem.

– Nigdy cię nie lubiłem, Odyseuszu – powiedział.

– Nic dziwnego. Nigdy nie lubiłeś nikogo o normalnych upodobaniach.

Peleus zerwał się z fotela, chwytając za sztylet. Agamemnon błyskawicznie skoczył między nich.

– Wystarczy, przyjacielu – powiedział, łapiąc Peleusa za rękę. – Nie musimy się lubić. Mamy wspólnego wroga i na tym powinniśmy się skupić. – Poczł, że król Tesalii się uspokoił, i wyczuł, że jest wdzięczny za interwencję. Król Myken zwrócił się do Odyseusza: – Przez cały wieczór jesteś w kiepskim humorze. Wyjdź ze mną do ogrodu. Świeże powietrze rozjaśni ci myśli.

Mówiąc to, otworzył drzwi i wyszedł w chłód wieczoru. Brzydki Król podążył za nim.

Wartownicy oddalili się poza zasięg głosu.

– Wciąż jesteś rozdarty, Odyseuszu? – zapytał cicho Agamemnon.

– Emocje to skomplikowane zwierzęta. Pogardzam Peleusem. Lubię Hektora i Helikaona. Teraz Peleus jest moim sprzymierzeńcem, a moi przyjaciele stali się wrogami. Oczywiście, że jestem rozdarty. Jednak wyznaczyłem już kurs i postawiłem żagiel. Obwołali mnie wrogiem Troi, a teraz przekonują się, co to oznacza.

Agamemnon skinął głową.

– Mówisz o Helikaonie. Tej nocy moi ludzie go zabiją.

To było kłamstwo, ale Agamemnon chciał zobaczyć reakcję króla Itaki.

Odyseusz się roześmiał.

– Myślę, że kiedyś spróbujecie to zrobić – powiedział. – To rozsądne. Helikaon jest dzielnym wojownikiem, dobrym dowódcą i wspaniałym żeglarzem. Jednak nie tej nocy.

– Nie dziś? Dlaczego?

– Z dwóch powodów. Przede wszystkim jeszcze mi nie ufasz, Agamemnonie. Mógłbym odejść i ostrzec chłopca. To by oznaczało, że twoi ludzie zostaliby wzięci żywcem i obciążyli cię. Albo, gdyby im się udało, mógłbym pójść do Priama, ujawnić twój spisek i zostaćbyś sprawiedliwie ukarany za złamanie rozejmu. Wtedy Priam z wdzięczności mógłby zapomnieć o wrogich uczuciach i ponownie uznać mnie za przyjaciela.

Agamemnon skinął głową.

– Masz bystry umysł, Odyseuszu.

– Tak. – Spojrzał na Agamemnona i westchnął. – Powiedziałbym ci, żebyś zapomniał o obawach i zaufał mi, ale to nie leży w twojej naturze. Tak więc będę nadal szczery, dopóki nie zrozumiesz, że naprawdę jestem twoim sojusznikiem. Mam nadzieję, że Helikaon

przeżyje. Jednak przyszły sukces naszego wspólnego przedsięwzięcia wymaga, żeby w Dardanii zapanował chaos. Tylko wtedy twoje oddziały będą mogły przekroczyć Hellespont z Tracji i najechać Troję od północy.

Agamemnon zamrugał i zimny dreszcz lęku przeszedł mu po plecach. Nikt nie wiedział o tym, że jego wojska maszerują do Tracji. Gdyby wyszło to na jaw przed końcem igrzysk, nie opuściłby Troi żywy.

– Nie wiem, o czym mówisz – zdołał wykrztusić.

– Nie bawmy się w podchody, Agamemnonie. Troi nie można zdobyć frontalnym atakiem. Możesz rozbić obóz na drugim brzegu rzeki Skamander, tak jak proponuje Idomeneos, drogi na północ i wschód pozostaną otwarte, umożliwiając transport zaopatrzenia i najemników. Aby całkiem otoczyć Troję, musiałbyś mieć sto razy więcej żołnierzy, niż posiada ktokolwiek z nas.

Żywnienie takiej armii wymagałoby tysięcy wozów, a co ważniejsze, wielu farm i stad bydła oraz niewolników do zbierania plonów. Armia tej wielkości rozbiłaby obóz aż po horyzont, co wywołałoby konsternację w stolicy Hetytów. W tak wielkim obozie trudno byłoby utrzymać ład i bronić się przed zagrożeniami. Sojusznicy Troi atakowaliby jego flanki, odcinając drogi zaopatrzenia. Hektor z trojańską konnicą robiłby wypady z miasta, błyskawicznie uderzając i z powrotem kryjąc się za murami. W ciągu roku nasze skarbcze byłyby puste, a wojska zdemoralizowane. I co by się wtedy stało, gdyby Hetyci zakończyli swoją wojnę domową i ich wojska mogłyby przyjść z pomocą Troi?

Nie, Agamemnonie, to miasto można zdobyć tylko w jeden sposób. Trzeba je powoli wziąć w kleszcze z góry i z dołu, blokując morskie szlaki. Na północy leży Dardania, na południu Teby pod Plakos. Dardanos strzeże Hellespontu, a za wąskimi cieśninami leży Tracja – sojusznik Troi.

Tak więc najpierw musisz zająć Trację i zrobić z niej bazę zaopatrzeniową dla naszych oddziałów. Dopiero wtedy wojska inwazyjne będą mogły przekroczyć Hellespont i wkroczyć do Dardanii, mając zapewnione dostawy żywności. Na południu będzie to prostsze. Oddziały i zaopatrzenie można przewieźć statkami z Kos, Rodos i Miletu. Potem można zająć Teby pod Plakos, odcinając szlaki handlowe przez Idę i zapobiegając nadejściu posiłków z Likii, od Grubego Króla Kygonesa oraz innych przyjaciół Troi.

Agamemnon spoglądał na Odyseusza, jakby widział go po raz pierwszy. Jego szeroka twarz, która wydawała się tak jowialna, teraz była jak wykuta z kamienia, a w oczach palił się błysk.

Emanowała z niego siła.

– To fascynujące – rzekł Agamemnon, usiłując zyskać na czasie. – Mów dalej.

Odyseusz się roześmiał.

– Może i jest fascynujące, ale ty już wiesz, co chcę powiedzieć, gdyż znasz się na strategii jak mało kto. Tego miasta nie da się zdobyć i splądrować w kilka dni ani nawet w kilka sezonów. A jednak oblężenie nie może trwać za długo. Obaj to wiemy.

– A to dlaczego?

– Z powodu złota, Agamemnonie. Pełnych kufrów Priama. Będzie potrzebował złota, żeby opłacić najemników i kupić sojuszników. Jeśli zablokujemy szlaki handlowe, jego zyski się skurczą i skarbiec powoli się opróżni. Nie chcę po dziesięciu latach zdobyć zrujnowanego miasta i znaleźć w nim puste skarbcie. A ty?

Agamemnon przez chwilę nic nie mówił. Potem dał wartownikowi znak, żeby przyniósł im wino.

– Źle cię oceniłem, Odyseuszu – powiedział, gdy pili. – Za to przepraszam. Widziałem tylko uciesznego gawędziarza. Ale teraz naprawdę widzę, dlaczego kiedyś nazywano cię Zdobywcą Miast. Wszystko, co mówisz, jest prawdą. – Po chwili dodał: – Powiedz mi, co wiesz o Tarczy Gromu?

Teraz z kolei zdziwił się Odyseusz.

– O tarczy Ateny? Co z nią?

Agamemnon bacznie go obserwował, ale Odyseusz najwidoczniej nic nie wiedział.

– Jeden z moich kapłanów sugerował, żebyśmy złożyli ofiarę Atenie i poprosili ją o Tarczę Gromu, żeby nas broniła. Zastanawiałem się, czy słyszałeś o niej jakieś opowieści.

Odyseusz wzruszył ramionami.

– Tylko to, czego uczy się każde dziecko. Tarczę dał Atenie Hefajstos, co rozgniewało Aresa, który chciał ją mieć. Ares był tak rozgniewany, że zmiążdżył Hefajstosowi stopę pałą. Jednak dotychczas nie słyszałem, żeby ktoś prosił Tarczę Gromu o ochronę. Ale czemu nie? Aby złupić tę twierdzę, będzie nam potrzebna wszelka możliwa pomoc. To warte przynajmniej kilku byków.

Później, kiedy jego goście odeszli, Agamemnon wszedł na dach pałacu i usiadł pod gwiazdami w szerokim wiklinowym fotelu. Rozmyślał o wydarzeniach kilku minionych dni, odtwarzając je w głowie. Jednak raz po raz wracał do rozmowy sprzed dwóch dni, kiedy przyszedł do nich na kolację trojański książę, Antifones. Grubas był zauroczony Achillesem i gapił się na niego jak zadurzony. Popłynęło dużo wina i Antifones, chcąc zabawić Achillesea, opowiadał wiele uciesznych historii. Zgodnie z poleceniem Agamemnona Achilles pochlebiał trojańskiemu księciu, chłonec każde jego słowo i śmiejąc się z żartów. Mimo to niewiele się

dowiedzieli, nawet kiedy Antifones się upił, dopóki Achilles nie zaczął z podziwem mówić o Troi i jej cudach.

– To wielkie miasto – rzekł Antifones. – A wkrótce stanie się nieśmiertelne.

– W jaki to sposób, mój przyjacielu? – zapytał Achilles, podczas gdy Agamemnon dyskretnie siedział w cieniu.

– Jest pewna przepowiednia. Priam i Hekabe w nią wierzą i wielu jasnowidzów twierdziło, że jest prawdziwa.

A potem wyrecytował wiersz.

*Pod Tarczą Gromu już czeka, Orle Dziecię, niemy świadek, by krążyć nad grodem
człeka, po kres dni, królów upadek.*

– Interesujące – rzekł Achilles. – A co oznacza ten dziecinny wierszyk?

– Ach! – westchnął Antifones, stukając się po nosie. – To tajemnica. Sekret Hekabe. Właściwie nie powinienem jej znać. Jednak powiedziała mi słodka Andromacha. – Zachichotał, a potem opróżnił kielich. – Cudowna dziewczyna. Będzie... wspaniałą żoną... dla Hektora.

– Słyszałem, że zabiła zamachowca, który chciał zamordować króla Priama? – wtrącił łagodnie Agamemnon.

– Strzeliła mu prosto w serce – odparł Antifones. – Niezwykła dziewczyna! Śmiertelnie niebezpieczna z łukiem. To moja przyjaciółka, wiecie, słodka Tarcza Gromu. – Wydłużyła mu się mina i otarł tłustą łapą usta, jakby chciał z powrotem wepchnąć w nie te słowa. – Muszę już... iść – powiedział.

Na znak Agamemnona Achilles wyprowadził Antifonesa z pałacu i odprowadził do jego apartamentów.

Agamemnon posłał po doradców i zapytał ich o przepowiednię. Żaden o niej nie słyszał. Te słowa dręczyły go przez cały następny dzień. Rozesłano wieści do mykeńskich szpiegów i donosicieli, każąc im zbierać wszystkie informacje o Andromasze. W końcu znaleźli kupca, który kiedyś mieszkał w Tebach pod Plakos i wiedział trochę o tamtejszej królewskiej rodzinie.

Opowiedział historię o dziecku urodzonym z dziwnym znamieniem na głowie, okrągłym jak tarcza z błyskawicą pośrodku.

Zatem to Andromacha była Tarczą Gromu i Orle Dziecię, mające szybować nad bramami miasta, miało być synem jej i Hektora. Priam i Hekabe przykładali ogromną wagę do tej przepowiedni. Najwidoczniej była fałszywa, gdyż wszyscy prawdziwi wyznawcy bogów wiedzieli, że Tarcza Gromu była ozdobiona wężem, a nie błyskawicą, jak sądzili

władcy ze wschodu. Mimo to wierzyli w przepowiednię.

Nieważne, czy była prawdziwa czy nie. Agamemnon wiedział, że wiara w nią może wzmocnić opór Priama w nadchodzącej wojnie. Tak więc gdyby kobieta nosząca to znamię umarła, jej śmierć wywołałaby wielki smutek i rozpacz. Ponadto pokazałaby Troi, jej obywatelom i światu, że Priam nie potrafi obronić swojej rodziny. Igrzyska i ceremonia ślubna okazałyby się katastrofą i nadchodząca wojna spadłaby na lud załamany tragedią. Doskonale.

Siedząc na dachu, podjął decyzję i przywołał do siebie Kleitosa. Wysoki wojownik natychmiast podszedł.

– Wycofaj wszystkich ludzi spod pałacu Kamiennych Koni. Nie zaatakujemy Helikaona.

– Ależ panie, jesteśmy prawie gotowi.

– Nie, to nieodpowiednia chwila. Zamiast tego każ śledzić Andromachę. Dowiedz się, czy śpi w pałacu króla czy Hektora. Ilu pilnuje jej strażników? Czy chodzi sama na targ, gdzie może zostać przypadkowo pchnięta sztyletem? Chcę wiedzieć wszystko, Kleitosie. Wszystko.

Na wielkim dziedzińcu pałacu Hektora, gdzie obozowała załoga *Penelopy*, panował minorowy nastrój. Bias, chociaż doszedł do finałów w rzucie oszczepem, ledwie mógł ruszać ramieniem i czuł mrowienie w końcach palców, które nie wróżyło niczego dobrego. Leukon miał spuchnięty policzek i skaleczenie nad prawym okiem. Jego lewa dłoń był sina i napuchnięta.

Wszystkie te obrażenia odniósł podczas zakończonej trudnym zwycięstwem walki z mykeńskim mistrzem, twardym i wytrzymałym przeciwnikiem o czaszce z kamienia. Nadzieje Leukona na zwycięstwo w turnieju szybko się rozwiewały – szczególnie gdy widział, jak Achilles z niesamowitą łatwością roznosi przeciwników. Kalliades przegrał wyścig na krótki dystans, uderzony łokciem w twarz przez sprytnego biegacza z Krety, który biegł po zwycięstwo. Nawet zwykle wesoły Banokles był przygnębiony po przegranej poprzedniego popołudnia walce.

– Mógłbym przysiąc, że załatwiłem go tym podbródkowym – powiedział Kalliadesowi, gdy siedzieli w świetle księżyca. – Duża Ruda powiedziała, że jej zdaniem miałem pecha.

– To był zacięty pojedynek – przyznał Kalliades. – Jednak spójrz na to z przyjemniejszej strony. Gdybyś wygrał, znów nie mielibyśmy nic. A tak mamy piętnaście złotych pierścieni, trzydzieści osiem srebrnych i garść miedzianych.

– Nie jestem pewien, co o tym sądzić – rzekł Banokles. – Postawiłeś na mojego

przeciwnika.

– Uzgodniliśmy, że posłuchamy rady Leukona – przypomniał ze znużeniem Kalliaades.
– Miał mi powiedzieć, kiedy staniesz do walki z przeciwnikiem, którego nie zdołasz pokonać.
Miałem postawić na niego.

– To wydaje się nie w porządku – narzekał Banokles. – Mogłeś mi powiedzieć.

– I co byś zrobił, gdybym ci powiedział?

– Postawiłbym na niego.

– I to dopiero byłoby nie w porządku. Poza tym czy naprawdę chciałeś walczyć z Achillesem? Bo z nim będzie walczył twój przeciwnik w jutrzejszych półfinałach. A tak mamy pełne sakiewki i dach nad głową, a ty nie masz połamanych kości.

Leukon podszedł do nich z dzbanem wina i napełnił kubek Banoklesa.

– Kilka tygodni ćwiczeń nad pracą nóg i pokonałbyś go, przyjacielu – powiedział, siadając obok posiniaczonego wojownika. – Wciąż wchodziłeś prosto na jego lewy sierpowy.

– Jakby spadała na mnie lawina – poskarżył się Banokles. – Niecierpliwie czekam, aż Achilles otrzyma kilka tych ciosów. Zetrą z jego twarzy ten wyniosły uśmiezek.

Leukon pokręcił głową.

– Achilles wykończy go w mgnieniu oka – rzekł ponuro. – Tamten nawet nie tknie go swym lewym sierpowym. Nigdy nie widziałem, żeby taki duży mężczyzna poruszał się tak szybko.

– Pokonasz go w finale – powiedział Banokles.

Leukon nie odpowiedział i wszyscy trzej siedzieli w milczeniu, pijąc wino.

Odyseusz w asyście pięciu strażników wszedł przez bramę i nie rozmawiając z nikim, przeszedł przez dziedziniec.

– Pójdę odwiedzić Rudą – powiedział Banokles. – Daj mi kilka srebrnych pierścieni, Kalliaadesie.

Kalliaades otworzył wypchaną sakiewkę, którą miał przy pasie, wyjął kilka pierścieni i położył na wyciągniętej dłoni Banoklesa.

– To niepodobne do ciebie, ograniczać się tylko do jednej kobiety – zauważył.

– Nigdy nie spotkałem takiej jak Ruda – odparł zadowolony Banokles, dopił wino i ruszył w kierunku bramy.

Patrzyli, jak odchodzi, a potem Kalliaades odwrócił się do Leukona.

– Banokles niczym się nie przejmuje. W przeciwieństwie do ciebie.

Leukon przez chwilę nic nie mówił i siedzieli w milczeniu. W końcu jasnowłosy żeglarz powiedział niemal szeptem:

– Achilles nie ma słabych punktów. Jest szybki, silny i niezwykle wytrzymały. I potrafi przyjmować ciosy. Widziałem, jak wczoraj zmasakrował przeciwnika. Walczyłem z tym człowiekiem w zeszłym roku. Minęło całe popołudnie, nim zdołałem go zmęczyć. Achilles pokonał go w czasie krótszym, niż potrzeba, by opróżnić kielich wina. Prawda wygląda tak, że nie jestem w stanie go pokonać i trudno mi to przyznać.

Napełnił sobie kubek i pociągnął spory łyk. Kalliades klepnął go w ramię.

– Rozchmurz się, przyjacielu. Przy odrobinie szczęścia nie wygrasz półfinałów i twój przeciwnik będzie musiał stawić czoło Achillesowi.

– Dlaczego miałbym nie wygrać w półfinałach? Walczyłem z tym przeciwnikiem już trzy razy. Wiem, na co go stać.

– Żartowałem.

– Leukon nie zna się na żartach – powiedział Odyseusz, dołączając do nich. – Jak pięść? – zapytał wielkiego pięściarza.

– Dodatkowy dzień odpoczynku bardzo pomoże, tak samo jak owinięcie rzemieniem podczas walki. – Leukon spojrzał na drugi koniec dziedzińca, gdzie Bias wcierał sobie oliwę z oliwek w ramię. – O Biasie nie można tego powiedzieć. Ramię go boli i paskudnie mu napuchło.

– Później zamienię z nim kilka słów – powiedział Odyseusz. – Ale teraz musimy porozmawiać. Chodź ze mną.

Kalliades patrzył, jak Brzydki Król i pięściarz wchodzi do pałacu, a potem poszedł do Biasa masującego obolałe mięśnie.

– Pozwól, że ja to zrobię – zaproponował, biorąc fioletkę i nawilżając sobie dłonie oliwą.

– Dziękuję – odparł Bias. – Nie mogę dosięgnąć miejsca pod łopatką.

Jego skóra była gorąca, a mięśnie barku zaognione i napuchnięte. Kalliades ugniatał je, rozmasowując stwardnienia.

– Widziałem wychodzącego Banoklesa – powiedział Bias. – Znow poszedł na dziwki? Kalliades zachichotał.

– To mu wychodzi najlepiej.

– Właśnie dlatego tęsknię za młodymi latami – wyznał Bias. – Wtedy mogłem rzucać przeklętym oszczepem i nie zrywać sobie przy tym wszystkich mięśni pleców.

– Mimo to tylko trzech zawodniczy rzucili dalej niż ty.

– Jutro wszyscy rzucają dalej niż ja.

– Może nie – rzekł Kalliades. – Namoczymy szmaty w zimnej wodzie i ochłodzimy

trochę rozgrzane mięśnie.

Później, gdy obaj siedzieli w chłodzie nocy, Bias zapytał:

– Myślałeś o tym, co będziesz robił, gdy skończą się igrzyska?

– Pewnie ruszę na południe. Do Teb pod Plakos, a potem do Likii. Zaciągnę się do jakiegoś regimentu najemników.

– Weźmiesz ze sobą tę dziewczynę?

– Nie. Ona zostanie w Troi z przyjaciółką.

W pobliżu nie było nikogo, a mimo to czarnoskóry nachylił się i zniżył głos.

– Przyjaciółka może jej nie przyjąć. Wiesz?

– Są więcej niż przyjaciółkami – odparł Kalliades.

– Wiem o tym, przyjacielu. Załoga nie wie, kim jest Piria, ale Odyseusz mówił mi, że ty wiesz. Świątynia na Terze została wybudowana za trojańskie pieniądze. Priam jest jej patronem. Sądysz, że pozwoli uciekinierce mieszkać w Troi? Dopóki tu jest, będzie zagrożeniem dla każdego, kto przyjmie ją pod swój dach.

– Co sugerujesz, Biasie?

– Wiem, że ci na niej zależy. Zabierz ją ze sobą. Daleko od tego miasta, gdzieś, gdzie nikt jej nie rozpozna.

Kalliades spojrzał mu w oczy.

– Niepokoisz się wyłącznie o Pirię?

– Nie, chłopcze. O siebie i innych chłopców z załogi *Penelopy*. Jeśli zostanie schwytana w Troi, wszyscy będziemy w to zamieszani. Nie mam ochoty zostać spalony żywcem.

Kalliades zamilkł. Kiedy ostatnio rozmawiał z Pirią, mówiła o Andromasze z entuzjazmem i miłością, a jej twarz promieniała szczęściem i nadzieją. Co się stanie, jeśli zostanie przez nią odepchnięta? Albo jeszcze gorzej, jeśli aresztują ją strażnicy Hektora? Na myśl o tym zemdliło go ze strachu. Piria była bardzo dzielna, ale wrażliwa. Ile zrad zdoła jeszcze znieść?

– Nie zostanie schwytana – powiedział w końcu. – Dopilnuję, że by była bezpieczna.

XXIII. BIESIADA WILKÓW

Priam siedział sam w apartamentach królowej, której okryte całunem ciało spoczywało na katafalku pośrodku głównej sali. Z płótna unosił się ciężki zapach perfum, maskujący odór śmierci. Priam nie podchodził do zwłok. Siedział na drugim końcu komnaty, z na pół opróżnionym pucharem wina w dłoni. Zgodnie z grzebalnym zwyczajem rodu Ilos, białą tunikę miał rozdartą na ramieniu, a jej prawy rękaw oraz włosy posypane popiołem.

Dopił wino. Wyczuwał obecność Hekabe, stojącej tam i spoglądającej na niego. Czuł jej dezaprobatę.

– Powiniennem być do ciebie przyjść – szepnął. – Wiem o tym. Jednak nie mogłem. To było ponad moje siły. Rozumiesz to, Hekabe. Wiem, że tak. Kiedyś byłaś najpiękniejszą z kobiet. Chciałem zapamiętać cię taką, a nie jako zżartą przez chorobę staruchę, z której została tylko żółta skóra i sterczące kości.

Ukradkiem zerknął na ciało i zamknawszy oczy, znów ujrzał wspaniałe dni młodości, gdy wydawało im się, że są nieśmiertelni. Wspominał, jak urządzono te apartamenty i Hekabe stała na balkonie, patrząc na miasto. Była wtedy w ciąży z Hektorem.

– Nie ma rzeczy, której nie mogliśmy dokonać, Priamie – powiedziała. – Jesteśmy potężni!

– Byliśmy potężni – powiedział głośno. – Teraz jednak odeszłaś i wilki ściągają na ucztę. Są w megaronie na dole, czekając na stypę. Przyjdą do mnie, aby złożyć kondolencje i najlepsze życzenia. Będą przyglądać mi się ukradkiem i zobaczą moją słabość. Agamemnon będzie uradowany. I ten okropny Peleus, chciwy Idomeneos, uparty Nestor, sprytny Odyseusz. – Wstał i zaczął się przechadzać po komnacie, nie patrząc na okryte całunem ciało. Zajrzał do pustego kielicha, po czym cisnął nim o ścianę. – Gdzie jesteś teraz, kiedy cię potrzebuję? – krzyknął.

Potem opadł na fotel. W myślach ujrzał rozbierającą się Andromachę, odwracającą się do niego plecami, gdy suknia opadała na podłogę. Zobaczył siebie, jak podchodzi do niej, swoje dłonie przesuujące się po jej miękkiej skórze. Ten obraz prześladował go od wielu dni. Budził się z nim, widział go na jawie i we śnie.

– Mam mętlik w głowie – powiedział, usiłując o tym zapomnieć. – Zaciągnąłem Andromachę do łóża. Wiedziałaś, że to zrobię. Myślałem, że po tym przestanę jej pragnąć. Jednak nie. Rozpaliła we mnie krew w sposób, jakiego nie czułem, odkąd... odkąd ty i ja

byliśmy młodzi. Czy tego chciałaś? Czy to był twój dar dla mnie? Ona jest tak podobna do ciebie, ukochana. Widzę cię w jej oczach, słyszę w jej głosie. – Zamilkł, po czym chwiejnie przeszedł przez komnatę do stoliczka, na którym stał dzban z winem. Podniósł go i pił chciwie, aż czerwony płyn pociekł mu po policzkach, plamiąc tunikę. – Teraz nie chce już do mnie przyjść.

Przypomina mi o zawartej umowie. Raz na miesiąc. Ona mi przypomina! Czyż nie jestem królem? Czy nie do mnie należy zawieranie lub łamanie umów? – Przetarł oczy. – Nie, teraz nie mogę o niej myśleć. Muszę uważać na wilki. Zbierają się w stado, które muszę rozproszyć i skłócić. Mogę przekupić Idomeneosa i kilku pomniejszych władców. Może uda mi się przekonać Nestora. Pozostałych muszę przestraszyć. A Odyseusz musi umrzeć.

Usłyszał odgłos otwieranych drzwi i odwróciwszy się, zobaczył wchodzącego cicho syna, Antifonesa.

– Co się z tobą dzieje! – krzyknął. – Nie widzisz, że rozmawiam z twoją matką?

– Widzę, ojcze, tak samo jak inni, ale obawiam się, że ona cię już nie słyszy.

Priam odwrócił się do katafalku, stracił równowagę i o mało nie upadł. Antifones złapał go, przytrzymał i doprowadził do sofy.

– Przynieś mi wina – rozkazał król.

Antifones pokręcił głową.

– Na dole czekają na ciebie wrogowie. To nie czas, żeby się rozklejać. Przyniosę ci wodę, a ty ją wypijesz i wysikasz tę słabość. Potem zejdiesz do swoich gości jako potężny władca Troi, a nie pijany dureń jęczący o biednej zmarłej żonie.

Te słowa przedarły się przez opar smutku i Priam błyskawicznie złapał Antifonesa za tunikę i przyciągnął do siebie.

– Śmiesz mówić do mnie w taki sposób? Na gromy, każę ci wyrwać język!

– I to jest Priam, jakiego teraz potrzebujemy – powiedział spokojnie Antifones.

Priam zamrugał i uszła z niego złość. Nabrał tchu i puścił Antifonesa. Syn miał rację. Pokój zaczął się kołysać i Priam znów opadł na sofę.

– Przynieś wodę – wymamrotał.

Antifones wziął go pod rękę.

– Wyjdźmy na balkon. Świeże powietrze rozjaśni ci myśli.

Priam zdołał wstać i podtrzymywany przez syna chwiejnie wyszedł na balkon. Tam przechylili się przez balustradę i zwymiotowali. Zaczęło go łupać w skroniach, ale czuł, że wypite wino przestaje działać. Antifones przyniósł mu dzban wody i Priam wmusił w siebie trochę. Po chwili zaczerpnął tchu i wyprostował się.

– Znów jestem sobą – rzekł. – Teraz zejdźmy między wilki.

Królowie zachodu i wschodu siedzieli przy długim stole w megaronie Priama, w migającym świetle pochodni, w cieniu połączonych posągów trojańskich bohaterów. Słudzy ze złotymi tacami, na których stały napełnione po brzegi złote puchary, uwijali się przy wielkim stole w kształcie podkowy. Priam wciąż się nie pojawiał i goście zaczęli się irytować. Pierwszy zaczął narzekać Menestheos, król Aten. Krępy i rudobrody Ateńczyk był znany z wybuchowego temperamentu.

– Jak długo jeszcze każe nam czekać! – warknął. – To nie do zniesienia!

– Zachowaj spokój, przyjacielu – rzekł siedzący po drugiej stronie Agamemnon. – Ten człowiek jest zrozpaczony i nie myśli trzeźwo. Jestem pewien, że nie zamierza nas obrazić. Pod wpływem żalu zapomniał o dobrym wychowaniu.

Siedzący obok niego złotowłose Hektor poczerwieniał.

– Dziękuję ci za kurtuazję, Agamemnonie – rzekł zimno – ale mój ojciec nie potrzebuje, by ktoś za niego przeproszał.

Odyseusz siedział w milczeniu przy wielkich drzwiach. Nie miał ochoty przychodzić na tę ucztę i nie lubił zmarłej królowej. Wiedział, że była zabójczą mieszaniną: uśmiech syreny, oczy lamparta i serce węża. Nie opłakiwał jej i nie miał ochoty składać kondolencji Priamowi. Jednak kurtuazja nakazywała, aby był tutaj podczas mowy żałobnej. Tak więc uprzejmie wysłucha, jak arcykapłan Ateny będzie opisywał niezliczone cnoty królowej, i zobaczy, jak poderżną gardła siedmiu białym gołębiom, które – jak wierzą ci głupcy – polecą na odległy Olimp i opowiedzą bogom o życiu Hekabe. Czy bogowie nie znali już historii jej życia oraz wszystkich podstępów i zdrad, które ją plamiły? Głupi rytuał, pomyślał Odyseusz.

Sługa postawił przed nim złoty kielich, lecz Król Itaki nie tknął wina. Popatrzył na drugi koniec stołu, gdzie siedział Helikaon, między Agapenorem, młodym królem Arkadii, a Ektionem, władcą Teb pod Plakos i ojcem Andromachy. Helikaon ani razu nie popatrzył w kierunku Odyseusza.

Drzwi po przeciwnej stronie megaronu otworzyły się i weszło sześciu Królewskich Orłów w zbrojach z brązu i srebra, w białych płaszczach i hełmach z białymi pióropuszcami.

Rozstąpiwszy się, uderzyli włóczniami w owalne tarcze, ogłaszając przybycie króla Priama.

Wszedł król Troi, a za nimi jego słusznej postury syn, Antifones. Odyseusz zmierzył króla zimnym spojrzeniem. Priam wciąż był wysoki i barczysty, lecz wiek siedział mu na plecach niczym wrona, dziobiąca jego siły. Twarz miał czerwoną i najwyraźniej sporo wypił. Mimo to podszedł pewnym krokiem do swego miejsca u szczytu stołu i usiadł, nie odzywając

się do gości.

Potem dał znak kapłanowi, żeby zaczął przemowę.

Arcykapłan był wysoki i chudy, młodszy niż większość kapłanów. Zapewne jeszcze jeden bękart Priama, pomyślał Odyseusz. Jednak głos miał silny i głęboki i wzruszająco mówił o życiu Hekabe. Opowiadał o jej sile i wierności, i o jej miłości do Troi. O jej synach i dumie z osiągnięć syna-bohatera, Hektora. To była wspaniała mowa, a kiedy zakończył, królowie nagrodzili go, bijąc pięściami w stół. Potem wstał Priam.

– Dziękuję wam, że przyszliście tu dzisiaj – powiedział do gości. – Wielu z was było przyjaciółmi Troi dłużej, niż żyję na tym świecie. Inni mogą się stać jej przyjaciółmi. Taką mam nadzieję. Wszyscy tu obecni jesteśmy ludźmi wojny. Czasem nie z własnego wyboru. Czasem sami tego chcemy, pragnąc sławy lub bogactw. Wojna to szlachetne zajęcie i często konieczne, aby naprawić zło wyrządzone naszym rodem lub zadać śmiertelny cios tym, którzy chcą zadać go nam. Jednak dziś uczujmy jak przyjaciele i opłakujmy przemijające piękno. Jedzcie i pijcie, przyjaciele, i cieszcie się rozrywkami przygotowanymi przez moich synów. Mamy tancerki z Krety, zonglerów z Miletu, pieśniarzy i muzyków. To powinien być radosny wieczór w podziękowaniu za życie, które wiele dla mnie znaczyło.

Priam klasnął i rozbrzmiała muzyka. Słudzy podbiegli, stawiając na stole złote półmiski pełne jadła.

Odyseusz jadł niewiele, a kiedy skończył się posiłek i zaczęły pokazy, wstał od stołu i ruszył do drzwi. Ze zdziwieniem usłyszał głos Priama.

– Opuszczasz nas tak szybko, królu Itaki? Nie złożywszy kondolencji?

Gdy król przemówił, muzyka nagle ucichła. Odyseusz powoli się odwrócił.

– A co chciałbyś usłyszeć, królu Priamie? Że przykro mi z powodu twojej straty? Współczuję każdemu, kto utracił kochaną osobę. Jednak nie będę prawił ci słów ociekających miodem. Honor i zwyczaj nakazywały mi być tu dziś wieczorem. Honor i zwyczaj nakazują, abym jutro wziął udział w igrzyskach. Potem odpłynę, nie oglądając się za siebie.

– Odpłyniesz stąd jako wróg Troi! – zagrział Priam. – Jako zleceniodawca zabójców, łamiący przysięgi. A kiedy znów się spotkamy, lepiej, byś miał broń w ręku.

– Tak się stanie – odparł gniewnie Odyseusz. – I będzie nią Akilina, a nie jakiś pęknięty kij podsunięty mi przez twoich lizusowskich sędziów. Nie chciałem wojny z Troją. Pamiętaj o tym, Priamie. Pamiętaj, kiedy twoi synowie zginą, a wpływy się skurczą. Pamiętaj, kiedy płomienie strawią twój pałac.

– Już się trzęsę ze strachu – prychnął Priam. – Mała Itaka przeciw potędze Troi. Masz broń, która zwali moje mury? Masz armię, która pokona trojańską konnicę? Nie! Ani ty, ani

stu takich jak ty razem wziętych nie jesteście zdolni wyrządzić Troi większej szkody niż ukąszenie pchły. Stutysięczna armia nie zdoła wziąć tego miasta. Masz stutysięczną armię, mały królu?

W tym momencie Odyseusz zrozumiał, że Priam sprowokował starcie, żeby wygłosić tę mowę w obecności zebranych władców. Przez chwilę stał w milczeniu, a potem się roześmiał.

– Chcę, żebyś zapamiętał i tę przechwałkę, Priamie – rzekł. – Chcę, żeby ludzie powtarzali ją wszędzie wokół Wielkiej Zieleni. Ani ja, ani stu takich jak ja razem wziętych nie zdoła wyrządzić Troi większej szkody niż ukąszenie pchły. Niech ta przechwałka odbija się echem w dolinach. Niech powtarzają ją góry. Niech morza szepczą o niej na brzegach całego świata.

Z tymi słowami odwrócił się do drzwi i wyszedł.

Słyszając za sobą kroki, odwrócił się i zobaczył Helikaona. Na jego widok poczuł jeszcze większe przygnębienie.

– Rzuć swoją groźbę szybko – powiedział. – Nie mam czasu do stracenia.

– Nie zamierzam ci grozić, Odyseuszu – rzekł ze smutkiem Helikaon. – Nie chciałem tego.

– Powinieneś o tym pomyśleć, zanim pobiegłeś do Priama – odparł Brzydki Król. – Czy nasza przyjaźń tak niewiele dla ciebie znaczyła, że nie mogłeś zaczekać i wysłuchać, co mam do powiedzenia, zanim doprowadzisz do ogłoszenia mnie łotrem i wyrzutkiem?

Ze smutkiem i gniewem odwrócił się plecami do Helikaona, lecz ten pośpiesznie złapał go za ramię.

– Nie było tak, jak myślisz! – zawołał. – Nikt nie darzy cię tak przyjaznymi uczuciami jak ja, Odyseuszu. Nie pamiętam, kiedy Priam do mnie przyszedł. Leżałem w gorączce, z zakażeniem krwi. Ledwie pamiętam jego wizytę. Budziłem się i znów zaczynałem śnić, sny pełne śmierci i rozpaczy.

Nagle gniew opuścił Odyseusza. Zgarbił się i poczuł straszliwe znużenie.

– Lepiej spytaj mnie teraz o to, co chcesz wiedzieć – rzekł.

– Czy Karpoforos kłamał? Powiedz mi, że tak, a wszystko zdołamy naprawić.

Odyseusz zobaczył, że Helikaon bardzo by chciał, żeby tak właśnie było. Widział to w jego oczach.

– Tego już się nie da naprawić, Złocisty. Zabójca nie kłamał. Dałem mu tyle srebra, ile waży jedna owca, żeby zabił Anchizesa.

Helikaon stał w milczeniu, patrząc z niedowierzaniem.

– Nie rozumiem. Dlaczego miałbyś to zrobić? Niczego byś na tym nie zyskał. Ojciec gardził mną, ale do ciebie nic nie miał. Powiedz mi i uśmierź mój niepokój.

Odyseusz westchnął.

– Obawiam się, że jeszcze go podsyce, a chętnie oddałbym dziesięć lat życia, żebyś nie odkrył prawdy. Nawet teraz waham się, czy ci ją wyznać.

– Muszę ją poznać, Odyseuszu. – Helikaon przyglądał mu się bacznie. – Chociaż mówiąc to, chyba domyślam się odpowiedzi.

Odyseusz skinął głową.

– Podczas tamtego ostatniego rejsu, kiedy płynęliśmy do Dardami, mieliśmy trzech pasażerów. Dwóch kupców i jednego podróżnego. Tym podróżnym był Karpoforos. Rozpoznałem go i domyśliłem się celu jego podróży. Pewnej nocy porozmawialiśmy sobie z dala od załogi. Wyjaśniłem mu, że wiem, kto jest jego celem, i złożyłem propozycję. Nie miał wyjścia, musiał ją przyjąć, gdyż w przeciwnym razie zginąłby z mojej ręki.

– I to ja byłem jego celem?

– Tak. Anchizes już cię wydziedziczył i wyrzekł się ciebie. Na swego dziedzica wyznaczył Diomedesa. Mimo to chciał mieć pewność, że nie sprawisz mu kłopotu. – Odyseusz westchnął. – Pragnął twojej śmierci. Wiedziałem o tym wcześniej, gdyż proponował mi nagrodę za zabicie ciebie, kiedy zabrałem cię na pokład. Jednak błędnie sądziłem, że kiedy zobaczy, jakim stałeś się mężczyzną, będzie z ciebie dumny tak jak ja. Kiedy odkryłem, że wynajął Karpoforosa, zrozumiałem, że nie cofnie się przed niczym, żeby cię usunąć. Tak więc zapłaciłem Karpoforosowi, żeby go zabił. I nawet teraz tego nie żałuję.

Helikaon odszedł kilka kroków i stanął plecami do Odyseusza.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi tego wcześniej? – spytał. – Zrozumiałbym.

– Tak. Jednak mimo wszystko nadal podziwiałeś Anchizesa. Nie widziałem powodu, żeby plamić ten wizerunek. Teraz tego żałuję.

– Muszę się przejść – rzekł Helikaon, odwracając się twarzą do niego. – Chodźmy stąd, zejźmy na brzeg i poczujmy morską bryzę na twarzach.

– Nie, Helikaonie. Nie możemy przechadzać się razem – powiedział Odyseusz ze smutkiem.

– Moja straż czeka za bramą. Priam może nasłać na mnie następnych zabójców. Co do ciebie, dobrze wiesz, że polują na ciebie mykeńscy mordercy. Dla nas skończyły się beztraskie spacerki.

– Przez długą chwilę obaj milczeli. Potem znów odezwał się Odyseusz. – Nadchodzi wielka wojna i staniemy po przeciwnych stronach, ty i ja. To smuci mnie bardziej, niż można

wyrazić słowami.

– Staniesz u boku Agamemnona? On skapie świat we krwi.

Odyseusz westchnął.

– Nie chciałem tego, Helikaonie. Nie ja ogłosiłem się wrogiem Troi. I nawet gdybym chciał, nie mam dokąd uciec, żeby się ukryć. Priam już trzykrotnie próbował okryć mnie niesławą. Jestem królem, a królowie nie rządzą długo, jeśli pozwalają, aby inni władcy sikali im na buty. Moje statki nie będą atakowały dardańskich galer i nie wezmę udziału w najeździe na twoje ziemie. Jednak wydam wojnę Troi i doprowadzę do upadku Priama.

– A ja będę walczył po stronie Priama i Hektora – rzekł Helikaon.

– To jedyne honorowe wyjście – przyznał Odyseusz. – Powinieneś jednak nabrać sił, chłopcze. Zostały z ciebie skóra i kości.

– Co z Siedmioma Wzgórzami? – zapytał Helikaon. – Zbudowaliśmy tę osadę razem i Dardańczycy pracują tam zgodnie z obywatelami Itaki.

Odyseusz zastanowił się.

– Osada leży daleko poza obszarem przyszłych działań wojennych. Możesz powierzyć mi nadzór nad nią i przechowanie twoich zysków. Zrobię, co w mojej mocy, żeby zapobiec waśniom pomiędzy jej mieszkańcami. Miejmy nadzieję, że pewnego dnia przejdziemy się jej ulicami razem, znów jako przyjaciele.

– Będę się o to modlił, Odyseuszu, przyjacielu.

Ze łzami w oczach Odyseusz wziął młodzieńca w ramiona i ucałował w policzki.

– Niech bogowie obdarzą cię łaską – powiedział.

– I niech mają w opiece ciebie, brzydalę. Zawsze.

Igrzyska wznowiono rankiem następnego dnia po stypie. Niebo było jasne, a na wzgórzach wiał rzeński wietrzyk. Na hipodromie i stadionie zebrały się tłumy i na wyniki finałów postawiono całe fortuny. Jednak na Achillesa nie postawiono nawet miedzianego pierścienia, gdyż nie znalazł się nikt, kto postawiłby na jego przeciwnika.

Pomimo ostrzeżeń przyjaciół Helikaon przechadzał się w podekscytowanym tłumie, obserwując zawodników. Rozstanie z Odyseuszem bardzo go przygnębiło i igrzyska przestały go interesować. Przyszedł tu tylko zobaczyć Andromachę. Gershom był przy nim, trzymając dłoń na rękojęści sztyletu i czarnymi oczami wypatrując w tłumie zabójców.

– Przyjście tu było głupotą – powiedział, nie pierwszy już raz, gdy przeciskali się przez tłum widzów przy hipodromie.

– Nie będę żył w strachu – odparł Helikaon. – Już próbowałem. Nie odpowiada mi to.

Na nasypach wokół toru wyścigowego ustawiono drewniane ławy, lecz były już

zajęte.

Helikaon poprowadził Gershoma przez tłum do ocienionej baldachimem królewskiej łoży, gdzie rozpoznali go dwaj stojący na straży żołnierze Królewskich Orłów.

– Dobrze widzieć cię znów wśród żywych, panie – powiedział jeden z nich, barczysty weteran z siwo-czarną brodą.

Był jednym z tych, którzy walczyli u boku Helikaona poprzedniej jesieni, odpierając atak na pałac Priama. Helikaon klepnął go w ramię i wszedł do łoży, a Gershom za nim. Sługa przyniósł im chłodny sok z owoców, przyprawiony korzeniami.

Z tyłu łoży Helikaon zobaczył szczupłego, ciemnowłosego Diosa i olbrzymiego Antifonesa.

Spierali się o zalety woźniców rydwanów, mających się ścigać. Dios zauważył Helikaona i z szerokim uśmiechem podszedł, żeby go uściskać. Potem Antifones uściśnął mu dłoń.

– Jesteś już bardziej podobny do siebie – orzekł Dios. – Miło to widzieć.

– Jednak wciąż za chudy – dodał Antifones. – Chyba zrzuciłem więcej, niż ty ważysz, Helikaonie.

Na hipodromie zobaczyli Politesa oraz około dwudziestu sędziów, idących rzędem i oglądających tor, szukających kamyków, które koła rydwanów mogłyby wyrwać z ziemi i cisnąć w tłum.

– Dobrze się spisał – pochwalił Helikaon. – Igrzyska były doskonale zorganizowane.

Kiedy sędziowie zakończyli oględziny toru, woźnice wyprowadzili rydwany, jadąc długim rzędem, tak by tłum mógł obejrzeć konie, ocenić je i obstawić. Rudowłosy ateński król Menestheos jechał na czele rydwanem zaprzężonym w cztery czarne rumaki, zwinne i silne. Za nim podążał likijski mistrz Supolos i mistrz Myken, Ajaks. Ten jako jedyny miał hełm i skórzany napierśnik. Wszyscy pozostali byli w zwyczajnych tunikach.

Helikaon obejrzał jadących, pilnie przyglądając się zachowaniu koni. Niektóre były nerwowe i podrzucały łbami lub stukały podkowami, inne wyglądały na spokojne. Czarne rumaki Menestheosa przykuwały jego wzrok.

– Obstawiasz? – zapytał Dios.

– Może.

– Ten Likijczyk, Supolos, świetnie się spisywał. Nigdy nie widziałem równie szybkiego zaprzęgu.

Helikaon się uśmiechnął.

– Postawię sto złotych pierścieni, że Menestheos i jego czarne rumaki zakończą

wyścig przed nim.

– Stoi!

Zatoczywszy krąg, dwanaście rydwanów podjechało na miejsca startowe. Pojazdy miały pomknąć do pierwszego słupa, zakręcić i wrócić do drugiego, wykonując dziesięć takich okrążeń.

Linia startowa przebiegała skośnie, tak by odległość do pierwszego słupa była taka sama dla wszystkich. Menestheos wylosował zewnętrzny tor, a Likijczyk Supolos wewnętrzny. Woźnice owinęli długie lejce wokół przegubów i czekali na sygnał trąbki.

Tłum ucichł.

Rozległ się sygnał.

Czterdzieści osiem koni runęło naprzód i zaczął się wyścig. Cztery czarne rumaki Menestheosa pomknęły jak błyskawice, zajeżdżając drogę następnemu rydwanowi, zmuszając jego woźnicę do ostrego skrętu i ściągnięcia wodzy. Po wewnętrznej zaprzęg Supolosa mknął z zatrważającą prędkością. Jako pierwszy dojechał do słupa i rydwan przechylił się z jednym kołem w powietrzu, gdy woźnica ściągnął wodze wewnętrznej pary koni, podczas gdy te zewnętrzne jeszcze przyspieszyły. Był to zapierający dech w piersi pokaz zręczności i rydwan minął słupek w odległości nie większej niż szerokość dłoni. Menestheos był tuż za nim, a Mykeńczyk Ajaks jechał jako trzeci.

Podkscytowany tłum szalał. Dwa jadące z tyłu rydwany zderzyły się na zakręcie. Jeden stracił koło, a drugi przekoziołkował, wyrzucając woźnicę na piach. Żołnierze wybiegli na tor i ściągnęli oba uszkodzone pojazdy. Obaj woźnice wyszli z tego bez szwanku.

Przy piątym nawrocie wydawało się, że Supolos zdobędzie laurowy wieniec, lecz Menestheos i Ajaks jechali zręcznie i odważnie, czekając na jego błąd, który pozwoli im wysforować się naprzód.

Doczekali się przy dziewiątym nawrocie. Wystarczył moment nieuwagi i Supolos za szeroko wziął zakręt. Ajaks popędził konie, usiłując wjechać w wolną przestrzeń. Supolos natychmiast spostrzegł swój błąd i próbował zablokować przeciwnika. Jeden obok drugiego przemknęli po prostym odcinku. Na zakręcie znaleźli się zbyt blisko siebie, koła ich rydwanów się zetknęły i szepiły. Koło Likijczyka oderwało się, a jego rydwan z impetem wpadł na barierę. Powóz się rozpadł, ale konie biegły dalej, wlokąc Supolosa, który miał lejce owinięte wokół nadgarstków.

W wyniku zderzenia Ajaks musiał zwolnić i Ateńczyk Menestheos dostrzegł swoją szansę.

Smagnął konie i zawołał donośnie:

– Jazda, ślicznotki! Jazda!

Czarne rumaki minęły zakręt i pomknęły galopem. Nieszczęsny Supolos znalazł się na ich drodze. Biegący po zewnętrznej rumak przeskoczył przez niego, lecz koło rydwanu ze straszliwą siłą uderzyło go w kark i wszyscy w tłumie natychmiast zrozumieli, że zginął.

Menestheos pomknął do ostatniego słupa, tuż przed Ajaksem, i wykonał idealny skręt. Potem popędził konie do mety. Ajaks nie zdołał zmniejszyć odległości i zakończył wyścig jako drugi.

Pozostałe rydwany szczęśliwie dojechały za nimi. Dopiero wtedy noszowi wbiegli na tor, żeby zabrać ciało Supolosa.

– Mam pecha – rzekł Dios.

– Nie takiego jak ten Likijczyk – przypomniał Helikaon.

– Menestheos mógł go ominąć – zauważył Antifones. – Wystarczyło ściągnąć wodze i skrócić.

– Wtedy przegrałby wyścig – rzekł Dios.

Helikaon czekał na wiwaty towarzyszące odbieraniu laurowego wieńca przez Menestheosa, po czym razem z Gershomem poszli kolumnadą do wejścia na stadion. Gershom wciąż podejrzliwie obserwował otaczający ich tłum.

Kiedy się tam znaleźli, właśnie trwały finałowe pojedynki w rzucie oszczepem. Wygrał Rodyjczyk niewiarygodnie dalekim rzutem, lecz Helikaon z przyjemnością zobaczył, że jego stary znajomy, Bias, był drugi. Załoga *Penelopy* otoczyła go i wzięła na ramiona, jakby zwyciężył. Kiedy go nieśli, zauważył Helikaona i pomachał do niego z szerokim uśmiechem.

Helikaon podniósł rękę i też się uśmiechnął. Poczłł smutek. Czy obaj będziemy się uśmiechać, kiedy znów się zobaczymy? – zastanawiał się.

Po drugiej stronie stadionu była druga trybuna królewska. Helikaon i Gershom przeciskali się przez tłum, aż znaleźli się przed nią. Helikaon przystanął. Na honorowych miejscach ustawiono dwa złoczone trony, a na nich, pod haftowanymi złotem baldachimami, siedzieli Hektor i Andromacha. Jej ojciec Ektion, szczupły mężczyzna o głęboko osadzonych, czujnych oczach, siedział po jej prawej ręce, a Priam obok syna.

Helikaon stał w milczeniu, patrząc na kobietę, którą kochał. Miała na sobie błyszczącą żółtą suknię do kostek i złoty pas. Długie rude włosy były związane złotym drutem i przytrzymywane przez złoty diadem. Jej uroda przeszyła go jak lanca.

– Wchodzisz? – zapytał Gershom.

– Nie, tobie nie pozwolono by wejść. Zostaniemy tutaj – odparł Helikaon.

Gershom zaśmiał się.

– Wierz mi, przyjacielu, wolałbym, żebyś wszedł. Spacerowanie z tobą i nieustanne wypatrywanie zamachowców działa mi na nerwy. Spotkamy się tu po tym, jak Achilles wygra turniej.

Zrobiwszy głęboki, uspokajający wdech, Helikaon minął wartowników i wszedł do loży.

Priam zobaczył go i uśmiechnął się na powitanie. Widok króla przypomniał mu wydarzenia minionej nocy. Odyseusz odpowiedział na drwiny Priama, wypowiadając mu wojnę. Helikaon wiedział, że w tym momencie zmienił się świat. Pamiętał wizję swojej żony, Halizji, która widziała płomienie i bitwę, i flotę okrętów na morzu krwi.

Teraz nagle wszystko wydało mu się nierealne. Zaledwie pięćdziesiąt kroków dalej królowie zachodu siedzieli w swojej loży, obserwując atletów i żartując między sobą: Odyseusz, Agamemnon, Idomeneos i ateński król Menestheos, wciąż obnoszący się ze swym laurowym wieńcem. Obok siedzieli Peleus z Tesalii, Nestor z Pylos, Pelemos, władca Rodos, i wysoki Agapenor z Arkadii. Opuszczą Troję i poześlą do swoich ojczystych krain, aby zebrać wojska i wrócić. Wtedy nie będzie przyjacielskich zawodów ani rywalizacji o laurowe wieńce. Zakuci w zbroje z brązu, z ostrymi mieczami w dłoniach, będą chcieli wymordować i wziąć w niewolę ludzi, którzy teraz z przyjemnością patrzyli, jak ich przyszli zabójcy ścigają się ze sobą. Gdy bieg wygrał szczupły Mykeńczyk, tłum wiwatował i klaskał. Być może oklaskiwali człowieka, który pewnego dnia będzie podrzynał im gardła i gwałcił ich żony.

Helikaon przecisnął się na tyły loży, gdzie stali służcy, gotowi podbiec z zimnymi napojami do arystokratów. Wziął puchar i upił łyk. Był to ten sam napój z owoców przyprawionych korzeniami, jaki podawano na hipodromie. Nagle zobaczył, że Andromacha wstaje i idzie w jego kierunku. Serce zaczęło mu mocniej bić, oddech uwiązł w gardle, a w ustach zaschło.

Andromacha wzięła od służki puchar z wodą i nawet nie spojrzawszy na Helikaona, zaczęła odchodzić.

– Wyglądasz lepiej niż pięknie – powiedział.

Przystanęła i obrzuciła go poważnym spojrzeniem zielonych oczu.

– Miło mi widzieć, że wracasz do sił, królu Eneasz.

Powiedziała to chłodnym tonem i choć stali blisko siebie, wydała mu się równie odległa jak księżyc od słońca. Chciał znaleźć jakieś słowa, żeby się do niej zbliżyć, żeby przynajmniej przywołać uśmiech na jej usta. Jednak nic nie przychodziło mu do głowy. W tym momencie w jego polu widzenia pojawił się Priam. Podeszedł do Andromachy i objął ją,

kładąc szeroką dłoń na jej biodrze. Helikaon poczuł skurcz w brzuchu na widok takiej poufałości i ze zdziwieniem zauważył, że Andromacha nie zareagowała gniewem.

– Dobrze się bawisz, córko? – zapytał Priam, nachylając się, żeby ją pocałować.

– Szczerze mówiąc, z niecierpliwością czekam, aż przyjdzie wieczór i wrócę na farmę.

– Myślałem, że może zostaniesz w pałacu.

– To uprzejmie z twojej strony, ale jestem zmęczona. Na farmie jest spokojnie i chłodno. Lubię tam przebywać.

Helikaon zauważył rozczarowanie Priama. Król spojrział na niego.

– Wyglądasz lepiej, Eneasz. To dobrze. Co sądzisz o wczorajszych słowach Odyseusza? Myślisz, że powinienem obawiać się ukąszenia tej pchły?

– Tak, sądzę, że powinien – odparł Helikaon. – Ze wszystkich wrogów, jakich mogłeś wybrać, Odyseusz jest najgroźniejszy.

– Nie wybrałem go – warknął Priam. – Zabił mojego krewniaka. Twojego ojca. Moim zdaniem zasłużył na twoją nienawiść.

– Teraz jest moim wrogiem – przyznał Helikaon. – I to musi wystarczyć, gdyż nigdy nie mógłbym go znienawidzić.

– Myślałem, że sztylet wbił ci się w pierś, a tymczasem obciął ci jaja – syknął Priam z gniewem w wyblakłych oczach.

Helikaon odparł lodowatym tonem.

– Widzę, że jeszcze nie nasyciłeś swojej żądz przysparzania sobie wrogów. Nie masz ich już dosyć, wuju? Czy po prostu chcesz mnie ujrzyć w obozie Agamemnona?

– Racja! Racja! – odparł z wymuszonym uśmiechem Priam. – Nie powinniśmy się spierać, Eneasz. Moje słowa były pochopne i nieprzemyślane.

I przycisnąwszy na pożegnanie Andromachę, wrócił na swoje miejsce, żeby oglądać igrzyska.

Andromacha podniosła kubek do ust i wypła łyk.

– Naprawdę jesteś teraz wrogiem Odyseusza? – zapytała.

– Nie z własnego wyboru – odparł – bo bardzo go kocham.

– On będzie groźnym przeciwnikiem – powiedziała cicho.

– Istotnie. Agamemnon jest żądny krwi i chciwy. Odyseusz umie myśleć i planować. Wojna z nim będzie wielokrotnie trudniejsza niż jakakolwiek rozpętana przez Agamemnona.

– Rozmawiałam z Hekabe przed jej śmiercią. Powiedziała, że zawsze był zagrożeniem. Nie wierzyłam jej. Kiedy wracasz do Dardanos?

– Jutro, po zakończeniu igrzysk. Chyba że Agamemnon ma inne plany. Mykeńscy

szpiedzy krążą wokół mojego pałacu. Za nimi pewnie przyjdą zabójcy.

Zbladła i w jej oczach pojawił się lęk.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

Nachylił się do niej.

– Żeby sprawdzić, czy zobaczę troskę w twoich oczach. Wyznaliśmy sobie miłość, Andromacho. Los zdecydował, że nie możemy być razem, ale ta miłość nie umarła, przynajmniej we mnie. Ty stałaś się oziębła, a nie widzę po temu żadnego powodu.

– Nie przystoi tak rozmawiać w dniu moich zaślubin – powiedziała i wydało mu się, że słyszy smutek w jej głosie. – Wiem, co mam w sercu. Wiem, czego pragnie moja dusza. Wiem jednak także, że nie mogę tego mieć, i myślenie czy rozmawianie o tym nie łagodzą bólu. Wracaj do domu, do swojej żony, Helikaonie, a ja wrócę do mojego męża.

Odwróciła się, przystanęła, po czym odwróciła się znowu.

– Nie przejmuję się tymi zabójcami, Helikaonie – powiedziała. Znam cię. Umiesz być miły i troszczyć się o swoich bliskich. Jednak też jesteś zabójcą, zimnym i niebezpiecznym. Kiedy po ciebie przyjdą, zabijesz ich bez litości.

Odwróciła się i odeszła.

Dzień mijał i robiło się coraz cieplej. Słońce prażyło z bezchmurnego nieba, a wiatr ucichł.

Finały turnieju łuczniczego wygrał młody trojański żołnierz, Cheon, który o włos wyprzedził Merionesa.

Gdy dzień się kończył, zwinięto liny odgradzające tłumy od stadionu i tysiące widzów wyszły na murawę, chcąc zobaczyć ostatni pojedynek, w którym potężny Achilles zdobędzie mistrzowski tytuł.

Helikaon patrzył, jak tesalski książę idzie przez otwartą przestrzeń. Miał na sobie krótką spódniczkę z jasnej skóry, tułów odsłonięty, a kruczoczarne włosy ściągnięte do tyłu. Tłum podążał za nim, ale niezbyt blisko. Helikaon pomyślał, że wygląda jak lew otoczony przez owce.

Rozejrzał się, szukając jego przeciwnika, lecz nigdzie nie było go widać. Achilles zatrzymał się przed dwoma tronami i spokojnie czekał.

Królowie zachodu, pod wodzą Agamemnona, opuścili łóżę i przeszli przez stadion. Tłum rozstępował się przed nimi. Odyseusz wyszedł i stanął przed Priamem.

– Właśnie się dowiedziałem – rzekł donośnym głosem – że mój zawodnik, Leukon, doznał kontuzji. Zmierzając tutaj, upadł i złamał sobie dwa palce. Nie może dziś walczyć.

Tłum wydał ryk rozczarowania. Helikaona ścisnęło w dołku. Ani przez chwilę nie

uwierzył w tę bajeczkę i wyczuł nadciągające niebezpieczeństwo.

Priam wstał i podniósł ręce, uciszając tłum.

– Zaprawdę, to smutna wiadomość, Odyseuszu – powiedział. – To zawsze przykre, kiedy ktoś zwycięża bez walki. Jednak nikt nie może zaprzeczyć, że Achilles jest godny tytułu.

To mówiąc, podniósł laurowy wieniec, zamierzając włożyć go na głowę Tesalczyka.

W tym momencie odezwał się Achilles.

– Za pozwoleniem, królu Priamie – powiedział. – Wydaje mi się, że zebrani tu ludzie zasługują na to, żeby zobaczyć pojedynek. Dlaczego nie mieliby ujrzeć pokazowej walki. Mówią, że twój syn, Hektor, jest dobrym zawodnikiem. Walkę z nim uważałbym za zaszczyt i jestem pewien, że lud Troi z przyjemnością by na nią popatrzył.

Rozległy się wiwaty i tłum zaczął skandować: „Hektor! Hektor!” Helikaon wpadł w gniew.

Hektor nie przygotowywał się do igrzysk i przez cały dzień siedział, jedząc i pijąc. Achilles mówił o pokazowej walce. Kłamał. Gdy tylko staną naprzeciwko siebie, będą walczyć do końca.

Wiedział, że właśnie taki był plan: na zakończenie igrzysk trojański bohater miał lec nieprzytomny w kurzu, a Troja miała zostać upokorzona przez potęgę zachodu.

Gdyby przeciwnikiem był ktoś inny, Helikaon nie miałby wątpliwości co do wyniku spotkania. Hektor był wspaniałym pięściarzem. Teraz jednak po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, czy Trojańczyk nie spotka lepszego od siebie. Miał wrażenie, że myśląc tak, zdradza przyjaciela, ale widział ich obu w walce. Hektor był bardzo silny, odważny i szybki.

Jednak Achilles był bardziej opanowany i okrutny, co czyniło go śmiertelnie groźnym przeciwnikiem. Helikaon zerknął na Priama w nadziei, że ten dostrzeże niebezpieczeństwo.

Rozczarował się, gdyż Priam miał w oku błysk triumfu. Oto człowiek, któremu myśl o przegranej syna nawet nie przyszła do głowy. W oczach Priama Hektor był uosobieniem Troi, a więc był niepokonany. Król ponownie uciszył tłum, unosząc ręce, a gdy okrzyki umilkły, odwrócił się do syna.

– Czy zaszczycisz nasz lud, przyjmując wyzwanie? – zapytał.

Hektor wstał z ponurą miną.

– Jak zawsze spełnię życzenie mego ojca – rzekł.

Zszedłszy z podium, rozpiął wysadzany klejnotami pas i zdjął tunikę. Jakiś żołnierz przyniósł mu skórzaną spódniczką, którą Hektor owinał sobie wokół bioder i zapiął. Helikaon zszedł z trybuny i stanął przy nim.

– Wiesz, że to nie będzie towarzyskie spotkanie? – szepnął.

Hektor skinął głową.

– Oczywiście, że wiem. Chce mojej krwi i upokorzenia.

XXIV. UPADŁY BOHATER

Ponad dwadzieścia tysięcy ludzi znajdowało się na stadionie, chociaż mniej niż połowa mogła twierdzić, że naprawdę widziała walkę. Siedzący dalej niż w pierwszych kilku rzędach czasem widzieli obu przeciwników, ale ci z tyłu mogli tylko słuchać ryku tłumu. Mimo to jeszcze kilkadziesiąt lat później ludzie różnych nacji opowiadali, że ich dziadowie lub ojcowie stali tego dnia w pobliżu. Dwieście lat później król Macedonii, Antypas, będzie twierdził, iż jego przodek trzymał płaszcz zwycięzcy. Przez siedem pokoleń jego rodzina będzie rościć sobie prawa do tytułu Nosiciela Płaszcz. Bardowie będą śpiewali pieśni o tej walce, utrzymując, że Zeus i pozostali bogowie zstąpili tego dnia do Troi jako śmiertelnicy, stawiając na wynik tytuł własności gwiazd.

Odyseusz nie widział żadnych bogów, stojąc po drugiej stronie kręgu z królami zachodu.

Widział dwóch dumnych mężczyzn, w pełni sił i młodości, krążących wokół siebie w prążącym słońcu. Achilles zaatakował pierwszy, doskakując i markując cios lewą ręką, po czym zadał błyskawiczne uderzenie prawą w twarz Hektora. Trojański mistrz odpowiedział hakiem, który trafił w brzuch przeciwnika, i lewym sierpowym, który ześlizgnął się po jego skroni. Potem cofnęli się i znów zaczęli krążyć wokół siebie. Tym razem doskoczył Hektor. Achilles zachwiał się po jego lewym prostym, ale skrócił dystans i odrzucił Hektora kombinacją uderzeń. Były niesamowicie szybkie i każdy cios trafił w twarz Hektora. Trojańczyk zasłonił się, blokując przedramionami, po czym przeprowadził kontratak lewym sierpowym i rąbnął Achillesa w policzek.

Tesalczyk był większy i szybszy od Trojańczyka i zadawał więcej ciosów. Odyseusz uważnie patrzył, gdy walczący znów zaczęli krążyć wokół siebie. Już się sprawdzili i obaj wiedzieli, że zwycięstwo nie przyjdzie szybko.

Odyseusz stał spokojnie, ledwie słysząc ogłuszający ryk tłumu. Wiedział, że Achilles jest silniejszy, ale zdawał sobie sprawę, że same zręczność i szybkość nie stanowią o wyniku. To był plan Agamemnona i Odyseusz nie zgłaszał sprzeciwu. Jeśli Hektor zostanie pokonany, nadwątlili to morale Trojańczyków, natomiast przegrana Achillesa podkopie pewność siebie wyłącznie Tesalczyków i nie zrobi większego wrażenia na ludziach innych nacji, wciągniętych do wojny z Troją.

Mimo to obserwował walkę z mieszanymi uczuciami. Lubił Hektora i nie chciał

widzieć jego upokorzenia. Jednocześnie chciał zobaczyć minę Priama, kiedy jego ukochany syn zostanie pokonany. Odyseusz zerknął na trojańskiego króla. Priam ze spokojem przyglądał się walce.

To się zmieni, pomyślał Odyseusz.

Ciała obu walczących lśniły już od potu, a Hektor miał opuchliznę pod prawym okiem.

Achilles był nietknięty. Runął naprzód, uchylając się przed morderczym prawym i zadał dwa ciosy w twarz Hektora, rozcinając mu policzek pod lewym okiem i opryskując krwią najbliższych stojących widzów. Tłum jęknął. Hektor odpowiedział lewym sierpowym, który śmignął nad głową Achillesa. Ten uderzył Hektora w brzuch i prawym sierpowym w podbródek. Hektor stracił równowagę, upadł i przetoczył się na plecy.

Odyseusz zerknął na Priama i uśmiechnął się. Król Troi poszarzał na twarzy i szeroko otworzył usta ze zdumienia.

Hektor podniósł się na klęczki, potrząsnął głową i przez chwilę pozostał w tej pozycji, robiąc głębokie wdechy. Potem wstał, podszedł do białej w ziemię włóczni i klepnął drzewce. Krew spływała mu po twarzy.

Tłum milczał.

Achilles przeprowadził szybki atak, lecz był zbyt pewny siebie i nadział się na lewy prosty, po którym się zachwiał, i hak w brzuch, który uniósł go w powietrze. Hektor poszedł za ciosem, ale Achilles odskoczył, zadając cios prawą, który poszerzył rozcięcie na policzku Hektora.

Dzień się kończył i słońce powoli zapadało w morze.

Hektor poruszał się coraz wolniej i coraz mniej jego ciosów sięgało celu, podczas gdy Achilles jakby nabierał sił. Jeszcze dwukrotnie Trojańczyk upadł i dwukrotnie wstawał, żeby dotknąć drzewca włóczni.

Odyseusz doszedł do wniosku, że wynik walki jest przesądzony. Hektor po każdym ciosie opadał z sił. Tylko duma i odwaga pozwalały mu utrzymać się na nogach.

Achilles, czując, że zwycięstwo jest bliskie, doskoczył i zadał dwa szybkie ciosy w twarz Hektora, zwalając go z nóg.

Trojańczyk runął jak długi i przetoczył się na klęczki. Spróbował wstać, znów upadł, po czym wstał i powoli podszedł do włóczni.

Wtedy Achilles popełnił straszny błąd.

– Chodź tu, ty trojański psie – zadrwił. – Czekaj cię więcej cierpienia.

Odyseusz zobaczył, że w Hektorze zaszła nagła zmiana. Podniósł głowę i zmrużył

oczy.

Potem, co zaskakujące, uśmiechnął się.

Achilles, nieświadomy tej zmiany, zaatakował. Hektor wyszedł mu na spotkanie, zablokował lewy sierpowy i potężnym hakiem znów trafił w brzuch Achillesa. Powietrze ze świstem uszło z płuc Tesalczyka. Zamaszysty lewy sierpowy trafił go w brew, rozcinając skórę nad prawym okiem. Achilles usiłował odskoczyć. Hektor trafił go morderczym lewym i poprawił prawym prostym, który rozkwaśił mu wargi. Achilles rozpaczliwie próbował pochylić głowę, zasłaniając się przedramionami. Potężny hak przeszedł przez tę osłonę. Głowa Achillesa gwałtownie odskoczyła do tyłu. Lewy prosty zmiażdżył mu nos. Achilles zatoczył się, ale nie zdołał uciec.

Hektor doskoczył i tłukł raz po raz w pokiereszowaną twarz Achillesa. Krew zalała Tesalczykowi oczy i nie zauważył spadającego ciosu, który zakończył walkę. Hektor cofnął się i z całej siły uderzył przeciwnika zabójczym prawym prostym, który okręcił Tesalczyka w powietrzu i rozciągnął go nieprzytomnego w pył.

Tłum powitał to donośnymi wiwatami. Hektor odwrócił się i poszedł na trybunę, gdzie przyjął laurowy wieniec zwycięzcy. Wrócił do nieprzytomnego Achillesa i rzucił mu wieniec na pierś, po czym odwrócił się do Odysusza i królów zachodu. Gdy wiwaty ucichły, wskazał na powalonego herosa. Przemówił opanowanym i zimnym głosem.

– Chwała potężnemu Achillesowi – powiedział. – Chwała mistrzowi igrzysk.

Banokles był wściekły, że przegapił tę walkę. Nie miał ochoty patrzeć, jak potężny Achilles upokarza Leukona, więc poszedł do dolnego miasta cieszyć się towarzystwem Dużej Rudej.

Dopiero później, wracając do pałacu Hektora, dowiedział się o walce, której nie zobaczył.

Wylewające się ze stadionu, rozradowane tłumy nie mówiły o niczym innym.

W pałacu załoga *Penelopy* szykowała się do podróży. Banokles znalazł Kalliadesa siedzącego pod kwitnącym drzewem w ogrodzie na tyłach. Opadłszy na ziemię obok niego, powiedział:

– Postawiłbym na Hektora.

Kalliades się roześmiał.

– Mówiłeś, że twoim zdaniem Achilles jest niezwycięzony. W rzeczy samej powiedziałeś nawet, że w walce z nim Hektor nie ma żadnych szans. Pamiętam.

– Ty zawsze za dużo pamiętasz – marudził Banokles. – Czy to była ładna walka?

– Najlepsza, jaką widziałem.

– A ja ją przegapiłem.

– Nie miej takiej zgnębionej miny, przyjacielu. W nadchodzących dniach będziesz się chwalił, że byłeś tutaj, i nikt nie będzie wiedział gdzie.

– To prawda – rzekł Banokles, odzyskawszy dobry humor. Kilku członków załogi opuściło pałac, niosąc swoje posłania. – Dokąd oni wszyscy idą? Myślałem, że chcą wypłynąć rano.

– Odyseusz opuszcza miasto już teraz – rzekł Kalliades. – Mówi, że znajdzie sobie jakąś przystań na wybrzeżu.

– Dlaczego?

– Rozejm z okazji igrzysk kończy się dziś wieczorem. Obawiam się, że większość królów z zachodu odpływa z Odyseuszem.

– Co zrobimy? – spytał Banokles.

– Udamy się na południe, do Teb pod Plakos. Tamtejszy król ma kłopoty z bandytami napadającymi na jego karawany kupieckie.

– Czy to daleko od Troi?

Kalliades zerknął na niego.

– Bolą cię nogi?

– Nie. Tak tylko pytam. – Banokles zawołał do przechodzącego sługi, żeby przyniósł mu trochę wina, ale ten go zignorował. – Zdaje się, że nie jesteśmy tu już mile widziani – zauważył olbrzym.

Odyseusz wyszedł z pałacu.

– Wy, chłopcy, możecie zostać na *Penelopie*, jeśli chcecie. Rozmawiałem z Agamemnonem i cofnął wydany na was wyrok. Teraz jesteście dla niego obywatelami Itaki, a ja chętnie wezmę was na pokład.

– To dobrze – rzekł Banokles. Spojrzał na Kalliadesa. – Dobrze, prawda?

Kalliades podniósł się i stanął przed Odyseuszem.

– Dziękuję, ci, królu Odyseuszu, ale obiecałem zaprowadzić Pirię do jej przyjaciółki. Muszę dopilnować, żeby bezpiecznie dotarła do celu swej podróży.

– Człowiek powinien zawsze dotrzymywać słowa – powiedział Odyseusz. – Ale obawiam się, że ta dziewczyna nigdzie nie będzie bezpieczna. Rozumiesz?

– Sądzę, że tak.

– Jej czyny, chociaż zainspirowane miłością i przepowiednią, były lekkomyślne. Myślę, że zaczyna to sobie uświadamiać.

– Nie tak dawno – odparł Kalliades – mówiłeś mi, że będą jej potrzebni przyjaciele.

Lojalni przyjaciele. Ma ich, Odyseuszu. Zapewnimy jej bezpieczeństwo. Banokles i ja nie pozwolimy nikomu jej skrzywdzić ani schwytać. Jeśli nie przyjmie jej przyjaciółka, może towarzyszyć nam do Teb pod Plakos. Tam nikt jej nie zna.

– Nie sędzę, żeby przyjaciółka ją odepchnęła – powiedział Odyseusz. – Chociaż tak nakazywałby zdrowy rozsądek. – Wyciągnął rękę i uściśnął dłoń Kalliadesa. – Uważajcie na siebie, chłopcy. Gdybyście kiedyś potrzebowali przyjaciela, szukajcie Itaki lub jakiegokolwiek jej statku. Powiedzcie, że jesteście przyjaciółmi Odyseusza, a przewiozą was tam, dokąd płyną.

– Dobrze wiedzieć – odparł Kalliades.

– Mam dla ciebie jeszcze jedną dobrą radę. Powiedziałem Pirii, jak dojść do domu Hektora. Dopilnuj, żeby zaczekała do zmierzchu. W mieście jest wciąż wielu Tesalczyków, którzy za dnia mogą ją rozpoznać.

– Dopilnujemy, żeby bezpiecznie tam dotarła – obiecał Kalliades.

Odyseusz odwrócił się do Banoklesa.

– Nie widziałem cię wśród widzów oglądających walkę, olbrzymie.

– Och, byłem tam – mruknął Banokles. – Nie przegapiłbym czegoś takiego.

– Tak, było co oglądać i wątpię, by Achilles kiedyś o tym zapomniał. Nie drwi się z takiego człowieka jak Hektor. Herosi zawsze mają większe zapasy sił niż zwyczajni ludzie. Mają studnie odwagi, które nie mają dna. Myślę, że wy obaj dobrze to rozumiecie. Miło było was poznać.

Gdy odszedł, Bias, Leukon i inni z załogi podeszli, żeby się pożegnać, a potem Kalliades i Banokles zostali sami w ogrodzie.

Trochę później dołączyła do nich Piria. Miała na sobie długi ciemnozielony płaszcz z kapturem, w ręku frygijski łuk, a na ramieniu kołczan ze strzałami.

– Wybierasz się na łowy? – spytał Banokles.

– Nie – odparła jasnowłosa dziewczyna. – To łuk Andromachy. Jeden sługa powiedział mi, że prosiła, by zaniecono go na farmę. Powiedziałam, że ja to zrobię. Dlaczego jeszcze tu jesteście?

– Pomyśleliśmy, że może zechcesz, żebyśmy ci towarzyszyli – odparł Kalliades.

Piria uśmiechnęła się nieśmiało.

– Bardzo bym chciała... przyjaciele – powiedziała.

Banokles pomaszerował do komnaty, którą dzielił z Kalliadesem. Tam założył swój stary napierśnik i przypasał miecz. Wieczorem opuszczą Troję. Ta myśl go przygnębiała. Zobaczył Dużą Rudą, tak jak widział ją ostatni raz, siedzącą w starym wiklinowym fotelu w

ogródki.

Zszywała rozdarty rąbek sukni. Spojrzała na niego, gdy szykował się do odejścia.

– Masz okruchy ciasta w brodzie – powiedziała.

Banokles je strzepnął.

– Zobaczymy się jutro? – zapytał.

Ruda wzruszyła ramionami.

– Dziś kończą się igrzyska – powiedziała. – Wszyscy wyjadą.

Nie było uścisków ani pocałunku na pożegnanie. Zastanawiał się, czy wrócić do dolnego miasta i ją odszukać. Tylko po co? Nie chciał się z nią żegnać. Z westchnieniem opuścił komnatę i poszedł przez pałac. Na wsi będzie mnóstwo kobiet, powiedział sobie. Przy odrobinie szczęścia kupi sobie kilka niewolnic.

Dziwne, ale ta myśl zasmuciła go jeszcze bardziej.

Andromacha mocno trzymała się brązowej poręczy bojowego rydwanu, gdy Cheon prowadził go po brukowanych ulicach ku otwartej przestrzeni i leżącej w oddali farmie.

Zaprężony w dwa siwki powóz był lekki: wąski kosz z giętego drewna, o górnej krawędzi wzmocnionej miedzianym drutem. Był w nim stojak, w którym zwykle tkwiły cztery oszczepy, oraz dwa haki z brązu do wieszania łuku i kołczana ze strzałami. W środku ledwie mieściły się dwie osoby. Jednak ten zbudowany na potrzeby pola walki pojazd miał być szybki i zwrotny, żeby szybko dowieźć łucznika w pobliże szeregów wroga i oddalić się, zanim nieprzyjaciel zorganizuje kontratak. Cheon wziął go z pałacu, ponieważ wszystkie powozy były zajęte, a Andromacha chciała jak najprędzej wrócić na farmę.

Dziewczyna spojrzała na przystojnego, ciemnowłosego żołnierza. Jego hełm wisiał na haku, gdyż na głowie wciąż miał laurowy wieniec zdobyty w turnieju łuczniczym. Po drodze tłum na ulicach rozpoznawał go i głośno wiwatował na jego cześć.

Kiedy wyjechali z miasta, tłum zrzedniał i Cheon pozwolił rumakom zwolnić. Andromacha powitała to z ulgą, gdyż pojazd niebezpiecznie podskakiwał na kamieniach bruku i zaczęły ją już boleć kolana.

– Przykro mi, że nie widziałam twojego zwycięstwa – powiedziała młodemu żołnierzowi.

Uśmiechnął się do niej.

– Miałem szczęście, że Meriones nie strzelał ze swojego łuku. Ja ćwiczyłem z moim przez prawie rok. Mimo to o mało nie pokonał mnie bronią, której wcześniej nigdy nie miał w ręku. A co do żalu, to nic nie może się równać z moim, gdyż brałem masaż w palestrze, kiedy Hektor pokonał Achillesa. Musisz być bardzo dumna.

Andromacha nie odpowiedziała, lecz to pytanie odbijało się echem w jej głowie. Czy była dumna? Co naprawdę czuła, gdy dwaj mistrzowie okładali się pięściami, aż pękała skóra i tryskała krew? Czy to duma sprawiła, że przewracało się jej w żołądku i potrzebowała całej siły woli, żeby nie zwymiotować? Przez większość pojedynku odwracała oczy, obserwując reakcje otaczających ją ludzi. Priam z początku wydawał się obojętnie czekać na nieuchronne zwycięstwo. Widziała, jak powoli tracił pewność siebie. W ciągu kilku chwil postarzał się o dziesięć lat. Dopiero pod koniec, gdy Achilles upadł i nie wstał, Priam zerwał się z fotela.

Jednak mimo odrazy, jaką budziła w niej ta brutalna walka, Andromacha cieszyła się z rezultatu – szczególnie patrząc na zgnębioną minę Peleusa, króla Tesalii. Oto człowiek, który zgwałcił Kaliopę, okradając ją z dzieciństwa. Oto nędznik, który na zawsze okaleczył swoją córkę. Nawet w sanktuarium Tery, gdzie mężczyźni nie mieli wstępu, Kaliopę budziła się z krzykiem, z ciałem zlanym potem. Później wpadała w ramiona Andromachy, z płaczem wywołanym przez okropne wspomnienia.

Kiedy walka się skończyła, Andromacha wróciła z Hektorem do pałacu króla. Niewiele mówił po drodze. Oddychał z trudem i przyciskał dłonią bok. Andromacha była przy nim, kiedy przyszedł lekarz. Miał trzy pęknięte żebra i kilka obluzowanych zębów. Siedziała z nim przez chwilę, lecz potem poklepał ją po ramieniu.

– Wracaj na farmę – rzekł z wymuszonym uśmiechem. – Ja odpocznę tu przez jakiś czas.

– Dobrze walczyłeś – powiedziała mu. – Z wielką odwagą.

Jego odpowiedź ją zaskoczyła.

– Nienawidziłem tego – rzekł. – Każdej przeklętej chwili. Z bólem myślę o tym, jak teraz czuje się Achilles, jak ucierpiała jego duma.

Spojrzała na niego, na posiniaczoną twarz i jasnoniebieskie oczy. Bez namysłu podniosła rękę i delikatnie odgarnęła mu złociste włosy z czoła.

– Jesteśmy, jacy jesteśmy, Hektorze. Nie musisz współczuć Achillesowi. To brutalny osiłek, nieodrodny syn swego ojca. Wróć na farmę, kiedy będziesz mógł.

Wyciągnął wielką dłoń, delikatnie ujął jej palce i podniósł do ust.

– Cieszę się, że jesteś moją żoną, Andromacho. Jesteś wszystkim, czego mogłem kiedykolwiek pragnąć. Przykro mi, że nie mogę...

– Nigdy więcej tak nie mów – przerwała mu. – Teraz odpoczywaj i wróć na farmę, kiedy będziesz mógł.

Opuściwszy komnatę, z oczami pełnymi łez, wyszła na galerię. Była przygnębiona. Nagle uderzyła ją myśl, jak podobna była sytuacja Hektora i Kaliopę. Oboje zostali dotkliwie

zranieni.

Oboje, choć w różny sposób, skrzywdzeni przez los.

Słudzy kręcili się bezgłośnie i z megaronu na dole dochodziły podniesione głosy. Nagle usłyszała gniewny głos Priama.

– Oszalałeś? Ona jest żoną mojego syna.

Andromacha podeszła do balustrady galerii i spojrzała na otoczony kolumnadą megaron.

Priam siedział na tronie, spoglądając na mykeńskiego władcę, Agamemnona i kilku królów z zachodu. Andromacha rozpoznała nędznika Peleusa, Nestora, Idomeneosa i Menestheosa.

Helikaon, Antifones i Dios stali obok Priama.

– Musisz zrozumieć, królu Priamie – rzekł Agamemnon – że nikt nie zamierza cię obrazić. Zatwierdziłeś małżeństwo Parysa z Heleną. Nie miałeś prawa tego robić. Helena jest księżniczką Sparty, przysłaną tutaj przez ojca podczas niedawnej wojny. Mój brat, Menelaos, jest teraz królem Sparty, a Helena jest jego poddaną. Ze względu na dobro swego ludu postanowił ją poślubić.

Priam zaśmiał się pogardliwie.

– Menelaos poprowadził mykeńską armię na Spartę i zabił jej króla. Objął tron i teraz obawia się buntu. Aby poprzeć swoje nieuzasadnione pretensje do korony, chce poślubić kogoś z królewskiego rodu. Myślisz, że odeślę Helenę do domu, żeby chędożył ją mężczyzna, który zamordował jej ojca?

Agamemnon pokręcił głową.

– Nie ma wyjścia. My wszyscy jesteśmy sprzymierzeńcami, a jesteśmy nimi, ponieważ zgodziliśmy się szanować nawzajem swoje prawa i granice, także prawa wewnętrzne. Bez takiego poszanowania nie byłoby przymierza. Załóżmy, że jedna z twoich córek przybyłaby z wizytą do jakiegoś kraju na zachodzie, a tamtejszy władca nagle oddał ją za żonę swojemu synowi. Jak byś na to zareagował? I czego byś oczekiwał, domagając się jej powrotu?

– Oszczędź mi tych gładkich słów, Agamemnonie. Pragniesz wojny z Troją i już od lat szukałeś sojuszników do tego przedsięwzięcia. Mam dość twojej obłudy i pięknych frazesów, kryjących ohydne czyny. Ułatwię ci to. Helena pozostanie w Troi. Nasze przymierze jest zerwane. A teraz wyńś się z mojego miasta.

Agamemnon rozłożył ręce i odpowiedział z głębokim żalem.

– Przykro mi to słyszeć, królu Priamie. Jednak, jak powiedziałeś, nasze przymierze

jest zerwane. Możesz pożałować tej decyzji.

Z tymi słowami odwrócił się i odszedł, a za nim inni królowie. Andromacha wróciła do rzeczywistości, gdy głos Cheona wyrwał ją z zadumy.

– Czy chcesz się zatrzymać przy świątyni Artemis? – zapytał, gdy rydwan zbliżał się do strumyka.

– Nie dziś, Cheonie. Zawieź mnie do domu.

Podróż dłużyła się nieznośnie, a popołudniowe słońce jasno świeciło na bezchmurnym niebie. Zanim dojechali do starego kamiennego domu, Andromacha była niewiarygodnie zmęczona. Powitała ich gospodyni Hektora, niejaka Menesthi, Hetytka, której wiek był prawdziwą zagadką. Cheon twierdził, że to najstarsza z żyjących kobiet – w co Andromacha była gotowa uwierzyć, gdyż jej twarz miała strukturę pumeksu.

W środku mąż Menesthi, równie stary Vahusima, przygotował jej kąpiel. Zrzuciwszy żółtą suknię, weszła do wanny i oparła głowę na zwiniętym ręczniku. Letnia woda przyjemnie chłodziła jej rozgrzaną skórę. Andromacha przywołała Menesthi, aby zdjęła złoty drut spinający jej włosy, a potem zanurzyła głowę.

Gospodyni przyniosła jej czyste ubranie, prostą i luźną szatę z białego lnu. Wstawszy z kąpeli, Andromacha stała nago, pozwalając, by ciepłe powietrze osuszyło jej ciało. Potem podeszła do okna z tyłu domu i spojrzała na pola i zalesiony pagórek.

Nagle zauważyła dwóch mężczyzn, którzy czmychnęli w krzaki. Odniosła wrażenie, że się w nich przyczaili. Spojrzała uważnie, wypatrując ich, lecz już nie dostrzegła śladu ich obecności.

Jeden wydał jej się znajomy, ale nie mogła sobie przypomnieć, skąd może go znać. Pewnie to któryś z drwali Hektora, pomyślała.

Włożywszy szatę, przeszła przez dom. Cheon siedział w cieniu na ganku, obserwując, jak dwaj młodzieńcy oprowadzają siwego ogiera po padoku. Koń był dumny i nerwowy, i kiedy jeden z nich próbował go dosiąść, stanął dęba i przewrócił go na trawę. Cheon się roześmiał.

– Nie chce, by na nim jeżdżono – powiedział. – Ci chłopcy do wieczora będą mieli sporo siniaków.

Andromacha uśmiechnęła się.

– Widzę, że wciążnosisz wieniec mistrza. Zamierzasz w nim spać?

– Pewnie tak – rzekł. – Będę go nosił, aż zbutwieje i sam spadnie.

– Czyż to nie przejaw próżności, Cheonie?

– Jak najbardziej – przyznał z uśmiechem.

Andromacha usiadła obok niego.

– Farma wygląda na opuszczoną.

– Prawie wszyscy poszli do miasta na ostatni dzień igrzysk. Do tej pory pewnie już zdążyli się upić. Wątpię, czy zobaczymy ich wcześniej niż jutro, sennych i z przekrwionymi oczami.

Gdy zaczęło się ściemniać, Andromacha weszła do domu. Menesthi przyniosła jej prosty posiłek z chleba i sera oraz talerz pokrojonych owoców. Andromacha zjadła i wyciągnęła się na sofie, składając głowę na grubej poduszce.

Sny miała dziwne i bardzo niepokojące. Ocknęła się. Nagle przypomniała sobie, gdzie już widziała tego człowieka z lasu. Nie był jednym z robotników Hektora. Widziała go, kiedy stała z Kasandrą w dniu, gdy do Troi przybył Agamemnon.

Był mykeńskim żołnierzem.

Zaniepokojona, wstała i poszła ku głównym komnatom. Może to zabójcy, którzy przyszli zabić Hektora, nie wiedząc, że pozostał w pałacu. Powinna znaleźć Cheona i go ostrzec.

Zbliżając się do frontowej części budynku, zobaczyła przez okno czerwoną poświatę.

Otworzyła drzwi i ujrzała starego Vahusimę oraz dwóch chłopców, biegnących do płonącej stajni. W środku słychać było rzenie przestraszonych koni, więc wybiegła im pomóc, a w tej samej chwili zza budynku wyłonił się Cheon.

Jeden z chłopców nagle się potknął i upadł. Vahusima dobiegł do wrót stajni i usiłował podnieść rygiel. Nagle krzyknął – i Andromacha zobaczyła sterczącą z jego pleców strzałę.

Ciemne postacie wypadły z cienia, z mieczami w dłoniach.

XXV. KREW DLA ARTEMIS

Księżyc był w pełni, jego krawędź ostra jak nóż, gdy troje towarzyszy opuszczało pogrążone w półmroku miasto.

Wyszli przez Bramę Wschodnią i w cieniu wielkiego północno-wschodniego bastionu przeszli po moście nad fosą, po czym skierowali się na północ. Droga była łatwa, spokojny spacer po łagodnych pagórkach i łąkach, więc poruszali się szybko. Nieśli ze sobą cały swój dobytek, gdyż nie zamierzali wracać. Kalliades miał przy boku miecz Arguriosa. Banokles niósł na ramieniu worek z prowiantem, w tym ciężki gliniany dzban, cicho bulgoczący. Piria, okryta płaszczem z kapturem, niosła tylko łuk i kołczan Andromachy.

W głowie miała mętlik i spacer nie zdołał go uspokoić. Gdyby była na Terze, biegałaby po czarnym piasku plaży lub nagich wzgórzach, aż zaczęłyby ją boleć wszystkie mięśnie i wyczerpanie na chwilę odeгнаłoby obawy. Albo przytuliłaby się do Andromachy, która zawsze umiała ukoić zamęt w jej sercu.

Teraz jednak to myśli o Andromasze budziły w niej lęk. Przez kilka ostatnich miesięcy jej jedynym celem było odnalezienie kobiety, którą kochała. Całą siłę woli skupiła na tej jedynej rzeczy. Teraz jednak, u kresu podróży, ogarnęły ją wątpliwości.

A jeśli Andromacha już jej nie zechce?

Zdradziecki umysł podsuwał możliwe scenariusze. Zobaczyła Andromachę stojącą w drzwiach domostwa, z surową miną i zimnym wzrokiem. „Co ty tu robisz?” – zapytałaby.

A ona by odpowiedziała: „Przepełnęłam Wielką Zieleń, żeby być z tobą”. Wtedy Andromacha rzuciłaby: „Tamto życie już się skończyło. Nie jesteś tu potrzebna” – i zamknęłaby jej drzwi przed nosem.

Próbowała przypomnieć sobie z kolei radosną wizję, którą tak długo hołubiła w sercu – Andromacha wpadająca w jej ramiona, wyznająca, że nienawidzi swego męża Hektora, i błagająca Pirię, żeby zabrała ją z Troi do jakiejś cichej nadmorskiej wioski, gdzie mogłyby wieść spokojne i szczęśliwe życie. Jednak teraz ponure myśli zepsuły i ten piękny obraz. Z czego żyłybyście w tej wiosce? – pytały. Z hodowli kóz, szycia ubrań dla wieśniaków czy wypieku chleba? Obie nie umiały robić takich rzeczy. Dwie księżniczki, tropione przez swoje rodziny oraz całą potęgę Troi i Tery, miały żyć nierozpoznane w jakimś wiejskim zaciszu? Teraz wiedziała, że to niemożliwe. Cóż więc poczną? Ta myśl wywołała nowy przypływ rozpaczy i Piria westchnęła.

– Wyglądasz na zmartwioną.

Kalliades zwolnił kroku, żeby z nią porozmawiać, a Banokles poszedł przodem. Nie znalazła odpowiedzi. Kalliades nie nalegał i szli w milczeniu, podążając za długim cieniem Banoklesa na niewielkie wzgórze.

Dwa lata spędzone na Terze z Andromachą były jedynym szczęśliwym okresem w jej życiu.

Powinnam była zostać na Błogosławionej Wyspie, pomyślała, znów widząc zamykające się drzwi budynku i kres swoich marzeń.

Zdała sobie sprawę z tego, że przystanęła, i obaj mężczyźni dziwnie na nią patrzyli.

Oddychała płytko i była bliska paniki, zapowiadanej przez drżenie rąk i skurcz żołądka.

Weszli na grzbiet niskiego wzgórza i nieco dalej przy drodze ujrzała białą świątynię widoczną w blasku księżyca. Nie chcąc, by towarzysze widzieli jej strach, podeszła tam. Wokół leżały kości jakichś małych zwierząt, a w niszy znajdował się posąg kobiety z łukiem.

Posąg przedstawiał boginię łowów Artemis, która gardziła mężczyznami. Na Terze, w najwyższym punkcie wyspy, też znajdowała się jej świątynia, na wysokiej wapiennej skale dumnie wznoszącej się nad innymi. Razem z Andromachą często tam chodziły, by spacerować zalanyymi słońcem korytarzami i słuchać, jak wiatr świszczę wśród białych kolumn. Obie czuły się bezpieczne w salach bogini, która mile widziała jedynie mężczyzn składanych w ofierze.

Kaliope spojrzała na łuk, który trzymała w dłoni, czując jego gładki skórzany uchwyt, na którym zapewne kilka dni wcześniej zaciskała się dłoń Andromachy.

W świątyni leżały liczne drobne datki: drewniane figurki ciężarnych kobiet, wyrzeźbione nieumiejętnie, lecz starannie, brązowe groty strzał, kolorowe kamyki z namalowanymi wizerunkami bogów oraz zwierzęta z gliny – jelenie, ogary i przepiórki.

– Och, pani dzikich stworzeń – szepnęła. – Nie mam ci co ofiarować.

Miała tylko zgrzebną tunikę i sandały. I jeszcze łuk Andromachy oraz sztylet Kalliadesa. Nie miała nic własnego. Nawet swe jasne włosy obcięła.

Stała przed świątynią, patrząc na dary z drewna, gliny i jasnego brązu.

– Nie mam ci co ofiarować. Nie mam ci co ofiarować – powtarzała.

Nagle wyjęła zza pasa sztylet i z podniesioną ręką podeszła do świątyni.

– Przyjmij moją krew, bogini księżyca – szepnęła. – Przyjmij tę ofiarę.

Poczuła czyjaś dłoń na ramieniu i odwróciła się z gniewnym błyskiem w oku.

– Artemis nie pragnie krwi kobiet – rzekł łagodnie Kalliades.

– Nie mam nic innego – odparła Piria, roniąc łzy.

Stał przez chwilę, po czym powoli podsunął jej swoją dłoń. Spojrzała mu w oczy, marszcząc brwi.

– Bogini przyjmie moją krew – powiedział spokojnie.

Wahała się tylko chwilę, po czym lekko nacięła jego dłoń. Podszedł do świątyni i zacisnął pięść nad posągami. Spadły szkarłatne krople, tworząc ciemne plamy na białym kamieniu. Cofnął się i spojrzał na Banoklesa.

Wielki wojownik patrzył na nich ze zdziwieniem, po czym wzruszył ramionami i podszedł.

Piria ostrożnie nacięła mu lewą dłoń i jego krew połączyła się z krwią Kalliadesa.

– Artemis, dziewicza pani, bogini księżycy – powiedziała Piria. Ofiarowuję ci krew mężczyzn. Bądź nam światłem w ciemnościach i daj nam to, czego pragną nasze serca.

Nagle w lasach i na polach wokół nich zrobiło się cicho. Łagodny wietrzyk ustał i wszystkie dźwięki – szelest liści i krzaków, odgłosy nocnych stworzeń – nagle umilkły, jakby świat wstrzymał oddech. Księżyc na nieruchomym, czarnym niebie wydawał się ogromny.

Po raz pierwszy od wielu dni Piria nie czuła zamętu w sercu. Uśmiechnęła się do towarzyszy.

– Dziękuję – powiedziała. – Teraz jestem gotowa.

Banokles chrząknął i powiedział ochryplym głosem:

– Gdyby się okazało, że nie jesteś mile widziana... no cóż... zawsze możesz pójść z nami, wiesz. Z Kalliadesem i ze mną. Idziemy na południe. W góry.

Łzy stanęły jej w oczach i podziękowała mu skinieniem głowy, nie ufając swojemu głosowi.

Kalliades nachylił się do niej.

– Znajdźmy twoją przyjaciółkę, a potem zdecydujesz, którą wybierzesz drogę.

Wrócili na trakt. Gdy zbliżali się do szczytu pagórka, Piria zerknęła na dwóch towarzyszących jej wojowników. Była spokojna i bezpieczna – nie czuła się tak, odkąd ukończyła dwanaście lat. Przebywała w towarzystwie mężczyzn, którym ufała i przy których czuła się bezpiecznie.

Przystanęli na szczycie wzgórza i spojrzeli w dolinę u jego stóp. Zobaczyli łunę i poczuli w nozdrzach kwaśny odór dymu. Gdy ich oczy oswoiły się z półmrokiem, ujrzeli płomienie nad zabudowaniami. Usłyszeli rżenie przerażonych koni.

– Pożar! – krzyknął Kalliades. – Farma się pali!

Na tle płomieni zauważyli ciemne sylwetki i usłyszeli szcęk broni oraz krzyki

rannych.

Piria rzuciła się biegiem.

– Andromacho! – zawołała.

Wyjawszy miecze, dwaj przyjaciele pobiegli za nią.

Andromacha zastygła tylko na moment. W następnej chwili usłyszała wołanie.

– Tam jest! Zabić ją!

Zobaczyła, jak brodaty szermierz wskazuje na nią. Cheon z mieczem w dłoni skoczył na pierwszego napastnika, uskoczył przed pchnięciem i wbił miecz w jego twarz. Zabójca padł.

Cheon ruszył naprzód, ale strzała wbiła mu się w bok. Inni odziani na czarno napastnicy rzucili się z mieczami na umierającego Trojańczyka.

Następna strzała przeleciała nad uchem Andromachy. Porzuciwszy zabitego Cheona, pięciu zabójców skoczyło ku niej. Odwróciła się i pobiegła przez otwartą przestrzeń w kierunku wzgórz.

Nagle usłyszała kobiecy głos.

– Andromacho! Chodź tutaj!

Mimo przestachu rozpoznała ów głos i spojrzała w górę.

Na stromym zboczu nad nią stała Kaliope z łukiem w dłoni. Obok niej byli dwaj wojownicy, jeden wysoki i ciemnowłosy, drugi potężnie zbudowany blondyn w skórzanym napiersniku z naszytymi kółkami z brązu.

– Uważaj! – krzyknął ten wysoki.

Andromacha obróciła się na pięcie. Brodaty zabójca zbliżał się do niej ze sztyłem w dłoni.

– Mam cię, suko! – warknął.

Andromacha skoczyła na niego, uderzając stopą w pierś i zwalając go z nóg. Następni napastnicy byli tuż za nim. Strzała z łuku Kaliope przeszła gardło najbliższego, a potem jasnowłosy wojownik przebiegł obok Andromachy, zablokował pchnięcie mieczem i ciosem na odlew rozciął twarz następnego zabójcy. Z rany trysnęła krew. Uderzył barkiem kolejnego, a potem rzucił się na pozostałych, tnąc i siekąc. Wysoki wojownik przybiegł i przyłączył się do swego towarzysza. Andromacha zobaczyła, jak około dziewięciu następnych zabójców rzuca się na tych dwóch. Wydawało się, że zaraz ich usieką. W oddali zobaczyła, jak jeden z chłopców, którzy wcześniej próbowali ujarzmić ogiera, chwiejnie dopada wrót płonącej stajni i podnosi zamykającą je belkę. Przerażone konie wybiegły, w panice uciekając z pożaru.

– Chodź do mnie, ukochana! – krzyknęła Kaliope.

Andromacha pobiegła zboczem w górę. Kaliope wciąż strzelała do atakujących. Gramoląc się ku niej, Andromacha zobaczyła łucznika stojącego najwyżej pięćdziesiąt kroków od niej.

Wypuścił strzałę. Andromacha rzuciła się na ziemię.

Jednak strzała nie była wycelowana w nią.

Zobaczyła, jak Kaliope chwieje się i pada z czarnopiórą strzałą w piersi. Łuk wypadł jej z ręki i upadł na trawę.

Andromacha poczuła gniew, dziki i zimny. Poderwała się, dobiegła do Kaliope, podniosła łuk i nałożyła strzałę na cięciwę. Łucznik wypuścił następną, która przeszła jej białą szatę, rozcinając skórę na biodrze. Nie zważając na ból, wycelowała. Przerażony łucznik rzucił się pod osłonę drzew. Andromacha wzięła poprawkę, wycelowała i wypuściła strzałę. Przez moment myślała, że chybiła, lecz strzała wbiła się w szyję napastnika. Ugięły się pod nim nogi i upadł.

Wzięła następną strzałę i obróciwszy się, ujrzała dwóch wojowników stojących plecami do siebie i walczących zażarcie. Na ziemi leżały ciała czterech zabójców. Następny wrzasnął przeraźliwie, gdy miecz wysokiego bruneta przeszył mu pierś. Nagle jeden z pozostałych napastników odbiegł od walczących i ruszył w kierunku Andromachy.

Zaczekała, aż znajdzie się blisko, po czym przeszła mu strzałą płuco. Chwiejnie zrobił jeszcze kilka kroków, po czym – rozpaczliwie usiłując wykonać zadanie – rzucił w nią mieczem.

Ten nie dosięgnął Andromachy, a zabójca runął na ziemię.

Zobaczyła, jak jasnowłosy wojownik potknął się, lecz jego towarzysz przyszedł mu z pomocą, parując pchnięciem i podtrzymując go. Teraz wokół nich leżało już sześć ciał i dwaj pozostali napastnicy nagle rzucili się do ucieczki, omijając płonąca stajnię. Andromacha strzeliła do jednego z nich, ale chybiła. W następnej chwili już ich nie było.

Odrzuciwszy łuk, Andromacha uklękła przy Kaliope, która próbowała się podnieść, lecz upadła z krzykiem. Dwaj wojownicy podeszli do nich. Wysoki upuścił miecz i też przyklękął.

Na jego twarzy Andromacha zobaczyła niepokój.

Nagle wszystko wydało jej się nierealne. To sen, powiedziała sobie. Kaliope nie może tu być, a gdyby nawet, to nie w towarzystwie mężczyzn. Zabójcy nie mogli napaść na farmę Hektora, tak blisko miasta. Zaraz się obudzę, pomyślała, leżąc na sofie. To tylko sen!

Nagle, gdy się poruszyła, poczuła ból w biodrze. Spojrzała na zakrwawioną białą szatę. Dłoń Kaliope dotknęła jej ręki.

– Przyszłam do ciebie – powiedziała. – Nie odsyłaj mnie! Proszę, nie odsyłaj mnie!

– Nigdy tego nie zrobię – zawołała Andromacha. – Nigdy!

Kaliope ponownie spróbowała wstać. Wysoki wojownik delikatnie pomógł jej usiąść.

– Oprzyj głowę na moim ramieniu, Pirio – powiedział łamiącym się głosem.

– Jestem ranna? – spytała.

– Tak, jesteś ranna, słodka dziewczyno.

Kaliope podniosła rękę i palcami znalazła brzechwę czarnej strzały. Szeroko otworzyła oczy z przestachu, po czym uśmiechnęła się i westchnęła.

– Zabił mnie, prawda? Powiedz mi prawdę, Kalliadesie.

Andromacha zobaczyła, jak mężczyzna spuścił głowę.

– Obiecałem ci, że będziesz przy mnie bezpieczna – powiedział. – Zawiodłem cię.

– Nie mów tak! Nie zawiodłeś mnie, Kalliadesie. Ani razu. Zwróciłeś mi życie. Ty i Banokles. Wasza przyjaźń mnie uzdrowiła. – Przeniosła wzrok na Andromachę, która nachyliła się i pocałowała ją. – To Melite – rzekła Kaliope słabnącym głosem – powiedziała mi, że przyjdą po ciebie źli ludzie. Ja... musiałam... tu być.

– I byłeś – szepnęła Andromacha.

Kaliope zamilkła. Olbrzymi jasnowłosy wojownik pochylił się nad nią i Andromacha ujrzała łzy w jego oczach.

– Wszyscy jesteście tacy smutni – powiedziała Kaliope. – Ja się nie smucę. Wszyscy... których... kocham... są przy mnie. – Spojrzała na jasny księżyc na niebie. – A tam... jest... Artemis.

Zamilkła.

Andromacha spoglądała na bladą, nieruchomą twarz kochanki i znów usłyszała słowa Aklidesa.

Jego wizja była prawdziwa, tylko źle ją zinterpretował. Widział Helikaona w jednym sandale i Hektora wstającego z ziemi, umazanego świńskim gnojem.

I widział postać przychodzącą do niej w blasku księżyca, we krwi i bólu. A widząc krótkie włosy, wziął ją za młodego mężczyznę. Andromacha uniosła dłoń Kaliope i ucałowała jej palce.

– Jesteś moim księżycem – wyszeptała z oczami pełnymi łez. – Zostań ze mną, Kaliope. Proszę!

Banokles położył jej dłoń na ramieniu.

– Ona odeszła, pani. Ta dzielna dziewczyna odeszła.

CZEŚĆ TRZECIA
BITWA O TRACJĘ

XXVI. ZDRADZIECKI PIES

Ciszę piaszczystego brzegu pod wysokim szarym klifem Itaki zakłócały tylko krzyki mew.

W mglistym popołudniowym słońcu drewniane chaty, w których mieszkali rybacy i ich rodziny, wyglądały na opuszczone.

Stara *Penelopa* leżała wyciągnięta na piach, zapomniana i zaniedbana, jej odsłonięty kadłub porośnięty był skorupiakami. Niegdyś żółte drewno wyblakło w prażącym słońcu, które wypaczyło i powykręcało deski.

Z ocienionego portyku pałacu królowa Itaki ze smutkiem spoglądała na swoją imienniczkę.

Od trzech lat galera leżała tu, porzucona przez Odyseusza żeglującego na *Krwawym sokole*.

Chociaż doskonale spisywała się jako statek handlowy, *Penelopa* nie nadawała się na okręt wojenny. Jeszcze przez jeden sezon pływała po handlowych szlakach wykorzystywana przez kupca z Itaki, lecz krwawe zmagania na Wielkiej Zieleni czyniły żeglugę coraz bardziej niebezpieczną i on również przestał na niej pływać, przesiadłszy się na mniejsze i szybsze statki, które ryzykowały pływanie po trójkącie między Itaką, Kefalonią i kontynentem albo na północny zachód ku odległym Siedmiu Wzgórzom.

Penelopa otuliła się szalem i spojrzała na morze. Wydawało się dziś takie spokojne, a jednak za horyzontem ludzie umierali w rozpacz na zatapianych statkach lub w palonych wioskach. We wszystkich krainach wokół Wielkiej Zieleni żony i matki opłakiwały poległych, których marzenia zostały rozniesione w pył przez groty włóczy. Każda napaść zasiewała nowe ziarno nienawiści zapadające w serca ocalałych – dzieci, które wyrosną pełne żądzы zemsty.

Chociaż jednak wiedziała, jakim złem jest wojna, wspierała Odyseusza w jego poczynaniach.

– Nie mogłeś inaczej postąpić, mój mężu – powiedziała, gdy przed trzema laty wrócił, klnąc i pieniąc się na obraźliwy sposób, w jaki potraktowano go w Troi. – Takich zniewag nie można zignorować.

W głębi duszy wołałaby, żeby było inaczej. Gdyby władcy tego świata byli rozsądni, rozumni i przewidujący, wojny nigdy by nie wybuchały. Jednak rozsądni ludzie rzadko

zasiadają na tronach, a nawet jeśli, to jeszcze rzadziej długo na nich pozostają. Rządzący królowie są brutalni i chciwi, żądni krwi i śmierci, wojownicy niewierzący w nic poza siłą miecza i włóczni.

Penelopa westchnęła. Mąż, którego kochała, próbował być rozsądny. Jednak pod miłą powierzchownością zawsze krył się król wojownik.

Spędził z nią pierwszą zimę, hołubiąc swój gniew przez długie wieczory, a na wiosnę zaczął napadać ziemie nowych wrogów. Nazwa *Krwawy sokół* budziła teraz lęk od brzegów Tracji po wielkie wyspy wschodniego wybrzeża i Likię na południu. Ostatnio widziała swego króla na początku roku. Zmuszony przezimować na Cyprze i dopilnować naprawy uszkodzonego okrętu, Odyseusz wpadł na krótko do Itaki. Penelopa wygładziła przód sukni, wspomniawszy tych kilka wspaniałych dni i nocy, które spędzili razem.

Jej smutek rósł z każdym minionym sezonem, gdyż za każdym razem, gdy mąż do niej wracał, miała wrażenie, że cofnął się czas. Przystąpił do wojny niechętnie, wiedziony gniewem i dumą. Wiedziała jednak, że teraz znów poczuł się młody. Odyseusza wesołego gawędziarza i kupca zastąpił Odyseusz rabuś, zimny i wyrachowany strateg. Jej serce tęskniło za człowiekiem, jakim był kiedyś.

Ośloniwszy oczy dłonią, Penelopa zauważyła ruch na horyzoncie i po chwili zobaczyła rząd statków. Kierowały się prosto na wyspę. Przez chwilę spoglądała na nie z nadzieją w sercu. Czy to mógł być Odyseusz? Nadzieja zgasła jednak w mgnieniu oka. Zaledwie kilka dni wcześniej słyszała, że *Krwawy sokół* wypłynął z mykeńskiego portu na Kos i kieruje się na północ.

Teraz zobaczyła, że to duża flota, przed którą w znacznej odległości pruje fale jeden ogromny okręt.

Ksantos! Nie było drugiego tak wielkiego okrętu.

Za plecami usłyszała tupot i odwróciwszy się, zobaczyła Biosa. Stary wojownik trzymał miecz w lewej ręce. Do kikuta prawej była niezdarnie przywiązana okrągła drewniana tarcza.

– Pani! To *Ksantos!* Musimy dotrzeć do fortu na wzgórzu.

Rybacy opuszczali chaty, a niewielki garnizon, złożony głównie z niedorostków i starców, biegł ku plaży. Jedni mieli ponure miny, inni przestraszone. Odyseusz zostawił dwustu zbrojnych, aby strzegli jego fortecy i królowej. Penelopa przyjrzała się nadciągającej flocie.

Naliczyła trzydzieści jeden statków. Prawie dwa tysiące wojowników. Zwróciła się do Biosa, podnosząc głos, by słyszeli ją żołnierze.

– Jestem królową Itaki i żoną wielkiego Odyseusza. Nie będę się chowała jak przestraszona wieśniaczka.

Ksantos podchodził do brzegu, jakby zamierzał go staranować, jego wielki wygięty dziób ciął fale z szybkością galopującego konia. Penelopa usłyszała miarowy śpiew wioślarzy i wyraźnie zobaczyła brodatą twarz marynarza patrzącego z dziobu.

– Stój! – padł rozkaz i śpiew się urwał, a wiosła uniosły pionowo.

Przez moment *Ksantos* zdawał się wisieć w powietrzu, po czym z trzaskiem wjechał na brzeg, kilem ryjąc po piachu i rozpryskując żwir na wszystkie strony.

Gdy wielka galera znieruchomiała, ociekając wodą, królowa odwróciła się do swej nielicznej armii.

– Wracajcie do fortu i szykujcie się do obrony. Już!

Przez moment stali bez ruchu.

– Ruszać! – powtórzyła.

Niechętnie wycofali się za pałac i na szczyt wzgórza, za iluzoryczną osłonę palisady. Bias ani drgnął.

– Czy królowa nie może liczyć na twoją lojalność? – zapytała.

– Ma moją miłość i moje życie. Nie będę się krył za drewnianym częstokołem, gdy ty tak ryzykujesz.

Wpadła w gniew i już miała wydać mu rozkaz odwrotu, gdy okrągła tarcza zsunęła się z kikuta ręki Biasa i z chrzęstem upadła na piasek. Penelopa wyczuła jego zmieszanie i zawstydzenie.

– Chodź ze mną, Biasie. Twoja obecność doda mi sił.

Poszli ramię w ramię plażą. Penelopa nigdy wcześniej nie widziała *Ksantosa* i podziwiała jego rozmiary oraz piękno, choć tego nie okazała.

Z okrętu spuszczone linę, po której na plażę zsunął się Helikaon. Penelopa ze smutkiem spojrzała na słynnego zabójcę, który kiedyś był jej ukochanym chłopcem. Miał na sobie wyblakłą lnianą spódniczkę, a czarne włosy związał z tyłu rzemykiem. Jego skóra była ciemnobrązowa od słońca. Na jednym udzie miał pozszywaną, świeżą bliznę, a drugą, niezagojoną ranę, na piersi.

Idąc po plaży, zerknął na kadłub starego statku Odyseusza, lecz jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

– Witaj, pani – rzekł, skłoniwszy się.

Spojrzała w jego niebieskie oczy i ujrzała w nich napięcie oraz znużenie. Po co tu przybył?

Zabić ją i jej poddanych? Uświadomiła sobie, że nic o nim nie wie, oprócz tego, że cieszy się reputacją zimnego i bezlitosnego zabójcy.

Starając się nie patrzeć na inne statki przybijające do brzegu, odpowiedziała z wymuszonym uśmiechem:

– Witaj, Helikaonie! Minęło wiele lat, odkąd ostatnio cię tu witaliśmy. Każę przynieść jedzenie i wino. Możemy porozmawiać o szczęśliwszych czasach.

Uśmiechnął się.

– Dziękuję, pani, ale moje okręty są dobrze zaopatrzone. Po drodze tutaj cieszyliśmy się gościnnością starego Nestora i jego synów. Jedzenia i picia wystarczy nam na wiele dni.

Penelopa była wstrząśnięta, chociaż nie dała tego po sobie poznać. Nie miała pojęcia, że Pylos zostało zaatakowane. Ilu zabitych, zastanawiała się? Miała tam wielu przyjaciół i krewnych.

– Jednak przełamiesz się ze mną chlebem jak kiedyś? – zapytała, starając się nie myśleć o zabitych w Pylos.

Nie mogła im pomóc, mogła jedynie ocalić swoich poddanych. Kiwnął głową i taksującym spojrzeniem zmierzył stary fort oraz zbrojnych, którzy stali teraz za palisadą.

– Tak, pani, przełamiemy się chlebem. – Zwrócił się do Biasa: – Słyszałem, że straciłeś rękę w bitwie o Kretę. Cieszę się, że przeżyłeś.

Czarnoskóry zmrużył oczy.

– Mam nadzieję, że spłoniesz, Helikaonie – rzekł zimno – a twój statek razem z tobą.

Penelopa dała mu znak, żeby odszedł, i stary, patrząc groźnie na Helikaona, cofnął się o kilka kroków. Królowa odwróciła się do niego.

– Nic mi nie grozi, Biasie. Wracaj do fortu.

Bias skłonił głowę, jeszcze raz spojrzął groźnie na Helikaona i odszedł.

Słudzy przynieśli koc i rozłożyli na piasku. Helikaon usiadł wraz z królową. Chociaż słońce mocno grzało, Penelopa kazała rozpalić ognisko, jak nakazywał zwyczaj przy podejmowaniu przyjaciół. Postawiono przed nimi wino i chleb, lecz oboje niewiele jedli i pili.

– Przekaż mi najnowsze wieści, Helikaonie. Niewiele dociera do nas, do Itaki.

Helikaon spojrzął jej w oczy.

– To tylko wieści o wojnie, pani, a jestem pewien, że nie masz ochoty ich słuchać. Wielu umiera jak Wielka Zieleń długa i szeroka. Nie ma zwycięzców. Mówiono mi, że twój mąż żyje. Nie natknęliśmy się na siebie. Nie mam żadnych najnowszych wieści o *Krwawym sokole*. Przybyłem tu tylko z jednego powodu – żeby złożyć ci wyrazy szacunku...

– Znam powód twojego przybycia – powiedziała z gniewem Penelopa, nachylając się i

zniżając głos. – Chciałeś pokazać Odyseuszowi, co możesz. Grozisz jego ludowi...

Zacisnął usta.

– Nie groziłem ci i nie zrobię tego.

– Sama twoja obecność tutaj jest groźbą. To wiadomość dla Odyseusza, że nie może ochronić tych, których kocha. W pierwszych słowach, jakie do mnie skierowałeś, pochwaliłeś się napadem na moich krewniaków w Pylos. Nie jestem głupia, Helikaonie. Byłam królową, kiedy ty byłeś jeszcze oseskiem. Wiem, dlaczego tu jesteś.

– Zostawił cię słabo chronioną – rzekł, wskazując na skromne siły Itaki.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Penelopa była wściekła na siebie. Jej pierwszą powinnością było chronić poddanych. Antagonizowanie Helikaona było gorsze niż głupota.

Wprawdzie nie wierzyła, by zaatakował jej lud, jednak jego pełne napięcia spojrzenie świadczyło, że być może jeszcze się nad tym zastanawia.

Wzięła się w garść i uprzejmie spytała:

– Jak się ma twój synek? Ma już chyba trzy lata.

Helikaon rozpromienił się.

– Jest rozkoszny. Tęsknię za nim każdego dnia. Jednak nie jest moim synem. I bardzo tego żałuję.

– Nie jest?

Helikaon wyjaśnił, że królowa została zgwałcona podczas ataku Mykeńczyków i poczęła chłopca.

– Miałem nadzieję, że to pozostanie tajemnicą, ze względu na Halizję. Jednak takie rzeczy rzadko udaje się utrzymać w sekrecie. Część służby wiedziała i zaczęły się plotki.

– A jak traktuje go Halizja? – zapytała.

Helikaon spochmurniał.

– Nie może na niego patrzeć. Przypomina jej okropności tamtego napadu, gdy jej dziecko podpalono i zrzucono z nadmorskiego urwiska, a ją pobito, zgwałcono i pchnięto sztyletem. Zrobili to ludzie, z którymi teraz sprzymierzył się twój mąż.

Widziała, że stara się opanować gniew.

– Jednak ty kochasz tego chłopca – powiedziała pośpiesznie.

Znów się odprężył.

– Tak, kocham. To dobry dzieciak, inteligentny, miły i zabawny. Jednak Halizja tego nie widzi. Nawet nie chce go dotknąć.

– Na tym świecie jest wiele smutku – westchnęła Penelopa. – Tyle dzieci niechcianych i niekochanych. I kobiet, które oddałyby wszystko, żeby mieć dziecko. Ty i ja,

oboje straciliśmy tych, których kochaliśmy.

– Tak, to prawda – rzekł ze smutkiem.

W tym momencie królowa wytoczyła swoją najpotężniejszą broń.

– Jestem brzemienna, Helikaonie – powiedziała. – Po tak długim czasie. Siedemnaście lat od śmierci małego Laertes. Znów jestem ciężarna. Nigdy nie wierzyłam, że mogłabym dać Odyseuszowi drugiego syna. Z pewnością potężna bogini ma mnie w swej opiece. – Uważnie obserwowała twarz Helikaona, zobaczyła, że łagodnieje, i wiedziała, że jest bliska zwycięstwa. – Handel z Siedmioma Wzgórzami kwitnie – powiedziała. – Odyseusz odkłada twoje zyski, tak jak obiecał. A ludzie w osadzie żyją zgodnie. Teraz chronią ją kamienne mury.

Helikaon wstał.

– Muszę cię już opuścić – rzekł – ale mam nadzieję, że mi uwierzysz, kiedy powiem, że miło mi było się z tobą spotkać, Penelopo. Kiedyś przyjechałaś mnie do swojego domu i mam jak najlepsze wspomnienia z Itaki. Modlę się, żeby twoje dziecko urodziło się zdrowe i wyrosło w świecie, który nie zna wojny.

Podszedł do krytej strzechą chaty na plaży. Obrońcy Itaki patrzyli podejrzliwie, gdy sięgnął ręką i wyrwał wiecheć słomy z dachu, po czym wrócił do Penelopy. Bez słowa wetknął wiecheć w powitalne ognisko i czekał, aż zacznie dymić i zapłonąć. Przez moment trzymał go w dłoni, po czym rzucił na piach. Dobył miecza i wbił w płonąca słomę. Potem bez słowa wrócił na brzeg i wspiał się na pokład swojego okrętu.

Penelopa obserwowała to z ulgą i żalem. Znaczenie tego gestu było oczywiste. Przekazał wiadomość Odyseuszowi. Mógł ogniem i mieczem zniszczyć Itakę, wymordować jej lud. Nie zrobił tego.

Tym razem.

Helikaon stał na wysokim pokładzie rufowym *Ksantosa* i spoglądał na umykające w dal brzegi Itaki. Już nie widział dumnej postaci Penelopy, lecz wciąż dostrzegał cienką smużkę unoszącą się z powitalnego ogniska na brzegu.

Nie okłamał jej. Gdy tylko zszedł na brzeg, natychmiast zapomniał o wojnie, a przed oczami stanęły mu dawno zapomniane obrazy: Odyseusz, pijany i szczęśliwy, stojący na stole w megaronie i zabawiający słuchaczy opowieściami o bogach i herosach. Czule uśmiechająca się do niego Penelopa. Bias kręcący głową i chichoczący.

„Mam nadzieję, że spłoniesz, a twój statek razem z tobą”. Słowa Biasa, tak nieoczekiwane i szorstkie, przebiły jego skorupę, ostrzejsze od jakiegokolwiek miecza.

A przecież on i Bias żeglowali razem, walczyli z piratami, śmiali się i żartowali z

siebie nawzajem. Taka nienawiść w oczach przyjaciela to widok, który trudno znieść. Bias z jego wspomnień był zawsze dobroduszny. Okazał się niezwykle pomocny i pożyteczny, gdy Helikaon dołączył do załogi *Penelopy*. Czarnoskóry był człowiekiem, do którego marynarze zwracali się z prośbami o rozsądzenie dysput i swarów. Załoga go kochała, gdyż zawsze kierowała nim szczerą troską o ludzi, którzy mu podlegali.

Teraz ten uprzejmy i troskliwy człowiek pragnął jego śmierci i nienawiść ta legła ciężkim brzemieniem na sercu Helikaona. Przecież Bias chyba wiedział, że on nie chciał tej wojny, że została mu narzucona?

Gdy Itaka znikła im z oczu, Helikaon kazał nieznacznie zmienić kurs i płynąć wzdłuż brzegu na północ. Nie było wiatru i siedzący w dwóch rzędach wiosłarze zaczęli miarowo wiosłować w rytmie podawanym przez pierwszego oficera, Oniakosa. Podawszy rytm, krępy i kędzierzawy marynarz podszedł do Helikaona. On również zmienił się, odkąd wybuchła wojna, i zamknął się w sobie. Teraz rzadko śmiał się lub śpiewał. Dawno minęły dni, kiedy siadywał wieczorami z Helikaonem, aby rozmawiać o sensie życia lub swoich dzieciach.

– Przykro widzieć starego Biasa tak okaleczonego – powiedział.

Helikaon spojrział na młodego marynarza.

– Ostatnio takim przykrościom nie ma końca – odparł.

– Widziałeś *Penelopę*? Niszczę na słońcu. Serce boli. Zawsze podziwiałem, jak tańczyła na falach. A kiedy płynęła do brzegu, zwykle zapowiadało to noc wspaniałych opowieści. Brakuje mi tamtych dni. W mojej pamięci są cenniejsze od złota. Wątpię, czy znów je zobaczę. Odszedł.

Oniakos miał rację. Dni opowieści i przyjaźni dawno się skończyły. Razem z tyłoma marzeniami.

Przed trzema laty Helikaon był po prostu kupcem, żeglującym po Wielkiej Zieleni, walcącym z burzami, podziwiającym jej nieśmiertelne piękno. Młody i w pełni sił marzył o żonie, którą poślubi z miłości. Nie myślał o traktatach dla podtrzymania dynastii czy sojuszach z groźnymi sąsiadami. Tym problemom miał stawić czoło jego młodszy brat, gdyż to on zasiadł na tronie Dardanii.

Trzy lata.

Jakże zmienił się świat przez ten czas. Mały Diomedes, uśmiechnięty i szczęśliwy chłopiec z jego wspomnień, został obłany olejem i podpalony przez mykeńskich morderców. Potem zrzucili go, krzyczącego, z klifu. Helikaon został królem i ożenił się dla dobra królestwa.

Spoglądając na skąpane w słońcu morze, walczył z zalewającymi go falami goryczy.

Wiedział, że unosząc się gniewem, postąpiłby niesprawiedliwie wobec Halizji, która była dobrą kobietą i żoną. Jednak nie była Andromachą. Nawet teraz bez trudu przywołał w pamięci jej twarz, tak wyraźnie, jakby stała przed nim i słońce prześwietlało jej długie rude włosy.

Wyobraził sobie jej uśmiech i poczuł głęboki smutek. Urodziła cudownego chłopca, którego nazwano Astianaks. Hektor go uwielbiał i widząc ich razem, Helikaon czuł jednocześnie radość i żal.

Przeszedł na śródokręcie, gdzie prawie dwudziestu rannych siedziało pod brezentowymi daszkami. Atak na Pylos był gwałtowny i szybki i choć obrońcy byli nieliczni, walczyli zaciekle w obronie swoich domostw i rodzin. Oddziały Helikaona pokonały ich szybko i spaliły osadę, niszcząc tamy zbudowane do nawadniania pól Inu. Później jego ludzie zdobyli i splądrowali pałac Nestora.

Najmłodszy syn Nestora, Antilochos, dobrze walczył. Helikaon pozostawiłby go przy życiu, ale ten nie chciał się poddać i poprowadził ostatni rozpaczliwy atak, daremnie próbując go zabić.

Został rozsiekany razem z kilkoma swoimi żołnierzami.

Był to czwarty zakończony sukcesem napad przeprowadzony w tym sezonie przez Helikaona. Jego oddziały najeżdżały mykeńskie wyspy i kontynent. Mykeńska flota stawiała im czoło w pobliżu Aten, ale miotacze ognia z *Ksantosa* zatopiły cztery okręty. Inne zostały staranowane przez jego galery. Bitwa zakończyła się zatopieniem jedenastu okrętów wroga, przy stracie jednej dardańskiej galery. Zginęło ponad sześciuset mykeńskich marynarzy, jedni spłonęli, inni zostali przeszyci strzałami lub utonęli.

Jednak taktyka najeżdżania osad okazała się mniej skuteczna, niż się spodziewano. Priam sądził, że ataki zmuszą najeźdźców do wycofania pierwszoliniowych oddziałów z Tracji i Likii, aby broniły swoich domostw, i z początku wydawało się, że ten plan się powiodł. Raporty z pierwszej linii sugerowały, że część regimentów wycofano z Tracji, lecz zastąpiono je oddziałami najemników z północnych krain.

Helikaon przeszedł między rannymi, z których większość wracała do zdrowia. Młody marynarz z zabandażowanym przedramieniem popatrzył na niego, ale nic nie powiedział, a jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Teraz między Helikaonem a jego wojownikami otworzyła się przepaść, której nie mógł przeskoczyć. Jako kupiec mógł śmiać się z nimi i żartować, lecz jako króla i dowódcę decydującego o ich życiu lub śmierci traktowali go z dystansem, czujnie i ostrożnie.

– Wszyscy dobrze walczyliście – powiedział. – Jestem z was dumny.

Wojownik z raną przedramienia popatrzył na niego.

– Myślisz, że wojna się skończy w tym sezonie, panie? – zapytał. – Sądysz, że wróg zrozumie, że został pokonany?

– Trzeba mieć taką nadzieję – odparł Helikaon i odszedł.

W rzeczywistości nieprzyjaciel nie tylko nie został pokonany, ale rósł w siłę.

W pierwszym roku wojny wydawało się, że plany Agamemnona rozsypują się w proch. Wojny z Troją nie można było wygrać, dopóki Mykeńczycy nie opanowali ziem Tracji.

A próbując przepłynąć się przez morze z zachodniego przylądka, zostaliby rozbici przez dardańską flotę wojenną. Po opanowaniu Tracji Mykeńczykom już nie groziłoby takie niebezpieczeństwo. Mogliby zgromadzić tam statki i przepłynąć wojska przez wąskie cieśniny do Dardanii, a potem do Troi.

Początkowo mykeńska inwazja na Trację została odparta, a Hektor i młody tracki król Rhesos wygrali decydującą bitwę w pobliżu stolicy Ismaros. Później jednak wybuchł bunt wschodnich plemion, wspieranych przez barbarzyńców z północy. Hektor natychmiast ruszył zdużyć powstanie, a wtedy druga mykeńska armia nadciągnęła z zachodu, przez Tesalię.

Straty były wysokie i rok później Priam przysłał Hektorowi posiłki: dwa tysiące wojowników. Wygrano trzy duże bitwy, ale walki wciąż trwały. A z rozdartą wojną Tracji nadchodziły naprawdę ponure wieści. Rhesos został pokonany i zepchnięty do stolicy, a buntownicy ze wschodu ogłosili niepodległość i wybrali nowego króla. Helikaon podróżował przez Trację i dobrze znał te ziemie. Wysokie góry i wąskie przełęcze, ogromne rozlewiska i zielone równiny otoczone wielkimi lasami. Niełatwo było manewrować wojskami w takim terenie, a jeszcze trudniej znaleźć odpowiednie miejsce, aby stoczyć decydującą bitwę. Piechurzy i łucznicy wroga mogli kryć się w lasach, gdzie konnica była bezużyteczna, albo uciekać na mokradła i bagna, na których z trudem można ich było ścigać. Wczesne zwycięstwa Hektor zawdzięczał temu, że mający wielokrotną przewagę liczebną nieprzyjaciel sądził, że zdoła pokonać trojańską jazdę. Stawili jej czoło na otwartej przestrzeni i zobaczyli, jak ich arogancja tonie we krwi towarzyszy.

Teraz byli mądrzejsi i przeprowadzali błyskawiczne wypadki lub atakowali karawany z zaopatrzeniem.

Na południu kontynentu poniżej Troi sprawy układały się niemal równie źle. Kreteński król Idomeneos wprowadził swoją armię do Likii i w dwóch bitwach pokonał sojusznika Troi Kygonesa. A Odyseusz, dowodzący flotą dwudziestu okrętów i tysiącem wojowników, atakował wybrzeże, plądrując pomniejszych miasta i zdobywając dwie

przybrzeżne fortece, w których teraz stacjonowały mykeńskie garnizony.

Odsuwając od siebie te pesymistyczne myśli, Helikaon poszedł na dziób, gdzie Gershom opierał się o reling i patrzył na morze. Wielki Egipcjanin dołączył do załogi tuż przed ostatnim wypadem na kontynent. Od tej pory był coraz posepniejszy i rzadko się odzywał.

– Dokąd teraz? – zapytał.

– Popłyniemy wzdłuż wybrzeża, a potem na zachód i do ziem Sikuli.

– Są sojusznikami Myken?

– Nie.

– To dobrze. A potem popłyniemy do domu?

– Nie, najpierw poześlujemy na północ i do Siedmiu Wzgórz. To długa podróż, ale konieczna. – Uważnie przyjrzał się Gershomowi. – Co cię niepokoi?

Ten wzruszył ramionami.

– Zaczynam nienawidzić słowa „konieczne” – mruknął. Potem westchnął. – Nieważne. Pozostawię cię samego z twoimi myślami.

Helikaon zastąpił mu drogę, gdy Gershom chciał odejść.

– Poczekaj! Co się dzieje? Wyrósł między nami mur, którego nie mogę pokonać. Rozumiem innych, jestem ich królem i wodzem, ale ty jesteś moim przyjacielem, Gershomie.

Egipcjanin przystanął, a kiedy przemówił, jego głos był zimny, a wzrok twardy.

– Co chciałbyś usłyszeć?

– Od przyjaciela? – odparł Helikaon. – Dobrze byłoby usłyszeć prawdę. Jak mam naprawić błąd, skoro nie wiem, na czym polega?

– I właśnie w tym tkwi problem – rzekł Gershom. – Człowiek, którego poznałem trzy lata temu, zrozumiałby to w mgnieniu oka. Na krew Ozyrysa, z tamtym nie musiałbym prowadzić takiej rozmowy! Co się z tobą stało, Helikaonie? Czy jakaś harpia ukradła ci serce i zastąpiła kamieniem?

– Co się ze mną stało? Czyście wszyscy oczadzieli? Jestem taki sam jak zawsze.

– Jak możesz tak myśleć? – warknął Gershom. – Pływamy po Wielkiej Zieleni, aby napadać niewinnych, palić ich domy, zabijać rodziny. Wojnę powinni toczyć żołnierze, na polu bitwy. Nie należy jej ściągać na domy wieśniaków, którzy pędzą swe dni w znoju, żeby ledwie napęlić brzuchy.

Gniew wezbrał w Helikaonie.

– Myślisz, że tego chciałem? – spytał. – Myślisz, że cieszy mnie śmierć niewinnych wieśniaków?

Gershom przez chwilę milczał, a potem wyprostował się i przysunął do Helikaona, niemal syjąc skry z oczu. Helikaon miał wrażenie, że zaraz go uderzy. Potem Gershom nachylił się do niego. Zimny dreszcz przeszedł Helikaona. Jakby patrzył na kogoś obcego, człowieka dysponującego jakąś pierwotną siłą.

– Jaka to różnica dla wdowy, czy się cieszysz, czy masz poczucie winy? – zapytał Gershom. Jego głos był cichy, lecz słowa przeszywały jak sztylety. – Ten, którego kochała, i tak nie żyje. Wszystko, co miała, przepadło. Kiedyś byłeś bohaterem. Teraz zabijasz mężów i starców. I dzieci, które ledwie potrafią unieść miecz. Może pewnego dnia Odyseusz opowie o złotowłosym dziecku z Pylos, o jego nożyku do owoców i tryskającej krwi.

Helikaon znów ujrział ten okropny widok: chłopczyk, najwyżej siedmio- lub ośmioletni, podbiega z tyłu do jednego z wojowników Helikaona i wbija mu nożyk w nogę. Zaskoczony żołnierz instynktownie się odwraca i uderza go mieczem w szyję. Gdy chłopczyk pada, żołnierz wydaje krzyk żalu. Rzuca miecz i bierze dziecko w ramiona, daremnie usiłując zatamować tryskającą krew.

Potem napłynęły inne obrazy. Kobiety płaczące nad trupami, przed płonącymi domami.

Dzieci krzyczące ze strachu i bólu, w płonących szatach. Poczul gniew, wznoszący się jak bariera przed tymi wspomnieniami.

– Nie ja wywołałem tę wojnę – rzekł. – Byłem kupcem pływającym po Wielkiej Zieleni. To Agamemnon ściągnął na nas te okropności.

Gershom wciąż przeszywał go wzrokiem.

– Agamemnon nie jest winien śmierci tego dziecka – rzekł. – Ty jesteś. Należało się spodziewać, że Agamemnon będzie mordował dzieci. Nie ty. Kiedy wilki zabijają stado owiec, wzruszamy ramionami i mówimy, że taka jest ich natura. Jeśli owczarek rzuca się na owce, łamie to nam serce, gdyż uważamy to za zdradę. Na wszystko, co święte, Helikaonie, załoga nie traktuje cię tak chłodno, ponieważ jesteś królem. Nie rozumiesz? Miałeś dobrych ludzi, a zrobiłeś z nich zbrodniarzy. Złamałeś im serca.

Po tych słowach Gershom zamilkł i odwrócił od przyjaciela oskarżycielskie spojrzenie.

W tym okropnym momencie Helikaon zrozumiał, dlaczego Bias patrzył nań z taką nienawiścią.

Według starego herosi stawiali czoło ciemności, natomiast źli ludzie rzucali się w jej objęcia. Nie było pośrednich odcieni, tylko czerń i biel. Helikaon zdradził wszystko, w co wierzył stary żeglarz. Herosi nie atakują słabych i bezbronnych. Nie palą domów biedakom.

Spojrzał na Gershoma i zobaczył, że stary przyjaciel bacznie mu się przygląda. Teraz jednak jego oczy już nie skrzyły się gniewem. Były pełne smutku. Helikaonowi zabrakło słów.

Wszystko, co powiedział Gershom, było prawdą. Dlaczego nie potrafił jej dostrzec? Znów zobaczył napady i rzezie, lecz tym razem patrzył na nie innymi oczami.

– Kim się stałem? – zapytał z udręką w głosie.

– Odbiciem Agamemnona – rzekł cicho Gershom. – Zagubiłeś się w labiryncie wojny, skupiony na wojskach i strategiach, obliczając zyski i straty, jak niegdyś będąc kupcem.

– Dlaczego tego nie widziałem? Jakby ktoś rzucił na mnie urok.

– Żaden urok – powiedział Gershom. – Prawda jest bardziej prozaiczna. Jest w tobie ciemność. Zapewne jak w każdym z nas. Zwierzę, które trzymamy na łańcuchu. Zwykli ludzie muszą pilnować, aby ten łańcuch był mocny, bo jeśli zwierzę się zerwie, społeczność srodze się na nich zemści. Jednak królowie... no cóż, kto ma ich ukarać? Tak więc ich łańcuchy są ze słomy. To przekleństwo królów, Helikaonie. Zbyt łatwo mogą się stać potworami. – Westchnął. – I przeważnie się stają.

Zimny wiatr przemknął po pokładzie i Helikaon zadrżał.

– Nie będziemy już napadać na wioski – rzekł.

Gershom uśmiechnął się i Helikaon zobaczył, że uchodzi z niego napięcie.

– Dobrze to słyszeć, Złocisty.

– Dawno mnie tak nie nazywałeś.

– Tak, rzeczywiście – odparł Gershom.

Pod wieczór zaczął wiać niesprzyjający północno-zachodni wiatr, który spowolnił żeglugę.

Wioślarze byli coraz bardziej zmęczeni. Niektóre starsze galery, należące do sojuszników Helikaona, nie były tak zadbane jak jego okręty. Obrosnięte skorupiakami i powolne, nie mogły dotrzymać tempa szybszym jednostkom. Stopniowo zaczęły zostawać w tyle.

Helikaon się niepokoił, gdyż w razie spotkania z okrętami nieprzyjaciela maruderzy zostaliby odcięci i zatopieni. Miał nadzieję, że będą płynąć szybciej. Gdyby nie przeciwny wiatr, dotarliby do brzegu neutralnej Aji. Teraz nie było na to szans.

Gdy zaczęło się ściemniać, Helikaon dał flocie znak, aby podążała za nim do szerokiej zatoki. To było terytorium wroga i nie miał pojęcia, jakie stacjonują tam siły. Niebezpieczeństwo groziło z dwóch stron. W pobliżu zatoki mogły być oddziały wroga lub nieprzyjacielska flota mogła przyplłynąć, gdy jego okręty będą wyciągnięte na brzeg.

Kiedy wpłynęli do zatoki, Helikaon ujrzał w oddali po prawej osadę, a nad nią fort na szczycie wzgórza. Był mały i mógł pomieścić najwyżej stu wojowników.

W pobliżu osady zobaczył osiem kupieckich statków o niewielkim zanurzeniu. Były wyciągnięte na brzeg, na którym już paliły się ogniska.

Gdy zachodziło słońce, galery przybiły do brzegu nie dalej niż pięćset kroków od domów.

Helikaon pierwszy zszedł na ląd, zawołał kapitanów i kazał im nie podejmować żadnych zaczepnych działań, tylko rozpaść ogniska i pozwolić załogom odpocząć. Nie zezwolił, by ktokolwiek zbliżał się do zabudowań.

Kiedy marynarze schodzili na brzeg, Helikaon zauważył dwudziestoosobowy oddział żołnierzy, którzy opuścili fort i maszerowali w ich kierunku. Byli kiepsko uzbrojeni w lekkie włócznie, skórzane napierśniki i hełmy. Helikaon zobaczył, że Gershom mu się przygląda, i odgadł, że Egipcjanin myśli o obietnicy, którą mu złożył – że nie będzie więcej napadał na nadmorskie osady.

Helikaon wyszedł żołnierzom na spotkanie. Ich dowódca, wysoki i chudy, przedwcześnie łysiejący młodzieniec, pozdrowił go na sposób Mykeńczyków, uderzając pięścią w napierśnik.

– Witaj, podróżny – rzekł. – Jestem Kalos, dowódca straży.

– Witam cię, Kalosie. Jestem Atenos, przyjaciel Odyseusza.

– Masz wiele statków, Atenosie, i znaczną liczbę ludzi. To mała osada. Jest tu tylko pięć dziwek i dwie jadalnie. Obawiam się, że będą kłopoty, jeśli twoi ludzie będą mogli chodzić po mieście.

– Masz rację, Kalosie. Każę marynarzom pozostać na brzegu. Powiedz mi, czy są jakieś wieści o Odyseuszu? Miałem spotkać się z nim i innymi statkami z Itaki.

Kalos pokręcił głową.

– W tym roku jeszcze nie widzieliśmy Brzydkiego Króla. Flota Menadosa przepłynęła tędy kilka dni temu. Krążą pogłoski o kolejnych trojańskich napadach na zachodzie.

– Obawiam się, że to smutna prawda – rzekł Helikaon. – Kilka dni temu zaatakowano Pylos i spalono pałac.

Młody dowódca był wstrząśnięty.

– Nie! To okropne wieści, panie. Czyż nie ma końca zbrodniom Trojańczyków?

– Najwyraźniej nie ma. Dokąd kierował się Menados?

– Nie wyjawiał mi swoich zamiarów. Zaprowiantował tu swoją flotę i postawił żagle.

– Mam nadzieję, że jego flota była liczna. Podobno atak na Pylos przeprowadziło

pięćdziesiąt galer.

– Menados miał co najmniej osiemdziesiąt, lecz wiele z nich to statki transportowe. To dobry żeglarz i w zeszłym sezonie zatopił wiele pirackich jednostek.

Żołnierz chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz nagle Helikaon zobaczył, że coś przykuło jego uwagę. Młodzieniec szeroko otworzył oczy i zacisnął szczęki. Helikaon obejrzał się. Ostatnie promienie słońca oświetliły *Ksantosa*. Źle zawiązany węzeł puścił i zrefowany żagiel częściowo się rozwinął, ukazując namalowany łeb czarnego konia. Mało kto wokół Wielkiej Zieleni nie słyszał o czarnym koniu Helikaona.

Kalos cofnął się o krok. Helikaon odwrócił się do niego i powiedział szybko i spokojnie:

– Nie czas na pochopne czyny. Życie twoje i twoich ludzi spoczywa teraz w twoich rękach. Masz tu przyjaciół? Rodzinę?

Młody żołnierz spoglądał na niego z nieskrywaną nienawiścią.

– Jesteś Podpalaczem. Jesteś przeklęty.

– Jestem, kim jestem – przytaknął Helikaon. – Lecz to nie zmienia faktu, że ich życie zależy od ciebie. Widzę, że jesteś odważnym człowiekiem. Nie wahałbyś się zaatakować wroga i pójść Ciemną Drogą. Tylko co z ludźmi, których obiecałeś bronić? Ze starcami, kobietami z dziećmi na rękach? Uderz na mnie, a wszyscy oni zginą. Pozwól moim ludziom odpocząć tu przez noc, a odpłyniemy, nikogo nie niepokojąc. Zachowując się tak rozważnie, wypełnisz obowiązek i obronisz swój lud. Nikt nie umrze, nie spłonie żaden dom.

Młodzieniec stał, mrugając w gasnącym słońcu. Wokół Helikaona zaczęli się gromadzić jego ludzie. Miejscowy oddział uniósł włócznie i zwarł szeregi, gotowy do walki.

– Cofnąć się! – rozkazał swoim wojownikom Helikaon. – Nie będzie tu rozlewu krwi. Dałem słowo temu dzielnemu młodemu oficerowi. – Ponownie skupiając uwagę na Kalosie, spojrzał mu w oczy. – Wybór należy do ciebie, Kalosie. Życie lub śmierć twoich ludzi.

– Zostaniecie na plaży? – zapytał tamten.

– Tak. A wy dopilnujcie tego, zostając z nami. Moi kucharze przyrządzą dobry posiłek i będziemy siedzieć i jeść, i pić dobre wino.

– Nie chcę łamać się z tobą chlebem, Helikaonie.

– A ja nie chcę zobaczyć ciebie i twoich ludzi znikających za wzgórzem, żeby ściągnąć posiłki. Zostaniecie z nami. Nie stanie się wam żadna krzywda.

– Nie złożymy broni.

– I nie powinniście. Nie jesteście jeńcami i nie zażądałem, żebyście się poddali. Przez tę jedną noc na tej plaży wszyscy będziemy neutralni. Złożymy przed wieczerzą ofiary i

pomodlimy się do tych samych bogów i będziemy rozmawiali jako wolni ludzie, pod gołym niebem. Ty będziesz mógł mi opowiedzieć o okrucieństwach Trojańczyków, a ja tobie o mykeńskich łotrach, którzy napadli na moją ziemię, wzięli dziecko z mojego domu, podpalili je i zrzucili z nadmorskiego urwiska. A potem, jako ludzie rozumni i wrażliwi, będziemy uskarżać się na okropności wojny.

Napięcie zelzało i rozpalono ogniska. Helikaon zebrał Mykeńczyków wokół siebie i siedzieli razem w niezręcznym milczeniu, gdy kucharze przygotowywali posiłek. Przyniesiono wino, choć z początku Mykeńczycy nie chcieli pić. Gdy zapadła noc, poproszono Oniakosa, by zaśpiewał, i tym razem to zrobił. Miał ładny głęboki głos, a wybrane przez niego pieśni były piękne i melancholijne. W końcu Mykeńczycy zaczęli jeść i pić i wyciągnęli się na piasku.

Helikaon rozstawił warty mające pilnować statków i uniemożliwić marynarzom jakiegokolwiek kontakty z osadą, po czym zszedł nad samą wodę. Był zaniepokojony i miał zamęt w myślach.

Gershom do niego dołączył.

– Dobrze zrobiłeś, Złocisty – powiedział.

– Coś jest nie tak – rzekł Helikaon. – Ci ludzie nie są żołnierzami, a ich tanie zbroje są nowe. To wieśniacy, których pośpiesznie uzbrojono. Dlaczego?

– Oddziały z tego terenu były potrzebne gdzie indziej – podsunął Gershom.

– Tak daleko od działań wojennych?

Kalos mówił o flocie Menadosa i powiedział, że w znacznej części składała się ze statków transportowych. Zapewne przewoziły ludzi i konie. Siły inwazyjne. Jednak jego flota nie wypatrzyła żadnych okrętów wroga, co oznaczało, że tamci trzymali się brzegu, płynąc na wschód i na północ. To wykluczało atak na dolną, wschodnią część Likii. Flota Menadosa płynęła wzdłuż mykeńskiego brzegu, przewożąc armię – ale dokąd?

Do Tracji, żeby wzmocnić wojska walczące z Hektorem? To możliwe. Tylko czy potrzebne?

Oddziały tesalskiego króla Peleusa mogły wkroczyć do Tracji. Po co pozbawiać południowe ziemie żołnierzy i ryzykować ich utratę na morzu, kiedy znacznie łatwiej byłoby sojusznikom z północy przeprowadzić atak na lądzie?

Nagle zrozumiał i zapało mu dech w piersiach, jakby ktoś uderzył go w brzuch.

Dardania! Jeśli Agamemnon zdoła przeprowadzić swe oddziały przez Hellespont poniżej Tracji, Hektor znajdzie się w pułapce. Cytadela w Dardanos zostanie odcięta, a jej nieliczni obrońcy pod dowództwem osiemdziesięcioletniego generała będą osamotnieni i pokonani.

Wszystkie ziemie na północ od Troi dostaną się pod mykeńskie panowanie.

Z przygnębieniem uświadomił sobie, że znów zaczął myśleć w kategoriach zdobytych fortec i podbitych ziem. W Dardanos była Halizja i jej dziecko, Deks. Kiedy poprzednio Mykeńczycy napadli na stolicę, została zgwałcona i ciężko ranna, a jej syn zamordowany na jej oczach.

– O świcie wracamy do domu – powiedział.

XXVII. SYNOWIE SMUTKU I RADOŚCI

Jasnowłosy chłopczyk biegł zakurczonym korytarzem, jego bose stopy bezgłośnie stapały po wyslizganych kamieniach. Na końcu odwrócił się, by sprawdzić, czy nie dogania go Szara, po czym szybko się położył i wczołgał w dziurę w ciemnym kącie.

Stara forteca Dardanos była labiryntem korytarzy i tuneli, pełnym dziur, przez które mógł przecisnąć się tylko trzyletni chłopiec. Przeczłogał się przez szczelinę między murami i w mrok przedsionka, za zakurzony gobelin, po czym przebiegł przez pustą komnatę do masywnych dębowych drzwi w przeciwległej ścianie. Były niedomknięte i przycisnąwszy twarz do framugi, mógł zajrzeć do wielkiej sali. Nie widział Słonecznej Kobiety, ale wiedział, że przyjdzie, więc usiadł wygodniej na podłodze, obejmując chudymi rękami kolana, i czekał. W ciągu trzech lat życia wiele się dowiedział o czekaniu.

Usłyszał skomlenie i piski w oddali. Wiedział, że to Szara go szuka. Najpierw przeszuka dziedziniec. Codziennie wybierał sobie inną kryjówkę, a Szara była powolna i stara i zawsze zostawała w tyle.

Jasne światło poranka sączyło się przez wysokie okna komnaty i czuł zapach kukurydzianego chleba i polewki gotowanej w królewskiej kuchni. Czuł pustkę w brzuchu i od tych zapachów ciekła mu ślinka, ale pozostał na miejscu, czekając na Słoneczną Kobietę.

Codziennie uciekał Szarej i odnajdował Słoneczną Kobietę. Jednak nie pozwalał, by go zobaczyła, bo wiedział, że byłaby zła. Bał się jej zimnego gniewu, chociaż nie rozumiał jego powodu. Nocami w swoim ciepłym łóżeczku śnił, że pewnego dnia Słoneczna Kobieta odnajdzie go, otworzy ramiona i zawoła go, a on do niej pobiegnie. Wtedy ona go obejmie, przytuli i będzie mówiła miłe słowa.

Usłyszał odgłosy dobiegające z megaronu i pośpiesznie przycisnął twarz do drzwi, lecz to było tylko kilku żołnierzy i Stary Czerwony Człowiek. Machał rękami, wydając żołnierzom rozkazy, a potem wszyscy odeszli. Słudzy przechodzili obok drzwi komnaty, mijając go w odległości wyciągniętej ręki, ale wiedział, że tu nie wejdą. O tej porze byli najbardziej zajęci.

Zanim ludzie zaczęli wypełniać megaron, zdrętwiały mu nogi. Znów się położył i uważnie patrzył. Przyszli wszyscy ci starszycy w długich szatach, szurając sandałami po posadzce.

Potem żołnierze w zbrojach, z paradnymi nagolennikami błyszczącymi w świetle

poranka. Damy dworu szeptały i chichotały. Chłopiec rozpoznawał je po pierścionkach na palcach stóp i bransoletach na kostkach. Jedna z dziewcząt miała wokół kostki łańcuszek z wiszącymi na nim zielonymi rybkami. Patrzył, zafascynowany. Pobrzękiwały, gdy się poruszała.

Gwar nagle ucichł i chłopczyk jeszcze mocniej przycisnął twarz do szpary.

Słoneczna Kobieta podeszła do tronu i przez moment stała, rozglądając się. Miała na sobie długą, olśniewająco białą tunikę bez rękawów, ozdobioną błyszczącymi srebrnymi kropkami.

Złote włosy miała podkreślone, upięte na czubku głowy i ozdobione kolorową wstążką. Jak zawsze, chłopczyk był olśniony jej urodą i czuł ból w sercu, od którego zbierało mu się na płacz.

– Zaczynajmy – powiedziała. – Mamy wiele do omówienia.

Jej głos brzmiał jak srebrne dzwonki. Usiadła i zaczął się dzień jak co dzień. Rozmawiała ze Starym Czerwonym Człowiekiem i innymi starcami, a potem po kolei podchodzili do niej różni ludzie. Jednym z nich był żołnierz. Miał związane ręce. Mówił do niej gniewnie, z czerwoną twarzą. Chłopczyk przez chwilę bał się o Słoneczną Kobietę, ale ona powiedziała coś spokojnie i inni żołnierze go wyprowadzili.

Ranek powoli przeszedł w południe i chłopiec prawie zasypiał, gdy Słoneczna Kobieta wstała z tronu. Rozejrzawszy się po megaronie, zapytała:

– Gdzie jest Deksjos? Chłopiec musi tu być podczas ceremonii. Lila!

Niecierpliwie skinęła ręką. Szara wychynęła z kąta megaronu, załamując ręce, z niepokojem widocznym na pomarszczonej twarzy.

– Nie mogłam go znaleźć, pani. Przepraszam. On biega tak szybko, nie mogę go dogonić.

– Szukałaś w stajni? Podobno chowa się w sianie.

– Tak, pani. Nie było go tam.

Za drzwiami Deksjos przez moment siedział nieruchomo, nie wierząc własnym uszom.

Słoneczna Kobieta pyta o niego? Chce go widzieć? Zerwał się na równe nogi, chcąc do niej pobiec, lecz wzburzony i rozkojarzony pchnął drzwi, zamiast pociągnąć je do siebie. Zamknęły się bezgłośnie i rygiel zaskoczył z cichym szcękaniem. Nie mógł otworzyć.

Uderzył dłońmi w dębowe deski.

– Jestem tutaj! Tutaj! – wołał.

Oni jednak nie mogli go usłyszeć.

Bliski paniki, zaczął tłuc w drzwi piąstkami.

– Tu jestem! Otwórzcie drzwi! Proszę, otwórzcie drzwi!

Żołnierz z mieczem w ręku nagle otworzył drzwi. Deksjos, z twarzą zalaną łzami, stanął w promieniach słońca i wszyscy w megaronie na niego patrzyli.

Upadł na kolana przed Halizją, królową Dardanii.

– Tu jestem, mammo. Nie gniewaj się.

Czarny byczek, brocząc krwią tryskającą z szyi, upadł na bruk dziedzińca. Mając przeciętą krtań, nie wydawał żadnych dźwięków oprócz donośnego świstu. Słabo grzebnął nogami i znieruchomiał. Kapłan Apolla, młody mężczyzna odziany tylko w przepaskę biodrową, podał asystentowi rytualny sztylet i zaczął odmawiać modlitwę do Pana Srebrnego Łuku.

Halizja starała się nie myśleć o tym widoku i odorze rozlanej krwi. Przez chwilę słuchała znajomych słów, po czym znów wróciła myślami do swych obowiązków.

Zauważyła, że chłopiec wciąż stoi obok niej, i zirytowała się. Dlaczego tu był? Czemu Lila nie odprowadziła go do jego pokoju? Od czasu do czasu patrzył na nią i jasne włosy odślaniały mu czoło. Nigdy nie patrzyła mu w twarz, w te czarne oczy.

Żałowała, że nie ma tu Helikaona. Była królową Dardanii od piętnastu lat, najpierw jako wystraszona dziewczynka, potem młoda matka, później wdowa załamana po męczeńskiej śmierci syna. Codziennie spokojnie omawiała ze swoimi doradcami niebezpieczeństwo grożące jej poddanym z północy i od morza. Słuchali jej planów i sugestii, po czym wykonywali jej rozkazy.

Jednak nawet stary Pauzaniusz nie wiedział, jak paraliżujący strach ściska jej serce za każdym razem, gdy wyobraża sobie następny atak Mykeńczyków. Znów widziała zakrwawionych wojowników wdzierających się do jej sypialni, zabijających jej kochanka Garusa, wlokących ją na skraj urwiska razem z jej synem Dio, oraz koszmar, który nastąpił potem. Pamiętała ciemnoookiego oprawcę, Hetytę, jak jej powiedziano, który ją zgwałcił. Pamiętała rozpaczliwe krzyki swojego umierającego synka.

Nie mogła patrzeć na stojącego obok niej chłopca, nie mogła wziąć go za rączkę ani przytulić. Wolałaby, żeby nigdy się nie urodził. Wolałaby, żeby zniknął. Kiedy będzie starszy, pod jakimś pretekstem wyśle go do Troi, żeby wychowywał się tam z innymi królewskimi dziećmi.

Spojrzała w dół i zobaczyła, że patrzy na nią z miną, której nie umiała zinterpretować. Bał się jej? Wiedział, kim ona jest? Uświadomiła sobie, że lepiej niż jego rozumiała konie, które uwielbiała. Ciemne oczy wpatrywały się w nią, pełne jakiejś niewypowiedzianej

potrzeby.

Gniewnie odwróciła głowę. Dała znak Liiri i stara piastunka pośpiesznie wyprowadziła dziecko.

Ceremonia powoli dobiegła końca i gdy kapłani zaczęli ćwiartować byka, Halizja wróciła do pałacu w asyście wyższych oficerów: starego Pauzanasza, wnuka jego siostry, rudowłosego Menona, irytującego Trojańczyka Idajosa i dwóch jego adiutantów.

Dziś czekał ją tylko jeszcze jeden obowiązek: wysłuchanie codziennego raportu o przebiegu wojny. W bocznej salce megaronu opadła na sofę, a oficerowie stanęli wokół niej. Zamknęli drzwi, żeby nie słyszała ich służba.

– No, Pauzanaszu, co zameldujesz mi dzisiaj?

Stary generał odkaszlnął. Był już po osiemdziesiątce i służył władcom Dardanii od ponad sześćdziesięciu lat. Ostatnio na jego ogorzałej twarzy stale gościł niepokój.

– Żadnych wieści z Tracji, pani. Od pięciu dni nie przybył żaden posłaniec.

Skinęła głową. Dardańska piechota podążyła do Tracji z trojańską konnicą. Jeszcze nie spodziewano się od nich żadnych wieści, a jednak Halizja każdego dnia obawiała się, że zostali wybici i Mykeńczycy z trackimi buntownikami galopują ku cieśninom. Mimo to zapytała opanowanym głosem:

– A konni posłańcy? Czy moje plany zostały zrealizowane?

Pauzanasz zawahał się i ponownie odkaszlnął.

– Tak, pani. Będzie, jak każesz. Za kilka dni nasze plany zostaną zrealizowane.

Pod nieobecność Helikaona Halizja podjęła się powołania oddziału królewskich jeźdźców, wzorowanego na hetyckim, oraz utworzenia zbrojnych warowni odległych od siebie o dzień jazdy. Chciała, aby jeźdźcy nieustannie przewozili wiadomości do i z Troi, dzieląc się informacjami z Priamem. Mieli także dostarczać wiadomości wschodnim sojusznikom Dardanii – Frygii i Zelei.

Pauzanasz z początku miał wątpliwości, niezadowolony z tego, że zabierano mu doświadczonych jeźdźców, potrzebnych do obrony miasta.

– Informacje są najważniejsze – powiedziała mu. – Jeśli przyjdą tu Mykeńczycy, musimy jak najwcześniej wiedzieć o ich przybyciu. W razie inwazji królewscy jeźdźcy mają rozkaz wrócić do miasta. Ostrzegą nas wcześniej.

Stary generał wykonał jej rozkaz i spośród dardańskich żołnierzy wybrano jeźdźców.

W większości byli oni młodzi, nieledwie chłopcy, ale od dziecka obyci z końmi, tak jak ona, więc jazda konna była dla nich czymś bardziej naturalnym niż poruszanie się pieszo. Osobiście rozmawiała z każdym i byli dumni ze swego zaszczytnego zadania.

– Jedno mnie martwi, królowo – powiedział Trojańczyk Idajos.

Słyszając to, Halizja podupadła na duchu, chociaż spoglądała na niego z chłodnym zainteresowaniem.

– Cóż takiego, Idajosie?

Oficer stał ze swoimi trojańskimi towarzyszami po drugiej stronie komnaty. Ci trzej żołnierze zostali przysłani przez Priama, aby pod nieobecność Helikaona doradzać jej w obronie Dardanos. Zdaniem Halizji ich jedynym osiągnięciem było dotychczas podważanie i kwestionowanie każdej podjętej przez nią decyzji. Ich przywódca, Idajos – niski i krępy mężczyzna z obwisłymi jasnymi wąsami mającymi ukryć brak jednego zęba – był uważany za nieślubnego syna Priama.

– Wybacz mi, pani – rzekł – ale znasz moje zdanie o tych posłańcach. Król Priam... – Zrobił przerwę, dając wszystkim czas do namysłu nad jego koneksjami – zgadza się ze mną, że informacje są bezcenne i powinny być pilnie strzeżone, a nie roznoszone po kraju za pośrednictwem młodych ludzi, którym nie mamy powodu ufać.

Halizja odpowiedziała ze znużeniem.

– Tak, znamy twoją opinię, Idajosie. Już to omawialiśmy. Ci młodzi ludzie zostali wybrani nie tylko dlatego, że są dobrymi jeźdźcami, ale ponieważ są bystrzy i inteligentni. To Dardańczycy, wierni swojemu królowi. Nie mogą przewozić pisemnych wiadomości, gdyż większość ludzi, do których są kierowane, nie umie czytać. Ufamy, że dokładnie powtórzą informacje i tylko tym, dla których są przeznaczone.

– Jeden z moich wnuków został wybrany na królewskiego posłańca – wtrącił zirytowany Pauzanasz. – Sugerujesz, że jest zdrajcą?

Idajos skłonił się staremu generałowi.

– Nikt nie kwestionuje lojalności młodego Pammona, generale. Chcę tylko zauważyć, że lekkomyślne rozpowszechnianie informacji grozi zdradą.

Halizja uniosła dłoń.

– Zamykam dyskusję na ten temat. Porozmawiajmy o pięciu osadach.

Były to duże wioski leżące na wybrzeżu na północ od Dardanos, ze względu na usytuowanie mogące wcześniej ostrzec o inwazji przez cieśniny. Zamieszkiwali je Frygijczycy, Mizyjczycy i częściowo Trakowie, którzy woleli żyć na ciepłym wybrzeżu niż w znacznie surowszych warunkach w głębi lądu. Wiele rodzin mieszkało tam od pokoleń. Halizja podjęła kontrowersyjną decyzję o uzbrojeniu osad, wierząc, że dzięki temu zaskarbi sobie lojalność ich mieszkańców.

Wiedziała, że Idajos się z tym nie zgadza, i podejrzewała, że zawiadomił o swej opinii

Priama.

Menon, przystojny młody generał, który stopniowo przejmował ciężar obowiązków Pauzanasza, powiedział, że wozom tych pięciu osad posłano lekkie zbroje i oręż – łuki, włócznie, tarcze i miecze. Pozostawiono im wolną rękę przy rozdzielaniu broni swoim ludziom.

– Jeśli przyjdą Mykeńczycy, na nic się to nie zda – gderał Pauzanasz. – Kilkuset uzbrojonych wieśniaków przeciwko tysiącom wojowników.

Menon się uśmiechnął.

– Wiem o tym, wuju, ale gdybyś czuł się zagrożony przez tysiąc zbrojnych, to chyba wolałbyś stawić im czoło z mieczem w ręku niż nieosłonięty i bezbronny?

Stary niechętnie kiwnął głową. Halizja usłyszała, że Idajos nabiera tchu, chcąc coś powiedzieć, więc szybko uniosła rękę.

– Nie chcę tego słuchać, Idajosie. Nie wątpię, że ty i twoi towarzysze uważacie, iż to kiepski plan, i wolelibyście nie zbroić tych ludzi z obawy, że użyją oręża przeciwko nam lub przeciwko sobie. Mogło by tak być w czasie pokoju, kiedy Frygijczyk jest gotów zabić Traka w sporze o krowę. Jednak teraz, gdy nieustannie mają świadomość zagrożenia inwazją przez Hellespont, będą wdzięczni za dostarczoną im broń i odpłacą się lojalnością.

Idajos znów nabrał tchu.

– Powiedz mi coś – powiedziała, ponownie go uprzedzając. – Odpowiadasz za bezpieczeństwo na brzegu. Czy wszyscy przybywający do Dardanos są obszukiwani i rozbrajani, jak kazałam?

Zrobił niezadowoloną minę. Wiedziała, że nie podoba mu się zadanie, które mu powierzyła.

Konfiskowanie starych drewnianych pałek i tępych mieczy przybywającym żeglarzom, a potem zwracanie tej broni odpływającym właścicielom było poniżej jego godności.

– Tak, pani – odparł. – Robimy to. Aczkolwiek...

– Dobrze – powiedziała. – To bardzo ważne zadanie. Nie lekceważ jego znaczenia. – Wstała, zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć. – Generale Pauzanaszu, pozwól ze mną.

Przeszli przez rozświetlony słońcem korytarz i dalej, do stajni królewskiej gwardii. Halizja uniosła twarz do słońca i wdychała zapach koni, siana i rzemieni. Zwolniła, żeby stary żołnierz mógł dotrzymać jej kroku. Smuciło ją, że coraz bardziej opada z sił. W ciągu trzech lat od napadu na Dardanos coraz bardziej odczuwał brzemię swego wieku.

W stajni było słychać stukot kopyt i gniewne rżenie. Halizja weszła do drewnianego

budynku. Razem z Pauzaniem podeszła do najdalszego boks, w którym wierzgał i stawał dęba czarny rumak, wałąc kopytami w ściany, aż trzeszczały i dygotały. Koń zauważył zbliżającą się Halizję i rzucił się z wybałuszonymi ślepiami i rozdętymi chrapami. Uderzył potężną pierś o drzwi boks, łamiąc górną belkę. Halizja spokojnie przeczekała ten atak, po czym zaczęła łagodnie przemawiać do konia, który obrzucił ją gniewnym wzrokiem i cofnął się z powrotem w cień.

– Nie wiem, po co go trzymasz – narzekał Pauzaniusz. – Przenieśliśmy go tu, bo awanturował się w padoku. Teraz denerwuje wierzchowce gwardzistów.

– Myślałam, że z daleka od klaczy się uspokoi – wyjaśniła. – Wciąż szaleje. Zastanawiam się dlaczego.

– Nie szalałby tak, gdybyśmy go wykastrowali – zaproponował Pauzaniusz. – Wtedy by się uspokoił i był dobrym wierzchowcem.

– Helikaon sądzi, że będzie z niego dobry ogier rozplodowy, który da początek nowej rasie rumaków bojowych.

Pauzaniusz pokręcił głową.

– Jest zbyt agresywny, żeby pozwolić mu swobodnie biegać. Wiesz, że o mało nie okaleczył jednego z moich najlepszych jeźdźców? Zrzucił go i stratował. Złamał mu obie nogi. Ma źle we łbie, pani.

– Otwórz boks, Pauzaniuszu.

– Proszę, nie rób tego, moja królowo – opierał się staruszek.

Uśmiechnęła się do niego.

– To tylko koń, a nie dziki zabójca. Rób, co ci mówię.

Pauzaniusz podszedł i podniósł belkę blokującą drzwi przegrody, po czym uchylił je tylko tyle, żeby Halizja mogła wejść. Zobaczyła, że wyjął miecz, i wiedziała, że jest gotowy zabić konia, gdyby znalazła się w niebezpieczeństwie.

– Schowaj to – powiedziała cicho. – I zamknij za mną drzwi.

Weszła do przegrody i zaczęła nucić cichą, uspokajającą melodię, po czym powolnym i płynnym ruchem podniosła rękę i poklepała ogiera po szyi. Grzebał kopytem ziemię, położywszy uszy po sobie.

– Pewnego dnia – szepnęła, przytuliwszy twarz do jego pyska – ty i ja pojeździmy po łąkach.

Ty będziesz królem pośród koni i wszystkie klacze zbiegną się do ciebie. – Wzięła wiecheć słomy i zaczęła wycierać szeroki grzbiet ogiera. Po chwili postawił uszy i obejrzał się na nią. – Jesteś taki piękny – powiedziała. – Taki urodziwy, taki silny.

Upuściła wiecheć i powoli poszła do drzwi boksu. Pauzaniasz otworzył i wyszła. Gdy zamykał drzwi, ogier nagle stanął dęba i uderzył w nie kopytami. Pauzaniasz odskoczył i o mało nie upadł. Halizja się roześmiała.

– Nie wiem, jak ty to robisz – powiedział stary generał. – Mógłbym przysiąc, że on rozumie, co do niego mówisz.

Gdy wyszli ze stajni, Halizja spytała.

– Przejdziesz się ze mną, generale?

– Będę zaszczycony, moja królowo.

Zawołał na stajennego, żeby przyprowadził konie. Młodzik przyprowadził starego wierzchowca Halizji, gniadego Tancerza, i łagodną klacz o zapadłym grzbiecie, którą ostatnio polubił Pauzaniasz. Przejechali przez dziedziniec stajni i do Morskiej Bramy, wychodzącej na port. Zatrzymawszy rumaki na stromym skalistym zboczu, spojrzeli na wąski pas morza dzielący ich od brzegu rozdartej wojną Tracji. Pauzaniasz wyraził obawę, którą czuła.

– Jeśli wschodnia Tracja padnie, wojska zachodu i buntowników nadciągną tu tysiącami.

Odwróciła się i spojrzała na Morską Bramę. Helikaon kazał wzmocnić wieże strażnicze i obłożyć kamienne wejście zielonym marmurem sprowadzonym ze Sparty. Ostro opadające do portu zbocze niemal uniemożliwiało sforsowanie wrót. Wspinający się na wzgórze nieprzyjaciel straciłby wielu ludzi, zastrzelonych przez bezpiecznie ukrytych na murach łuczników.

– Mając dość żołnierzy, moglibyśmy się bronić miesiącami – powiedziała.

– Dość to byłoby pięć razy tylu, ilu mamy – mruknął stary generał.

Nie mówiąc nic więcej, Halizja zawróciła i pojechała w górę wąskim skalistym szlakiem pod murami, mijając najwyższy punkt klifu zwany Skokiem Afrodyty. Uśmiechnęła się na myśl o podążającym za nią generale. Teren był nierówny, a szlak miejscami tak wąski, że jedna jej noga wisiała nad głęboką przepaścią.

Pauzaniasz nie obawiał się wysokości, ale bał się o królową. Nie rozumiał jej potrzeby podejmowania takiego ryzyka. Halizja nie próbowała mu tego wyjaśnić. Na równinach z czasów jej młodości w lecie często wybuchały pożary. Sucha trawa stawała w płomieniach, a wiatry je podsycaly i kierowały w stronę zabudowań. Jedynym sposobem ich pokonania było rozpalanie ognia na drodze szalejącego pożaru, tak by napotkał wypalony obszar i nie mając czym się pożywić, wygaś.

Takie niebezpieczne przejażdżki budzące lęk, który mogła kontrolować, były dla Halizji sposobem na opanowanie poważniejszych obaw.

W końcu wyjechali na szerszy trakt wiodący do drugiej wielkiej bramy Dardanos. Brama Lądowa była najstarszą częścią miasta, zbudowaną przez pradawnych budowniczych, których imiona zatarł czas. Ten potężny bastion, zwrócony na południe ku Troi, miał grube i solidne mury oraz dwie pary wąskich i wysokich wrót. Jednak teren za bramą był szeroki i równy. Armia najeźdźców mogła spokojnie rozbić na nim obóz na cały rok i atakować do woli.

Z Bramy Lądowej biegła wąska droga, która przecinała suchą równinę, a potem wpadała w długi i stromy wąwóz. We dwoje pojechali tym szlakiem ku głębokiej przepaści, przez którą przerzucono wąski drewniany most, zawsze pilnowany przez posterunki po obu stronach. Stąd droga wiodła na południe, do Troi. Kopyta ich wierzchowców stukały o belki, gdy przejeżdżali na drugą stronę. Halizja spojrzała w dół. Znajdowali się na zawrotnej wysokości. Przejechawszy przez most, ściągnęła wodze i obejrzała się, podziwiając kunszt i odwagę ludzi, którzy go zbudowali. Chociaż miał zaledwie trzy włócznie długości, przygotowanie terenu było niełatwym zadaniem. Drewniane wsporniki i legary solidnie osadzono w skałach poniżej krawędzi. Ludzie musieli wisieć na linach i kuć kamień, żeby wybić w nim głębokie otwory. Z tego rodzaju umiejętności słynęli jej bracia.

Znalazłszy się daleko od miasta, Halizja z przyjemnością wdychała zapach wilgotnej ziemi i letniej trawy, wystawiając twarz na podmuchy wiatru niepowstrzymywanego przez kamienne mury. Zaczynało się ściemniać, gdy Pauzaniasz powiedział:

– Powinniśmy wrócić za Głupotę. Nie mam ochoty jeździć skalnymi ścieżkami po zmroku.

Halizja ściągnęła wodze.

– Za głupotę?

– Mam na myśli most, pani.

– Dlaczego nazywasz go głupotą? – zapytała. – Skraca drogę do Troi i kupcy oszczędzają dzień drogi.

– To miejsce nazywało się tak, jeszcze zanim wybudowano ten most. Tylko tacy starzy ludzie jak ja wciąż je tak nazywają. Głupota Parnio. – Pauzaniasz westchnął. – Pewien młody jeździec założył się z przyjaciółmi, że jego koń przeskoczy przepaść w najwęższym miejscu. Pomylił się. Dwa dni wyciągano jego zmasakrowane ciało. Kilka lat później w miejscu, gdzie zginął, zbudowano most.

– Znałeś go?

– Tak. Próżny i zuchwały chłopak. Jednak nie był zły. Uważał – jak wszyscy młodzi ludzie – że jest nieśmiertelny. Gdyby żył, miałby teraz ponad sześćdziesiąt lat, siwe włosy i

mało zębów. Narzekałby na lekkomyślność młodych i mówił, że za jego czasów było inaczej.
– Zerknął na królową i uśmiechnął się. – Jakie to dziwne – powiedział – że tak wyraźnie pamiętam dawne dni, a nie przypominam sobie, co jadłem dziś rano na śniadanie. Obawiam się, że staję się coraz bardziej bezużyteczny, moja królowo.

– Nonsens, Pauzaniasz. Polegam na twojej mądrości.

Podziękował jej uśmiechem.

– Ja coraz bardziej polegam na młodym Menonie. Ty też będziesz, kiedy mnie zabraknie.

– Lubisz tego chłopca i to się rzuca w oczy – powiedziała.

Pauzaniasz uśmiechnął się.

– Nie uwierzysz, ale wygląda tak jak ja, kiedy byłem młody. To dobry chłopak. Tylko zawsze zadłużony. Uwielbia hazard. Co było i moją przywarą za młodu.

– Czy będzie wobec mnie równie szczery jak ty?

Pauzaniasz spoważniał.

– Nie zawsze jestem tak szczery, jak chciałbym być. Ostatnio trochę mnie to martwi. Jesteśmy tu sami i nikt nas nie podsłucha. Zatem, jeśli pozwolisz, powiem, co myślę.

– Miałam nadzieję, że zawsze to robisz – powiedziała Halizja.

– Tak, w sprawach wojskowych. Jednak nie chodzi o wojaczkę.

– Mów więc, bo jestem zaintrygowana.

– Troszczysz się o dzikiego konia i starasz się zrozumieć jego cierpienia i gniew. Kiedy go głaszczesz, ogier się uspokaja, gdyż wyczuwa, że darzysz go uczuciem. Tymczasem jest inny źrebak, głodny uczucia, pragnący pieśczoć i miłości. A ty go ignorujesz.

Rozgniewała się.

– Ty najlepiej powinieneś rozumieć powody mojej niechęci. Ojciec tego dziecka był złym człowiekiem, który zamordował mojego syna i zapłodnił mnie wbrew mojej woli.

– To prawda – rzekł Pauzaniasz. – A Helikaon przybił go do wrót jego fortecy, żeby szczeł. Jednak ten chłopiec nie jest swoim ojcem. To syn Halizji, odważnej i godnej królowej, lojalnej i współczującej. To jej krew i duch.

Halizja uniosła dłoń.

– Nie mów nic więcej. Miałeś rację, generale, zatrzymując te myśli dla siebie. Rób tak w przyszłości.

Zawróciła rumaka i pojechała z powrotem ku cytadeli.

Andromacha obudziła się i leżała nieruchomo, usiłując pochwycić ulatujące fragmenty snu.

Była z nią Kaliope i Laodike. We trzy płynęły razem na wielkim białym statku. Nie miał wiosel ani żagli, ani żadnej załogi, a jednak sunął ku odległej wyspie, skąpanej w złotych promieniach wschodzącego słońca. Andromacha była szczęśliwa, cieszyła się z towarzystwa przyjaciółek.

W tym śnie przez chwilę nie pamiętała, jaki spotkał je los.

Potem dołączyła do nich czwarta postać: młoda, czarnowłosa kobieta olśniewającej urody.

Jej zimne spojrzenie było dziwnie znajome, lecz Andromacha z początku nie mogła jej rozpoznać.

– Jesteś tu – powiedziała do Andromachy. – Żeglujesz z tymi, które zabiłaś.

Teraz wszystkie stały zupełnie nieruchomo i spoglądały na nią. Na jasnej sukni Laodike wykwitła czerwona plama, a z piersi Kaliope wyrosła czarnopióra strzała. Czarnowłosa kobieta stała przed nią, nic nie mówiąc. Nagle skóra na jej twarzy zaczęła wysychać i marszczyć się i Andromacha zobaczyła, że to królowa Hekabe.

– Zasłużyłaś na śmierć – powiedziała Andromacha.

– Czy się myliłam, Andromacho? Czy Odyseusz nie okazał się śmiertelnie groźnym wrogiem?

Andromacha obudziła się na sofie na wschodnim tarasie wychodzącym na koszarowe stajnie.

W uszach miała dobiegające stamtąd odgłosy, rzenie koni i stukot kopyt, zmieszane z krzykami i przekleństwami żołnierzy. Sen przywarł do niej mglistymi palcami, niosąc poczucie winy i żal.

Obok sofy jej pokojówka Aksa siedziała na krześle i haftowała, od czasu do czasu uważnie oglądając wzór. Spojrzała na nią.

– Och, obudziłaś się, pani. Mam ci coś przynieść?

Andromacha przecząco pokręciła głową i znów zamknęła oczy. Zastanawiała się, czy kiedyś uda jej się uciec przed wyrzutami sumienia. Nie mogłam uratować Laodike – jej rana była zbyt głęboka. Zaraz jednak przed oczami stanęła jej twarz Kaliope i Andromacha znów podupadła na duchu. Kiedy zobaczyła, jak zabójca napina łuk, myślała, że strzała jest wycelowana w nią, i rzuciła się na ziemię. Gdyby ostrzegła ją krzykiem, Kaliope mogłaby uskoczyć przed nadlatującą strzałą.

Otworzywszy oczy, usiadła i nabrała tchu. Nie opuszczało jej poczucie winy. Nie tylko z powodu utraty przyjaciółek. Było jak płaszcz noszony na każdą okazję. Czuła się winna z powodu tego, że się cieszy. Gdyż mimo wojny oraz strachu i nędzy, jaką niosła ona

Troi, choć mężczyźni, których kochała, wyruszyli walczyć, chociaż jej rodzinie w Tebach pod Plakos groziło niebezpieczeństwo – pomimo tego wszystkiego była szczęśliwsza niż kiedykolwiek w życiu.

A powód tego szczęścia spał w pokoju obok. Wiedziała, nie patrząc, że Astianaks leży na plecach, z rączkami i nóżkami rozrzuconymi szeroko jak rozgwiazda, którą pewnego dnia znaleźli razem na plaży. Przynieśli ją do domu w wiaderku wody, ale umarła i dziecko zapomniało o niej, lecz Andromacha schowała ją do pudełka z nieużywaną biżuterią i wciąż wyjmowała od czasu do czasu, wspominając tamten szczęśliwy dzień i dziecinną radość malca na widok morskiego stworzenia.

Na samą myśl o chłopcu ścisnęło jej się serce i z trudem powstrzymała chęć pobiegnięcia do niego i przytulenia śpiącego ciała, ciepłego i pachnącego mlekiem.

Poród był ciężki, tak jak przewidziała Hekabe. Powodem były wąskie biodra Andromachy.

Rodziła niemal całą noc i część ranka, a ból był okropny i rozdzierający. A jednak to nie na myśl o chwili, gdy włożyli w jej ramiona noworodka, ścisnęło ją w gardle. Działo się tak, gdy wspominała, jak kilka dni później, w jasny i chłodny ranek, dziecko otworzyło oczy. Były jasne, szafirowoniebieskie.

Oczy Helikaona.

Głos Aksy wyrwał ją z rozmyślań.

– Była tu Kasandra i chciała się z tobą widzieć – powiedziała.

– Kasandra? Gdzie ona jest?

– Potrzebowałam snu. Nie chciałam ci przeszkadzać. Odprawiłam ją – powiedziała nieco obronnym tonem Aksa.

– Odprawiłaś ją? – Andromacha o mało się nie roześmiała. Księżniczka Kasandra, córka króla, odesłana przez służącą. Nagle się przestraszyła. – Jeśli król Priam usłyszy o takim afrontie, może kazać cię wychłostać. Poślij służącą i poproś, żeby przysłała. Nie, lepiej idź po nią sama.

Lekko skruszona Aksa pozbierała swoje rzeczy i opuściła taras. Gdy wychodziła, Andromacha usłyszała, jak mamrocze:

– I tak nie przyjdzie.

Andromacha pomyślała, że Aksa zapewne ma rację. Kasandra była trudnym dzieckiem. Jej ekscentryczne zachowanie i dar jasnowidzenia sprawiały, że ludzie od niej stronili. Nawet ci, którzy ją kochali, jak Andromacha i Helikaon, obawiali się jej niezwyklej umiejętności przepowiadania przyszłości. Teraz miała czternaście lat i od śmierci matki

zamknęła się w sobie, stała się cicha i nieobecna. Jako dziecko zawsze mówiła, co myślała, a teraz bardzo ostrożnie dobierała słowa. Trzymała się na uboczu, rzadko opuszczając kwatery kobiet i świątynię Ateny, i Andromacha widywała ją coraz rzadziej.

To Kasandra była powodem ostatniej kłótni Andromachy z Priamem. Król oznajmił, że dziewczyna ma zostać wysłana na Terę, tak jak kiedyś jej matka Hekabe i Andromacha.

Kasandra przyjęła tę decyzję bez słowa skargi, ale Andromachę rozgniewała ta wieść.

Napadła na Priama w megaronie, który był sceną wielu ich kłótni. Patrzył, jak szła ku niemu przez całą długość wielkiej sali, pieszcząc wzrokiem jej ciało. Słyszała, że niedomaga, ale wyglądał zdrowo, chociaż szatę miał poplamioną winem, a oczy nienaturalnie błyszczące.

– Andromacho – powiedział – ostatnio jesteś rzadkim gościem w moim pałacu. Jednak domyślam się powodu twojej wizyty. Nie przyszedłeś z wyrazami szacunku dla swego króla. Zapewne jak zawsze chcesz mieszać się w nie swoje sprawy.

– Słyszałam, że Kasandra ma zostać wysłana na Błogosławioną Wyspę – rzekła spokojnie. – Pomyślałam, że może zechcesz usłyszeć moje zdanie, jako że spędziłam tam dwa lata.

Roześmiał się.

– I co byś powiedziała, córko, gdybym cię spytał o zdanie?

– Powiedziałabym, ojcze, że podróż na Terę jest zbyt niebezpieczna. Moja przyjaciółka została zgwałcona i groziła jej śmierć z rąk piratów. A teraz po tamtejszych wodach pływa nieprzyjacielska flota.

– Przyjaciółka? – prychnął. – Mówisz o zbiegłej Kaliopie, która zdradziła swoje powołanie, przez co zmusiła mnie do wysłania mojej córki na jej miejsce. Chociaż czego innego można było oczekiwać od córki Peleusa. Ta rodzina nurza się w zdradzie i występku.

– Gdyby nie zdrada Kaliopie – odparła lodowatym tonem Andromacha – gniłabym teraz w grobie, a mój syn nigdy nie przyszedłby na świat.

Na wspomnienie Astianaksa Priam natychmiast złagodniał.

– Zawsze zamierzaliśmy – rzekł – wysłać Kasandrę na służbę Śpiącego Boga. Chciała tego jej matka, a Kasandra sama to przepowiedziała.

– Nigdy nie wierzyłeś w przepowiednie Kasandry – powiedziała gniewnie.

– Ja nie, ale ty tak.

Andromacha wiedziała, że nie znajdzie na to odpowiedzi. W przeszłości często rozmawiała z Priamem o przepowiedniach Kasandry. Nie mogła teraz dowodzić, że dziewczyna się myli.

– Odplynie na Terę wczesną wiosną – powiedział Priam – pod eskortą floty

Helikaona. Nic, co powiesz, nie zdoła zmienić mojej decyzji.

Lekki podmuch wiatru wpadł przez otwarte okno i Andromacha wstała z sofy, przeciągając się. Usłyszała szmer za plecami i odwróciła się, spodziewając się zobaczyć Kasandrę, lecz zamiast niej ujrzała wychodzącego z cienia ciemnowłosego księcia Diosa.

– Dios! – Prawie podbiegła do niego i wzięła go za rękę. – Szybko wróciłeś. Jakie wieści z Teb?

– Twój ojciec ma się dobrze, Andromacho. Bracia również. Szykują się do wojny, ale na razie są bezpieczni.

– Czy masz jakieś wieści o Hektorze? – zapytała. – Pytam o niego codziennie, ale nikt nic nie wie.

– Sytuację w Tracji komplikuje wojna domowa – odparł. – I trudno ocenić prawdziwość informacji, jakie do nas docierają. Ostatnio słyszeliśmy, że Hektor i jego jazda walczą w górach.

– Jak Trakowie mogą walczyć ze sobą przy tak wielkim zagrożeniu ze strony Mykeńczyków? – spytała gniewnie. – To głupota.

– Co wiesz o najnowszej historii Tracji?

– Bardzo mało – przyznała. – Król Eioneus był dobrym władcą i nie było tam wojen. Teraz w kraju wybuchł bunt.

Dios usiadł na sofie i nalał sobie puchar wody.

– Mam ci opowiedzieć o Tracji czy porozmawiamy o weselszych sprawach?

– O sprawach odpowiedniejszych dla kobiecych uszu?

Dios się roześmiał.

– Nie jesteś taka jak większość kobiet i nie dam się wciągnąć w tę jaskinię skorpionów.

– Zatem opowiedz mi o Tracji.

– Ten problem ma podłoże plemienne i historyczne – rzekł. – Trackie ziemie zamieszkuje kilka plemion, lecz najliczniejsze to Kikones i Idonoi. Jeszcze nie było cię na tym świecie, gdy Eioneus – kikoneski król – podbił wschodnie plemiona Idonoi i wcielił je do wielkiej trackiej federacji. Aby to osiągnąć, zabił tysiące ludzi. Większość przywódców Idonoi stracono i wymordowano cały królewski ród. Eioneus osładzał swoje okrucieństwa wielkodusznością wobec zdobytych miast, pozwalając im na samodzielność. Ponadto utworzył zyskowne szlaki handlowe, które przynosiły bogactwa Idonoi, i zapewnił sobie w ten sposób niełatwy pokój, który trwał przez kilkadziesiąt lat. Jednak śmierć Eioneusa w Troi podczas igrzysk stała się sygnałem do powrotu starych animozji. Idonoi są teraz popierani

przez Agamemnona i podjudzani przez niego zbuntowali się przeciwko Rhesosowi, usiłując odzyskać ziemie przodków i uwolnić się od dominacji Kikones.

– Którą zastąpi dominacja Mykeńczyków – powiedziała Andromacha.

– Istotnie, lecz trudno zapomnieć o starych urazach.

– Hektor pochlebnie wyrażał się o Rhesosie – powiedziała Andromacha. – We dwóch z pewnością odniosą zwycięstwo?

Dios się zastanowił.

– Rhesos to dobry młodzieniec i byłby dobrym królem, gdyby lud mu na to pozwolił. Jednak nawet bez cudzoziemskich agitatorów i mykeńskich posiłków tę wojnę domową trudno byłoby wygrać. A przy nieprzyjacielskich oddziałach nieustannie przybywających z Tesalii i Macedonii sytuacja jest fatalna. Wróg ma pięciokrotną przewagę liczebną nad wojskami wiernymi królowi.

Hektor chce, żeby Rhesos utrzymał równiny Tracji i ziemie na wschód od rzeki Nestos jako strefę buforową między Mykeńczykami a Hellespontem. Jednak staje się to wprost niemożliwe.

– Hektor jest znany z umiejętności dokonywania rzeczy niemożliwych – przypomniała.

– Istotnie. Jednak smutna prawda wygląda tak, że Hektor może wygrać tuzin bitew i nadal nie wygrać wojny, podczas gdy jedna jego przegrana spowoduje upadek Tracji. – Uśmiechnął się i znów uderzyło ją jego podobieństwo do Helikaona. Ich ojcowie byli kuzynami i w ich żyłach płynęła krew Ilosa. Wspomniawszy o Helikaonie, pomyślała o śpiącym dziecku, a Dios, jakby czytając w jej myślach, rzekł: – A teraz porozmawiajmy o weselszych sprawach. Jak się ma chłopiec?

– Chodź i sam zobacz – odparła.

Razem weszli do pokoju Astianaksa, gdzie rudowłosy chłopczyk zbudził się i wiercił, chcąc się bawić. Nagi, ześlizgnął się z łóżeczka, ominął młodą nianię i wybiegł na taras, machając pulchnymi rączkami i przebierając nóżkami.

Piastunka daremnie próbowała go przywołać.

– Astianaksie! – rzucił stanowczo Dios.

Słyszając głęboki męski głos, Astianaks natychmiast przystanął i odwróciwszy się, spojrzał na wuja. Otworzył usta i z podziwem patrzył na Diosa.

Ten podniósł go i podrzucił. Chłopiec zagulgotał i pisnął z zachwytem, aż zadzwoniło im w uszach. Niemający swoich synów Dios uśmiechnął się na widok radosnej reakcji malca. Kiedy postawił go na podłodze, Astianaks wyciągnął do niego rączki, domagając się

powtórki.

– Odważny malec – powiedział Dios. – Nieodrodny syn swego ojca.

Zaczął znów podrzucać chłopca. Obserwując ich hałaśliwą zabawę, Andromacha nie zauważyła, kiedy na taras cicho weszła Kasandra. Spostrzegłszy dziewczynę, odwróciła się do niej z uśmiechem. Kasandra stała z rękami założonymi za plecami, jak zwykle z twarzą na pół zasłoniętą przez długie czarne włosy. Miała na sobie zgrzebną ciemną szatę i bose stopy.

– Kasandro, dawno cię nie widziałam. Chciałaś ze mną porozmawiać?

Dios postawił chłopca i podszedł, by uściskać siostrę, lecz ta odsunęła się i skryła w cieniu.

– Próbowalaś powstrzymać mnie przed podróżą na Terę – powiedziała drżącym głosem do Andromachy, ignorując Diosą i malca.

– Tylko na razie, dopóki trwa wojna – odparła Andromacha. – Kiedy na Wielkiej Zieleni znów będzie bezpiecznie, mogłabyś popłynąć na Błogosławioną Wyspę, gdybyś chciała. Jeszcze jest mnóstwo czasu. Masz dopiero czternaście lat.

– Nie ma czasu – odrzekła gniewnie dziewczyna. – Muszę tam popłynąć. Nie mam innego wyjścia. Ojciec ma rację, Andromacho – zawsze wtrącasz się w sprawy innych ludzi. Dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju?

– Ja tylko chciałam, żebyś była bezpieczna, siostro – powiedziała Andromacha.

Kasandra wyprostowała się i kiedy znów przemówiła, jej głos nie był już tak piskliwy.

– Nie możesz zapewnić innym bezpieczeństwa, Andromacho – powiedziała łagodnie.

– Czy ostatnie lata niczego cię nie nauczyły? Nie zdołałaś ocalić Laodike i Kaliope. Nie możesz uchronić syna przed złem tego świata. – Wskazała na chłopca, który stał spokojnie, patrząc na nią szeroko otwartymi oczami. – Nie możesz zapewnić bezpieczeństwa jego ojcu na Wielkiej Zieleni.

– Nie, nie mogę – odparła ze smutkiem Andromacha. – Jednak próbuję ratować tych, których kocham. A ciebie kocham, Kasandro.

Dziewczyna zmrużyła oczy.

– Matka mówi mi, że ją też kochałaś.

Potem odwróciła się na pięcie i odeszła.

XXVIII. TROJAŃSKA JAZDA

Od Rodopów wiał chłodny wietrzyk, falując trawami trackich równin i szepcząc w koronach drzew rosnących na wysokich wzgórzach za nimi.

Ukryty za linią drzew, Banokles siedział na koniu i czekał, razem z tysiącem innych jeźdźców trojańskiej konnicy. Na równinie w dole piętnaście setek trojańskich żołnierzy zdawało się przygotowywać miejsce pod południowy postój, szykując się do rozpalenia ognisk.

Towarzyszyło im trzystu trackich jeźdźców i około dwustu łuczników. Banokles nie interesował się strategią. Nieprzyjaciel wpadnie w pułapkę albo nie. Dla potężnego wojownika nie miało to znaczenia. Jeśli nie dziś, to zmiażdżą buntowników jutro. Albo pojutrze.

Spojrzał na wojownika po lewej, szczupłego i żółtowołosego Skorpiosa. Ten zdjął hełm. Był nienaturalnie blady i twarz lśniła mu od potu. Banokles popatrzył na innych. Wszędzie widział oznaki zdenerwowania i obawy. Nie mógł tego pojąć. Jesteśmy trojańską jazdą, pomyślał. Nie przegrywamy bitew. A Skorpios jest dobrym wojownikiem i wspaniałym jeźdźcą. Skąd więc to zdenerwowanie?

Była to dla niego zagadka, a Banokles nie lubił zagadek. Tak więc stanowczo zabronił sobie myśleć o Skorpiosie. Były ważniejsze rzeczy.

Przede wszystkim był głodny. Wozy z zaopatrzeniem nie dotarły i nie dostali śniadania. Banokles uważał to za niedopuszczalne. Od nikogo nie można żądać, by walczył bez śniadania.

Wozy, które wjechały na wysoką przełęcz, przywiozły zapasowe miecze i dostawę strzał. Co, choć z zadowoleniem przyjęte przez żołnierzy, których ostrza stępiły się w bitwach przez kilka ostatnich tygodni, było rozczarowaniem dla Banoklesa. Skończyły się zapasy sera oraz suszonego mięsa i żołnierze nie jedli niczego prócz zbożowych płatków namoczonych w wodzie.

Swędziało go pod pachą. To było szczególnie denerwujące, gdyż zbroje noszone przez trojańskich jeźdźców były rozbudowane i złożone z zachodzących na siebie krążków brązu, które niczym rybie łuski okrywały pierś, brzuch i część szyi. Nie dało się sięgnąć za pazuchę i podrapać.

Koń Banoklesa zatańczył nerwowo i podrzucił łbem. Wojownik machinalnie poklepał

go po czarnym karku.

– Spokojnie, Zadopyski – powiedział.

– Na bogów, dlaczego nie nadchodzą? – spytał inny zdenerwowany wojownik po jego prawej, mocno zbudowany, z równo przystrzyżoną, rozwidloną brodą. Justinos zdjął hełm, po czym wyjął z pasa szmatę i otarł sobie pot z ogolonej głowy. Banokles nie wiedział, co mu powiedzieć. Na Hades, skąd miał wiedzieć, dlaczego wróg nie nadchodzi? – Nienawidzę tego przeklętego czekania – dodał Justinos.

– Powinniśmy dostać lepsze śniadanie – powiedział Banokles.

– Co?

– Po tych płatkach człowiek cały dzień pierdzi. Przed walką czerwone mięso. Tak powinno być.

Justinos gapił się na niego przez chwilę, po czym założył hełm i odwrócił się.

Patrząc wzdłuż rzędu jeźdźców, Banokles zobaczył Kalliadesa, który zsiadł z konia i podszedł do wysokiego drzewa. Zdjął pas z mieczem i hełm, po czym wspiął się na drzewo, chcąc lepiej zobaczyć północne stoki. Minęło wiele dni, od kiedy ostatnio rozmawiali, a nawet wtedy zamienili tylko kilka słów na temat popasu. Kalliades był teraz oficerem i rzadko rozmawiał z ludźmi. Nawet na weselu Banoklesa, które odbyło się na wiosnę, sprawiał wrażenie nieobecnego i dalekiego.

Nie doszedł do siebie po śmierci Pirii. Tak powiedziała Ruda. Kalliades zamknął się w sobie.

Banokles nie rozumiał tego. Jego też zasmuciła śmierć tej dziewczyny, a jednocześnie cieszył się, że uszedł z życiem z potyczki. Hektor nagroził ich złotem i przyjął do trojańskiej jazdy. Za to złoto Banokles kupił domek i namówił Rudą, żeby za niego wyszła. Zajęło mu to trochę czasu.

– Po co miałabym to robić, idioto? Tylko pojechałbyś gdzieś i dał się zabić. Jednak przezwyciężył jej opór i wesele było wspaniałe.

Banokles sprawdził, czy jego szabla gładko wysuwa się z pochwy. Kalliades zszedł z drzewa i powiedział coś do swego adiutanta. Wzdłuż szeregu przekazano sobie wieść.

– Nadchodzą.

Banokles pochylił się, usiłując dojrzeć coś między drzewami. Zobaczył dolne zbocza Rodopów, ale na razie nie dostrzegł nieprzyjacielskiej piechoty. Na równinie trojańscy żołnierze pośpiesznie formowali bojowy szyk, wpadając na siebie w udawanym przestraszu. Zobaczył Hektora jadącego na białym koniu wzdłuż szeregu, w zbroi z brązu i złota, lśniącej w popołudniowym słońcu.

– Myślisz, że teraz dotrą do nas wozy z zaopatrzeniem? – zapytał Banokles Skorpiosa. Jasnowłosy wojownik znieruchomiał, a potem odwrócił się i spojrział na niego.

– Skąd mam wiedzieć? I czemu miałbym się tym przejmować? – odparł. – Lada chwila zacznie się krwawy bój.

Banokles wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Jednak potem będziemy musieli coś zjeść.

Przez lukę między drzewami Banokles zobaczył pierwsze szeregi wroga wchodzące w pole widzenia. Wśród buntowników było kilku wojowników w pełnych zbrojach i z wysokimi tarczami, lecz większość miała tylko napierśniki ze skóry lub grubego lnu. Nosili wielobarwne stroje – jaskrawożółte i zielone płaszcze oraz pasiaste spodnie. Wielu miało twarze pomalowane w szkarłatne i niebieskie pasy. Byli uzbrojeni we włócznie i topory, choć niektórzy trzymali obosieczne miecze o ostrzach długich jak męska noga.

Z przeciągłym okrzykiem rzucili się na Trojańczyków. Hektor zsiadł z konia i stał z tarczą pośrodku pierwszego szeregu.

Horda buntowników wypadła na otwartą przestrzeń i Banokles pośpiesznie policzył. Tamci mieli co najmniej dziesięciokrotną przewagę nad trojańskimi żołnierzami. Dwadzieścia tysięcy wojowników gnało po równinie, wznosząc bojowe okrzyki.

Grad strzał spadł na atakujących, lecz nie spowolnił natarcia.

Trojańczycy w pierwszym szeregu zwarli szyk, nastawiając tarcze i włócznie. Na moment przed tym, nim wrogowie ich dopadli, trojańscy weterani wyszli im naprzeciw. Las tłumiał odgłosy walki. Banokles wziął w lewą dłoń wodze, a prawą ścisnął drzewce ciężkiej lancy.

– Stępa! – krzyknął Kalliades.

Tysiąc jeźdźców popędziło wierzchowce naprzód. Banokles pochylił głowę pod nisko zwieszoną gałęzią i poprowadził czarnego konia między drzewami. Jasne słońce oświetliło zbrojnych jeźdźców, gdy wypadli z lasu.

Buntownicy jeszcze ich nie dostrzegli, ale niebawem mieli usłyszeć.

– Zwartym szykiem!

Banokles popędził konia do galopu i po zboczu przetoczył się grzmiący stukot kopyt.

Wojownik zmienił chwyt, opierając drzewce lancy o łokieć, a jej grot kierując naprzód i nieco w dół. Jego rumak pędził galopem. Banokles zobaczył, jak buntownicy na skrzydle odwracają się ku atakującym. Był już na tyle blisko, aby ujrzeć paniczny strach na ich twarzach.

W następnej chwili trojańska jazda spadła na horde. Banokles przeszył lancą pierś

potężnie zbudowanego wojownika. Ten poleciał do tyłu, lecz Banokles stracił lancę, która uwięzła w ciele zabitego. Dobył szabli i ciał, rozbijając czaszkę następnego buntownika. Wokół panował chaos, a powietrze rozdzierały krzyki rannych i umierających. Banokles popędził swego rumaka i wjechał jeszcze głębiej w szeregi wroga. Ostrze topora trafiło w szyję wierzchowca i koń padł.

Banokles zeskoczył i rzucił się na topornika. Nie miał czasu użyć szabli, więc uderzył bykiem i tamten poleciał w tył. Inny wojownik próbował pchnąć Banoklesa mieczem, lecz ten odbił cios i uderzeniem na odlew rozplątał mu gardło. Justinos wpadł w gromadę napastników, rozpraszając ich. Inni jeźdźcy nadjechali za nim. Banokles zobaczył konia bez jeźdźca i próbował go złapać.

Prawie go miał, lecz wierzchowiec stanął dęba i uciekł mu galopem. Dwaj buntownicy rzucili się na Banoklesa. Pierwszy zamachnął się toporem i wojownik próbował osłonić się szablą. Ostrze pękło. Rzucił ułamkiem w drugiego napastnika, który uskoczył. Pierwszy znów zamachnął się toporem. Banokles dopadł go, złapał rękojeść topora i uderzył przeciwnika bykiem w twarz.

Tamten upadł, wypuszczając topór. Banokles go podniósł i z przeraźliwym krzykiem skoczył na drugiego wojownika. Ten przeraził się i rzucił do ucieczki. Skorpios wyrósł jak spod ziemi i wbił mu lancę w plecy.

Banokles podbiegł do poległego jeźdźca. Rzucił topór, złapał jego szablę i ponownie skoczył w wir walki, tnąc, siekąc i kłując. Wrogowie byli odważni i nieustępliwi, ale brakowało im wyszkolenia. Każdy z nich walczył w pojedynkę, szukając miejsca, by zamachnąć się długim mieczem czy toporem albo pchnąć włócznią. Jednak doskonale zorganizowana armia weteranów zepchnęła ich w tył i ścisnęła na niewielkiej przestrzeni. Rozpaczliwie szukając miejsca, by móc walczyć, wojownicy próbowali wybiegać na otwartą przestrzeń, a tam natychmiast zabijali ich trojańscy jeźdźcy. Banokles wiedział, co zaraz nastąpi. Widział to już wiele razy. Horda poszła w rozsypkę, jak rozbity na kawałki talerz. Nie napotykając już zorganizowanego oporu, okryci zbrojami jeźdźcy runęli w powstające wyrwy i zaczęła się rzeź. Tracący buntownicy wpadli w panikę i rzucili się do ucieczki. Jeźdźcy ścigali ich, dopędzali i zabijali.

Spieszony Banokles pozostał na miejscu. Podszedł do niego Hektor. Hełm i napierśnik miał czerwone od rozbryzganej krwi, a prawą rękę zbroczoną od przegubu po łokieć.

– Jesteś ranny? – zapytał.

– Nie.

– No to pomóż rannym – powiedział potężny wojownik, mijając go.

– Widziałeś może wozy z zaopatrzeniem? – zawołał za nim Banokles.

Hektor zignorował pytanie.

Banokles wytarł szablę i schował ją do pochwy. Potem rozejrzał się po poboju.

Zwycięstwo było miażdżące, ale straty poważne. Prawie do zmroku pomagał żołnierzom i noszowym, przenosząc co najmniej setkę ciał. Nie mniej niż czterystu Trojańczyków poległo tego dnia. Fakt, że buntowników zabito tysiące, miał niewielkie znaczenie. Następne tysiące czekały, by zająć ich miejsce. Zabitym Trojańczykom zabrano broje i broń i żołnierze się zebraли, by wymienić połamane miecze, rozbite hełmy lub zniszczone napierśniki. Banokles dostał krótki miecz w ozdobnej pochwie. Szabla była dobrą bronią do walki z końskiego grzbietu, lecz do walki pieszo lepszy był porządny miecz.

Nieco na prawo zobaczył grupkę trackich jeńców przesłuchiwaną przez trojańskich oficerów, wśród których był Kalliaades. Banokles przyglądał się temu i choć nie słyszał, co mówili, patrząc na zacięte twarze schwytych, wiedział, że niewiele się od nich dowiedziano.

Hektor nie pozwalał torturować jeńców, co wydawało się Banoklesowi skrajną głupotą.

Większość ludzi powie ci wszystko, co chcesz wiedzieć, jeśli włożysz im ręce do ogniska. Jak taki wielki wojownik jak Hektor mógł być takim mięczakiem? A przecież Banokles widział, jak wpada on niczym rozwścieczony lew w szeregi wroga. Myśli generałów i książąt pozostawały dla Banoklesa zagadką.

Wozy z zaopatrzeniem przybyły tuż po zmroku i Banokles dołączył do grupki siedzących przy ognisku wojowników. Byli tam łysy Justionos i Skorpios z długimi jasnymi włosami związanymi w koński ogon opadający mu między chude łopatki. Trzech innych Banokles nie znał, a ostatnim był szczupły i przygarbiony jeździec imieniem Ursos. On i Banokles szkolili się razem w Troi.

– Następne zwycięstwo – rzekł Ursos, gdy Banokles usiadł przy nim. – Zaczynam już tracić rachubę.

– Ja straciłem konia – narzekał Banokles. – Stary Zadopyski był dobrym wierzchowcem.

– Może to jego tu gotujemy – mruknął Ursos. – Na wozach nie było mięsa, tylko te przeklęte płatki.

Gdy tak rozmawiali, do obozu wpadł galopem jeździec. Ludzie rozpierchli się przed nim.

Przybyły ściągnął wodze, zatrzymując rumaka w pobliżu miejsca, gdzie Hektor

siedział z oficerami. Zeskoczył z konia.

– To wygląda na coś ważnego – rzekł Ursos, wstając, po czym podszedł bliżej, żeby posłuchać.

Banokles został na swoim miejscu. Noc była chłodna, ognisko ciepłe, a zapach mięsa upajający. Ursos wrócił po chwili i usiadł.

– No cóż – powiedział. – To pozbawia dzisiejsze zwycięstwo wszelkiej wartości.

– Dlaczego? – spytał Banokles.

– Achilles z całą tesalską armią najechał i zdobył Ksanthi. Rhesos musiał się wycofać w góry, do Kalliros. Co chyba jeszcze gorsze, Odyseusz wziął Ismaros i galery wroga przecięły morskie szlaki.

– To nie brzmi dobrze – przyznał Banokles.

Ursos spojrzał na niego.

– Nie masz pojęcia, gdzie leżą te miasta ani dlaczego są takie ważne?

Banokles wzruszył ramionami.

– Miasta nasze albo wroga. Tylko tyle musze, wiedzieć.

Ursos pokręcił głową.

– Ksanthi strzegło rzeki Nestos. Nasze statki z zaopatrzeniem przyływały nią aż do starej stolicy Kalliros. Skoro Ksanthi padło, nie będzie dostaw. A jeśli padnie też Kalliros, będziemy mieli wrogie armie z trzech stron. Od północy, południa i od wschodu.

– I rozbijemy je wszystkie – rzekł Banokles.

– Podziwiam twój optymizm. Jednak rozpoczęliśmy kampanię, mając osiem tysięcy żołnierzy. Teraz mamy trzy tysiące. A wróg z każdym dniem rośnie w siłę, Banoklesie. Jeśli Ismaros wpadło w ręce wroga, morze należy do Odyseusza. Jego flota może popłynąć do Karpei i zatopić nasze barki. Wtedy nie zdołamy wrócić do domu.

Banokles nie miał ochoty się spierać. Już zdążył zapomnieć nazwy tych miast, które tak dokładnie opisał Ursos. Wystarczało mu to, że wygrali bitwę, zjedli porządną wieczerzę i dowodził nimi Hektor, największy wódz wokół Wielkiej Zieleni. Będą walczyć i zwyciężą.

Albo będą walczyć i przegrają. Tak czy inaczej, Banokles nie miał na to wpływu, więc wstał i poszedł do ogniska po następny kawał koniny.

Przesłuchanie jeńców nie przyniosło niczego, o czym Kalliades już by nie wiedział. Ci ludzie należeli do plemienia Idonoi i pochodzili z miast na dalekim zachodzie. Klęska powstrzyma ich na jakiś czas, ale nie zakończy buntu.

Odszedł od jeńców i stanął, patrząc na Rodopy. Na szczytach wciąż leżał śnieg i zbierały się czarne chmury.

Ile bitew zdołają jeszcze wygrać? Dziś poległo czterystu dziesięciu żołnierzy, a ponad dwustu odniosło rany, które na pewien czas wyłączały ich z walki. Co do pozostałych, mało który nie odniósł żadnych obrażeń, od siniaków przez zwichnięcia po wstrząśnienia mózgu i złamania palców rąk lub nóg.

Zachodnia Tracja oraz ziemie Idonoi były stracone i już nie da się ich odzyskać. Za pasmem Rodopów rozpościerały się ziemie zbuntowanych plemion. Na południu tylko rzeka Nestos i cytadela w Kalliros powstrzymywały wroga przed zajęciem wschodniej Tracji i odcięciem Trojańczyków. A teraz Achilles zajął Ksanthi.

Zimny wiatr powiał z ośnieżonych szczytów i załopotał płaszczem Kalliadesa. Kiedy Hektor przed rokiem dał mu go w prezencie, płaszcz miał barwę podświetlonej słońcem chmury. Teraz był bury i poplamiony zaschniętą krwią. Adiutant przyniósł mu talerz z mięsem. Kalliades podziękował i odszedł na bok, żeby usiąść pod drzewem. Nie miał apetytu i jadł machinalnie.

Nieopodal zobaczył siedzącego przy ognisku Banoklesa, rozmawiającego z przysadzistym Ursosem. Kalliadesowi brakowało towarzystwa ogromnego wojownika. Pomyślał o Pirii i westchnął. Minęły trzy lata, a on wciąż widział jej twarz. Nadal nie otrząsnął się z żalu po jej śmierci i wiedział, że już nigdy nie weźmie na siebie takiego brzemienia. Doszedł do wniosku, że lepiej nie kochać i unikać przyjaźni.

Podjął tę decyzję na weselu Banoklesa. Stał pod murem ogrodu, patrząc na tańczących i słuchając pijackich śmiechów. Banokles szalał, pijany i szczęśliwy, a Duża Ruda obserwowała go z czułością. Kalliades nagle poczuł się jak duch, samotny i bezcielesny. Radosny nastrój omijał go, pozostawiając obojętnym. Przez chwilę stał spokojnie, a potem wymknął się i poszedł szerokimi ulicami Troi. Zaczepiła go dziwka, chuda kobieta o żółtych włosach. Kalliades pozwolił się jej zaprowadzić do domu pachnącego tanimi perfumami. Jak we śnie zdjął ubranie i poszedł z nią do łóżka. Ona nie zdjęła żółtej sukni, tylko ją zadarła, żeby mógł w nią wejść.

W pewnej chwili szepnęła: „Piria!”

– Tak – powiedziała dziwka. – Jestem Piria.

Jednak nią nie była i Kalliades zalał się łzami, szlochając. Nie płakał od czasu, gdy był dzieckiem i siedział przy zabitej siostrze. Dzwinka odeszła od niego i usłyszał, że nalewa sobie wina. Usiłował powstrzymać potok łez, ale nie wiedział jak.

W końcu dziwka pochyliła się nad nim.

– Musisz już iść – powiedziała.

Jej brak współczucia pomógł mu się opanować. Sięgnął do sakiewki, wyjął garść

miedzianych pierścieni i rzucił na łóżko. Potem ubrał się i wyszedł na zalaną słońcem ulicę.

Teraz, siedząc na pniu przewróconego drzewa, usłyszał kroki. Odwrócił się i zobaczył Hektora. Księżę niósł dwa kubki z rozcieńczonym winem i podał jeden Kalliadesowi, zanim usiadł obok niego.

– Zimna noc – powiedział. – Czasem zdaje mi się, że w tych górach nigdy nie ma lata. Jakby skały zatrzymywały w sobie zimę.

– Po bitwie zawsze robi się zimno – odparł Kalliades. – Chociaż nie mam pojęcia dlaczego.

– Ja też nie. Jednak wydaje mi się to właściwe. Rozumiem, że jeńcy Idonoi niczego nie wyjawili?

– Nie. I niczego innego nie oczekiwałem. Kiedy zrozumieli, że nie grożą im tortury, natychmiast odzyskali odwagę.

Hektor uśmiechnął się ze znużeniem.

– Nie ty jeden domagasz się tortur, Kalliadesie. Wielu moich oficerów żąda surowszego traktowania jeńców.

– Mają rację. O ile pamiętam, w zeszłym roku znaleźliśmy jednego z naszych zwiadowców z uciętymi rękami i wyłupionymi oczami. Zasady, które nam narzucasz, drogo nas kosztują.

– Owszem, masz rację – przyznał Hektor. – Jednak nie pozwolę, by nieprzyjacieli narzucał mi swoje odrażające metody postępowania. Generałowie nie są w stanie wejść dalej niż poza wydarzenia dzisiejszego dnia lub tego roku. Jak sądzisz, dlaczego bunt wybuchł z taką siłą?

– Powodem jest śmierć króla Eioneusa – odparł Kalliades – który spadł z konia podczas igrzysk.

– Nie spadł – rzekł Hektor. – Został trafiony kamieniem przez procarza opłaconego przez Agamemnona. Jednak jego śmierć nie jest jedynym powodem tego, że tutaj walczymy. Kiedy przed ponad dwudziestoma laty Eioneus najechał i podbił ziemie Idonoi, wymordował wszystkich z królewskiego rodu – mężczyzn, kobiety i dzieci. Podbijał miasta i ucinał prawe dłonie tym, którzy stawiali opór. Innych kazał oślepić. Podporządkował sobie lud takim właśnie potwornym okrucieństwem.

– I zwyciężył – przypomniał Kalliades. – Zjednoczył plemiona.

– Tak, zwyciężył. Jednak zasiał ziarno tego powstania. Nie ma rodziny Idonoi, która nie miałaby swojego męczennika, krewnego, który strasznie ucierpiał. Dzieci Idonoi dorastały, żywiąc głęboką nienawiść do plemienia Kikones. Właśnie dlatego Agamemnonowi

tak łatwo było wzniecić tu bunt. Pewnego dnia, mam nadzieję niedługo, Troja będzie musiała zawrzeć traktaty z Idonoi, którzy być może staną się naszymi sojusznikami. Będziemy musieli się zaprzyjaźnić. Dlatego nie pójdę ścieżką wydeptaną przez Eioneusa. Nikt nie powie, że Trojańczycy mordowali dzieci lub gwałcili żony czy matki. Żaden ślepiec nie powie swoim synom: „Spójrzcie, co uczynili mi ci źli ludzie!”

Kalliades spojrzał na księcia.

– Mylisz się, Hektorze. Ta wojna może się skończyć dwojako. Albo Agamemnon zatriumfuje i Troja legnie w gruzach i zgliszczach albo my zniszczymy Agamemnona i jego sojuszników. Jeśli torturując jeńca, poznamy plany nieprzyjaciela, będziemy mieli większe szanse go pokonać. To proste.

– Nic nie jest proste – zaprzeczył Hektor. – Za sto lat jakie znaczenie będą miały dzisiejsze zwycięstwo lub klęska?

Kalliades był zbity z tropu.

– Nie wiem, o co ci chodzi. Za sto lat nas już tu nie będzie.

– Tak. Jednak będą Kikones i Idonoi, i Mykeńczycy, i – miejmy nadzieję – Trojańczycy. Wtedy będzie miało znaczenie to, co robimy tu teraz. Czy nadal będziemy się nienawidzić i pragnąć zemsty za zbrodnie przeszłości? Czy też będziemy żyli w pokoju jako sąsiedzi i przyjaciele?

– Nie obchodzi mnie, co będzie za sto lat! – wybuchnął Kalliades. – Jesteśmy tu teraz. Walczymy teraz. I przegrywamy, Hektorze.

Hektor dopił wino i westchnął.

– Tak, przegrywamy. Myślisz, że torturując paru więźniów, to zmienimy? Skoro padło Ismaros, wróg zajmie całe wybrzeże, odcinając nas. Bez posiłków, dostaw żywności i nowej broni możemy zostać zmiażdżeni. Jako dowódca wiem, że powinniśmy natychmiast wracać do Karpei i na barki, żeby przepłynąć do Dardanii. Tracja jest stracona i powinniśmy ocalić armię. Jednak jako Hektor syn Priama nie mogę posłuchać własnej rady. Ojciec kazał mi pokonać wszystkich wrogów i ponownie osadzić Rhesosa na tronie zjednoczonej Tracji.

– Teraz jest to niemożliwe – rzekł Kalliades.

– Tak, zapewne. Jednak dopóki klęska nie jest nieunikniona, Kalliadesie, muszę tu pozostać. Pojadę do Kalliros i wesprę młodego króla. Przy odrobinie szczęścia pokonamy Tesalczyków Achillesa i zbierzemy nowe siły, żeby odbić Ksanthi.

– Wiesz, że nie zdołamy – powiedział Kalliades. – W najlepszym razie powstrzymamy ich na kilka miesięcy.

– W ciągu tych kilku miesięcy wszystko może się zdarzyć. Gwałtowne jesienne

deszcze mogą spowolnić ich dostawy i otworzyć przed nami morze. Ostra zima może podkopać morale oblegających. Priam może zawrzeć pokój z Agamemnonem.

Kalliades pokręcił głową.

– To ostatnie na pewno się nie zdarzy. Masz rację, Hektorze, jesteśmy żołnierzami i musimy spełnić nasz obowiązek. Jednak te rozkazy teraz nie mają sensu. Zostały wydane, kiedy były nadzieje na sukces. Jeśli będziemy je ślepo wykonywać, czeka nas zguba.

– Tak – przyznał Hektor. – Zatem jedziesz tam ze mną, Kalliadesie.

– Wszyscy jedziemy z tobą, Hektorze. Po zwycięstwo lub klęskę.

XXIX. SIEROTY W LESIE

Przez sześć dni armia Hektora podążała na południe przez Rodopy. Pochód był powolny i pełen niebezpieczeństw. Gdzieś za nimi maszerowały wojska Idonoi, szukając ich. Przed nimi płynęła szeroka rzeka Nestos, nad którą tesalskie oddziały i druga armia Idonoi oblegały króla Rhesosa w Kalliros. Wszyscy wiedzieli, że gdy tylko dotrą do miasta, czeka ich następna bitwa.

Trojańskie oddziały nie otrzymywały teraz dostaw. Żywność racjonowano i grupy myśliwych codziennie szukały jeleni i innej zwierzyny. Nawet jeśli im się udawało, zdobycz była żałośnie niewystarczająca dla trzech tysięcy zbrojnych.

Banokles na nowym wierzchowcu, nakrapianym siwku o złośliwym wejrzeniu, jechał z Ursosem i dwudziestoma innymi w szpicy, wypatrując nieprzyjacielskich oddziałów. Jeźdźcy zostawili długie lance i byli uzbrojeni we frygijskie łuki oraz szable. Rozkazy były wyraźne.

Unikać bezpośredniej walki i na widok wroga przysłać gońca z wiadomością.

Ursosowi powierzono dowodzenie oddziałem i odpowiedzialność wyraźnie mu ciążyła.

Nastroju nie poprawiał mu Banokles, nieustannie tytułując go generałem, co szybko podchwycili pozostali jeźdźcy.

Po południu młody jeździec imieniem Olganos zauważył w gęstwinie dziką świnię. Razem z Justinosem i Skorpiosem rzucili się w pościg. Ursos zarządził postój na czas polowania i pozostali jeźdźcy wjechali w kępę drzew i zsiadli z koni. Nie widzieli śladu oddziałów wroga, chociaż wcześniej tego dnia napotkali kilku drwali ścinających drzewa nad rzeką. Należeli do plemienia Kikones i powiedzieli Ursosowi, że dwa dni wcześniej musieli ukryć się przed patrolem Idonoi.

Olganos i myśliwi wrócili zadowoleni, niosąc zabity świnię. Była chuda i koścista, ale wypatroszyli ją i poćwiartowali, rozpalili ognisko i usiedli przy nim, czekając, aż mięso się upiecze.

Banokles poszedł na skraj zagajnika i usiadł, spoglądając na południe. Była to zielona i żyzna kraina, pełna niewysokich pagórków i porośniętych lasami dolin. Dobra ziemia, pomyślał. Nie jak na nędznej farmie, na której się wychował, a z której jego rodzina ledwie mogła wyżyć, wiecznie głodując. Wyobraził sobie dom na zboczu poniżej. W pobliżu płynął

strumyk. Chłodna woda w lecie, łagodny wietrzyk wiejący wśród drzew. Można by hodować konie lub świnie czy owce. Może wszystkie naraz. Zastanawiał się, czy Ruda chciałaby zamieszkać w górach, daleko od miasta.

Nagle zauważył dym na horyzoncie, kłęby unoszące się za odległymi wzgórzami.

Wstał i zawołał Ursosa. Dowódca oddziału przyszedł i stanął obok niego, w milczeniu patrząc na dym.

– Myślisz, że to pożar lasu? – zapytał w końcu. Banokles wzruszył ramionami.

– Możliwe. Nie wiem, co jest za tymi wzgórzami.

Inni zebrali się przy nich. Olganos, młodzieniec o jastrzębim nosie i kręconych czarnych włosach, wyraził obawy wszystkich.

– Według trackich zwiadowców jutro powinniśmy dotrzeć do Kalliros. A jeśli to płonie miasto?

– Nie mów tak! – syknął Ursos. – Jeśli Kalliros padło, wszyscy jesteście martwi.

– Mów za siebie, generale – warknął Banokles. – Ja obiecałem Rudej, że wrócę, i żaden owcojebca Idonoi mnie nie powstrzyma. Ani żaden inny owcojebny bękart z jakiegokolwiek innego owcojebnego kraju.

– Oto umysł filozofa i język poety – rzekł z uśmiechem Olganos. – Czy twoim talentom nie ma końca?

Banokles nie odpowiedział. Dym na horyzoncie popsuł mu humor.

Wróciwszy między drzewa, żołnierze zjedli swoje porcje pieczonej świniny, po czym dosiedli koni i pojechali dalej na południe.

Jechali ostrożnie, w luźnym szyku, gdyż teren był usiany nieckami, parowami i kępami drzew, w których mogli się ukrywać nieprzyjacielscy wojownicy. Kilku jeźdźców trzymało łuki w dłoniach i strzały na cięciwach. Banokles, który nie był wprawnym łucznikiem, zachowywał czujność, gotowy rzucić się do ataku lub ucieczki.

Zmierzchało już, gdy wjechali na ostatnie wzgórze. Ursos kazał im się zatrzymać poniżej wierzchołka. Zsiedli z koni i ostrożnie podeszli do grzbietu. Spełniły się ich najgorsze obawy.

W dole stało w płomieniach warowne miasto Kalliros i widzieli rojących się pod murami wojowników wynoszących łupy. Przy wielkim ognisku Banokles zobaczył grupę żołnierzy z długimi włóczniami, na których tkwiły ponabijane głowy. Tę ponurą scenę oglądały rozradowane tłumy, potrząsające mieczami. Banokles spojrzał na otwartą przestrzeń pod wschodnim murem. W polu widzenia były tam tysiące wojowników. Znacznie więcej znajdowało się w mieście i obozowało pod zachodnim murem – tych stąd nie widział. Na

rzece cumowały dziesiątki statków.

Ursos podszedł do Banoklesa.

– Jak sądzisz, ilu żołnierzy?

Ten wzruszył ramionami.

– Od dziesięciu do piętnastu tysięcy. Wielu z nich to nie Idonoi. Niepomalowani. Nie noszą spodni. Powiedziałbym, że to Tesalczyki lub Macedończycy.

Ursos cicho zaklął.

– Spójrz na rzekę. Przyplływają następne galery. Jeśli zablokują Hellespont, nie wrócimy do domu, nawet jeśli dotrzemy do barek.

– No cóż, nie ma sensu tu siedzieć – rzekł Banokles. – Powinniśmy wracać.

Ursos zdjął hełm i przesunął palcami po długich czarnych włosach.

– Hektor będzie chciał wiedzieć, jak szybko znów wyruszą i w jakim kierunku. Mogą iść na wschód, żeby nas odciąć, lub na północ, żeby spotkać się z nami w górach.

– Albo tam i tam – rzekł przysłuchujący się Olganos.

– Tak. Albo tam i tam.

– A gdzieś za nami jest inna armia Idonoi – przypomniał.

Ursos odwrócił się do Banoklesa.

– Ty zostań tu z pięcioma żołnierzami i patrz, dokąd pomaszeruje nieprzyjaciel. Ja poprowadzę resztę oddziału do Hektora i zatrzymam pochód. Kiedy wróg wyruszy, skierujesz się na północ, żeby jak najszybciej do nas dołączyć.

– Dlaczego ty tu nie zostaniesz? – zapytał Banokles.

– Ponieważ jestem przeklętym generałem – co wciąż mi powtarzasz. Powierzam ci dowodzenie, Banoklesie. Nie rób głupstw. Po prostu zbierz informacje i wracaj, jak tylko będziesz mógł.

– Och, więc nie chcesz, żebyśmy zaatakowali i odbili fortecę?

– Nie, nie chcę. – Ursos westchnął. – Po prostu nie dajcie się zabić. – Potem obrócił się do Olganosa. – Ty też tu zostaniesz jako jego zastępca.

– Zastępca dowódcy pięcioosobowego oddziału? Nie jestem pewien, czy poradzę sobie z taką odpowiedzialnością.

– Ja jestem pewien, że nie – warknął Ursos. – Jednak umiesz szybko myśleć – dodał łagodniej. – I jesteś odważny. Zostawię wam Enniona, Skorpiosa, Justinosa i Kerio. Macie coś przeciwko temu?

Banokles się zastanowił. Kerio był pyskaczem i wichrzycielem, który wciąż go irytował. Jednak był dobrym wojownikiem i łucznikiem.

– Nic, Ursosie – odparł.

– Może wymienisz wierzchowca Enniona – wtrącił Olganos. – Jest starszy i wolniejszy niż pozostałe, a jutro być może trzeba będzie jechać szybko.

– Dobry pomysł – powiedział Banokles. – Zawsze lubię mieć przy sobie kogoś, kto za mnie myśli.

Księżyc stał wysoko na niebie, ale Skorpios nie mógł zasnąć. Miał dosyć bitew i wojny i z całego serca żałował, że uciekł z ojcowskiej farmy, by zaciągnąć się do wojska. Wciąż pamiętał ten słoneczny ranek przed dwoma laty, kiedy dowódca werbowników przybył do osady w błyszczącej zbroi i lśniącym w słońcu hełmie. W tym momencie Skorpios uznał, że to najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego widział w życiu. Oficer zsiadł z konia na placu targowym i zawołał do zebranych tam ludzi:

– Wasz naród toczy wojnę, Trojańczycy. Czy są wśród was herosi?

Skorpios, chociaż wówczas zaledwie czternastoletni, podszedł wraz z innymi i słuchał, jak oficer opowiadał o niegodziwościach Mykeńczyków, którzy nasłali najemnych zabójców na żonę Hektora. Skorpios nigdy nie był w Troi, ale słyszał o potężnym Panu Bitew i jego pani Andromasze, która ustrzeliła z łuku zabójcę, zanim zdążył zamordować króla Priama. Dla Skorpiosa te imiona brzmiały jak imiona bogów i w niemym podziwieniu słuchał, jak żołnierz mówi o złotym mieście i o tym, że dzielni ludzie powinni chwycić za miecze, by go bronić.

W tym wspaniałym dniu takie zajęcia wydało się młodzikowi nieskończenie bardziej atrakcyjne od wypasania bydła, strzyżenia owiec czy ucinania łbów kurom. Oficer powiedział, że tylko mężczyźni w wieku od piętnastu lat mogą się zaciągnąć, lecz Skorpios był wysoki jak na swój wiek i wystąpił wraz z dwudziestoma innymi. Oficer powiedział im, że będą z nich dzielni żołnierze i że jest z nich dumny. Skorpios nigdy nie słyszał, żeby ojciec był z niego dumny.

Przeważnie używał takich słów jak leniwy, niemrawy, niedbały i ladaco.

Dwa lata później słowa oficera straciły swój splendor. Cztery przyjaciele Skorpiosa zostali kalekami, a pięciu innych poległo. Pozostali rozproszyli się po różnych regimentach wciąż stacjonujących w Troi. Szesnastoletni Skorpios był już weteranem zręcznie posługującym się łukiem i mieczem. Dwukrotnie był ranny i teraz codziennie się modlił, by wielka bogini pozwoliła mu wrócić cało na ojcowską farmę, gdzie będzie szczęśliwy, mogąc do końca życia zbierać krowie placki.

Usłyszał ciche pochrapywanie. Usiadł i spojrzał na Banoklesa, który spał pod drzewem. Ten człowiek zupełnie nie znał strachu. Skorpios czuł, że odwaga tego wojownika

powinna dodać mu ducha, lecz w rzeczywistości było wprost przeciwnie. Im spokojniejszy przed bitwą był Banokles, tym bardziej Skorpios trząsał się i widział siebie leżącego z rozprutym brzuchem na poboju.

W świetle księżycy zobaczył siedzącego Justinosa, który leniwie golił szczecinę na głowie nożykiem z brązu. Skorpios rozejrzał się po obozie. Enniona i Olganosa nie było, ale w pobliżu leżał szczupły, rudowłosy Kerio. Skorpios go nie lubił, bo zawsze narzekał, lecz tę niechęć łagodził fakt, że tamten był zręcznym wojownikiem i dobrze było mieć go przy sobie w walce.

Kerio zwinnie wstał, przeszedł kilka kroków i przykucnął w pobliżu Justinosa i Skorpiosa.

– Posłuchajcie, jak chrapie – szepnął pogardliwie. – Jak Ursos mógł zrobić go dowódcą? W domu mam dwa psy mądrzejsze od niego.

Justinos wzruszył ramionami i dalej golił sobie głowę. Skorpios spojrzał na Kerio i pozwolił, by niechęć wzięła górę nad rozważą.

– Widzę jednak, że mówisz to szeptem i tylko wtedy, gdy śpi.

– Chcesz powiedzieć, że jestem tchórzem, ty mały przydupasie?

– On tylko wygłosił słuszną uwagę – powiedział spokojnie Justinos.

– Och, a teraz potrzebuje, żebyś go bronił, co?

Skorpios chciał coś powiedzieć, ale naprawdę bał się Kerio. W tym człowieku, w jego oczach, było coś dziwnego. Tak więc milczał. Justinos skończył się golić, a potem schował nożyk do pochewki przy pasie.

– Wiesz co, Kerio – powiedział obojętnie, znudzonym głosem. – Nigdy cię nie lubiłem. Gdybym miał wybierać, słuchać ciebie czy Banoklesa, zawsze wybrałbym Banoklesa. Prawdę mówiąc, gdybym miał wybrać między tobą a jednym z tych psów, o których mówiłeś, wybrałbym psa.

Teraz Kerio zaniemówił. Rzuciwszy mordercze spojrzenie Skorpiosowi, przeszedł z powrotem przez obóz i usiadł pod drzewem.

– Niedobrze mieć w nim wroga – rzekł Skorpios.

– W ogóle niedobrze mieć wrogów, chłopcze. – Justinos patrzył na niego poważnie. – Widziałem, jak walczysz. Nie masz powodu się go bać.

Skorpios próbował ukryć zmieszanie.

– Nie boję się go.

Justinos wzruszył ramionami i wyciągnął się na trawie. Skorpios westchnął.

– Prawdę mówiąc, boję się. Inaczej jest w bitwie, kiedy atakuje się z towarzyszami.

Jednak z Kerio... bałbym się zasnąć, żeby nie poderżnął mi gardła.

Justinos kiwnął głową.

– Wiem, co masz na myśli, ale nie wierzę, żeby Kerio był zły. Po prostu jest porywczy. Tak naprawdę jest równie przestraszony jak my wszyscy. Ten kraj to dla nas śmiertelna pułapka.

– Ty jesteś przestraszony?

– Och, tak.

– A Banokles? Myślisz, że on też?

Justinos uśmiechnął się.

– Znasz te opowieści równie dobrze jak ja. Wybawił księżniczkę z rąk piratów, obronił panią Andromachę przed najemnymi mordercami. Już to czyni go kimś szczególnym. Jednak co naprawdę zapiera dech w piersiach, to że poślubił Dużą Rudą, najbardziej przerażającą dziwkę w Troi. Człowiek, który potrafił to zrobić, nie obawia się niczego.

Spomiędzy drzew wyszedł Ennion, rzucił na ziemię łuk i kołczan, po czym usiadł obok rozmawiających. Zdjął z głowy hełm i ziewnął.

– Mógłbym spać rok – powiedział. – Mam tyle piasku w oczach, że jeśli za mocno zamrugam, to chyba się wykrwawię.

Podrapał się po czarnej brodzie i wyciągnął na ziemi.

– Widziałeś coś? – zapytał Skorpios.

– Mnóstwo ludzi ucieka na wschód, a miasto wciąż płonie. Rad będę, gdy jutro rano my też pojedziemy na wschód. Teraz, kiedy padło Kalliros, wrócimy do domu. Człowieku, to mi zupełnie wystarczy.

– Nie sądzisz, że Hektor zechce to zrobić? – nalegał Skorpios.

Ennion usiadł i zaklął.

– Czemu podsunałeś mi taką okropną myśl? Teraz już nie zasnę.

– Nie mamy dość ludzi, żeby to zrobić – rzekł Justinos. – Tak więc śpij spokojnie. Jutro zobaczymy, dokąd pomaszeruje nieprzyjaciel, i wrócimy do naszych. Potem do Karpei i do domu.

– Niechaj Zeus usłyszy twoje słowa i sprawi, by się ziściły – powiedział Ennion. – Który z was zmieni Olganosa?

– Ja – powiedział Skorpios. – I tak nie mogę spać.

W tym momencie usłyszeli dziecięcy krzyk, odbijający się echem w lesie. Banokles natychmiast się zbudził, wstał i sięgnął po miecz. Justinos złapał hełm i nałożył. Skorpios zerwał się z ziemi, razem z Ennionem i Kerio.

Młody Olganos wybiegł spomiędzy drzew. Banokles wyszedł mu na spotkanie, a pozostali za nim.

– Oddział Idonoi – szepnął Olganos. – Dziesięciu, może więcej.

– Weźcie łuki – rozkazał Banokles.

– Ursos powiedział, żeby unikać walki – przypomniał Kerio.

– Zgadza się – odparł Banokles. – Dobrze, że mi o tym przypomniałeś. A teraz weźcie te przeklęte łuki i zobaczmy, z kim mamy do czynienia.

Z tymi słowami wszedł między drzewa. Skorpion biegiem wrócił do ogniska i wziął swój łuk oraz kołczan ze strzałami. Potem ruszył za Banoklesem.

Gwiazdy jasno świeciły nad leśną polaną, gdy stara piastunka Myrine odeszła od śpiących dzieci. W pobliżu opuszczonego szałas drwali, w którym się ukryli, płynął strumyk. Podkasała starą szarą suknię i poszła na brzeg. Zesztywniałe i opuchnięte kolana sprawiły, że trudno było jej uklęknąć i się napić, ale w szałasie znalazła kubek i zanurzyła go w strumieniu. Woda była chłodna i orzeźwiająca. Myrine pociągnęła długi łyk. Trochę wyciekło przez pęknięcie i zmoczyło jej dłoń. Przegarniając palcami siwe włosy, usunęła część przywierającej do nich sadzy.

W jasnym świetle księżyca zobaczyła, że jej suknia jest osmalona na biodrze, a na rękawach są liczne czarne plamki od iskier.

Myrine nie знаła się na oblężeniach i bitwach, ale słyszała, jak pałacowi żołnierze mówili, że mogą się bronić miesiącami. Wierzyła im. Dlaczego nie? Byli wojownikami i znali się na wojnie.

Potem pożar ogarnął drewniane budynki i nieprzyjaciel wdarł się na ulice Kalliros, wznosząc przeraźliwe wojenne okrzyki. Myrine zadrżała na to wspomnienie. W pałacu wybuchła panika.

Młody król – jej słodki Rhesos – poprowadził gwardię pałacową do boju. Jego majordomus, stary Polochos, kazał Myrine zabrać obu królewskich synów do zachodniej części miasta, do koszar.

Jednak w dolnym mieście szalały pożary i Myrine musiała iść północnymi ulicami. Niosła trzyletniego księcia Obasa, a jego starszy brat, dwunastoletni Peryklos, trzymał ją za rękę.

Wszędzie panował chaos, żołnierze biegali po spowitych płomieniami ulicach, a mieszkańcy w panice pędzili do wschodniej bramy i otwartej przestrzeni za murami. Myrine okrężną drogą powoli podążała na północ. Potem zobaczyła walczących i zrozumiała, że w żaden sposób nie dotrze do koszar.

Nie wiedząc, co robić, postanowiła opuścić miasto przez tylną północną bramę i schronić się w lesie, dopóki nie skończy się bitwa. Wtedy wydawało się to rozsądne, gdyż król Rhesos z pewnością pokona niegodziwych najeźdźców, a ona jutro wróci do niego z dziećmi. Jednak z wysokiego leśnego zbocza widzieli, jak pożar się rozprzestrzenia. Co gorsza, zobaczyli, jak nieprzyjacielska konnica galopem mija północną bramę i atakuje uciekających ludzi. Zaczęła się straszliwa rzeź i Myrine zabrała dzieci głębiej w las, żeby nie oglądały tych okropności.

Mały złotowłose Obas płakał. Przestraszył się ognia i bojowych okrzyków, ale Peryklos go uspokoił. Był silnym chłopcem, tak jak jego ojciec, ciemnokim i ciemnowłosym, zawsze poważnym. Obas był bardziej podobny do matki, delikatnej Asirii, która umarła w połogu rok wcześniej.

– Chcę do domu! – zawodził trzylatek. – Do tatusia!

– Tatuś walczy ze złymi ludźmi – powiedział Peryklos. – Wrócimy do domu, kiedy ich pokona.

Nawet tutaj, w głębi lasu, Myrine widziała lunę pożarów nad miastem. W głębi serca wiedziała, że Rhesos nie pokonał wroga. Wiedziała także, że król nie ucieknie, gdy jego lud jest w niebezpieczeństwie. Był na to zbyt odważny. Co oznaczało, że jej słodki chłopiec nie żyje. Łzy popłynęły jej z oczu, ale otarła je i próbowała się zastanowić, co dalej. Dokąd pójść?

Bliska paniki, czuła ściszenie w dołku. Nie mieli żywności ani niczego cennego, a jej spuchnięte kolana nie poniosą jej daleko. Wróg z pewnością już przetrząsa miasto w poszukiwaniu ksiąg, chcąc zgładzić ostatnich członków królewskiego rodu.

Zgładzić ostatnich członków królewskiego rodu.

Na myśl o tym znów poczuła ból w sercu. Wiatr szeptał w koronach drzew i spojrzała na jasny księżyc, wspominając dzień, gdy po raz pierwszy wprowadzono ją do królewskich pokoi.

Tak dawno temu. Powiedziano jej, że mały Rhesos jest nieposłusznym dzieckiem i potrzebuje silnej ręki. Król Eioneus kazał jej bić go kijem, jeśli nie będzie się słucał. Nigdy tego nie robiła.

Pokochała go od pierwszego spojrzenia. Brzydka i przysadzista Myrine nigdy nie miała powodzenia i całkowicie poświęciła się służbie. Przy małym Rhesosie odkryła wszystkie radości i troski macierzyństwa. Patrzyła, jak wyrasta z chudego chłopca na ładnego młodzieńca i silnego mężczyznę. Nawet jako król obarczony wszystkimi wojennymi obowiązkami, zawsze uśmiechał się i tulił do niej, kiedy ją zobaczył. Kiedy urodził mu się

pierwszy syn, Peryklos, Rhesos sprowadził Myrine do pałacu, żeby go niańczyła. I to była druga wielka radość w jej życiu, gdyż Peryklos był taki sam jak ojciec i – pomijając słabnące zdrowie – czuła się tak, jakby cofnął się czas i znów była młodą matką.

Nawet wojna i walki nie przyćmiły jej szczęścia. W pałacu było spokojnie i bezpiecznie, jak zawsze.

Aż do dziś.

Słyszając szmer za plecami, odwróciła się przestraszona. Jednak nie był to nieprzyjacielski żołnierz, lecz młody Peryklos. Księżę przykucnął przy niej. Natychmiast napełniła kubek wodą i podała mu.

– Co teraz pocznjemy, panie? – zapytała. Zaledwie wymknęły jej się te słowa, a zawstydziła się. Tak, był bystry i myślał szybko jak atakujący sokół, ale był jeszcze dzieckiem. Zobaczyła, jak zacisnął szczęki, a jego ciemne oczy szeroko otworzyły się ze strachu. – Och, przepraszam, mój drogi chłopcze – powiedziała. – Tylko głośno myślałam. Wszystko będzie dobrze. Wiem, że tak!

– Ojciec nie żyje – powiedział Peryklos. – Nic nie będzie dobrze, Myrine. Teraz przyjdą po nas, po Obasa i po mnie.

Myrine nie wiedziała, co mu powiedzieć, a jego słowa ją przeraziły. Teraz ciemność wokół wydawała się groźna, a szept wiatru w gałęziach upiorny i złowieszczy.

– Ukryjemy się w lesie – powiedziała. – To duży las. Nie... nie znajdą nas.

Peryklos zastanowił się nad tym.

– Zaoferują złoto temu, kto nas znajdzie. Będą na nas polować. Nie możemy tu zostać. Nie mamy żywności.

Ciszę nocy przerwał dziecinny głosik.

– Peryklosie! Peryklosie! – krzyczał mały Obas, wybiegając z szałas.

Starszy brat podbiegł i ukląkł przy nim.

– Nie możesz tak hałasować – powiedział surowo. – Inaczej znajdą nas źli ludzie.

– Chcę do tatusia! Chcę do domu!

– W naszym domu są źli ludzie, Obasie. Nie możemy tam iść.

– A gdzie tatuś?

– Nie wiem.

Myrine z trudem wstała i poszła do chłopców. Nagle usłyszała szelest w krzakach za nimi.

Peryklos zerwał się z ziemi i odwrócił.

– To tatuś! Tatuś! – krzyknął Obas.

Z krzaków wyszli trzej mężczyźni. Byli wysocy, z jasnymi włosami zaplecionymi w warkoczyki i twarzami pomalowanymi w pasy. Myrine podbiegła do dzieci, złapała Obasa i przytuliła. Peryklos stał, patrząc na wojowników Idonoi i długie miecze w ich rękach. Mieli zakrwawione szaty.

– Zostawcie nas w spokoju! – krzyknęła Myrine. – Idźcie sobie!

Z cienia wyszło siedmiu następnych wojowników o kamiennych twarzach i okrutnych oczach.

Myrine cofała się w kierunku szałasu. Przywódca Idonoi uważnie przyjrzał się Peryklosowi.

– Jesteś podobny do ojca – powiedział. – Zatknię twoją głowę na włócznie obok jego głowy.

Obas zaczął płakać, a Myrine klepała go po plecach.

– Cicho, maleńki, cicho – mówiła. – Cicho.

Wojownik podszedł do Peryklosa i uniósł miecz. Chłopiec stał spokojnie, mierząc go wyzywającym spojrzeniem.

– Rób, co masz zrobić, tchórze! – powiedział.

Nagle usłyszeli inny głos.

– Nic dziwnego, że wy, owcojebcy, malujecie sobie twarze. Nigdy nie widziałem paskudniejszych bękartów.

Myrine odwróciła się i zobaczyła potężnie zbudowanego mężczyznę w lśniącej zbroi, który wyszedł spośród drzew za szałasem. W jednej ręce trzymał szablę, a w drugiej krótki miecz.

Przywódca Idonoi obrócił się do niego, a pozostali zbili w ciasną grupkę, ściskając broń.

Przybysz zatrzymał się piętnaście kroków przed wodzem Idonoi.

– No? – zapytał. – Czemu tak stoicie? Na jaja Aresa, czy jesteście równie tchórzliwi jak paskudni?

Z rykiem wściekłości Idonoi rzucił się na niego, a pozostali wojownicy skoczyli za nim.

Myrine ze zdumieniem zobaczyła, że nowo przybyły nagle przyklęknął. Chmura strzał z sykiem przeleciała w powietrzu i spadła na atakujących. Czterech padło, a dwaj inni się zachwiali, z czarnymi brzechwami sterczącymi z piersi. Wojownik w lśniącej zbroi zerwał się z ziemi i skoczył na pozostałych Idonoi. Walka była krótka i krwawa. Przybysz wpadł na wojowników, siekąc i rąbiąc. Wódz Idonoi padł z rozplatanym gardłem. Dwóch innych trafiły

strzały. Ostatni odwrócił się i uciekł.

W chwilę później spomiędzy drzew galopem wypadli dwaj jeźdźcy i pognali za uciekającym.

Myrine była słaba i oszołomiona. Próbowwała postawić Obasa na ziemi, ale trzymał się jej kurczowo. Tak więc wciąż trzymając chłopca, osunęła się na klęczki i jęknęła, czując przeszywający ból w lewym kolanie.

Wojownik w lśniącej zbroi przeszedł obok niej i podszedł do rannego Idonoi, który próbował na czworakach uciec między drzewa. Wbił mu miecz między łopatki.

Spomiędzy drzew wyszli trzech inni mężczyźni w podobnych zbrojach. Myrine zobaczyła, jak jeden z nich podchodzi do tego, który ich uratował.

– Mieliśmy rozkaz unikać walki – powiedział.

Był młody i miał ciemne, kręcone włosy.

– Na bogów, Olganosie, to nie była walka! Tylko... potyczka!

– Potyczka czy nie, zwiększyła grożące nam niebezpieczeństwo.

– Żałujesz, że uratowaliśmy te dzieci?

– Nie, oczywiście, że nie. Rad jestem, że żyją. Jednak jeszcze bardziej cieszę się z tego, że my żyjemy. Dobrze wiesz, że nie powinniśmy się pokazywać. Gdyby któryś z nich zdołał zbiec, musielibyśmy uciekać, a wtedy nie wykonalibyśmy zadania. A to zadanie jest ważniejsze niż życie dwojga dzieci.

Banokles zauważył, że stara kobieta przygląda mu się z lękiem. Zostawiwszy Olganosa, podszedł i przykucnął przy niej. Gdy to zrobił, pulchny jasnowłosy chłopczyk w jej ramionach zaczął płakać.

– Na Aresa, chłopcze, robisz więcej hałasu niż kastrowany osioł – rzekł Banokles.

– Mój brat jest bardzo mały i przestraszony – powiedział ciemnowłosy chłopiec.

Banokles wstał i spojrzał na niego.

– A ty się nie boisz?

– Boję się.

– Bardzo mądrze. To przerażające czasy. Podobało mi się, jak stawieś czoło tym łotrom. Masz odwagę, chłopcze. Teraz pociesz brata i postaraj się, żeby przestał pisać. Bolą mnie od tego uszy.

W tym momencie rozległ się tętent kopyt. Banokles odwrócił się, gdy na polanę wjechał Kerio. Wojownik podszedł do niego.

– Rozumiem, że go dogoniliście i zabiliście?

– Oczywiście! – odparł zylasty jeździec. – I zostawiłem Justinosa na skraju lasu, żeby

wypatrywał następnych.

Słyszając jego wzgardliwy ton, Banokles się zirytował, ale usiłował trzymać nerwy na wodzy.

– Wciągnąłeś ciało w krzaki? – zapytał.

– Nie, ty głupku. Przybiłem je do drzewa razem z drogowskazem pokazującym, gdzie jesteśmy – odparł Kerio, zeskakując z konia.

– Powinieneś coś zrobić z tym krwawiącym nosem – rzekł Banokles.

– Z jakim...

Banokles rąbnął go pięścią w twarz, powalając na ziemię. Hełm spadł z głowy Kerio i z brzękiem uderzył o pień drzewa. Kerio runął jak długi i próbował wstać, ale Banokles złapał go za włosy i poderwał z ziemi.

– Zapytam jeszcze raz – powiedział. – Czy wciągnąłeś tego martwe go owcojebcę w krzaki?

– Tak – odparł rudowłosy, brocząc krwią ze złamanego nosa.

Banokles puścił Kerio, który osunął się na trawę. Potem podszedł do trzech pozostałych.

– Czy jeszcze któryś z was, zbieraczy krowich placków, chce nazwać mnie głupkiem? No już! Mówcie!

Ennion wysunął się naprzód i stał, gładząc się po brodzie, jakby w głębokiej zadumie.

W końcu odpowiedział:

– Prawdę mówiąc, Banoklesie, chyba nie powinienem brać udziału w tej dyskusji, bo już wielokrotnie nazywałem cię głupkiem. Jeśli dobrze pamiętam, ostatnio na twoim weselu, kiedy postanowiłeś za tańczyć na stole, spadłeś i noga uwięzła ci w nocniku.

Wszyscy ryknęli śmiechem. Banoklesowi przeszła złość i też się roześmiał.

– To był piękny dzień – powiedział. – A przynajmniej tak mi mówiono. Niewiele pamiętam.

Podjechał do nich Justinos.

– Więcej wojowników na drodze, Banoklesie – powiedział. – Chyba szukają czegoś lub kogoś. Musimy ruszać.

– Na Hades, kogo szukają w środku nocy? – mruknął Banokles. – Powinni świętować zwycięstwo.

Olganos klepnął go w ramię i wskazał na staruszkę i dwóch chłopców. Banokles podszedł do siedzącej na trawie Myrine.

– Szukają was?

– Tak, panie, obawiam się, że tak.

– Dlaczego?

– Ci chłopcy to synowie króla Rhesosa. Idonoi chcą ich zabić.

Banokles pomógł starej wstać. Pulchny chłopczyk znów zaczął płakać. Olganos podszedł do piastunki.

– Daj mi go potrzymać – rzekł łagodnie, biorąc chłopca na rękę. Pójdziemy po zaczarowanego konia – powiedział do niego. – Widziałeś kiedyś zaczarowanego konia?

– Gdzie on jest? – zapytał z zaciekawieniem chłopczyk.

– Tam, za drzewami. Wsiądziemy na niego, a jeśli pojawią się źli ludzie, wyrosną mu skrzydła i odlecimy. Jak masz na imię?

– Obas.

– Ładnie – powiedział Olganos.

Wszyscy poszli w las za zrujnowanym szałasem, gdzie stały spętane konie. Banokles wsadził piastunkę na grzbiet swego nakrapianego siwka, po czym usiadł za nią. Obejrzał się i zobaczył Kerio wlokącego się do swego konia.

– Hej, Złamany Nosie, weź ze sobą drugiego chłopca.

Kerio wskoczył na konia, po czym podał rękę ciemnowłosemu księciu i pomógł mu wsiąść.

Banokles usłyszał krzyki w oddali i odgadł, że tamci znaleźli ciało Idonoi zabitego przez Kerio i Justinosa. Ścisnąwszy konia piętami, poprowadził oddział w las.

– Będziemy bezpieczni, panie? – szepnęła staruszka.

Banokles nie odpowiedział.

Jechali całą noc, przez skaliste strome zbocza i gęste zagajniki. Pochód był powolny i męczący, gdyż jeźdźcy często zsiadali z koni i prowadzili je, żeby odpoczęły. Z nadejściem świtu wierzchołek Banoklesa prawie opadł z sił. Stara piastunka Myrine była za słaba, żeby wspiąć się na zbocza, i siwek musiał nieść ją cały czas.

Gdy niebo na wschodzie zaczęło jaśnieć, Banokles zarządził postój. Wjechali na porośnięty lasem wierzchołek wysokiego wzgórza, z którego widzieli dym wciąż unoszący się nad odległym Kalliros. Poniżej leżały lasy i stoki, przez które przejechali, jeszcze spowite mrokami nocy.

Banokles nie dostrzegł żadnych śladów ludzkiej obecności, ale czuł, że wróg nadal ich ściga.

Podczas gdy pozostali odpoczywali w kotlinie, Banokles poszedł na skraj lasu i usiadł tam, by wypatrywać pościgu. Nie mogli uciec – nie z tą starą piastunką i dziećmi. Jedynym

wyjściem było zostawić ich tutaj. Ta myśl go dręczyła. Podczas nocnej jazdy staruszka wciąż mu dziękowała za heroizm. W rzeczywistości Banokles źle się czuł w roli dowódcy i postanowił zaatakować Idonoi, żeby rozładować napięcie. Walcząc, zawsze się uspokajał, miał poczucie, że panuje nad sytuacją. Nie rozumiał tego i nawet nie próbował. Nie lubił się zastanawiać. Wiedział tylko, że ta potyczka wcale go nie uspokoiła. Złamał nos jednemu ze swoich ludzi i obciążył się trojgiem uciekinierów.

Piastunka nazywała go bohaterem. W innych okolicznościach byłoby to miłe. Dobrze być uważanym za bohatera – szczególnie w zaciszu gospody, kiedy leje się wino. Po uratowaniu Andromachy on i Kalliades byli wszędzie owacyjnie witani. Minęły miesiące, zanim poproszono go, żeby zapłacił za jedzenie czy napitek.

Banokles nie był szczególnie bystry, ale wiedział jedno: na wojnie bohaterowie to przeważnie idioci. Co ważniejsze, umierają młodo. A Banokles wcale nie zamierzał umierać.

Nie, zdecydował, trzeba będzie zostawić dzieci i piastunkę. Nieprzyjemnie będzie powiedzieć to staruszce. Nagle wpadł na doskonały pomysł. Może uda im się po cichu odjechać, gdy ona i chłopcy zasną.

Banokles zaklął pod nosem, gdy w myślach zobaczył minę Kalliadesa. Wiedział, że przyjaciel nigdy by ich nie zostawił, tylko wymyślił coś i uratował nie tylko chłopców i niańkę oraz oddział Banoklesa, ale zapewne całą trojańską jazdę.

Zdjąwszy hełm, Banokles oparł się plecami o drzewo.

– Niech cię bogowie mają w opiece, mój drogi – powiedziała piastunka.

Zaraza na błogosławieństwa, pomyślał. Dajcie mi tylko szybkiego konia i ostry miecz.

Olganos dołączył do niego.

– Nie widać pościgu? – zapytał.

– Nie.

– Zbaczamy na północny zachód – dodał.

– Inaczej by nas zobaczyli – przypomniał Banokles.

– Wiem, ale nie możemy dalej jechać w tym kierunku.

Banokles skinął głową.

– Skręcimy na północ, kiedy zgubimy pościg.

– Możemy nie mieć czasu – rzekł Olganos. – Ursos na pewno już dołączył do naszych i zapewne pomaszerują na wschód, w kierunku przełęczy Kilkanos. Zgadzasz się?

Banokles nie miał pojęcia, dokąd pomaszeruje Hektor. Nie pamiętał nawet nazwy przełęczy.

– Mów dalej – zachęcił.

– Wiemy, że ścigała ich armia Idonoi. Jeśli szybko nie dotrzemy do tej przełęczy, nieprzyjaciół może być tam pierwszy. A wtedy będziemy mieli za plecami wojska szukające dzieci, a przed nami wojska ścigające Hektora.

– Masz jakiś plan?

– Tak, ale nie spodoba ci się. Musimy jechać szybko. Nie możemy – dopóki nie zgubimy pościgu. A to uda nam się, tylko jeśli będziemy sami, bez balastu.

– Chcesz zostawić dzieci? – zapytał Banokles z nadzieją w sercu.

– Nie, nie chcę. Posłuchaj mnie, Banoklesie. Wiem, że cieszysz się reputacją wielkiego bohatera. Walczyłeś z piratami, żeby ocalić księżniczkę, i pokonałeś dwudziestu morderców, którzy chcieli zabić żonę Hektora. Jednak to jest inna sytuacja. Kalliros padło, Rhesos nie żyje, Tracja jest stracona. Już nie ma znaczenia, że to dzieci z królewskiego rodu. Nie mają armii, wpływów ani niczego cennego. Mogą tylko spowolnić nasz marsz.

– Istotnie... – zaczął Banokles, lecz Olganos mu przerwał.

– Wiem, co zamierzasz powiedzieć. Pozwól, że powiem to pierwszy. Tak, spowolnią nasz odwrót, ale bohaterowie nie opuszczają tych, którzy są w potrzebie. I owszem, źle się z tym czuję. – Olganos poczerwieniał. – Ja tylko próbuję myśleć jak żołnierz, Banoklesie.

– Nie ma w tym nic złego – odparł Banokles.

Olganos zaklął i odwrócił się. Kiedy znów przemówił, jego słowa były pełne żalu.

– A teraz próbujesz tylko usprawiedliwić moje tchórzostwo – powiedział. Potem westchnął. – Bohaterowie nie powinni bać się umrzeć za to, co słuszne. Nie rozumiałem tego zeszłej nocy, kiedy zaryzykowałeś życie dla tych dzieci. Teraz to rozumiem i płonę ze wstydu. – Młodzieniec spojrzał Banoklesowi w oczy. – Zapomnij o tym, co powiedziałem. Jestem z tobą.

Banokles oniemiał. O czym on mówi, na Hades? Nagle dostrzegł coś w oddali, wokół miasta.

– Masz lepsze oczy ode mnie, Olganosie. Widzisz maszerujące wojska?

Olganos osłonił oczy dłonią.

– Tak i wygląda na to, że kierują się na południe. Idąc w tym kierunku, dojdą na wybrzeże.

– Zatem oddalają się od nas.

– Na razie. Jeśli skręcą na wschód, przetną Hektorowi drogę i zetną się z nim, gdy zejdzie z gór. Musimy wrócić do Hektora i go ostrzec.

– Racja – rzekł Banokles. – Jak liczna twoim zdaniem jest armia?

– Trudno ocenić. Jeszcze wychodzi z miasta. Pięć, może sześć tysięcy.

– Tylu trojańska jazda może roznieść bez trudu – orzekł Banokles.

– Zapomniałeś o Ismaros?

– Co z nim? – warknął Banokles, który istotnie zupełnie zapomniał o tym portowym mieście.

– Zajął je Odyseusz, co oznacza, że na wybrzeżu będzie druga armia. Jeśli się połączą, będzie ich dwa razy tyle.

Banokles zamilkł. Wszystkie te przekłete miejsca były dla niego zagadką. Armie maszerujące tu i tam, na południe, północ i wschód, kierujące się do nieznanym mu ziem, przez przełęcz, których nazw nie pamiętał. Ursos specjalnie mu to zrobił. Zemścił się za to, że Banokles nazywał go generałem.

– Obserwuj zbocza – powiedział Olganosowi, po czym wszedł między drzewa i po krótkim stoku do kotlinki, w której obozowali. Stara piastunka siedziała na uboczu razem z chłopcami.

Mały Olbas siedział jej na kolanach, a wyższy Peryklos obok niej, trzymając dłoń na jej ramieniu.

Banokles uśmiechnął się do niej, lecz ona spojrzała na niego podejrzliwie. Wojownicy zebrali się wokół niego, z poważnymi minami. Pierwszy przemówił czarnobrody Ennion.

– Czy Olganos mówił ci o... problemie? – zapytał.

– Tak. Chcesz coś dodać?

– Rozmawialiśmy o tym, Banoklesie. Chcemy, żebyś wiedział, że jesteśmy z tobą.

– Jesteście ze mną?

Ennion miał zakłopotaną minę.

– Wiem, że żartujemy z ciebie i czasem kpimy, ale wszyscy jesteśmy dumni z tego, że możemy walczyć razem z tobą. Nikt z nas nie uratowałby tych dzieci, tak jak ty to zrobiłeś. I wszyscy wiemy, jak zaatakowałeś zabójców i obroniłeś panią Andromachę. Żaden z nas nie jest wielkim wojownikiem, ale jesteśmy trojańskimi żołnierzami. Nie zawieziemy cię.

Banokles spojrzał na pozostałych.

– Chcecie, by dzieci pojechały z nami?

Skorpios skinął głową, lecz Justinos z powątpiewaniem pogładził dłonią wygoloną czaszkę.

– Muszę rzec, iż sądzę, że Olganos ma rację. Z nimi zapewne nie uda nam się przedrzeć. Jednak tak, jestem z tobą, Banoklesie. Zawieziemy dzieci do Hektora albo zginiemy, próbując to zrobić.

To było jak zły sen. Banokles obrócił się do Kerio. Jeździec miał podkrążone oczy i

zaschniętą krew w nozdrzach.

– Co ty na to?

– O mnie nie musisz się martwić – odparł Kerio. – Zrobię swoje.

Olganos zbiegł po zboczu.

– Około dwudziestu wojowników – powiedział. – Są niedaleko.

Banokles podszedł do dzieci i piastunki. Peryklos wyszedł mu na spotkanie.

– Nie zostawimy jej – rzekł stanowczo. – Weźcie ze sobą Obasa, a ja zostanę z Myrine.

– Nikogo nie zostawimy, chłopcze – powiedział kwaśno Banokles. – Zostańcie przy koniach. Jeśli zobaczycie Idonoi schodzących po zboczu, wsiadajcie na nie i pędźcie jak wicher. – Odwróciwszy się do swoich ludzi, rozkazał: – Bierzcie łuki!

Olganos stanął przy nim.

– Będziemy walczyć z nimi wszystkimi?

Banokles nie odpowiedział, tylko podbiegł do swojego wierzchowca i wziął łuk oraz kołczan ze strzałami. Potem sześciu wojowników wbiegło po zboczu i podczołgało się przez zarośla na skraj lasu. Banokles ostrożnie rozchylił gałęzie gęstego krzaka i spojrzał na stok.

Nieco w dole ujrzał grupkę wojowników Idonoi idących po otwartej przestrzeni. Było ich dwudziestu dwóch. Prowadził ich chudy mężczyzna w wyblakłym żółtym płaszczu. Szedł po śladach końskich kopyt.

Stok był stromy. Banokles ocenił odległość na około trzystu kroków.

– Widzicie te głazy? – zapytał swoich ludzi. – Uderzymy, kiedy do nich dojdą. Jeśli nie mają jaj, pójdą w rozsypkę i uciekną, a my się wycofamy i odjedziemy. Jeśli mają jaja, zaatakują, a my będziemy strzelać. Kiedy zobaczycie, że rzucam łuk i ruszam na nich, zróbcie to samo. A teraz rozstawcie się. Nie za szeroko.

Pięciu wojowników odczołgało się do tyłu i pozajmowało lepsze stanowiska.

Banokles był już spokojniejszy. Nie musiał podejmować żadnych nowych decyzji.

Nałożywszy strzałę na cięciwę, czekał.

Dwudziestu dwóch Idonoi zbliżało się do głazów. Szli zwartą gromadą i rozmawiali, najwidoczniej nie spodziewając się zasadzki. Widzieli ślady i wiedzieli, że było tylko sześć koni.

Mając przeciwko sobie trzykrotnie liczebniejszego wroga, Trojańczycy po prostu musieli uciekać.

Chudy mężczyzna w żółtym płaszczu minął głazy i spojrzał w górę. Banokles wstał i posłał w niego strzałę. Nie trafiła, ale wbiła się w udo wojownika idącego za nim. Pięć innych

strzał pomknęło ku nadchodzącym. Jeden dostał dwie strzały w pierś. Potem znów spadł na nich grad strzał. Banokles znowu nie trafił i strzała, krzesząc skry, odbiła się od głazu i poleciała w powietrze. Siedmiu napastników leżało na ziemi.

Banokles modlił się, żeby pozostali odwrócili się i uciekli.

Zaatakowali.

Banokles napiął łuk i wypuścił strzałę. Tym razem przebiła czaszkę biegnącego wojownika, który upadł i potoczył się po zboczu. Jeszcze dwaj wrogowie padli trafieni dobrze wycelowanymi strzałami. Idonoi byli już blisko, nie dalej niż dwadzieścia kroków od skraju lasu. Banokles wypuścił ostatnią strzałę, rzucił łuk, po czym wyjął szablę i krótki miecz.

Z donośnym okrzykiem wypadł z krzaków i pomknął ku dwunastu pozostałym wojownikom. Wysoki Idonoi, z pomalowaną twarzą, skoczył na niego i zamachnął się długim mieczem.

Banokles się uchylił, wbił mu miecz w pierś, a potem uderzył bykiem. Gdy wojownik poleciał w tył, ostrze wyszło z rany. Banokles ciął szablą następnego, przecinając mu przedramię.

Zobaczył nadbiegających Enniona i Kerio. Padło dwóch następnych Idonoi. Cios w głowę strącił mu hełm. Banokles odwrócił się, lekko oszołomiony, i skoczył na napastnika. Zderzyli się i upadli na ziemię. Banokles zerwał się pierwszy i ciosem szabli rozplątał tamtemu czaszkę.

Ostrze uwieżło. Puściwszy rękojeść, Banokles odwrócił się w samą porę, żeby odbić pchnięcie włócznią. Chwytał ją lewą ręką, przyciągnął wojownika do siebie i kopniakiem podciął mu nogi.

Gdy Idonoi upadł, Banokles skoczył na niego i wbił miecz w kark. Następny Idonoi wyrósł przy nim, z podniesionym mieczem. Nagle stęknął i krew trysnęła mu z rany na szyi. Gdy osunął się na ziemię, Banokles ujrzał stojącego za nim jasnowłosego Skorpiosa z zakrwawioną szablą w dłoni.

Wtedy pozostałych pięciu Idonoi rzuciło się do ucieczki. Biegli tak szybko, że dwaj upadli i sturlali się po zboczu, gubiąc miecze.

Banokles podniósł się z ziemi. Olganos przyniósł mu jego hełm. Justinos zawołał go i Banokles zobaczył, że klęczy nad leżącym Kerio. Rozejrzał się za innymi. Ennion siedział na ziemi. Miał rozciętą głowę i krew spływała mu po lewym policzku. Skorpios kręcił się po pobojowisku, dobijając rannych Idonoi. Olganos miał na przedramionach kilka skaleczeń, które obficie krwawiły.

Banokles podszedł i uklęknął przy Kerio. Ten nie żył – miał rozcięte gardło.

– Zdejmijcie z niego zbroję – rzekł.

Potem poszedł obejrzeć zabitych Idonoi. Dwaj z nich nieśli worki. Banokles zajrzał do jednego i znalazł kilka bochenków chleba oraz trochę suszonego mięsa. Poprawił mu się humor.

Oderwał kawał i ugryzł kęs. Chleb był zwyczajny, solony, taki jaki najbardziej lubił. Odłożył worek i otworzył drugi.

W tym też była żywność – i mała, zapieczętowana woskiem amfora. Złamał pieczęć i podniósł naczynie. Poczul cudowny zapach wina. Westchnął. Podszedł do niego Olganos.

– No – mruknął Banokles, podnosząc amforę do ust i pociągając tęgi łyk. – O to warto było walczyć.

XXX. ŚWIĄTYNIA NIEZNANEGO

Helikaon stał na rufie *Ksantosa*, obok Oniakosa trzymającego lewe wiosło sterowe. Długi rejs wokół zachodniego wybrzeża minął prawie bez żadnych incydentów. Widzieli kilka stateczków, małych jednostek handlowych, które trzymały się brzegu i pędziły do niego, gdy tylko zobaczyły dardańską flotę.

Żadna wojenna galera nie patrolowała tych wód i to niepokoiło Helikaona.

Flota Agamemnona była już bardzo liczna, tak więc nasuwało się pytanie, gdzie teraz jest?

Po lewej burcie mieli skalisty brzeg Argos i płynąc na wschód, ku wyspom leżącym na południe od Samotraki, mijali małe wsie i miasteczka.

Pod wieczór spostrzegli kupiecką galereę o wysokim dziobie, płynącą na wschód. Nie próbowała im umknąć i Helikaon dał sygnał dwóm swoim jednostkom, żeby ją przechwyciły.

Kupiec usłuchał i skierował swój statek ku *Ksantosowi*.

Helikaon poszedł na prawą burtę i spojrzał z wysoka na pokład galery. Jej wioślarze siedzieli spokojnie, wciągnąwszy wiosła. Brzuchaty kupiec w powiewnych purpurowych szatach patrzył na niego. Miał długie czarne włosy i brodę podkreconą gorącym żelazkiem na modłę Hetytów.

– Podróżujemy pod ochroną imperatora i nie bierzemy udziału w waszych wojnach – zawołał.

– Dokąd płyniecie? – spytał Helikaon.

– Przez Hellespont i do domu.

– Wejdz na pokład i napijmy się wina – rzekł Helikaon.

Spuszczono linę i tęgi kupiec wspiął się na ich okręt, po czym zaczerwieniony i zdyszany przełazi przez reling. Z zaciekawieniem spojrzał wokół.

– Słyszałem o *Ksantosie*, królu Eneaszu – powiedział. – Bardzo ładny okręt.

– Przyjaciele zwą mnie Helikaonem, a zawsze byłem przyjacielem tych, którzy służą imperatorowi.

Kupiec się skłonił.

– Jestem Oniganthas. W zeszłym roku nazwałbym się bogatym kupcem. Teraz grozi mi ubóstwo. Ta wasza wojna rujnuje handel.

Helikaon kazał przynieść wino i zaprowadził Oniganthasa na wysoki pokład rufowy.

Kupiec napił się, wygłosił kilka pochlebnych uwag o jakości trunku, a potem stał, milcząc i obserwując Helikaona dużymi, czarnymi oczami.

– Dokąd zaniósł cię wiatry? – zapytał Helikaon.

– Od Aten wzdłuż wybrzeża aż do Tracji. Tam już handel się skończył.

– Zatem pożeglowałeś do Argos?

Oniganthas skinął głową.

– I sprzedałem ładunek z niewielką stratą. To kiepskie czasy, Helikaonie.

– Jakie wieści zaniósłeś do Argos?

– Wieści? Przewoziłem przyprawę i perfumy.

– Nie bawmy się w podchody, Oniganthasie. Twój statek jest neutralny. Gdybym był jednym z generałów lub admirałów Agamemnona, chciałbym wykorzystać taki statek do przekazywania wieści. Czy proszono cię o taką przysługę?

– Musimy być ostrożni – rzekł z chytrym uśmiechem Oniganthas. – W portach i zatokach rozmawiam z wieloma ludźmi, ale jako człowiek neutralny postąpiłbym niemądrze, oferując swoje usługi jednej czy drugiej stronie. W ten sposób stałbym się agentem jednej z potęg i moja neutralność byłaby wątpliwa.

Helikaon rozważył te słowa. Pozornie argument zdawał się sensowny, lecz Agamemnon i jego dowódcy nie respektowaliby neutralności hetyckiego statku, gdyby to nie służyło ich zamysłom. Oniganthas mógł bezpiecznie żeglować w strefie wojennej tylko wtedy, jeśli posiadał glejt wystawiony przez Mykeńczyków. Przy tak mocno kulejącym handlu hetycki kupiec zapewne powiększał swoje zyski, przekazując wieści mykeńskim dowódcom.

– Widzę – rzekł w końcu Helikaon – że jesteś człowiekiem o wyrafinowanym umyśle.

Kupiec wypił wino i oddał kubek czekającemu marynarzowi.

– Jak wszyscy kupcy, ja też muszę szukać zysku. Nie będę go miał bez neutralności. Dzięki niej mogę handlować z każdym miastem-państwem czy narodem wokół Wielkiej Zieleni. W istocie zawsze miałem nadzieję zacieśnić stosunki z Dardanią.

– Nie widzę powodu, żeby tego nie zrobić – rzekł Helikaon. – Szukałem przedsiębiorczego człowieka, który przechowałby trochę mojego złota do czasu, kiedy będzie mi potrzebne.

Helikaon dostrzegł błysk chciwości w oczach kupca.

– O jakiej ilości złota mówimy, Helikaonie?

– Wystarczającej, gdyby wydać je na budowę kilku kupieckich galer, a z pewnością aż za dużej, by powetować sobie jeden kiepski sezon.

Helikaon zamilkł, obserwując tamtego i pozwalając działać pokusie.

– I ten człowiek miałby tylko przechowywać twoje złoto? – spytał Oniganthas.

Helikaon się uśmiechnął.

– A może pomnażać je z korzyścią dla nas obu?

– Ach, zatem szukasz wspólnika w interesach?

– W istocie. Powinniśmy o tym dłużej porozmawiać. Może zostałbyś z nami na noc?

– Byłbym rad – rzekł Oniganthas – gdyż ostatnio brakowało mi inteligentnego towarzystwa. Większość wieczorów spędziłem, słuchając mykeńskich marynarzy lub żołnierzy oraz... – mówiąc to, spojrzął Helikaonowi w oczy – ... ich niekończących się rozważań o wojnie, zwycięstwach i planach.

Flota przybiła do nagiej, niezamieszkaney wyspy i Helikaon wraz z towarzyszącym mu Oniganthasem patrzyli, jak Oniakos i kilku marynarzy przynoszą łupy zdobyte podczas ataków na mykeńskie osady. Były tam złote kubki i puchary wysadzane drogimi kamieniami oraz ciężka mykeńska biżuteria. Kładli wszystko na kocu rozpostartym na piasku.

Oniganthas przyklęknął i obejrzał łupy w gasnącym świetle dnia.

– Wspaniałe – powiedział.

Kiedy rozpalano wieczorne ogniska, Helikaon odprowadził Oniganthasa na bok i siedzieli razem, rozmawiając, aż zawołano ich na wieczerzę. Później, gdy kupiec zasnął, Helikaon opuścił obóz i wszedł na szczyt wysokiego wzgórza. Wieści, które przekazał mu Oniganthas, były przygnębiające.

Gershom i Oniakos dołączyli do niego.

– Dowiedziałeś się czegoś od tego kupca? – zapytał Gershom.

– Tak, choć to niezbyt dobre wieści. Muszę je przemyśleć. Pospacerujmy trochę.

Wyspa była jałowa i niegościnna. Jednak na pobliskim wzgórzu ktoś zbudował świątynię. Jej białe kolumny lśniły w blasku księżyca.

– Zastanawiam się, komu jest poświęcona? – rzekł Oniakos.

Helikaona to nie obchodziło, ale poszedł z nimi do opuszczonej budowli. Nie było wokół niej żadnych posągów, w środku również. Na kamiennych płytach posadzki leżał nagromadzony przez wieki kurz. Część sklepienia się zapadła, wpuszczając promienie księżyca. Dokładnie obejrzelni budowlę, lecz nie znaleźli żadnych rzeźb, przyborów, rozbitych kubków czy lamp.

Helikaon przyklęknął i odgarnął grubą warstwę kurzu z kawałka podłogi. Ukazała się głęboka, wygięta linia wykuta w kamiennych płytach. Gershom i Oniakos dołączyli do niego i razem usunęli pył z posadzki. Symbol biegł przez wszystkie płyty. Składał się z dwóch

współśrodkowych kół i przecinającej oba pionowej linii.

– Co oznacza ten znak? – spytał Oniakos.

– To starożytny symbol – powiedział Helikaon. – Możesz znaleźć go na starych mapach. Niegdyś kupcy używali takich symboli do znakowania obszarów handlowych lub militarnych wpływów. Zewnętrzny krąg, jeśli jest przerwany, oznacza brak wrogich wojsk. Przerwany wewnętrzny mówi, że na tym obszarze nie ma handlu. Nieprzerwane okręgi mają przeciwne znaczenie: silnie broniony teren, kwitnący handel.

– A ta linia biegnąca przez dwa całe kręgi? – zapytał Oniakos.

– Oznacza, że ten teren nie został zbadany. Jest nieznan.

– Zatem – rzekł Gershom, spoglądając na wyryty symbol – ktoś przybył na tę nagą skałę i zbudował świątynię dla nieznanego?

– Na to wygląda – odparł Helikaon. – Jakie to dziwne. Musieli przetransportować marmur i belki przez Wielką Zieleń, a potem wciągnąć to tutaj. Dziesiątki, a może setki robotników i kamieniarzy wznosiło na bezludnej wyspie budowlę, której nikt nie będzie odwiedzał.

Gershom się roześmiał.

– Myślę, że to jakiś gigantyczny żart. Wszyscy podziwiamy nieznaną i nieznaną. To istota naszego życia. Wiemy tylko to, co było, a nie co będzie. Jednak pragniemy wiedzieć, zrozumieć tajemnicę. Ktokolwiek zbudował tę świątynię, miał poczucie humoru i wizję przyszłości. Świątynia nieznanego, zbudowana przez nieznaną lud, w nieznanym celu. Cudowne.

– Cóż, ja uważam, że to bez sensu – narzekał Oniakos. – Marnowanie dobrego marmuru i ludzkiego trudu.

Kiedy wyszli z powrotem na światło księżyca, Helikaon zapatrzył się na rozgwieżdżone morze.

– Jesteś już gotów rozmawiać o tym, czego się dowiedziałeś? – zapytał Gershom.

Helikaon zaczerpnął tchu.

– Ismaros padło i Ksanthi też – powiedział. – Zostało tylko Kalliros. Jego fortyfikacje nie są mocne. Tak więc musimy założyć, że jest już oblegane lub zdobyte.

– Przecież w Tracji jest Hektor – powiedział Oniakos. – On zawsze zwycięża. Zgniecie wroga.

– Według Oniganthasa Hektor wygrał kilka bitew, lecz coraz więcej nieprzyjacielskich oddziałów nadciąga z Tesalii i mykeńskich ziem. Z ostatnich raportów wynika, że Hektor jest w Rodopach i ciągną na niego trzy wrogie armie.

– Stawi im czoło i je pokona – upierał się Oniakos.

– Być może – zgodził się Helikaon – lecz małe zwycięstwa nic nie dają. Tracja jest stracona. Myślę, że Hektor spróbuje wycofać armię do Karpei i na barki, a potem przeprowadzić się do Dardanii. To jego jedyna nadzieja.

– Co z flotą Menadosa? – wtrącił Gershom.

– Albo kieruje się do Hellespontu, żeby odciąć drogę Hektorowi, albo zamierza zaatakować Dardanię. W tym pierwszym wypadku, jeśli barki Hektora spróbują bez eskorty przeprowadzić się przez kanał, zostaną zatopione.

– Wybacz, że o tym mówię – rzekł Gershom – ale mamy tu zbyt wiele założeń. Hektor może nie kieruje się do Karpei. Może ruszył na pomoc Kalliros. I nawet jeśli masz rację, może już jest w Karpei, szykując się do przeprawy. Nie ma żadnej pewności, że zdążymy tam na czas, aby mu pomóc.

Helikaon odszedł od nich, zostawiając ich, gdy się spierali. Potrzebował czasu do namysłu.

Gdyby pożeglował do Karpei, a mykeński admirał Menados zaatakował Dardanię, doszłoby do rzezi. Gdyby popłynął do domu, żeby bronić swojej ziemi i Mykeńczycy pokonaliby Hektora i trojańską jazdę, wojna byłaby przegrana.

Dręczyła go jeszcze jedna myśl, którą nie zamierzał się dzielić ze swoimi oficerami. Forteca Dardanos mogła wytrzymać oblężenie – chyba że wróg był pewien, iż ktoś otworzy przed nimi bramy miasta. Agamemnon był przebiegłym wrogiem i już raz użył zdrajców przeciwko Troi, gdy przekupił syna Priama, Agatona, żeby zbuntował się przeciwko ojcu. A jeśli miał swoich ludzi w Dardanos?

Potem pomyślał o Halizji. Podczas ostatniego ataku Mykeńczycy zgwałcili ją i ciężko zranili, i zamordowali syna na jej oczach. Chcesz znów ją na to narazić? – szeptał głos jego serca.

Choć nieskory do gwałtownych wybuchów i przekleństw, Helikaon zaklął – długo i soczyście. Jego dwaj towarzysze zamilkli.

– Nie da się podjąć racjonalnej decyzji – rzekł w końcu. – Zbyt wiele niewiadomych. Menados może już być w Hellesponcie, a może wysadził oddziały w Dardanii. Hektor może walczyć o Kalliros albo przedzierać się do wybrzeża. I są jeszcze okręty, z którymi Odyseusz zdobył Ismaros. Gdzie się podziały? Nic nie wiemy.

– Zatem znaleźliśmy się we właściwym miejscu – powiedział Gershom, oglądając się na oświetloną księżycem świątynię.

Banokles wyjechał na siwku spomiędzy drzew i skierował w dół zbocza. Za nim jechał Justinos, dzielący wierzchowca z młodym księciem Peryklosem. Za nimi podążali piastunka Myrine i mały Obas na rumaku Kerio. Z tyłu Skorpios i Ennion. Banokles się obejrzał. Skorpios trzymał w dłoni łuk. Ennion, któremu z zaszytej rany na głowie wciąż sączyła się krew, wyglądał kiepsko, skulony i ze spuszczoną głową.

Banokles zobaczył, że jadący przodem Olganos zsiada z konia przed szczytem niewielkiego pagórka i podkrada się do grani, aby spojrzeć na otwartą przestrzeń po drugiej stronie.

Słońce świeciło z bezchmurnego nieba, lecz od gór wiał zimny wiatr. Banokles miał dosyć dowodzenia i łupało go w skroniach. Nie miał pojęcia, dokąd jada, wiedział tylko, że Olganos mówił o jakiejś wysokiej przełęczy. Przypominał sobie, że jechał przez jakąś, lecz nie zdołałby jej znaleźć, nawet gdyby od tego zależało jego życie.

A tak właśnie było.

Ból w skroniach się nasilał. Banokles zdjął hełm, pozwalając, by wiatr wysuszył mu spocone jasne włosy.

Justinos podjechał do niego.

– Ennion cierpi – rzekł. – Może mieć pękniętą czaszkę.

Banokles nałożył hełm i spiąwszy piętami siwka, wjechał wyżej. Zatrzymał się obok wierzchowca Olganosa i podkraść do leżącego wojownika.

– Widzisz coś? – zapytał.

Olganos pokręcił głową.

– Myślę, że jesteśmy blisko przełęczy – powiedział, wskazując na wyniosłe, ośnieżone góry wznoszące się masywnym murem na ich drodze. – Musimy przeciąć tę suchą dolinę i tamte wzgórza. Po drodze są bukowe i sosnowe lasy, w których mogłaby się skryć cała armia.

Banokles spojrział na dolinę. Nigdzie nie było widać konnych ani piechoty. Jednak Olganos miał rację – żołnierze mogli kryć się za drzewami. Młodzieniec głośno wyraził to, co niepokoilo Banoklesa.

– Kiedy znajdziemy się na otwartej przestrzeni, będziemy widoczni dla nieprzyjacielskich zwiadowców ukrytych między drzewami.

– Masz jakiś plan? – spytał z nadzieją w głosie Banokles.

– Nie mamy wyjścia. Musimy dotrzeć do przełęczy.

Banokles przyjął to z ulgą. Nie miał ochoty dokonywać nowych wyborów.

– Dobrze – powiedział. – Zdołamy tam dotrzeć przed zmrokiem?

– Tak, na świeżych koniach. Nasze są zmęczone, a kiedy przejedziemy przez dolinę,

aż do przełęczy będziemy cały czas jechać pod górę.

Banokles wstał i machnięciem ręki kazał pozostałym jechać dalej, po czym dosiadł siwka i poprowadził ich na szczyt.

Gdy dotarli na dno doliny, upał zaczął się wzmaczać. Konie wlokły się ze spuszczonej łbami. Spod kopyt unosiły się obłoczki kurzu, a po końskich bokach spływały strużki potu.

Dolina była sucha i gorąca, niemal bez roślinności.

Poruszali się wolno i popołudnie szybko mijali. Nagle Skorpios krzyknął ostrzegawczo.

Banokles obejrzał się i zobaczył, że Ennion spadł z konia. Zatrzymawszy pochód, zawrócił siwka i podjechał do rannego, który usiłował wstać. Zsiadł z konia, podszedł do leżącego, złapał go za ramię, i podniósł. Ennion miał szkliste oczy i twarz szarą jak popiół. Nagle zgiął się wpół, opadł na klęczki i zwymiotował.

Banokles odwrócił się i spojrzał na pozostałych. Konie goniły resztkami sił, a ludzie też byli wyczerpani.

– Jak daleko zostało nam do przełęczy? – zapytał Olganosa.

Młodzieniec wzruszył ramionami.

– W takim stanie? Powiedziałbym, że nie dotrzemy tam przed nocą.

Nieco po prawej rośla gęsta kępa buków.

– Pojedź tam i zobacz, czy uda ci się znaleźć wodę.

– Jeśli nie dotrzemy do przełęczy przed Idonoi...

– Wiem, co się stanie! – warknął Banokles. – Jedź!

Olganos pojechał. Banokles pomógł Ennionowi wstać i wsiąść na konia.

– Więcej nie spadaj. Słyszysz?

– Słyszę – wymamrotał wojownik.

– Wjedźmy między drzewa – powiedział Banokles do pozostałych. – Tam będzie chłodniej.

Olganos znalazł polanę i poprowadził ich na nią. Były tam marmurowe głazy i rosnące między nimi kwitnące krzewy o szkarłatnych kwiatach zwisających nad skalnym zbiornikiem z zimną wodą. Sadażkę zasiliał strumień, który szeregiem kaskad spływał po głazach. Trawa była soczysta, a polanka tak piękna, że Banokles był gotów uwierzyć, że w pobliżu kryją się nimfy i driady.

Stara piastunka pokuśtykała nad wodę, położyła się, zwilżyła sobie twarz i włosy, po czym się napiła. Obaj chłopcy jej towarzyszyli. Justinos i Skorpios pomogli Ennionowi zsiąść

z konia i posadzili go pod drzewem. Banokles napełnił hełm wodą i zaniósł rannemu. Ennion wypił trochę. Twarz wciąż miał szarą, ale oczy mniej szkliste. Banokles obejrzał jego ranę. Długie rozcięcie zostało zszyte, ale skóra była spuchnięta i odbarwiona. Rany głowy zawsze są problematyczne. Banokles znał kiedyś człowieka, który został trafiony strzałą w skroń i przeżył.

Inny żołnierz, twardy i krzepki, podczas bijatyki w tawernie otrzymał cios pięścią i zginął na miejscu.

Zostawiwszy Enniona, by odpoczywał, wojownicy zajęli się końmi, wiechciami suchej trawy wycierając ich spienione boki. Kiedy wierzchowce ochłonęły, zaprowadzono je do sadzawki i pozwolono się napić.

Gdy wszyscy usiedli w cieniu buków, a konie zaczęły skubać bujną trawę w pobliżu, Banokles zdjął zbroję i wskoczył do sadzawki. Była głębsza, niż przypuszczał, i zanurzył się w niej razem z głową. Woda była zimna i cudownie chłodziła rozgrzane ciało. Wszystkie odgłosy ucichły i przeszedł ból głowy, który dokuczał mu przez większość dnia.

Wyłynawszy na powierzchnię, dopłynął do brzegu i wyszedł z wody. Zobaczył Olganosa i szczupłego jasnowłosego Skorpiosa, spokojnie siedzących obok siebie. Justinos gdzieś znikł.

Banokles osuszył się i podszedł do wojowników.

– Powinniście sobie popływać, chłopcy – rzekł.

– A jeśli pojawi się wróg? – spytał Olganos.

Banokles się roześmiał.

– Jeśli nadejdzie armia, to zginiesz, czy będziesz spocony i śmierdzący jak świnia, czy rzeński i odświeżony.

– To prawda – przyznał Skorpios, wstając i rozwiązując paski napierśnika.

– Gdzie Justinos? – spytał Banokles.

– Powiedziałem mu, żeby schował się między drzewami i obserwował dolinę – odparł Olganos.

– Dobrze. Skoro on to robi, chyba utnę sobie drzemkę.

Olganos i Skorpios z pluskiem wskoczyli do sadzawki, a Banokles podszedł i usiadł przy Ennionie.

– Jak się czujesz? – zapytał.

– Lepiej. Chociaż mam wrażenie, że w mojej czaszce jest uwięziony koń, który próbuje się wydostać. Szkoda Kerio. Paskudny krowi syn, ale umiał walczyć.

– Będziesz wspominać poległych, kiedy cały i zdrowy wrócisz do domu – rzekł

Banokles.

– Myślisz, że wrócimy do domu?

– A czemu nie?

Ennion się uśmiechnął.

– Nie martwi cię to, że utknęliśmy na ziemi wroga, który ma nad nami ogromną przewagę liczebną?

– Nigdy nie widziałem sensu w martwieniu się tym, co będzie jutro – powiedział Banokles. – W tym momencie mamy wodę, konie odpoczywają i pasą się, a ja zaraz utnę sobie smaczną drzemkę. Jeśli nadciągnie wróg, zabiję tylu krowich synów, ilu zdołam. Jeśli nie nadciągnie, no cóż, pojedziemy dalej, znajdziemy Hektora i resztę naszych, a potem wrócimy do domu. Prześpij się, człowieku.

– Chyba tak zrobię – rzekł Ennion. Nagle zachichotał. – Przez całe życie chciałem zrobić coś bohaterskiego, o czym by pamiętano. A teraz uratowałem dwóch królewskich synów i pokonałem dwudziestu żołnierzy wroga. To wspaniałe uczucie, Banoklesie. Wspaniałe. Wszystko, czego pragnąłem... poza tym przeklętym bólem głowy.

– Do rana ci przejdzie – powiedział Banokles, wyciągając się na trawie i zamykając oczy.

Zasnął niemal natychmiast.

Kiedy się zbudził, było ciemno i na nocnym niebie świeciły jasne gwiazdy. Usiadł i spojrzał na Enniona. Wojownik leżał na plecach i patrzył w niebo.

– Jak głowa? – zapytał Banokles.

Ennion nie odpowiedział. Banokles przesunął dłonią po jego twarzy. Wojownik się nie poruszył. Pochyliwszy się nad nim, Banokles zamknął zmarłemu oczy i wstał.

Olganos pływał, Justinos siedział przy sadzawce. Stara piastunka i chłopcy spali. Olganos wygramolił się z wody. Banokles podszedł do niego.

– Postawiłeś Skorpiosa na warcie?

– Tak.

– Dobrze. Za chwilę go zmienię.

– Jak Ennion? Myślisz, że jutro będzie mógł wyruszyć?

– Już wyruszył – odparł Banokles. – Idzie Ciemną Drogą. Jego koń jest w lepszym stanie niż inne. Niech jedzie na nim gruba piastunka. Ty weź jego miecz. Twój jest poszczerbiony i może się złamać w następnej potyczce.

– Na Aresa, zimny z ciebie drań – powiedział Olganos.

– On jest martwy. My nie. Ruszamy o brzasku.

Usiana głazami droga wiodąca w górę i przez wysoką przełęcz Kilkanos była usiana resztkami porzuconymi przez odchodzącą armię. Między głazami leżały połamane miecze.

Rozbity hełm błyszczał w słońcu. Wokół leżały porzucane niegdyś wartościowe rzeczy, które teraz przysypywał kurz. Tu i ówdzie Kalliades widział ślady zaschniętej krwi w miejscach, gdzie opatrywano rannych. Przełęcz była wąska i kręta i pięła się jeszcze wyżej między skały.

Kalliades i jego trzystu ochotników zajęli obronne pozycje około osiemdziesięciu kroków poniżej najwyższego punktu przełęcz, która w tym miejscu miała zaledwie trzydzieści kroków szerokości. Po obu stronach wznosiły się gładkie skalne ściany. Wyżej, po prawej i po lewej, Kalliades pod osłoną skał rozmieścił setkę łuczników. Ciężkozbrojni żołnierze piechoty stali na środku. Wszyscy należeli do plemienia Kikones i nie mieli dokąd uciec.

Zwiadowcy ostrzegli Hektora, że maszeruje na nich licząca około siedmiu tysięcy żołnierzy armia Idonoi. Była blisko i zapewne do południa znajdzie się w zasięgu wzroku.

Kalliades na ochotnika objął dowodzenie tylną strażą, która miała utrzymać przełęcz przez dwa potrzebne Hektorowi dni. Trojańczyk prosił go, żeby nie zostawał.

– Będiesz mi teraz potrzebny, Kalliadesie. Nie chcę, żebyś zginął na jakiejś trackiej górze.

– Jeśli znasz kogoś, kto lepiej pokieruje obroną, każ mu zostać – odparł Kalliades. – Trakowie dobrze walczą, ale nie ma wśród nich stratega. A tę przełęcz trzeba utrzymać. Nie możemy pozwolić, żeby wróg uderzył na nas z dwóch stron.

Hektor niechętnie wyraził zgodę i rano się pożegnali.

Trakowie byli posępnymi wojownikami, którzy dobrze walczyli w czasie całej długiej kampanii. Irytowało ich to, że miała się tak zakończyć. Hektor im zaproponował, żeby popłynęli z nim do Troi, lecz oni postanowili zostać i walczyć z najeźdźcami.

Kalliades przeszedł między nimi, wydając rozkazy. Wykonywali je natychmiast, ale bez entuzjazmu. Chociaż ufali jego osądowi i szanowali jego umiejętności, był dla nich obcym.

Obcy.

Kalliades nagle uświadomił sobie, że zawsze był obcy, nawet wśród swoich. Wspiął się na wysoki głaz i spojrzął w dół. Gdy nadszedł wróg, będzie zmęczony po długiej wspinaczce.

Spadną na niego chmury strzał, jedna po drugiej, a później, gdy podejdzie bliżej, grad oszczepów o grotach z brązu. Strome skalne ściany zmuszą ich do zagęszczenia szyku i

utrudnią uchylanie się przed pociskami. Potem uderzy na nich ciężka tracka piechota, spychając w tył. Wycofają się i przegrupują. Nie wątpił, że obrońcy odeprą kilka ataków. Jednak poniosą straty, wkrótce zabraknie im strzał i zmęczą ich nieustanne ataki przeważającego liczebnie wroga. Obojętnie, jaką zastosować strategię, rezultat zawsze będzie taki sam. Jeśli wróg będzie odważny i zdeterminowany, wedrze się na przełęcz przed zmrokiem.

Hektor to rozumiał. Tylna straż była spisana na straty. Niepodobna, by któryś z obrońców przełęczą uszedł z życiem.

Kalliades w myślach ujrzał twarz Pirii, jej krótko ścięte jasne włosy lśniły w słońcu.

Wspomniał, jak stała na plaży, śmiejąc się, gdy załoga *Penelopy* usiłowała połapać spłoszone świnię. To był dobry dzień, a przez trzy ostatnie lata jeszcze nabrał blasku.

Potem ten obraz znikł i ujrzał Dużą Rudą, stojącą w drzwiach jego domku, w szkarłatnych i czarnych szatach. Było to w przeddzień powrotu armii do Tracji na wiosenną kampanię.

Kalliades zaprosił ją do środka, ale nie chciała wejść.

– Nie wejdę do twego domu, Kalliadesie. Nie lubię cię, a ty nie darzysz mnie sympatią.

– Zatem co tu robisz?

– Chcę, żeby Banokles wrócił cały i zdrowy do domu. Nie chcę, by go zgubiło twoje pragnienie śmierci.

Te słowa go zdziwiły.

– Ja nie pragnę śmierci, Ruda. Dlaczego tak uważasz?

Popatrzyła na niego i złagodniała.

– Zmieniłam zdanie. Wejdę. Masz wino?

Zaprowadził ją do ogródka na tyłach domu i usiedli razem na owalnej ławie w cieniu wysokiego muru. Wino było tanie i lekko cierpkie, ale Rudej to nie przeszkadzało. Spojrzała mu w oczy.

– Dlaczego uratowałeś księżniczkę?

Wzruszył ramionami.

– Przypominała mi siostrę, którą zabili źli ludzie.

– Może to prawda, ale nie cała. Banokles mówi o tobie z wielkim szacunkiem i sympatią, tak więc słyszałam o wszystkich waszych przygodach. Nie jestem już młoda, Kalliadesie, ale z wiekiem stałam się mądrzejsza. Znam ludzi. Na Herę, znam ich lepiej, niżbym chciała. Tak wielu dostrzega każdą słabość i przywarę u innych, będąc kompletnie

ślepy na swoje wady i obawy. Dlaczego nie masz przyjaciół, Kalliadesie?

Poczuł się nieswojo i zaczął żałować, że ją zaprosił.

– Mam Banoklesa.

– Tak. Czemu nie innych? Dlaczego nie masz żony?

Wstał.

– Nie muszą ci się tłumaczyć – rzekł.

– Boisz się?

– Niczego się nie boję.

Nie mógł umknąć przed jej spojrzeniem i to go niepokoiło.

– I to właśnie jest kłamstwem – powiedziała łagodnie.

– Nie znasz mnie. Nikt nie zna.

– Nikt nie zna – powtórzyła. – Znów się mylisz. Znam cię, Kalliadesie. Nie wiem tylko, dlaczego taki jesteś. Może padł ci ulubiony kucyk, kiedy byłeś mały, albo wykorzystał cię niegodziwy wujek. Może twój ojciec spadł z klifu i utonął. Nieważne. Znam cię.

Poczuł gniew.

– Idź sobie! – zawołał. – Poślę po ciebie, kiedy będę potrzebował rad grubej dziwki.

– Ach – westchnęła bez śladu gniewu. – Teraz widzę, że w głębi serca ty też to wiesz.

Po prostu za bardzo się boisz to usłyszeć.

W tym momencie miał ochotę ją uderzyć, zetrzeć jej z ust ten przemądrzały uśmiech.

Zamiast tego cofnął się, czując się jak więzień we własnym domu.

– Zatem powiedz mi – zażądał. – Wyjaw mi tę straszliwą prawdę. Nie boję się.

– Ta straszliwa prawda wygląda tak, że w głębi serca obawiasz się jednego. Boisz się życia.

– Co to za bzdury? Żułaś korzeń *meas*?

– Uratowałeś kobietę, która nic dla ciebie nie znaczyła, narażając się przy tym na niemal pewną śmierć.

– Była warta ocalenia.

– Z tym nie mogę się nie zgodzić. Sam w sobie był to dobry uczynek. Bohaterski. Godny opiewania w legendach. Kiedy Odyseusz stawiał czoło piratom, poszedłeś z nim. Powiedziałeś Banoklesowi, że chcesz zobaczyć, co się stanie. Jesteś inteligentnym człowiekiem. Wiedziałeś, co powinno się stać. Powinni was posiekać na kawałki. Banokles uważa cię za niezwykle odważnego człowieka. Jednak ja nie jestem Banoklesem. Część twojej duszy, Kalliadesie, pragnie śmierci. Pusta część, której nie masz czym wypełnić. Ani miłością, ani sympatią, marzeniami czy ambicją. Dlatego nie masz przyjaciół. Nie masz czego

im dać i boisz się tego, co oni mogliby dać tobie.

Jej słowa niczym lodowate ostrze przedarły się przez jego obronę.

– Kochałem – upierał się. – Kochałem Pirię. Nie kłamię.

– Wierzę ci. I właśnie dlatego cię znam. Masz prawie trzydzieści lat i przeżyłeś jedną wielką miłość. Jakie to dziwne, że do kobiety, która nigdy nie mogłaby jej odwzajemnić. O czym ty doskonale wiedziałeś. Mam ci powiedzieć, co zobaczyłeś w tej przestraszanej, znękaney i zagubionej dziewczynie? Swoje odbicie. Zagubiony i samotny, bez przyjaciół i rodziny.

Potem wstała i wygładziła fałdy szaty.

– Banokles jest moim przyjacielem – powiedział, słysząc obronny ton swego głosu.

Pokręciła głową, niweczając nawet tę słabą próbę obrony.

– Mój Banokles nie lubi myśleć, inaczej lepiej by cię rozumiał. Tak, jest twoim przyjacielem, lecz dla ciebie, czy o tym wiesz czy nie, jest zaledwie wielkim psiakiem, którego uwielbienie pozwala ci się oszukiwać, że jesteś taki jak wszyscy. Uratował ci życie, Kalliadesie, a ty wciągałeś go we wszystkie swoje awantury. Przyjaciele tak nie postępują. Kiedy w końcu postanowisz umrzeć, nie pozwól, by Banokles był przy tobie.

Zaczęła odchodzić, a on zawołał za nią:

– Przykro mi, że tak mną gardzisz, Ruda.

– Jeśli tobą gardzę – powiedziała ze smutkiem w głosie – to tylko dlatego, że pogardzam sobą. Jesteśmy do siebie podobni, Kalliadesie. Zamknięci przed życiem, bez przyjaciół, bez bliskich. Dlatego potrzebujemy Banoklesa. On jest życiem, bogatym i surowym, w całej jego krasie. Nie wie, co to subtelność czy podstęp. Jest ogniskiem, wokół którego się zbieramy, i światłem, które rozprasza przerażające nas cienie. – Zamilkła na moment. Potem popatrzyła na niego. – Przypomnij coś z dzieciństwa.

Zamrugał, gdy przed oczami ujrzał znajomą scenę.

– Co to było? – spytała Ruda.

– Byłem dzieckiem i ukrywałem się przed rabusiami na polu lnu.

– W dniu gdy zginęła twoja siostra?

– Tak.

Ruda westchnęła.

– I właśnie na tym polega twoja tragedia, Kalliadesie. Nigdy nie opuściłeś tego pola lnu. Wciąż tam jesteś, mały i przestraszony, ukrywasz się przed światem.

Wysoko w górach Kalliades odepchnął od siebie myśli o Rudej. Jego ludzie rozpalili ogniska i już miał do nich zejść na posiłek, gdy w oddali ujrzał jeźdźców.

Z początku byli tylko ciemnymi punkcikami, lecz gdy podjechali bliżej, rozpoznał błysk trojańskich zbroi.

Zobaczył, że jego łucznicy również zauważyli tę grupkę i nakładali strzały na cięciwy.

Zawoławszy do nich, żeby nie strzelali, wyszedł na spotkanie przybyszów.

Banokles wyjechał mu naprzeciw, przełożył nogę przez koński grzbiet i zeskoczył ze zmęczonego siwka.

– Dobrze cię widzieć – powiedział. – Ocaliliśmy synów Rhesosa, a teraz możesz przejąć komendę. Mam dosyć dowodzenia. – Rozejrzał się. – Gdzie armia?

– Idzie do Karpei. Ja dowodzę tylną strażą.

– Masz za mało ludzi. Widzieliśmy hordę Idonoi. Są blisko. Tysiące krowich synów.

– Musimy ich zatrzymać tylko przez dwa dni.

– No cóż, tyle pewnie zdołamy.

– Nie my, Banoklesie. To mój obowiązek. Ty musisz zawieźć synów Rhesosa do Karpei. Hektor ucieszy się na ich widok.

Banokles zdjął hełm i przesunął dłonią po krótkich jasnych włosach.

– Nie myślisz trzeźwo, Kalliadesie. Potrzebujesz tu mnie i moich chłopców. Ci traccy owcojebcy pewnie uciekną, jak tylko zobaczą pomalowane twarze.

– Nie uciekną. – Kalliades westchnął i przypomniał sobie rozmowę z Rudą. – Posłuchaj mnie. To twój oddział. Ursos powiedział Hektorowi, że powierzył ci dowodzenie. Tak więc teraz rozkazuję ci odjechać z twoimi ludźmi. Zobaczymy się w Karpei albo w Dardanii, jeśli wcześniej przeprawicie się przez Hellespont.

– Zapomniałeś, że jesteśmy braćmi miecza?

Kalliades zignorował to pytanie.

– Zachowaj ostrożność, jadąc na wschód. W górach są inne, węższe przełęcze, przez które mogły przejechać małe oddziały jazdy.

– Rozumiem, że nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy tu chwilę odpoczęli – rzekł chłodno Banokles. – Wspinaczka dała nam się we znaki.

– Oczywiście. I posilcie się z naszych zapasów.

Nie mówiąc nic więcej, Banokles pojechał na przełęcz. Kalliades patrzył, jak jego jeźdźcy podążają za nim.

Zbliżało się południe, kiedy odjechali. Banokles się nie pożegnał, ani nawet nie obejrzał.

Kalliades patrzył, jak znikali za granią.

– Żegnaj, Banoklesie, mój przyjacielu – szepnął.

– Widzę ich! – krzyknął łucznik, wskazując w dół.

Kalliades dobył miecza i zawołał do siebie swoich żołnierzy. Daleko w dole widział błyszczące w słońcu tysiące włóczni i hełmów.

XXXI. GENERAL Z PRZYMUSU

Banokles wciąż był zły, gdy przeprowadzał swój oddział na drugą stronę przełęczy i ku szerokim równinom w dole. Po tym wszystkim, przez co razem przeszli, dlaczego Kalliades potraktował go tak szorstko? To go zabolalo i zaskoczyło.

Stara piastunka, Myrine, zrównała się z nim. Kiepsko jeżdżąc konno, źle się czuła na siwej klaczy Enniona i jedną ręką kurczowo ścisnęła wodze, a drugą grzywę klaczy. Była czerwona z wysiłku.

– Daleko do Karpei? – zapytała.

– Tak.

– Nie wiem, jak długo zdołam usiedzieć na koniu. Mam chore kolana, wiesz. Bola mnie.

Banokles nie wiedział, co jej powiedzieć. Była za stara, żeby dotrzeć do Karpei pieszo.

– Potem będzie łatwiej – rzekł, chociaż nie wiedział, czy to prawda. Zawróciwszy konia, pojechał do jadących z tyłu Justinosa i Skorpiosa. – Wiesz, jak daleko do Karpei? – zapytał Justinosa.

Ten wzruszył ramionami.

– Chyba parę dni. Może cztery. Nie liczyłem, kiedy wyruszyliśmy.

– Ja też nie.

Skorpios wtrącił się do rozmowy.

– Olganos mówi, że podróż zajmie nam około trzech dni.

– Uważam, że powinniśmy uznać dowódcą Olganosa – powiedział Banokles. – On zdaje się wiedzieć, co robi.

Justinos pokręcił głową.

– Za młody. Wolimy ciebie. Ta staruszka wygląda tak, jakby zaraz miała spaść z konia.

– Słabe kolana – wyjaśnił Banokles.

Skorpios ścisnął piętami konia i podjechał do niej. Banokles i Justinos zrobili to samo.

Młody wojownik zsiadł i przytrzymał wodze klaczy, podczas gdy Myrine przeniosła jedną nogę nad jej grzbietem i usiadła bokiem.

– Wierzchowiec Enniona to łagodne stworzenie – powiedział Skorpios. – Nie poniesie

i nie zrzuci cię. Czy tak kolana mniej bolą?

– Tak – powiedziała piastunka, wygodniej sadzając sobie Obasa na podolku. – Dziękuję. Jesteś dobrym chłopcem.

Popołudniowe słońce mocno grzało, lecz od gór wiał zimny wiatr. Jechali po łagodnie pofalowanej równinie, usianej niewielkimi pagórkami i parowami. Wysoko na niebie Banokles ujrzał klucz gęsi lecących na północ ku jakiemuś odległemu jezioru. Zawsze lubił gęsi – szczególnie pieczone w sosie własnym. Zaburczało mu w brzuchu.

Gdy zbliżali się do niewielkiego lasku, ciemnowłosa księżę Peryklos podjechał do niego na koniu Kerio. Banokles spojrział na chłopca. Ten miał na sobie jasną tunikę obszytą złotą nicią, a w pasie więcej złota niż Banokles zarabiał przez rok.

– Powinniśmy ci znaleźć miecz – rzekł Banokles – albo długi sztylet.

– Po co? Nie pokonam przeciwnika w zbroi.

– Może nie – zgodził się Banokles – ale będziesz mógł obciąć mu jaja, gdy będzie cię zabijał.

Peryklos się uśmiechnął. Wyglądał przy tym jeszcze młodziej i delikatniej.

– Przykro mi z powodu twojego ojca – rzekł Banokles. – Ludzie mówią, że był wielkim mężem.

Uśmiech chłopca zgasł.

– Co będziemy robili w Troi? – zapytał.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– Czy będę tam mile widziany? Nie mam ziemi ani armii, ani bogactw.

Banokles wzruszył ramionami.

– Ja też nie mam. Może mógłbyś się wyuczyć na kowala. Jak byłem młody, zawsze chciałem być kowalem. Topić metal i walić go młotem.

– A ja nie – powiedział księżę. – Oni wszyscy zostają kalekami. Ojciec mówił, że ogrzewanie rudy psuje powietrze. Wszyscy kowale tracą czucie w palcach rąk i nóg.

– Masz rację – przyznał Banokles. – Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Zepsute powietrze, tak? Nie słyszałem o tym.

Peryklos nachylił się do niego.

– Mamy w górach jaskinie, gdzie powietrze jest czasem bardzo złe. Ludzie, którzy próbują w nich spać, umierają. Kiedy byłem mały, kilkoro wędrowców schroniło się w takiej jaskini. Pięciu mężczyzn i kobieta. Jakiś przechodzień znalazł ich martwych i pobiegł do pobliskiej wioski, by zawiadomić naczelnika. Wrócili do jaskini, ale była noc, więc nieśli pochodnie.

Naczelnik wszedł do jaskini, a wtedy zagrzmiało i błysnęło. Jakaś siła wyrzuciła go na zewnątrz, z opalonymi brwiami i brodą.

– Umarł? – spytał Banokles.

– Nie sędzę. Od tej pory nikt nie zbliżał się do tych jaskiń. Mówili, że żyje w nich ziejący ogniem potwór.

– Może lubi zepsute powietrze – podsunął Banokles.

Peryklos westchnął.

– Jaka jest Troja?

– Duża.

– Mieszkasz w pałacu?

– Nie. Kiedyś mieszkałem. Przez pewien czas. Mam dom, w którym mieszkam z Rudą, moją żoną.

– Może Obas i ja moglibyśmy zostać z wami. Myrine by gotowała.

– Byłoby dobrze – powiedział Banokles. – Ruda to cudowna kobieta, ale przygotowane przez nią jedzenie smakuje jak kozie bobki. Oprócz ciast – ale te dostaje od znajomego piekarza. Poza tym spodziewam się, że Hektor weźmie was do swojego pałacu. Spotkałeś go kiedyś?

Peryklos skinął głową.

– Ojciec bardzo go lubi. – Zwiesił głowę. – Powinienem powiedzieć lubił. – Zacisnął zęby. – Pewnego dnia wrócę tu z armią i zabiję wszystkich Idonoi. Nic z nich nie zostanie. Nawet wspomnienie.

– Zawsze dobrze mieć jakiś plan – zauważył Banokles.

– Jaki jest twój?

Banokles wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Wrócić do domu i przytulić się do Rudej, przyłożyć głowę do po duszki i przespać kilka dni. Po tym jak się upiję, oczywiście.

Peryklos się uśmiechnął.

– Kiedyś się upiłem. Zakradłem się do komnat ojca i wypięm kubek wina nierozcieńczonego wodą. To było okropne. Pokój wirował i upadłem. Potem rzygałem. Byłem chory przez kilka dni.

– Musisz nad tym popracować – powiedział Banokles. – Po pewnym czasie znajdziesz złotą chwilę.. Tak to nazywał mój ojciec. Wszystkie obawy znikają, problemy maleją i świat zdaje się... szczęśliwym miejscem.

– A co potem?

– Potem pokój wiruje, rzygasz i jesteś chory przez kilka dni.

Peryklos się roześmiał.

– Nigdy więcej nie będę pił wina. Na samą myśl o nim mam skurcze żołądka. – Przez chwilę jechali w milczeniu, a potem książę powiedział: – Wyglądałeś na rozeźlonego, gdy rozmawiałeś z oficerem na przełęczy. Dlaczego?

– Był moim bratem w mieczu. Jednak kiedy zaproponowałem, że pomogę mu bronić przełęczy, odmówił.

– Może nie chciał, żebyś zginął razem z nim. Rozmawiałem z kilkoma Kikones. Jeden z nich był oficerem w naszym pałacu. Powiedział, że będą tam walczyć do końca.

Banokles pokręcił głową.

– Kalliades coś wymyśli. Przechytrzy wroga. Jak zawsze.

– Skoro tak twierdzisz – rzekł Peryklos.

Banokles popędził konia i skierował go na szczyt niskiego wzgórza. Peryklos był jeszcze chłopcem i nie znał możliwości Kalliadesa. Mimo to pesymistyczne słowa chłopca go zaniepokoiły. Banokles widział hordę Idonoi. Garstka obrońców nie powstrzyma ich długo.

Pograżony w myślach wjechał na szczyt pagórka – prosto na oddział liczący około pięćdziesięciu jeźdźców z pomalowanymi twarzami.

Banokles zaklął i wyrwał oba ostrza z pochew.

Kalliades znów był na *Penelopie* i rzeński wiatr wydymał żagiel. Piria stała obok, spoglądając na walczącego z falami czarnego wieprza.

– Uda mu się? – zapytała.

– Przeżyje nas oboje – odparł Kalliades.

Próbowała mu coś powiedzieć, lecz jej słowa zginęły w zgiełku, szczęku mieczy i wrzaskach. Jej twarz zbladła i znikła.

Kalliades otworzył oczy. Leżał między głazami, bolała go głowa i mgła przesłaniała mu wzrok. Spróbował wstać i poczuł przeszywający ból w piersi. Miecz Arguriosa leżał obok niego na ziemi, z ostrzem zboczonym krwią. Kalliades spojrział na ręce. One też były zakrwawione.

Podniósł się na klęczki i usiłował wstać, ale znów upadł i przetoczył się na plecy. Krew zalewała mu prawe oko, więc ją starł. Odczołgał się na bok i usiadł pod głazem. Prawe oko miał podbite i opuchlizna szybko je zamykała. Pamiętał topór z brązu, który spadł na jego hełm, rozbił go i zwałił go z nóg.

Odparli pięć ataków. Podczas pierwszego wróg nawet nie doszedł do obrońców, zmuszony do odwrotu przez śmiercionośny deszcz strzał wypuszczanych z góry.

Przegrupował się, ustawiając na czele wojowników z tarczami, i znów natarł. Strzały nadal trafiały w cel, przebijając nogi, ręce i ramiona. Kalliades poprowadził kontratak, który rozbił nieprzyjacielski szyk i znów zmusił wroga do ucieczki.

Trzeci atak nastąpił niebawem, co świadczyło, że ich dowódca utrzymywał surową dyscyplinę. Jego oddziały nie mogły tracić ducha. Niczym wzburzone morze będą nacierać na trackie linie.

Później wróg zmienił taktykę. Jego łucznicy podkradali się i strzelali do trackich łuczników, zmuszając ich do szukania osłony.

Potem nastąpił atak konnicy. Kalliades kazał swoim ludziom zewrzeć szyk i nastawić tarcze.

Żaden koń nie wpadnie na taki mur. Jednak jeźdźcy Idonoi przeskakiwali przez nie i wpadali na następne szeregi, rozpraszając ludzi. Mieli lekkie zbroje, więc walka była krótka i krwawa. Mimo to Trakowie ponieśli ciężkie straty: wielu miało połamane kości od kopnięć końskich kopyt lub rany od lanc przebijających hełmy i napierśniki.

Podczas piątego ataku trackim łucznikom zabrakło strzał i wróg natarł z większą pewnością siebie.

Ponad połowa Traków poległa, a pozostałych ledwie wystarczało do obsadzenia pierwszej linii obrony.

Kalliades doliczył się około setki wojowników. Chciał do nich dołączyć, ale nie miał siły.

Ogarnęło go ogromne zmęczenie. Nagle odchylił głowę do tyłu i spojrzał w niebo. Chmury nad górami były poprzecinane złotymi smugami gasnącego słońca. Zobaczył stado przelatujących ptaków. Jak dobrze musi być, pomyślał, rozłożyć skrzydła i wzbić się w niebo, unieść wysoko nad niepokojami tego świata.

Znów poczuł przeszywający ból w piersi. Spojrzawszy w dół, zobaczył, że zbroję ma rozerwaną i krew sączy się spomiędzy płytek. Z początku nie mógł sobie przypomnieć momentu, kiedy został ranny. Potem zobaczył skaczącego konia i lancę, która trafiła go w pierś i odrzuciła w tył.

Z miejsca, gdzie siedział, widział całą linię obrony. Zaczęła się wyginać, bliska rozerwania.

Kiedy pięknie, bitwa się zakończy. Obronny szyk rozpadnie się na kilka osobnych, rozpaczliwie broniących się grup.

Instynktownie poszukał wzrokiem kryjówki. Co robisz, zapytał się w duchu. Stąd nie ma ucieczki.

I znów zobaczył siebie jako małego chłopca, kryjącego się na polu lnu.

Ruda miała rację. Jego cząstka nigdy stamtąd nie wróciła. Siostra była dla niego słońcem i księżycem, jej miłość oparciem, na którym zawsze mógł polegać. Jej śmierć, nagła i okropna, przeraziła go bardziej, niż podejrzewał. Tamten chłopczyk na polu lnu zdecydował, że już nigdy nie pozwoli miłości wkroczyć w swoje życie, z tym strasliwym bólem, tą okropną udręką.

Chcesz żyć? – zadał sobie pytanie.

I w tym momencie, na przełęczy skąpanej w ostatnich promieniach słońca, zrozumiał, że tak.

Zatem uciekaj z tego pola lnu!

Z okrzykiem gniewu i bólu Kalliades chwycił miecz Arguriosa i dźwignął się z ziemi. Potem powlókł się ku walczącym.

Idąc, usłyszał łoskot kopyt na kamieniach. Odwrócił się i zobaczył około pięćdziesięciu jeźdźców galopem zjeżdżających z przełęczy.

Na ich czele, z szablą w dłoni, jechał Banokles.

Tracy obrońcy rozbiegli się na prawo i lewo, przepuszczając jazdę. Lansjerzy wpadli na wojowników Idonoi, tnąc wściekle. W szeregach wroga wybuchła panika i Idonoi rzucili się do ucieczki, ścigani przez jazdę.

Kalliades próbował wepchnąć miecz do pochwy, ale zabrakło mu sił i ostrze z brzękiem upadło na ziemię. Kalliades upadł obok niego i oparł się plecami o głaz. Dziwne, ale wciąż słyszał szum morza.

Potem osunął się w mrok.

Kiedy w końcu odzyskał przytomność, nie miał na sobie zbroi, a rana na piersi była zeszyta.

Wokół paliły się ogniska. Obok stał Banokles.

– Dobrze cię widzieć – rzekł Kalliades.

– Niech cię zaraza, ptasi mózdzku – powiedział Banokles. – Mogłeś mi powiedzieć, że czekacie tu na śmierć.

– A odjechałbyś, gdybym ci powiedział?

– Oczywiście, że nie. Przecież mówię. Bracia w mieczu trzymają się razem.

Kalliades chwycił dłoń Banoklesa i usiadł.

– Gdzie znalazłeś konnicę?

– Na równinie za przełęczą. Uciekli ze zdobytego miasta. Najpierw pomyślałem, że to wróg, i rzuciłem się na nich. A oni uciekli przede mną ze śmiechem. Dranie. No cóż, jak już

się naśmiali, powiedziałem im, że będzie bitwa, i poprowadziłem tutaj. Chyba dobrze, no nie? No i kto tu umie myśleć?

– Oczywiście ty, Banoklesie, mój przyjacielu. Mój zacny, drogi przyjacielu.

Banokles spojrział na niego podejrzliwie.

– Myślę, że ten cios w głowę poluzował ci klepki. No dobrze, jak długo jeszcze mamy bronić tej przełęczy?

– Ani chwili dłużej – odparł Kalliades. – Pozostając tu, postąpilibyśmy głupio i niczego nie zyskali. Zostawcie pałace się ogniska i wyprowadźcie stąd konie najciszej, jak możecie. Obwiążcie im kopyta szmatami. Wymkniemy się w ciemnościach i ruszymy do Karpei. Jeśli dopisze nam szczęście, Idonoi nie zaatakują przed świtem, a do tej pory będziemy daleko stąd.

– Tak już lepiej – rzekł uszczęśliwiony Banokles. – Odpoczywaj. Każę Olganosowi zorganizować odwrót. On jest dobry w organizowaniu. Zostawili ci trochę wina?

– Nie – odparł Kalliades.

Banokles zaklął i odszedł.

Kalliades trochę podrzemywał i znów śniła mu się Piria. Stała na pokładzie czarnego statku płynącego ku zachodowi. On stał na złotym piasku. Podniósł rękę i pomachał jej, lecz ona spoglądała ku zachodzącemu słońcu i nie widziała go.

Podróż na wschód była powolna, gdyż na równinach często napotykali nieprzebyte mokradła, rojące się od wazek i much. Połączone oddziały, liczące razem stu czterdziestu dwóch ludzi i niechętnie dowodzone przez Banoklesa, musiały je obchodzić i szukać twardszego gruntu.

Rankiem pierwszego dnia natrafili na sześć porzuconych wozów dostawczych. Były splądrowane i bez koni. Banokles, za radą młodego Olganosa, kazał zaprząć do nich konie. Na wozach umieszczono cięższe rannych, w tym Kalliadesa. Około południa napotkali następnych uciekających Traków. Czterdziestu trzech pieszych, dobrze uzbrojonych, oraz dwudziestu lekkozbrojnych jeźdźców. Ci nadeszli z północnego zachodu, gdzie siły Idonoi zdobyły ich fort.

Banokles miał nadzieję, że Kalliades wydobrzeje na tyle, aby dowodzić odwrotem, lecz w nocy stan rannego się pogorszył. Teraz spał na pierwszym wozie, a nawet jeśli czasem odzyskiwał przytomność, nie mógł zebrać myśli. Zaczął gorączkować i mocno się pocił.

Banokles zeszył mu ranę na piersi, ale nie wiedział, jak była głęboka i czy nie zostały uszkodzone jakieś wewnętrzne organy.

Olganos rozesłał zwiadowców na północ, południe, wschód i zachód, aby wypatrywali

wroga. Gdy oddział powoli posuwał się naprzód, zwiadowcy napotykali następnych uchodzących wojowników Kikones i przysyłali ich do głównej kolumny. Do zmroku Banokles miał pod komendą ponad trzystu żołnierzy.

– Ciagną do nas jak muchy do gówna – narzekał przed Olganosem.

Młodzieniec wzruszył ramionami.

– Będziemy silniejsi, gdyby nas zaatakowano.

Pierwsza dobra wiadomość przyszła, gdy rozbili obóz na noc. Jeden ze zwiadowców z zachodu zameldował, że armia Idonoi nie ruszyła z przełęczy na wschód i teraz znajduje się już o dzień drogi za nimi. Gdy jego ludzie udali się na spoczynek, Banokles odszukał Kalliadesa.

Ten był przytomny, ale bardzo słaby. Banokles przyniósł mu wody.

– Nie ma co jeść – powiedział.

Kalliades przez chwilę nic nie mówił. Twarz miał szarą jak popiół i lśniącą od potu.

– Na północy i na wschodzie są farmy – rzekł. – Jutro rano wyślij tam jeźdźców.

Zbierz trochę bydła lub owiec.

– Dobry plan – pochwalił Banokles.

– I chodź między żołnierzami, Banoklesie. Niech czują twoją obecność. Trakowie to dumni ludzie, ale porywczy, skorzy do gniewu lub rozpacz. Musisz dodać im ducha.

Kalliades położył się i zaczął dygotać. Banokles okrył go płaszczem.

– Wyzdrowiejesz – powiedział. – Jesteś twardy. Wyzdrowiejesz.

Wciąż dygocząc, Kalliades zasnął. Banokles siedział przy nim przez jakiś czas, a potem wstał. Wszędzie wokół ludzie siedzieli w małych grupkach. Prawie nie rozmawiali ze sobą i nad obozem unosił się nastrój przygnębienia. Banokles podszedł do Peryklosa, który siedział przy starej piastunce i śpiącym Obasie.

– Jutro znajdziemy żywność – oznajmił. – Na wschodzie są farmy i w ogóle.

Peryklos kiwnął głową, ale i on wyglądał na przybitego. Banokles poszedł dalej. Grupka jeźdźców, których powiódł na przełęcz, siedziała razem. Spojrzeli na niego, gdy podchodził.

– Ktoś z was zna te okolice? – zapytał.

Przecząco pokręcili głowami.

– Jesteśmy z Kalliros – rzekł wysoki mężczyzna z niebieskimi pasami na czole.

Banokles przypomniał sobie, że ma na imię Hillas.

– Wy, z Kalliros, dobrze walczyście – powiedział.

– Nie dość dobrze – mruknął Hillas.

– Porządnie skopaliście tyłki tym Idonoi na przełęczy. I wciąż żyjecie. Na Hades, chłopcy, bywałem w gorszych opałach. I nadal żyję.

Hillas odkaszlnął i splunął.

– Mogłoby być gorzej? Nasze rodziny są wymordowane lub w niewoli. Wszystkie nasze miasta padły, a my uciekamy ku morzu.

Banokles nie miał na to odpowiedzi. Nagle pojawił się Peryklos.

– Mój dziad zdobył wszystkie miasta Idonoi – powiedział. – Oni także byli podbitym ludem. A teraz spójrzcie na nich. Dziś to nie zawsze. Służcie mi wiernie, a pewnego dnia wrócimy i odbijemy naszą ojczyznę.

Wojownicy zamilkli, a potem ten z pomalowaną na niebiesko twarzą wstał.

– Przysięgaliśmy wierność królowi Rhesosowi. Może pewnego dnia będziesz równie wielki jak on. Teraz jednak jesteś tylko chłopcem. Ja jestem Hillas, pan Zachodnich Wzgórz. Nie przysięgnę wierności chłopcu.

Peryklos nie wyglądał na urażonego.

– Musisz zobaczyć coś więcej niż tylko mój wiek, Hillasie. Mój ojciec zawarł przymierze z Troją. Jako jego syn i dziedzic ja jestem tym przymierzem. W Troi zbierzemy siły i nową armią. To trochę potrwa. Przez ten czas stanę się mężczyzną.

– A przez ten czas – spytał Hillas – kto będzie naszym przywódcą? Ktokolwiek to będzie, spróbuje zasiąść na tronie. Tam widzę Wollina. – Wskazał na grupkę siedzących w pobliżu wojowników. – On nie pójdzie za mną, a ja na pewno nie oddam się pod jego nieudolne rozkazy.

Mężczyzna nazwany Wollinem, przysadzisty i łysy, zerwał się na równe nogi, jego ludzie także. Szable z sykiem wysuwały się z pochew, zza pasów wyciągano noże.

– Niech nikt się nie rusza! – ryknął gniewnie Banokles. – Na bogów, jesteście bandą głupich krowich synów. Ty – powiedział, mierząc wzrokiem Hillasa. – Nie dbam o to, czy jesteś jego świńską mością panem Zachodnich Owcojebców. Teraz nie władasz niczym. Rozumiesz? Niczym. A ty – warknął na łysego wojownika – nie waż się wyciągać miecza na żadnego z moich ludzi. Nigdy i z żadnego powodu. Co się z wami dzieje, ludzie? Nie wystarczy wam przeklętych wrogów? Musicie zabijać się wzajemnie?

– Nie jesteśmy twoimi ludźmi, Trojańczyku – warknął Hillas.

Banokles już miał powalić go uderzeniem pięści, gdy znów przemówił młody książę.

– On jest moim generałem – powiedział Peryklos. – I ma rację. Głupio walczyć ze sobą. Wczoraj – ciągnął, zwracając się do Wollina – miałeś zginąć na przełęczy jako bohaterski Kikones. Dzisiaj żyjesz. A dlaczego? Ponieważ inny bohaterski Kikones, Hillas,

pan Zachodnich Wzgórz, przybył ci z pomocą. Właśnie tak przetrwamy i wrócimy, aby zwyciężyć. Jeśli połączymy siły i zapomnimy o drobnych nieporozumieniach.

Hillas nabrał tchu i schował szablę do pochwy. Zmierzył wzrokiem Banoklesa.

– Jak on może być naszym generałem? To Trojańczyk.

Banokles już miał powiedzieć, że nie jest Trojańczykiem, ale Wollin odezwał się pierwszy.

– Myślę, że to dobry pomysł – rzekł.

– No pewnie! Ponieważ ja jestem mu przeciwny! – odparł Hillas.

– Słowa chłopca mają sens. Między szlachtą zawsze były niesnaski. I pewnie zawsze będą. Właśnie dlatego potrzebujemy silnego władcy. Gdybym był dwadzieścia lat młodszy, może sam spróbowałbym objąć tron i przy okazji poderznąć ci gardło. Jednak nie jestem już młody, a wszyscy moi synowie nie żyją. Mając cudzoziemca za wodza, uniknęlibyśmy zawiści i sporów o stanowisko. Możemy zjednoczyć się pod przywództwem Peryklosa.

– Jest nas tylko trzystu – powiedział Hillas, z którego wyparował gniew. – Nie odbijemy Tracji.

– Jest nas trzystu teraz – rzekł Peryklos. – Wczoraj było nas o połowę mniej. Inni też uciekną i jeśli dopisze im szczęście, dotrą do Troi. Kiedy wrócimy, zbierzemy ludzi z północnych górskich plemion i innych, mających dość dominacji Mykeńczyków i Idonoi.

– Mówi jak jego ojciec, no nie? – stwierdził Wollin.

– Tak, zaiste – przyznał Hillas. – Chociaż wciąż nie wiem, czy chcę, by dowodził nami Trojańczyk.

– On już poprowadził was do boju – przypomniał Peryklos. – I do zwycięstwa. Co więcej, kiedy stałem sam w lesie, otoczony przez wojowników Idonoi, którzy zamierzali mnie zabić, ten człowiek przyszedł i zaryzykował dla mnie życie. Widziałem go już w trzech bitwach. Każdą z nich powinniśmy przegrać, lecz Banokles jest wielkim wojownikiem i dobrym wodzem.

Hillas nagle się roześmiał.

– Na widok moich pięćdziesięciu wojowników wyjął miecze i zaatakował. – Banokles wyczuł, że nastrój zebranych się zmienił, jakby rześki wietrzyk powiał po burzy. – Bardzo dobrze. Akceptuję go jako naszego wodza.

Banokles odszedł, głodny i skołowany. Nikt nie raczył go zapytać, czy w ogóle chce być jakimś wodzem, i nikt nie wspominał o zapłacie. Co i tak było bez znaczenia, bo jak tylko dotrą do Karpei, z przyjemnością zrzeknie się dowodzenia na rzecz prawdziwych oficerów.

Wiał chłodny wiatr i Banokles znalazł sobie miejsce osłonięte przez gęste krzaki.

Wyciągnął się na trawie i zamierzał zapaść w głęboki sen. Prawie zasypiał, gdy usłyszał kroki. Otworzywszy oczy, zobaczył Peryklosa. Chłopiec przysiadł obok niego.

– Dziękuję ci za to, co zrobiłeś – powiedział. – Obawiam się, że mogło dojść do rozlewu krwi.

– Ile ty masz lat? – zapytał Banokles.

– Prawie trzynaście. Bo co?

– Nie mówisz jak żaden znany mi trzynastoletni chłopiec.

– Nie umiem mówić inaczej – zdziwił się Peryklos.

– Mam na myśli to, że nie mówisz jak chłopiec, ale jak stary nauczyciel. „Obawiam się, że mogło dojść do rozlewu krwi” – powtórzył Banokles. – Tam, skąd ja pochodzę, chłopcy tak nie mówią. Rozmawiają o zabawach i dziewczynach i chełpią się, jakich to wielkich czynów dokonają, kiedy dorosną.

– Wszyscy moi nauczyciele byli starzy – powiedział Peryklos. – Ojciec nie uznawał zabaw, chyba że czemuś służyły, na przykład bieganie dla wzmocnienia mięśni lub manewrowanie drewnianymi żołnierzami, żeby lepiej zrozumieć strategię. Większość czasu spędzałem ze starymi ludźmi, którzy opowiadali o dawnych wojnach, starych dziejach i wielkich czynach. Wiem, jak głębokie muszą być fundamenty domu i jak dopasować czopy w belkach. Przygotowywał mnie do rządzenia.

– Nie bawił się z tobą, kiedy byłeś mały?

– Bawił? Nie. Mało czasu spędzaliśmy razem. W zeszłym roku, na urodziny, odprowadził mnie na bok i powiedział, że ma dla mnie szczególny prezent. Potem zabrał mnie do pałacowych lochów, gdzie na posadzce klęczał zdrajca ze związanymi rękami. Ojciec pozwolił mi poderznąć mu gardło i patrzeć, jak umiera.

– Niezupełnie o to pytałem – rzekł Banokles.

– Ja będę spędzał więcej czasu z moimi synami – jeśli pożyję dostatecznie długo, żeby ich mieć. – Zerknął na Banoklesa. – Masz coś przeciwko temu, że położę się obok ciebie?

– Skądże – skłamał Banokles, niezbyt zachwycony perspektywą spania obok tego dziwnego młodzika, nauczonego podrzynania gardeł. Peryklos wyciągnął się na ziemi i podłożył sobie rękę pod głowę. Banokles postanowił zaczekać, aż chłopiec zaśnie, a potem znaleźć sobie inne miejsce do spania.

XXXII. BITWA O KARPEĘ

Peleus z Tesalii nigdy nie wierzył w zasady bohaterskiego przywództwa, zgodnie z którymi król walczy w pierwszym szeregu obok swoich ludzi. Takie postępowanie to zwyczajna głupota, gdyż zabłąkana strzała lub rzucony na oślep oszczep mogą zmienić wynik bitwy. Nie ma to nic wspólnego z tchórzostwem, mówił sobie. Król powinien być blisko pola walki, żeby podejmować decyzje na podstawie przebiegu wydarzeń, ale absolutnie nie wystawiać się na niebezpieczeństwo.

Dlatego siedział spokojnie na wysokim białym koniu, otoczony przez doborową straż przyboczną złożoną z trzystu ciężkozbrojnych żołnierzy, podczas gdy jego tesalscy wojownicy i sprzymierzeni z nimi Idonoi zaatakowali Trojańczyków na równinie Karpei. Teren idealnie nadawał się na pole bitwy, szeroki i płaski, niemal bez wzgórz, na których wróg mógłby się bronić, bez lasów, do których mógłby uciec. Tylko trawiasta równina, a za nią morze. Nawet niewielka osada nie zapewniała schronienia. Karpea nie miała palisady.

Peleus wiedział, że w innych okolicznościach, mając przeciwko sobie czterokrotnie liczniejszego przeciwnika, Hektor by się wycofał i poszukał odpowiedniejszego miejsca. Jednak teraz nie mógł tego zrobić, gdyż na brzegu leżały barki potrzebne mu do ucieczki z Tracji.

Inny dowódca wycofałby się mimo to, wiedząc, że nie ma szans przeciwko dwunastotysięcznej armii. Jednak Peleus słusznie odgadł, że arogancja Hektora skłoni go do zaryzykowania wszystkiego w ostatniej, walnej bitwie. Tylko że teraz nie miał lasów, w których mógł ukryć swoją jazdę, ani czasu na zastawianie pułapek. Jego wojsko, niecałe trzy tysiące ludzi, walczyło o życie.

Peleus z uciechą obserwował rozwój wydarzeń. Z niskiego pagórka widział, jak Trojańczycy są powoli spychani w tył. Wróg walczył głównie pieszo, tylko na prawym skrzydle niewielki oddział trojańskiej jazdy powstrzymywał Idonoi próbujących uderzyć z flanki.

Hektor ustawił żołnierzy w falangę – trzy kolumny liczące po dziewięciuset ludzi uzbrojonych w długie włócznie i wysokie tarcze. Doskonała taktyka w walce z przeważającym liczebnie przeciwnikiem. Peleus wiedział, że mogłaby być skuteczna, gdyby miał tylko dwukrotną przewagę. Jednak tesalskie oddziały były znacznie liczniejsze. Lada chwila trojański szyk pęknie i jego żołnierze okrążą wroga i zacisną pierścień, ograniczając

możliwości manewrowania i walki. Wtedy zacznie się rzeź. Ta chwila była bliska.

Jak cudownie będzie zobaczyć głowę Hektora zatkniętą na włóczni. Ten wspaniały moment zetrze gorycz klęski, którą smakował przez ostatnie trzy lata.

Peleus zawsze był dumny ze swego syna Achillesa i radował się jego sukcesami, gdyż mówiono o triumfach syna króla Peleusa, przynoszących chwałę ojcu. Potem przyszła zmiana, niepożądana i przykra. Wspaniały Achilles, pan wojny, zaczął jaśnieć własną chwałą.

I niepostrzeżenie sława Peleusa zbladła. Teraz wspominało o nim tylko jako o ojcu herosa.

Pozornie słowa pozostały te same. Syn Peleusa czy ojciec Achillesa. Jednak zmieniło się ich znaczenie. To irytowało Tesalczyka. Z każdym nowym zwycięstwem sława Achillesa rosła.

Teraz był zdobywcą Ksanthi i Kalliros, wyzwolicielem Tracji.

Usiłując odzyskać należną mu część chwały, Peleus poprowadził swoją armię na miasto Ismaros. Odyseusz miał zablokować port. Tylko że Brzydki Król poprowadził nocny wypad, jego ludzie wspięli się na mury i otworzyli bramy Peleusowi oraz jego Tesalczykom. Miasto zostało zdobyte. Kogo ludzie sławili?

Odyseusza, Zdobywcę Miast. Przebiegłego Odyseusza. Sprytnego Odyseusza.

Nie dziś. Ten triumf będzie wyłącznie sukcesem króla Peleusa – Króla Bitew, zwycięzcy potężnego Hektora.

Nieco dalej trojańska falanga po lewej zdawała się rozpadać. Peleus przyglądał się temu z lubością. Nadchodziła godzina triumfu, a jego smak był słodki.

Nagle ujrzał Hektora, który w swej zbroi z brązu i srebra zajął miejsce w pierwszym szeregu.

Jego żołnierze odzyskali odwagę i zwarli szyki.

No cóż, trzeba będzie jeszcze chwilę poczekać. Tym lepiej, pomyślał Peleus. Im dłuższe oczekiwanie, tym słodsze zwycięstwo.

Jego napierśnik był ciasny i pił go w szyję. W ciągu kilku ostatnich lat ciągle tył.

Uświadomił sobie, że wojna dobrze mu robi. Znów będzie silny i szczupły, jak kiedyś. Jak jego dzieci.

Nagle pomyślał o Kaliope. Ona była szczupła i uwielbiał trzymać ją na kolanach, kiedy była mała. Tak podobna do matki.

Jednak tak samo jak jej matka, zwróciła się przeciwko niemu. Podstępna, zdradziecka dziewczka. Czy nie wychowała się w luksusie, niczego nie robiąc? I jak mu odpłaciła? Paradując nago i uwodząc go. Tak, właśnie tak. Zrobiła z niego Egipcjanina, pożądanego

własnej krwi.

Nie powinno go to dziwić. Wszystkie kobiety to zdziry. Niektóre potrafią skrywać to lepiej niż inne, ale wszystkie są takie same.

Teraz nie żyje. Co dowodzi, że bogowie są sprawiedliwi.

Podszedł do niego Kowos, dowódca jego straży przybocznej. Był weteranem wielu bitew i doświadczonym żołnierzem, ale brakowało mu wyobraźni.

– Powinniśmy uderzyć, panie. Są bliscy klęski.

– Jeszcze nie, Kowosie.

– Jeśli uderzymy w środek, rozbijemy szyk. Trojańczycy są wyczerpani. Tak, tylko musiałbym ruszyć z wami, pomyślał Peleus, i wystawić się na ciosy mieczów i pchnięcia włóczni.

– Ruszymy, kiedy powiem – rzekł dowódca straży.

Kowos odszedł do swoich ludzi.

Powinien być mi wdzięczny, pomyślał Peleus. Nie musi stawać oko w oko ze śmiercią. Jednak jest głupi i nie ma dość rozumu, aby docenić swoje szczęście.

W oddali widział chaty i szałas rybackiej wioski oraz wyciągnięte na brzeg barki. Na nich jego oddziały przeprawiają się przez wąskie cieśniny do Dardanii. Peleus obawiał się, że będzie musiał popłynąć na jednej z tych okropnych, płaskodennych łodzi. Teraz jednak, opromieniony blaskiem zwycięzcy Hektora, będzie mógł w chwale wrócić do Tesalii i pozwolić, by Achilles poprowadził jego wojowników za morze.

Wróciwszy spojrzeniem na pole bitwy, zobaczył, że jego oddziały ponoszą ciężkie straty.

Tylko jego straż przyboczna była ciężkozbrojna, pozostali tesalscy żołnierze mieli lekkie skórzane napierśniki, które nie dawały żadnej osłony przed ciężkimi włóczniami trojańskiej jazdy. Jednak napierśniki z brązu są kosztowne, a ludzkie życie tanie. Idonoi również tracili trzech wojowników na każdego zabitego Trojańczyka. Plemieńcy byli jeszcze gorzej uzbrojeni od jego żołnierzy. Wielu z nich nie miało w ogóle pancerza.

To bez znaczenia. Bitwa była prawie wygrana.

Nagle zobaczył, że jego gwardziści odwracają się i spoglądają na zachód. Peleus się odwrócił.

Zobaczył szereg jeźdźców. Groty lanc błyszczały w słońcu.

– Wyślij do nich posłańca – zawołał do Kowosa. – Niech zaatakują z flanki.

– To nie nasi ludzie – odparł ponuro Kowos.

– Oczywiście, że nasi. Za nami nie ma żadnych nieprzyjacielskich oddziałów.

– Spójrz na tego w środku – rzekł Kowos. – Na siwym koniu. Nosi trojańską zbroję.

– Zdarł ją z jakiegoś trupa – rzucił Peleus, ale zaczął go toczyć robak wątpliwości.

Mężczyzna na siwym koniu wyjął dwa miecze i uniósł nad głowę. Jazda ruszyła, nabierając rozpędu. Z gromowym łoskotem kopyt pomknęła ku tesalskim tyłom.

– Formować szyk! – ryknął Kowos. – W tył zwrot, psy! Nadciąga śmierć!

Trzystu żołnierzy przybocznej straży królewskiej nie miało włóczni, tylko krótkie miecze i wysokie tarcze. Pośpiesznie próbowali sformować szyk, zwrócony na zachód. Peleus się cofał.

Był przerażony.

Teraz już wyraźnie widział mężczyznę na siwku. Jeździec był barczysty i jasnowłosy. Nie miał tarczy. W prawej ręce trzymał szablę, a w lewej krótki miecz.

Na pewno skręci, pomyślał Peleus. Żaden koń nie wpadnie na ścianę tarcz.

Jednak gwardziści nie zdążyli sformować jej do końca. Jeździec znalazł lukę i wpadł w nią z impetem, ciął szablą i rozplątał gardło tesalskiego wojownika.

Nagle zapanował chaos. Peleus nawet nie wyjął miecza. Widząc, jak pęka szyk gwardzistów, wpadł w panikę. Nie był w stanie myśleć o niczym innym, tylko o ucieczce. Spiął konia piętami i zaczął przedzierać się przez szeregi swoich ludzi, roztrzając ich i jeszcze poszerzając wyrwę.

Wypadł na otwartą przestrzeń i popędził rumaka do galopu. Stojący w pobliżu gwardziści na widok uciekającego króla ruszyli w jego ślady. W mgnieniu oka Tesalczycy poszli w rozsypkę.

Peleus nie zważał na to. Nie myślał o niczym, chciał tylko uciec stąd jak najdalej. Znaleźć jakąś kryjówkę. Jakąkolwiek! Za plecami słyszał wrzaski umierających.

Jego ogier mknął pełnym galopem na zachód, wzdłuż brzegu morza.

Ciężka włócznia przeleciała obok. Potem druga. Obejrzał się przez ramię i zobaczył doganiających go czterech jeźdźców. Następna włócznia wpadła między nogi jego rumaka. Biały ogier potknął się i Peleus przeleciał przez koński kark. Z impetem uderzył o ziemię, potoczył się i podniósł na klęczki, z trudem łapiąc oddech. Jeźdźcy podjechali i otoczyli go.

Z trudem wstał.

– Jestem król Peleus – zdołał wykrztusić. – Dostaniecie za mnie sowity okup.

Jeden z jeźdźców ubódł piętami swego wierzchowca i podjechał do niego z nastawioną lancą. Był chudy i jasnowłosy, a twarz miał pomalowaną w niebieskie pasy.

– Jestem Hillas, pan Zachodnich Wzgórz – powiedział. – Jak sowity okup?

Peleus poczuł bezgraniczną ulgę. Zaprowadzą go do Hektora, który jest człowiekiem

honoru i zrozumie. Achilles zapłaci okup z łupów zagarniętych w Ksanthi i Kalliros.

Nagle pojawił się jeździec na siwku.

– Co się tu dzieje? – zapytał.

– Ten król tutaj mówi coś o okupie – rzekł Hillas.

– Zabijcie krowiego syna. Bitwa jeszcze się nie skończyła.

Hillas uśmiechnął się.

– Skoro tak mówisz, wodzu, niechaj tak będzie.

Peleus słyszał te słowa, ale nie wierzył własnym uszom.

– Jestem Peleus! – wrzasnął. – Ojciec Achillesa!

Jeździec z pomalowaną w niebieskie pasy twarzą popędził konia i opuścił lancę.

Peleus zasłonił się rękami, lecz lanca przeszła między nimi i przeszła mu gardło.

Dławiąc się własną krwią, król upadł na kolana. Potem uderzył twarzą o ziemię i poczuł zapach letniej trawy.

– Dalej, owcojebcy! – usłyszał jeszcze krzyk. – Zabić ich wszystkich!

XXXIII. ŚMIERĆ NA WODZIE

Czuąc błogie zmęczenie, Kalliades usiadł w cieniu skały blisko brzegu. Rana, choć wciąż mu dokuczała, dobrze się goiła. Najpoważniejsze było uszkodzenie mięśni, ograniczające ruchy lewej ręki. Czasem miewał zawroty głowy po otrzymanym uderzeniu, lecz to wszystko nie zmniejszało radości, jaką czuł od czasu, gdy przeżył atak na przełęcz.

Teraz Kalliades miał wrażenie, że czeka na niego nowy świat, pełen światła, kolorów i zapachów, jakie dotychczas mu umykały. Nie w tym rzecz, że wcześniej nie doceniał piękna letniego dnia czy wspaniałości szkarłatnego zachodu słońca. Jednak ten podziw był chłodny i racjonalny. Uroki tego świata nie budziły w nim takich emocji jak teraz.

Nawet barki na brzegu, płaskodenne i brzydkie, wydawały mu się ładne, gdy w blasku słońca ich naoliwione deski lśniły jak złoto. Wszędzie panował gwar i zamieszanie, lecz to były tylko przejawy życia i one również sprawiały mu radość.

Banokles podszedł do niego i usiadł obok.

– Najwyraźniej nie powinienem był wczoraj zabijać tego króla – mruknął, zdejmując hełm i kładąc na piasku.

– Nie wiedziałem, że to ty go zabiłeś.

– Nie osobiście, ale kazałem to zrobić. Generałowie Hektora uważają, że mogliśmy go wykorzystać, żeby zmusić Achilleasa do wycofania się z Tracji.

Kalliades pokręcił głową.

– Achilles by się nie zgodził.

– Hektor też tak mówi. Jego generałowie mnie nie lubią. Krowie syny!

Kalliades się uśmiechnął.

– Wygrałeś bitwę, Banoklesie. Jedną szaloną szarżą.

– Co w niej było szalonego?

– Nie powinna się powieść. Zaatakowaliście najsilniejszy tesalski oddział – królewską straż przyboczną. Gdyby ich król był odważniejszy, odparliby atak i posiekali was na kawałki.

– Jednak nie odparli, no nie? – zauważył Banokles.

– Nie, mój przyjacielu, nie odparli. Zostałeś bohaterem dnia. Banokles i jego Trakowie. Cóż to będzie za opowieść.

Banokles zachichotał.

– Owszem, wspaniała. Trochę będzie mi ich brak.

– Brak?

– Zostają tutaj.

– Dlaczego?

– Jest tylko czterdzieści barek. Nie wystarczy, żeby za jednym razem przeprowić wszystkich. Hektor zabiera trojańską jazdę, a zostawia rannych i Traków. Mówi, że jutro przyśle barki. Jednak do tego czasu w cieśninach może pojawić się flota nieprzyjaciela lub następna przeklęta armia na horyzoncie.

– I co ty na to? – spytał Kalliades.

– Ja? Jak to co? Płynę z Trojańczykami.

– Ty i ja walczyliśmy razem w wielu bitwach. Jak byś się czuł, gdyby jeden z naszych generałów postanowił dać nogę, pozostawiając nas na jakimś nieprzyjaznym brzegu?

– Och, nie zaczynaj. Wiedziałem, że nie powinienem z tobą rozmawiać. Dać nogę? Ja nie uciekam. Jestem trojańskim żołnierzem. Nie wodzem jakichś krowich synów.

– Jesteś ich wodzem, Banoklesie. Zaufali ci na tyle, żeby pójść za tobą w bój.

Banokles obrzucił go gniewnym spojrzeniem.

– Ty zawsze komplikujesz najprostsze sprawy.

– To dlatego, że nic nie jest takie proste, jak byś chciał. Poza tym zostaję z rannymi. I jak sam mówiłeś, jesteśmy braćmi w mieczu. Powinniśmy trzymać się razem.

– Phi! Pamiętasz o braciach w mieczu, kiedy ci wygodnie. Na przełęczu ci to nie pasowało, co?

– Nie chciałem, żebyś zginął, mój przyjacielu. Teraz to co innego. Trakowie cię szanują. To dobrzy wojownicy, Banoklesie. Zaznali goryczy klęski i ich duma została wdeptana w kurz. Ty im ją oddałeś. Na przełęczu, kiedy powstrzymali wroga, i wczoraj, gdy zabili jednego z królów, którzy przynieśli wojnę do ich kraju. Jesteś dla nich talizmanem. Ocaliłeś synów ich króla i sprawiłeś, że znów czują się mężczyznami. Nie rozumiesz? Nie możesz ich teraz opuścić.

– Zrobiłem to wszystko?

– Tak.

– Cóż, chyba tak. – Banokles się zastanowił. – Chyba mógłbym z nimi zostać, przynajmniej dopóki nie dotrzemy do Troi.

– Byłoby dobrze.

– Muszę przyznać, że myliłem się co do nich. Ci chłopcy umieją walczyć.

Kalliades się uśmiechnął.

– Walczyli dla ciebie, generale.

– Nie nazywaj mnie tak! Ostrzegam cię, Kalliadesie. Mam tego powyżej uszu. A Ruda odgryzie mi ucho, kiedy to usłyszysz. Zobaczysz.

Kalliades uśmiechnął się i spojrzał na opuszczoną osadę. Składała się z około dwudziestu chat i kilku wysokich szop do wędzenia ryb.

– Gdzie się wszyscy podziali? – spytał.

– Wzięli łodzie i przepłynęli przez cieśniny – odparł Banokles. – Nie chcieli tu być, kiedy pojawi się wróg. Nie mam im tego za złe. Ja też nie chciałbym tu być, gdy znów się pojawi. Jak twoja rana?

– Dobrze się goi. Zaczyna swędzieć.

– To dobry znak – orzekł Banokles. Westchnął. – Nienawidzę być dowódcą, Kalliadesie. Chcę tylko dachu nad głową, trochę dobrego jadła w brzuchu i dzbana wina pod ręką.

– Wiem, przyjacielu. Kiedy wrócimy do Troi, wszystko będzie prostsze. Trakowie wybiorą sobie wodza spośród siebie, a ty wrócisz do ugania się za dziewczkami i chlania, do życia bez odpowiedzialności.

– Żadnych dziwek – powiedział Banokles. – Ruda rozwaliliby mi łeb. Jednak reszta brzmi dobrze.

Do osady doleciał dym ze stosów pogrzebowych na równinie.

– Ilu dziś straciliśmy? – zapytał Kalliades.

– Nie pytałem – rzekł Banokles. – Sądząc po rozmiarach stosów, na pewno kilkuset. Wróg stracił tysiące. Tak się dzieje, gdy armia rzuca się do ucieczki. Moi ludzie zabijali, aż ręce osłabły im tak, że nie mogli unieść włóczni. Mimo to kilka tysięcy uciekło. Mogą się przegrupować i wrócić.

Podeszło do nich dwóch mężczyzn. Kalliades uniósł głowę i zobaczył wysokiego wojownika o jasnych włosach i twarzy pomalowanej w niebieskie pasy oraz krępego i łysego Wollina, który walczył pod jego rozkazami na przełęczy. Obaj wyglądali na rozgniewanych.

– Mamy tu zostać? – zapytał wysoki.

– Do jutra – rzekł Banokles. – Wtedy przyślą po nas barki.

– Zostawiają nas tu, żebyśmy zginęli – powiedział Wollin. – To zdrada.

Banokles podniósł się z ziemi. Kalliades stanął obok niego.

– Hektor nie jest zdrajcą – rzekł Kalliades. – Barki wrócą.

– Skoro tak – zapytał Banoklesa Niebieska Twarz – to dlaczego odpływasz z nimi dzisiaj?

– Nie odpływam. Który owcojebca powiedział, że odpływam?

Kalliades zobaczył, że Trakowie spojrzeli po sobie. Potem przemówił Wollin.

– Trzej twoi ludzie, Olganos i dwaj inni. Już weszli na barki. Myśleliśmy, że popłyniesz z nimi.

– Miałbym tu was zostawić, chłopcy? Jak mogliście tak pomyśleć? Po tym wszystkim, przez co razem przeszliśmy.

Tamci wyglądali na zawstydzonych. Potem przemówił wysoki.

– Jeśli ty zostajesz – rzekł – to wierzę, że barki po nas wrócą. Inaczej nie zostawiliby cię tutaj.

– Dobrze – mruknął Banokles. – No to wszystko jasne.

– Wyślę zwiadowców – powiedział Wollin. – Przynajmniej nas ostrzegą, jeśli wrócą Idonoi.

Większość barek ściągnięto na wodę i Kalliades patrzył, jak wiosłarze walczą z silnym prądem. Chociaż po drugiej stronie cieśniny wyraźnie było widać brzeg Dardanii, barki zostaną zniesione przez silne prądy na południowy zachód i przybiją gdzieś dalej. W cieśninie czekały na nie trzy dardańskie galery eskorty.

Ostatnia z czterdziestu jeden barek niosących zbrojnych i konie została ściągnięta na wodę i flota wypłynęła. Niebo było bezchmurne, a wiatr słaby, co – jak wiedział Kalliades – było darem losu. Przeładowane i ciężko pracujące na fali barki łatwo mogły zatonać. Wystarczyłby szkwał, burza lub panika wśród koni. Odległość między górną krawędzią burty a lustrem wody była mniejsza niż długość męskiej ręki. Jeśli barka wpadnie choćby w lekki przechył, nabierze wody i pójdzie jak kamień na dno. Zakuci w ciężkie pancerze wojownicy nie będą mieli żadnych szans.

– Niechaj Posejdon zapewni im spokojne morze – powiedział.

Nagle Banokles zaklął.

– Co tam Posejdon – rzekł i wskazał na północny wschód. – Martw się tymi krowimi synami!

Za przyładką, za którym się ukryła, wypłynęła flota czarnych galer. Kalliades naliczył dwadzieścia okrętów.

Przeszedł go dreszcz. Przeciążone barki były bezbronne. Zostaną staranowane i zatopione, zanim zdążą dotrzeć do bezpiecznego brzegu.

Olganos nigdy nie był dobrym żeglarzem. Było to źródłem konsternacji w jego rodzinie, od wieków łowiącej ryby w Skamandrze. Jego żołądek buntował się nawet przy spokojnym morzu.

Ojciec obiecywał, że morska choroba mu przejdzie i jego ciało przywyknie do kołysania. Tak się nie stało i dlatego jako pierwszy z rodziny wstąpił do armii. Gdy tylko tego ranka wszedł na pokład płaskodennej barki, dostał mdłości. Justinos klepnął go w plecy i zachichotał.

– Na jaja Hadesa, chłopcze, jeszcze jesteśmy na brzegu, a ty już masz szarą twarz.

Olganos nie odpowiedział. Zaciśnął zęby i przygotował się na dobrze znany zawrót głowy, pieczenie w żołądku i nieuniknione wymioty. Lina na dziobie barki naprężyła się, gdy dardańska galera ściągała barkę na wodę. Olganos chwycił się relingu i spojrzał na morze. Barka zadrżała i uniosła się na wodzie.

Olganos rozejrzał się wokół. Na pokładzie upchnięto osiemdziesięciu ludzi i dwadzieścia koni. Wojownicy byli beztroscy i szczęśliwi, gdyż opuszczali wreszcie niegościnną Trację i wracali do domu, do bliskich i do bezpiecznej Troi. Olganos beknął i zapiekło go w gardle.

W tym momencie nienawidził morza.

Ośmiu wioślarzy na obu burtach miało niewiele miejsca. Przeklinali tłoczących się wokół żołnierzy. Dwaj sternicy na rufie zaśmiewali się z zamieszania.

Olganos ponurym spojrzeniem obrzucił brzeg. Wolałby zostać tam z Banoklesem i Trakami, ale to tylko odwlekłoby przeprawę.

Ostatnią barkę ściągnięto na wodę, a Olganos patrzył, jak podskakuje i tańczy na fali.

Zamknął oczy, gdy nowy przyływ mdłości sprawił, że żołądek podszedł mu do gardła.

– Może popłyniemy tak aż do Troi – rzekł Skorpios.

Na myśl o tym Olganos o mało nie wpadł w panikę. Zaraz jednak zwyciężył zdrowy rozsądek. Barki miały wrócić po Traków i Banoklesa. Gniewnie spojrzał na uśmiechającego się do niego Skorpiosa.

– Bardzo śmieszne – zdołał wykrztusić.

– Czy od tego kołysania serce nie skacze ci w piersi? – spytał Justinos Skorpiosa. – Gdy łódź tak podskakuje i opada, podskakuje i opada.

Olganos przeklął ich, wychylił się za burtę i zwymiotował. Niewiele mu to pomogło. Wciąż miał mdłości, a teraz w dodatku bolała go głowa.

Wyprostował się i zobaczył flotę czarnych okrętów wypływającą zza przylądka na północnym wschodzie. Przez moment myślał, że to Dardańczycy. Potem zrozumiał, że nie.

Stojący obok niego Justinos zaklął pod nosem.

Trzy dardańskie galery zobaczyły okręty wroga i wykonały zwrot. Szybki prąd z

okrutną szybkością niósł mykeńskie okręty ku wolno płynącym barkom.

Dardański okręt zdołał przeciąć kurs pierwszej galerze. Trzy inne przepłynęły obok. Olganos z przerażeniem zobaczył, jak ostatnia barka zostaje staranowana. Deski śródokręcia pękły i łódź się przechyliła. Mykeńska galera cofnęła się na wiosłach, zostawiając ziejącą dziurę w burcie staranowanej barki. Morze wdarło się w nią, powodując gwałtowny przechył. Ludzie i konie wpadli do wody. Konie zaczęły płynąć, lecz mający na sobie ciężkie zbroje trojańscy żołnierze z trudem utrzymywali się na powierzchni. Zaczęli wzywać pomocy. Olganos widział ich rozpaczliwą walkę o życie. Jeden po drugim szli na dno. Osiemdziesięciu ludzi zginęło w ciągu kilku chwil.

– Zrzućcie zbroje! – krzyknął do otaczających go żołnierzy, szarpiąc rzemienne pasy swego napierśnika.

– Ja nie muszę – powiedział Justinos. – I tak nie umiem pływać.

– Pomogę ci utrzymać się na wodzie, przyjacielu.

Justinos pokręcił głową.

– Kiedy ci dranie nas staranują, przeskoczę na ich okręt.

Olganos upuścił napierśnik na pokład.

– Nie zdążysz. Uderzą i natychmiast się cofną. Zaufaj mi.

Skorpion już zdjął napierśnik. Większość pozostałych robiła to samo i barka kołysała się złowieszczo.

Mykeńska galera ruszyła na nich, ale została staranowana przez dardański okręt. Ludzie na barce wydali okrzyk radości, który jednak natychmiast ucichł. Drugi mykeński okręt wpadł na dardańską galerę, rozbijając jej kadłub.

Wioślarze na barce wiosłowali ze wszystkich sił, ale w panice zgubili rytm. Łódź obróciła się i wpadła rufą w silny prąd od lewej burty. Przeładowana barka była teraz zwrócona całą burtą do wroga, stanowiąc idealny cel. Olganos przykucnął i zdjął brązowe nagolenniki, rzucając je na pokład. Wyprostował się – w samą porę, by ujrzeć dziób wojennej galery. Jej taran uderzył w kadłub barki. Żołnierze się poprzewracali. Pokład się przechylił i konie się spłoszyły, stając dęba i wierzgając. Potem wpadły w tłum wojowników i skoczyły do morza. Barka zadygotała, gdy galera cofnęła się na wiosłach. Woda wdarła się przez potrzaskane deski.

Barka poszła dziobem pod wodę. Olganos został rzucony na reling i wyleciał za burtę. Gdy się wynurzył, strzała przeleciała mu nad uchem, i z pluskiem wpadła do wody i podskakiwała w niej jak spławik. Zrobił głęboki wdech i zanurkował. Kiedy się wynurzył, żeby nabrać powietrza. Czarna galera odpływała w poszukiwaniu innych ofiar. Usłyszał krzyk

i zobaczył Skorpiosa podtrzymującego Justinosa, którego ciężka zbroja ciągnęła na dno. Szybko do nich podpłynął i pomógł potężnie zbudowanemu wojownikowi, jednocześnie usiłując rozwiązać rzemienie jego pancerza.

Posypały się na nich następne strzały. Jedna ześlizgnęła się po ramieniu Skorpiosa, przecinając skórę. Olganos zdołał rozluźnić rzemienie napierśnika Justinosa, ale nie mógł go z niego zdjąć.

– Będziesz musiał dać nura, żeby się od niego uwolnić – powiedział przyjacielowi. – Zejdź pod wodę i odepchnij go w górę.

Justinos spojrział na niego szeroko otwartymi, przestraszonymi oczami.

– Nie – rzucił.

– Musisz! Inaczej zabijesz nas wszystkich. Nie pozwolę ci utonąć. Przysięgam.

Justinos nabrał tchu, a potem podniósł ręce i poszedł pod wodę. Gdy Skorpios ciągnął zbroję, Olganos zanurkował. Ciężki napierśnik się zsunął, lecz Justinos nagle spanikował i zaczął się miotać jak szalony. Bańki powietrza z bulgotem uciekały mu z ust. Olganos zanurkował głębiej, złapał go za koszulę i zaczął pracować nogami, chcąc wypłynąć. Jednak Justinos za dużo ważył i obaj zaczęli tonąć. Wtem zjawił się przy nich Skorpios i razem wyciągnęli Justinosa na powierzchnię.

– Uspokój się i oddychaj! – krzyknął do niego Olganos.

Justinos zaczął spazmatycznie łapać powietrze.

Tuż pod powierzchnią przepłynęło obok nich ciało jakiegoś żołnierza ze strzałą w szyi.

Zbliżała się do nich następna mykeńska galera i Olganos zobaczył rząd łuczników stojących wzdłuż lewej burty. Niektórzy uśmiechali się, nakładając strzały na cięciwy. Tylko głęboko nurkując, Trojańczycy mogli ujść z życiem. Jeśli jednak puszcza Justinosa, ten utonie.

Justinos to zrozumiał i powiedział ponuro:

– Ratujcie się! Puśćcie mnie!

Nagle Olganos ujrzał czarny przedmiot lecący w stronę galery. Była to gliniana kula wielkości ludzkiej głowy. Uderzyła jednego z łuczników i rozpadła się, opryskując trafionego i stojących najbliżej niego czymś, co wyglądało jak woda. W następnej chwili druga kula spadła na pokład.

Olganos odwrócił się i zobaczył ogromny złocisty okręt z czarnym koniem na żaglu, pędzący na mykeńska galere. Na jego pokładzie stał oddział łuczników, którzy wystrzelili ogniste strzały w kierunku wroga.

Olganosowi zaparło dech w piersiach na widok tego, co nastąpiło potem. Spodziewał się, że strzały wzniecą niewielkie pożary, a może nawet podpalą żagiel Mykeńczyka. Tymczasem cały pokład galery nagle stanął w ogniu. Trafiony glinianą kulą łucznik zmienił się w słup ognia.

Olganos zobaczył, jak nieszczęśnik wyskoczył za burtę. Kiedy się wynurzył, nadal płonął, wrzeszcząc przeraźliwie.

Złocisty statek z impetem uderzył w mykeńską galere, rozbijając jej kadłub. Olganos zobaczył, jak z górnego pokładu następne gliniane kule lecą w kierunku nieprzyjacielskich jednostek.

Z rozbitej galery unosiły się czarne kłęby dymu, a jej łucznicy, którzy zaledwie przed chwilą zamierzali poćwiczyć strzelanie do celu na Olganosie i jego przyjaciółach, teraz rzucali się do morza. Wszędzie wokół Olganos widział jednostki mykeńskiej floty rozpaczliwie usiłujące oddalić się od barek i uciec przed zbliżającymi się dardańskimi okrętami.

Dardańska galera podpłynęła do wojowników.

– Kim jesteście? – zawołał ktoś.

– Trojańczykami – odkrzyknął Olganos.

Spuszczono liny. Justinos złapał pierwszą i wspiął się na pokład. Skorpios poszedł w jego ślady, a Olganos na końcu. Jakiś krępy marynarz podszedł do nich i dał Skorpiosowi szmatę, żeby owiązał sobie zranione ramię.

Olganos podszedł do relingu i patrzył, jak przebiega bitwa. Sześć mykeńskich statków stało w płomieniach, cztery inne tonęły, staranowane. Złocisty *Ksantos* nadal miotał ogień na pozostałe jednostki. Silny prąd, który niósł Mykeńczyków ku barkom, teraz stał się ich najgorszym wrogiem. Ich wioślarze, zmęczeni pościgiem za trojańską flotą, nie mieli sił, aby ujsć przed zemstą Dardańczyków. Oddział łuczników przebiegł obok Olganosa. Przechylili się przez burtę. W wodzie mykeńscy marynarze wołali pomocy. Wystrzelano ich bez litości.

Bitwa zakończyła się późnym popołudniem. Pięć mykeńskich jednostek zdołało uciec na północ, a jedna wymknęła się Dardańczykom, kierując się na otwarte morze.

Zapadał zmierzch, gdy dardański okręt niosący Olganosa i jego przyjaciół przepłynął cieśninę i przybił do brzegu koło barek.

Znalazłszy się na lądzie, Olganos, Skorpios i Justinos poszli tam, gdzie zbierała się trojańska armia. Wśród tych, którzy przeżyli, panował ponury nastrój. Podczas przeprawy Trojańczycy stracili dwustu ludzi i sześćdziesiąt koni.

Rozpalono ogniska i żołnierze zgromadzili się wokół nich. Mało rozmawiano.

Olganos wyciągnął się przy ogniu, ciesząc się jego ciepłem, i zasnął.

Kiedy Justinos zbudził go szturchańcem, było ciemno. Olganos usiadł, przecierając zaspane oczy. Wokół żołnierze pośpiesznie zakładali zbroje i przyprowadzali konie. Olganos powoli wstał.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Pożary na południu. Dardanos płonie – rzekł Justinos.

XXXIV. BRAMA ZDRAJCY

Nieco wcześniej tego popołudnia mykeński admirał Menados siedział na szczycie wzgórza, spoglądając na swoje wojsko, obozujące na plaży poniżej. Jednak nie rozmyślał o swojej misji ani o kapryśnej naturze wojny. Zamiast tego myślał o wnukach. Podczas czterdziestu lat wojowania Menados nauczył się, że stając przed szczególnie skomplikowanym problemem, często dobrze jest zapomnieć o nim na chwilę i oddać się innemu, weselszym myślowi. Dlatego wspominał swoją ostatnią wizytę na farmie syna i zabawę w ganianego w lasku, i dzieci piszczące z radosnego przestachu, gdy udawał ścigającego je potwora. Menados uśmiechnął się na to wspomnienie. Kiedy złapał małego Kenosa, chowającego się w krzakach, chłopczyk nagle zalał się łzami i zawołał: „Nie bądź już potworem!”

Menados wziął go na ręce i ucałował w policzki.

– To tylko zabawa, Kenosie. To ja, dziadek.

Teraz w popołudniowym słońcu, gdy jego oddziały i statki były ukryte w odludnej zatoce i zaledwie krótki marsz dzielił ich od fortecy Dardanos, stary admirał pozwolił szczęśliwym wspomnieniom zniknąć w zakamarkach umysłu. Westchnął i ponownie skupił się na przykrej rzeczywistości.

Instynkt i wojskowe doświadczenie mówiły mu, że najlepiej by zrobił, gdyby załadował ludzi z powrotem na okręty i barki, a potem popłynął na bezpieczniejsze wody. Niestety, jako długoletni poplecznik Agamemnona rozumiał także, że kwestie wojskowe są nierozzerwalnie związane z polityką.

Agamemnon kazał mu zdobyć fortecę Dardanos i zabić żonę oraz syna Helikaona, w odwecie za dokuczliwe ataki na mykeńskie ziemie. Ten wypad miał być połączony z najazdem dokonany przez zwycięskiego Peleusa. Wydawało się, że to dobry plan. Gdyby armia uderzyła od strony lądu, a nadmorska forteca została zdobyta przez mykeńską flotę, Dardania by padła.

Agamemnon miałby otwartą drogę do Troi.

Menados podrapał się po siwiejącej brodzie. Dobry plan, pomyślał ponownie, tylko że Peleus go nie zrealizował. Przedwczoraj dowiedział się, że król Tesalii poprowadził wojska w pogoń za uchodzącym Hektorem. Teraz, według zdrajcy z fortecy, Peleus nie żył, a wojenną flotę Helikaona widziano płynącą w kierunku Hellespontu. Menados nie miał pojęcia, ilu

trojańskich żołnierzy przeżyło bitwę z Peleusem, lecz opierając się na podanej przez zdrajcę liczbie barek użytych do przeprawy, oceniał, że zostały ich co najmniej dwa tysiące. Helikaon miał około pięćdziesięciu okrętów. Następne dwa tysiące wojowników – co najmniej.

Wkrótce Mykeńczycy będą toczyć bitwę na dwóch frontach, przeciwko trojańskiej jeździe na lądzie i wojennym galerom Helikaona na morzu. Zdobycie fortecy nie stanowiło problemu.

Mogli przez jakiś czas utrzymać się w Dardanos, lecz bez żywności i dostaw głód zmusi ich do kapitulacji jeszcze przed nadejściem jesieni.

Gdyby jednak się wymknął i wrócił do Agamemnona, jego decyzja wydałaby się bardziej tchórzliwa niż praktyczna. Niegodziwy Kleitos powiedziałby: „Czy dobrze cię rozumiem, admirale? Miałeś w mieście człowieka gotowego otworzyć ci bramy fortecy obsadzonej przez nie więcej niż dwustu Dardańczyków. Ty jednak, ze swymi trzema tysiącami ludzi, postanowiłeś uciec?”

Agamemnon byłby wściekły. Menados nie przeżyłby jego gniewu.

Tak więc, niestety, ucieczka nie wchodziła w grę. Wiadomość od zdrajcy była jasna.

Atakujcie tej nocy! Morska Brama będzie otwarta!

I co potem?

Kiedy królowa i jej syn zginą, mógłby spróbować obsadzić fortecę i wysłać swoją flotę do Ismaros, żądając posiłków i dostaw. Menados natychmiast porzucił ten pomysł. Aby przewieźć tu posiłki, flota musiałaby walczyć ze straszliwym Helikaonem. Tej bitwy nie mogła wygrać.

Większość mykeńskich żeglarzy to niedoświadczeni rekruci, statki niedawno zwodowane, a ich załogi niewyszkolone. Dardańczycy pokonaliby ich bez trudu.

Również żołnierze nie należeli do najlepszych. Agamemnon werbował kogo mógł i żołnierze Menadosa stanowili przedziwną zbieraninę najemników z głębi kraju, byłych piratów z wysp, rabusiów i awanturników. Wszyscy oni służyli mu tylko z żądzy zysku. Menados nie wiedział, czy nie uciekną, jeśli sytuacja przybierze niepomyślny obrót. Wiedział tylko, że to twardzi i okrutni ludzie, bezlitośni i gwałtowni.

Oficerowie byli niewiele lepsi, może poza Katheosem i Arejonem. Katheos był młody i ambitny. Chciał zaskarbić sobie łaskę Agamemnona i awansować. Okazał się zręczny i pomysłowy. W pewnym stopniu rekompensowało to fakt, że młodzieńca przydzielono Menadosowi, żeby go szpiegował. Arejon był starszy i służył mu prawie dwadzieścia lat.

Pozbawiony wyobraźni, lecz solidny, usłucha każdego rozkazu i dopilnuje jego wykonania.

Menados rozważył wszelkie możliwe rezultaty ataku na Dardanos. Nie wątpił, że zdołają zdobyć fortecę, ale czy jest jakiś sposób, żeby ją utrzymać? Peleus zginął, ale na Ismaros były jeszcze mykeńskie oddziały. Może jest tam już Achilles. Czy zdoła zebrać wojska dostatecznie szybko, żeby się przeprawić i zaatakować Trojańczyków? Niepodobna. Teraz, gdy jego ojciec zginął, Achilles zostanie królem Tesalii. Zwyczaj i honor nakażą mu zawieźć szczątki ojca do domu i złożyć w grobowcu.

W końcu Menados był zmuszony podjąć jedyną decyzję, jaka miała sens. W nocy zdobędzie fortecę, spali bramę i magazyny oraz wszystkie drewniane budynki. W ten sposób Dardanos na kilka miesięcy stanie się bezużyteczne. Potem się wycofa i popłynie do Ismaros, wypełniwszy przynajmniej główną część misji – zamordowawszy Halizję i jej syna.

Zszedłszy po zboczu, wezwał do siebie oficerów. Z fałdów tuniki wyjął dostarczone przez zdrajcę szkice fortecy z zaznaczonym miejscem pobytu królowej i dziecka.

– To bardzo ważne – powiedział – żeby zdrajca nie został przypadkowo zabity podczas ataku. To wyższy oficer. Chcę, aby przeżył i dołączył do Helikaona. Będzie w białej tunice, bez zbroi. U pasa będzie miał dwa miecze. Dopilnujcie, żeby każdy żołnierz znał ten opis. – Obróciwszy się do chudego młodego oficera o głęboko osadzonych oczach i rozwidlonej brodzie, powiedział: – Ty, Katheosie, poprowadzisz atak przez Morską Bramę. Utrzymaj wartownię, dopóki nie przybędą posiłki pod dowództwem Arejosa. Kiedy dotrą, natychmiast wyślecie oddział do pałacu na poszukiwanie królowej i chłopca. Pozostali będą walczyć z obrońcami i podpalać każdy drewniany budynek.

– Nie obsadzimy fortecy? – zapytał siwobrody Arejon.

Menados przecząco pokręcił głową.

– Wygląda na to, że nasz tesalski sojusznik, Peleus, dał się zabić. Z Tracji nie nadejdą posiłki i wkrótce będzie tu trojańska jazda. Tak więc to jest tylko karna ekspedycja i po wykonaniu zadania poześlujemy na Ismaros. Musimy wyrządzić tu jak największe szkody. Być może wrócimy tu jeszcze tego lata. Jeśli tak, to chcemy zastać Dardanos niezdolne do obrony. Oblejcie bramę olejem, obłóżcie mchem i suchym drewnem. W pobliżu fortecy jest też most, który skraca drogę do Troi. Także go spalimy. Powodzenie tej operacji – zakończył – zależy od dyscypliny i szybkości. Ogłoście ludziom, że nie będzie gwałtów i grabieży.

– Nie jestem pewien, czy zdołamy ich powstrzymać, admirale – rzekł Katheos. – Nie są szczególnie lojalni wobec Agamemnona. Kieruje nimi wyłącznie chciwość i żądza.

Menados to rozważył.

– Masz rację, Katheosie. Powiedz im, że rozdzielimy między nich część skarbcza Helikaona. To nasyci ich chciwość. Zagroź im też, że każdemu schwytanemu na grabieży

wypruje się wnętrzości i zawiąże na szyi.

Katheos z krzywym uśmiechem skinął głową.

– To pomoże, admirale. Jednak niektórzy, jak dzikie psy, pójdą za głosem natury. A skoro o tym mowa, to nikt z nas nie wie, jak wygląda królowa i jej bachor.

– Nasz informator powiedział nam, gdzie możemy ją znaleźć. Królową nietrudno będzie rozpoznać. Jest młoda, złotowłosa i piękna i będzie ubrana w szaty odpowiednie do jej pozycji.

– Może i tak, admirale – wtrącił Arejon. – Jednak na wieść o naszym ataku może się przebrać i ukryć wśród innych kobiet. Król Agamemnon z pewnością zażąda dowodu jej śmierci?

– Zdrajca zidentyfikuje ciała jej i chłopca – odparł po chwili Menados. – Masz jednak rację. Nie pozostaniemy długo w fortecy i nie możemy ryzykować, że nam uciekną. Musicie zabić każdą jasnowłosą kobietę i każde dziecko.

Słyszając ten rozkaz, młody Katheos wyraźnie się zaniepokoił.

– Czy to jakiś problem, generale? – zapytał Menados.

– Chodzi o czas, admirale. Mamy jedną noc, żeby wybić Dardańczyków, zdobyć fortecę, spalić wrota, budynki i most, a potem wrócić na statki. Poszukiwania dzieci i jasnowłosych kobiet zajmą nam dużo czasu.

– Zorganizuj trzy oddziały zabójców, liczące po dziesięciu żołnierzy. Każ im przeszukiwać budynki. Zapada zmierzch. Ruszajmy.

Stary generał wyszedł ze swych ciemnych komnat i wyteżył wzrok w wieczornym półmroku.

Nad fortecą wisiały burzowe chmury, lecz zachodzące słońce świeciło jak złota tarcza na horyzoncie. Pauzaniasz przystanął na moment, po czym mocno ścisnął czarną drewnianą laskę i ruszył ku Morskiej Bramie.

Dokuczający mu nieustannie ból odrobinę zelżał. Dręczył go od ponad roku, wżerając się coraz głębiej w krzyż i krocze. Lekarz dawał mu coraz paskudniejsze wywary.

– Czy one mnie uleczą? – zapytał Pauzaniasz.

– Tylko bogowie mogą cię uleczyć, generale – odparł medyk. – Moje leki uśmierzą większość bólu. Choć nie cały.

Przez ostatnie dni ból narastał, tak że Pauzaniaszowi trudno było skupić myśli na czymkolwiek innym i nie opuszczał swojej kwatery. Sikanie było niewiarygodnie trudne i bolesne, a kiedy w końcu udawało mu się oddać mocz, ten był ciemny od krwi. Na ten widok za każdym razem przechodził go dreszcz strachu. Jednak niedawno, kiedy stał pochylony nad

nocnikiem, udało mu się opróżnić pęcherz. Poczuł bezgraniczną ulgę.

Pauzaniasz widział, że noc będzie bezksiężycowa. Patrząc przed chwilą z balkonu, zobaczył dwa przyplływające statki. Późno dobijają do brzegu, pomyślał, zastanawiając się, skąd płyną.

Postanowił to sprawdzić.

Wiedział, że to zirytuje młodego Menona. Chłopak coraz bardziej martwił się zdrowiem wuja.

– Powinieneś odpoczywać – powiedział mu wcześniej tego dnia.

– Mam wrażenie, że wkrótce odpocznę dłużej, niżbym chciał – mruknął Pauzaniasz. –

Przynieś mi trochę wina, dobrze, chłopcze?

Menon się roześmiał.

– Skoro chcesz wina, to chyba wracasz do zdrowia.

Przez jakiś czas siedzieli razem i rozmawiali o bieżących sprawach. Pauzaniasz czule spoglądał na młodzieńca, na słońce błyszczące w jego złotorudych włosach. Taki podobny do mnie, myślał.

– O czym myślisz, wuju?

– Jestem z ciebie dumny, Menonie. Wiem, że nie było ci łatwo kroczyć po moich śladach. To królestwo może być wielkie, a ty jesteś człowiekiem, który może mu w tym pomóc. Miejmy nadzieję, że bogowie pobłogosławią cię tak jak mnie.

Menon zaczerwienił się. Podobnie jak Pauzaniasz, nie lubił słuchać komplementów. Stary generał się roześmiał.

– Zaczynam głądzić?

– Wcale nie, wuju. Odpocznij dzisiaj i zbierz siły. Jutro, jeśli poczujesz się lepiej, pojedziemy na przejażdżkę.

Jednak Pauzaniasz nie chciał już odpoczywać. Przez prawie sześćdziesiąt lat odpowiadał za bezpieczeństwo fortecy i rzadko się zdarzało, by nie wiedział, kto do niej przybywa. Tak więc poszedł do Morskiej Bramy.

Ten głupiec Idajos go niepokoił. Czy Priam miał tak niewielkie zaufanie do dardańskiej armii, że sądził, iż taki dureń jak Idajos może się tu na coś przydać? Kazano mu pilnować Morskiej Bramy. Proste zadanie – nie wpuścić do miasta nikogo uzbrojonego. Pauzaniasz wątpił, by Trojańczyk potrafił się z tego wywiązać.

Idąc, wrócił myślami do rozmowy, którą przeprowadził z królową cztery dni wcześniej.

Żałował, że krytykował sposób, w jaki traktowała małego Deksjosa. Ma dostatecznie

dużo problemów, pomyślał. Tarapaty to surowy, lecz dobry nauczyciel. Może chłopiec jest zbyt wrażliwy i potrzebuje trochę hartu. Niemal natychmiast skarcił się w duchu. Deksa był zaledwie trzylatkiem, niekochanym przez matkę i wychowywanym przez służące. Podczas tych rzadkich chwil, gdy Helikaon bywał w domu, rozmawiał z chłopcem i zabierał go na przejażdżki lub łowienie ryb w górskim jeziorze. Pod nieobecność króla malec miał mało takich rozrywek.

Pauzaniasz z przyjemnością patrzył, jak młody Menon bawił się z malcem kilka dni temu.

Posadził sobie Deksa na ramionach i biegał po podwórku, rżąc jak koń. Miło było słyszeć śmiech dziecka.

Pauzaniasz pomyślał o swoim synu, martwym od trzydziestu lat. Kiedy dowiedział się, że przepaść nazwano Głupotą Parnio, z początku był urażony, jakby żartowano z jego osobistej tragedii. Jednak z biegiem lat niestrudzone fale czasu powoli zabrały ze sobą smutek.

Poszedł dalej. Przemierzywszy gwarny dziedziniec stajni, ostrożnie ruszył stromą brukowaną ulicą ku Morskiej Bramie. Kiedy tam dotarł, ze zdziwieniem ujrzał otwarte wrota. Zawsze zamykano je przed zachodem słońca. Kto je otworzył? Rozejrzał się za wartownikami, ale nigdzie ich nie spostrzegł. Robak strachu zaczął toczyć jego serce.

Gdy tak stał w cieniu, stary człowiek z laską, przez bramę wbiegł oddział żołnierzy i minął go. Pauzaniasz wyteżył wzrok, zamglony przez wiek i ostatnie promienie nisko wiszącego słońca. Na Aresa, to Mykeńczycy! – pomyślał. Mykeńscy żołnierze w fortecy? Przez moment myślał, że z bólu ma halucynacje i widzi inwazję sprzed trzech lat.

Następny oddział Mykeńczyków, w charakterystycznych zbrojach z brązowych krążków, przebiegł niezatrzymywany przez Morską Bramę i w głąb fortecy. W oddali Pauzaniasz usłyszał odgłosy walki, wrzaski i krzyki oraz szczęk broni.

Zdumiony i przestraszony, pokuśtykał naprzód, mocno podpierając się laską. Przez otwarte wrota ujrzał mykeńskie oddziały zeskakujące z dwóch okrętów i wspinające się na wzgórze, ku fortecy. Przybijały następne okręty, z których żołnierze wyskakiwali na piach. Kilka kroków dalej przed bramą stała grupka mykeńskich oficerów, pogrążonych w rozmowie. Spojrzeli na starca, ale go zignorowali.

Wartownicy leżeli zabici. Na uginającym się drewnianym stole za dwoma ciałami Pauzaniasz zobaczył stos starych mieczy, noży i pałek, skonfiskowanych tego dnia przybywającym. Tak jak obawiał się Pauzaniasz, ten głupiec Idajos nie wypracował żadnego sposobu porządkowania broni. Była rzucona na stos i pilnowana przez dwóch znudzonych

żołnierzy. Teraz dwóch martwych żołnierzy.

Ciało Idajosa leżało dalej, miał poderżnięte gardło.

Zdrajca! – z wściekłością pomyślał Pauzaniasz. Uważałem go za głupca, ale był również zdrajcą. Otworzył im bramę, a potem został zabity przez swoich nowych panów. Głupiec i zdrajca.

Jeden z mykeńskich oficerów spojrzał na niego i powiedział coś do pozostałych. Wszyscy się odwrócili i spojrzeli na kuśtykającego ku nim starego żołnierza. Niektórzy się uśmiechali.

Jeden, ubrany na białą, wyszedł mu naprzeciw. U pasa miał dwa miecze.

– Przykro mi cię tu widzieć, wuju – powiedział ognistowłosa Menon.

Szok był niemal nie do zniesienia i Pauzaniasz jęknął z bólu. Martwy Idajos nie był zdrajcą.

Człowiekiem, który wydał fortecę wrogowi, był jego własny siostrzeniec.

– Jak mogłeś to zrobić? – powiedział. – Dlaczego, Menonie?

– Dla królestwa, wuju – odparł spokojnie Menon. – Powiedziałeś, że mogę uczynić je wielkim. I zrobię to. Jako król. Myślisz, że Dardania i Troja zdołają się oprzeć potędze wszystkich zachodnich królów? Jeśli nadal będziemy stawiać opór Agamemnonowi, ta ziemia zmieni się w jałową pustynię, a ludzie zostaną zabici lub pójdą w niewolę.

Pauzaniasz popatrzył na niego, a potem na stojących opodal mykeńskich oficerów. W oddali forteca rozbrzmiewała odgłosami walki.

– Tam giną ludzie, którzy ci ufali – powiedział. – Złamałeś mi serce, Menonie. Bodajbym umarł, zanim zobaczyłem, jak stajesz się zdrajcą i tchórzem.

Menon zaczerwienił się i cofnął o krok.

– Nigdy nie rozumiałeś, czym jest władza, wuju. Kiedy umarł Anchizes, ty powinienes objąć tron. W taki sposób powstają dynastie. Zamiast tego ślubowałeś wierność głupiej kobiecie i jej bękartowi. Patrz, do czego to doprowadziło. Do wojny, której nie możemy wygrać. Wracaj do swojej kwatery, wuju. Nie musisz tu umierać.

– Oczywiście, że musi – powiedział mykeński oficer z rozwidloną brodą. – Poznał cię i kiedy odpłyniemy, powie Helikaonowi, co uczyniłeś.

– Lepiej słuchaj swojego pana, piesku – rzekł z pogardą Pauzaniasz. – Kiedy każe ci szczekać, szczekaj!

Menon poczerwieniał jeszcze bardziej. Wyjął jeden z mieczy i ruszył na niego.

– Nie chciałem cię zabijać – syknął – ponieważ zawsze byłeś dla mnie dobry. Jednak żyłeś za długo, starcze.

Generał był stary, lecz jego ciało pamiętało sześćdziesiąt lat wojaczki. Gdy arogancki młodzik się zamachnął, chcąc ciąć go mieczem w szyję, Pauzaniusz doskoczył i uderzył go bykiem w twarz. Jedną ręką chwycił za białą tunikę i przyciągnął go do siebie, a drugą złapał rękojeść drugiego miecza. Brocząc krwią z rozbitego nosa, Menon wyrwał się staremu. Cofając się o krok, nie zauważył, że Pauzaniusz wyciągnął mu miecz z pochwy. Stary generał zadał tylko jedno pchnięcie, które przecięło tętnicę szyjną Menona. Krew trysnęła na białą tunikę. Menon zabulgotał i zatoczył się do tyłu, zaciskając dłonie na szyi, próbując zatamować fontannę krwi.

Nagle opadłszy z sił, Pauzaniusz upadł na kolana. Usłyszał tupot nóg i poczuł uderzenie, dwa uderzenia, w plecy. Już nie czuł bólu. Menon osunął się obok niego i jego głowa opadła na ramię Pauzaniusza. Stary generał gasnącymi oczami spojrzał na umierającego.

– Tak... cię kochałem... chłopcze – powiedział.

XXXV. PODNIEBNA JAZDA

Chłopczyk obudził się nagle. Rozcierając piąstkami zaspane oczy, Deks usiadł i rozejrzał się.

W sypialni było ciemno. W rogu migotała jedna świeca i w jej świetle zobaczył, że Szarej nie ma w łóżku. Był sam.

Pamiętał, jak opuścił swoją sypialnię, zbudziwszy się z okropnego snu. Z płaczem poszedł do komnaty Szarej i lekko zapukał w drzwi. Otworzyła je, jak zawsze, i łagodnie skarciła za to, że się boi. Jednak zawsze mu wybaczała i tym razem też zaniósła go do swojego łóżka i pozwoliła spać obok siebie.

– Śpij spokojnie, maleńki – szepnęła. – Jestem przy tobie.

Teraz jednak jej nie było.

Zza drzwi dochodziły zduszone dźwięki, zarówno z dziedzińca na dole, jak ze schodów.

Krzyki i brzęk metalu.

Nieprzyzwyczajony do przebywania samotnie w ciemności, trzylatek był przestraszony.

Szara zawsze była przy nim, kiedy się budził. Prowadziła go do kuchni na śniadanie.

Wyjawszy nogi z ciepłej pościeli, przesunął się na skraj łoża i wstał. Przeszedł po zimnych kamieniach i miękkich dywanach, przysunął drewniany stołek do otwartego okna i wspiął się nań, aby spojrzeć na dziedziniec. Na zewnątrz też było ciemno, ale widział ogień i poczuł zapach dymu, który drapał w gardle i drażnił nos. Widział sylwetki przebiegających ludzi i słyszał ich krzyki.

Na widok ognia znów pomyślał o śniadaniu. Szara podsmaży wczorajszy chleb i posmaruje miodem. Ostrożnie zszedł ze stołka, pchnął ciężkie drzwi i wyszedł na korytarz.

Na zewnątrz zobaczył kogoś leżącego na podłodze. W migotliwym blasku pochodni na ścianie rozpoznał Szarą. Leżała skulona, z podciągniętymi kolanami. Miała zamknięte oczy.

Posiedział przy niej chwilę, ale się nie obudziła. Nie wiedząc, co robić, niepewnie poklepał ją po ręce.

– Jestem głodny – powiedział jej na ucho.

Wtedy usłyszał zbliżający się tupot nóg. Czyżby Słoneczna Kobieta odkryła, że

opuścił swój pokój? Będzie na niego zła? Przestraszony, pobiegł w ciemny kąt i schował się za grubą zasłoną obok okna.

Zasłona nie sięgała do samej podłogi, więc położył się za nią i spojrzął przez szparę.

Zobaczył oddział nadbiegających żołnierzy. Lubił żołnierzy, ale nie znał żadnego z nich, więc postanowił nie opuszczać kryjówki.

Przebiegli obok niego. Metalowe nagolenice błyszcząły w blasku pochodni, grube sandały z hałasem uderzały o podłogę. Czuł zapach potu i rzemienia.

– Znajdźcie chłopca! – krzyknął jeden z nich. Jego głos odbił się echem w korytarzu. – Nie było go w jego pokoju. Na pewno jest z królową.

Kiedy żołnierze pobiegli dalej i tupot słychać było na schodach, chłopiec zszedł na dziedziniec. Trzymając się w cieniu muru, zaczął skradać się w kierunku stajni. Deks lubił stajnie. Tam nigdy nie było całkiem cicho. Lubił ciężkie oddechy koni i szuranie podków na kamiennej podłodze.

Nie miał pojęcia dlaczego, ale wiedział, że ma kłopoty. Szara zasnęła na korytarzu, a Słoneczna Kobieta przysłała po niego rozgniewanych żołnierzy. Chowając się w cieniu, zobaczył następnych, którzy z mieczami w dłoniach biegli w kierunku wieży. Potem ktoś, kogo znał, człowiek, który czasem sadzał go na kucyka, wybiegł na dziedziniec. Utykał i Deks już miał do niego podejść, gdy mężczyzna upadł. Pojawili się dwaj żołnierze i zaczęli dźgać mieczami leżącego. Przez chwilę krzyczał okropnie, a potem ucichł.

Przerażony Deks skulił się w cieniu muru. Usłyszał kobiecy krzyk i zobaczył buchające z kuchni płomienie, bijące w nocne niebo, oblewające dziedziniec pomarańczową poświatą.

Z drzwi kuchni wybiegły dwie kobiety, ścigane przez innych żołnierzy. Śmiali się i wymachiwali mieczami.

Deks zamknął oczy. Czuł żar płomieni.

– Deks!

Otworzył oczy i zobaczył żołnierza, którego znał. Miał rudą brodę, czasem nosił go na barana i rozśmieszał. Teraz wziął go na ręce i przycisnął do piersi. Deks poczuł miłą ulgę, chociaż pancierz był twardy. Próbował powiedzieć żołnierzowi o Szarej, która leżała na korytarzu.

– Cicho, chłopcze, zaniosę cię w bezpieczne miejsce – powiedział żołnierz.

Pobiegł przez dziedziniec ku stajni. Wszędzie leżały ciała służących i żołnierzy. Gdy mijali kuchnię, Deks znów poczuł żar na bosych stopach i zapach pieczonego mięsa. Wtulił twarz w pierś żołnierza.

Ten wbiegł do stajni i postawił go na ziemi. Przyklęknął i położył mu ręce na ramionach.

– Posłuchaj mnie, chłopcze. Musisz się schować. Tak jak zawsze. Rozumiesz? Znajdź sobie kryjówkę w sianie i schowaj się głęboko.

– To zabawa? – zapytał Deksa.

– Tak, zabawa. I nie wolno ci wyjść, dopóki po ciebie nie przyjdę. Rozumiesz?

– Tak, ale jestem głodny.

– Idź i schowaj się. I siedź cicho, Deksa. Nie pokazuj się.

Puścił Deksa, a chłopczyk pobiegł do ostatniego boksu. Był pusty i trzymano w nim siano.

Deks na brzuchu wczołgał się w środek sterty i skulił się.

Przez siano ledwie widział sylwetkę żołnierza. Ten wyjął miecz i stał spokojnie. Potem pojawili się inni ludzie, było słychać gniewne okrzyki i ten straszny brzęk, który słyszał wcześniej. Zobaczył, jak jeden z tamtych pada. Potem drugi. Jednak przyjacielski żołnierz też upadł na ziemię. Inni doskoczyli do niego, raz po raz uderzając mieczami.

Potem zaczęli biegać po stajni, zaglądnąc do wszystkich boksów.

Deks siedział i nie ruszał się.

Halizji zawsze mówiono, że jest odważna. Zanim skończyła pięć lat, wiele razy spadała z kuca. Ojciec opatrywał jej skaleczenia i guzy, a raz złamaną rękę. Później spoglądał jej w oczy i mówił, jaka jest dzielna. Bracia śmiali się z niej i znów sadzali na konika, a ona śmiała się z nimi i zapominała o swoich obrażeniach.

Kiedy jako siedemnastoletnią dziewczynę wydano ją za Anchizesa, z początku bała się – tego starego człowieka, mrocznej fortecy, w której przyszło jej mieszkać, oraz niebezpieczeństw połogu, o których opowiadały jej matka i ukochana siostra. Jednak ilekroć się bała, przypominała sobie ciemne oczy ojca i jego słowa. „Bądź dzielna, wiewióreczko. Bez odwagi życie jest niczym. Mając odwagę, nie potrzebujesz nic więcej”.

Teraz, mając ponad trzydzieści lat, już nie wierzyła w swoją odwagę. Straciła ją podczas napadu na Dardanos przed trzema laty. Od tego czasu nie przespała ani jednej spokojnej nocy. Jej sny były pełne przerażających obrazów. Widziała swego syna, Diomedesa, spadającego w płomieniach z urwiska, słyszała jego okropny krzyk, czuła ból i upokorzenie, gdy najeźdźcy trzymali ją i brutalnie gwałcili, przyłożywszy sztylet do gardła. Budziła się z płaczem i Helikaon w ciemności tulił ją i chronił w fortecy swych ramion. Raz po raz mówił jej, że jest dzielną i okrutnie doświadczoną kobietą, a jej nocne lęki i koszmary są zupełnie naturalne i z czasem miną.

Jednak mylił się.

Wiedziała, że najeźdźcy powrócą, była tego pewna w sposób najzupełniej instynktowny i niemający nic wspólnego z jej lękami. Zawsze miewała wizje, nawet jako dziecko w Zelei. Jej proste przepowiednie dotyczące oźrebiania się młodej klaczy czy chorób nękających dzikie konie podczas pory deszczowej zawsze się spełniały i ojciec z uśmiechem mówił, że jest pobłogosławiona przez Posejdona, który lubił konie.

Teraz, siedząc w megaronie na wielkim rzeźbionym tronie Anchizesa i kurczowo zaciskając dłonie na poręczach, wiedziała, że jej wizje były prawdziwe. Mykeńscy żołnierze wdarli się do fortecy.

Myśli przelatowały jej przez głowę niczym nietoperze, przed oczami pojawiały się obrazy.

Helikaon przysłał wieść, by wystrzegać się zdrajców i uważać na obcych. Jednak to nie obcy otworzył Morską Bramę. Jeden z jej żołnierzy widział Menona rozmawiającego z mykeńskimi oficerami.

Menon! To niemal niepojęte, że mógł popełnić tak nikczemny i okropny czyn. Zawsze był czarujący i troskliwy, Halizja wierzyła, że naprawdę ją lubił. Nie do wiary, że ją sprzedał, wydając na hańbę i śmierć.

Ponad trzystu mykeńskich żołnierzy weszło do twierdzy, bez trudu pokonując opór mocno uszczuplonego dardańskiego garnizonu. Mykeńczycy dokładnie wiedzieli, kiedy uderzyć.

Przemknęli się przez niestrzeżone wody akurat tego dnia, kiedy – za radą Menona – reszta dardańskiej floty popłynęła do Karpei, by osłaniać przeprawę Hektora.

Otoczona przez dwudziestu żołnierzy straży przybocznej, siedziała w milczeniu na tronie i słuchała odgłosów toczącej się na zewnątrz walki. Przez wysokie okna widziała migotliwy blask płomieni. Słyszała wrzaski, jęki i bojowe okrzyki. Drżała tak, że szczękała zębami, i zacisnęła szczęki, żeby nie usłyszeli tego żołnierze.

Jej gwardziści, osobiście dobrani przez Helikaona, czekali w ponurym milczeniu, z mieczami w dłoniach. Potrząsnęła głową, próbując wyzbyć się paraliżującego strachu.

Młody zakrwawiony żołnierz wbiegł do megaronu.

– Zdobyli północną wieżę, pani – wykrztusił, ciężko dysząc. – Podpalili kuchnię. Wschodnie koszary też padły. Przed Bramą Lądową stoi więcej Mykeńczyków, ale nie mogą wejść. Nie dopuszczamy do niej najeźdźców, którzy są w mieście.

– Ilu jest na zewnątrz?

– Setki.

– Gdzie jest Pauzaniasz? – zdołała zapytać, zaskoczona tym, że jej głos brzmi tak spokojnie.

Żołnierz pokręcił głową.

– Nie widziałem go. Obroną megaronu dowodzi Rhygmos. Protheos broni Bramy Lądowej.

– Co z chłopcem?

– Widziałem go z Gradionem przy stajni, ale zbliżali się do nich mykeńscy żołnierze. Gradion zabrał chłopca do środka. Potem musiałem uciekać. Nie wiem, co było dalej.

Wstała na ołowianych nogach i zwróciła się do dowódcy straży przybocznej, zaciskając dłonie, żeby powstrzymać ich drżenie.

– Menesthesie, zawsze wiedzieliśmy, że megaronu nie da się utrzymać. Nie możemy tracić ludzi na jego obronę. Musimy się wycofać do wschodniej wieży.

W tym momencie podwójne drzwi otworzyły się z trzaskiem i do środka wpadli mykeńscy żołnierze. Menesthes uniósł miecz i runął na nich, a jego ludzie za nim. Halizja wiedziała, że nie utrzymają się długo.

– Uciekaj, pani! – zawołał do niej Menesthes. – Uciekaj!

Halizja podkasła suknię i przebiegła przez salę, wpadła do bocznej komnaty i zamknęła za sobą drzwi. Nie powstrzymają zdecydowanych napastników uzbrojonych w topory i miecze, ale opóźnią pościg.

Przystanąła na moment, bojąc się, że zemdleje z przerażenia. Zaraz jednak wzięła się w garść i pobiegła po wąskich kamiennych schodkach do swojej sypialni. Jej drzwi były grube i okute brązem. Sforsowanie ich zajmie trochę czasu. Zamknęła je za sobą i zablokowała solidną drewnianą antabą.

W komnacie paliły się świece. Na podłodze leżały dywany, a na ścianach wisały wielobarwne gobeliny. Zatrzymała się na moment, wdychając nikły zapach róż unoszący się w nocnym powietrzu, a potem wyszła na balkon.

Helikaon od trzech lat przygotowywał wszystko na taką chwilę. Szanował jej wizję, a jako wojownik wierzył w żądzę zemsty, jaką dyszał Agamemnon. Tuż po poprzedniej inwazji sypialnię Halizji przeniesiono z północnego skrzydła do tych komnat znajdujących się wysoko nad wodą, za megaronem. Miały szeroki kamienny balkon z widokiem na morze.

Królowa poszła na koniec balkonu i odsunęła gęstą kurtynę pnączy. Spojrzawszy w dół, zobaczyła pierwszy z krótkich drewnianych uchwytów osadzonych w murze na zewnątrz.

Pod pretekstem remontu nowych apartamentów osadzono w kamieniu szczebelki z twardego dębu, schodzące do zapuszczonego ogrodu u podnóża muru. Strażnikom ani

pałacowej służbie nie wolno było tam wchodzić, a ogrodowi pozwolono zarosnąć krzewami dzikiej róży i pnączami. Stopnie wykonano tak zmyślnie, że trudno było je odróżnić od otoczenia i to tylko wtedy, gdy wiedziało się, czego szukać.

Rzemieślnicy, którzy je zrobili, wrócili do plemienia jej brata w Zelei, obsypani zaszczytami i srebrem, zaprzysięgłszy milczenie.

Pod nieobecność Helikaona oprócz niej tylko dwaj ludzie wiedzieli o istnieniu tej drogi ucieczki: Pauzaniasz, oczywiście, oraz jego adiutant Menon.

Menon, zdrajca!

Wahała się, nie mogąc podjąć decyzji, spoglądając na niknącą w mroku drogę ucieczki. Jaki mam wybór? – zadała sobie pytanie. Nie mogę tu zostać i czekać.

Wychyliła się przez balustradę balkonu i nasłuchiwała, usiłując uspokoić walące jak młotem serce. W zaroślach poniżej nic się nie poruszało. Nie słyszała żadnych szmerów.

Podbiegła z powrotem do drzwi komnaty i posłuchała. W oddali usłyszała uderzenia metalu w drewno. Rozbijali drzwi bocznej sali.

Podeszła do wielkiej rzeźbionej skrzyni i podniosła ciężkie wieko. Z łoskotem uderzyło o ścianę. Odsunęła haftowane szale i wyszywane klejnotami suknie, po czym wyjęła starą ciemnoniebieską tunikę służącej oraz ciemnobrazowy płaszcz z kapturem. Sięgnąwszy głębiej, znalazła pochwę ze sztyletem, który ojciec dał jej na piętnaste urodziny. Sztylet miał rękojeść z jeleniego rogu i zakrzywione ostrze z lśniącego brązu. Zsunęła białą suknię i włożyła wyblakłą tunikę. Potem nabrała tchu, otworzyła drzwi komnaty i uchyliła je odrobinę. Z dołu dochodziły głośnie trzaski łamanego drewna. Słyszała postękiwania i okrzyki ludzi szamoczących się z połamanymi deskami.

Stała spokojnie, jeszcze raz rozważając swój plan. Potem ostrożnie postawiła drewnianą antabę pod ścianą i otworzyła drzwi na oścież.

Pelopidas Spartanin biegł, po wąskich schodkach z zakrwawionym mieczem w dłoni.

Wiedział, co zaraz znajdzie. Jeszcze jedne zamknięte drzwi, które podążający za nim topornicy rozbiją w mgnieniu oka. Królowej nie będzie w komnacie. Uciekła sekretnym zejściem do ogrodu na dole, gdzie czekali na nią jego ludzie. A może, pomyślał z rosnącym pożądaniem, zauważyła ich i w panice wróciła do sypialni. Pelopidas miał nadzieję, że tak było. Wygodniej będzie gwałcić ją na łóżku. To ulży jego słabnącym kolanom.

Weteran wielu wojen, o siwiejących włosach i splecionej w długie warkoczyki brodzie, dotarł na górę i zobaczył szeroko otwarte drzwi. Głupia suka, pomyślał. Wpadła w panikę i wszystko nam ułatwiła. Za nim podążało trzech innych, spoconych i przeklinających drzazgi, które powbijały im się w dłonie, gdy wyłamywali drzwi na dole. Wybiegli na wąski

balkon.

Pelopidas zerwał kurtynę pnący.

– Wy dwaj – powiedział, dając znak swoim ludziom. – Idźcie za nią na dół. Kiedy ją złapiecie, przyprowadźcie tu z powrotem. Chcę mieć ją pierwszy.

Dwaj żołnierze niepewnie spojrzeli na wąskie uchwyty wiodące w ciemną przepaść, ale wykonali rozkaz, tak jak się spodziewał. Szybko przeszli przez balustradę i zniknęli w mroku.

Pelopidas zaklął pod nosem i wrócił do sypialni. Ostatni żołnierz stał obok łóżka, grzebiąc w inkrustowanej kością słoniową szkatułce z biżuterią.

– Zostaw to, gnojku – rzekł Pelopidas. – Wiesz, co generał powiedział o grabieży. Zejdź na dół i znajdź tego przekłętą dzieciaka. Dwadzieścia złotych pierścieni czeka na tych, którzy przyniosą jego głowę Katheosowi.

– Jak mamy go znaleźć? – odparł żołnierz. – Nie było go w stajni. Może być wszędzie.

– Ma tylko trzy lata i jest sam. Pewnie kuli się gdzieś, płacząc i robiąc pod siebie.

Ruszaj!

Żołnierz ociągał się przez chwilę, spoglądając na sypialnię, na kuszący blask klejnotów i złota. Potem pobiegł do drzwi.

Pelopidas usiadł na miękkim łożu i pomasaował lewe kolano. Było opuchnięte i sztywne.

Wyciągnąwszy się na łożu, poczuł zapach perfum na poduszce. Znów się podniecił. Mówiono, że królowa jest szczupła i piękna, choć już po trzydziestce, ma złote włosy i słodką twarz.

Zachichotał. Twarz go nie interesowała.

Ta suka musi umrzeć, i to powolną śmiercią, żeby Podpalacz usłyszał o tym i wiedział, że to zemsta za jego napady na mykeńskie ziemie. Pelopidas z gniewem pomyślał o wioskach, które spłonęły, i marynarzach, którzy utonęli za sprawą niegodziwego Helikaona i jego załogi. Ci ludzie stracą wielu swoich bliskich, nim skończy się ta noc.

Spartanin zdjął hełm i upuścił na podłogę. Wstał z łóżka, podszedł do stolika i wzięwszy karafkę z wodą, pociągnął długi łyk. Resztę wylał sobie na głowę i otrząsnął się.

Taksującym spojrzeniem obrzucił sypialnię, pastelowe draperie i błyszczący brąz, miedź oraz złoto w każdym kącie. Wciągnął w nozdrza zapach kwiatów. Podniósłszy rzeźbioną szkatułkę ze słoniowej kości, którą zostawił żołnierz, zobaczył ciemny błysk biżuterii. Sięgnął do środka i wyciągnął garść złotych ozdób. Ledwie rzuciwszy na nie okiem, wepchnął je do skórzanego mieszka przy pasie. Zobaczył ciężką złotą bransoletę, wartą

więcej niż jego roczny żołąd, i również schował do sakiewki.

Oczy mu rozbłysły na widok wielkiej drewnianej skrzyni z wiekiem uchylonym jakby w pośpiechu. Wewnątrz, między starannie złożonymi szatami, dostrzegł błysk klejnotów. Wyjął pierwszą suknię i zobaczył, że jest ozdobiona złotym drutem, bursztynem i krwawnikami.

Zawahał się, nie wiedząc, co z tym zrobić, po czym parsknął śmiechem. Przecież nie będzie nosił kobiecych sukni.

Rozbawiony, pochylił się nad skrzynią, szukając ukrytych kosztowności. Nagle w jej głębi dostrzegł ruch i w mgnieniu oka, zanim zdążył zareagować, uniosła się ku niemu twarz, biała i widmowa! Poczuł okropny ból w gardle i runął na wznak, brocząc krwią. Przerażony, kurczowo zacisnął dłonie na szyi, usiłując zatamować fontannę krwi. Ze skrzyni wyszła drobna, złotowłosa kobieta ze zboczonym krwią sztyletem w dłoni.

Pelopidas z trudem podniósł się na klęczki i próbował wezwać pomocy, lecz poczuł potworny ból przeciętych strun głosowych i krew jeszcze mocniej trysnęła mu między palcami.

Kobieta patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Poczuł, że opuszczają go siły i uchodzi z niego życie.

Uderzył głową o podłogę i ujrzał ciemnoczerwony wzór dywanu. Wydawało się, że dywan topi się i rozplywa w szybko rosnącą, szkarłatną kałużę. Nagle poczuł, ogromny spokój. Coś ciepłego popłynęło mu po nogach i pojął, że opróżnił pęcherz.

Muszę wstać, pomyślał. Muszę znaleźć...

Halizja stała nieruchomo, patrząc, jak konający miota się po podłodze, a krew tryska na piękny dywan. Jej myśli trzepotały jak ćmy wokół płomienia rzeczywistości. Miał poderżnięte gardło. Zabiła go. Jednak myślała tylko o tym, że ten haftowany jedwabiem ze wschodu dywan jej ojciec dał Anchizesowi w prezencie ślubnym. Krew nie zejdzie, pomyślała.

Zapomnij o krwi, rzekł szorstki głos rozsądku. Halizja zamrugała i nabrała tchu. Wojownik poruszył nogą. Potem znieruchomiał. Cofnęła się od ciała i wepchnęła sztylet do pochwy.

Musisz uciekać! Oni wrócą!

Włożywszy brązowy płaszcz z kapturem, zbiegła po schodach i przez resztki rozbitych drzwi bocznej sali. Przystanąła na progu megaronu i zajrzała do środka. Wokół panowała cisza.

Gwardziści leżeli zabici, a wokół nich ciała ponad trzydziestu martwych nieprzyjaciół.

Kamienna posadzka była mokra od krwi, a w powietrzu unosił się odór śmierci.

Znów poczuła strach skręcający wewnątrz. Chciała uciec jak najszybciej i zostawić za sobą tę koszmarną scenę. Jeśli nie, powinna znaleźć sobie jakąś kryjówkę, ciemną i ciasną dziurę, w której nie znajdzie jej wróg.

Nagle ujrzała twarz syna. Ten obraz nią wstrząsnął. Zamiast ujrzeć w nim – tak jak zwykle – żywy dowód gwałtu i nieustanne przypomnienie mordu dokonanego na jej ukochanym Diomedesie, teraz zobaczyła jego wielkie, błagalnie patrzące oczy i słodkie usta, tak podobne do jej ust. Halizja cicho jęknęła. Dio przynajmniej zaznał matczynej miłości. Był tulony i karmiony, pieszczony i wielokrotnie słyszał, jak bardzo go kocha. Małemu Deksowi – jak słusznie wytknął jej Pauzanasz – skąpiła uczucia.

A teraz okrutni ludzie chcieli go zabić.

Instykt nakazywał jej pobiec do stajni, w nadziei, że Deks wciąż tam jest. Rozsądek mówił, że nie zdoła tam dotrzeć. Biegąca postać natychmiast zwróci uwagę. Halizja zdecydowała opuścić megaron bocznymi drzwiami, przejść przez kuchnię i wejść do stajni od tyłu.

Z determinacją dodającą odwagi podeszła do bocznych drzwi. Usłyszała dobiegający zza nich krzyk i zobaczyła przesuwający się cień. Przykucnęła za kolumną i czekała, nie ważąc się nawet oddychać. Po chwili zapadła cisza. Ostrożnie wstała i wyjrzała zza kolumny. Ktokolwiek przystanął przed wejściem, już odszedł.

Znajdujące się dalej kuchnię strawił ogień. Pomyślała, że drewniane budynki paliły się jak chrust, ale teraz pożar już prawie wygasł. Chmura gęstego i duszącego dymu wisiała nad warzywnymi ogródkami. Halizja wbiegła w nią, znikając jak duch.

Ledwie mogła oddychać i opadła na czworaki, przyciskając się do bruku, gdzie pod chmurą dymu przesuwawała się warstwa świeżego powietrza. Ostrożnie poczołgała się alejką ku stajni, przy czym kolana plątały się jej w fałdach tuniki i płaszcza. Po drodze mijala wiele ciał, martwych i umierających.

Dostrzegła przed sobą ruch i położyła się, udając nieżywą. Zbliżali się mykeńscy żołnierze, kaszląc i plując. Przycisnąwszy twarz do ziemi, leżała nieruchomo z zamkniętymi oczami.

Tupiąc, przeszli obok i nagle się zatrzymali.

Czyjaś stopa zawadziła o jej udo. Żołnierz zatoczył się i zaklął. Z bólu przygryzła wargę, ale nie wydała nawet jęku.

– Ten przeklęty dym zasnuł wszystko. – Usłyszała głos. – Nic nie widać.

– Nie ma sensu w nim biegać – powiedział drugi głos. – Wróćmy do Bramy Lądowej,

zabijmy przeklętych obrońców i wpuśćmy naszych. Potem splądrujemy miasto i wynośmy się stąd.

– Zamknij dziób – powiedział zirytowany trzeci głos. – Głowa tego chłopca jest warta dwadzieścia złotych pierścieni. Szukajcie dalej.

Żołnierze odeszli. Halizja pozostała na miejscu, aż poskrzypywanie rzemieni i zdyszane oddechy ucichły w oddali. Wtedy zerwała się z ziemi i pobiegła do stajni.

W środku było zupełnie ciemno i słyszała kręcące się niespokojnie konie, wyczuwające dym pożarów. Weszła między nie bez obawy, cicho do nich przemawiając, klepiąc twarde i ciepłe końskie boki, łagodnie napierające na nią, gdy szła przez stajnię.

– Deks – szepnęła w ciemność. – Jesteś tu? Deks.

Słyszała jedynie odgłosy koni i krzyki w oddali. Potem usłyszała rozkaz, który sprawił, że serce zaczęło jej bić jak szalone.

– Podłóżcie ogień. Jeśli jest w stajniach, wykurzymy go dymem.

Konie wokół niej kręciły się i rżały, ale szybko się uspokoiły, gdy przeszła między nimi.

Tylko wielki czarny ogier szalał w swojej przegrodzie, tłukąc o drewniane ścianki i waląc kopytami w zamknięte drzwi.

– Deks. Deksjos. Jesteś tam? – szepnęła ponagląco.

Nagle przystanęła. W nikłym świetle wpadającym przez wrota stajni dostrzegła małą postać, przyciskającą dłonie do ust. Drobinę kurzu wirowały w smugach światła. Stał zupełnie nieruchomo, nie odzywając się. Przez krótką chwilę matka i syn spoglądali na siebie.

Potem zapytał cichutko:

– Jesteś na mnie zła, mamusiu?

Uklękła i otworzyła ramiona.

– Nie jestem na ciebie zła, Deksie. Teraz musimy stąd iść. Musimy uciekać.

Wtedy podbiegł do niej i wpadł na nią z impetem, o mało nie zwalając jej z nóg. Objął ją rączkami za szyję i przycisnął zapłakaną, umorusaną buzię do jej twarzy.

Wzięła go na ręce i pobiegła do frontowych wrót stajni. Jeśli zdoła dotrzeć do murów i bramy na tyłach, wywiezie Deksa z miasta i ukryje w jednej z licznych jaskiń.

Spojrzała i zobaczyła grupkę nieprzyjacielskich żołnierzy z płonącymi pochodniami w rękach biegnących w kierunku budynku. Tuląc chłopca, uciekła do tylnego wyjścia i zerknęła przez szparę. Zaledwie kilka kroków dalej ujrzała krępego mykeńskiego żołnierza. Jedną ręką chwycił za włosy młodego stajennego. W drugiej trzymał zakrwawiony miecz, którym poderżnął mu gardło. Płowowłosy chłopiec zadygotał w konwulsjach. Żołnierz puścił go i

odwrócił się do wrót stajni.

Halizja pośpiesznie wycofała się w głąb budynku i stanęła w mroku, tuląc chłopca i obserwując jedne i drugie wrota. Potem, przytrzymując dziecko jedną ręką, podeszła do przegrody, w której kręcił się i wierzgał czarny ogier.

Wróg odciął jej drogę i za chwilę znajdzie ją i syna.

– Nie tym razem! – szepnęła. – Nie teraz!

Otworzyła drzwi przegrody i wślizgnęła się do środka. Wielki czarny koń spojrzał na nią przestraszonymi ślepiami, ale nie zaatakował. Postawiła Deksa na ziemi, przysunęła się do rumaka i wzięła jego łeb w dłonie, przycisnęła policzek do czarnego pyska i poczuła gorący oddech.

– Teraz cię potrzebuję, najdzielniejszy z koni – szepnęła. – Potrzebuję twojej siły i odwagi.

Uspokajająco poklepała konia po karku, podniosła Deksa i posadziła na końskim grzbiecie.

Rumak poruszył się niespokojnie, ale zaraz znieruchomiał. Podciągnąwszy się na ściankę przegrody, usiadła za dzieckiem. Pochyliła się i szepnęła mu do ucha:

– Odwagi, wiewiórko. Bądź dzielny!

– Będę, mamusiu!

Główne wrota stajni otworzyły się i do środka wpadła gromada mykeńskich wojowników z pochodniami. Halizja nabrała tchu, pochyliła się i otworzyła drzwi przegrody, po czym chwyciła się grzywy ogiera i piętami uderzyła w jego boki. Potem wydała przeraźliwy okrzyk wojenny Zeleian.

Koń napiął potężne mięśnie i wypadł z przegrody, łomocząc kopytami o kamienną podłogę.

Mykeńczycy krzyknęli na widok pędzącego konia i próbowali go spłoszyć, machając pochodniami. Ogier wpadł na nich z impetem. Jednego zwałił z nóg, rozbijając mu czaszkę o drewniany słup. Drugiego stratował. Halizja usłyszała obrzydliwy chrzęst rozgniatanych kopytami kości. Pozostali rozpierzchli się na boki.

Halizja wypadła ze stajni i ruszyła w kierunku Bramy Lądowej. Jeśli będzie otwarta, przejedzie przez nią i parowem do mostu nad Głupotą Parnio.

Przemknęli przez wielki dziedziniec, słysząc za plecami wrzaski nieprzyjaciół, którzy pojęli, kto dosiada konia. Strzała świsnęła jej nad uchem. Potem druga. Mocniej przycisnąwszy do siebie Deksa, popędziła ogiera do galopu.

Brama Lądowa była niedaleko, za następnym rogiem. Lekko ślizgając się na bruku,

koń wziął zakręt.

Zobaczyła, że walka nadal trwa. Brama była zamknięta.

Grupka rozpaczliwie broniących jej dardańskich żołnierzy sformowała ścianę tarcz w przejściu. Lada chwila mieli ulec przeważającemu liczebnie wrogowi.

Halizja ściągnęła wodze i na krótką, przedziwną chwilę walka powoli zamarła. Jej żołnierze spojrzeli na nią z nagłym zrozumieniem i podziwem, a ona z dumą popatrzyła na ich twarze.

Kilku Mykeńczyków odwróciło się i usłyszała ochryply głos:

– To ona! To królowa! Brać sukę!

Dardańczycy wykorzystali chwilowe zamieszanie w nieprzyjacielskich szeregach i zaatakowali ze zdwojoną energią. Zobaczyła, jak wielu Mykeńczyków padło. Wiedziała, że dała swoim żołnierzom trochę czasu. Teraz jednak kilku Mykeńczyków gnało ku niej. Zawróciła rumaka i ścisnęła jego boki piętami. Spreżył się i ruszył galopem. Halizja mknęła wąskimi uliczkami i brukowanymi alejkami w kierunku Morskiej Bramy i klifu. Poczowała mocne uderzenie w udo. Spojrzawszy, zobaczyła tkwiącą w nim strzałę, głęboko wbitą w ciało. Tępe mrowienie szybko zmieniło się w przeszywający ból.

Zobaczyła Morską Bramę, z jej wielkimi kamiennymi wieżami mającymi w ciemności.

Paru żołnierzy pierchło na boki przed pędzącym ogierem. Czarny koń galopem przejechał przez bramę z granitu i marmuru, w noc. Halizja wiedziała, że nie może pozostać na drodze. Ta doprowadziłaby ją na brzeg i ku następnym mykeńskim żołnierzom. Pociągnęła konia za grzywę i przeniosła ciężar ciała, kierując wierzchowca w bok. Zadudnił kopytami po bruku i poślizgnął się na widok ziejącej przepaści. Przez moment Halizja myślała, że spadną z klifu, ale koń zaraz złapał równowagę i pognął dalej wąską ścieżką wzdłuż muru.

Wiedziała, że przejazdka tędy jest niebezpieczna nawet za dnia, a w nocy tylko szczęście i błogosławieństwo wielu bogów mogły doprowadzić ich całych i zdrowych do celu.

Ogier biegł pod górę, nieco wolniej po nierównym terenie. W najwyższym punkcie, gdzie ścieżka jeszcze się zwążyła, Halizja zatrzymała konia. Po jej lewej ręce wznosił się mur fortecy, a po prawej widziała w dole usiane gwiazdami morze i mykeńskie galery wyciągnięte na piasek.

Potem zobaczyła flotę mknącą w kierunku Dardanii przez Hellespont. Przez moment myślała, że to następne mykeńskie statki, ale zaraz rozpoznała ogromną sylwetkę *Ksantosa*.

Poczwała ulgę i radość.

Jej małżonek wracał do domu i teraz Mykeńczycy poznają, co to strach. Jego zemsta będzie straszna dla wrogów i miła ocalonym.

Mykeńskie załogi na brzegu również zauważyły dardańską flotę i rzuciły się do swych okrętów, aby je zepchnąć na wodę. Halizja uśmiechnęła się. Czy spróbują uciekać czy walczyć, rezultat będzie taki sam. Wszyscy byli już martwi.

Poczwała głęboką ulgę. Teraz musi tylko spokojnie poczekać tutaj, aż Helikaon zejdzie na brzeg.

Nagle coś ze świstem przeleciało obok, uderzyło o głazy i odbiło się od nich. Usłyszała krzyki i spojrzawszy w górę, zobaczyła wychylających się z blanków ludzi.

Mocno przytuliwszy Deksa, poklepała konia po karku, przemawiając do niego stanowczo i spokojnie. Potem łagodnie go popędziła. Wokół padały strzały, płosząc ogiera.

– Spokojnie, wspaniały – szepnęła uspokajająco.

Ubrana w ciemny płaszcz i siedząc na czarnym koniu, w nocy stanowiła kiepski cel. Mimo to, gdyby nie ruszyła się z miejsca, któraś ze strzał w końcu by ją trafiła. Halizja postanowiła okrążyć fortecę, wymknąć się żołnierzom przy Bramie Lądowej i dotrzeć do Głupoty Parnio. Za mostem byłaby bezpieczna.

Po prawej ścieżka stromo opadała w ciemność. Po lewej mur fortecy wznosił się jak klif.

Wielki ogier spuścił łeb i ostrożnie stapał wąską ścieżką. Czasem ślizgał się na kruchej skale.

Z góry wciąż słano strzały, ale mało która przelatywała blisko.

W końcu Halizja ujrzała Bramę Lądową i zobaczyła, że ta jeszcze nie padła. Setki mykeńskich żołnierzy bezsilnie tłoczyło się pod nią, czekając, aż ich kamraci otworzą ją od wewnątrz. Słychać było krzyki i przekleństwa, ale wszyscy patrzyli na mury i wrota, nie dostrzegając kobiety na koniu, która cicho wyłoniła się z ciemności.

Halizja zauważyła coś w oddali. Na horyzoncie pojawił się rząd jeźdźców w lśniących zbrojach. Przybyła trojańska jazda! Mykeńczycy też to zobaczyli i zaczęli formować obronną ścianę tarcz.

Nagle ktoś krzyknął z murów:

– Królowa ucieka! Zabijcie ją!

Pod bramą było tylko kilku jeźdźców, lecz natychmiast popędzili swe rumaki.

Halizja spięła czarnego ogiera, który znów ruszył galopem, ominął tyły mykeńskich oddziałów i pomknął prosto do parowu. Obejrawszy się, zobaczyła czterech ścigających ją mykeńskich jeźdźców. Ogier był już w pełnym galopie, a gnał jak wichur. W swoim życiu

Halizja jeździła na wielu koniach, ale żaden nie był tak silny i szybki.

Wiatr rozwiewał jej włosy i pozwoliła sobie na odrobinę nadziei. Helikaon zatopi flotę wroga, a trojańska jazda wyrznie w pień nieprzyjacielską piechotę. Wystarczy wymknąć się ścigającym ją Mykeńczykom, a będzie bezpieczna.

Ogier galopował dalej i zobaczyła, że parów rozszerza się tuż przed mostem. Tylko że mostu już nie było. Zostały z niego dymiące resztki, poczerńnięte i zwęglone, zwisające ze skraju przepaści. Była w pułapce.

Grupka mykeńskich żołnierzy wybiegła z ciemności obok parowu. Rzucili się w jej kierunku, z mieczami w dłoniach. Zawróciwszy konia, Halizja przejechała kawałek parowem, a potem znów wróciła. Mykeńscy jeźdźcy byli już blisko i słyszała ich triumfalne okrzyki.

– Cokolwiek się stanie, Deksie, będziemy razem – obiecała chłopcu.

Potem uderzyła ogiera po zadzie. Zaskoczony, pognął parowem w dół, w kierunku przepaści.

Pędził coraz szybciej. Halizja kurczowo trzymała się grzywy. Kątem oka ujrzała żołnierzy, tylko jako rozmazaną smugę. Poczowała uderzenie w bok, ale grot włóczni rozerwał ciało i nie zwałił jej z konia. Ból przeszył ją na wylot. Ignorując go, skupiła się na rumaku, na przytulonym do niej ciepłym ciałku synka i ziejącej przed nimi przepaści.

Czy nawet tak wspaniały koń zdoła ją przeskoczyć? Halizja nie wiedziała. Wiedziała tylko, że wierzchowiec może gwałtownie się zatrzymać na skraju przepaści, zrzucając ją i syna na skały w dole.

Gdy zbliżali się do krawędzi, po raz ostatni ubodła piętami końskie boki i wydała wojenny okrzyk swego plemienia, przeraźliwy i przeciągły. Koń napiął potężne mięśnie i skoczył.

Czas się zatrzymał. Jedynym dźwiękiem było bicie jej serca. Wszystko wokół zastygło. Nie czuła końskiego grzbietu pod sobą. Nie czuła przytulonego do jej piersi syna. Zastanawiała się, czy jej życie się skończyło i bogowie zabierają ją do siebie. Zdażyła nawet spojrzeć w przepaść, na poszarpane czarne głazy daleko w dole.

Potem podkowy ogiera z łoskotem uderzyły o ziemię po drugiej stronie przepaści. Koń o mało nie stracił równowagi, trafiając tylnymi kopytami na sam jej skraj. Po chwili byli wolni i bezpieczni.

Halizja zatrzymała konia i popatrzyła na Mykeńczyków. Żaden z nich nie miał odwagi pójść w jej ślady, stali tylko i wykrzykiwali obelgi. Potem pojechali z powrotem parowem. Poczowała ogromne zmęczenie.

– Czy źli ludzie już sobie poszli, mamusiu? – zapytał Deks.

– Tak, już poszli, wiewiórko.

Halizja podniosła nogę i zeskoczyła z konia. Krzyknęła, gdy strzała w udzie przekreśliła się, rozrywając ciało. Usiadłszy na głazie, królowa puściła chłopca. Nie odsunął się, tylko przytulił do niej. Halizja ucałowała go w czoło.

– Jesteś moim synem, Deksie. I jestem z ciebie dumna. Wkrótce wróci twój tatuś i on też będzie z ciebie dumny. Posiedzimy tu spokojnie i zaczekamy na niego.

Chłopczyk spojrział na nią i uśmiechnął się. Jaki słodki uśmiech, pomyślała, jakby słońce przedarło się przez chmurę.

Lewy bok jej tuniki był mokry od krwi z rany w boku. Chciała zatamować krwotok płaszczem. Jednak materiał wymknął się jej z palców. Miała wrażenie, że robi się jaśniej. Ktoś był w pobliżu. Halizja z trudem obróciła głowę. Blask był oślepiający. Ujrzała w nim jakąś małą, złotowłosą postać. Halizja wytrzymała wzrok i wydała okrzyk radości. To był Diomedes, jej syn.

Uśmiechał się do niej i wyciągał ramiona.

Łzy napłynęły jej do oczu. Teraz obaj synowie byli przy niej i wszystko znów było dobrze.

W tym jednym, cudownym momencie, gdy gasło światło, Halizja wiedziała, że nigdy nie była szczęśliwsza.

EPILOG

Białe kozy o długim włosiu pasły się na urwisku pod wysokimi murami letniego pałacu Priama.

Uciekły, gdy Kasandra szła na krawędź klifu i przystanęła, żeby na nie popatrzeć. Takie pewne siebie, pomyślała, widząc, jak skaczą z głazu na głaz. Nie boją się wysokości ani ostrych skał tak daleko w dole. Czy to pewność siebie czy głupota, zastanawiała się, a może jedno i drugie?

Poszła dalej i weszła na najwyższy punkt urwiska. Podciągnawszy sięgającą do kostek tunikę, usiadła na kamieniu i popatrzyła na morze. W zasięgu wzroku nie było żadnych statków, a na niegdyś tłoczonym brzegu leżało zaledwie pięć galer. W zatoce pływało tylko kilka rybackich łodzi, zarzucających sieci.

Stąd, z tej wysokości, świat wydawał się spokojny i piękny. Kasandra spojrzała na południe. Za pasmem gór Ida maszerowały wojska, szykując się na wojnę i śmierć, gwałty i morderstwa. Przez moment oczami duszy widziała przerażające obrazy rzezi i pożogi, ale bezlitośnie odepchnęła je od siebie. Zwróciwszy spojrzenie na północ, znów zobaczyła fragmenty ostatniego snu – stojącą w płomieniach fortecę Dardanos.

Tracja była stracona i Mykeńczycy wkrótce przepłyną cieśninę i wejdą do Dardanii. Wróg zaatakuje z północy i południa, a jego wojska zacisną wielką pięść wokół złotego miasta.

Wtedy te spokojne plaże będą gościć flotę tak liczną, że między kadłubami nie będzie widać ziarenka piasku. Kasandra zadrżała w jasnym słońcu.

Nagle poczuła niosące nadzieję zwątpienie. Wszystkie te wizje mogą się nie ziścić.

Powoli wstała i podeszła na sam skraj przepaści. Aby sprawdzić prawdziwość wizji, wystarczy jeden krok. Jeśli spadnie i zabije się na skałach, były fałszywe, gdyż nie będzie zimowej podróży na Terę, nie będzie lotu w niebo, grzmącego ryku i końca świata. Troja przetrwa, a Hektor przeżyje i zostanie wielkim królem.

Tylko jeden krok...

Zaczerpnęła tchu, zamknęła oczy i zrobiła krok naprzód.

Silne dłonie złapały ją i odciągnęły od przepaści.

– Co robisz? – zapytał młody pasterz, mocno ją trzymając.

Kassandra nie odpowiedziała.

Podróż na Terę będzie długa – i pełna niebezpieczeństw.